

MAEVE BINCHY

DROGA DO TARY



Maeve Binchy

Droga do Tary

(Tara Road)

Przełożyła Teresa Sośnicka

1

Rozdział 1

Matka Rii zawsze była ogromną wielbicielką gwiazd filmowych. I niezwykle zasmucił ją fakt, że Clark Gable zmarł w dniu narodzin Rii – tym bardziej, że dwa lata wcześniej, w dniu narodzin Hilary, odszedł Tyrone Power. To jednak można by-

łoby jeszcze przeboleć. Ria natomiast przyszła na świat w momencie, gdy opuszczał go król kina. Dlatego nigdy nie mogła oglądać filmu „Przeminęło z wiatrem” bez poczucia winy.

Opowiedziała o tym Kenowi Murrayowi – pierwszemu chłopakowi, z którym się całowała. Miało to miejsce w kinie.

– Straszliwa z ciebie nudziara – stwierdził Ken, usiłując rozpiąć jej bluzkę.

– Wcale nie! – wykrzyknęła, gwałtownie protestując przeciwko tej opinii. – Clark Gable jest właśnie na ekranie, a ja mówię ci o ciekawym zbiegu okoliczności. Co w tym nudne-go?

Ken Murray poczuł się zażenowany, gdyż ściągnęli na siebie ogólne zainteresowanie. Jedni widzowie uciszali ich, inni się śmiali. Chłopak odsunął się od Rii i skulił w fotelu, jak gdyby nie chciał, ażeby ktoś go z nią zobaczył.

Ria była na siebie wściekła. Wkrótce skończy szesnaście lat; jej koleżanki szkolne lubiły się całować; w każdym razie tak utrzymywały. Ona zaś w chwili, kiedy właśnie miała okazję sama tego doświadczyć, wszystko popsuła. Wyciągnęła rękę do Kena.

– Sądziłem, że masz ochotę oglądać film – mruknął.

– A ja sądziłam, że chcesz mnie objąć – odpowiedziała z nadzieją w głosie.

Wyjął torebkę z cukierkami toffi i zjadł jednego. Nawet nie poczęstował Rii. Romantyczny nastrój prysnął.

2

Ria uważała, że z Hilary można się czasami dogadać. Dzisiejszy wieczór jednak nie zaliczał się do takich momentów.

– Czy rozmowa podczas pocałunku to coś złego? – zagadnęła siostrę.

– Jezus Maria! – jęknęła Hilary, szykując się do wyjścia.

– Tylko pytam – powiedziała Ria. – Powinnaś o tym wiedzieć, masz przecież bogate doświadczenie z facetami.

Hilary nerwowo rozejrzała się wokół siebie, pełna obawy, czy przypadkiem nikt nie słyszał uwagi siostry.

– Zamknij się! – syknęła. – Jeśli mama cię usłyszy, to obu nam zabroni wychodzić z domu.

Matka ostrzegała je wielokrotnie, że nie zamierza tolerować w rodzinie niestosownego zachowania. Wdowa z dwiema córkami miała wystarczająco wiele trosk, aby jeszcze martwić się o to, że jej dziewczyny z powodu złego prowadzenia się nie wyjdą za mąż. Oświadczyła, że umrze szczęśliwa, jeśli Ria i Hilary zwiążą się z mężczyznami godnymi szacunku i będą mieszkały we własnych domach – najlepiej w ładnych willach z ogrodami w luksusowej dzielnicy Dublina. Nora Johnson wiązała wielkie nadzieje z przyszłością córek. Liczyła na to, że zdołają przesunąć się o kilka szczebli wyżej na drabinie spo-

łecznej. I że zamieszkają w miejscu ładniejszym niż to rozległe osiedle, gdzie znajdował się ich obecny dom. A afiszowanie się z każdym poznanym chłopakiem na pewno nie było właściwym sposobem na zrobienie dobrej partii.

– Przepraszam, Hilary. – Ria miała skruszoną minę. –

Mama nie mogła nic usłyszeć. Przecież wiesz, że jest pochłonięta oglądaniem telewizji.

Wieczorami ich matka oddawała się głównie temu zajęciu.

Była bardzo zmęczona po powrocie z pralni chemicznej, gdzie pracowała, stojąc za ladą, by przyjmować i wydawać ubrania.

Po całym dniu na nogach miło było usiąść i przenieść się w 3

inny świat. Z pewnością nie doszła do niej z piętra żadna niestosowna uwaga o doświadczeniach córek z mężczyznami.

Hilary wybaczyła siostrze; tym skwapliwiej, że dzisiejszego wieczora potrzebowała jej pomocy. Mama kiedyś wyraziła życzenie, żeby starsza córka zawsze po powrocie z randek zostawiała torebkę u podnóża schodów na parterze. Dzięki temu, kiedy Nora wstawiała w nocy do łazienki, wiedziała, że dziewczyna jest w domu, i uspokojona mogła wrócić do łóżka. Czasami to Ria musiała położyć torebkę w środku nocy w umó-

wionym miejscu, aby siostra mogła się wślizgnąć do domu o dowolnej porze. Hilary, wychodząc na spotkanie, wkładała wtedy do kieszeni tylko klucze i szminkę.

– Ciekawe, kto mnie będzie krył, kiedy przyjdzie czas na moje randki? – zastanawiała się Ria.

– Nie będzie takiej potrzeby, jeśli zamiast się całować zaczniesz nudzić facetów paplaniną – zauważyła Hilary. – A skoro nie będziesz miała dokąd wychodzić, nie będzie ci zale-

żało na siedzeniu do późna poza domem.

– A właśnie, że będę miała – oświadczyła Ria, lecz pomimo brzmiącej w jej głosie pewności nie czuła się przekonana.

Poczuła pieczenie pod powiekami.

Nie mogła narzekać na swój wygląd. Szkolne koleżanki zazdrościły jej kręconych ciemnych włosów i niebieskich oczu.

Nie była gruba ani nie miała innych defektów. Pyszcze także nie stanowiły problemu, z którym nie można by sobie poradzić.

A jednak nikt jej nigdzie nie zabierał i, w przeciwieństwie do innych dziewcząt z klasy, nie potrafiła błyszczeć dowcipem.

Hilary spostrzegła jej przygnębioną minę.

– Jesteś ładna, drobna i masz naturalnie kręcone włosy. To dobry zadatek na przyszłość. Mężczyźni lubią filigranowe ko-bietki. Nie jest tak źle, zapewniam cię. A szesnaście lat to najgorszy wiek dla dziewczyny, nawet jeśli twoje koleżanki mó-

4

wią coś innego. – Czasami Hilary naprawdę potrafiła być bardzo miła. Szczególnie wtedy, kiedy zależało jej na podrzuceniu torebki na schody.

Siostra miała rację. Niebawem sytuacja rzeczywiście uległa poprawie. Ria po ukończeniu szkoły zrobiła kurs dla sekretarek, podobnie jak starsza siostra – i wtedy okazało się, że wokół niej nie brakuje mężczyzn. Co prawda, nie spotkała nikogo szczególnie interesującego, ale i tak nie było jej spieszno do małżeństwa. Przed ustabilizowaniem się i założeniem rodziny pragnęła wiele podróżować po świecie.

– Nie przesadzaj z tymi podróżami – przestrzegala ją matka. Zdaniem Nory Johnson mężczyźni mogli utożsamiać owe turystyczne ciągoty ze swobodnym życiem. Woleli bezpieczniejsze związki ze spokojnymi kobietami, które nie miały wło-

częgowskich skłonności. Nora Johnson przekonywała córki o potrzebie zgromadzenia zawczasu jak najwięcej wiadomości o mężczyznach. Dzięki owej posiadanej wiedzy dziewczęta mogły przystąpić do walki uzbrojone. Nie ukrywała, że sama w niedostatecznym stopniu była do niej przygotowana. Jej zmarły mąż, pan Johnson, choć miał promienny uśmiech i nosił

kapelusz zawadiacko nasunięty na czoło, niezbyt dobrze radził

sobie z obowiązkiem utrzymywania rodziny. Nie był też zwo-lennikiem ubezpieczeń ani polis na życie. Nora Johnson chcia-

ła oszczędzić podobnych zmartwień swoim córkom, kiedy przyjdzie na nie pora.

– A kiedy przyjdzie ta pora, jak myślisz? – zapytała Ria siostrę.

– Na co?

Hilary krzywiła się do własnego odbicia w lustrze. Problem z nakładaniem różu polegał na tym, aby go użyć w odpowiedniej ilości. Nadmiernie rumiane policzki nadawały kobiecie wygląd suchotnicy, natomiast zbyt skąpy podkład ko-

smetyku sprawiał, że twarz wydawała się ziemista albo nie-umyta.

– Kiedy, twoim zdaniem, każda z nas wyjdzie za mąż?

Dobrze znasz ulubione powiedzenie mamy o nadejściu wła-

ściwej pory.

– No cóż, mam nadzieję, że pierwsza stanę na ślubnym kobiercu. Jestem od ciebie starsza, więc nawet się nie waży wyprzedzać mnie w zamążpójściu.

– Nie ma obawy. Nie znam nikogo, z kim pragnęłabym się związać. Ale chciałabym móc spojrzeć w przyszłość i dowiedzieć się, co nam przyniesie los za dwa lata. Czyż to nie byłoby wspaniałe?

– Idź do wróżki, skoro jesteś taka niecierpliwa.

– One nie mają o niczym pojęcia! – prychnęła pogardliwie Ria.

– Zależy, do jakiej trafisz. Dziewczęta, z którymi pracuję, znalazły tę właściwą. Przeszłyby ci po plecach ciarki, gdybyś usłyszała, o czym ta kobieta wie.

– A ty nigdy u niej nie byłaś? – zdumiała się Ria.

– Poszłam raz, dla żartu. Wszystkie moje koleżanki do niej biegają. Nie chciałam być jedyną sceptyczką, która nie pochwała owych wizyt.

– I?

– O co ci chodzi?

– I co ci powiedziała? Nie bądź wredna i wyduś to z siebie wreszcie! – Oczy Rii zabłysły z podniecenia.

– Powiedziała, że wyjdę za mąż za dwa lata...

– Wspaniale, a czy ja będę twoją druhną?

– Oświadczyła także, że zamieszkałam w miejscu otoczonym drzewami. Imię mojego wybranka będzie się zaczynało na literę „M” i przez całe życie oboje będziemy się cieszyć dobrym zdrowiem.

6

– Michael, Matthew, Maurice, Marcello? – Ria wymieniała na głos listę imion, wsłuchując się w ich brzmienie. – A ile będziesz miała dzieci?

– Mówiła, że pozostaniemy bezdzietni.

– Chyba jej nie uwierzyłaś?

– Oczywiście, że tak. Jakież sens miałoby oddawanie tej kobiecie tygodniowych zarobków, gdybym nie dała wiary jej słowom?

– Nigdy nie zapłaciłabym tak wielkiej kwoty!

– Ta wróżka rzeczywiście jest dobra. Ma dar jasnowidzenia.

– Daj spokój.

– Naprawdę. Z jej porad korzystają ludzie z wyższych klas i to reprezentujący najróżniejsze zawody. Nie robiliby tego, gdyby nie miała nadprzyrodzonych zdolności.

– Ciekawe, gdzie zobaczyła twoje dobre zdrowie, męż-

czynę o imieniu zaczynającym się na literę „M” oraz brak potomstwa? W herbacianych fusach?

– Nie, wyczytała przyszłość z mojej dłoni. Spójrz na linie poniżej małego palca z boku swojej ręki. Są dwie, a ja nie mam żadnej.

– Hilary, nie bądź śmieszna. Mama ma aż trzy linie...

– Przecież było jeszcze jedno dziecko, które zmarło, pa-miętasz? A to znaczy, że mama urodziła nas troje.

– Ty mówisz poważnie? Nie mogę w to uwierzyć!

– Zapytałaś, więc ci odpowiedziałam.

– Czy u każdego, kto będzie mieć dzieci, widać te linie? A wszyscy, którzy umierają bezpotomnie, są ich pozbawieni?

– Trzeba wiedzieć, jak na nie patrzeć. – Hilary przybrała obronną pozę.

– A także jak wyłudzać od ludzi pieniądze. – Ria była zmartwiona, że jej zazwyczaj zrównoważona

siostra tak łatwo 7

dała się wystrychnąć na dudka.

– Wizyta wcale nie kosztowała tak dużo, zważywszy na...

– zaczęła Hilary.

– Ależ moja droga, tygodniowe zarobki za tego rodzaju brednie! A gdzie ona mieszka? W oszklonej nadbudówce na dachu drapacza chmur?

– Nie, w wagonie mieszkalnym na boczniczy kolejowej.

– Stroisz sobie ze mnie żarty?

– Nie, mówię prawdę. Ona nie dba o pieniądze. To nie są żadne oszustwa ani praca, lecz dar.

– O tak, z pewnością.

– Wygląda więc na to, że mogę robić, co mi się żywnie podoba, ponieważ i tak nie zajdę w ciążę. – Hilary sprawiała wrażenie, że jest całkowicie o tym przekonana.

– Odstawienie pigułek byłoby, moim zdaniem, dość ryzykowne – zauważyła Ria. – Na twoim miejscu nie polegałabym w pełni na Madame Fifi, czy jak ją tam nazywają.

– Pani Connor.

– Pani Connor – powtórzyła Ria. – Czy to nie zdumiewające? Mama w młodości zwykła szukać porady u świętej Anny czy też u innych świętych lub błogosławionych i uważałyśmy to za naiwność. A teraz okazuje się, że twoją wyrocznią jest pani Connor z domku na kółkach.

– Zaczekajmy. Nadejdzie taki moment, kiedy ty też bę-

dziesz chciała czegoś się dowiedzieć. Wtedy popędzisz do niej co tchu.

Trudno przewidzieć, jak ci się ułoży w pracy, dopóki jej nie podejmiesz, a wtedy jest już za późno.

Hilary znalazła sobie posadę w piekarni, potem w pralni, a w końcu zatrudniła się w szkole. I choć szanse na poznanie tam właściwego kandydata na męża były niewielkie, miała przy-

najmniej wyższą pensję i darmowe lunche, co oznaczało, że może nieco więcej odłożyć. A Hilary była zdecydowana zaoszczędzić trochę pieniędzy, aby kiedy nadejdzie pora, wnieść swój udział do funduszy nowej rodziny.

Ria również oszczędzała, ale po to, żeby podróżować po świecie. Pracowała najpierw w sklepie z artykułami żelaznymi, a potem w spółce produkującej wyposażenie zakładów fryzjerskich. Na koniec znalazła posadę w dużej agencji handlu nieruchomościami. Do jej obowiązków należało

odbieranie telefonów w recepcji. Był to świat zupełnie dziewczynie nieznany, stwierdziła jednak, że interesy w tej branży kwitną. Na początku lat osiemdziesiątych irlandzka gospodarka weszła w okres prosperity i rynek nieruchomości pierwszy odnotował tę korzystną tendencję.

Pomiędzy różnymi agencjami istniała ogromna konkurencja i Ria zauważyła, że przedstawiciele poszczególnych firm pracują zespołowo.

Pierwszego dnia w nowym biurze poznała Rosemary. Ta szczupła i efektowna blondynka okazała się bardzo życzliwa, podobnie jak dziewczyny, z którymi Ria zetknęła się w szkole i na kursie dla sekretarek. Rosemary również mieszkała z matką i siostrą, nic zatem dziwnego, że pomiędzy obiema dziewczynami od razu nawiązała się przyjaźń. Rosemary była pewna siebie i zawsze w pełni zorientowana we wszystkim, co się wokół działo. Zdobyła gruntowną wiedzę dotyczącą handlu nieruchomościami i Ria przypuszczała nawet, że koleżanka ukończyła studia w tej dziedzinie. Okazało się jednak, że tamta nie tylko nie ma wyższego wykształcenia, ale pracuje w agencji zaledwie od sześciu miesięcy i że jest to jej druga posada w życiu.

– Jakież sens miałaby praca, gdyby człowiek wszystkiego o niej nie wiedział – stwierdziła nowa przyjaciółka. – Staje się 9

dwa razy bardziej interesująca, kiedy wiadomo, o co w tym wszystkim chodzi.

Podjęcie Rosemary do kariery zawodowej spotęgowało zainteresowanie kolegów z agencji jej osobą. Wkrótce przekonali się jednak, że niełatwo ją poderwać. Ria słyszała nawet, jak w tajemnicy robili zakłady o to, który z nich pierwszy odniesie sukces. Również do Rosemary dotarły plotki na ten temat i wraz z Rią serdecznie się uśmieły.

– To tylko zabawa – tłumaczyła koleżanka. – W rzeczywistości wcale im na mnie nie zależy.

Ria nie była o tym przekonana. Chyba każdy mężczyzna w biurze byłby dumny, mogąc się pokazać z Rosemary Ryan. Ta jednak ponad kawalerów przedkładała karierę zawodową. Ria słuchała jej z zainteresowaniem. Stanowisko tamtej diametralnie różniło się od poglądów, z jakimi stykała się w domu: za-równo matka, jak i Hilary zawsze największą wagę przywią-

zywały do sprawy zamążpójścia.

Matka Rii uznała rok 1982 za okropny z powodu śmierci wielu gwiazd filmowych. Odeszli: Ingrid Bergman, Romy Schneider i Henry Fonda, a potem wydarzył się ów tragiczny wypadek, gdy zginęła Grace Kelly. Ludzie, których wszyscy pragnęli oglądać, przemijali z wiatrem.

Również w tym roku Hilary zaręczyła się z Martinem Moranem, nauczycielem ze szkoły, w której pracowała jako urzędniczka.

Martin był bladym, nerwowym młodzieńcem i pochodził z zachodnich rejonów Irlandii. Często powtarzał, że jego ojciec jest drobnym farmerem; zawsze używał przy tym przymiotnika

„drobny”. Było to trudne do wyobrażenia, ponieważ przysły szwagier Rii liczył sobie ponad dwa metry wzrostu. Zawsze uprzejmie odnosił się do Hilary i niewątpliwie darzył ją uczuciem. Czegoś

mu jednak brakowało; nie miał w sobie ani krzty 10

ikry.

Wiecznie czymś się trapił, a jego wypowiedzi podczas niedzielnych lunchów w domu pani Johnson miały pesymistyczny wydźwięk.

We wszystkim doszukiwał się problemów. Był pewien, że w Anglii zostanie dokonany zamach na życie papieża. A kiedy jego ponure wizje się nie sprawdziły, uznał, że ojcu świętemu po prostu dopisało szczęście, ale i tak jego wizyta nie przyniesie wielkiego pożytku i nie spełni wiązanych z nią oczekiwań.

Zapewniał wszystkich, że wojna na Falklandach będzie miała niekorzystne skutki dla Irlandii i twierdził, że sytuacja na Bliskim Wschodzie jeszcze bardziej się zaogni, a bomby IRA w Londynie są zaledwie wierzchołkiem góry lodowej. Ubolewał

także nad niskimi pensjami nauczycieli oraz wygórowanymi cenami domów.

Ria przyglądała się mężczyźnie, którego zamierzała poślubić jej siostra, i nie mogła się temu nadziwić.

Hilary, która potrafiła wydać tygodniową pensję na wróż-

kę, rozprawiała teraz o kosztach naprawy butów i bezsensownego korzystania z telefonów komórkowych w godzinach nie-objętych ulgową taryfą.

W końcu dokonano wyboru i depozyt na kupno bardzo małego domu został złożony w banku. Obecnie trudno było wyobrazić sobie wygląd całej posesji: wszędzie wokoło pełno było błota, desek, betoniarek i koparek oraz niedokończonych ulic i ścieżek. A pomimo to siostra Rii najwyraźniej właśnie tego oczekiwała od życia. Ria nie widziała nigdy tak uszczę-

śliwionej Hilary.

Siostra zawsze się uśmiechała i trzymała narzeczonego za rękę, nawet kiedy rozmawiali na tak stresujące tematy, jak znaczki opłat skarbowych czy prowizje agentów handlowych.

Obracając na palcu pierścionek, przyglądała się małemu bry-

lantowi, który został bardzo starannie wybrany i kupiony za korzystną cenę u jubлера, gdzie pracował kuzyn Martina.

Bardzo była podekscytowana zbliżającym się ślubem, któ-

rego termin został wyznaczony na dwa dni przed jej dwudziestymi czwartymi urodzinami. Tak więc na Hilary przyszła już pora. Szykowała się do owego podniosłego wydarzenia, oszczędzając jak maniaczka. Ona i Martin rywalizowali ze sobą, kto odłoży więcej pieniędzy.

Zimowy termin ślubu wydawał się najrozsądniejszy, gdyż Hilary mogła wtedy wystąpić w kremowym kostiumie i w kapeluszu – w stroju przydatnym również i później; ubiór ten po pewnym czasie mógł zostać przefarbowany i nadal jej służyć.

Uczta weselna miała się ograniczyć do lunchu w gronie najbliższej rodziny w jednym z dublińskich hoteli. Ojciec Martina i jego bracia – sami drobni farmerzy – nie mogli pozostawić gospodarstw na dłużej niż jeden dzień. Fakt ten nie martwił

jednak Hilary, a wręcz odwrotnie, była z tego zadowolona. Nie ulegało wątpliwości, że właśnie tak chciała. W przeciwieństwie do Rii, która zupełnie inaczej wyobrażała sobie ten wyjątkowy dzień swojego życia.

Ria włożyła na ślub siostry jaskrawoszkarłatny płaszcz, a kręcone czarne włosy ozdobiła czerwoną aksamitną opaską z kokardą. Doszła do wniosku, że jest jedną z najbardziej kolorowych druhen podczas tego najbardziej bezbarwnego wesela w Europie.

W poniedziałek postanowiła pójść w tym płaszczu do biura. Rosemary była zdumiona.

– Świetnie wyglądasz! Nigdy dotychczas nie widziałam cię tak ładnie ubranej, Rio. Szczerze mówiąc, powinnaś zacząć przywiązywać większą wagę do strojów. Szkoda, że nie mamy dokąd pójść na lunch, żebyś się mogła pokazać. Nie powinnyśmy marnować tak wielkiej okazji.

12

– Daj spokój, Rosemary, przecież to tylko ciuch. – Ria by-

ła zakłopotana. Czuła się tak, jak gdyby dotychczas chodziła w łachmanach.

– Wcale nie żartuję. Powinnaś zawsze nosić te oszałamiające kolory. Założę się, że zrobiłaś furorę na ślubie!

– Bardzo chciałabym tak uważać. Obawiam się jednak, że byłam ubrana trochę zbyt krzykliwie i oślepiłam wszystkich moim jaskrawym ubiorem. Nie masz pojęcia, jakimi ludźmi są krewni Martina.

– Tacy sami, jak on? – domyśliła się Rosemary.

– W porównaniu z nimi Martin to ogień! – odrzekła Ria.

– Nie mogę uwierzyć, że jesteś tą samą dziewczyną co wczoraj. – Rosemary, w nienagannym liliowym kostiumie, z doskonałym makijażem na twarzy, całą swą osobą wyrażała zdumienie i podziw.

– Naprawdę postawiłaś mnie przed nie lada problemem.

Teraz będę musiała zmienić całą garderobę! – Ria przed zdję-

ciem płaszcza jeszcze raz obróciła się wokół własnej osi, zwracając na siebie uwagę nowego

pracownika agencji.

Dziewczyny słyszały już o tym, że z oddziału w Cork ma się do nich przenieść niejaki pan Lynch. I oto najwidoczniej przyjechał. Nie był wysoki – nie przewyższał jej wzrostem –

ale za to przystojny. Miał błękitne oczy oraz proste jasne włosy, które mu opadały na oczy. A od jego uśmiechu robiło się jasno w całym pokoju.

– Dzień dobry, nazywam się Danny Lynch – powiedział.

Ria spojrzała na niego zakłopotana, że przyłapał ją na kręceniu piruetów w nowym płaszczu.

– Czyż nie jest pani wspaniała? – zauważył.

Doznała dziwnego uczucia; nie mogła złapać tchu, jak gdyby wbiegła na wzgórze.

Do rozmowy włączyła się Rosemary – na całe szczęście, 13

ponieważ jej koleżanka nie była w stanie wydobyć z siebie głosu.

– Dzień dobry, panie Lynch – powiedziała i uśmiechnęła się lekko. – Serdecznie witamy w naszym biurze. Zostałyśmy uprzedzone o pańskim przybyciu do agencji. Nie wiem jednak, dlaczego spodziewaliśmy się kogoś w znacznie bardziej podeszłym wieku.

Rię ogarnęła nieznana jej dotychczas zazdrość. Dlaczego Rosemary zawsze wiedziała, co należy powiedzieć, a jednocześnie potrafiła być zabawna i umiała przypodobać się rozmówcy?

– Nazywam się Rosemary, a to jest Ria i obie stanowimy fachowe siły, które zapewniają sprawne działanie całego biura.

Musi pan więc być dla nas miły.

– Och, na pewno będę – obiecał Danny.

Ria nie wątpiła w to, że pan Lynch niebawem wraz z innymi uderzy w konkury do Rosemary. Niewykluczone też, że miał szansę na sukces. Odniosła jednak wrażenie, iż nowy kolega do niej skierował swą odpowiedź, ale prawdopodobnie było to tylko złudzenie.

– Właśnie szukaliśmy kogoś, z kim mogłybyśmy pójść na lunch, ażeby uczcić nowy płaszcz Rii.

– Wspaniale! Teraz, kiedy mamy pretekst, pozostaje jedynie wybór miejsca. Muszę się także dowiedzieć, jak długo trwa przerwa; nie powinienem w pierwszym dniu pracy wyrzucić złego wrażenia na przełożonych. – Przenosił swój nadzwyczajny uśmiech z jednej na drugą i Rii wydawało się, że oprócz nich trojga nikogo nie ma na świecie.

Nadal nie mogła wydobyć z siebie słowa; całkiem wyschło jej w ustach.

– Powinniśmy wrócić przed upływem godziny – wyjaśniła Rosemary.

14

– Zatem pozostaje już tylko problem wyboru miejsca –

stwierdził Danny Lynch, patrząc Rii prosto w oczy. Tym razem byli na całym świecie tylko we dwoje. Wciąż nie mogła wydobyć z siebie głosu.

– Po drugiej stronie ulicy znajduje się włoska restauracja –

odezwała się Rosemary. – W ten sposób zaoszczędzimy czas na dojście i powrót.

– Chodźmy zatem – powiedział nowy kolega, nie odrywając wzroku od Rii Johnson.

Danny miał dwadzieścia trzy lata. Jego wuj był pośrednikiem handlowym. Pełnił wiele funkcji w małej miejscowości: prowadził gospodę i był właścicielem zakładu pogrzebowego, ale posiadał również licencję licytatora i właśnie do niego udał

się Danny, aby podjąć swoją pierwszą pracę po ukończeniu szkoły. Sprzedawali zboże, nawozy i siano, a także bydło oraz małe gospodarstwa, jednak w miarę przeobrażeń gospodarczych w Irlandii niezwykle ważną sferą działalności ekonomicznej stał się handel nieruchomościami. Chłopak wyjechał

wtedy do Corcaigh, gdzie bardzo mu się spodobało. A teraz znalazł posadę w Dublinie.

Był podekscytowany jak dziecko w Wigilię Bożego Narodzenia i porwał swoim entuzjazmem zarówno Rię, jak i Rosemary. Przyznał się, że nie znosi siedzieć w biurze – zapewne jak każdy – i znacznie bardziej woli spotkania z klientami w terenie. Wiedział, że upłynie sporo czasu, nim będzie się swobodnie poruszał po Dublinie. Często bywał w tym mieście, ale nigdy nie mieszkał tutaj na stałe.

A gdzie się zatrzymał? Dotychczas Rosemary nikim tak się nie interesowała – Ria ponuro obserwowała rozgrywającą się przed nią scenę. Każdy mężczyzna w biurze byłby gotów oddać życie, żeby zobaczyć błysk zainteresowania w oczach jej 15

przyjaciółki, która dotychczas nigdy nie zapytała żadnego z kolegów o miejsce zamieszkania. Prawdopodobnie nie wiedziała nawet, czy w ogóle mają jakiś dach nad głową. W przypadku Danny'ego sprawa wyglądała inaczej.

– Chyba nie mieszkasz kilometry stąd?

Przechyliła głowę na bok. Żaden mężczyzna na ziemi nie oparłby się pokusie podania Rosemary swojego adresu, jak również dowiedzenia się, gdzie ona mieszka. Danny nie dopatrzył się jednak w jej pytaniu zachęty do wymiany tak osobistych informacji; potraktował je po prostu jako kolejne zdanie rozmowy. Przenosił wzrok z jednej dziewczyny na drugą, rozprawiając o swym życiowym szczęściu. Rzeczywiście los w zdumiewający sposób uśmiechnął się do niego. Stało się to za sprawą

pewnego człowieka w podeszłym wieku, niejakiego Seana O'Briena, prawdziwego samotnika. Staruszek odziedziczył wielki dom przy Tara Road, lecz remont budynku przerastał jego siły. Nie chciał mieć związanych z tym kłopotów, pragnął jedynie, ażeby zamieszkało tam kilku młodych ludzi.

Z młodymi mężczyznami można się było łatwiej dogadać niż z dziewczętami. Nie zależało im na schludnym wyglądzie posesji ani na czystości i porządku w domu. Danny uśmiechnął się przepraszająco do obu koleżanek, dając do zrozumienia, że doskonale pojmuje, jak beznadziejni są przedstawiciele jego płci.

I tak oto Danny zamieszkał przy Tara Road razem z dwoma innymi młodymi ludźmi. Każdy z nich miał do dyspozycji oddzielny pokój i na każdym spoczywał obowiązek pilnowania domostwa, dopóki biedny, stary Sean nie zdecyduje, co po-cząć ze swą własnością. Wszyscy byli zadowoleni z takiego rozwiązania.

Co to za dom? – chciały wiedzieć dziewczęta.

Budynki przy Tara Road miały niejednolity charakter.

16

Można tu było spotkać zarówno okazałe wille z ogrodami peł-

nymi drzew, jak i małe chałupki stojące blisko ulicy. Danny wyjaśnił, że dom pod numerem szesnastym, choć stary i duży, jest przesiąknięty wilgocią, zaniedbany i chyli się ku upadkowi. Zapewne stary wuj biednego Seana O'Briena również był

człowiekiem niezaradnym, skoro pozwolił popaść w ruinę tak okazałemu niegdyś budynkowi.

– Pewnie dobrze się na tym znacie, nie na darmo zajmuje-cie się handlem nieruchomościami.

Ria siedziała zasłuchana, z brodą podpartą na rękach, i nie odrywała oczu od kipiącego entuzjazmem Danny'ego. Na ty-

łach posesji znajdował się wielki dziki ogród. Dom był z rodzaju tych, które zachęcająco wyciągają do człowieka ramiona.

Na Rosemary spoczęło zadanie podtrzymania rozmowy i poproszenia o rachunek. Wrócili do agencji na drugą stronę ulicy i Ria usiadła za swoim biurkiem. Tego rodzaju rzeczy nie zdarzały się w prawdziwym życiu, musiała chyba ulec chwilo-wemu zaślepieniu. Danny był zwyczajnym, niskim młodzieńcem o skłonnościach do gadulstwa. I nie wyróżniał się niczym szczególnym. Dlaczego więc wydawał się jej kimś wyjątkowym? I dlaczego, gdyby podzielił się swoimi planami i marzeniami z inną kobietą, Ria byłaby gotowa ją zabić? Ludzie w ten sposób nie reagowali. Przypomniała sobie ślub siostry sprzed dwóch dni. Tamto wydarzenie również nie należało do typowych.

Przed opuszczeniem biura Ria podeszła do biurka Danny'ego Lyncha.

– Jutro kończę dwudziesty drugi rok życia – powiedziała. –

Zastanawiałam się... – zaczęła, a potem słowa uwięzły jej w gardle.

On jednak przyszedł jej z pomocą.

– Wydajesz z tej okazji przyjęcie?

17

– Nie to miałam na myśli.

– Możemy razem uczcić ten fakt. Dzisiaj twój nowy płaszcz, a jutro dwudzieste drugie urodziny. Kto wie, co bę-

dziemy świętować we środę?

Wtedy Ria zrozumiała, że to nie chwilowe zauroczenie, lecz miłość. Uczucie, o jakim dotychczas jedynie czytała, słyszała i śpiewała lub też śledziła jego historię na ekranie kino-wym. I pomyśleć tylko, że znalazła je w biurze, w miejscu swojego zatrudnienia!

Na początku usiłowała zatrzymać Danny'ego tylko dla siebie. Nie miała ochoty nikomu o nim opowiadać ani też z nikim się nim dzielić. Lgnęła do niego, kiedy się rozstawali, jak gdyby nie miała ochoty wypuścić go z objęć.

– Przekazujesz mi bardzo zabawne sygnały, moja droga –

zauważył. – Chcesz być ze mną, a jednocześnie nie chcesz. A może jestem zbyt gruboskórnym mężczyzną i nie potrafię cię zrozumieć? – Przyglądał się jej zaintrygowany, stojąc z przechyloną na bok głową.

– Trafnie to ująłeś – odparła z prostotą. – Mam uczuciowy mętlik.

– Możemy uprościć sytuację, nie sądzisz?

– Niezupełnie. Widzisz, dla mnie to będzie wielki krok.

Jeszcze z nikim tego nie robiłam. Chodzi o to, że... – Przygryzła usta.

Nie ośmieliła się powiedzieć, że nie będzie z nim sypiać, dopóki się nie dowie, czy Danny ją kocha. Byłoby to wywieranie nań presji.

Danny Lynch wziął w dłonie jej twarz.

– Kocham cię, Rio. Jesteś cudowna.

– Kochasz mnie?

– Przecież wiesz, że tak.

18

Kiedy następnym razem ją poprosi, żeby razem z nim po-szła do zbudowanego bez określonego planu domu przy Tara Road, zrobi to. Danny jednak, z jakiejś zagadkowej przyczyny, nie ponowił propozycji podczas kolejnych dni i wieczorów.

Opowiadał jej o sobie, o szkolnych czasach, kiedy był dręczony przez rówieśników z powodu swego niskiego wzrostu, i o tym, jak jego starsi bracia uczyli go walczyć. Obaj mieszkali w Londynie. Jeden był żonaty, a drugi miał dziewczynę. Nieczę-

sto przyjeżdżali w odwiedziny do domu; ostatnio zwykli spędzać

wszystkie urlopy w Hiszpanii lub Grecji.

Jego rodzice od zawsze mieszkali w tym samym miejscu.

Byli niezależnymi ludźmi i chodzili na długie spacery ze swoim rudym seterem. Ria wyczuła, że Danny nie jest w najlepszych układach z ojcem, lecz nie zapytała go o to, choć miała ochotę to zrobić. Mężczyźni nie znosili poruszania w rozmowach osobistych tematów – obie z Rosemary wiedziały o tym z lektury kobiecych czasopism, a także dzięki własnym spostrzeżeniom. Faceci nie lubią, gdy ich wypytywać o uczucia. Toteż Ria nie próbowała zgłębiać szczegółów z dzieciń-

stwa Danny’ego. Nie zapytała go, dlaczego niewiele mówi o swoich rodzicach ani czemu tak rzadko ich odwiedza.

Danny też nie dopytywał się o jej rodzinę. Starła się nie paplać o swoim ojcu, który zmarł, gdy miała osiem lat, ani o matce, nadal wspominającej go z rozgoryczeniem i rozczarowaniem. Przemilczała również własną opinię na temat wesela Hilary i Martina, które, w jej odczuciu, było uroczystością wyjątkowo nieciekawą.

Podczas owych niezwykle ekscytujących dni nie brakowa-

ło im tematów do rozmów. Danny pytał ją, jaką lubi muzykę, co czyta, gdzie spędza urlopy, jakie filmy ogląda i jakie domy podobają się jej najbardziej. Przyniósł książkę o architekturze i 19

zwrócił uwagę Rii na szczegóły, jakich przedtem nigdy nie zauważała. Wyznał, że pragnąłby stać się kiedyś właścicielem domostwa pod numerem szesnastym przy Tara Road. Przeprowadziłby remont budynku i zadbałby o poprawę wyglądu posesji. Włożyłby w renowację mnóstwo serca i był pewien, że stary dom odwzajemniłby jego miłość.

Jak cudownie, że Ria miała Rosemary, z którą mogła porozmawiać. Początkowo trzymała się od niej na dystans. Bała się, że za sprawą kolejnego uśmiechu koleżanki Danny rzuci ją dla tamtej. Jednak z upływem czasu nabrała większej pewności siebie. W końcu opowiedziała Rosemary o wszystkim: dokąd chodzą, o zainteresowaniach Danny’ego oraz o jego dziwnej, samotnej rodzinie na wsi.

Koleżanka wysłuchiwała jej zwierzeń z uwagą.

– Widzę, że okropnie cię trafiło – skomentowała w końcu sprawę.

– Uważasz, że to tylko przejściowe otumanienie, chwilowy zawrót głowy? Powiedz, przecież znasz się dobrze na tego typu

– sprawach. – Ria tak bardzo pragnęła poznać opinię przyjaciółki, że niemal odczuwała ból w napiętych mięśniach twarzy.

– Wygląda na to, że on jest równie mocno porażony jak ty

– zawyrokowała Rosemary. – A co ty o tym sądzisz?

– Tak. Twierdzi, że mnie kocha – przyznała Ria. Nie chciała, aby przyjaciółka odniosła wrażenie, że jest zbyt pewna siebie.

– To oczywiste, że cię kocha. Już pierwszego dnia nikt nie miał co do tego wątpliwości – odpowiedziała Rosemary, nawi-jając na palec kosmyk swoich długich blond włosów. – To najbardziej romantyczna historia, o jakiej kiedykolwiek słyszałam. Nie wyobrażasz sobie, jak wszyscy wam zazdrościmy!

Wielka miłość od pierwszego wejrzenia, i to na oczach całego biura. Nikt nie wie tylko, czy z nim sypiasz.

20

– Nie – oświadczyła zdecydowanym tonem Ria. A po chwili dodała znacznie ciszej: – Na razie nie.

Matka Rii była ciekawa, czy kiedyś pozna Danny'ego.

– Już wkrótce, mamó. Nie ponaglaj mnie, proszę.

– Wcale cię nie ponaglam, Rio. Uważam tylko, że skoro od wielu tygodni spotykasz się z tym młodym człowiekiem co wieczór, dobre wychowanie nakazuje, żebyś od czasu do czasu zaprosiła go do domu.

– Zrobię to, mamó. Obiecuję.

– Hilary przyprowadziła Martina i przedstawiła go nam, pamiętasz?

– Tak, mamó.

– A więc?

– Ja też przyprowadzę Danny'ego.

– Wybierasz się na święta Bożego Narodzenia do domu? –

spytała go Ria.

– Tutaj jest mój dom. – Zrobił zamaszysty gest ręką, obejmując cały Dublin.

– Miałam na myśli dom twoich rodziców.

– Jeszcze nie wiem.

– Nie spodziewają się ciebie?

– Mnie pozostawiają decyzję w tej sprawie.

Miała ochotę zapytać go o braci w Londynie, a także o to, jaką są rodziną, skoro nie zasiadają razem do wigilijnego stołu.

Wiedziała jednak, że nie może sobie pozwolić na zbytnią do-ciekliwość.

– Rozumiem – powiedziała bez przekonania. Danny wziął

jej obie ręce w swoje dłonie.

– Posłuchaj mnie, Rio. Sytuacja będzie wyglądać inaczej, kiedy ty i ja zamieszkamy razem. Stworzymy prawdziwy dom, do którego każde z nas będzie wracać. W ten sposób widzę 21 naszą przyszłość, a ty?

– Ależ tak, Danny – odrzekła z płonąca twarzą. Zrozumi-

ła, że był zdolny do miłości jak ona i poczuła się najszczęśliwszą kobietą na świecie.

– Zaproś go na Wigilię, będziemy miały okazję mu się przyjrzeć – błagała matka.

– Nie, mamó. Dziękuję, ale nie.

– Jedzie na wieś do swojej rodziny?

– Nie wiem, mamó. Nie ma jeszcze sprecyzowanych planów.

– Z tego, co mówisz, wynika, że to mężczyzna niezbyt godny zaufania – prychnęła Nora Johnson.

– Mylisz się, mamó. Nie jest taki, jak sądzisz.

– No cóż, w każdym razie wydaje się bardzo tajemniczy...

Nie znalazł dotychczas ani jednej wolnej chwili, żeby poznać rodzinę swojej dziewczyny.

– Jeszcze was pozna, mamó, w stosownym czasie.

Na przyjęciu wydawanym w gronie kolegów z biura zawsze trafi się ktoś, kto się źle zachowa.

W tym roku była to Orla King, dziewczyna, która wypłała pół butelki wódki, jeszcze zanim impreza się zaczęła. Próbo-wała śpiewać: „W dżungli, w ogromnej dżungli dzisiejszego wieczora śpi lew”.

– Wyprowadźmy ją stąd, bo jeszcze szefowie to zobaczą –

syknął Danny.

Łatwiej było powiedzieć niż wcielić to w życie. Ria usiło-wała nakłonić Orłę, aby razem z nią wyszła do damskiej toalety.

– Odczep się! – padła niezbyt grzeczna odpowiedź. Danny był na miejscu.

– Słuchaj, skarbie, jeszcze nigdy razem nie tańczyliśmy.

22

Orla spojrzała na niego z zaciekawieniem.

– To prawda – przyznała.

– Może wyjdziemy i zatańczymy na zewnątrz, tam jest więcej miejsca?

– Zgoda. – Dziewczyna była mile zaskoczona.

Danny potrzebował zaledwie kilku sekund, ażeby wyprowadzić ją na ulicę. Ria przyniosła płaszcz koleżanki. Pod wpływem mroźnego, świeżego powietrza Orla poczuła mdło-

ści. Zaprowadzili ją do cichego zaułka.

– Chcę wrócić do domu – powiedziała płaczliwym głosem.

– Chodź, odprowadzimy cię – zaproponował Danny.

Podtrzymywali ją z obu stron. Od czasu do czasu Orla usi-

łowała zaśpiewać refren piosenki o lwie, ale zdecydowanie jej to nie wychodziło.

Kiedy doprowadzili Orłę pod drzwi jej mieszkania, spojrzała na nich zdziwiona.

– Jak się dostaniecie do domu? – spytała z zaciekawieniem.

– Wszystko w porządku, kochanie – odrzekł uspokajają-

cym tonem Danny.

– Nie wejdiesz ze mną? – Orla zignorowała Rię.

– Nie, skarbie, do zobaczenia jutro. – Danny pożegnał się i wraz z Rią odeszli.

– Uratowałeś skórę Orli, w porę ją wyprowadzając – zauważyła, gdy wracali na przyjęcie. – Straszna z niej idiotka.

Mam nadzieję, że doceni, jak wiele ci zawdzięcza.

– Problem z nią polega tylko na tym, że jest młoda i samotna – zauważył.

Poczuła kłującą zazdrość; tak ostrą, że sprawiła jej prawdziwy ból. Orla miała osiemnaście lat i była ładna; nawet pijana i z rozmazanym przez łzy makijażem wyglądała dobrze. A jeśli spodobała się Danny’emu? Nie, Ria postanowiła nie do-23

puszczać do siebie tego rodzaju myśli.

Ich nieobecność na przyjęciu nie pozostała niezauważona.

– Mądrze postąpiłeś, Danny – przyznała z aprobatą Rosemary. – Tym roztropniej, że ominęły cię przemówienia.

– Czy była mowa o czymś, o czym powinniśmy wiedzieć?

– Och, ten rok przyniósł zyski i będą premie. Same tego rodzaju rzeczy.

Rosemary wyglądała zachwycająco ze swymi blond włosami spiętymi ozdobnym grzebieniem, w białej satynowej bluzce i obcisłej czarnej spódnicy, która podkreślała jej długie, szczupłe nogi. Po raz drugi tego wieczora Rię ogarnęła zazdrość. Sama była raczej krępa i miała kędziory. Czy mogła zatrzymać przy sobie tak wspaniałego mężczyznę jak Danny Lynch? Była głupia, że nawet próbowała. On jednak szepnął

jej do ucha:

– Trochę się pokręcimy, porozmawiamy ze świtą, a potem zabieramy się stąd.

Obserwowała Danny’ego, podziwiając łatwość, z jaką wymieniał żartobliwe uwagi z kierownikami firmy. Ukłonił się z szacunkiem naczelnemu dyrektorowi i uprzejmie przysłuchiwał się wypowiedziom żon szefów. Był w agencji zaledwie od kilku tygodni, a już zwierzchnicy polubili go i uważali za dobrego pracownika.

– Wybieram się jutro do domu autobusem kursującym w Wigilię.

– Na pewno miło upłynie ci podróż w towarzystwie ludzi wracających na święta do domu.

– Będę za tobą tęsknił – wyznał.

– A ja za tobą.

– Wrócę niebawem autostopem... Nie mogę liczyć na rej-sowy autobus.

– Wspaniale.

24

– Czy mógłbym przyjść do ciebie i poznać twoją matkę?

Sam ją o to poprosił! Nie nakłaniała go do tego ani nie zmuszała.

– Znakomicie. Przyjdź do nas we wtorek na lunch. – Jedyne, co musiała teraz zrobić, to starać się nie wstydzić swojej matki, siostry oraz okropnego szwagra.

Na wtorek nie zaplanowano wprawdzie inspekcji wojsko-wej, tylko lunch (miała być zupa i kanapki), Ria jednak wyprzątnęła każde miejsce od piwnicy po dach i usiłowała spojrzeć na swój dom oczami gościa. Narożny budynek przy długiej ulicy rozległego osiedla nie był miejscem, gdzie Danny chciałby zamieszkać. „Przyjdzie po to, ażeby zobaczyć się ze mną, a nie oglądać mój dom”, powtarzała sobie w myślach.

Nora Johnson wyraziła nadzieję, że nie zostanie u nich dłużej niż do trzeciej, ponieważ o tej porze w telewizji nadawano doskonały film. Ria, zgrzytając zębami, uspokoiła matkę, że z pewnością tak długo nie zabawi.

Hilary powiedziała, że Danny zapewne jest przyzwyczajony do bardziej wykwintnych potraw, musi jednak zadowolić się tym, co wszyscy. Ria z ogromnym wysiłkiem zapewniła siostrę, że gość będzie zachwycony, mogąc zjeść to samo, co oni. Martin nie oderwał wzroku od gazety, którą czytał.

Ria była ciekawa, co Danny przyniesie: butelkę wina, bombonierkę czy też kwiaty? A może przyjdzie z pustymi ręk-

koma? Trzy razy się przebierała. Jedna sukienka była zbyt wi-zytowa, druga wydawała się dziś bez gustu. W momencie kiedy mocowała się z trzecią, usłyszała dzwonek do drzwi.

Przyszedł.

– Dzień dobry, Noro. Jestem Danny – dobiegły ją jego słowa.

O Boże, zwrócił się do matki po imieniu! Martin zawsze 25

nazywał ją panią J. Ria była pewna, że mamie to się nie spodoba.

A jednak usłyszała w jej głosie tę samą serdeczność, jaką wszyscy zawsze okazywali Danny’emu.

– Zapraszamy do środka – powiedziała tonem, który jak daleko Ria sięgała pamięcią, nie był w ich domu używany.

Czary podziały również na Hilary i na Martina. Danny z ogromnym zaciekawieniem wysłuchał ich relacji z wesela i z zainteresowaniem wypytywał o szkołę, w której oboje pracowali. Zachowywał się przy tym swobodnie i wydawał się od-prężony. Ria obserwowała to wszystko z największym zdumieniem.

Nie przyniósł wina, czekoladek ani kwiatów. Zamiast tego podarował im grę „Pościg”. Serce jej zamarło na widok prezentu. Rodzina nie oddawała się tego rodzaju rozrywkom. Ria nie wzięła jednak pod uwagę obecności wśród nich Danny’ego.

Wszyscy pochylili głowy nad pytaniami: Nora bezbłędnie odpowiedziała na te, które dotyczyły gwiazd filmowych, a Martin błysnął wiedzą ogólną.

– Nie mam szans, by dorównać nauczycielowi – jęknął

zrozpaczony Danny.

Poderwał się do wyjścia na długo przedtem, zanim ktokolwiek tego oczekiwał.

– Ria obiecała, że przyjdzie obejrzeć dom, w którym mieszkam – usprawiedliwił się przed nimi. – Chciałbym, że-byśmy dotarli tam jeszcze za dnia.

– Jest cudowny – szepnęła Hilary.

– I bardzo dobrze wychowany – dodała cicho matka. A potem byli już wolni.

– Uroczy lunch – oświadczył, gdy czekali na autobus, który miał ich zawieźć na Tara Road.

To wszystko, co miał do powiedzenia. Ria wiedziała, że 26

nie będzie żadnych analiz ani charakterystyk. Danny był typem człowieka otwartego i prostolinijnego.

Przybyli na miejsce. Stanęli obok siebie w zarośniętym ogrodzie przed frontowym wejściem i przyglądali się budynkowi.

– Spójrz na architekturę domu i zwróć uwagę na jego doskonałe proporcje. Został zbudowany w 1870 roku na zamó-

wienie pewnego szlachcica.

Schody prowadzące do głównego holu zrobione były z olbrzymich bloków granitu.

– Czy widzisz, jakie są równe i idealnie dopasowane?

Drewniane obramowania we wszystkich wykuszach były oryginalne.

– Okienne liczą sobie ponad sto lat, a ołowiana szyba nad drzwiami nie ma żadnych pęknięć. Ten dom to prawdziwy klejnot – oświadczył Danny.

Mieszkał, a dokładnie mówiąc, biwakował w jednym z pokoi.

– Zapamiętajmy dzisiejszy dzień, kiedy po raz pierwszy przekroczyliśmy razem te progi – powiedział do Rii z błyszczącym wzrokiem.

Był pod wieloma względami równie romantyczny i sentymentalny jak ona. Pocałował ją, przekręcając klucz w zamku odrapanych frontowych drzwi.

– Ten dom kiedyś będzie do nas należał, wiesz o tym, Rio?

Powiedz, że kochasz go tak samo jak ja.

Mówił to, co teraz myślał. Chciał się z nią ożenić. Danny Lynch, mężczyzna, który mógł mieć każdą kobietę, naprawdę zamierzał stać się kiedyś właścicielem tej ogromnej nieruchomości.

Dwudziestotrzyletni chłopak bez żadnych zasobów finansowych. Tylko bogaci ludzie mogli sobie pozwolić na kupno olbrzymich domostw, nawet jeśli były w opłakanym 27

stanie.

Ria nie chciała studzić jego marzeń zimnym prysznicem, a już z pewnością nie zamierzała upodabniać się do swojej siostry Hilary, którą od pewnego czasu prześladowała obsesja oszczędzania, toteż oceniała wszystko pod kątem kosztów.

Uważała jednak plany Danny'ego za czystą fantazję.

– W jaki sposób zdołamy nabyć tak okazały dom? To niemożliwe – zawyrokowała.

– Kiedy wejdiesz do środka i zobaczysz jego wnętrze, zrozumiesz, że jest to miejsce, w którym kiedyś razem zamieszkamy. Znajdziemy jakiś sposób na zdobycie pieniędzy –

zapewnił, wprowadzając ją do holu z wysokim sufitem.

Chcąc odwrócić uwagę Rii od rowerów tarasujących przejście, wskazał jej oryginalne stiuki oraz łagodny łuk schodów, ani słowem nie wspominając o zbutwiałych deskach podłogi. Minęli duży pokój z rozsuwanymi drzwiami. Nie weszli do środka. Sean O'Brien, ekscentryczny właściciel, przeznaczył go na skład, w którym przechowywał skrzynie gigantycznych rozmiarów.

Zeszli po schodach na dół do olbrzymiej kuchni ze starym, czarnym od sadzy, kuchennym piecem. Boczne drzwi prowadziły do ogrodu oraz do licznych schowków, spiżarni i pomysłowni. Ria nie mogła się nadziwić ogromnej liczbie pomieszczeń. A ten chłopak o roześmianych oczach naprawdę sądził, że oni oboje zdołają znaleźć pieniądze i okażą się na tyle zręczni, aby przywrócić dawną świetność tak okazałej, wielkiej rezydencji.

Gdyby dom figurował w rejestrach ich agencji, opatrzone by go, jak zwykle w wypadku tego typu

nieruchomości, zastrzeżeniem: „Wymaga kapitalnego remontu lub nadaje się do strukturalnej przebudowy według nowego projektu”. Jedynie właściciel firmy budowlanej albo ktoś rzeczywiście z dużym 28

kapitałem mógł sobie pozwolić na kupno tak okazałej posiadłości.

Posadzka w kuchni była nierówna. Na wielkim, zasmolonym piecu stała tania, mała kuchenka elektryczna.

– Zaparzę kawę – zaproponował Danny. – Przez wiele lat będziemy pamiętać o dniu, gdy po raz pierwszy piliśmy razem kawę w domu przy Tara Road...

Nagle, jak gdyby na dany sygnał, kuchnia się rozjaśniła, oświetlona promieniami bladego, zimowego słońca. Odebrali to niemal jako potwierdzenie owej przepowiedni.

– Na pewno zapamiętam naszą pierwszą wspólną kawę w domu przy Tara Road – oświadczyła Ria.

– Będziemy mogli opowiadać ludziom, że 28 grudnia 1982

roku panowała słoneczna pogoda i dzień był cudowny.

Okazało się, że była to również data, kiedy Ria Johnson po raz pierwszy z kimś się kochała. Kiedy leżała obok Danny’ego na jego wąskim łóżku, żałowała, że nie może spojrzeć w przyszłość. Choćby na moment. Rzucić okiem, aby się przekonać, czy rzeczywiście kiedyś oboje tutaj zamieszkają, czy będą mieli dzieci i czy to miejsce stanie się domem ich marzeń.

Była ciekawa, czy znajoma Hilary, pani Connor, wróżka mieszkająca w wagonie przy bocznicy kolejowej, udzieliłaby odpowiedzi na owo pytanie. Uśmiechnęła się na myśl o wybraniu się do niej po przepowiednię. Danny poruszył głową, którą opierał podczas snu na ramieniu Rii i zobaczył jej uśmiechniętą twarz.

– Jesteś szczęśliwa? – zapytał.

– Jak nigdy dotychczas.

– Kocham cię, Rio, i nigdy cię nie zawiodę – przyrzekł.

Była najszczęśliwszą kobietą w całym kraju. Nie. Po chwili namysłu doszła do wniosku, że na całym świecie. Czyż gdzie-29

kolwiek mógł istnieć ktoś od niej szczęśliwszy?

Następne tygodnie mijały niepostrzeżenie, jeden po drugim. Ria i Danny wyczuwali, że Sean O’Brien miałby ochotę pozbyć się domu.

Wiedzieli również, że najchętniej dobiłby targu z nimi – z dwojgiem młodych ludzi, którzy nie roztrząsaliby problemu wilgoci, dziurawego dachu ani nie wyrażali dezaprobaty z powodu ogólnego

złego stanu budynku. Wciąż pozostawał jednak problem zgromadzenia sumy odpowiadającej wartości domu.

Skąd mieli wziąć te pieniądze?

Kartki papierów zaczęły się piętrzyć, tworząc stosy, gdy dodawali liczby. Suma za wynajem pokoi na piętrze czworgu lokatorów wystarczyłaby na spłacenie hipoteki. Oczywiście musieliby załatwić tę sprawę bardzo dyskretnie. Nie było potrzeby kłopotania detalami fachowców od planowania przestrzennego ani też pracowników urzędu podatkowego. Dopiero wtedy mogliby przedstawić bankowi swoją propozycję. Ria miała tysiąc funtów własnych oszczędności, Danny dwa i pół

tysiąca. Zнали przypadki zakupu nieruchomości przez osoby dysponujące mniejszymi zasobami finansowymi. Problem sprowadzał się do umiejętnego skoordynowania działań w czasie oraz odpowiedniego naświetlenia sprawy. A oni mogli tego dokonać.

Odżalowali pieniądze na zakup butelki whisky i zaprosili właściciela na rozmowę o przyszłości. Sean O'Brien okazał się człowiekiem ugodowym. Kilka razy opowiedział im historię, którą już dobrze znali: odziedziczył dom po wuju, który zmarł

przed kilkoma laty. Sean O'Brien nie zamierzał tu mieszkać, gdyż posiadał małą chatę nad jeziorem Wicklow, gdzie łowił

ryby i popijał alkohol z przyjaciółmi. I tam pragnął pozostać.

Dom przy Tara Road trzymał na wypadek, gdyby rynek nieru-30

chomości wszedł w okres prosperity. I rzeczywiście taki moment nastąpił. Dom miał teraz znacznie większą wartość niż przed dziesięcioma laty. Czyż O'Brien nie okazał się przewidujący? Wielu ludzi uważało go za głupca, ale nie miało racji.

Danny i Ria przytakiwali, wychwalając roztropność właściciela i pilnowali, aby jego szklanka ani przez moment nie pozostawała pusta.

Sean O'Brien tłumaczył, że nigdy nie próbował przywrócić budynkowi jego pierwotnego wyglądu, a jedynie takie rozwią-

zanie stwarzało możliwość zyskownego wynajmu nieruchomości. Wymagałoby jednak zbyt wiele wysiłku. Poza tym nie miał doświadczenia z remontami. Był szczerze rad, że mógł

wynająć go młodym ludziom, takim jak Danny i jego koledzy.

Przyznał rację im obojgu, że jeśli dom będzie ulegał dalszemu niszczeniu, wyjście to nie okaże się na dłuższą metę zbyt korzystne.

Nieruchomość w sąsiedztwie została wyceniona na siedemdziesiąt tysięcy funtów, Sean zasięgnął informacji w tej sprawie. Był gotów zadowolić się sześćdziesięcioma tysiącami w wypadku szybkiej transakcji. Obiecał także opróżnić dom ze wszystkich starych mebli oraz usunąć skrzynie i pudła, w

któ-

rych jego przyjaciele przechowywali swoje rzeczy. Danny mógł go brać natychmiast. Musiał tylko wyłożyć na stół

sześćdziesiąt tysięcy funtów.

Był to korzystny interes dla kogoś, kto dysponował pieniędzmi niezbędnymi do wyremontowania budynku. W sytuacji Danny'ego i Rii transakcja wydawała się jednak nierealna.

Już na początek potrzebowali kwoty stanowiącej piętnaście procent ceny na wpłacenie depozytu bankowego. A dziewięć tysięcy funtów stanowiło dla nich równie zawrotną sumę jak dziewięć milionów!

Ria gotowa byłaby wyrzec się tego marzenia, ale nie Dan-31

ny. Nie denerwował się ani nie narzekał, lecz nie zamierzał

zaniechać pomysłu. Dom jest zbyt atrakcyjny i piękny, aby go wypuścić z rąk i patrzeć, jak całą nieruchomość przejmie na własność jakiś właściciel firmy budowlanej. A teraz, gdy Sean O'Brien raz już wziął pod uwagę ewentualność sprzedaży, może mu zależeć na szybkim pozbyciu się kłopotliwej schedy.

Trudno im było skupić myśli na transakcjach zawieranych za pośrednictwem agencji. Tym trudniej, że każdego dnia mieli do czynienia z ludźmi, którzy byliby w stanie, i to bez najmniejszego wysiłku, kupić dom przy Tara Road.

Na przykład Barney McCarthy: potężnie zbudowany i ru-baszny biznesmen, który dorobił się majątku w Anglii, gdzie pracował jako przedsiębiorca budowlany, a teraz kupował i sprzedawał domy, gdy miał na to ochotę. Obecnie próbował

pozbyć się dużego dworu, którego zakup okazał się pomyłką.

Jedną z niewielu, jakie popełnił.

Powiedział im szczerze, dlaczego uważa tę transakcję za chybioną. Przez krótki czas widział siebie w roli właściciela ziemskiego, mieszkającego w dużym georgiańskim domu z aleją dojazdową wysadzaną drzewami. Dwór rzeczywiście okazał się bardzo wytworny, jednak leżał zbyt daleko od Dublina, w zapomnianym przez Boga miejscu. Decyzja o zakupie owej posiadłości była nieprzemyślana i teraz Barney zgodziłby się nawet trochę stracić na transakcji – oczywiście nie za dużo

– gdyż bardzo mu zależało na pozbyciu się tego niefortunnego nabytku.

Kupił wielką, wygodną, rodzinną rezydencję w kształcie czworoboku, którą od razu powinien był się zainteresować.

Jego żona już tam zamieszkała. Ostatnio inwestował w puby i pola golfowe, jednak sprzedaż dworu, jawiącego mu się jako pomnik własnej głupoty, miała dlań nadrzędne znaczenie, gdyż ogromnie dbał o opinię w otoczeniu.

32

Rozmawiając z kimś, Barney lubił rzucać nazwiskami sławnych ludzi, których miał okazję poznać osobiście. Pracownicy agencji odnosili się do niego z wielkim respektem.

Sprzedaż dworu za cenę, jaką spodziewał się uzyskać, nastę-

czała im jednak nie lada kłopot. Przeplacił swój nabytek i nie było chętnych. Istniały nikłe szanse na zyskowną transakcję, a Barney należał do tego typu ludzi, którzy cierpieli i czuli się upokorzeni na samą myśl o poniesieniu większej straty w interesach. Starsi wspólnicy w agencji handlu nieruchomościami, potrafiący się gładko wysławiać, perswadowali niefortunnemu klientowi, że koszty utrzymania tak ogromnego domu są hor-rendalne i potencjalnych nabywców w całej Irlandii można policzyć na palcach jednej ręki. Rozglądali się też za nabywcami poza granicami kraju, ale jak dotychczas bez powodzenia.

W biurze odbyła się narada poświęcona tej sprawie. Danny i Ria siedzieli wraz z innymi pracownikami i słuchali niepokojących wieści o tym, że właściciel dworu może przekazać zlecenie sprzedaży innej agencji. Ria błędziła myślami daleko od problemów Barneya, pochłonięta własnymi, Danny natomiast rozważał coś intensywnie. Otworzył już usta, aby zabrać głos, ale w ostatniej chwili zmienił zamiar.

– O co chodzi, Danny?

Lynch cieszył się popularnością wśród kolegów i odnosił

zawodowe sukcesy. Chcieli usłyszeć, co ma do powiedzenia.

– Nie, nic ważnego. Staram się wszechstronnie przeanalizować tę sprawę – odrzekł lekkim tonem.

Bezowocna rozmowa toczyła się w tym samym gronie przez następne pół godziny.

Ria wiedziała, że Danny coś wymyślił, odgadła to z jego rzucających błyski oczu. Po zebraniu szepnął jej, że musi wyjść z biura, i poprosił, by go kryła.

– Jeśli masz zwyczaj się modlić, zrób to teraz.

33

– Powiedz mi, proszę, o co chodzi.

– Później, teraz nie mam czasu. Wytlumacz im, że miałem telefon... od zakonnic z tej samej ulicy. Wymyśl cokolwiek!

- Nie wytrzymam przez dłuższy czas w nieświadomości.
- Wpadłem na pomysł, w jaki sposób Barney może sprzedać swój dom.
- Dlaczego im tego nie powiesz?
- Powiem, ale tylko jemu. Tą drogą zdobędziemy nasze pieniądze. Gdybym powiedział naszym szefom, podziękowa-liby i z uznaniem poklepaliby mnie po plecach.
- O Boże, Danny, bądź ostrożny. Mogą cię wylać z pracy.
- Jeśli mój plan się powiedzie, to nie będzie miało znaczenia – oświadczył i wyszedł z biura.

W drzwiach do pokoju Rii stanęła Rosemary:

- Chodź ze mną na chwilę do damskiej toalety. Chcę ci coś powiedzieć.
- Czekam na telefon. – Ria nie mogła opuścić swojego stanowiska, w razie gdyby Danny zadzwonił i potrzebował jakiejś pomocy.
- Orla cię zastąpi. Chodź, to ważne – nalegała Rosemary.
- Nie, powiedz tutaj. Nikogo nie ma w pobliżu.
- To poufna wiadomość.
- Wobec tego mów szeptem.
- Odchodzę. Mam nową pracę.

Rosemary cofnęła się, oczekując wyrazu zdumienia lub szoku na twarzy koleżanki. Nie dostrzegła jednak żadnej reakcji. Być może nie wyraziła się dość jasno.

Jeszcze raz powtórzyła dokładnie swą rewelację. Decyzja zapadła. Perspektywa nowej posady była bardzo ekscytująca.

Dzisiaj wieczorem Rosemary zamierzała powiadomić o tym wszystkich w agencji. Zaproponowano jej lepszą pracę w fir-34

nie poligraficznej, która mieściła się niedaleko stąd. Będą mogły nadal spotykać się na lunchach. Ria słuchała koleżanki jednym uchem, umierając z niepokoju.

Rosemary poczuła się urażona – nie bez powodu.

- No cóż, skoro nie interesuje cię to, co mam ci do zakomunikowania...

– Wybacz, Rosemary. Naprawdę jest mi bardzo przykro, ale akurat mam głowę zaprzątniętą innymi sprawami.

– O Boże, Rio, straszliwa z ciebie nudziara. Potrafisz my-

śleć tylko o jednym: o Dannym. Zachowujesz się, jak gdybyś była jego matką. Czy zdajesz sobie sprawę z tego, że ostatnio nikt inny cię nie obchodzi?

Ta uwaga dotarła wreszcie do Rii.

– Nie wiem, jak mam cię przeproszać. Opowiedz mi jeszcze raz o wszystkim.

– Nic już nie powiem. Jest ci zupełnie obojętne, czy odejdę, czy też zostanę. Widzę, że nadal mnie nie słuchasz. Nie odrywasz oczu od drzwi, aby nie przeoczyć momentu jego powrotu. A gdzie on właściwie się podziewa?

– Poszedł do zakonnic, telefonowały po niego.

– Nieprawda. Rozmawiałam z nimi przed godziną. Nie mogą na własną rękę podjąć decyzji, muszą poczekać na zgodę swojej matki przełożonej z Rzymu.

– Potem ci wszystko wyjaśnię. A teraz opowiedz mi o swojej nowej posiadzie, proszę, Rosemary.

– Czy mogłabyś mówić ciszej, Rio? – syknęła przyjaciół-

ka. – Jeszcze nikogo nie zawiadomiłam o moim odejściu, a ty na głos paplasz o mojej nowej pracy. Myślę, że jesteś całkiem wytrącona z równowagi.

Ria zobaczyła w drzwiach Danny’ego. Jak zawsze wszedł

do biura szybkim i lekkim krokiem i poznała po jego twarzy, że wszystko w porządku. Wsunął się za biurko i dając dziewcz-35

czynnie znak, uniósł kciuk do góry. Natychmiast wybrała numer jego telefonu.

– Nie mów, że byłeś u sióstr. Wygląda na to, że na razie sprzedaż nie dojdzie do skutku – szepnęła w słuchawkę.

– Dzięki, jesteś świetna.

– Co się dzieje, Danny?

– Musimy przez tydzień uzbroić się w cierpliwość. A potem wszystkie systemy zaczną działać.

Ria się rozłączyła. Wskazówki zegara przesuwwały się po-wolutku i miała wrażenie, że ten dzień nigdy się nie skończy.

W pokoju zjawiała się Rosemary, zawiadomiła wszystkich o swojej rezygnacji z pracy i odeszła. Rii wydawało się, że wydarzenia następują jakby w zwolnionym tempie. Po drugiej stronie pokoju Danny zachowywał się całkiem normalnie; rozmawiał, gawędził, śmiał się i pracował przy telefonie. Jedyne Ria, która знаła każde uderzenie jego serca, dostrzegła, że z trudem hamował podniecenie.

Wybrali się razem do pubu po drugiej stronie ulicy i Danny, nie pytając Rii, na co ma ochotę, zamówił dla nich obojga po dużej brandy.

– Poradziłem Barneyowi McCarthy’emu, żeby zainwestował w dźwiękoszczelne studio nagrań, z aparaturą na ścianach, która będzie go kosztować kolejne dwadzieścia tysięcy.

– Po co mu to wszystko, na Boga?

– Żeby sprzedać dom gwiazdom muzyki pop. Zależy im na takim miejscu, które byłoby dodatkowo wyposażone w łądo-wisko dla helikopterów.

– Czy spodobał mu się ten pomysł? – Rii zrobiło się słabo.

– Zapytał, dlaczego ci pyszałkowaci agenci, dla których pracuję, wcześniej na to nie wpadli?

– I co mu odpowiedziałeś?

– Że są zbyt konserwatywni i prawdopodobnie uznaliby 36

taką sugestię za wytwór młodszej fantazji. A teraz słuchaj uważnie, Rio. Spojrzałem mu prosto w oczy i powiedziałem:

„Jeszcze jedno, panie McCarthy. Pomyślałem, że jeśli podsunę panu ten pomysł, zleci mi pan sprzedaż domu”. – Danny sącył

brandy. – Spytał, czy zamierzam odebrać to zlecenie moim pracodawcom. Odpowiedziałem twierdząco, a on oświadczył, że daje mi tydzień na załatwienie sprawy.

– Och, Boże, Danny!

– Czyż to nie cudowne? Nie możemy pracować nad tym w agencji, dlatego jutro zachoruję na grypę. Przedtem jednak zabiorę stąd wszystkie adresy, jakich będę potrzebował. Za-cząłem już sporządzać listę. A potem będę tkwił przy telefonie w domu. Być może zwrócę się do ciebie z prośbą o przesłanie kilku faksów z biura.

– Zabiją nas.

– Nie bądź śmieszna, nic nam nie grozi. Na tym polega prawdziwy biznes.

– Ile zarobisz?

– Jeśli w ciągu tygodnia sprzedam ten cholerny dwór Barneya, starczy nam na depozyt za dom przy

Tara Road i jeszcze zostanie trochę gotówki. Będziemy mogli pójść do banku, skarbie. Będziemy mogli pójść do banku!

– Ale wyrzucą cię z agencji i zostaniesz bez pracy.

– Jeśli będę reprezentował interesy Barneya McCarthy’ego, przyjmie mnie każda agencja handlu nieruchomości w Irlandii. Tydzień życia w napięciu oraz konieczność wykazania się stalowymi nerwami i dopniemy celu, zobaczysz.

– Stalowe nerwy, oto czego nam potrzeba – przyznała Ria.

– Zapamiętaj tę datę, kochanie: 5 marca 1983 roku. Dzień, w którym los się do nas uśmiechnął!

– Czy Danny wróci na mój wieczór pożegnalny? – zapytała Rosemary.

37

– Tak, sądzę, że do tego czasu zdoła wyleczyć się z grypy

– odpowiedziała głośno Ria.

– Przepraszam, wymknęło mi się. A jak on się miewa?

– Dziękuję, dobrze. Telefonuje do mnie wieczorami. – Ria nie przyznała się, jak często telefonuje również w ciągu dnia z prośbą o informacje.

– Czy znalazł już to, czego szukał? – chciała wiedzieć przyjaciółka.

Ria namyślała się przez chwilę.

– Przez telefon sprawiał wrażenie wesołego. Prawdopodobnie jest na dobrej drodze – odrzekła krótko.

Danny dzwonił godzinę wcześniej. Powiedział, że ekipa Barneya przygotowała już dźwiękoszczelne pomieszczenie w piwniczce, która wcześniej miała służyć do przechowywania wina. Dzisiaj zostanie zainstalowana tam aparatura, a jutro przyleci menedżer legendarnej grupy rockowej, aby obejrzeć posiadłość. Danny pojedzie na miejsce razem z nim. Perspektywy są bardzo obiecujące.

I były. Barney McCarthy otrzymał żadaną cenę, Danny Lynch wziął swoją prowizję, a Sean O’Brien zainkasował

sześćdziesiąt tysięcy funtów. Lynch przyznał się pracodawcom do tego, co zrobił, i oświadczył, że odejdzie natychmiast, gdy tylko sobie tego zażyczą. Zaproponowali mu wszakże pozostanie w agencji i prowadzenie dla nich interesów Barneya. Danny uznał jednak, że sytuacja byłaby niezręczna – zawsze mieliby się przed nim na baczności, a on czułby się skrępowany.

Rozstali się w dobrych stosunkach; Danny'emu zawsze udawało się pozostać ze wszystkimi w przyjaźni.

Zachowywali się niczym podekscytowane dzieci, chodząc po domu i snując wielkie plany.

– Ten frontowy pokój będzie naprawdę wyjątkowy –

38

oświadczył Danny.

Teraz, kiedy skrzynie i pudła, zawierające tajemnicze skarby biednego Seana O'Briena oraz jego przyjaciół, zostały usunięte, każdy widział, jak doskonałe są proporcje pomieszczenia: wysokie sklepienie, okna na całą długość ściany oraz duży kominek.

I nie miał znaczenia fakt, że ze środka sufitu zwisa goła żarówka na końcu starego, giętkiego przewodu elektrycznego ani że niektóre szybki w oknach dawno zostały wybite i zastą-

piono je tanimi, nieregularnymi kawałkami szkła.

Także obramowaniu kominka, brudnemu i z łuszczącą się farbą, można było przywrócić wygląd z czasów, kiedy w domu rezydował arystokrata.

– Tutaj położymy cudownie miękki, indyjski dywan –

mówił Danny. – A wiesz co postawimy obok kominka? Jedną z tych ogromnych japońskich waz. Będzie idealnie wyglądała w tym pokoju.

Oszołomiona Ria spojrzała na niego z podziwem.

– Skąd, na Boga, znasz się na tym wszystkim, Danny?

Można by pomyśleć, że skończyłeś kurs z zakresu sztuki de-koratorskiej.

– Uważnie przyglądam się wnętrzom domów, kochanie.

Przez cały dzień chodzę po różnych miejscach i patrzę, jak urządzają je ludzie, którzy mają dobry gust i wycucie stylu.

Tylko patrzę, to wszystko.

– Wiele osób patrzy, ale nic nie zauważa.

– Wyremontowanie tego domu da nam wiele radości. –

Miał błyszczące oczy.

Ria skinęła potakująco głową, nie ufając sobie na tyle, ażeby się odezwać.

Niemal ją rozsadzało podniecenie. Czasami jednak kręciło jej się w głowie i była oszołomiona ogromem przedsięwzięcia, 39

na jakie się porywali.

Wynik testu ciążowego okazał się pozytywny. Nie mogło się to stać w gorszym momencie. Podczas bezsennych nocy w domu matki, a także wtedy, gdy przebywała w ruderze, jaką obecnie był budynek przy Tara Road, Ria powtarzała w my-

ślach słowa, jakimi zawiadomi Danny'ego o swej ciąży.

Ogromny strach, że on może nie chcieć tego dziecka, powstrzymywał ją jednak od otwarcia ust. Dni upływały, a Ria czuła, że wszędzie i przed wszystkimi odgrywa jakąś rolę i że już dawno przestała być normalną i normalnie reagującą kobietą.

W końcu powiedziała mu o tym właściwie mimochodem.

Danny uznał, że hol jest znacznie większy, niż początkowo sądzili – jako że usunęli stamtąd rowery i przenieśli je do szopy. Być może powinni zorganizować w weekend malarskie przyjęcie, podczas którego każdy pomalowałby kawałek ściany. Nie był to pomysł na renowację całego budynku, ale dałby im możliwość pochwalenia się domem.

– Co o tym sądzisz, kochanie? Wiem, że zapach farby bę-

dzie trudny do zniesienia przez kilka dni, ale może warto spróbować?

– Będę miała dziecko – oświadczyła nagle.

– Słucham?

– Naprawdę. O, Jezu, Danny! Tak mi przykro, że stało się to podczas tego całego zamieszania. – I wybuchnęła płaczem.

Odstawił na spodek filiżankę z kawą, podszedł i mocno objął dziewczynę.

– Przestań, Rio. Nie płacz.

Łkała jednak i trzęsła się w jego ramionach. Głaskał ją po włosach i uspokajał, jak gdyby była dzieckiem.

– Cicho, już cicho, Rio. Jestem przy tobie. Wszystko w 40

porządku.

– Nic nie jest w porządku. Nie mogło być gorzej. I to w takim momencie! Nie mam pojęcia, jak to się stało.

– Ale ja wiem i było to bardzo miłe.

– Och, Danny, proszę, nie żartuj sobie ze mnie. To koszmar. Nigdy nie byłam tak zdenerwowana. Nie umiem ci nawet powiedzieć, co przeżywam.

– Dlaczego uważasz, że to koszmar? – spytał.

Och, żeby tylko nie powiedział, że teraz, kiedy mają pieniądze, zabieg nie stanowi problemu! I że mogą na weekend pojechać do Londynu. Żeby tylko tego nie powiedział, ponieważ Ria wiedziała, iż nie może ufać samej sobie i gotowa jest to zrobić, byleby go tylko zatrzymać przy sobie. A potem, wciąż go kochając, zacznie go nienawidzić i sytuacja stanie się absurdalna. Przewidywała taki scenariusz w najczarniejszych snach.

Uśmiechał się do niej szeroko.

– O jakim koszmarze mówisz, skarbie? Przecież chcieli-

śmy mieć dzieci. Pobierzemy się, Rio. Stanie się to nieco wcześniej, niż planowaliśmy, i to wszystko.

Patrzyła zdumiona. Nie była pewna, czy właściwie go zrozumiała, ale naprawdę sprawiał wrażenie uradowanego.

– Danny...

– I po co było wylewać tyle łez?

– Myślałam...

– Cicho, już cicho...

– Rosemary? Czy możemy pójść razem na lunch? Chcia-

łabym ci przekazać kilka wspaniałych wieści.

– Nie wiem dlaczego, ale mam dziwne przeczucie, że są związane z twoim ukochanym – zaśmiała się Rosemary.

– Zjemy razem lunch czy nie?

– Oczywiście, że tak.

41

Spotkały się we włoskiej restauracji – tej samej, do której zaprowadziły Danny’ego w listopadzie. Było to zaledwie przed kilkoma miesiącami, a tak wiele się stało od tamtej pory.

Rosemary wyglądała jeszcze lepiej niż zazwyczaj. I jak to robiła, że ani jedna kropla oliwy czy sosu

nigdy nie wylądowała na jej jasnoszarym kaszmirowym swetrze? Ria nie mogła się temu nadziwić.

– Powiedz, co to za nowiny. – Nie mogła się doczekać przyjaciółka. – Nie udawaj, że przeglądasz menu.

– Danny i ja zamierzamy się pobrać i chciałabym, żebyś była moją druhną.

Rosemary straciła wprost mowę ze zdziwienia.

– Nie uważasz, że to cudowna wiadomość? Mamy własny dom i uznaliśmy, że głupotą byłoby dalsze zwlekanie z zawarciem małżeństwa.

– Małżeństwo? Okazałaś się czarnym koniem. Znakomita robota, moja droga, naprawdę znakomita!

Ria poczuła się trochę nieswojo. Wolałaby usłyszeć, że to fantastyczna nowina. Sformułowanie „znakomita robota” sugerowało, że osiągnęła swój cel, uciekając się do podstępnych metod.

– Tak. Nie cieszysz się z naszego szczęścia?

– Oczywiście, że się cieszę. – Rosemary uściśnęła przyjaciółkę. – Czuję się trochę oszołomiona, ale bardzo się cieszę.

Masz wymarzonego mężczyznę i na dodatek piękny dom.

Ria postanowiła nie okazywać zbyt wielkiego entuzjazmu.

– Czeka nas wiele lat pracy z doprowadzeniem go do przyzwoitego stanu. Oprócz nas nie było innych szaleńców, którzy chcieliby go kupić.

– Nonsens, wart jest majątek i oboje z Dannym dobrze o tym wiecie. Dzięki wyjątkowo sprawnemu działaniu zrobiliście interes stulecia – powiedziała z niekłamanym uznaniem.

42

Ria poczuła się nagle winna, jak gdyby w jakiś sposób wymogli na Seanie O’Brienie decyzję o sprzedaży i zapłacili mniej, niż mu się należało.

– Oprócz ciebie nikt jeszcze nie widział domu. Niemal się boję, co powiedzą nasze rodziny na jego widok. – Ria już teraz wyobrażała sobie zazdrość na twarzy Hilary.

– Bzdura. Na pewno zrobi na nich ogromne wrażenie. A jacy są rodzice Danny’ego?

– Nie miałam dotychczas okazji ich poznać. Przypuszczam, że są inni niż on.

Rosemary się skrzywiła.

– Może przynajmniej bracia okażą się w porządku. Czy przyjadą z Anglii? Mogłabym uciec z jednym

z nich. W końcu na tym polega przywilej druhny!

– Danny nic nie wspominał o ich przyjeździe.

– Nie szkodzi, znajdę sobie jakąś inną rozrywkę. A teraz poważnie, w co będziemy ubrane?

– Rosemary?

– Słucham.

– Wiesz, że jestem w ciąży?

– Brałam pod uwagę taką ewentualność. Ale to dobrze, prawda? Oboje tego chcieliście?

– Tak.

– Zatem w czym problem?

– W tym, że nie powinnam myśleć o wspaniałej, białej sukni z welonem i chyba muszę zapomnieć o wielkiej pompie.

Poza tym jego rodzice to wyjątkowo skromni i spokojni ludzie.

I nie przypadłaby im do gustu okazała ceremonia.

– A czego życzyłby sobie Danny? Czyż nie tylko to się liczy? Wolałby huczny ślub czy skromny poczęstunek w pubie?

Ria nie musiała się zastanawiać nad odpowiedzią:

– Huczny ślub.

43

– A więc dokładnie to będzie miał – oświadczyła Rosemary, wyjmując pióro oraz kartkę papieru i zabierając się do sporządzania listy.

Wcześniej niż rodziców Danny'ego Ria poznała Barneya McCarthy'ego. Zaprosił ją na lunch. Zostało to przekazane niemal w formie królewskiego rozkazu.

Danny był podekscytowany.

– Polubisz go, Rio. Jest cudowny. Pokocha cię, dobrze o tym wiem.

– Jestem zdenerwowana z powodu wyboru restauracji.

Mogą tam być same francuskie dania i nie będę wiedziała, co jem.

– Niczym się nie przejmuj, bądź tylko sobą. I nigdy się nie tłumacz ani nie miej żadnych kompleksów. Nie jesteśmy gorsi od innych. Barney dobrze o tym wie; zaszedł tak wysoko dzięki

ki wierze w samego siebie.

Nieco zmartwiło ją spostrzeżenie, że Danny’emu bardziej zależy na tym, żeby poznała Barneya niż jego rodziców.

– Och, do nich możemy się wybrać w każdej chwili –

oświadczył.

Nora Johnson była zdumiona tą nowiną.

– Zaskoczyłaś mnie – powiedziała dwukrotnie. Rię zirytowała reakcja matki.

– Dlaczego tak cię to dziwi, mamó? Przecież wiesz, że się kochamy. Czyż małżeństwo nie jest w tej sytuacji jedynym logicznym rozwiązaniem?

– Och, z pewnością, z pewnością.

– Co masz przeciwko Danny’emu, mamó? Powiedziałaś, że go lubisz. I podziwiałaś jego decyzję o kupnie tak wielkiego domu do wyremontowania. Ma dobre widoki na przyszłość, 44

więc nie musisz obawiać się, że będziemy bez grosza. Jakie masz do niego zastrzeżenia?

– Jest zbyt przystojny – stwierdziła matka.

Hilary również nie okazała zbytniego entuzjazmu.

– Musisz na niego uważać, Rio.

– Wielkie dzięki, Hilary. Kiedy wychodziłaś za mąż za Martina, nie udzielałam ci tego rodzaju porad. Powiedziałałam, że bardzo się cieszę i jestem pewna waszego wielkiego szczę-

ścia.

– I jestem szczęśliwa z Martinem. – Starsza siostra była dumna z doskonałego wyboru swojego życiowego partnera.

– A ja z Dannym! – wykrzyknęła Ria.

– Tak, Rio, ale przy nim będziesz musiała przez cały czas mieć się na baczności. To człowiek o wielkich ambicjach. Nie zadowoli się normalnym sposobem zarabiania na życie, jak przeciętny mężczyzna, tylko zapragnie sięgnąć po księżyc. Ma to wypisane na twarzy.

Danny, który nigdy nie był drobiazgowy, z ogromnym zaangażowaniem dyskutował o tym, w co ma

się ubrać Ria na spotkanie z Barneyem McCarthym.

W końcu straciła cierpliwość.

– Przecież sam powiedziałaś, że powinnam być sobą.

Włożę coś ładnego i eleganckiego i będę sobą. To nie pokaz mody ani też konkurs piękności, tylko lunch. – Jej oczy rozblęły, zdradzając temperament, jakiego nie okazywała od dłuższego czasu.

Przyglądał się jej pełen podziwu.

– Oto dziewczyna z charakterem; tak trzymaj!

Włożyła swój czerwony płaszcz oraz nowy, jedwabny szalik, który pomogła jej wybrać Rosemary.

Barney – czterdziestopięcioletni, potężny mężczyzna o 45

szerokich ramionach – ubrany był w bardzo dobrze skrojony garnitur. Nosił kosztowny zegarek, miał dobre maniery i był

pewny siebie. Zaczynał łysieć, a jego twarz zdradzała człowieka pracy, który stale przebywa na powietrzu bez względu na pogodę. Zachowywał się naturalnie; restauracja nie robiła na nim wrażenia i nie starał się podkreślać jej klasy. We trójkę prowadzili swobodną pogawędkę.

A jednak pomimo tej miłej konwersacji, w której nie poruszali żadnych istotnych tematów, Ria nie mogła się oprzeć wrażeniu, że uczestniczy we wstępnej rozmowie kwalifikacyjnej. I przy kawie uświadomiła sobie z uczuciem satysfakcji, że wypadła w niej bardzo dobrze.

To Orla King powiedziała Rii, że koledzy z biura nie życzą sobie, aby nadal pracowała w ich agencji. Nie teraz, kiedy jest zaręczona z Dannym Lynchem. Uznali, że mogłaby przekazywać mu wszystkie informacje i udzielać wskazówek.

– Nie miałam o tym pojęcia! – Ria była zaszokowana.

– Postanowiłam zawiadomić cię o tym tylko dlatego, że oboje byliście dla mnie bardzo mili, gdy zachowałam się jak idiotka wtedy na przyjęciu z okazji świąt Bożego Narodzenia.

Orla była w porządku. I nie ponosiła winy za swój olśniewający wygląd. Ria zastanawiała się, dlaczego czuje się tak głupio zazdrosna o tę dziewczynę.

Danny powiedział Barneyowi McCarthy'emu, że sama postanowiła odejść z agencji, zanim ją o to poproszą.

O dziwo, przedsiębiorca budowlany odniósł się ze współczuciem do jej problemu.

– Ta decyzja musi być dla niej bardzo trudna. Pracowała w agencji na długo przed twoim przyjściem i pośpieszną ewakuacją z biura.

– To prawda – przyznał Danny ze zdumieniem. Nie pomy-46

ślał w ten sposób o całej sprawie.

– Czy jest bardzo rozgoryczona?

– Trochę tak, ale znasz Rię: już zaczęła się rozglądać za inną posadą. – Był z niej dumny.

– Być może będę miał dla niej pewną propozycję –

oświadczył Barney McCarthy.

Otworzył właśnie nową wypożyczalnię sukien – samych klasycznych kreacji – o nazwie „U Polly” i Ria natychmiast znalazła tam zatrudnienie.

– Czy nie powinnam zostać poddana tygodniowemu okre-sowi próby? – Ria zwróciła się z tym pytaniem do Gertie –

wysokiej i bladej młodej kobiety o długich ciemnych włosach, które związywała na karku zwykłą wstążką.

– Nie ma potrzeby – odpowiedziała z uśmiechem przyszła szefowa. – Pan McCarthy kazał panią zatrudnić, więc spełni-

łam jego polecenie.

– Jest mi bardzo przykro z tego powodu. To okropny sposób na otrzymanie posady.

– Wszystko w porządku. Jest pani miła i z pewnością bę-

dzie nam się dobrze układała współpraca. Powiedziałam tylko, jak stoją sprawy.

Pojechali wreszcie do rodziców Danny’ego. Podróż autobusem trwała trzy godziny i Ria miała mdłości, lecz zmusiła się, aby nie stracić dobrego nastroju. Ojciec Danny’ego czekał

na placu obok przystanku autobusowego. Przyjechał po nich starą rozklekotaną furgonetką bagażową.

– To moja Ria, tato – powiedział Danny, dumny i zadowolony, że może przedstawić swoją przyszłą żonę.

– Serdecznie witamy.

Pan Lynch wyglądał staro, był przygarbiony i miał na sobie wyświechtane ubranie. Przez całe życie pracował dla swo-47

jego starszego i bardziej zaradnego brata, u którego Danny znalazł pierwszą posadę po ukończeniu szkoły. Ojciec Danny'ego zajmował się rozwożeniem po okolicy butli z gazem.

Był mniej więcej w wieku Barneya McCarthy'ego, jednak są-
dząc z wyglądu, wydawał się odeń o całe pokolenie starszy.

Aby dotrzeć do miejsca, gdzie urodził się Danny, musieli przebyć około dwóch mil wąskiej drogi, porośniętej po obu stronach wysokim żywopłotem. Ria rozglądała się wokół, zadowolona, że może trochę poznać przeszłość swego narzeczonego i okolicę, gdzie dorastał. On sam nie interesował się zbytnio otoczeniem.

– Czy masz jakichś przyjaciół, którzy mieszkają w pobli-
żu?

– Tak, kilku. Chodziłem razem z nimi do szkoły.

– Czy spotkamy się z nimi? – chciała wiedzieć Ria.

– Wszyscy wyjechali. Niemal każdy z nich opuścił rodzinne strony.

Matka Danny'ego również wyglądała staro; znacznie starzej, niż Ria się tego spodziewała. Na lunch podano szynkę, pomidory, chleb ze sklepu oraz paczkę czekoladowych herbatników. Rodzice nie byli pewni, czy powinni przyjechać do Dublina na wesele. To daleka podróż, poza tym mają do wykonania pracę, w której nikt ich nie zastąpi.

Nie ulegało wątpliwości, że wymienione powody nie stanowiły prawdziwej przyczyny ich niezdecydowania.

Ria zaprotestowała.

– Byłoby cudownie, gdybyśmy mogli razem spędzić ten doniosły dzień. Zamierzamy wyprawić wesele na Tara Road.

Mielibyście okazję zobaczyć nasz nowy dom.

– Nie zwykliśmy bywać na przyjęciach – wymawiała się matka Danny'ego.

– To uroczystość w gronie rodzinnym – perswadowała Ria.

48

– W autobusie trzęsie, a moje plecy nie są już takie, jak niegdyś.

Ria spojrzała na Danny'ego. Ku jej zdziwieniu nie nakłaniał rodziców do przyjazdu ani nie zapraszał jak ona. Przecież chyba mu zależało na ich obecności? Czekala na to, co powie.

– Och, dajcie już spokój tym wymówkom. Przyjedźcie.

Tylko raz w życiu człowiek się żeni!

Spojrzeni po sobie z powątpiewaniem.

– Rozumiem, że nie pojechaliście na ślub Richa, ponieważ odbywał się aż w Londynie – ciągnął Danny.

– Londyn leży daleko stąd i aby się tam dostać, trzeba skorzystać z samolotu albo ze statku! – zawołała Ria.

Państwo Lynchowie podchwycili rzucone im koło ratunkowe; mieli już wymówkę niezbędną do wykręcenia się od przyjazdu na wesele.

– Widzisz, dziecko... – powiedziała matka, ściskając Rię za ramię. – Skoro zawiedliśmy naszego starszego syna, nie mo-

żemy być na ślubie młodszego. Wyglądałoby na to, że faworyzujemy Danny'ego.

– Przyjedziemy obejrzeć dom kiedy indziej – dodał ojciec.

Spojrzeni z nadzieją na Rię, a jej nie pozostało nic do dodania.

– Musicie nas kiedyś odwiedzić – powiedziała uspokajającym tonem.

Starsi państwo uśmiechnęli się, a Danny wraz z nimi.

– Nie chciałeś, żeby przyjechali? – zapytała go podczas długiej podróży powrotnej.

– Sama widziałaś, kochanie, że nie mieli ochoty na przyjazd.

Rozczarował ją. Powinien był ich namówić. Powszechnie jednak wiadomo, że mężczyźni są inni niż kobiety.

Zaledwie po tygodniu pracy w firmie „U Polly” Gertie 49

przekazała Rii całkiem nieoczekiwaną nowinę. Powiedziała jej, że w ramach pracowniczego przywileju może wypożyczyć sobie suknię ślubną za darmo.

– Mówisz poważnie? – upewniła się rozradowana Ria. Nie byłoby jej stać na wypożyczenie tak wytwornej kreacji.

– Powiem wprost... to polecenie pana McCarthy'ego. Cały orszak weselny ma zostać przez nas ubrany, więc wybieraj, co ci się tylko podoba. Bierz, co chcesz, Rio, skoro szef sobie tego życzy.

Danny zdecydował się na jasny smoking dla siebie i podobny dla swojego drużby, a Rosemary

postanowiła wystąpić w dopasowanej srebrnej sukni z małymi perłowymi guzikami. Ria miała jedynie problem z przekonaniem matki i siostry, aby również wybrały dla siebie kreacje na tę okazję.

– Na miłość boską, posłuchajcie mnie obie. Nie poniesiecie żadnych kosztów. Taka gratka już drugi raz się nie trafi – pró-

bowwała przemówić im do rozsądku.

– I dlaczego Martin nie miałby wystąpić w jasnym smokingu? – zasugerowała w końcu. – Wyglądałby w nim szalenie dobrze. Wiesz, że mam rację, Hilary.

Ten argument okazał się rozstrzygający. Matka zdecydowała się na elegancką, szarą suknię z żakiem i toczek przybranych czarnymi piórami, a Hilary wzięła kostium w kolorze wina z jasnoróżowymi wyłogami żakiem oraz olbrzymim różowym kapeluszem.

Ponieważ nie było wydatków na ślubne ubrania, wynajęli tenora, ażeby zaśpiewał im „Panis Angelicus”, oraz sopranistkę, która miała wykonać „Ave Maria”.

Goście weselni stanowili zbieraninę ludzi z różnych środowisk. Ria i Danny zaprosili Orleę King oraz Gertie. Z Londynu przyjechał Larry, jeden z braci pana młodego, który zo-

stał drużbą. Byli do siebie podobni – Larry również miał jasne włosy oraz ten sam krzywy uśmiech; przewyższał tylko brata wzrostem i mówił z londyńskim akcentem.

– Wybierasz się z wizytą do rodziców? – spytała go Ria.

– Nie tym razem – odrzekł. Od czterech lat ani razu nie zajrzał do rodzinnego domu.

Ria wiedziała o tym, lecz nie skomentowała owego faktu.

– Będzie jeszcze mnóstwo innych okazji po temu – zauważyła tylko.

Larry spojrzał na nią z aprobatą.

– Masz rację, złotko.

Ku ogromnej uldze Rii ani jej siostra, ani szwagier nie zrobili żadnej wzmianki o niepotrzebnie wyrzuconych pienią-

dzach. Zapach farby zdążył się już całkiem ulotnić, a na długich, ustawionych na kozłach stołach, nakrytych białymi obrusami, znajdowała się zarówno sałatka z kurczaka i lody, jak i olbrzymi tort weselny.

Barney McCarthy również był obecny na przyjęciu. Przeprosił w imieniu swojej żony, Mony, za to, że nie mogła przyjść. Wybrała się w zaplanowaną od dawna podróż do Lo-urdes z trzema przyjaciółkami. Gertie zareagowała na tę informację śmiechem, lecz Ria pośpiesznie ją uciszyła. McCarthy przysłał wcześniej dwie skrzynki szampana. Gawędził ze wszystkimi i najwyraźniej czuł

się swobodnie wśród grona czterdziściorga gości, którzy wznosili toasty za zdrowie panny młodej i pana młodego – przystojnego Danny’ego Lyncha oraz jego pięknej żony.

Ria nigdy nie sądziła, że będzie tak ślicznie wyglądała z upiętymi włosami i w długim welonie, który ciągnął się za nią po ziemi. Suknia, nigdy przedtem nieużywana i ozdobiona haftem oraz koronkami od góry do dołu, uszyta była z najbogatszej tkaniny, jaką Ria kiedykolwiek widziała.

51

Rosemary była pod ręką, gotowa w każdej chwili służyć przyjaciółce radą.

– Trzymaj się prosto, Rio. Cofnij do tyłu ramiona. I nie biegnij przez kościół, kiedy już wejdziesz do środka, lecz idź

wolnym krokiem.

– Słuchaj, przecież ten ślub nie odbywa się w Westminster Abbey! – zaprotestowała Ria.

– To twój dzień i oczy wszystkich będą zwrócone na ciebie. Poruszaj się tak, jak gdybyś chciała im zaprezentować coś, na co warto popatrzeć.

– Z twoim wyglądem byłoby to łatwe. W moim wypadku sytuacja wygląda inaczej. Umarliby ze śmiechu, gdyby się zo-rientowali, że traktuję siebie z taką powagą. – Rię ogarnęło zdenerwowanie na myśl o tym, że wczuwając się w rolę, mogłaby okazać wzruszenie. Okropnie się bała, że wszyscy ją wyśmieją.

– A dlaczego nie miałabyś potraktować tego wszystkiego poważnie? Wyglądasz zachwycająco. I chociaż raz masz dobrze zrobiony makijaż. Niech dzisiaj wszyscy taką cię zobaczą.

Entuzjazm drużyny był zaraźliwy, więc Ria niemal z kró-

lewską godnością przemaszerowała przez kościół, wspierając się na ramieniu szwagra, który poprowadził ją do ołtarza.

Gdy mijiała nawę, Danny’emu na widok narzeczonej zaparło dech z wrażenia.

– Tak bardzo cię kocham – powiedział, kiedy oboje pozowali do zdjęcia przy weselnym torcie i Ria nagle zrobiło się żal kobiety, która kiedyś włoży do ślubu tę suknię, gdy po wy-czyszczeniu zostanie zwrócona do sklepu.

Żadna panna młoda nie mogła wyglądać w niej równie olśniewająco ani czuć się tak bezgranicznie szczęśliwa.

Nie mieli miesiąca miodowego. Danny wciąż rozglądał się 52

za nową posadą, a Ria wróciła do pracy w firmie „U Polly”.

Lubiła swoje zajęcie oraz najróżniejszych niezwykle klientów, z którymi się stykała. Nie przypuszczała, że w Dublinie mieszka tak wielu zamożnych ludzi oraz takich, którzy choć mniej zamożni, zdecydowali się wydać na wesele pokaźne kwoty.

Gertie była miła dla przyszłych panien młodych, lecz starała im się nie narzucać. Pomagała dziewczynom w dokonywaniu wyboru, nigdy jednak nie prowadziła ich do stoiska z najdroższymi kreacjami. Zachęcała do wypożyczenia strojów, których włożenie wymagało większej odwagi, przekonując, że ślub jest spektakularnym wydarzeniem jak tęcza czy pokaz ogni sztucznych.

– Skąd wzięła się nazwa „U Polly?” Uważam, że jest głupia. – Zagadnęła Rię jedna z przyszłych młodych panien.

– Sądzę, że wzięła się od „Pięknej Polly”, [Piękna Polly –

ang. Pretty Polly – firma znana z eleganckich, drogich ubiorów dla pań (przyp. red.).] ale nie jestem pewna – wyjaśniła Ria.

– To była bardzo dyplomatyczna odpowiedź – stwierdziła z uznaniem Gertie po wyjściu klientki.

– Co chciałaś przez to powiedzieć? Nie mam pojęcia, skąd Barney wytrzasnął tę nazwę. A ty wiesz?

– Od imienia swojej kochanki. To dla niej kupił tę firmę.

Ten fakt nie jest tajemnicą dla nikogo.

– Ja o tym nie wiedziałam. Jego zresztą też prawie nie znam. I pomyśleć, że brałam go za podporę Kościoła!

– Bo jest nią, ale tylko wtedy, kiedy przebywa z żoną.

Sprawa wygląda inaczej, gdy miejsce przy jego boku zajmuje Polly Callaghan...

– Rozumiem teraz, dlaczego wszystkie bloczki kontrolne wystawiane są na P. Callaghan.

– Oczywiście, a sądziłaś, że z jakiego powodu?

53

– Myślałam, że ze względów podatkowych.

– Przecież przyszedł na wasze wesele. Przypuszczałam, że jesteście ze sobą zaprzyjaźnieni.

– Nie jesteśmy. Danny pośredniczył jedynie w sprzedaży jego domu, to wszystko.

– Kazał mi przyjąć cię do pracy i przygotować dla was ślubne stroje... Musi mieć bardzo wysokie mniemanie o twoim mężu.

– Nie on jeden. Danny jest dzisiaj umówiony na lunch z dwoma biznesmenami, którzy myślą o założeniu własnej firmy. Chcą, żeby wszedł z nimi w spółkę. – I robi to?

– Mam nadzieję, że nie, Gertie. To zbyt śmiały krok. Danny nie posiada własnego kapitału; musiałby ponownie zacią-

gnąć kredyt hipoteczny, a to byłoby bardzo ryzykowne. Marzę, żeby znalazł gdzieś płatną posadę.

– Powiedziałaś mu o tym? – spytała Gertie.

– Niezupełnie. Jest niepoprawnym entuzjastą, który porywa się na wielkie przedsięwzięcia. Co prawda, często potem okazuje się, że rzeczywiście miał rację. Na ogół staram się nie mieszać do jego spraw. Nie chcę, by zauważył, że podcinam mu skrzydła.

– Widzę, że wszystko dokładnie przemyślałaś – stwierdziła z podziwem Gertie. Miała chłopaka, niejakiego Jacka, który zbyt często zaglądał do kieliszka. Wielokrotnie próbowała z nim zerwać, za każdym razem jednak wracała do niego.

– Niczego nie przemyślałam – zaprzeczyła Ria. – Sprawiam jedynie wrażenie, że zawsze jestem pogodna, więc ludzie myślą, że nie mam żadnych trosk. W głębi duszy jednak okropnie się martwię.

– Czy przyjąłeś ich propozycję? – Ria miała nadzieję, że Danny nie usłyszy niepokojów w jej głosie.

– Nie, nie przyjąłem. Prawdę mówiąc, w ogóle się nie od-

zywałem. Słuchałem tylko, co mieli mi do powiedzenia.

Był w tym dobry. Sprawiał wrażenie, że jest zaangażowany w rozmowę, a w rzeczywistości jedynie przytakiwał i słuchał.

– I czego się dowiedziałeś?

– Przekonywali mnie o tym, jak bardzo zależy im na przejęciu interesów Barneya. Mówili, że uznali mnie za najpoważ-

niejszego kandydata, który im w tym pomoże. Wiedzą o nim wszystko – nawet to, co zazwyczaj jada na śniadanie. Opowiedzieli mi o jego przedsięwzięciach i firmach, o których nie miałem pojęcia.

– Co zamierzasz zrobić?

– Już to zrobiłem.

– Co takiego, na Boga?

– Poszedłem do Barneya. Oświadczyłem mu, że wszystko, co mam, zawdzięczam jemu, i powiadomiłem go o propozycji,

jaką przedstawili mi dwaj osobnicy, którzy za dużo wiedzą o jego interesach, aby mógł spać spokojnie.

– I co on na to?

– Podziękował i powiedział, że się do mnie odezwie.

– Zdumiewasz mnie, Danny! A kiedy to zrobi, jak sądzisz?

– Nie wiem. Udawałem, że nie zależy mi na czasie. Może w przyszłym tygodniu, a może jutro. Niewykluczone, że poradzi mi, bym przyjął tę propozycję. Posłucham go. Zadzwoń jutro. Być może się mylę, mam jednak przeczucie, że już jutro się ze mną skontaktuje.

Danny mylił się jednak. Barney McCarthy zatelefonował

jeszcze tego samego wieczora. Od dawna planował założenie małej agencji handlu nieruchomościami, potrzebował tylko ostatecznego bodźca. Czy Danny Lynch nie chciałby poprowadzić tej firmy? Otrzymywałby pensję, to oczywiste, a także miałby udział w zyskach.

55

Niedługo potem zostali zaproszeni na przyjęcie do domu McCarthy'ch. Ria rozpoznała wśród gości wiele znanych twarzy: polityków, dziennikarzy z wiadomości telewizyjnych oraz pewnego słynnego golfistę.

Żona przedsiębiorcy, Mona, była postawną kobietą o przyjemnej aparycji. Poruszała się pomiędzy gośćmi ze swobodą i pewnością siebie. Miała na sobie ciemnogramatową, wełnianą sukienkę, a na pulchnej szyi nosiła perły – zapewne prawdziwe. Ria oceniła jej wiek, podobnie jak jej męża, na czterdzieści pięć lat. Czy Barney naprawdę miał kochankę, jakąś Polly Callaghan? – zastanawiała się w duchu. Dobrze sytuowany, żonaty mężczyzna, który mieszkał w tym luksusowym domu i miał dorosłe dzieci? Wydawało się to wprost nieprawdopodobne, jednakże Gertie mówiła o całej sprawie z absolutnym przekonaniem. Ria próbowała sobie wyobrazić, jak wygląda owa Polly Callaghan i ile może mieć lat.

W tym momencie podeszła do niej Mona.

– Zapewne to pani jest nową pracownicą w sklepie „U

Polly”? – spytała serdecznie.

Ria poczuła nagle szalone pragnienie, by zaprzeczyć i zapewnić tę kobietę, że nigdy nie słyszała o żadnej Polly. Powiedziała jednak żonie Barneya McCarthy'ego, że to najciekawsza praca pod słońcem i że wraz z Gertie bardzo lubią spełniać marzenia odwiedzających wypożyczalnię klientów.

– Czy po urodzeniu dziecka nadal zamierza pani pracować? – Chciała wiedzieć pani domu.

– O, tak. Potrzebujemy pieniędzy i myślimy o wynajęciu pokoju jakiejś przyjezdnej studentce, która

podczas naszej nieobecności zaopiekuje się dzieckiem.

Mona zmarszczyła czoło.

– Czy naprawdę tak bardzo potrzebne są wam pieniądze?

– No cóż, pani McCarthy, pani mąż był dla nas niezwykle 56

hojny, ale ja i Danny mamy duży dom do wyremontowania.

– Kiedy Barney rozpoczynał karierę zawodową, ja również poszłam do pracy. Musiałam zarabiać pieniądze, aby miał za co jeździć na budowę swoją furgonetką. I zawsze będę tego żałowała. Dzieci dorastały beze mnie. Nikt nam nie wróci tego czasu.

– Niewątpliwie ma pani rację. Ja i Danny będziemy musieli jeszcze o tym porozmawiać. A może w chwili kiedy zobaczę dziecko, stracę chęć powrotu do firmy?

– Ja nie miałam ochoty pracować zawodowo, to pewne.

Wróciłam jednak do mojego zarobkowego zajęcia i to już po sześciu tygodniach.

– Czy pan McCarthy okazał pani wdzięczność za to, co pani dla niego zrobiła? Czy rozumiał, jak bardzo było to dla pani trudne?

– Czy był mi wdzięczny? Nie sędzę. Żyliśmy w innych czasach. Dręczył nas ciągły strach, czy zdołamy związać koniec z końcem. I każde z nas robiło to, co musiało.

Mona okazała się bardzo miłą kobietą. Nie zadzierała nosa ani nie była zmanierowana. Kiedyś, przed laty, McCarthy'owie musieli być tacy sami jak obecnie Danny i Ria. Jakie to smutne, że teraz, kiedy oboje osiągnęli dojrzały wiek, Barney miał

utrzymankę.

Ria spojrzała poprzez pokój. Jej mąż stał w środku małego grona gości i opowiadał jakąś zabawną historię.

Rodzice Danny'ego nigdy nie byli przyjmowani w tak wytwornych domach. Barney McCarthy, jako młody chłopak, również w nich nie bywał. Być może dostrzegł w Dannym tę samą energię i smykałkę do prowadzenia interesów, jaka cechowała go w młodości, i dlatego mu pomógł? Kto wie, może w przyszłości oni również będą wydawać wytworne przyjęcia na Tara Road i dla nikogo nie będzie tajemnicą fakt, że Danny 57

ma kochankę?

Rię przeszedł dreszcz. Nikt nie może przewidzieć, co przyniesie mu przyszłość.

– Jak ta Polly wygląda? – spytała w sklepie swoją szefową, Gertie.

– Sądzę, że ma jakieś trzydzieści pięć lat. Ruda, bardzo elegancka i zadbana. Zagląda tutaj mniej więcej raz w miesią-

cu. Polubisz ją, jest naprawdę miła.

– Nie sądzą, aby to było możliwe. Polubiłam już jego żonę.

– Ona jest stara; i to bardzo.

– Przypuszczam, że oboje są w tym samym wieku. W

młodości podjęła pracę zarobkową, aby mąż mógł jeździć samochodem na budowę.

Gertie wzruszyła ramionami.

– No cóż, takie jest życie – stwierdziła. – Polly też nie jest łatwo w święta oraz podczas niedzielnych lunchów, kiedy Barney odgrywa rolę przykładowego męża i głowy rodziny.

Przypuszczam, że powinnam pogratulować sobie, iż Jack przynajmniej nie jest żonaty. Choć prawdopodobnie stan kawalerski to jego jedyna zaleta.

Gertie znowu była z Jackiem. Podobno tym razem poważ-

nie myślał o odwyku, ale jakoś ta wiadomość na nikim nie wywarła wielkiego wrażenia.

Barney McCarthy szukał w Galway odpowiednich gruntów do nabycia i zależało mu, żeby Danny udał się tam razem z nim. Przedsiębiorca budowlany jechał z dużą prędkością i szybko dotarli na drugi koniec kraju.

Już wcześniej zarezerwowano stolik, przy którym obecnie czekała na nich bardzo atrakcyjna kobieta w kremowym kostiumie.

58

– To Polly Callaghan – Barney cmoknął kobietę w policzek, nim ją przedstawił Danny’emu.

Ten przełknął ślinę. Wiedział już o kochance Barneya od Rii, nie spodziewał się jednak, że będzie aż tak urodziwa.

– Miło mi panią poznać – przywitał ją.

– Słyszałam, że z pana cudowny chłopiec – Polly uśmiechnęła się do niego serdecznie.

– Nie sądzą. Chyba tylko urodziłem się pod szczęśliwą gwiazdą.

– Czy to nie Napoleon stwierdził, że najbardziej zależy mu na szczęściu swoich generałów?

– Miał rację, jeśli tak twierdził. Czego się napijecie?

- Poproszę o niskokaloryczną colę – powiedział Danny.
- Nie ma pan żadnych wad? – spytała Polly.
- Chcę zachować jasność umysłu, skoro będę musiał zastanowić się nad ceną nieruchomości wystawionych na sprzedaż w tym rejonie.
- To nie sprawa szczęśliwej gwiazdy, lecz urodzenia się z błyskotliwym umysłem, co jest o wiele ważniejsze – stwierdziła Polly Callaghan.
- Zajmowali ten sam pokój? – dopytywała się Ria.
- Nie wiem, nie sprawdzałem.
- Ale widziałeś, jak czulili się do siebie? – Ria wprost płonęła z ciekawości.
- Nie zauważyłem. Raczej zachowywali się tak, jakby byli małżeństwem. Sprawiali wrażenie, że się bardzo dobrze znają.
- Biedna Mona. Ciekawa jestem, czy wie.
- Owa biedna Mona, jak ją nazwałeś, prawdopodobnie gwizdże na to. Czyż nie mieszka w pałacu i nie ma wszystkiego, czego tylko zapragnie?
- Może nie chce dzielić się mężem z kochanką.
- Polubiłem Polly Callaghan. Jest bardzo miła.

59

- Wcale w to nie wątpię – odparła cierpkim tonem.
- Nazajutrz kochanka Barneya przyszła do sklepu.
- Poznałam pani męża w Galway. Czy mówił coś o naszym spotkaniu?
 - Nie, nic nie wspominał, pani Callaghan. – Z jakiegoś nieznanego sobie powodu Ria skłamała.
- Najwyraźniej odpowiedź usatysfakcjonowała Polly, gdyż z aprobatą skinęła głową.
- Widzę, że do jego licznych zalet należy również dyskre-cja. A może to pani cecha? W każdym razie bystry z niego chłopak.
 - To prawda. – Ria uśmiechnęła się z dumą. Polly uważnie przyjrzała się Gertie.
 - Co ci się stało, Gertie? Skąd masz tę okropną ranę na twarzy?
 - Wiem, że skaleczenie paskudnie wygląda, pani Callaghan. Spadlam z roweru i okropnie się

pokiereszowałam.

– Potrzebne były szwy?

– Tak, dwa, ale to nic wielkiego, naprawdę. Czy napije się pani kawy?

– Poproszę. – Polly patrzyła w ślad za Gertie, gdy wchodziła po schodach na górę, aby przynieść tacę z zastawą do kawy.

– Przyjaźnicie się ze sobą, Rio? – Tak.

– W takim razie wybij jej z głowy tego szubrawca, z którym się związała. To on ją tak urządził.

– Och, chyba nie posunął się do rękoczynów... To niemożliwe! – Ria była wstrząśnięta.

– Już nieraz to robił. To dlatego Gertie nosi długie włosy: żeby ukryć ślady po uderzeniach. Ten drań kiedyś ją w końcu zabije, ale ja jej tego nie powiem, bo uznałaby mnie za wścib-

ską babę, która się miesza w nie swoje sprawy. Być może ciebie wysłucha.

– Co się stało z panem Callaghanem? – Ria zapytała Gertie po wyjściu Polly.

– Nigdy nie istniał. Wszyscy przez grzeczność nazywają ją „panią”. Powiedziała ci, że Jack mi to zrobił?

– Tak, a jak się tego domyśliłaś?

– Masz to wypisane na twarzy. Ona zawsze powtarza, że powinnam z nim zerwać.

– Chyba nie wrócisz do niego po tym, jak cię pobił?

– On nie chciał tego zrobić. Nawet nie wyobrażasz sobie, jak bardzo jest mu przykro.

– Przyszedł i ot tak, po prostu, walnął cię w twarz?

– Nie, to nie było tak. Spieraliśmy się o coś i stracił panowanie nad sobą. Nie miał zamiaru mnie skrzywdzić.

– Nie możesz go z powrotem przyjaść.

– Zrozum, wszyscy odwrócili się od niego, ma tylko mnie.

– Chyba nie bez powodu jednak wszyscy uznali go za beznadziejny przypadek?

– Uwierz mi, był tak zawstydzony, że płakał jak dziecko.

Twierdzi, że nie pamięta momentu, kiedy chwycił za krzesło.

– Uderzył cię krzesłem? Jezus, Maria!

– Daruj sobie, Rio. Proszę cię, nie zaczynaj kazań. Wystarczy, że muszę ich wysłuchiwać od mamy, przyjaciółek i Polly Callaghan. Przynajmniej ty mi ich oszczędź.

W tym momencie przyszła Rosemary, aby obejrzeć eleganckie kapelusze, i musiały przerwać rozmowę. Przyjaciółka została zaproszona na wesele w wytwornym towarzystwie.

Oświadczyła, że dla niej też już najwyższa pora na znalezienie sobie męża. Postanowiła więc wystąpić w kapeluszu, dzięki któremu zwróci uwagę wszystkich gości weselnych.

– Biedna panna młoda – zauważyła Ria.

61

– Tam, dokąd się wybieram, panuje prawo dżungli –

oświadczyła Rosemary.

– Termin porodu został wyznaczony na pierwszy tydzień października.

– Dziecko będzie spod znaku Wagi. To dobry znak.

Sprzyja zachowaniu równowagi życiowej – powiedziała Gertie.

– Chyba w to nie wierzysz?

– Oczywiście, że wierzę.

– Jesteś zabobonna jak moja siostra, Hilary. Ona i jej przyjaciółki wydały kiedyś fortunę na pewną wróżkę, która mieszka w starym wagonie na bocznicie kolejowej. I uwierzyły w każde słowo tej kobiety!

– Naprawdę? Czy wiesz, gdzie można ją znaleźć? Wy-bierzmy się do niej!

– Już pędzę!

– Powie ci, co urodzisz: dziewczynkę czy chłopca.

– Przestań! Aż tak bardzo nie zależy mi, aby to wiedzieć.

– Och, daj spokój. Może uda się nam również namówić Rosemary, żeby z nami poszła? Jak sądzisz, co powie nam wróżka?

– Powie mi, że jestem w ciąży i że wyczytała to z mojego brzucha. A tobie, że jesteś uwikłana w związek z facetem, któ-

ry nie panuje nad własnymi pięściami i że wyczytała to z twojej twarzy. Rosemary usłyszy, że wyjdzie bogato za męża, ponieważ ma to wypisane na czole. I za te rewelacje zapłacimy ciężkie pieniądze.

– Proszę cię – nalegała Gertie. – Przynajmniej trochę się pośmiejemy.

Pani Connor miała szczupłą, znużoną twarz i nie wygląda-

ła na kogoś, komu głupie kobiety wciskają pełne garści monet 62

za parę przepowiedni na temat swojej przyszłości. Sprawiała wrażenie osoby, która bardzo wiele w życiu widziała. Być może wydaje się taka za sprawą panującej tu tajemniczej atmosfery, pomyślała Ria, gdy już usiadła i podsunęła wróżce rękę.

Okazało się, że najpierw przyjdzie na świat dziewczynka i będzie się zdrowo chować, a kilka lat później – chłopiec.

– Nie będę miała trojga dzieci? Przecież na mojej dłoni widać aż trzy drobne kreski – zdziwiła się Ria.

– Nie, to trzecie nie oznacza narodzin kolejnego dziecka.

Być może pani poroni, ale nie wiem tego na pewno.

– A czy mój mąż będzie miał powodzenie w interesach?

– Musiałabym zobaczyć jego dłoń. Ale pani sprawy zawodowe będą rozwijać się pomyślnie. Widzę przed panią wiele podróży. I to zamorskich. Tak, wiele podróży.

Ria zachichotała. Zmarnowała dwadzieścia funtów. Nie zdziwiłaby się, gdyby urodził się chłopiec. Była ciekawa wra-

żeń koleżanek.

– I co ci przepowiedziała, Gertie?

– Niewiele. Miałaś rację, wcale nie jest taka dobra. Rosemary i Ria porozumiały się wzrokiem. Przyjaciółka też już wiedziała o Jacku i jego metodach postępowania.

– Pewnie radziła ci rzucić ciemnowłosego chłopaka – pró-

bowwała odgadnąć Rosemary.

– Nie bądź okrutna. Nie powiedziała nic takiego. – Głos Gertie wyraźnie drżał.

– Przepraszam, nie chciałam ci sprawić przykrości –

usprawiedliwiała się tamta.

Zapadło milczenie.

– A czego ty się dowiedziałaś, Rosemary? – Ria pragnęła rozładować napięcie.

– Mnóstwa nonsensów, o których nie chcę mówić.

63

– Nie będziesz miała męża?

– Nie, za to ogrom innych problemów. Nie zamierzam zawracać wam tym głowy. – Ponownie umilkła, skupiając uwagę na prowadzeniu auta. Wypad do wróżki okazał się niezbyt udany. – Mówiłam wam, że to szalony pomysł.

Żadna z nich nie skomentowała tego stwierdzenia ani słowem.

Barney McCarthy był częstym gościem na Tara Road. Ria dowiedziała się, że ma dwie zameżne córki, które mieszkają w przestronnych, nowoczesnych willach nad morzem. Barney uważał, że żadna z tych nadmorskich rezydencji nie ma nawet jednej dziesiątej charakteru starego domu przy Tara Road, jego dziewczęta nalegały jednak na ich kupno. Nie należały do osób, którym sprawiałoby przyjemność wyszukiwanie skarbów na aukcjach i wyprzedażach. Czuły się w pełni usatysfakcjonowane nowoczesnymi meblami, kuchniami wykonanymi na zamówienie oraz wbudowanymi w ściany szafami w sypialniach. Barney mówił o tym z nutą rezygnacji w głosie; po prostu niektórzy ludzie tacy są i nic nie można na to poradzić.

– Wygląda na to, że on za wszystko zapłacił – zauważyła Ria podczas rozmowy z Dannym.

– Możesz być tego pewna. Obaj zięciowie nie wyróżniają się na żadnym polu, a całą życiową energię wykorzystali, by złowić posażne panny.

– Czy są mili?

– Niezbyt. W każdym razie nie dla mnie. Ale dlaczego mieliby być? To nie oni prowadzą interesy z teściem. I przypuszczam, że żywią do mnie o to urazę.

– Przejmujesz się tym? Danny wzruszył ramionami.

– A dlaczego miałbym się przejmować? Barney zdobył dla nas mosiężną, wiktoriańską kratę do kominka. Pochodzi ze starego domu, który rozbierają jego robotnicy, i jest w dosko-

nałym stanie. A także żelazny ruszt. Zapewnił, że wszystko jest oryginalne i sama krata kosztowałaby nas na wyprzedaży ze dwieście funtów.

– Dlaczego zatem dał nam ją za darmo? – zdziwiła się Ria.

– Ponieważ dla każdego innego człowieka byłaby jedynie starym rupieciem. Musimy ją tylko odczyścić. Naprawdę już wkrótce doprowadzimy nasz frontowy pokój do właściwego stanu.

Danny miał rację. Ta część ich domu zmieniła się nie do poznania. Ria często zastanawiała się, co by się stało, gdyby wrócił stary Sean i zobaczył, co zrobili z tego zaniedbanego składu rupieci. Nie mieli jeszcze dywanu, który wymarzył sobie Danny, lecz wciąż się za nim rozglądali. Znaleźli za to idealny, ich zdaniem, stół. W katalogu figurował jako „mahonio-wy, trójnożny stół śniadaniowy”. A to oznaczało, że ma trzy nogi i doskonale pasuje do ich pokoju. Dyskusje nad tym na-bytkiem trwały wieki. Czy przypadkiem nie jest za mały i czy nie powinni pomyśleć o czym większym? Czworo osób

mie-
ściło się jednak przy nim z łatwością, a od biedy mogło się wcisnąć nawet i sześć. Z czasem zamierzali prowadzić bardziej intensywne życie towarzyskie.

Ria stwierdziła, że straciła poczucie rzeczywistości.

– Nigdy nie przypuszczałam, że będziemy mieć coś takiego! – zakreśliła dłonią w powietrzu, obejmując gestem cały dom. – I nie sądziłam, że nawet za milion lat zdołamy doprowadzić nasz frontowy pokój do tak wspaniałego wyglądu. Kto wie, czy kiedyś jeszcze nie kupimy stołu na dwanaście osób i nie zatrudnimy lokaja?

Roześmiani przytulili się do siebie.

Danny Lynch, który spędził dzieciństwo w nędznej chałupie gdzieś na końcu świata, oraz Ria Johnson, która zajmowała wraz z rodziną narożny domek w wielkim, zaniedbanym osie-65

du, nie tylko zamieszkali w okazałej rezydencji przy Tara Ro-ad, niczym arystokraci, ale debatowali właśnie nad kupnem stylowego mebla.

W dniu, kiedy okrągły stół został dostarczony, kupili dwa krzesła kuchenne oraz porcelanową czarkę z kwiatami i usiedli naprzeciwko siebie, trzymając się za ręce. Wieczór był ciepły, więc pozostawili drzwi do holu otwarte na oścież. Przyszedł

Barney i zatrzymał się przy wejściu. Przyglądał się im przez chwilę. Byli szczęśliwi i podekscytowani.

– Widok was obojga działa jak balsam na moje serce –

oświadczył.

Ria rozumiała, jak bardzo obaj zięciowie McCarthy’ego muszą nienawidzić jej męża – za to, że ich teść go faworyzuje, a nawet, w pewnym sensie, traktuje jako swego następcę.

Barney stwierdził, że Lynchom potrzebny jest samochód.

Przyznali, że od pewnego czasu czytają ogłoszenia i szukają jakiegoś używanego auta.

– Mam na myśli pojazd należący do firmy – oświadczył

Barney. I otrzymali nowe auto.

– Aż boję się pokazać w nim Hilary – stwierdziła Ria, dotykając czyściutkiej tapicerki.

– Pozwól, niech odgadnę... Powie, że z chwilą, kiedy wyjedzie na ulicę, zacznie tracić na wartości – snuł domysły Danny.

– A moja mama przypomni sobie, że widziała identyczny model w jednym ze swoich ulubionych programów – zaśmiała się Ria. – Ciekawa jestem, jak twoi rodzice zareagowaliby na jego widok?

– Byliby zdenerwowani. Musieliby włożyć płaszcze i wyjść z psem na spacer.

W jego głosie zabrzmiał smutek, ale Danny najwyraźniej

pogodził się z myślą o tym, że już zawsze sprawy będą wyglądać w ten sposób.

– Z czasem staną się spokojniejsi i bardziej pogodni, zobaczysz, nie możemy dawać za wygraną – powiedziała Ria.

Pomyślała, że przypomina w tym Gertie, która wbrew wszystkiemu nie zrezygnowała z Jacka i nosiła teraz zaręczynowy pierścionek od niego. Zamierzała wkrótce wyjść za mąż za tego chłopaka. Była zdania, że małżeństwo doda mu wiary w siebie.

Ria i Danny zostali zaproszeni na niedzielny lunch do McCarthych. Tym razem nie było to wielkie przyjęcie, lecz kameralne spotkanie czterech osób. Barney i Danny przez cały czas rozprawiali o budownictwie i nieruchomościach. A Mona i Ria rozmawiały o mającym się urodzić dziecku.

– Wzięłam sobie do serca twoją radę, chyba zostanę w domu i będę je sama chować – oświadczyła Ria.

– Czy nie możesz liczyć na pomoc którejś z babć?

– Nie bardzo. Moja matka wciąż pracuje zawodowo, a rodzice Danny’ego mieszkają daleko stąd, na wsi.

– Ale chyba przyjadą zobaczyć wnuka lub wnuczkę?

– Mam nadzieję. To bardzo nieśmiali ludzie. Inni niż Danny. Mona skinęła głową, jak gdyby doskonale to rozumia-

ła.

– Kiedy dziecko się urodzi, będą zachwyceni.

– Czy twoi teściowie podobnie zareagowali na pojawienie się wnuczek?

Z Moną można było rozmawiać o wszystkim. Nigdy nie miała nic przeciwko poruszaniu tematu ich skromnego pochodzenia.

– Barney różnił się od reszty swojej rodziny. Przypuszczam, że jego rodzice nigdy nie rozumieli, dlaczego tak usilnie 67

zabiega o awans społeczny. Sami nie osiągnęli w życiu zbyt wiele. Ulubionym zajęciem jego ojca było popijanie herbaty na różnych budowach. Ilekroć jednak w weekendy przyprawialiśmy do nich dzieci, nie posiadali się z radości. Zwykle byłam zmęczona i wybranie się do nich z wizytą kosztowało mnie sporo wysiłku. Nigdy nie mogli pojąć, dlaczego Barney się zaharowuje, ani nie rozumieli jego smykałki do interesów.

Jednak z wnukami sprawa zwykle wygląda inaczej. Być może podobnie będzie w przypadku rodziców Danny'ego.

Rii było przykro, że ta serdeczna, ciepła kobieta ma za rywalkę elegancką Polly Callaghan. Po raz setny zastanawiała się, czy Mona McCarthy jest świadoma sytuacji, o której wiedział każdy w Dublinie.

Danny musiał się udać do Londynu z Barneyem i Ria odwiozła go na lotnisko. W chwili kiedy całowała męża na pożegnanie, spostrzegła wysiadającą z taksówki szykowną Polly Callaghan. Z całym rozmysłem spojrzała w przeciwną stronę.

Polly była jednak daleka od tego rodzaju subtelności; podeszła prosto do nich.

– A więc tak wygląda wasz nowy samochód. Jest bardzo ładny.

– Dzień dobry, pani Callaghan. Danny, nie wolno mi tutaj parkować, muszę odjechać. Poza tym i tak powinnam być już w pracy.

– Przypilnuję go w Londynie, może być pani o to spokojna. Nie dopuszczę, ażeby zawróciła mu w głowie jakaś ślicznotka.

– Dziękuję. – Ria wzięła tę deklarację za dobrą monetę.

– Chodź, Danny. Nasz „wielki człowiek” ma bilety i za chwilę zacznie się pieklić – ponagliła Polly i oboje niezwłocznie się oddalili.

68

Ria pomyślała o Monie McCarthy i o tym, jak zabierała co weekend dzieci Barneya w odwiedziny do dziadków, nie bacząc na zmęczenie po całym tygodniu pracy.

Niektórych ludzi życie nie rozpieszczało.

Przerwała pracę na tydzień przed wyznaczonym terminem porodu. Ci wszyscy, których jeszcze przed rokiem nie znała, okazali jej teraz wielką pomoc. Pan McCarthy uznał, że Danny nie powinien opuszczać Dublina, ażeby w dniu narodzin dziecka być na miejscu. Żona Barneya oświadczyła, że nie ma potrzeby, aby wydawali pieniądze na łóżeczko i wózki, gdyż przechowywała w domu mnóstwo tego rodzaju rzeczy z myślą o wnukach, lecz jak dotychczas córki nie obdarzyły jej ani jednym.

Polly Callaghan natomiast zapewniła, że Ria zawsze może wrócić do pracy na pół etatu, jeśli tylko będzie miała na to ochotę, i z myślą o pobycie w szpitalu podarowała jej oryginalną, różowo-czarną lizeskę.

Rosemary, która awansowała i kierowała obecnie dużym działem w firmie poligraficznej, również od czasu do czasu składała jej wizyty.

– Nie znam się na głębokich oddechach, odchodzeniu wód ani innych tego typu sprawach – usprawiedliwiała się przed przyjaciółką. – Nie zdobyłam żadnego doświadczenia w tej dziedzinie.

– Ja też nie – odrzekła ponuro Ria. – Nigdy nie miałam z tym do czynienia, jednak muszę jakoś przez to przebrnąć.

– No cóż. – Rosemary pokiwała palcem, jak gdyby chciała powiedzieć, że wszyscy wiedzą, dlaczego znalazła się w tej sytuacji bez wyjścia. – Czy Danny chodził razem z tobą do szkoły rodzenia? Nie potrafię go sobie wyobrazić na tego typu zajęciach...

69

– Ależ tak, on ma złote serce. Ćwiczenia były idiotyczne, choć zarazem ekscytujące. Danny uwielbiał wykonywać je wraz ze mną.

– O tak, z pewnością. Ciebie także znowu pokocha, gdy tylko odzyskasz figurę.

Rosemary miała na sobie dopasowane spodnium i wyglą-

dała w nim bardzo szykownie – wydawała się wiotka niczym trzcina. Prawdopodobnie próbowała pocieszyć przyjaciółkę, lecz Ria czuła się jak pełna cysterna i uwaga ta wytrąciła ją z równowagi.

Podobnie jak wizyty Orli, do której szefowie z agencji handlu nieruchomościami mieliby wielkie pretensje o wizyty u Lynchów, gdyby się o nich dowiedzieli. Matka przychodziła również, z mnóstwem rad i przestróg.

Jedyną osobą, która nie odwiedzała Rii, była Hilary.

Ogromnie zazdrościła młodszej siostrze domu przy Tara Road i widok przeprowadzonych wewnątrz prac renowacyjnych sprawiłby jej prawdziwy ból. Ria próbowała namówić siostrę do oglądania wystawianych na sprzedaż mebli, ale na próżno.

Hilary czuła się rozgoryczona, ponieważ rozmiary jej domu ograniczały możliwości zakupu czegokolwiek i poszukiwania zwykle kończyły się klęską. Cudowny dzień, kiedy Lynchowie nabyli olbrzymi kredens, omal nie został zniszczony jednym z jej napadów złego humoru.

– To nieuczciwe – powiedziała. – Tylko dlatego, że masz ogromny pusty pokój, możesz kupować za pół darmo wszystkie te wspaniałe rzeczy. Nikt ich nie chce, ponieważ nikt nie posiada tak przestronnego domostwa jak twoje.

– Mamy trochę szczęścia, nie sądzisz?

– Nie, to sprawa systemu, który umożliwia wam nabyć ten kredens za bezcen...

– Uspokój się, Hilary, za chwilę rozpocznie się licytacja.

70

Muszę się skupić. Danny twierdzi, że mogę podbijać cenę do wysokości trzystu funtów; jego zdaniem kredens jest wart osiemset.

– Masz zamiar zapłacić trzysta funtów za mebel do salonu, z którego nie korzystasz? Zupełnie oszalałaś!

– Hilary, proszę cię, ludzie na nas patrzą.

– A niech sobie patrzą. Kto wie, czy drewno nie jest przeżarte przez korniki.

– Nie jest, sprawdziłam.

– To idiotyczny pomysł, wierz mi.

Rozpoczęła się licytacja. Nikt nie był szczególnie zainteresowany zakupem upatrzzonego przez Rię kredensu. Jeden z pośredników, którego znała z widzenia, powoli podniósł do góry rękę, podbijając cenę zaproponowaną przez właściciela sklepu z używanymi meblami. Obaj mieli poważne obawy, czy pozbędą się tego sprzętu. Niewiele było domów, które pomie-

ściłyby tak ogromny kredens.

– Sto pięćdziesiąt – powiedziała Ria mocnym głosem.

Po chwili obaj mężczyźni wycofali się z licytacji. Nabyła

„wiktoriański pomocnik”, jak brzmiała oficjalna nazwa mebla, za sto osiemdziesiąt funtów.

– Czyż nie zrobiłam świetnego interesu? – spytała, lecz na pełnej rozgoryczenia twarzy siostry nie pojawił się błysk entuzjazmu.

– Posłuchaj, Hilary! Zaoszczędziłam sto dwadzieścia funtów. Dlaczego nie miałybyśmy tego uczcić? Może tobie i Mar-tinowi coś by się tutaj spodobało? No, powiedz śmiało, to włączymy się do licytacji!

– Nie, dziękuję – odparła sztywno siostra.

Ria pomyślała o wielkim święcie na Tara Road, gdy przekaże mężowi wspianą nowinę o kupnie kredensu. Nie mogła znieść myśli o tym, że siostra musi wrócić do ciasnej klatki, 71

jaką był jej dom, oraz do swojego ponurego i nieumiejącego cieszyć się życiem Martina. Wiedziała, że nic nie może na to poradzić. Miała ochotę zostać na aukcji i z zaoszczędzonych pieniędzy wydać pięćdziesiąt funtów na jakieś ładne szkło.

Kilka karafek zostało również wystawionych na sprzedaż i sądziła, że za przyzwoitą cenę zdołałaby nabyć jedną z nich.

Obawiała się jednak szyderstw siostry. Hilary przypomniałaby jej, że niektórzy ludzie w młodości trzymali w kredensach herbatę, keczup i butelkę majonezu, a nie kryształowe karafki.

I prysnęłaby cała radość z zakupów.

– Chodźmy, Hilary.

Od tamtej pory siostra ani razu jej nie odwiedziła. Takie zachowanie było głupie i dziecinne, a dla Rii przykre, uznała jednak, że skoro sama tak wiele otrzymała od życia, powinna się zdobyć na wyrozumiałość i wielkoduszność. Postanowiła spotkać się z Hilary i porozmawiać z nią, jak zwykły to robić w czasach, kiedy jeszcze nie stały pomiędzy nimi pieniądze ani stylowy dom przy Tara Road.

Danny zapowiedział, że będzie do późna pracował w biurze. Od wyznaczonego terminu porodu Rię dzieliło jeszcze pięć dni, postanowiła więc pojechać w odwiedziny do Hilary i nie przejmować się kąśliwymi uwagami siostry na temat eleganckiego samochodu. Chciała z nią porozmawiać.

Martin przebywał poza domem. Uczestniczył w zebraniu lokatorów osiedla i razem z nimi debatował nad miejscem zorganizowania protestu. Hilary wyglądała na zmęczoną i była, jak zwykle, rozgoryczona.

– Ach, to ty – powiedziała, a jej wzrok spoczął na zaparkowanym przy bramie aucie. – Mam nadzieję, że kiedy zechcesz odjechać, nie będzie brakować żadnego z kół.

– Czy mogę wejść, Hilary?

72

– Oczywiście.

– Nigdy się ze sobą nie kłóciłyśmy, prawda?

– O co ci właściwie chodzi?

– O to, że w ogóle mnie nie odwiedzasz. Wiecznie pona-wiam zaproszenia, aż staje się to żenujące. I nigdy cię nie widuję u mamy, kiedy jestem u niej z wizytą. Nie usłyszałam od ciebie ani jednego słowa otuchy przed tym, co mnie czeka. A przecież byliśmy kiedyś dobrymi kumpelkami. Co się stało?

Hilary zrobiła minę zbuntowanego dziecka.

– Nie potrzebujesz już kumpelek.

– Do diabła! Właśnie że potrzebuję! I to jak! – Ria nie da-wała za wygraną. – Jestem śmiertelnie przerażona czekającym mnie porodem. Wiem, że to straszliwe doświadczenie, chociaż nikt nie chce ze mną otwarcie o tym mówić. Ogromnie się również martwię, że nie będę umiała należycie się zająć niemowlęciem. Boję się też, że Danny zbyt wiele ryzykuje i któ-

regoś dnia możemy wszystko stracić. A jednocześnie trwogą przejmuje mnie myśl, że przestanie mnie kochać, jeśli będę nadmiernie labiedzić. A ty śmiesz mi mówić, że nie potrzebuję bratniej duszy?

Od tego momentu sytuacja uległa zmianie. Mars na czole Hilary zniknął.

– Pójdę nastawić wodę – zaproponowała.

Orla King zajrzała na Tara Road. Jeden z lokatorów powiedział jej, że oboje państwo Lynchowie są poza domem.

Danny prawdopodobnie pracował jeszcze w biurze, a Ria wybrała się dokądś samochodem. Orla postanowiła więc wpaść do firmy Danny'ego. Piła od momentu wyjścia z pracy i nie miała jeszcze ochoty wracać do siebie. Liczyła na to, że może zdoła go nakłonić, aby wybrał się razem z nią na piwo. Był niezwykle atrakcyjnym mężczyzną.

73

Nora Johnson po raz trzeci przeczytała otrzymane pismo.

Właściciele zakładu, w którym pracowała, postanowili go sprzedać. List zawierał wyrazy ubolewania, a także wyjaśnienie, że decyzja o sprzedaży pralni została podyktowana zmianą potrzeb klientów. Dla Nory najważniejsza jednak była wiadomość, że od listopada zostaje bez pracy.

*

Rosemary uśmiechnęła się do mężczyzny, który siedział po drugiej stronie stołu. Był dobrym klientem drukarni. I wielokrotnie proponował dziewczynie spotkanie po pracy. Umówiła się z nim dzisiaj po raz pierwszy; wybrali się na kolację do bardzo drogiej restauracji. Firma, w której pracowała Rosemary, drukowała dla niego kolorową broszurę, poświęconą akcji charytatywnej wspieranej przez biznesmenów. Zlecenie to stwarzało okazję do nawiązania korzystnych kontaktów, a tak-

że dawało możliwość przedstawienia innym przedsiębiorcom efektów działalności jej firmy. Rosemary włożyła sporo wysiłku w to, ażeby nadać ostatecznemu projektowi jak najlepszy kształt.

– Czy ma pan przy sobie listę sponsorów, abyśmy mogli zaprosić ich w pana imieniu na wystawę dzieł sztuki?

– Zostawiłem ją w pokoju hotelowym – powiedział.

– A po cóż panu hotel? – zdziwiła się Rosemary – Przecież jest pan rodowitym dublińczykiem?

– To prawda – odrzekł swobodnie i uśmiechnął się do niej z dużą pewnością siebie. – Ale na dzisiejszą noc wynająłem pokój w hotelu. – I podniósł kieliszek w stronę Rosemary.

Odwzajemniła toast.

– Szalenie ekstrawagancki gest – zauważyła.

74

– Jest pani tego warta.

– Wspominając o ekstrawagancji, miałam na myśli to, że nie upewnił się pan najpierw, czy ów pokój będzie potrzebny.

Roześmiał się, biorąc jej uwagę za przejaw dyskretnego podziwu.

– Miałem przecucie, że zgodzi się pani pójść ze mną na kolację i zakończymy dzisiejszy wieczór przy drinku w hotelu.

– Pańskie przecucie tylko w połowie okazało się trafne.

Dziękuję za wyśmienitą kolację. – Wstała, szykując się do wyjścia.

Był szczerze zdumiony.

– Po cóż więc były te wszystkie obietnice i kuszące uśmiechy? Czy po to, aby mi teraz wylać na głowę kubek zimnej wody?

Rosemary dobitnie cedziła słowo po słowie, aby usłyszeli ją goście siedzący przy sąsiednich stolikach.

– Nie było żadnych obietnic ani kuszących uśmiechów, a jedynie zaproszenie na rozmowę o interesach przy kolacji. Nie było też mowy o wizycie w pańskim pokoju hotelowym. Nasze sprawy zawodowe nie są chyba aż tak pilne, abyśmy musieli dyskutować o nich w środku nocy.

Przeszła przez restaurację z wysoko podniesioną głową, w pełni świadoma swoich dwudziestu trzech lat, blond włosów oraz niepospolitej urody.

– Nie zamierzałam trzymać się od ciebie na dystans – tłumaczyła się Hilary. – Rzecz w tym, Rio, że ty masz wszystko, dosłownie wszystko... męża o wyglądzie gwiazdora filmowego... Mama uważa nawet, że jest nazbyt przystojny...

– Co mama może wiedzieć o mężczyznach?

– A także przepiękny dom i nowiuteńki samochód; bywasz w szerokim świecie i spotykasz znanych ludzi. Skąd miałam wiedzieć, że potrzebujesz przy sobie kogoś takiego jak ja... ?

75

W chwili, kiedy Ria zamierzała odpowiedzieć siostrze, poczuła rozdzierający ból, jakiego spodziewała się dopiero w przyszłym tygodniu. Zaczął się poród.

Gertie kupiła smażoną rybę i frytki. Położyła paczkę na kuchennym stole i poszła po talerze, które podgrzewały się w piekarniku. Miała już przygotowaną tacę z keczupem, widelcami i serwetkami.

Nie pojmowała przyczyny napadu złego humoru Jacka.

Jednym ruchem zrzucił ze stołu zawinięte w papier jedzenie.

– Straszliwa z ciebie flądra! – wrzasnął na nią. – Nie nadajesz się do tego, aby prowadzić dom przyzwoitemu mężczyź-

nie! Co z ciebie za kobieta! Nawet nie potrafisz ugotować normalnego obiadu, tylko musisz kupować gotowe żarcie w smażalni!

– Och nie, Jack! Proszę! – zawołała Gertie.

Chwycił pierwszy lepszy przedmiot, jaki mu się nawinął

pod rękę. Na nieszczęście była to ciężka szczotka do szorowania na długim kiju.

Na Martina Morana czekał z nowinami chłopak z sąsiedztwa.

– Dziecko zaczęło się rodzić – oznajmił podekscytowany.

– Pańska żona nie umie prowadzić samochodu, więc moja mama musiała odwieźć je obie do szpitala. Szkoda, że pana przy tym nie było. Ominęła pana świetna zabawa.

Nie mogły znaleźć Danny'ego. Nie było go w domu przy Tara Road ani w biurze. Ria podała Hilary numer telefonu do McCarthy'ch, licząc na to, że siostra tam go zastanie, Mona powiedziała jednak, że męża nie ma, a Danny'ego w ogóle dzisiaj nie widziała. A przecież chciał być wtedy z żoną w 76

szpitalu, wielokrotnie razem to ustalali.

Ria pragnęła mieć teraz męża przy sobie.

– Danny! – krzyczała z zamkniętymi oczami. Tak często powtarzał, że to ich dziecko i że pragnie być obecny przy jego narodzinach. Gdzie się, na Boga, podziewał?

Orla przyszła do biura w chwili, kiedy Danny szykował się do wyjścia. Była śliczna jak obrazek, ale zaczynała już bełko-tać i nie palił się do rozmowy z pijaną dziewczyną. Nigdy jednak nie był wobec nikogo nieuprzejmy.

– Może wstąpimy na jednego do pubu? – zaproponowała.

– Nie, skarbie. Jestem skonany.

– Jedna kolejka w pubie cię ożywi, no chodź, proszę.

– Nie dzisiaj wieczora, wybacz mi, Orla.

– A więc kiedy? – Uśmiechnęła się do niego, przesuając językiem po wargach.

Mógł albo wyjść od razu, narażając się na scenę i na pozostawienie niezadowolonej do końca sprawy, albo zaoferować jej drinka. Miał w biurze butelkę brandy, którą przechowywał dla Barneya.

– Proponuję małą brandy tutaj, Orla. Mamy trzy minuty na wypicie, a potem oboje musimy zmykać.

Uznała, że odniosła zwycięstwo. Gdy Danny podszedł do kredensu w poszukiwaniu butelki, usiadła na blacie biurka i założyła nogę na nogę. W tym momencie zadzwonił telefon.

– Och, niech sobie dzwoni, Danny. To pewnie tylko jakiś klient – poprosiła błagalnym tonem.

– Nie o tak późnej porze – stwierdził i podniósł słuchawkę.

– Danny, mówi Polly Callaghan. To pilne, czy jesteś sam?

– Niezupełnie.

– A kiedy możesz być sam?

– Za kilka minut.

77

– Nie mam tyle czasu... Nic nie mów, tylko słuchaj, zgoda?

– Oczywiście.

– Jesteś samochodem?

– Nie.

– To dobrze. Barney jest u mnie, ma ostry ból w piersiach.

Nie mogę tutaj wezwać karetki. Chcę, żeby przyjechali do ciebie.

– Dobrze.

– Nie wiem tylko, jak go tam przetransportuję.

– Sprowadzę taksówkę, a przedtem wezwę pogotowie na Tara Road.

W tym momencie zabrzmiał donośnie rozdrażniony głos dziewczyny:

– Danny, zostaw ten telefon i chodź wreszcie do mnie! Czy pozbędziesz się towarzystwa?

– Tak – odparł krótko.

Szybko poradził sobie z nieproszonym gościem. – Przykro mi, Orla, skarbie. Skończyła się brandy... a ja mam do załatwienia sprawę niecierpiącą zwłoki.

– Dlaczego nazywasz mnie skarbem, skoro każesz mi się stąd wynosić...

W następnej chwili poczuła, że została lekko pchnięta w stronę drzwi. Danny zawezwał karetkę pogotowia i chwycił

marynarkę.

Orla słyszała, że podał swój domowy adres, na Tara Road.

– Ktoś zachorował? A może zaczął się poród? – spytała, zatrwożona jego napięciem.

– Do widzenia, Orla – powiedział.

Widziała jeszcze, jak biegnie ulicą i zatrzymuje taksówkę.

*

78

Twarz Barneya była bardzo blada, miała odcień popiołu.

Leżał w fotelu obok łóżka. Polly bezskutecznie usiłowała go ubrać.

– Nie kłopotz się krawatem – warknął Danny. – Zejdź na dół i każ taksówkarzowi przyjść na górę... musi mi pomóc znieść go po schodach.

Kobieta zawahała się przez moment.

– Barney nie życzyłby sobie, żeby ktokolwiek wiedział o jego sprawach...

– Na miłość boską, Polly, to tylko taksówkarz, a nie agent wywiadu. Barney musi zostać natychmiast

przewieziony na Tara Road.

McCarthy odezwał się, trzymając rękę mocno przyciśniętą do piersi:

– Nie rozmawiajcie o mnie, jak gdyby mnie tutaj nie było.

Lynch ma rację, sprowadź taksówkarza, Polly, najszybciej jak to możliwe. Dziękuję, że przyjechałeś – zwrócił się łagodnym tonem do Danny’ego. – Dziękuję za rozwiązanie problemu.

– Wszystko będzie dobrze, wrócisz do zdrowia. – Danny podtrzymywał na duchu starszego od siebie mężczyznę z serdecznością, na jaką nigdy nie byłoby go stać w stosunku do własnego ojca.

– Czy zajmiesz się należycie wszystkimi moimi sprawami?

– Za czterdzieści osiem godzin znowu sam będziesz miał

wszystko pod kontrolą – zapewnił Barneya.

– Ale w razie czego...

– W razie czego wszystkim się zajmę – obiecał pośpiesznie, wiedząc, że przyjaciel właśnie to chce usłyszeć.

W tym momencie zjawił się taksówkarz. Jeśli rozpoznał

twarz Barneya McCarthy’ego, nie dał tego po sobie poznać.

Niewłocznie sprowadzili we dwóch zwałistego mężczyznę, który wciąż odczuwał koszmarny ból w klatce piersiowej, po 79

stromych schodach ekskluzywnego bloku i przewieźli chorego pod inny adres, skąd miała go zabrać karetka. Nawet jeśli kierowca taksówki zorientował się w sytuacji, zbyt wiele widział

w życiu i zbyt długo pracował w swoim zawodzie, aby miał

komukolwiek pisać o tym słowo.

Hilary czekała w dużym, obskurnym pomieszczeniu przed salą porodową. Nie ustawała w wysiłkach, próbując skontaktować się z Dannym, lecz jak dotychczas bez skutku. Matka również nie odbierała telefonu. Hilary nie wiedziała, że Nora siedzi w swoim mieszkaniu z listem, w którym napisano, że jej życie zawodowe dobiegło końca.

Nora Johnson czuła się zbyt przybita, aby móc rozmawiać przez telefon. Najpierw musiała wziąć się w garść i postanowić, co dalej ze sobą począć.

– Danny! – Okrzyk ten poprzedził pojawienie się główki maleństwa.

Położna przemawiała do rodzącej, prawie nie słysząc własnego głosu:

– W porządku, Rio, już po wszystkim. Masz piękną i zdrową córeczkę.

Ria nigdy dotychczas nie odczuwała tak ogromnego zmę-

czenia. Danny nie był przy niej w chwili przyjścia na świat swojej córki. Wróżka miała rację; Ria rzeczywiście urodziła dziewczynkę.

Orla King była pewna, że z powodu alkoholu traci rozum.

Nie tylko dręczyły ją straszliwe wyrzuty sumienia, że usiłowa-

ła uwieść żonatego mężczyznę tej samej nocy, kiedy jego żona rodziła pierwsze dziecko, ale również poważnie zaniepokoił ją późniejszy chaos w głowie. Sądziła, że tego wieczora Ria znajdowała się w domu. Wyraźnie słyszała, jak Danny wezwał

80

karetkę na Tara Road. Potem dowiedziała się jednak, że Ria była z wizytą u siostry, kiedy chwyciły ją bóle porodowe. Obie musiały nawet poprosić sąsiadkę o podwiezienie do szpitala, ponieważ Hilary nie umie prowadzić samochodu. Orla uznała więc, że ma halucynacje i luki w pamięci. Postanowiła pójść na spotkanie Anonimowych Alkoholików.

Już pierwszego wieczora poznała tam niejakiego Colma Barry’ego. Ten przystojny mężczyzna był kawalerem i pracował w banku. Miał ciemne kręcone włosy oraz czarne smutne oczy.

– Nie wyglądasz na bankiera – stwierdziła Orla.

– I niezbyt dobrze się czuję w roli urzędnika bankowego.

Wolałbym być szefem.

– A mnie nie odpowiada posada maszynistki w agencji handlu nieruchomościami. Chciałabym być modelką albo piosenkarką – wyznała.

– Dlaczego nie mielibyśmy zostać tym, kim chcemy? –

spytał z uśmiechem Colm.

Nie była pewna, czy sobie z niej drwi, czy tylko jest miły.

Nie miało to znaczenia. Dzięki niemu te spotkania mogły stać się znośne.

Tego wieczora, kiedy Gertie zobaczyła, jak Jack podnosi wielką szczotkę, którą z łatwością rozłupałby jej głowę, chwyciła nóż i ugodziła nim narzeczonego prosto w ramię. Oboje patrzyli zaszokowani i zdumieni, jak na zrzuconą przez Jacka na podłogę paczkę z rybą i frytkami leje się

krę. Potem Gertie zdjęła z palca pierścioneł zaręczynowy, położyła go na stole, wzięła swój płaszcz i wyszła z domu. Z budki telefonicznej na rogu ulicy powiadomiła policję o tym, co zrobiła. W szpitalu Jack zapewnił wszystkich, że nieporozumienie miało charakter czysto rodzinny i nikt nikogo o nic nie będzie oskarżał.

81

Przez długi czas Gertie odmawiała widywania się z byłym narzeczonym, aż wreszcie, ku rozczarowaniu wszystkich, zgodziła się z nim spotkać jeden jedyny raz. Jack został zatrzymany podczas prowadzenia auta po pijanemu i w konsekwencji wyrzucono go z pracy. Gertie zastała utemperowanego i trzeź-

wego mężczyznę. Podczas rozmowy z nim przypomniwała sobie, za co go kiedyś pokochała. Pewnego ranka o ósmej rano poprosili dwoje obcych ludzi na świadków i pobrali się w zimnym kościele.

Gertie zrezygnowała z posady, zanim Polly Callaghan sama ją wyrzuciła. Kierownicze zbyt często zdarzały się nieobecności w pracy i nie było racjonalnego powodu, który uzasadniałby dalsze płacenie jej pensji. Jack miewał okresy abstynencji, jednak nigdy nie trwały one długo. Gertie w miarę upływu czasu stawała się coraz bledsza i coraz bardziej nerwowa. Otworzyła pralnię samoobsługową z pralkami automa-tycznymi na dole w tym samym budynku, gdzie mieszkali na piętrze, tuż za rogiem Tara Road. Dochody jednak wystarczały zaledwie na przeżycie.

Matka Gertie umyła ręce od wszystkiego i przestała interesować się sytuacją życiową córki. Wyraziła nadzieję, że jeśli Gertie znajdzie się w prawdziwych opałach, przyjaciółki okażą jej pomoc. Gertie miała tylko jedną przyjaciółkę, która często wyciągała ją z tarapatów, Rię Lynch.

Hilary Moran nigdy do końca nie wybaczyła Danny'emu Lynchowi, że tamtej nocy nie było go przy żonie. Och, słyszała jego wyjaśnienia; podobno musiał stawić czoło pewnej delikatnej sytuacji. Ria oczywiście nie żywiła do niego urazy. Nikt oprócz Hilary nie był świadkiem żalosego płaczu młodszej siostry, kiedy czekała na męża podczas długich godzin porodu.

Tym bardziej Hilary czuła się psychicznie podbudowana, że 82

ma za małżonka tak dobrego człowieka, jakim jest Martin.

Nieważne, że mógł nigdy nie osiągnąć oszałamiająco wysokiej pozycji Danny'ego Lyncha ani na pozór nie był tak łatwy we współżyciu jak szwagier. Za to zawsze można było na nim polegać i mieć pewność, że niezawodnie zjawi się tam, gdzie powinien być. Hilary wiedziała, że kiedy zaczną rodzić dziecko, mąż na pewno nigdzie się nie zawieruszy. Wciąż go-raćo wierzyła w to, że będą mieli potomstwo. Wróżka pomyliła się, twierdząc, że zamieszkają wśród drzew, mogła więc również być w błędzie, przepowiadając im bezdzietny związek.

Barney McCarthy powrócił do zdrowia po ataku serca.

Każdy uważał go za szczęściarza, że stało się to w momencie, kiedy miał przy sobie energicznego i zaradnego Danny'ego Lyncha, który niezwłocznie zawiózł go do szpitala. Teraz musiał tylko

prowadzić nieco bardziej oszczędny tryb życia.

Barney zamierzał wprowadzić Danny'ego we wszystkie swoje interesy, napotkał jednak nieoczekiwany opór ze strony rodziny. Zupełnie zresztą zrozumiały, jego zdaniem. Rodzina obawiała się, że młody pracownik stanie mu się zbyt bliski. I Barney doszedł do wniosku, że musi rozegrać całą sprawę bardziej dyplomatycznie i uspokoić wszystkich krewnych, że nie zamierza dopuszczać do interesów nikogo spoza ich grona.

Czasami miał wrażenie, iż córki szorstko się doń odnoszą, okazują mu mniej miłości niż dawniej i nie popierają go już we wszystkim bez zastrzeżeń. Barneya nie stać było na luksus zważania na czyjeś nastroje. Obie zawdzięczały mu wszystko, całymi latami harował, aby zapewnić im doskonałe wykształ-

cenie i dyplomy. I nawet jeśli dotarły do nich jakieś plotki o Polly Callaghan, nie było o co kruszyć kopii. Wiedziały, że nie zostawi Mony i że żaden wstrząs nie naruszy posad ich rodzinnego domu. Prowadzenie interesów z Dannym Lynchem 83

było prawdziwą przyjemnością dla McCarthy'ego; rozumiał

jednak, że przez wzgląd na innych, musi w przyszłości unikać okazywania nadmiernej zażyłości z tym młodym człowiekiem.

Dla Nory Johnson narodziny wnuczki były jednocześnie dniem, kiedy dowiedziała się o utracie pracy. Postanowiła, że nie powie o tym nikomu z rodziny, dopóki nie będzie miała innej posady, którą musiała znaleźć za wszelką cenę. Nie było to jednak łatwe i w pierwszych tygodniach życia Annie Lynch jej babkę spotykała odmowa za odmową. Kobieta w wieku pięćdziesięciu jeden lat, bez kwalifikacji, miała ograniczone możliwości zatrudnienia.

Zniechęcona i bez wielkiej nadziei, udała się na rozmowę do pewnej starszej damy, która szukała kogoś do pomocy i opieki. Staruszka mieszkała w olbrzymim domu przy Tara Road, a na terenie posesji znajdowała się dawna stajnia, przerobiona na mieszkanie. Rozmowa przebiegła nadspodziewanie dobrze, obie kobiety od razu przypadły sobie do gustu. Kiedy krewni starszej pani dowiedzieli się, że córka nowej opiekunki mieszka przy tej samej ulicy, zaproponowali Norze, aby zamieszkała w domku na stałe. Mogłaby sprzedać własne mieszkanie, odłożyć pieniądze i żyć spokojnie w sąsiedztwie Rii.

Pani Johnson chciała jednak wiedzieć, jakie ma zabezpieczenie na przyszłość – gdzie zamieszka, kiedy jej podopieczna opuści tę ziemię? Ustalono, że gdy nadejdzie ów dzień, Nora będzie miała zapewnione prawo pierwokupu domku – za umiarkowaną cenę.

Polly Callaghan zapamiętała wieczór narodzin Annie, ponieważ tej nocy sądziła, że straci Barneya na zawsze. Kochała go od dwunastu lat, od momentu, kiedy ukończyła dwudziesty piąty rok życia. Nie zastanawiała się nad wyrzeczeniami, jakie 84

ta miłość za sobą pociąga. Nie miała chwil wątplenia ani nie wyrzucała sobie, że głupotą jest angażować się w uczuciowy związek z mężczyzną, który nigdy nie będzie wolny.

Nie brała pod uwagę możliwości znalezienia sobie wolnego partnera, który z radością ofiarowałby jej dom i założył z nią rodzinę. Polly Callaghan, zachwycająca istota i kobieta sukcesu, mogła stać się obiektem zainteresowania niejednego mężczyzny.

Podobna myśl nigdy nie zaświtała jej w głowie. Wiedziała, że dzisiejszego wieczora o włos uniknęła nieszczęścia. McCarthy w ostatniej chwili został zawieszony na oddział intensywnej terapii. Obiecał zmienić tryb życia, zrezygnować z papierosów i brandy, a także więcej spacerować i pamiętać, że jest człowiekiem śmiertelnym. Polly od lat usiłowała to na nim wymóc. Żona Barneya dbała tylko o jego podniebienie i nigdy nie stawiała mu takich żądań.

A teraz otrzymał w końcu ostrzeżenie – przeżył wstrząs, który skłonił go do wprowadzenia zmian w dotychczasowych przyzwyczajeniach. Barney McCarthy był mężczyzną po czterdziestce i miał przed sobą wiele lat życia.

Polly była wdzięczna Danny'emu Lynchowi za jego szybkie działanie. Wdzięczna, a jednocześnie zawiedziona. Nie miała bowiem wątpliwości, że tamtego wieczora, kiedy do niego zatelefonowała, przyjmował w swoim biurze jakąś dziewczynę. Polly wyraźnie słyszała jej chichot. I choć uważała, iż ona sama jest ostatnią osobą, która miałaby prawo osą-

dziać mężczyzn za utrzymywanie pozamałżeńskich związków z kobietami, była zdania, że Danny jest za młody na prowadzenie podwójnego życia. Poza tym akurat tej nocy powinien siedzieć przy żonie, która rodziła ich pierwsze dziecko. Polly postanowiła jednak zachować filozoficzny stosunek do całej sprawy. Tacy już są mężczyźni.

85

Rosemary bardzo dobrze zapamiętała wieczór narodzin Annie Lynch, gdyż okazał się punktem zwrotnym w jej życiu.

Najpierw spotkała się z owym prostakiem, który z myślą o nocy z nią zarezerwował pokój w hotelu. Również w tym dniu niespodziewanie zwróciła uwagę na pewnego mężczyznę –

Colma Barry'ego – pracownika mieszczącego się nieopodal banku. Zawsze okazywał jej pomoc i aprobował sposób prowadzenia interesów przez młodą kobietę. Nigdy nie zalecał jej ostrożności i umiarkowania, choć na ogół taka właśnie była reakcja większości urzędników bankowych. Colm sprawiał

wrażenie rozczerwanego regułami obowiązującymi w bankowości. Szczerze wspierał Rosemary w jej ryzykownych przedsięwzięciach i podziwiał ją za przebojowość. Miał około trzydziestki i był wysokim mężczyzną o ciemnych kręconych włosach, które zachodziły mu na kołnierz.

– Bank nie pochwalił twojej decyzji – oświadczył nie bez satysfakcji.

– Czy bardzo obchodzi cię to, co myślą twoi szefowie? –

spytała Rosemary.

– Ani trochę. A czy ty przejmujesz się tym, co mówią ludzie? – odpowiedział pytaniem.

– W pracy tak. Klienci na widok młodej kobiety wciąż są skłonni prosić o rozmowę z mężczyzną. Stale muszę także zabiegać o zaufanie przyszłych kontrahentów. I w tym sensie przejmuję się cudzą opinią. Ale w żadnym innym.

Był miłym rozmówcą. Niektórzy mężczyźni, ci naprawdę darzący sympatią kobiety, potrafili w specyficzny sposób ich słuchać i patrzeć na nie. Mężczyźni pokroju Danny’ego Lyncha. Rosemary doszła do wniosku, że Colm ma smutne oczy, ale naprawdę go polubiła. Dlaczego kobiety zawsze muszą czekać na zaproszenie? Zaproponowała Colmowi Barry’emu 86

wspólną kolację.

– Z przyjemnością skorzystałbym z zaproszenia, ale niestety, mam dzisiaj zebranie – odparł ze smutkiem.

– Daj spokój, Colmie. Bank się nie zawali, jeśli raz nie będziesz na zebraniu.

– Nie, to spotkanie klubu AA.

– Czy to jakaś marka pojazdu?

– Nie, to klub Anonimowych Alkoholików – odparł z prostotą.

– Ach, tak.

– Nie przejmuj się. Można uważać mnie za szczęściarza, gdyż chodzę tam, gdzie otrzymuję wsparcie. I przez wzgląd na to jestem skłonny odmówić nawet tak pięknej blondynce jak ty.

– Wyjątkowo dzisiaj – odrzekła Rosemary z szerokim uśmiechem. – Będzie mnóstwo innych wieczorów, prawda?

– Oczywiście. Teraz jednak, kiedy znasz moją tajemnicę, możesz być mniej zainteresowana kolacją ze mną – powiedział

żartobliwym tonem.

Nie przeproszał; dawał jej tylko możliwość wycofania się z propozycji. Rosemary milczała wystarczająco długo, aby Colm uznał, że powinien się odezwać i definitywnie zakończyć sprawę.

– Oboje wiemy, że musisz znaleźć sobie kogoś... nazwijmy to: bardziej solidnego. Nie marnuj czasu na lekkoducha, jakim jest lubiący zaglądać do kieliszka urzędnik bankowy.

– Straszliwy z ciebie cynik – stwierdziła Rosemary.

– I realista. Będę cię obserwował z ogromnym zainteresowaniem.

– A ja ciebie – zapewniła.

Mona McCarthy na zawsze zapamiętała, co robiła w chwili, kiedy się dowiedziała, że Barney został odwieziony na od-87

dział intensywnej terapii. Była na strychu i wyciągała spod sterty rupieci kojec dla dziecka Rii Lynch. Dopiero co otrzymała telefon od zaniepokojonej Hilary Moran, która powiedziała, że siostra zaczęła rodzić i że wszędzie szukają Danny’ego. Pół godziny później on sam zatelefonował, zapewniając, że Barney czuje się dobrze, lecz lekarze na wszelki wypadek postanowili zrobić mu wszystkie badania. Zapewnił, że Mona może w każdej chwili przyjechać do szpitala i obiecał natychmiast wysłać po nią samochód.

– Gdzie to się stało? Czy to coś poważnego? – dopytywała się przestraszona.

Danny był opanowany i spokojny.

– Był u mnie, na Tara Road. Pracowaliśmy przez cały wieczór. Wszystko w porządku, Mono, wierz mi, twój mąż jest w dobrej formie. Kazał ci przekazać, żebyś się nie martwiła.

Kiedy tu przyjedziesz, sama się przekonasz, że nie ma powodu do obaw.

Od razu poczuła się lepiej. Ten Danny był zdumiewającym chłopcem. Zdołał ją uspokoić w chwili, kiedy pewnie sam odchodził od zmysłów, asystując żonie przy porodzie.

– Och, Danny. Cieszę się, że dziecko już się rodzi. Jak Ria?

– Co proszę?

– Siostra Rii zawiozła ją do szpitala, ona...

– A niech to diabli! Nie wierzę! – I się rozłączył.

– Danny?

Mona McCarthy nie wiedziała, co o tym wszystkim my-

śleć. Hilary twierdziła, że nie mogła go znaleźć na Tara Road.

A teraz mąż Rii mówił, że pracował w domu przez cały wieczór. Sytuacja była bardzo dziwna.

Ilekoć Mona McCarthy stykała się z jakimś niezrozumia-

łym wydarzeniem, zwykła powtarzać sobie, że nie jest detek-88

tywem i że prawdopodobnie istnieje jakieś rozsądne wytłumaczenie całej sprawy. A potem wyrzucała problem ze swych myśli. Odkryła, że to bardzo skuteczna metoda radzenia sobie z

dziwnymi sytuacjami, z jakimi od lat miała do czynienia. I wiedziała, że kiedy Barney odzyska zdrowie, nigdy go nie zapyta o szczegóły tamtego wieczora.

Podobnie jak nie dopytywała się, gdzie jadł kolację, gdy późno wrócił do domu, ani jak spędza czas w hotelach podczas swoich licznych podróży. A kilkakrotnie była nawet zmuszona zmienić temat rozmowy, aby mąż nie odniósł wrażenia, że ona dąży do poznania jego tajemnic albo do konfrontacji. Mona McCarthy była znacznie bardziej roztropna, niż ludzie przypuszczali.

Danny Lynch nigdy nie zapomniał szalonego pośpiechu, z jakim jeździł od jednego szpitala do drugiego. Ani pełnego wyrzutów wyrazu twarzy szwagierki. Oraz widoku swojej małej córki w ramionach zmęczonej i zapłakanej Rii.

Szlochał z twarzą ukrytą w ciemnych włosach żony, a potem ostrożnie wziął dziecko na rękę.

– Nigdy nie zdołam ci tego wynagrodzić, ale wierz mi, był

powód usprawiedliwiający moją nieobecność. – Ria, oczywi-

ście, odniosła się ze zrozumieniem do problemu. Danny musiał

zrobić to, co do niego należało. Skąd miał wiedzieć, że nadeszła jej pora?

Nie przypuszczał, że można aż tak kochać małą ludzką istotę, jaką była Annie. Miał zamiar przerobić dom przy Tara Road na pałac dla swojej małej księżniczki. Powtarzał, że księżniczki powinny mieszkać w pałacach.

– Nikt nie pomyślałby, że żyjemy w republice, słysząc twoje wywody! – żartowała Ria.

– Wiesz, o co mi chodzi. Całe nasze życie jest jak bajka –

89

odpowiadał jej mąż.

I pod wieloma względami rzeczywiście było.

Agencja otrzymywała coraz więcej zleceń. Dla Danny'ego oznaczało to mnóstwo ciężkiej pracy, lecz umiał sprostać wyzwaniom. Barney bardziej dyskretnie angażował się teraz we wspólne interesy.

Ria okazała się cudowną matką. Regularnie woziła nawet małą Annie samochodem w odwiedziny do dziadków na wieś.

Rodzice Danny'ego wydawali się tym bardzo wzruszeni. Jego matka robiła na drutach słodkie czapeczki dla dziewczynki, a ojciec rzeźbił dla niej małe figurki z drewna. Danny i starsi bracia nie dostawali w dzieciństwie ani ręcznie robionych czapeczek, ani drewnianych zabawek.

Danny miał piękną córkę i dom, o jakim człowiek z jego wykształceniem i pochodzeniem mógł

jedynie marzyć. Miał

także czułą i dobrą żonę.

Życie okazało się niezwykle łaskawe dla Danny'ego Lyncha.

Ria nigdy nie zapomniała o tym, że męża nie było przy niej w czasie narodzin dziecka, ale poznała historię o ocaleniu życia i reputacji Barneya McCarthy'ego. Danny nie mógł przewidzieć, że jego córka urodzi się wcześniej. Ria miała bardzo mieszane odczucia co do tego, jak bardzo chroniono Barneya, ażeby jego podwójne życie nie wyszło na jaw. I było jej przykro, że należy do grona ludzi, którzy oszukują kochaną Monę McCarthy.

Wszystkie te odczucia schodziły jednak na dalszy plan wobec jej miłości do córki. Ann Hilary Lynch ważyła w chwili narodzin siedem funtów oraz jedną uncję i była zachwycająca.

Podnosiła wzrok i ufnie patrzyła na matkę swoimi wielkimi oczami. Uśmiechała się do otaczających ją ludzi, którzy poda-90

wali sobie dziecko z rąk do rąk, tworząc wokół małej krąg za-chwyconych twarzy, a każdemu wydawało się, że jest dla niej kimś szczególnym.

Obawy i lęki, z których Ria zwierzała się siostrze, okazały się bezpodstawne. Znakomicie radziła sobie z dzieckiem, a w miarę upływu czasu Danny darzył ją coraz większą miłością.

Był oddanym ojcem i serce Rii wzbierało dumą, kiedy prze-chadzał się z córką po dzikim ogrodzie, którego dotychczas nawet nie próbowali uporządkować. Tyle było innych pilnych robót, a czasu mało.

Tak więc wychowywała pogodne dziecko w szczęśliwym domu. Jasne kosmyki prostych włosów opadały dziewczynce na oczy, podobnie jak ojcu.

Ria nie miała żadnych zdjęć z własnego dzieciństwa. Czę-

sto żałowała, że nie fotografowano jej, kiedy była małym brzdącem, a potem nastolatką. Oprócz okolicznościowych fo-tek z pierwszej komunii, bierzmowania i wizyty w zoo matka nie przechowywała żadnych pamiątek ukazujących jej dorasta-nie. Ria postanowiła, że w przypadku Annie będzie inaczej.

Wszystko zostało utrwalone – od pobytu w szpitalu po tryumfalny przyjazd na Tara Road, pierwsze Boże Narodzenie w domu i wszelkie inne ważne wydarzenia.

Ria uwieczniła również kolejne etapy renowacji budynku, aby wszyscy pamiętali o zmianach i żeby Annie nie dorastała w przekonaniu, że zawsze mieszkała w luksusowych warun-kach. Rii zależało na tym, by córka widziała, iż w pewnym sensie ona i dom jednocześnie się rozwijali.

Dzień przed położeniem dywanów i dzień potem; dzień, kiedy w końcu zdobyli japoński wazon, o którym Danny marzył i który, jego zdaniem, idealnie pasował do wnętrza, oraz tamten, gdy kupili

długie, atlasowe zasłony. Danny wypatrywał

je w oknach domu wystawionego na licytację. Zmierzyli je i 91

uznali, że doskonale się dla nich nadają. Danny wiedział, że dostaną je za bezcen; zawsze tak było, ilekroć spadkobiercy, najczęściej dalecy krewni, pozbywali się domu wraz z wszelkimi ruchomościami. Zależało im na szybkim opróżnieniu budynku. W takich wypadkach podczas licytacji ustalana była jednakowa cena dla całej grupy przedmiotów.

Rię czasami dręczyły z tego powodu wyrzuty sumienia; Danny jednak uważał, że są bezpodstawne. Rzeczy miały wartość jedynie dla tych, którzy chcieli je zdobyć.

Większość życia upływała im w przestronnej, ciepłej kuchni na dole. Codziennie trochę czasu spędzali jednak także we frontowym pokoju, który wyglądał dokładnie tak, jak to sobie wymarzyli. Ogromną przyjemność sprawiało obojgu wyszukiwanie kosztownych przedmiotów z myślą o jego wyposażeniu. Ilekroć Danny otrzymywał podwyżkę, wybierali się na zakupy. Nabyli stare świeczniki, które zostały przerobione na elektryczne lampy, kryształowe naczynia i francuski zegar.

Nie chcieli nikomu imponować. Jakiż miałyby to sens?

Miejsce to nie było salonem, jak pogardliwie zwykła nazywać frontowy pokój Hilary. Portrety w ciężkich ramach przedstawiały cudzych przodków, nie ich własnych – i nie udawali przed nikim, że jest inaczej. Duże płótna z podobiznami ludzi, o których zapomnieli ich bliscy, znalazły godne dla siebie miejsce – na ścianach frontowego pokoju Danny’ego i Rii.

Ria nie wróciła do pracy. Pozostanie w domu wydawało się z wielu powodów znacznie sensowniejszym rozwiązaniem.

Zawsze trzeba było kogoś dokądś odwieźć albo przywieźć. Raz w tygodniu pracowała w sklepie, z którego dochody przeka-zywano na cele dobroczynne, niektóre przedpołudnie spędzała w szpitalu, gdzie zabawiała dzieci przebywające tam razem z chorymi matkami, ponieważ nie znaleziono nikogo, kto by się nimi zajął.

92

Agencja Danny’ego mieściła się niedaleko od domu i czasami wpadał na Tara Road w porze lunchu, niekiedy tylko po to, żeby się trochę odprężyć i napić kawy. Barney McCarthy był teraz u nich częstym gościem. Z jakiegoś powodu on i Danny nie spotykali się już tak regularnie, jak przedtem, w mieście. Ria wiedziała o diecie Barneya i z myślą o jego zdro-wiu przyrządzała sałatkę oraz duszoną pierś z kurczaka.

Zawsze też zostawiała mężczyzn samych i nie przeszkadzała im w rozmowie.

Barney McCarthy zwykł mówić przy niej z podziwem:

– Szczęściarz z ciebie, Danny, że dostałeś taką dziewczynę za żonę. Mam nadzieję, że ją doceniasz.

Mąż nieodmiennie przytakiwał i w miarę upływu lat Ria Lynch umacniała się w wierze, że jest tak naprawdę. Przystojny Danny Lynch nie tylko ją kochał, lecz z czasem jego miłość do żony coraz bardziej się pogłębiała.

93

Rozdział 2

Matka Rosemary uważała, że Ria jest niezwykle sprytna.

– Nie rozumiem, dlaczego tak twierdzisz – zachnęła się Rosemary.

Dobrze wiedziała jednak, co jest powodem irytacji starszej pani. Ria wyszła za mąż i zrobiła całkiem niezłą partię. A tego właśnie chciała pani Ryan dla swojej córki. Atakując Rię Lynch, matka dawała upust własnemu rozczarowaniu.

– Była nikiem, pochodzi z osiedla domów czynszowych. A spójrz tylko, w jakim towarzystwie obecnie się obraca; bywa u McCarthych i mieszka w ogromnej rezydencji przy Tara Road

– prychnęła z dezaprobatą pani Ryan.

– Mówiąc szczerze, matko, potrafisz dostrzec wady u każ-

dego. – Rosemary już od wczesnego dzieciństwa nie wolno było nazywać jej „mama”, jak zwykły mówić do swoich rodzi-cielek inne dziewczynki, lecz „matką”. I od małego była prze-konywana, że należą do ludzi z klasą.

W miarę dorastania zrozumiała jednak, że ich codzienna rodzinna egzystencja daleka jest od życia w wielkim stylu. Tak zwana „klasa” pozostawała jedynie w sferze myśli, marzeń i wspomnień matki z czasów młodości, które budziły w niej rozgoryczenie, ponieważ mąż nie zdołał sprostać życiowym aspiracjom pani Ryan.

Ojciec Rosemary był kupcem. Wraz z upływem lat zwykł

coraz więcej czasu spędzać poza domem, w którym nigdy nie był mile widziany. Jego dwie córki dorastały, prawie go nie znając. Kojarzył się im z surowo zaciśniętymi ustami matki, która wiecznie wbijała dziewczynkom do głowy, że zawiódł je wszystkie.

Pani Ryan wiązała wielkie nadzieje ze swoimi dwiema 94

eleganckimi córkami. Wierzyła, że dobrze wyjdą za mąż i przywrócą należną jej pozycję w hierarchii społecznej Dublina.

Tym bardziej spotkał ją gorzki zawód, kiedy siostra Rosemary, Eileen, oświadczyła, że chce zamieszkać ze swoją koleżanką z pracy, niejaką Stephanie, gdyż są kochankami. Eileen nie zamierzała trzymać tego faktu w tajemnicy ani niczego upiększać. Żyją przecież w połowie lat osiemdziesiątych, a nie w czasach średniowiecza. Pani Ryan przepłakała wiele tygodni z tego

powodu, zastanawiając się, w którym momencie popełniła błąd. Jej starsza córka utrzymywała nienaturalne stosunki seksualne z kobietą! A jeśli chodzi o Rosemary, nic nie wskazywało na to, iż zwiąże się z mężczyzną, który będzie w stanie odmienić los ich wszystkich.

Nic zatem dziwnego, że oburzało ją szczęście Rii – zaradny mąż, duży dom w dzielnicy Dublina, która stawała się coraz modniejsza, oraz wstęp do najlepszych salonów stolicy dzięki poparciu McCarthych.

Przy pierwszej nadarzającej się sposobności Rosemary wyprowadziła się do małego mieszkania, odwiedzała jednak co tydzień swoją matkę, chociaż wizyty w rodzinnym domu nie należały do przyjemności. Musiała wysłuchiwać kazań oraz wymówek, że nie potrafi zapewnić sobie szczęśliwego losu.

– Jestem pewna, że sypiasz z mężczyznami – zwykła mawiać pani Ryan. – Matka potrafi wyczuć takie rzeczy. Głupio postępujesz, prowadząc rozwiązłe życie. Po co ktoś chciałby się z tobą żenić, skoro może cię mieć za darmo?

– Nie bądź śmieszna, matko – perswadowała jej córka, ani nie potwierdzając tych sugestii, ani im nie zaprzeczając.

Rosemary miała niewielu mężczyzn w swoim życiu –

trzech zaledwie. Wynikało to nie tyle z jej morale czy z wrodzonego sprytu, ile z powściągliwości oraz zachowywania dystansu w stosunkach z ludźmi.

95

Uprawianie seksu z pewnym Francuzem dostarczyło jej sporej przyjemności, nie czuła natomiast nic podczas zbliżenia z kolegą z biura. Dwa razy po pijanemu kochała się z pewnym znanym dziennikarzem po przyjęciach wydawanych z okazji świąt Bożego Narodzenia. On również za każdym razem miał

mocno w czubie. Nie przypuszczała, aby doświadczenia te były dla któregoś z nich czymś godnym zapamiętania.

Nie wyjawiała jednak matce żadnego z tych szczegółów.

– Któregoś dnia widziałam Rię, gdy wchodziła do hotelu

„Shelbourne”. Zachowywała się, jak gdyby była jego właścicielką – poinformowała córkę pani Ryan.

– Dlaczego tak jej nie lubisz, matko?

– Nie twierdzę, że jej nie lubię. Powiedziałam tylko, że dobrze to wszystko rozgrywa. Nic więcej.

– Przypuszczam, że owa gra ma przebieg raczej przypadkowy – zauważyła w zamyśleniu Rosemary.

- Ria nigdy nie przypuszczała, że tak dobrze ułoży jej się życie.
- Tego rodzaju kobiety są przewidujące. Nie zrobią kroku, dopóki się nie upewnią co do jego skutków. Sądzę, że była już w ciąży, kiedy wychodziła za mąż.
- Naprawdę nie wiem, matko – odpowiedziała ze znużeniem Rosemary.
- Na pewno wiesz. Miała szczęście, mógł ją przecież zostawić!
- Są bardzo szczęśliwym małżeństwem.
- Ty tak twierdzisz.
- Czy nie zechciałabyś wybrać się ze mną na lunch do „Quentina” któregoś dnia w przyszłym tygodniu?
- Po co?
- Po to, żeby się trochę rozerwać. Będziesz miała okazję, aby się elegancko ubrać i poobserwować sławnych ludzi, którzy tam bywają.

96

- To nie ma sensu, Rosemary. Wierzę w twoje dobre intencje, ale przecież nikt nas nie zna. Czy ktoś tam wie o naszym pochodzeniu? Będziemy dwiema anonimowymi kobietami w restauracji. W dzisiejszych czasach ludzie chcą tkwić w nurcie życia, a nie zadowalać się rolą obserwatorów.
 - Chodzę tam na lunch raz w tygodniu i lubię ten lokal.
- Jest dosyć drogi, ale nie jadam południowych posiłków przez pozostałe dni tygodnia, więc mój budżet nie ponosi na tym uszczerbku.
- Bywasz tam co tydzień i jeszcze nie znalazłaś męża?

Rosemary wybuchnęła śmiechem.

- Nie szukam męża. A w ogóle nie jest to odpowiednie do owego celu miejsce. Można tam jednak zobaczyć inny świat.

Zgódź się, proszę. Na pewno ci się spodoba, zobaczysz.

W końcu matka dała się namówić. Ustaliły, że wybiorą się w środę. Pani Ryan miała teraz na co czekać, gdyż świat, w którym żyła, nie oferował jej zbyt wielu przyjemności.

„U Quentina” Rosemary zwróciła uwagę matki na odosobniony stolik, przy którym umawiali się

ludzie dbający o dyskrecję. Pewien minister i jego przyjaciółka często jadal kolacje, a znani biznesmeni zwykli prowadzić tu rozmowy z pracownikami konkurencji, jeśli zamierzali zaproponować któreś muś posadę.

– Zastanawiam się, kto dzisiaj tam siedzi – powiedziała matka, podekscytowana przekazanymi przez córkę wiadomo-

ściami.

– Zerknę ukradkiem do tego kąta, kiedy będę szła do toalety – obiecała Rosemary.

Spostrzegła przy oknie Barneya McCarthy’ego i Polly Callaghan. Ci dwoje nigdy nie kłopotali się rezerwowaniem stolików niewidocznych z głębi sali – w świecie biznesu i tak wszyscy wiedzieli o łączącej ich zażyłości. Zauważyła też 97

dziennikarza, którego miała okazję poznać w dość szczególnych okolicznościach podczas owych przyjęć bożonarodzeniowych. Przeprowadzał wywiad z jakimś autorem i bazgrał

coś w notesie. Była pewna, że potem nie zdoła rozszyfrować swoich zapisków. Potem zobaczyła gwiazdora telewizyjnego i pokazała go matce, która odnotowała z zadowoleniem, że jest o wiele niższy i skromniejszej postury, niż się wydaje na srebrnym ekranie.

W końcu Rosemary wybrała się do toalety, celowo obierając niewłaściwą drogę, aby przejść obok odosobnionego stolika. Musiała mocno wyteżać wzrok, ażeby dostrzec, kto przy nim siedzi. Przeżyła wstrząs i poczuła się jak ogłuszona silnym ciosem, gdy ujrzała Danny’ego Lyncha w towarzystwie Orli King z dawnego biura handlu nieruchomościami.

– I kto tam był? – spytała pani Ryan, kiedy córka ponownie zajęła swoje miejsce.

– Nikt ważny, jacyś dwaj starzy bankierzy czy ktoś w tym rodzaju.

– Ludzie będący w centrum życia – powiedziała matka.

– Właśnie.

Ria nie mogła się doczekać, ażeby zademonstrować Rosemary działanie nowego ekspresu do cappuccino.

– To rzeczywiście magiczne urządzenie, ale ja nadal piję czarną kawę – powiedziała Rosemary, klepiąc się po szczupłych biodrach.

– Masz żelazną wolę – orzekła Ria, z podziwem mierząc wzrokiem przyjaciółkę.

Rosemary, wysoka blondynka, zawsze prezentowała się nienagannie – nawet po całym dniu pracy, kiedy wszyscy inni wyglądali już trochę nieświeżo.

– To podarunek od Barneya. Sam go przyniósł. Nie uwie-98

rzyłabyś, jak bardzo jest hojny.

– Musi cię wysoko cenić. – Rosemary w samą porę zdąży-

ła przykryć kolana kuchennym ręcznikiem, aby uchronić jasną spódnicę przed dotykiem lepkich paluszków małej Annie.

– Danny pracuje jak wół, całymi dniami.

– Ach tak? – rzuciła ponuro Rosemary.

– Jest straszliwie zmęczony, kiedy wraca do domu, i często zasypia w fotelu, zanim zdążę podać mu kolację.

– Wyobrażam to sobie.

– A jednak jego praca jest warta takiego poświęcenia. I on uwielbia działać. Pod tym względem jesteście do siebie podobni; ty też nie liczysz przepracowanych godzin, byleby tylko w końcu osiągnąć sukces.

– To prawda, czasami jednak biorę wolne. Rekompensatą za moje trudy są wyjazdy, jakie sobie funduję, do różnych sno-bistycznych miejsc.

Ria uśmiechnęła się z czułością, patrząc na fotel, w którym mąż zwykł zasypiać po całodziennej męczącej harówce.

– Myślę, że po pracowitym dniu Danny traktuje powrót do domu przy Tara Road jako nagrodę. Ma tutaj wszystko, czego tylko zapragnie.

– Oczywiście, że tak – przytaknęła Rosemary Ryan.

Hilary powiedziała Rii, że jedna z czwartoklasistek jest w ciąży. Zuchwały czternastoletni podłotek stał się niemal bohaterką dnia. Zazdrościły jej wszystkie dzieciaki, a personel szkolny uznał za imponujący fakt, że nie pojechała do Anglii na zabieg. Matka dziewczyny zadeklarowała się, że będzie chować dziecko jako własne, aby umożliwić córce kontynuowanie nauki. Niektórzy ludzie mogli błyskawicznie spłodzić dziecko, a inni, pozostający w trwałych związkach, którzy byliby gotowi dać swemu potomstwu dosłownie wszystko, nie 99

mieli tyle szczęścia. Hilary uznała to za rażącą niesprawiedliwość losu.

– Nie narzekam – powiedziała, choć rzadko zdarzało się jej robić co innego. – Ustalony przez Boga sposób na zachowanie rasy ludzkiej wydaje mi się jednak dość osobliwy. Należało oczekiwać, że będzie to coś bardziej rozsądnego. Na przykład obowiązek przedstawienia w specjalnie powołanych komisjach dowodów na to, że przyszli rodzice zdołają zapewnić dziecku przyzwoite wychowanie. Tymczasem w ciążę zachodzą nastolatki podczas spółkowania w szopach na rowery.

– W pewnym sensie masz rację – zgodziła się jej młodsza siostra.

– Nie spodziewałam się, że podzielisz moją opinię, zwa-

żywszy na pozytywne skutki twojej ciąży: małżeństwo z facetem o urodzie gwiazdora filmowego, dom niczym ilustracja z magazynu „Homes and Gardens”...

– Chyba trochę przesadziłaś, Hilary. – Ria roześmiała się głośno.

Pani Johnson często spacerowała po Tara Road ze swoją wnuczką, wożąc ją w wózku. Poznała już

sąsiadów i zdążyła się wszystkiego o nich dowiedzieć. Zadomowiła się w nowym lokum; starsza pani umarła i Nora, w myśl wcześniejszych ustaleń, kupiła od spadkobierców swoje małe, przerobione ze stajni mieszkanie pod numerem czterdziestym ósmym przy Tara Road. Ta niska, ciemnowłosa i energiczna kobieta o pta-sich rysach była źródłem wiadomości z każdej dziedziny. Ria nie mogła się nadziwić, jak wiele informacji o sąsiadach zdo-

łała zgromadzić jej matka.

– Wystarczy okazać odrobinę zainteresowania innym ludziom, to wszystko – zapewniła ją Nora.

Ria jednak wiedziała swoje: należało być skandalicznie 100

wścibskim i natarczywym. Matka opowiedziała jej o rodzinie Sullivanów spod numeru dwudziestego szóstego; on był dentystą, a ona prowadziła dobrze prosperujący sklep. Mieli o rok starszą od Annie córeczkę, o imieniu Kitty, która w przyszłości mogła stać się odpowiednią towarzyszką zabaw dla małej. No-ra wspomniała też Rii o domu starców pod wezwaniem świętej Rity, pod numerem sześćdziesiątym ósmym, gdzie zaglądała od czasu do czasu. Widok małego dziecka dobrze wpływał na starych ludzi, skłaniając ich do refleksji o ciągłości życia.

Wielu pensjonariuszy zbyt rzadko widywało własne wnuki i prawnuki.

Matka Rii korzystała z usług pralniczych w zakładzie Gertie. Zwykła mawiać, że chodzi tam w celach towarzyskich.

Mogła przecież używać pralki w domu Lynchów, jednak w miejscach takich jak publiczna pralnia zawsze coś się działo.

Nora twierdziła, że Jacka Brennana powinno się powiesić na pierwszej latarni. Według niej Gertie jest po trosze świętą, a po części idiotką, skoro znosiła życie z takim człowiekiem. Mały synek Gertie, John, spędzał większość czasu u swojej babki.

Nora dowiedziała się, że wystawiono na sprzedaż duży dom pod numerem pierwszym na rogu ulicy. Ludzie mówili, że można by otworzyć tam restaurację. Ach, dobrze byłoby mieć własną restaurację przy Tara Road! Matka Rii wyraziła nadzieję, że lokal nie będzie ekskluzywny, lecz dostępny dla wszystkich, choć raczej w to wątpiła. Stwierdziła ponuro, że ostatnio ta dzielnica robi się coraz bardziej modna.

Nora Johnson stała się wkrótce rozchwytywaną babysitter, wyprowadzała też chętnie psy na spacer i podejmowała się prasowania. Utrzymywała, że zawsze lubiła zapach czystych koszul, więc dlaczego miałyby rezygnować z dodatkowych zarobków.

Wiedziała z wyprzedzeniem, kto zamierza sprzedać swój 101

dom, a kto wybudować nowy. Zdaniem Danny'ego była nie-oceniona. Miała zawsze oczy i uszy szeroko otwarte. Dzięki informacjom teściowej zdołał przeprowadzić dwie korzystne transakcje handlowe. Nazywał ją swoją tajną bronią.

Przez wzgląd na Norę udawał o wiele większe zainteresowanie gwiazdami filmowymi, niż rzeczywiście je przejawiał.

Ria uwielbiała obserwować męża, gdy usiłował sobie przypomnieć, kto partnerował Grace Kelly w danym filmie albo też zagrał główną rolę męską w filmie Lana Turnera.

– Mama przypomina z urody Audrey Hepburn – zauważył

kiedyś.

– Bzdura, Danny – zachnęła się Ria.

– Naprawdę tak uważam. Widać podobieństwo w kształcie twarzy, a także w długiej szyi, czyż nie?

– Rzeczywiście. Łabędzia szyja mamy zawsze była przedmiotem zazdrości mojej i Hilary – przyznała mu rację.

– Właśnie to miałem na myśli. Mama wygląda identycznie jak Audrey Hepburn w filmie „Śniadanie u Tiffany’ego”.

Nora była zadowolona, choć nie dała tego po sobie poznać.

Danny Lynch był zawodowym uwodzicielem i nie miała zamiaru poddawać się jego urokowi. On jednak obstawał przy swoim i przyniósł fotografię Audrey Hepburn, na której aktorka podpiera dłonią brodę.

– Niech mama siądzie w tej samej pozie, a ja zrobię zdję-

cie. Same się przekonacie, że miałem rację. Proszę, Holly, po-deprzyj dłonią brodę...

– Jak mnie nazwałeś?

– Holly Golightly, to jedna z filmowych ról Audrey, a ty wyglądasz tak samo jak ona.

Od tej pory ilekroć się do niej zwracał, zawsze używał tego imienia.

Nora Johnson, która nie zamierzała ulec czarom zięcia, 102

była nim całkowicie zauroczona.

Rosemary chodziła do banku w piątkowe przedpołudnia.

Wzbudzała zachwyt w dziewczynach, które tam pracowały.

Cechował ją zawsze nienaganny wygląd i na pierwszy rzut oka można było odnieść wrażenie, że za każdym razem jest inaczej ubrana. Miała trzy dobrze skrojone żakiety oraz mnóstwo róż-

nych bluzek i apaszek, dlatego zawsze wyglądała odmiennie. I zajmowała ważne stanowisko w firmie

poligraficznej. Szef drukarni całkowicie na niej polegał przy podejmowaniu wszelkich decyzji finansowych. To ona ustalała wysokość zaliczki i zaciągała kredyty na zakup nowych urządzeń. To ona odbierała nadpłaty podatków i skrupulatnie przestrzegała terminów wszelkich płatności.

Urzędniczki patrzyły na Rosemary z zazdrością. Była w tym samym wieku co one, zdobyła już tak wysoką i odpowiedzialną pozycję. Czasami odnosiły wrażenie, że wpadł jej w oko Colm Barry, musiały się jednak mylić. Colm był ostatnim mężczyzną, za którym oglądałaby się kobieta pokroju Rosemary Ryan. Ten człowiek nie miał ambicji ani instynktu samozachowawczego, nawet jako pracownik banku. Nigdy nie ukrywał przed szefem, że nie pochwała zasad, jakimi kieruje się ta instytucja, ani że uczęszcza na spotkania klubu Anonimowych Alkoholików. A tego rodzaju rewelacje nie ułatwiały mu drogi do awansu. Rosemary z pewnością szukała na partnera kogoś ze znacznie większymi osiągnięciami. A jednak zawsze czekała na moment, gdy przy okienku Colma nie będzie nikogo, albo pytała o niego, jeśli był nieobecny.

Kiedy przychodziła do banku pod koniec każdego tygodnia, miała przygotowane wszystkie dokumenty. Stojąc w kolejce pewnego piątku, spostrzegła ze zdziwieniem Orlę King, która prowadziła ożywioną rozmowę z Colmem przy jego sta-103

nowisku. Orla niewątpliwie zaliczała się do ładnych dziewcząt, choć, zdaniem Rosemary, miała dość pospolity wygląd. Nosiła zbyt obcisły sweterek, zbyt kusą spódnicę i zbyt wysokie ob-casy. Mężczyzn nie raził jednak jej krzykliwy sposób ubierania się, a nawet im się podobał. Orla dostrzegła Rosemary, w chwili kiedy odchodziła od okienka. Twarz jej się rozjaśniła.

– Kogo ja widzę? Czyż świat nie jest mały? Zaledwie wczoraj rozmawiałam o tobie.

Rosemary zmierzyła ją chłodnym spojrzeniem, zmusiła się jednak do sztywnego uśmiechu. Orla musiała pamiętać, że została przez nią zauważona przy „dyskretnym” stoliku „U Quentina”.

– W samych superlatywach, mam nadzieję? – spytała lekkim tonem.

– Tak. Rozmawialiśmy o tobie z podziwem, a jednocześnie ze zdumieniem. Dlaczego tak piękna kobieta, jak ty, dotychczas nie wyszła za mąż? To był główny, nurtujący wszystkich problem.

– Wybraliście sobie dość niezwykły temat do konwersacji

– zauważyła cierpko Rosemary.

Orla zdawała się nie zauważać jej tonu.

– Jesteś bardzo popularna i nawet ci, którzy cię nie znają, wiedzą, kim jesteś. Wszyscy z zaciekawieniem słuchali o tobie.

– Cóż, widać życie tych ludzi musi być bardzo puste –

stwierdziła Rosemary.

– Och, wiesz, jaki przebieg mają zwykle takie rozmowy.

Nikt nie myślał nic złego.

– Och, jestem tego pewna, bo dlaczego miałyby być inaczej? – Głos Rosemary zabrzmiał tak pogardliwie, że każdy na miejscu Orli poczułby się speszony, lecz nie ona.

– Wyjaśnij mi, dlaczego, Rosemary? – Dziewczyna nie dawała za wygraną.

104

– Zapewne dlatego, że podobnie jak ty nie trafiłam jeszcze na odpowiedniego mężczyznę. – Rosemary miała nadzieję, że jej głos nie odzwierciedla lodowatego chłodu, jaki ją przeniknął.

– Ja jestem rozrywkową dziewczyną, a nie poważną kobietą, za jaką ty uchodzisz.

– Obie mamy niewiele ponad dwadzieścia lat, Orla. I chyba nie grozi nam jeszcze staropanieństwo.

– To prawda. Jednak mężczyzna, z którym rozmawiałam –

a mówił to ze szczerego serca i w niczym nie zamierzał ci uchybić – jest zdania, że powinnaś czym prędzej rozejrzeć się za jakąś dobrą partią. Już wkrótce milionerzy będą szukali młodszych od ciebie piękności i wybiorą przyszłoroczne, jeśli się nie pośpieszysz.

Orla zaśmiała się beztrąsko. Nie zamierzała obrazić swojej rozmówczyni. Kobieta tak urodziwa jak Rosemary musiała uznać tę uwagę za żart i nie mogła jej potraktować poważnie.

Twarz Rosemary pozostała jednak zimna. Dokładnie to samo powiedział jej Danny żartobliwym tonem zaledwie kilka dni temu podczas niedzielnego lunchu na Tara Road. Rosemary nie przejęła się wtedy zbyt ową opinią, ale teraz tak. Poczuła do niego ogromny żal o to, że mówił takie rzeczy do Orli King podczas wczorajszego lunchu.

Dziewczyna śpieszyła się do pracy i miała wszystko w nosie.

– Do zobaczenia we wtorek wieczorem, Colmie! – zawo-

łała.

– Czyżbyś spotykał się z uroczą panną King? – zwróciła się Rosemary do Colma.

– Tak, w pewnym sensie – odparł mgliście.

Rosemary zrozumiała, że chodzi o zebrania klubu Anonimowych Alkoholików. Ludzie ci dość chętnie opowiadali o 105

własnym uzależnieniu, ale nigdy nie dyskutowali na temat innych. Była zadowolona, że Colm nie stracił głowy dla obcisłego sweterka ani spódnicy opinającej małe krągłe pośladki.

– Okazuje się, że Dublin to bardzo małe miasteczko, nie sądzisz? Wcześniej czy później można się dowiedzieć wszystkiego o wszystkich. – Stwierdzenie to miało jedynie na celu podtrzymanie rozmowy, Rosemary dostrzegła jednak wyraz czujności na twarzy mężczyzny.

– Co masz na myśli? – spytał.

– Tylko to, że w Londynie czy w Nowym Jorku nie znalazłoby się połowy osób stojących w kolejce do okienka bankowego, to wszystko.

– Jasne. A skoro o tym mowa, odchodzę stąd pod koniec miesiąca.

– Naprawdę? A dokąd cię wysyłają, Colmie?

– Jestem dzielny jak lew. Definitywnie porzucam bankowość.

– To rzeczywiście odważna decyzja. Będą pożegnalne drinki? – spytała i w tej samej chwili ugryzła się w język.

– Nie, ale powiem ci, w jaki sposób to uczymy. Zamierzam otworzyć restaurację przy Tara Road. Gdy tylko zacznie działać, zaproszę cię na lunch.

– A wiesz, co ja zrobię? Wydrukuję dla ciebie w prezencie zaproszenia na otwarcie lokalu – obiecała.

– Umowa stoi – powiedział i serdecznie uścisnęli sobie dłonie. Miał uroczy uśmiech.

Rosemary z zalem pomyślała o tym, że Colm należy do ludzi, którzy zawsze przegrywają. Potrafił kojąco działać na innych, to prawda. Ale pomysł z restauracją na Tara Road? On chyba postradał rozum. Ulica zaliczała się do miejsc mało ru-chliwych i nie było tam żadnych pasaży handlowych. Przedsięwzięcie z góry wydawało się skazane na niepowodzenie.

106

Danny i Barney McCarthy wybierali się w okolice sąsiedzące z rodzinnym domem Danny'ego, aby obejrzeć tamtejsze nieruchomości, które właściciele zamierzali wystawić na sprzedaż.

– Może pojedziemy razem i zabierzemy ze sobą Annie w odwiedziny do dziadków? – zasugerowała Ria.

– Nie, Rio. Nie tym razem. Będę przez cały czas zajęty oglądaniem tych budynków, sporządzaniem notatek oraz rozmowami z właścicielami nieruchomości, którym zależy na szybkim sfinalizowaniu transakcji. Spotkania w hotelu prawdopodobnie całkowicie wypełnią mi czas.

– Ale chyba znajdziesz wolną chwilę, żeby zobaczyć się z rodzicami?

– Znajdę, a może nie. Dobrze wiesz, że czasem pięciominutowa wizyta może sprawić większą przykrość, niż gdyby wcale się nie odbyła.

Ria nie dawała za wygraną.

– Mógłbyś wyjechać o kilka godzin wcześniej.

– Muszę dostosować się do Barneya, skarbie.

Wiedziała, że nie powinna nalegać.

– Dobrze. Kiedy pogoda się poprawi, zawiozę Annie do dziadków. Możemy wtedy wybrać się do nich razem.

– Co mówisz? Ach tak, wspaniały pomysł.

Wiedziała jednak, że Danny nie odwiedzi rodziców. Dawno temu oddalił się od nich i nie należeli już do jego życia.

Czasami determinacja, z jaką mąż, nie zważając na nic, dążył

do celu, wydawała się Rii zagadkowa i nieco ją zatrważała.

– Czy nie pojechałabyś ze mną na wieś w odwiedziny do rodziców Danny’ego? – spytała matkę.

– Może bym i pojechała. Czy Annie nie choruje w aucie?

– Ależ nie! Czuje się świetnie i uwielbia jeździć samocho-

dem. Upieczesz dla nich szarlotkę?

– Po co?

– Och, mam, po to, żeby im sprawić przyjemność. Będą za wszystko przepraszać. Wiesz, że już tacy są. I jeśli przywiozę zbyt wiele wiktuałów, poczują się zakłopotani. Ale twoja szarlotka zostanie przez nich przyjęta z wdzięcznością.

– Jesteś bardzo skomplikowaną kobietą, Rio. Zresztą zawsze taka byłaś – stwierdziła Nora.

Chętnie jednak upiekła ciasto i nawet ozdobiła je fantazyjną kratką.

Ria napisała wcześniej do starszych państwa, uprzedzając ich o wizycie i Lynchowie oczekiwali ich przyjazdu. Ucieszyli się na widok małej Annie, a Ria zrobiła im zdjęcie z wnuczką.

Zamierzała dołączyć je do innego, oprawionego w ramkę, które podarowała teściom wcześniej. Pomimo dystansu i rezerwy dziadków mieli stać się częścią życia dziewczynki i jej przyszłości. Ria powzięła w tej sprawie mocne postanowienie.

Nigdy nie widzieli swojego wnuka, który mieszkał w Anglii, bo Rich nie odwiedzał rodzinnego domu. Usprawiedliwiali go, tłumacząc, że wymagałoby to zbyt wiele zachodu. Ria nie mogła pojąć,

dłaczego mężczyzna, któremu tak dobrze się wiodło w Londynie, nie mógł ani razu przyjechać do domu, aby pokazać rodzicom swego syna.

Rosemary uważała, że powinna dać sobie z tym spokój i być wdzięczna losowi za to, że krewni jej męża nie są dokuczliwi. Ria postanowiła jednak, że będzie utrzymywać z teściami bliskie kontakty.

Podali jak zwykle szynkę na zimno, pomidory oraz chleb ze sklepu.

– Sądziś, że powinnam podgrzać szarlotkę? – zapytała z obawą pani Lynch, jak gdyby stanęła przed nie lada problemem. Jak to możliwe, że ci bojaźliwi ludzie spłodzili Dan-108

ny'ego Lyncha, który podróżował po całym kraju z Barneyem McCarthym? Pewnego siebie, młodego mężczyznę, negocjującego ceny domów z biznesmenami oraz przedstawicielami ziemiańskich rodzin, przed którymi jego rodzice zdejmowaliby czapki z głów i uginali kolana?

– Wiemy, że byłaś w tej okolicy przed kilkoma tygodniami. Dlaczego nas nie odwiedziłaś? – zwrócił się do niej z pytaniem ojciec Danny'ego.

– Nie było mnie tutaj. Może Danny bawił w tych stronach, ale musiał całymi dniami towarzyszyć Barneyowi McCarthy'emu.

Ria zdenerwowała się trochę. Przewidywała, że w jakiś sposób się o tym dowiedzą. Danny'ego dzieliło od domu zaledwie kilka mil. Czy nie mógł choć na godzinę wpaść do rodziców?

– Kiedy byłem w mleczarni, Marty, którego córka pracuje w hotelu, powiedział mi, że zatrzymaliście się tam oboje.

– Nie, Danny był tam razem z Barneyem – wyjaśniła ze spokojem Ria. – Córka Marty'ego musiała się pomylić.

– Och, pewnie tak – zgodził się teść i sprawa najwyraźniej przestała go interesować.

Ria wiedziała, co wprowadziło tę dziewczynę w błąd: Barney zabrał ze sobą Polly na wycieczkę. I to był powód nieporozumienia.

We wrześniu 1987 roku, tuż przed czwartymi urodzinami Annie, na Tara Road zaplanowano przyjęcie dla dorosłych.

Ria i Danny sporządzali listę zaproszonych, a Rosemary, częsty gość w ich domu, była przy tym obecna.

– Pamiętajcie o zaproszeniu dla mnie kilku milionerów.

Zbliżam się do końca terminu przydatności do spożycia – żartowała.

– Ach, co to będzie za data! – zaśmiała się Ria.

– Mówię poważnie, czy Barney nie ma żadnych przyjaciół?

– Nie. To same rekiny. Nie polubiłabyś ich, Rosemary – powiedział ze śmiechem Danny.

– W porządku, kogo jeszcze macie na liście?

– Gertie – odrzekła Ria.

– Nie! – zaprotestował Danny.

– Oczywiście, że Gertie – obstawała przy swoim jego żona.

– Nie możecie urządzać przyjęcia i nie zaprosić Gertie – poparła przyjaciółkę Rosemary.

– Ten narwaniec Jack Brennan będzie szukał okazji do awantury albo butelki brandy, a niewykluczone, że jednego i drugiego – zżymał się Danny.

– Zaprośmy ich. Już nieraz dawaliśmy sobie z nim radę – powiedziała Ria.

Na liście figurowali jeszcze lokatorzy, którzy i tak siedzieli w domu, a poza tym byli sympatyczni. Należało zaprosić również Martina i Hilary. Ria i Danny wiedzieli, że nie przyjdą, ale wręczenie zaproszenia było konieczne. Ria przewidywała też, że matka wpadnie na pół godziny i zostanie do późnej nocy.

– No i oczywiście będą Barney i Mona – oświadczyła.

– Raczej Barney i Polly – sprostował Danny.

I po chwili wahania, która nie trwała dłużej niż dwie sekundy, Ria dopisała imiona MacCarthy'ego z kochanką.

– Jimmy Sullivan, dentysta, oraz jego żona – zasugerowała. – Zaprośmy także Orłę King.

Zarówno na twarzy Rosemary, jak i Danny'ego pojawił się grymas.

– Ma zbyt duże skłonności do alkoholu – stwierdziła Rosemary. – Jest nieobliczalna.

- Chodzi ostatnio na zebrania klubu Anonimowych Alkoholików, ale rzeczywiście trudno przewidzieć, co jej strzeli do głowy – przyznał Danny.
- Ja ją lubię. Jest zabawna. – I Ria wciągnęła Orłę na listę.
- Możemy również zaprosić Colma Barry’ego, faceta, który zamierza otworzyć restaurację w narożnym domu.
- Marzyciel – uznał Danny.
- Zrobi to, zobaczysz. Drukuję dla niego zaproszenia na wieczór otwarcia.
- Może to być również wieczór zamknięcia – zadrwił. Rosemary zirytowała się, że tak od razu zdyskredytował Colma.

Była na punkcie Barry’ego wrażliwa, a może nawet nieco przeczulona. Postanowiła powiedzieć coś, co by trochę podrażniło próżność pana domu.

- Zaprośmy go, Rio, pomimo wszystko. Robi słodkie oczy do Orli King, zresztą jak wszyscy faceci, którzy nie widzą niczego poza wypiętymi cyckami i tyłkiem.

Ria zachichotała.

- Widzę, że wszystkie mamy skłonności do swatania –
zauważyła trafnie.

Rosemary poczuła ogromne pragnienie, aby uderzyć przyjaciółkę. Z całej siły. Stała przed nią pewna siebie i zadowolona ze statusu mężatki. Bezgranicznie ufała mężowi i nawet nie przyszło jej do głowy, że taki mężczyzna jak Danny może się podobać wielu kobietom. Niewykluczone, że Orla King wcale nie była jedyną aktorką na tej scenie. Ale czy Ria zrobiła cokolwiek, ażeby podtrzymać zainteresowanie małżonka swoją osobą?

Oczywiście, że nie. Zappełniła ich przestronną kuchnię ludźmi, kamiennymi rondlami oraz tacami tuczających ciastek.

Polerowała meble, które kupowała na aukcjach do frontowego pokoju, ale przepiękny stolik był wiecznie zawalony katalogami i gazetami.

Nigdy nie wpadła na pomysł, żeby włożyć ładną sukienkę, zapalić świece i podać mężowi kolację w salonie.

Przez ogromną kuchnię, w której wiecznie panował har-mider, przewijała się połowa mieszkańców ulicy. Tam też znajdował się fotel, w którym Danny zwykł zasypiać, gdy wracał do domu z miejsc, do których zawiodły go codzienne sprawy. Rosemary z podziwem przyglądała się uśmiechniętej twarzy

Danny'ego. Stał w kuchni swego ogromnego domu, trzymając na rękach śliczną córeczkę, a żona w tym czasie planowała dla niego przyjęcie. Był niezwykle pewny siebie, skoro nie zawahał się zawieźć swojej kochanki do miejscowo-

ści, którą od rodzinnego domu dzieliła odległość zaledwie kilku mil. I to w obecności Barneya McCarthy'ego! Rosemary słyszała zabawną opowieść o tym, jak teść Rii wyciągnął

błędne wnioski z przekazanej mu informacji. Dlaczego niektó-

rzy ludzie byli takimi szczęściarzami i wszystko uchodziło im na sucho? Życie jest bardzo, ale to bardzo niesprawiedliwe.

Ria spędziła dzień i noc, gotując i piekąc, gdyż chciała wyprawić prawdziwą ucztę. Dwukrotnie odrzuciła zaproszenie Mony McCarthy, pamiętając, ażeby się nie wygadać przed tamtą, co właśnie robi. Było jej przykro, że musi oszukiwać tę przemiłą kobietę, która okazała jej tak wielką życzliwość.

Danny pozostał jednak w owej kwestii nieugięty. Był pewien, że obecność na przyjęciu sprawi ogromną przyjemność Polly. I zapewnił, że nikt nie wspomni przy Monie o planowanej imprezie.

Matka Rii orientowała się w sytuacji, nie było więc powodu do obaw, że wymknie jej się jakaś niestosowna uwaga.

Mieszkając blisko córki, często przebywała u Lynchów i wiedziała o wszystkim, co dzieje się w ich domu. Nora Johnson nigdy jednak nie przychodziła do nich w porze posiłków.

112

Zwykła mawiać, że przez to goście stają się niemile widziani.

Tak więc zjawiała się tuż przed lunchem lub zaraz po obiedzie i ociągając się z wyjściem, dzwoniła kluczami i zapowiadała następną wizytę. Sytuacja stałaby się o wiele prostsza, gdyby przyszła i normalnie usiadła przy stole, jak wszyscy. Ria wzdychała z tego powodu, ale cierpliwie znosiła dziwactwa swojej matki. Poza tym miło było mieć przy sobie kogoś, kto orientował się we wszystkim, na przykład znał rodzinną sytuację Barneya McCarthy'ego.

– Przymknij oczy na ten układ, Rio – niejednokrotnie radziła córce Nora. – Chyba rozumiesz, że niektórzy mężczyźni mają swoje potrzeby.

Gdy chodziło o matkę, owa wyrozumiałość i tolerancja były czymś niezwykłym, gdyż zazwyczaj kwitowała pogardliwym prychnięciem potrzeby innych ludzi. Nora Johnson była jednak kobietą praktyczną. Powiedziała kiedyś Rii i Hilary, że prędzej wybaczyłaby zmarłemu mężowi zaspokajanie na boku swoich męskich żądzy niż to, czego nie zrobił: nie wykupił polisy ubezpieczeniowej na życie, a jej nie zapewnił przy-zwoitej renty.

– Musimy mieć mnóstwo napojów bezalkoholowych – zakomunikowała Ria Danny'emu w dniu przyjęcia rano.

- Jasne, przede wszystkim dla Orli i Colma – zgodził się jej mąż.
- Skąd wiedziałeś, że ona chodzi na spotkania AA? – spytała.
- Nie miałem o tym pojęcia. Czy to nie ty przypadkiem wspomniałaś o tym? A może Rosemary? Na pewno któraś z was.
- Nie mogłam ci o tym mówić, ponieważ o niczym nie wiedziałam – odrzekła Ria.
- Ja też nie – zapewnił ją Danny.

113

Traf sprawił, że tego wieczora Orla całkowicie wypadła z roli. Przyszła dość wcześnie; była pierwszym gościem i zastała Danny'ego Lyncha w kuchni na czułych uściskach z żoną, z którą, o czym niejednokrotnie dziewczynę zapewniał, już nic go nie łączyło. A ów dom, gdzie Danny rzekomo się dusił, był

przytulny, ciepły, gościnny i niebawem miał się zapełnić ich przyjaciółmi. Mała dziewczynka w nowej sukience biegała po pokojach, zawiadamiając wszystkich, że niebawem skończy cztery lata, i myślała, że przyjęcie wydano z okazji jej urodzin.

Nieustannie też czepiała się ręki swojego taty. Nie takiego widoku Orla się spodziewała. Doszła do wniosku, że musi pomóc sobie whisky.

Kiedy przybył Colm, była już całkiem pijana.

- Pozwól, że cię odprowadzę do domu – błagał.
 - Nie! Nie życzę sobie, żeby ktokolwiek prawil mi kazania
 - oświadczyła Orla z twarzą mokrą od łez.
 - Nie prawię ci kazań. Zostanę z tobą. Zrób to dla mnie – nalegał.
 - Nigdzie nie pójde. Ja podtrzymywałabym ciebie na duchu, gdyby twój facet zachował się tak po świńsku. I napiłabym się z tobą, gdyby okazał się takim cholernym hipokrytą.
- Oto, co bym zrobiła. Na pewno też nie wygłaszałabym świętoszkowatych frazesów o siłach wyższych.
- Ja nie mam faceta – zażartował niepewnie.
 - Ty nie masz nikogo i niczego, Colmie, i na tym polega twój problem.

– Być może masz rację – przyznał.

– A gdzie się podziewa twoja siostra?

– Dlaczego pytasz?

– Ponieważ to jedyna istota ludzka, która cokolwiek cię obchodzi. Podejrzewam nawet, że z nią sypiasz.

114

– Nie zranisz mnie w ten sposób ani nie pomożesz sobie, Orlo.

– Nigdy nikogo nie kochałeś.

– Kochałem. – Colm dostrzegł stojącą obok Rosemary i spojrzał na nią błagalnym wzrokiem. – Może spróbujemy się –

dowiedzieć, kto jest owym facetem, w którym jest taka zako-chana?

– Nie, to byłoby wyjątkowo niewłaściwe – oświadczyła.

– Dlaczego?

– Ponieważ to gospodarz – odrzekła krótko.

– Rozumiem. – Colm uśmiechnął się smutno. – Co więc proponujesz?

Rosemary nie marnowała czasu.

– Kilka kolejnych drinków, aby całkowicie urwał jej się film.

– Nie mogę się na to zgodzić, naprawdę nie mogę.

– W porządku. Odwróć wzrok, a ja się tym zajmę.

– Nie!

– Odejdź, Colmie. Nie nadajesz się na mojego pomocnika.

– Bierzesz mnie za słabeusza.

– Ależ nie, na miłość boską. Należysz do AA i nie wypada, żebyś upił do nieprzytomności swoją koleżankę z klubu. Tak więc ja to zrobię.

Odsunął się na bok i patrzył, jak Rosemary nalewa dużą porcję whisky.

– Proszę, napij się, Orla, dzisiaj jest wyjątkowa okazja.

Chyba wam nie zabraniają wypić, jeśli ktoś robi to sporadycznie. Jutro obejdiesz się bez alkoholu, zobaczysz, dzisiaj jednak potrzebujesz drinka.

– Kocham go – chlupała dziewczyna.

– Wiem, że go kochasz, ale on jest kłamcą. Zabrał cię do

„Quentina”, a potem na wieś do hotelu razem z Barneyem, a 115

teraz w twojej obecności odgrywa rolę wzorowego męża. To nieuczciwe.

– Skąd wiesz o tym wszystkim? – Orla ze zdumienia otworzyła szeroko usta.

– Sama mi o tym powiedziałaś, nie pamiętasz?

– Nie mogłam ci tego powiedzieć. Przyjaźnisz się z Rią.

– Ależ opowiedziałaś mi o wszystkim, bo skąd bym znała takie szczegóły?

– Kiedy o tym mówiłam... ?

– Przed chwilą. Usiądźmy sobie we wnęce okiennej na półpiętrze, tam nikt nie będzie nam przeszkadzał. Napijemy się razem.

– Nie cierpię rozmawiać na przyjęciach z kobietami.

– Wiem, Orla. Ja też tego nie znoszę. Nie zajmę ci dużo czasu. Potem przyślę do ciebie jednego z tych miłych chłop-ców, którzy mieszkają na górze. Dopytywali się o ciebie i chcieli wiedzieć, kim jesteś.

– Naprawdę?

– Tak, wszyscy bez wyjątku. Szkoda, żebyś marnowała swój czas dla kogoś takiego, jak Danny Lynch, ten zawodowy kłamca.

– Masz rację, Rosemary.

– Oczywiście, że mam. Posłuchaj mnie.

– Zawsze uważałam cię za sztywniaczkę, wybacz.

– Przesadzasz. Zawsze okazywałaś mi dużo sympatii. Rosemary odeszła, ażeby poszukać młodych ludzi, wynajmują-

cych pokoje w domu Danny’ego i Rii.

– Na półpiętrze siedzi pewna chętna panienska i ciągle się dopytuje, gdzie są ci przystojni chłopcy, na których natknęła się zaraz po przyjściu.

Colm wyłonił się z kąta.

– Powinnaś pracować w Organizacji Narodów Zjednoczo-116

nych – zauważył.

– Ale nie masz na mnie ochoty? – spytała figlarnie.

– Za bardzo cię podziwiam i bałbym się ciebie.

– W takim razie nie będę miała z ciebie żadnego pożytku.

– Roześmiała się i delikatnie pocałowała go w policzek.

– Nie śpiam z moją siostrą, chyba wiesz o tym.

– Podobna myśl nawet nie przyszła mi do głowy. Sądzisz, że nie wiem o twoim romansie z żoną właściciela pubu?

– Jak się o tym dowiedziałaś? – Był zdumiony.

– Powiedziała ci już, że Dublin to bardzo małe miasteczko i nie ma tu tajemnic, których bym nie odkryła – odpar-

ła ze śmiechem.

Nora Johnson powiedziała później, że zdumiało ją to, jak wiele drinków potrafią wypić młodzi ludzie o świeżych twarzach. I czyż nie było przynajmniej dziwne zachowanie owej ładnej, bardzo pijanej dziewczyny, która na wszystkich krzyczała? A potem poszła do pokoju jednego z lokatorów. I cóż za zabawny zbieg okoliczności, że ktoś otworzył drzwi i wszyscy mogli ich zobaczyć w łóżku? Danny jednak nie widział w tym nic zabawnego. Widocznie Orla nie była przyzwyczajona do mocnych trunków i alkohol źle na nią podziałał. Na pewno nie zamierzała pójść do łóżka z tym chłopakiem. Nie postępowała zazwyczaj w ten sposób.

– Och, daj spokój, Danny. Może ją mieć każdy, wszyscy w agencji o tym wiedzieliśmy – oznajmiła Rosemary pozbawionym emocji głosem.

– Ja nie wiedziałem. – Był wyraźnie zdenerwowany.

– Ale to prawda – zapewniła go i wymieniała z pół tuzina nazwisk.

– Wspomniałaś niedawno, że spodobała się także Colmowi Barry’emu? – przypomniała sobie Ria.

117

– Och, tak mi się wydawało przez jakiś czas, ale nie po widowisku, jakie zrobiła z siebie wczorajszego wieczora.

Rosemary chyba wiedziała o wszystkim. Danny miał ponurą minę.

– Źle się wczoraj bawiłeś? – Ria z zaniepokojeniem spojrzała na męża.

– Ależ nie, bawiłem się świetnie.

Wydawał się jednak roztargniony i nieobecny myślami.

Wczorajsze zachowanie Orli zaskoczyło go, a nawet napełniło trwogą. Barney potraktował go niespodziewanie chłodno i ka-zał mu natychmiast dyskretnie wyprowadzić dziewczynę z przyjęcia. A Polly zmierzyła go chłodnym wzrokiem, jak gdyby złamał jakąś regułę.

Ów śliski Colm Barry nie okazał się szczególnie towarzyski. Chłopcy, którzy wynajmowali u nich pokoje, nawet nieźle przez jakiś czas się spisywali, lecz dlaczego, na Boga, ktoś zostawił otwarte drzwi do sypialni? Jedyne Rosemary Ryan była naprawdę pożyteczna, wprowadzając i wyprowadzając ludzi ze sceny, jak gdyby dokładnie wiedziała, o co w tym wszystkim chodzi. Choć, oczywiście, nie mogła mieć o niczym pojęcia.

Kilka tygodni później na Tara Road zjawiała się Hilary z prezentem urodzinowym dla Annie. I pierwsze, o co zapytała, to czy krach na rynku kapitałowym nie zrujnuje Barneya McCarthy’ego.

– Nie sądzę. Danny nie wspomniał o tym ani słowem. –

Domysły siostry zdumiały Rię.

– Martin twierdzi, że faceci pokroju Barneya, którzy zbili majątek w Anglii, zawsze tam trzymają swoje pieniądze i że –

na pewno McCarthy zostanie goły niczym święty turecki –

oświadczyła ponuro Hilary.

118

– W jego przypadku jest jednak inaczej. W przeciwnym razie przecież wiedzielibyśmy o tym – zapewniła Ria siostrę. –

Powodzi mu się równie dobrze, jak dotychczas, o ile nie lepiej.

– To w porządku, skoro tak twierdzisz.

Czasami Ria odnosiła wrażenie, że tamtą uradowałyby złe wieści. Oboje z Martinem, choć byli bez grosza, z ogromnym zainteresowaniem śledzili przepływ strumieni pieniężnych i powiązania rynku kapitałowego.

Podczas przyjęcia na Tara Road Gertie była milcząca i bacznie wszystko obserwowała. Przyszła z mężem, który miał

na sobie swój jedyny porządny garnitur. Wynajęli opiekunkę do dziecka i nie mogli zostać do późna. Jack pił sok pomarań-

czowy. Siostra Gertie, Sheila, która mieszkała na stałe w Stanach Zjednoczonych, zamierzała w tym roku przyjechać do domu na święta Bożego Narodzenia. Ani jej, ani jej mężowi –

rodowitemu Amerykaninowi – nigdy dokładnie nie wyjaśniono istoty problemu z Jackiem Brennanem.

Sheila często chwaliła się życiem, jakie wiodła w Nowej Anglii. Listy do domu, w których opisywała swoją zamożność oraz wysoki status społeczny, jakie osiągnęli oboje w Ameryce, sugerowały, że nadchodząca wizyta w kraju ma wyrzucić odpowiednie wrażenie na bliskich. Gertie nigdy nie wspominała w swojej korespondencji ani w rozmowach telefonicznych, że poślubiła niezrównoważonego alkoholika. I miała nadzieję, że podczas trzytygodniowego pobytu siostry Jack nie wpadnie w jeden ze swych pijackich transów.

Przygnębiło ją zachowanie ślicznej Orli King. Skoro ktoś taki jak ta dziewczyna traci panowanie nad sobą, czego można się spodziewać po Jacku? A jednak, pomimo wszystko, pozostał trzeźwy. Był zdenerwowany i niespokojny, jednak trzeź-

wy. „Bóg chyba istnieje” – powiedziała Gertie do Rii, gdy po-119

magła jej podawać zupę.

– Wiem, kochana, wiem. Widok Danny’ego i małej Annie za każdym razem utwierdza mnie w tym przekonaniu.

Gertie skrzywiła się lekko. Słyszała od jednej z dziewczyn, zatrudnionych w pralni, że przystojny Danny Lynch, który mieszka w okazałym domu na końcu Tara Road, ma kochankę, podobnie jak jego szef, Barney McCarthy. Gertie tak żarliwie pragnęła, aby ta pogłoska okazała się fałszywa, że nie chciała o niczym słyszeć ani o cokolwiek więcej pytać.

Barney McCarthy nigdy później nie wspominał o ekscesach Orli King podczas przyjęcia na Tara Road. Zakładał, że owa znajomość zostanie zakończona. I jego przypuszczenie okazało się słuszne. Danny zatelefonował do dziewczyny do domu, ażeby jej o tym zakomunikować. Mówił otwarcie, nie pozostawiając żadnych niedomówień.

– Nie myśl, że tak łatwo się mnie pozbędziesz – oświadczyła z płaczem Powstrzymywała się od alkoholu od czasu owych zatrważających wydarzeń na Tara Road. Obecne nowiny nie sprzyjały jednak wytrwaniu w abstynencji.

– Nie rozumiem, o co ci chodzi – odrzekł jej kochanek. –

Oboje zaakceptowaliśmy ten układ i znaliśmy granice, których nie należy przekraczać. Nigdy nie zamierzałem porzucić Rii dla ciebie. Ustaliliśmy, że będzie wesoło i nikt nie poczuje się zraniony, gdy przyjdzie chwila rozstania.

– Na nic takiego nigdy się nie godziłam – zaszlochała.

– Ależ tak, moja droga.

– To dlaczego teraz nie jest mi wesoło? Kocham cię. A ty mnie traktujesz, jakbym była zerem.

– Nieprawda. Jeśli któreś z nas kogoś źle traktuje, to raczej ty mnie. Przyszedłeś do mojego domu, schlałeś się do nieprzytomności, obraziłeś mojego szefa i poszedłeś do łóżka co naj-

mniej z jednym, a niewykluczone, że z dwoma moimi lokatorami na oczach wszystkich gości. I kto tu kogo źle traktuje?

– Tak łatwo się mnie nie pozbędziesz, Danny. Mogę ci przysporzyć sporych kłopotów.

– Kto ci uwierzy, Orla? Po tym, jak zachowałeś się w moim domu, kto uwierzy, że tknąłem cię bodaj palcem?

– Halo, Rosemary? Mówi Orla King.

– Cześć, Orla. Dobrze się miewasz?

– Tak. Nie wróciłam do alkoholu.

– Wspaniale. Wiedziałam, że tak będzie. Miałam rację?

– Rzeczywiście, miałaś. Stwierdzam, że zupełnie nie znam

– się na ludziach. Nie przypuszczałam, że jesteś tak miłą dziewczyną.

– Daj spokój. Na pewno nigdy nie myślałaś o mnie źle.

– Niestety tak. A Danny Lynch jest oszustem i kłamcą.

Wybieram się z wizytą do jego żony. Zamierzam jej opowiedzieć o jego postępках.

– Nie rób tego, Orla.

– Dlaczego miałabym go oszczędzać? Jest kłamcą i jego żona powinna o tym wiedzieć.

– Sama powiedziałaś, że uważasz mnie za swoją przyjaciółkę. Posłuchaj zatem mojej przyjacielskiej rady.

– Zgoda, co to za rada?

– Danny jest bardzo niebezpieczny. Jeśli zrealizujesz swój zamiar, odpowie mocniejszym ciosem. Sprawí, że stracisz posadę.

– Nie może tego zrobić.

– Może, Orla, wierz mi. Wystarczy, że powie twoim szefom, iż na jego prośbę wykonałaś fotokopie dokumentów z agencji I poda kilka szczegółów planowanych transakcji.

– Nie posunie się do tego.

121

– A co będzie miał do stracenia? Jest podopiecznym Barneya. A po tym, co Barney McCarthy usłyszał od ciebie na temat waszej wspólnej eskapady na wieś, nie będzie skłonny w niczym ci pomóc.

– O Boże, a mówiłam coś na ten temat?

– Niestety tak.

– Nie pamiętam.

– I na tym polega twój problem, nie sądzisz? Wierz mi, nie przesadzam. Jeśli pójdziesz z tą historią na Tara Road, jedynie sobie przysporzysz kłopotów. Danny zniszczy cię i uczyni to bez najmniejszych skrupułów. Znasz jego determinację i ambicję. I wiesz, jak bardzo pragnie pięć się w górę. Nie pozwoli, żebyś stanęła mu na drodze.

– Więc co, twoim zdaniem, powinnam zrobić?

– Powinnaś dać mu do zrozumienia, że zależy ci na ochłodzeniu waszych wzajemnych stosunków. Mężczyźni cenią tego rodzaju reakcje. Utwierdź go w przekonaniu, że przez jakiś czas nie zamierzasz się z nim spotykać. A kiedy tylko zrozumie, że uniknął problemów, znów zacznie zabiegać o twoje względy i wszystko wróci do dawnego stanu.

Rosemary niemal wyczuła łyżę wdzięczności w głosie Orli.

– Okazałaś mi wielką pomoc, Rosemary. Sama nie wiem, dlaczego dotychczas uważałam, że jesteś nieprzystępna i za-dzierasz nosa. Naprawdę tak o tobie myślałam. To oczywiste, że zacznie mnie odwiedzać, kiedy będzie pewien, że kryzys został zażegnany.

– To może trochę potrwać – ostrzegła Rosemary.

– Jak długo, twoim zdaniem?

– Trudno przewidzieć, znając mężczyzn. Może kilka tygodni.

– Tygodni? – W głosie dziewczyny zabrzmiała trwoga.

– Wiem, że to mnóstwo czasu, ale najważniejsze, że 122

wszystko dobrze się skończy, nie sądzisz?

– Masz rację. Orla się rozłączyła.

Pani Johnson zaczęła uczyć się grać w brydża. Lekcje wywarły na niej ogromne wrażenie i mogła godzinami rozprawiać o kolejnych rozdaniach, przebiegu licytacji i sposobie rozgrywania partii. Nie ulegało wątpliwości, że pamięć Nory do kart dorównuje zdolności zapamiętywania każdej pojawiającej się na ekranie gwiazdy filmowej.

Ria zdecydowanie odmówiła nauki.

– Widziałam zbyt wielu ludzi ogarniętych obsesją gry w karty, mamó. Jestem wystarczająco źle zorganizowana, abym dodatkowo traciła po pięć godzin każdego popołudnia na zastanawianie się, czy zeszyły wszystkie karty, albo kto ma sió-

demkę pik.

– To wcale tak nie wygląda – zachnęła się Nora. – No cóż, twoja strata. Mam zorganizować turnieje brydżowe w zakładzie Świętej Rity.

Pomysł okazał się trafny. Spotkania brydżowe odbywały się w jednej z klubowych sal domu starców. Niejednokrotnie brydżyści zmagali się przy trzech stolikach jednocześnie. Nora Johnson uczestniczyła niemal każdego popołudnia w rozgrywkach, ilekroć potrzebny był czwarty. Dzień miał dla niej za mało godzin.

Z równym powodzeniem, oprócz gry w karty, organizowała pensjonariuszom ich życie, doradzając, nakłaniając po-chlebstwami do zrobienia czegoś albo sprzecząc się z nimi.

Była najszcześliwsza, kiedy mogła ustanawiać reguły i podejmować decyzje za innych. W tym również za swoją córkę Rię.

– Szkoda, że się nie modlisz do świętej Anny – powiedziała jej kiedyś.

– Och, mamó, przecież nie ma takiej świętej – zaprotestowała Ria.

– Oczywiście, że jest – oświadczyła matka z pogardą. – A jak, twoim zdaniem, nazywała się matka Maryi Panny? Jej mężem był święty Joachim. Dzień świętej Anny wypada dwudziestego szóstego lipca. Zawsze modlę się wtedy do niej w twojej intencji. Zapewniam ją, że w gruncie rzeczy nie jesteś złą dziewczyną i kiedyś zapamiętasz datę swoich imienin.

– Ależ ja nie obchodzę imienin, mamó. Nie mieszkamy w Polsce, tylko w Irlandii, a poza tym mam na imię Ria albo Maria, a nie Anna.

– Na chrzcie otrzymałaś imiona Anna Maria, a twoja rodzona córka również nosi imię po matce Najświętszej Panienki.

– Wybraliśmy je dlatego, że nam się podobało.

– A widzisz! – tryumfowała matka.

– O co miałabym ją prosić, zakładając, że mnie wysłucha?

Czego brakuje mi do szczęścia?

– Drugiego dziecka – oświadczyła matka, sznurując usta. –

Święta Anna wstawi się za tobą. Pewnie uważasz, że jestem przesadna, lecz wierz mi, to szczerą prawdą.

Ria była pewna, że do realizacji tego zamierzenia skuteczniej przyczyniłoby się odstawienie pigułek antykoncepcyjnych.

Myślała już o tym od pewnego czasu i postanowiła, że musi porozmawiać na ten temat z Dannym. Ostatnio ogromnie pochłaniały go sprawy zawodowe, być może jednak rzeczywiście nadeszła pora, aby poruszyć tę kwestię.

– Mogę się pomodlić do świętej Anny, dlaczego nie? –

odpowiedziała potulnie.

– Grzeczna dziewczynka – pochwaliła córkę Nora Johnson.

Siostra Gertie, Sheila, przyjechała do domu na święta Bo-

żego Narodzenia.

– Muszę ją zaprosić do nas na lunch – oznajmiła Ria.

– Och, Boże, nie! – zaprotestował Danny. – Nie chcę tu widzieć podczas świąt tego damskiego boksera.

– Jesteś do niego uprzedzony, Danny – stwierdziła Ria. –

Czyż nie zachował się wspaniale na przyjęciu?

– Tak, rzeczywiście. Był sztywny niczym drewniany kłoc.

– Przestań zrędzić, to nie w twoim stylu. Mąż westchnął.

– Zawsze zapełniasz dom ludźmi, kochanie. Nie mamy ani chwili spokoju.

– Wcale nie. – Ria poczuła się urażona.

– Niestety tak. Obecny moment należy do nielicznych, kiedy jesteśmy tylko we trójkę z Annie.

Wiecznie albo ktoś przychodzi, albo właśnie od nas wychodzi.

– To najbardziej niesprawiedliwy zarzut, jaki słyszałam w życiu. Czy ktoś częściej u nas bywa niż Barney? Odwiedza nas co najmniej cztery razy w tygodniu, i to z Moną lub z Polly, na przemian. Chyba nie ja ich zapraszam?

– Nie.

– A więc?

– Te wszystkie wizyty niezbyt sprzyjają wypoczynkowi.

– Zapomnij, że w ogóle wspominałam o siostrze Gertie –

powiedziała Ria.

– Słuchaj... nie miałem na myśli...

– Nie, zapomnij o tym. Będziemy odpoczywać.

– Daj spokój, Rio... – Przyciągnął ją do siebie. – Jesteś najbardziej humorzystą kobietą na świecie – powiedział i po-całował ją w nos. – W porządku, kiedy ich zaprosimy?

– Wiedziałam, że będziesz rozsądny. Co powiesz na pierwszy dzień świąt?

– Nie, wtedy mamy iść do McCarthy'ch. Nie możemy się wymigać od tej wizyty.

125

– Zgoda, zatem niech będzie poniedziałek. Nikt nie wybiera się wtedy do pracy. Cała Irlandia spędza ten dzień w swoich domach. Czy zaprosimy twoich rodziców?

– Po co?

– Żeby zobaczyli Annie, podziwiali efekty naszej pracy włożonej w ten dom oraz poznali parę Amerykanów, których będziemy gościć.

– Nic dobrego nie wyniknie z tych odwiedzin i szczerze mówiąc, nie sądzę, żeby sprawiły im przyjemność – zawyrokował Danny.

Ria milczała przez chwilę.

– Pewnie masz rację – przyznała w końcu. Dobrze, że chociaż w sprawie zaproszenia siostry Gertie postawiła na swoim.

Sheila Maine i jej mąż, Max, nie byli od sześciu lat w Irlandii, to jest od czasu swojego ślubu. Mieli syna Seana, który był rówieśnikiem Annie. Sheilę zdumiał panujący tutaj dobrobyt, zamożność

zwykłych ludzi oraz widoczny na każdym kroku rozkwit małej przedsiębiorczości. Kiedy mając osiemnaście lat, opuszczała ojczyznę i wyjeżdżała do Ameryki, aże-by tam szukać szczęścia, Irlandia była znacznie biedniejszym krajem.

– Spójrz, jak wielkie przemiany dokonały się w ciągu niespełna dziesięciu lat!

Ria wyczuwała, że Sheila, którą raczej cieszyły złe wieści niż dobre, podobnie jak Hilary, nie jest zadowolona z gospo-darczego rozkwitu Irlandii. A najbardziej siostrę Gertie uderzyło to, że mieszkańcy Dublina prowadzą bardzo bujne życie towarzyskie.

– W Stanach jest zupełnie inaczej – zwierzyła się pewnego wieczora przed Wigilią, kiedy spotkały się w kobiecym gronie w nowej restauracji Colma. – Nie mogę się nadziwić, gdy pa-126

trzę na tych wszystkich roześmianych ludzi, siedzących przy stolikach i rozmawiających ze sobą. Wiele zmieniło się w kraju od czasów, kiedy tutaj mieszkałam.

Colm, ponosząc bardzo niewielkie koszty, wydał dla przyjaciół kilka próbnych przyjęć z niedrogimi daniami. Mogli spróbować serwowanych w restauracji potraw, wczuć się w atmosferę i służyć mu radą, aby przed oficjalnym, zaplanowanym na marzec otwarciem lokalu zostały usunięte wszelkie niedociągnięcia. Tylko najbliższe osoby z jego grona były za-praszane na owe spotkania. Razem z Colmem pracowała jego piękna, małomówna siostra. Podawała do stołów i pełniła funkcję gospodyni.

– Uśmiechaj się trochę częściej, Caroline – słyszeli od czasu do czasu goście jego napomnienia.

Caroline była nerwową dziewczyną i trudno mu było doczekać się od niej pomocy przy tworzeniu renomy ich restauracji.

Sheila była głęboko poruszona tym wszystkim. W Wigilię wybierali się na Grafton Street, gdzie rozgłośnia radiowa nadawała na żywo „Show Gaya Byrne’a”. Sheila mogła nawet zostać zaproszona do mikrofonu jako emigrantka, która przyjechała na święta do kraju. W dzisiejszej Irlandii wszystko było możliwe. Wystarczyło spojrzeć na szykownych przyjaciół Gertie, którzy mieli wspaniałe posady i piękne domy. Gertie po-wodziło się niezbyt dobrze. Jej pralnia samoobsługowa usytuowana była przy mniej eleganckim końcu Tara Road. A jej mąż, chociaż czarujący i przystojny, bardzo mgliście wypowiadał się na temat swoich planów na przyszłość. Prowadzili jednak własny interes i mieli dwuletniego synka. I oboje okazywali dużą pewność siebie. Sheila Maine tak bardzo przypominała z zachowania Hilary Moran, że Ria nie mogła się doczekać chwili, kiedy będzie gościć je obie u siebie na lunchu.

127

I rzeczywiście bardzo sobie przypadły do gustu. Gertie i Ria wycofały się z rozmowy, obserwując, jak między ich siostrami nawiązuje się nić przyjaźni. Milczący mąż Sheili, Max Maine, który z pochodzenia był Ukraińcem, prawie nic nie wiedział na temat Irlandii i czuł się wyraźnie skrępowany.

Oczywiście jedynie Danny, dzięki swojemu uśmiewi oraz ciekawości świata, zdołał go nieco rozruszać.

– Opowiedz mi o domach w Ameryce, Max. Czy rzeczywiście wszystkie są zbudowane z białych desek, jak oglądamy na filmach?

Max był szczery i wyjaśnił, że w tej części Connecticut, gdzie mieszkają, niewiele jest takich domów-marzeń, które stałyby na własnych działkach. Danny mu się odwzajemnił, otwarcie mówiąc o tym, jak zdołali wejść w posiadanie tak ogromnej rezydencji pod numerem szesnastym przy Tara Road: znaleźli się we właściwym miejscu i w odpowiednim czasie. Ponadto zaś wynajmowali trzy pokoje młodym ludziom, a ci płacąc komorne, pomagali w utrzymaniu nieruchomości.

Max wyraźnie się odprężył po połowie butelki rosyjskiej wódki, którą popijali z małych kieliszków. Ria obserwowała Danny'ego, gdy pozyskiwał sobie sympatię szwagra jej przyjaciół-

ki. Nie miał ochoty zapraszać gości, a pomimo to teraz, podczas ich wizyty, dawał z siebie wszystko. Jack, zastraszony i pokonany, zaszył się w kącie – bez kropli alkoholu i bez jednego słowa.

Gdy zmywali po przyjęciu, Ria uściśnęła męża.

– Byłeś cudowny, ale na koniec twoja wielkoduszność została nagrodzona: Max okazał się całkiem sympatyczny, prawda?

– Ależ kochanie, ten facet nie był! wart ani jednego mojego słowa. Ponieważ jednak ty zawsze jesteś uprzejmą panią domu dla moich gości, postanowiłem być dla niego miły przez 128

wzgląd na ciebie. A także na biedną Gertie, która nie jest nudziarą. To wszystko.

Z jakiegoś powodu Ria poczuła się oszukana. Naprawdę wierzyła, że rozmowa z Maksym Maine'em sprawiła mężowi przyjemność. I świadomość, że całe jego zachowanie było jedynie grą, dziwnie ją przygnębiła.

Sheila dopytywała się, czy gdzieś w okolicy nie ma jakiejś naprawdę dobrej wróżki. Przed powrotem do Stanów chciała poznać swoją przyszłość. Wiele jej sąsiadek w Ameryce chodziło na seanse spirytystyczne, a niektóre miały bardzo silne zdolności parapsychologiczne, żadne jednak nie dorównywały w jasnowidztwie irlandzkim wróżbitkom.

– Wam trzem również zafunduję wizytę – oświadczyła.

Trudno było nie lubić Sheili. Postawna i mniej zadbana niż Gertie, miała równie zaniepokojone spojrzenie jak siostra, a skierowane w dół kąci jej ust wyrażały smutek, że musi opu-

ścić kraj, gdzie wszyscy tak dobrze się bawią.

Ria pragnęła jej powiedzieć, że krewni i znajomi starają się przez wzgląd na nią ukazać wszystko w innym świetle, ale mówiąc to, zawiodłaby zaufanie Gertie.

– Zgoda, chodźmy do pani Connor – zasugerowała siostra Sheili.

– W moim przypadku jej przepowiednia sprzed lat okazała się niezbyt trafna. Słyszałam jednak, że obecnie jest bardzo dobra.

Po ostatniej wizycie u wróżki Rosemary nie pisnęła ani słowa o tym, czego się od niej dowiedziała. Stwierdziła tylko, że wizja własnej przyszłości, jaką poznała dzięki pani Connor, nie pokrywa się z jej planami. Tym razem jednak mogło być inaczej.

– Mnie przepowiedziała córkę. Wiem, że prawdopodobie-

ństwo w tym wypadku wynosiło pięćdziesiąt procent, ale miała rację – stwierdziła Ria.

Od września przestała brać pigułki, lecz nie umiała jeszcze powiedzieć o tym Danny’emu. Czekwała na odpowiedni moment.

Od czasu ich ostatniej wizyty pani Connor przyjmowała co wieczór od pięciu do dziesięciu osób. Setki ufnych oczu wpatrywało się w nią, tysiące dłoni wyciągało się do niej z nadzieją i jeszcze więcej tysięcy banknotów pojawiało się na stole. W

jej otoczeniu nie było jednak śladów świadczących o wzrastającym dostatku wróżki. A sama pani Connor nie sprawiała wrażenia zadowolonej ze swego daru spoglądania w przyszłość tak wielu ludzi.

Słyszac akcent Sheili, powiedziała jej, że mieszka za oce-anem, prawdopodobnie w Stanach Zjednoczonych, jest względnie szczęśliwa w małżeństwie, ale chciałaby wrócić na stałe do Irlandii.

– Czy znowu tu kiedyś zamieszkać? – spytała błagalnym tonem siostra Gertie.

– Pani przyszłość leży w pani rękach – odparła ze śmiertelną powagą pani Connor i wiadomość ta z jakiegoś powodu bardzo uradowała Sheilę. Uznała, że pieniądze nie zostały wy-rzucone w błoto.

Widząc niespokojne oczy Gertie, wróżka oświadczyła, że widzi w jej życiu pewien element ryzyka i smutku. Ostrzegła ją też, że powinna się mieć na baczności przed tymi, których kocha. Ponieważ Gertie żyła w wiecznym strachu przed Jackiem, przepowiednia ta wydała się jej niezwykle trafnym podsumo-waniem rodzinnej sytuacji.

Rosemary usiadła z wyciągniętą dłonią i rozejrzała się wokół. Nie mogła się nadziwić widocznemu wokoło na każ-

dym kroku ubóstwu. Ta kobieta musiała zarabiać około stu 130

tysięcy funtów rocznie i nie płaciła podatków. Jak mogła znieść warunki, w jakich mieszkała?

– Była już kiedyś pani u mnie – stwierdziła wróżka.

– To prawda, kilka lat temu.

– Czy spełniła się moja przepowiednia?

– Nie. Wywróżyła mi pani poważne kłopoty, brak przyjaciół oraz niepowodzenia w życiu zawodowym. Nie mogła się pani bardziej pomylić. Nie znalazłam się w tarapatkach, mam wielu przyjaciół, a moje interesy kwitną. No cóż, nie może pani za każdym razem odnosić sukcesów. W przypadku pozostałych koleżanek przepowiednie okazały się trafne.

Pani Connor podniosła wzrok znad jej dłoni.

– Nie widzę tego wszystkiego, o czym pani mówi. Nie ma pani prawdziwych przyjaciół i nie może pani zdobyć tego, na czym naprawdę pani zależy. Nadal widzę to samo. – W jej głosie brzmiało przekonanie i smutek. Rosemary była nieco poruszona.

– Czy wyjdę za mąż? – Zmusiła się, ażeby nadać głosowi lekkie brzmienie.

– Nie – odparła kobieta.

Jako ostatnia do wagonu weszła Ria. Spojrzała ze współczuciem na wróżkę.

– Czy pani nie marznie? Ten stary piecyk nie może usunąć panującej tutaj wilgoci.

– Jest mi dobrze – odrzekła wróżka.

– Czy nie mogłaby pani zamieszkać w jakimś lepszym miejscu, pani Connor? Dlaczego nie spróbuje pani wyczytać tego ze swej dłoni? – spytała Ria z troską.

– Nie czytamy przyszłości z własnych dłoni. To już tradycja.

– Czy ktoś nie mógłby za panią...

– Proszę mi pokazać rękę. Zapewne chce pani wiedzieć, 131

czy znowu jest pani w ciąży?

Ria otworzyła usta ze zdumienia.

– A jestem? – spytała szeptem.

– Tak. Tym razem widzę małego chłopca.

Ria poczuła pieczenie pod powiekami. Podobnie jak słynna święta Anna jej matki, żyjąca przed dwoma tysiącami lat, pani Connor, która wiodła nędzną egzystencję na peryferiach Dublina, nie mogła znać przyszłości, ale umiała być bardzo przekonująca. Miała wtedy rację co do Annie i nie pomyliła się, twierdząc, że Hilary pozostanie bezdzietna. Być może poza normalnymi sposobami zdobywania wiedzy istniały też inne metody poznawania faktów. Ria wstała, szykując się do wyj-

ścia.

– Nie chce pani usłyszeć o swoich zawodowych sprawach i zamorskich podróżach?

– Nie ma tam nic takiego. To zapewne elementy cudzego życia, które przypadkiem znalazły się na mojej dłoni – odpowiedziała uprzejmie.

Pani Connor wzruszyła ramionami.

– Widzę przed panią udane interesy, do których prowadzenia będzie miała pani wyjątkowy talent. I będzie pani szczę-

śliwa.

Ria roześmiała się głośno.

– Mój mąż się ucieszy, kiedy mu o tym powiem. Ostatnio bardzo ciężko pracuje i będzie zadowolony, że wkrótce zostanie potentatką finansową.

– Niech go pani zawiadomi o dziecku, którego się pani spodziewa. Jeszcze o nim nie wie – oświadczyła pani Connor, kaszląc.

I broniąc się przed zimmem, szczelniej owinęła się wełnianą kamizelką.

132

Danny nie był uradowany, słysząc taką nowinę.

– Ustaliliśmy, że kiedyś to przedyskutujemy, kochanie.

– Wiem, ale ostatnio tak ciężko pracujesz, że nie mamy czasu na dyskusje, Danny.

– Czy nie sądzisz, że to dodatkowy powód, dla którego powinniśmy o tym porozmawiać? Barney ostatnio jest bardzo nerwowy, trudno dzisiaj o kredyty, a realizacja niektórych przedsięwzięć obciążona jest poważnym ryzykiem. Niewykluczone, że nie będziemy mogli sobie pozwolić na jeszcze jedno dziecko.

– Bądź rozsądny! Ileż może kosztować utrzymanie małego dziecka? Mamy wszystkie rzeczy dla niego, nie musimy kupować łóżeczka, wózka ani żadnych kosztownych drobiazgów.

– Ria była rozczarowana i zraniona do żywego.

– To nie to, że nie chcę drugiego dziecka, Rio. Ustaliliśmy jednak, że najpierw o tym porozmawiamy, a obecny moment nie jest najlepszy. Być może za trzy lub cztery lata będzie bardziej odpowiednia pora na powiększanie rodziny.

– Dopóki nie będzie miał trzech lub czterech lat, nie musimy na niego wydawać żadnych pieniędzy,

zapewniam cię.

– Przestań mówić o nim jak o chłopcu. W obecnym stadium ciąży nie możemy być pewni płci tego dziecka.

– Ja jestem.

– Na podstawie przepowiedni jakiejś wróżki! Daj spokój, Rio!

– Nie pomyliła się, twierdząc, że jestem w ciąży. Zaraz następnego dnia poszłam do lekarza.

– A więc tak wyglądają nasze wspólne decyzje.

– To nie jest uczciwe postawienie sprawy, Danny! W życiu nie spotkała mnie większa niesprawiedliwość! Czy dopraszam

– się udziału we wszystkich decyzjach, jakie podejmujesz w tym domu? Nie. Nigdy nie wiem, kiedy się ciebie spodziewać 133

ani kiedy Barney zaszczyci nas swoją obecnością, aby zamknąć się wraz z tobą na wiele godzin w gabinecie. Nie mam nawet pojęcia, czy następnym razem zjawi się u nas ze swoją żoną czy też z kochanką. Nie nalegałam na powrót do pracy, choć mogłabym zostawić Annie pod opieką mamy, ponieważ wiem, że lubisz wygodny dom, jaki ci stworzyłam, i nie zwracam uwagi na porę, o której do niego wracasz. Chciałam mieć kota, ale ty nie przepadasz za zwierzętami i to przesądziło sprawę. Chciałam, żebyśmy mieli więcej czasu dla siebie nawzajem, lecz nie możesz się rozstać z Barneyem, więc rzadko jesteśmy tylko we dwoje. A kiedy zdarzyło mi się zapomnieć o wzięciu pigułki, nagle pojawił się wymóg wspólnych decyzji!

Pozwolisz, że spytam: w jakich to innych kwestiach podejmujemy wspólne decyzje?

Po twarzy Rii spływały łzy. Radość z nowego, rozwijają-

cego się w niej życia została niemal całkowicie zniweczona.

Danny patrzył na nią ze zdumieniem. Twarz mu się skurczyła, gdy uświadomił sobie ogrom samotności żony i kiedy zdał sobie sprawę, jak bardzo czuje się wyłączona z jego życia.

– Jest mi ogromnie przykro. Naprawdę nie potrafię tego wyrazić. Bardzo mnie zawstydziłaś, słusznie zarzucając mi egoizm. Wszystko, co powiedziałaś, jest prawdą. Rzeczywiście zachowuję się nedorzecznie, ale to z powodu natłoku bardzo różnych spraw. Martwię się jednak, żebyśmy nie stracili tego, co mamy. Wybacz mi, Rio. – Przycisnęła twarz do piersi żony, a ona głaskała go po włosach i mruzczała uspokajająco.

– Jestem zachwycony, że będziemy mieli małego chłopca.

I nawet jeśli urodzi się dziewczynka, podobna do Annie, też będę szczęśliwy.

Ria zastanawiała się, czy nie wyjawić mu, że wróżka przepowiedziała jej również powodzenie w interesach oraz zamorską podróż. Uznała jednak, że te rewelacje mogłyby ze-

134

psuć nastrój. A poza tym, przecież to bzdury.

– Dowiedziałam się od mamy, że ponownie jesteś w ciąży

– powiedziała od progu Hilary, gdy przyszła z wizytą do siostry.

– Właśnie zamierzałam do ciebie zadzwonić. Zapomnia-

łam, jak szybko rozchodzą się wiadomości, które dotrą do naszej matki. Prawdopodobnie ta informacja zostanie nadana już w południowych wiadomościach radiowych – tłumaczyła się Ria.

– Jesteś zadowolona? – spytała Hilary.

– Bardzo. Cieszę się, że Annie zyska towarzysza zabaw, choć pewnie na początku nie będzie go lubić.

– Jego?

– Och, jestem całkiem pewna, że tym razem urodzi się chłopiec. Słuchaj, Hilary, czuję się niezręcznie, mówiąc o tym z tobą, bo nigdy sama nie poruszałaś tego tematu. Był zresztą okres, kiedy nie potrafiliśmy rozmawiać na żaden temat.

– Nie mam nic przeciwko temu tematowi – oświadczyła Hilary.

– Pozwól zatem, że zapytam: czy nigdy nie myśleliście o zaadoptowaniu dziecka?

– Ja tak, ale Martin jest temu przeciwny.

– Z jakiego powodu?

– Jego zdaniem nie stać nas na to. Uważa, że koszty wykształcenia i utrzymania dziecka są w dzisiejszych czasach bardzo wysokie. Nie mówiąc już o ewentualnych studiach.

Przez całe życie musielibyśmy łożyć na dziecko tysiące funtów.

– Ale robilibyście to, gdybyście się doczekali własnego potomstwa?

– Z trudem pewnie tak. Czulibyśmy się jednak wykorzystywani, ponosząc wyrzeczenia dla cudzego dziecka.

135

– Och, nie sądzę. Z chwilą adopcji to dziecko stałoby się wasze.

– Tak wszyscy mówią, lecz nie jestem o tym przekonana. –

Hilary z powątpiewaniem pokiwała głową nad swoim kubkiem z herbatą.

– Czy łatwo jest przeprowadzić adopcję? – drążyła temat Ria.

– Niezbyt, w dzisiejszych czasach. Teraz matki na ogół zatrzymują swoje dzieci, ponieważ otrzymują wsparcie finansowe od państwa. Dałam już za wygraną.

– I pomyśleć, że niektóre dziewczyny z przerażenia odchodzą od zmysłów, podobnie jak my, kiedy byliśmy bardzo młode!

– Jakoś ciebie ciąża nie przerażała. – Hilary często to podkreślała.

– Mam na myśli wcześniejsze pokolenia. Pamiętasz historie o dziewczynach popełniających samobójstwa albo uciekających do Anglii i niepewnych przyszłego losu? Obecne rozwiązanie jest o wiele lepsze.

– Łatwo ci mówić, Rio. Powinnaś była zobaczyć tę małą smarkulę ze sterczącym brzuchem w mojej szkole. Okazało się, że matka dziewczyny wcale się nie kwapi do wychowywania dziecka, więc jej obecna sytuacja stała się o wiele bardziej dramatyczna.

– Może więc ty i Martin...

– Bądź realistką, Rio. Czy widzisz nas w roli rodziców bękarta naszej uczennicy, którzy tyrają jak głupi, ażeby dać mu wszystko, czego potrzebuje? Wystawilibyśmy się tylko na pośmiewisko!

Ria pomyślała, że Hilary zbyt surowo osądza otaczający ją świat, postrzegając go jako miejsce, gdzie panują bezwzględne prawa, a ludzie są nieczuli. Nie do niej jednak należało pocie-

szanie siostry. Została pod wieloma względami niezwykle hojnie obdarowana przez los, podczas gdy Hilary otrzymała od życia tak niewiele.

Orla King ponownie zaczęła uczęszczać na spotkania AA.

Colm, jak zawsze, odnosił się do niej bardzo życzliwie. Czowała się jednak głupio w jego towarzystwie, szczególnie gdy pamięć podsuwała jej obrazy z tamtego feralnego przyjęcia. W końcu któregoś dnia w rozmowie poruszyła ów temat.

– Pragnę ci podziękować, Colmie, za to, że próbowałeś mi pomóc tamtego wieczora. – Znalezienie odpowiednich słów nie było łatwe.

– W porządku, Orlo, nie ma o czym mówić, wszyscy przez to przechodziliśmy. Dlatego teraz spotykamy się tutaj. To już przeszłość. Czas pomyśleć o terażniejszości.

– Teraźniejszość jawi mi się nieco ponuro.

– Tylko dlatego, że godzisz się na nią bez zastrzeżeń.

Spróbuj czegoś innego. Po odejściu z banku, kiedy rozkręca-

łem interes, byłem wiecznie zmęczony i nie miałem czasu ani na alkohol, ani na rozczulanie się nad sobą.

– A cóż ja mogę robić innego oprócz pisania na maszynie?

– Powiedziałaś kiedyś, że chciałybyś zostać modelką.

– Jestem na to za stara i za gruba. W tym zawodzie trzeba mieć szesnaście lat i wygląd anorektyczki.

– Nieźle śpiewasz. Czy potrafisz grać na pianinie?

– Tak, ale śpiewam tylko wtedy, gdy jestem pijana.

– A próbowałaś kiedyś robić to na trzeźwo? Być może twój głos okaże się bardziej melodyjny i będziesz pamiętała słowa.

– Przykro mi, że jestem taka beznadziejna, Colmie. Wiem, że zachowuję się jak niezdolne dziecko. Przypuśćmy jednak, że zdołam przygotować kilka piosenek. Gdzie znajdę pracę?

137

– Niewykluczone, że po otwarciu mojego lokalu będę miał

dla ciebie pewną propozycję... Żadne wielkie pieniądze, ale może zostaniesz zauważona. A Rosemary zna pół Dublina.

Niewykluczone, że ma znajomych również wśród restauratorów, właścicieli hoteli i klubów.

– Obawiam się, że ostatnio Rosemary nie jest zbyt przychylnie do mnie nastawiona. Marnowałam czas na uganianie się za mężem jej najlepszej przyjaciółki.

Colm wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Przynajmniej teraz właściwie to ujęłaś: jako marnowanie czasu, a nie romans stulecia.

– On jest śmieciem.

– Jest w porządku, tylko nie potrafił się oprzeć twoim wdziękom. Niewielu z nas zresztą byłoby do tego zdolnych.

Jeszcze raz uśmiechnął się do niej życzliwie i znowu po-myślała, że jest niezwykle atrakcyjnym mężczyzną. Od czasu, kiedy odszedł z banku, ubierał się mniej oficjalnie – nosił rozpięte pod szyją koszule w żywych kolorach, a ciemne kręcone włosy i czarne oczy nadawały mu wygląd południowca –

Hiszpana albo Włocha. I miał wiele zdrowego rozsądku. Był

kawalerem, a w dodatku przystojnym mężczyzną o otwartym umyśle.

Orla westchnęła.

– Dzięki tobie poczułam się znacznie lepiej. Dlaczego nie zakochałam się w normalnym mężczyźnie, takim jak ty?

– Och, ja wcale nie jestem normalny i wszyscy o tym wiemy – zażartował Colm.

Na ładnej, okrągłej twarzy Orli pojawił się wyraz zakłopotania. Miała nadzieję, że kiedy była pijana, nie wymknęła się jej żadna niestosowna uwaga na temat aż nadmiernej troskli-wości, z jaką Colm zawsze traktował swoją piękną, milczącą siostrę. Nie, nawet w tak opłakanym stanie, w jakim była

owego wieczora, nie mogła poruszyć owej mrocznej kwestii.

Brian przyszedł na świat piętnastego czerwca. Tym razem Danny był przy Rii i trzymał ją za rękę.

Annie mówiła wszystkim, że cieszy się z narodzin brata, lecz nie jest tym faktem zachwycona. Ta uwaga budziła ogólny śmiech, więc dziewczynka powtarzała ją bez końca. Utrzymywała, że mały jest w porządku, lecz nie potrafi chodzić do toalety ani mówić i zabiera mamie i tacie zbyt dużo czasu. Tata wciąż ją zapewniał, że jest jego małą księżniczką i nigdy nie będzie miał ani pragnął innej. Mama zaś utrzymywała, że Annie jest najgrzeczniejszą dziewczynką na świecie i nie ma drugiej takiej jak ona nie tylko w Irlandii i w Europie, ale na całej ziemi, a prawdopodobnie również i na innych planetach. Annie Lynch nie musiała się zatem o nic martwić. I wiedziała, że upłyną całe wieki, zanim Brian zdoła jej w czymkolwiek do-równać. Była więc spokojna i nie przejmowała się ową sprawą.

Dziecko Gertie, Katy, urodziło się tuż po Brianie. Mniej więcej w tym samym czasie przyszła również na świat córecz-ka Sheili Maine, Kelly.

– Może będą przyjaciółmi, kiedy dorosną. – Przyszłość zawsze jawiła się Rii jako szczęśliwa i wypełniona bliskimi ludźmi.

– Równie dobrze mogą się nie znosić, a Brian będzie narzekał, że każesz mu się zadawać z okropnymi nudziarzami.

Dzieci same wybiorą sobie kiedyś przyjaciół, a ty nie będziesz miała w tej kwestii nic do powiedzenia.

– Wiem, ale byłoby miło. Rosemary dała wyraz rozdraż-nieniu.

– Zdumiewasz mnie, moja droga. Jesteś śmieszna z tą swoją awersją do przemian. Przecież ty nie

dziećmi przyjaciółek swojej matki, prawda?

– Moja mama nie ma żadnych przyjaciółek – odpowiedziała Ria.

– Nonsens. Nie spotkałam osoby, która miałaby ich więcej.

Zna wszystkich z sąsiedztwa.

– To tylko znajomi – odrzekła. – Poza tym wyraziłam jedynie nadzieję, że nasza przyjaźń będzie kontynuowana w drugim pokoleniu. Czy widzisz w tym coś złego?

– Nie, ale w twoich planach nie ma miejsca na ryzyko.

– Czy nie chciałabyś, żeby kiedyś twoje dzieci przyjaźniły się z Annie i Brianem?

– Będą znacznie młodsze, o ile w ogóle kiedyś się pojawią, w co wątpię – odpowiedziała Rosemary.

Annie przysłuchiwała się uważnie rozmowie; teraz już rozumiała wiele z tego, co się dzieje.

– A dlaczego jeszcze nie masz dzieci? – spytała.

– Ponieważ jestem zbyt zajęta – odparła zgodnie z prawdą.

– Bardzo ciężko pracuję, a to zabiera mnóstwo czasu. Czy widzisz, ile czasu twoja mamusia spędza z tobą i z Brianem?

Obawiam się, że jestem za bardzo samolubna, aby zostać matką.

– Założę się, że bardzo polubiłabyś tę rolę, gdybyś tylko spróbowała jej się podjąć – stwierdziła Ria.

– Przestań, Rio. Mówisz jak moja matka.

– Naprawdę tak uważam.

– Ona też. A także, na miłość boską, Gertie. Któregoś dnia próbowała mnie namówić, abym zastanowiła się nad własnym życiem. Tylko tego brakowało, żeby stawiać komukolwiek za przykład błogosławione pożycie rodzinne Brennanów!

Gertie nie przyprowadzała dwójki swoich dzieci na Tara Road, choć Brennanowie mieszkali w pobliżu, nad pralnią.

Obawiała się, że będą miały poczucie krzywdy, kiedy zobaczą, jak żyją inni ludzie. W domu Lynchów panowała atmosfera, jakiej nie znały. Była tam przestronna kuchnia, gdzie wszyscy się

zbierali, na dużym piecu zawsze coś skwierczało, a w powietrzu unosił się zapach świeżo upieczonych ciasteczek z cy-namonem albo ziołowego chleba.

Gertie zaś nigdy nie zostawiała niczego na swojej kuchence gazowej z obawy przed kolejnym napadem szału męża, ponieważ Jack, straciwszy panowanie nad sobą, potrafił rzucić w każdego pierwszym lepszym przedmiotem, jaki mu się nawinął

pod rękę. Ona sama zaglądała od czasu do czasu pod numer szesnasty, aby wyręczyć Rię w różnych drobnych pracach domowych. Była gotowa zrobić cokolwiek, byleby tylko uzyskać w tajemnicy przed Jackiem parę funtów, które w razie kłopotów finansowych umożliwiłoby im przetrwanie.

Firma Rosemary stała się teraz bardzo znana, a ją samą często fotografowano na wyścigach, wernisażach i na premie-rach teatralnych. Młoda kobieta świetnie się ubierała i wyglą-

dała jak z pudełeczka. Ilekroć odwiedzała Rię, przyjaciółka proponowała jej włożenie nylonowego ochronnego fartucha, aby dzieci nie poplamiały jej tym, co aktualnie trzymały w rączkach.

– Daj spokój, to już przesada – roześmiała się Rosemary za pierwszym razem.

– Nie sądzę. Wiem, co mówię: od sześciu lat przepraszam gości za moje dzieci, które upaprały im czyściuteńkie ubrania lodami albo marchewką. Pomyśl o swojej pięknej, kremowej, wełnianej sukience i włóż fartuch, Rosemary, zrób to dla mojego spokoju.

Przyjaciółka pomyślała, że mogłyby zaznać więcej owego spokoju, gdyby usiadły przy lampce wina w okazałym pokoju 141

frontowym, zamiast tkwić w kuchni, gdzie po podłodze walały się porzucane zabawki, a całe to pomieszczenie swoim wy-gładem przywodziło na myśl olbrzymi kojec. Wtedy Ria nie musiałyby zrywać się co chwila z krzesła, aby coś zamieszać albo wyjąć z piekarnika kolejne tace ciasteczek. Jednak próba wpłynięcia na zmianę obyczajów przyjaciółki z góry skazana była na niepowodzenie. Ria Lynch uważała, że cały świat obraca się wokół jej rodziny i kuchni.

Danny zirytował się na widok różowego fartucha, jaki miała na sobie Rosemary.

– Nie musisz tego na siebie wkładać, aby pobawić się z naszymi dziećmi, moja droga – powiedział.

– To pomysł twojej żony. – Wzruszyła ramionami.

– Nie chciałam, żeby pobrudziły tą śliczną sukienkę.

– Zobaczmy, czy twój strój nadal pozostanie taki nieska-zitelny, kiedy doczekasz się własnych pociech – zadrwił ponuro Danny.

– Na twoim miejscu nie zakładałabym się, że dożyjemy tej chwili – odparła Rosemary.

Uśmiechała się pogodnie, czuła jednak wywierane na nią ze wszystkich stron naciski. Najwidoczniej nie wystarczyło dobrze wyglądać, ubierać się elegancko i odnosić sukcesy w interesach. Nie, to było

o wiele za mało. W tym mieście nikt nie miał prawa do prywatności. Rosemary oburzały skłonności znajomych do swatania wszystkich wokół. Dlaczego nie mogła żyć z kochankiem, a nawet z kilkoma, tak aby nikt o niczym nie wiedział? Była piękną kobietą, miała same sukcesy w pracy i co jej z tego przyszło? Musiała jeszcze znaleźć sobie męża i urodzić dzieci. Bez tego ludzie mieli ją za nic. Odczuwała to na każdym kroku, a szczególnie podczas cotygodniowych wizyt u matki.

Pani Ryan zrobiła się nie do zniesienia. Córka dobijała do 142

trzydziestki i nie miała widoków na zamążpójście! Siostra też nie była dla Rosemary wielkim wsparciem. „Bądź po prostu sobą”, zwykła mawiać Eileen, ilekroć tamta użalała się przed nią na matkę. „Jesteś wolna. Nie słuchaj gderania starych ludzi”. Eileen łatwo było mówić. Mieszkała razem z bardzo wziętą prawniczką, Stephanie, i pracowała jako urzędniczka w jej kancelarii. Miały własny apartament i wydawały co nie-dziela popołudniowe przyjęcia. Prowadziły rodzaj salonu, gdzie każdy gość był mile widziany, i to zarówno kobiety, jak i mężczyźni. Rosemary wyczuwała, że obie gardzą jej elegancją i wytwornymi strojami. Często używane przez nie określenie:

„falbana”, było ich prywatnym uwłaczającym epitetem w stosunku do kobiet, które stroją się tylko po to, żeby zadowolić mężczyzn.

A jednak Rosemary w pewien sposób im zazdrościła. Były pewne siebie, zadowolone z życia i dobrze jej życzyły.

– Eileen i Stephanie doprowadzają mnie do szaleństwa, wynajdując mi coraz to nowe, sentymentalne partnerki. Moja matka rozpacza, uważając mnie za stracony przypadek, a każdy klient, dla którego jestem miła, sądzi, że w zamian za złożenie zamówienia w mojej firmie jestem skłonna świadczyć mu usługi seksualne.

– Dlaczego nie skorzystasz z pośrednictwa biura matrymonialnego? – zapytała niespodziewanie Ria.

– Chyba żartujesz? Widzę, że i ty dołączyłaś do grona tamtych!

– Nie, tylko naprawdę uważam takie rozwiązanie za słuszne. Przynajmniej spotkałabyś tam odpowiedzialnych męż-

czyn, którzy myślą o założeniu rodziny.

– Cóż za idiotyczny pomysł! – zachnęła się Rosemary.

– Pytałaś mnie, co o tym myślę, więc odpowiedziałam. –

Ria wzruszyła ramionami. Rada wydawała się jej jak najbar-143

dziej sensowna.

Rosemary wielokrotnie spotykała Polly Callaghan. Ich ścieżki krzyżowały się na przyjęciach wydawanych dla prasy, na wernisażach i w teatrach.

- Czy nigdy nie myślałaś o skorzystaniu z usług biura matrymonialnego? Nie żartuję. Ktoś mi podsunął ten pomysł, twierdząc, że to rozsądne wyjście, i zastanawiam się, czy to nie szaleństwo?
- Przypuszczam, że wszystko zależy od tego, czego pragniesz. – Polly poważnie potraktowała jej pytanie. – Nie wyglądasz na kobietę, która chciałaby być zależna od męża.
- To prawda – przyznała po namyśle Rosemary.

Byłoby jednak miło mieć do kogo wracać wieczorami – do interesującego mężczyzny o podobnych poglądach na życie, który toczyłby za nią jej bitwy. Rosemary zawsze liczyła na to, że ktoś taki zjawi się prędzej czy później. Przypuszczenie to obecnie wydawało się śmieszne. Skąd miałby się wziąć? Okażcie do robienia interesów też nie spadały z nieba, lecz trzeba było o nie zabiegać.

Wycucie dobrego smaku i właściwy dobór strojów nie ograniczały się do eksperymentów, lecz wymagały porady ekspertów. Rosemary była po imieniu ze wszystkimi właścicielami eleganckich sklepów w Dublinie. Podawała im dokładną kwotę, jaką miała zamiar przeznaczyć na ubranie i mówiła, co jest jej potrzebne. Z przyjemnością zajmowali się wyszukiwaniem właściwych kreacji dla tej szykownej kobiety, która była na tyle uprzejma, że uważała ich za prawdziwych znawców w dziedzinie mody.

Dlaczego nie miałyby więc zwrócić się teraz o pomoc do biura matrymonialnego?

Podeszła do zagadnienia w sposób typowy dla kobiety interesu i udała się na spotkanie z pierwszym kandydatem. Był

144

przystojny, choć trochę zaniedbany i pochodził z zamożnej rodziny. Jednak dopiero po upływie czterdziestu minut zorientowała się, że ma do czynienia z nałogowym hazardzistą.

Używając swojego wypraktykowanego uroku, zdołała skierować rozmowę na tematy odległe od obecnego powodu ich spotkania – chęci zawarcia małżeństwa. Zamiast tego dyskutowała z nim o rynku kapitałowym, wielkich gonitwach konnych oraz o torach wyścigowych dla chartów. A potem, kiedy już byli przy kawie, spojrzała na zegarek i oznajmiła, że dzisiaj musi wcześniej wrócić do domu. Zapewniła swego towarzysza, że spędziła zachwycające popołudnie i ma nadzieję, iż wkrótce ponownie się spotkają. Odeszła, nie zostawiając mu swojego adresu ani numeru telefonu, ale i ten mężczyzna nie zabiegał o kontakt z Rosemary. Cieszyła się, że tak zręcznie pokierowała sprawą, równocześnie zaś czuła złość, że zmarnowała cały wieczór.

Drugim kandydatem był Richard Roche, szef agencji reklamowej. Spotkała się z nim u „Quentina” i rozmawiali na najróżniejsze tematy. Przyjemnie jej się gawędziło z tym sympatycznym mężczyzną i wyczuła, że mu się podoba. Nic dziwnego zatem, że sposób, w jaki zakończył rozmowę, był dla Rosemary całkowitym zaskoczeniem.

– Nie potrafię wyrazić radości, jaką sprawiła mi dzisiejsza kolacja – zaczął.

– Mnie też było bardzo miło – uśmiechnęła się ciepło.

– Mam nadzieję, że zostaniemy przyjaciółmi.

– No cóż, myślę że tak.

– Nie jesteś zainteresowana małżeństwem, Rosemary.

Możemy jednak traktować to spotkanie, jako szczęśliwy traf losu. Wszyscy przyjaciele muszą się przecież gdzieś poznać –

odpowiedział jej równie ciepłym i szczerym uśmiechem.

– Co przez to rozumiesz, mówiąc, że nie jestem zaintere-145

sowana małżeństwem?

– Oczywiście, że nie jesteś. Nie chcesz mieć dzieci ani prawdziwego domu, nic z tych rzeczy.

– Tak sądzisz?

– Widzę to. Jak już jednak mówiłem, dopisało mi szczę-

ście. Uważam za mało prawdopodobne, abym w trakcie dalszych poszukiwań mógł kiedyś pójść na kolację z tak czarującą i wytworną kobietą.

Powiedział wprost, że jej nie chce! Mężczyźni nigdy nie traktowali tak Rosemary Ryan.

– Jak widzę, jesteś zdeterminowany, aby za wszelką cenę dopiąć celu, Richardzie – zauważyła, patrząc na niego spod wpółprzymkniętych powiek.

– To raczej ty jesteś bardzo zagadkową kobietą, Rosemary.

Zapewne masz tysiące przyjaciół, a decydujesz się na kolację z obcym człowiekiem. Ja jestem tym, za kogo się podaję – męż-

czyną, który chce mieć żonę i dzieci. Ty zaś jesteś nieodgad-niona tajemnicą.

Mówił poważnie. Nie miał zamiaru kontynuować tej znajomości. Musiała rozstać się z nim z godnością, nawet gdyby miało ją to kosztować życie.

– Dzięki kolacjom z nieznanymi codzienność staje się nieco bardziej urozmaicona, nie sądzisz? – Postanowiła, że nie da po sobie poznać, jak bardzo czuje się poniżona i że do koń-

ca wieczora zachowa klasę.

Skinęła na kierowniczkę restauracji Brendę Brennan, aże-by sprowadziła dla niej taksówkę.

Roztrzęsiona usiadła na fotelu w swoim małym mieszkaniu. Jak ten człowiek śmiał potraktować ją w taki sposób!

Niech go piekło pochłonie! Właśnie zamierzała pozwolić temu Richardowi Roche'owi nieco bardziej zbliżyć się do siebie. Co go skłoniło do przypuszczenia, że nie zależy jej na małżeństwie

ani na dzieciach?

Postanowiła przeglądać gazety w poszukiwaniu zawiadomienia o jego ewentualnym ślubie i puścić w obieg wiadomość, że znalazł żonę za pośrednictwem biura matrymonialnego. Miała zamiar dopilnować, ażeby jego koledzy dowiedzieli się o tym. Przypuszczała, że dopiero wtedy będzie mogła wymazać z pamięci ten wieczór, który zakończył się dla niej porażką i wielkim upokorzeniem. Postanowiła kupić nowe mieszkanie w jakiejś eleganckiej dzielnicy, gdzie będzie się mogła zrelaksować. Rosemary Ryan nie zamierzała nigdy więcej dopuścić, aby ktokolwiek potraktował ją w ten sposób.

Rok później w kolumnie z plotkami z wielkiego świata natknęła się na wzmiankę o Richardzie. Zamierzał poślubić pewną urodziwą wdowę z dwojgiem małych dzieci. Podobno poznali się w Galway u wspólnych znajomych. Rosemary nie napisała do jego kolegów ani do zaproszonych na ślub gości, jej wściekłość i uraza dawno już wygasły. Od tamtego wieczora nie podejmowała jednak dalszych prób nawiązania znajomości z jakimś mężczyzną, zamiast tego skoncentrowała się na znalezieniu dla siebie nowego miejsca do życia.

Interes Colma rozkręcał się bardzo powoli. Właściciel sam opracował menu, samodzielnie przyrządzał większość potraw, a miał do pomocy jedynie kiepskiego kucharza, kelnera, po-mywacza oraz swoją siostrę Caroline. Początek działalności restauracji zawiódł oczekiwania. Był rok 1989 i w Dublinie zostało otwartych wiele nowych lokali. Rosemary zakrzętnęła się energicznie i zaprosiła na otwarcie same ważne osobistości.

Ria była rozczarowana, że Danny nie zrobił tego samego.

– Przecież poznałeś za pośrednictwem Barneya mnóstwo ludzi – mówiła błagalnym tonem.

– Zaczekajmy, kochanie, aż restauracja stanie się modna.

Wtedy zaczniemy tam zapraszać naszych gości.

147

– Ale Colm teraz potrzebuje klientów. Jak inaczej to miejsce będzie mogło stać się modne?

– Nie przypuszczam, żeby Colm oczekiwał od swoich przyjaciół takiego wsparcia. Prawdopodobnie uznałby taki gest z naszej strony za nadmiernie protekcyjny.

Ria nie podzielała opinii męża. Uważała, że jego postawa jest przejawem małostkowości i przesadnego asekuranctwa. Po co miał ryzykować, że jego nazwisko będzie kojarzone z

przedsięwzięciem, które może okazać się chybione? Było to obrzydliwe podejście do sprawy i nie licowało z charakterem Danny'ego, który zawsze miał radosny i optymistyczny stosunek do życia. Nie omieszkała powiedzieć o tym Rosemary.

– Nie osądzaj go tak pochopnie. Być może ma rację.

Znacznie bezpieczniej jest zapraszać gości na spotkanie w interesach do wypróbowanej już restauracji – uspokajała ją Rosemary.

Domyślała się jednak, dlaczego Danny Lynch nie chciał

uczestniczyć w otwarciu lokalu i z jakiego powodu zmusił Rię, ażeby tego wieczora poszła z nim na służbową kolację.

Wiedział, że przy pianinie w głębi sali zasiądzie Orla King i zaśpiewa znane piosenki. A choć na razie nie znajdzie się w światłach jupiterów, to z czasem, jeśli restauracja zdobędzie popularność, dziewczyna otrzyma własną scenę.

Orla podczas licznych prób występowała w skromnej, czarnej sukience i popijała dietetyczną coca-colę. Ale już raz zachowała się nieobliczalnie, a nieprzewidywalność była ostatnią rzeczą, z jaką Danny pragnął mieć do czynienia.

Szczególnie od czasu, kiedy finanse Barneya McCarthy'ego znalazły się w opłakanym stanie i krążyły pogłoski o spekulacyjnym charakterze podejmowanych przezeń prób od-budowania kapitału i powetowania strat.

148

Rosemary była obecna na otwarciu restauracji Colma i opowiadała potem, że wieczór zakończył się ogromnym sukcesem. Wśród gości przeważali sąsiedzi, co było dobrą zapowiedzią na przyszłość.

– To naprawdę wspaniała dzielnica. Mielicie wielkie szczęście, że zamieszkaliście tutaj w odpowiednim czasie –

stwierdziła z uznaniem.

Ria wolałaby jednak, żeby w głosie przyjaciółki nie brzmiało zdziwienie, które sugerowało, że nie spodziewała się po nich tak roztropnej decyzji.

– To nie tyle kwestia szczęścia, ile dalekowzrocznego my-

ślenia – zauważył Danny, który również poczuł się urażony tonem wypowiedzi ich gościa.

– Nic z tych rzeczy. Chyba wiecie, że tajemnica wszech-

świata tkwi w zbiegu okoliczności – roześmiała się Rosemary.

Nie zamierzała przyznawać, że mieli w tej sprawie dobrego nosa, lecz przypisywała wszystko ślepemu zrządzeniu losu. –

Szkoda, że w okolicy nie ma żadnych przyzwoitych mieszkań ani ekskluzywnych apartamentów. Zostałabym waszą sąsiadką!

– Sądząc po tym, jak stoją twoje interesy, stać cię na kupno całego domu – zauważył Danny.

– Nie potrzebuję całego domu, nie mam ochoty użerać się z lokatorami. Najbardziej odpowiadałaby mi jakaś mała cha-

łupka przerobiona z szopy – podobna do tej, w której obecnie mieszka twoja matka, Rio.

– To była niepowtarzalna okazja – wyjaśnił Danny. – Nasza Holly z całą pewnością znalazła się w odpowiednim miejscu i we właściwym czasie. Opiekowała się pewną staruszką, a po jej śmierci spadkobiercy z wdzięczności taniej sprzedali jej ów domek. Nie uwierzyłabyś, jak wielką wartość rynkową obecnie posiada to mieszkanko!

– Może zechce się go pozbyć i zamieszka u was? – zasta-149

nawiała się na głos Rosemary.

– Wykluczone – oświadczyła Ria. – Uwielbia swoją niezależność.

– A my wysoko cenimy sobie naszą – dodał Danny. –

Chociaż bardzo kocham Holly, to nie chciałbym mieć jej tutaj przez cały czas.

– No cóż, skoro nie słyszeliście o niczym godnym uwagi w pobliżu, może wiecie o jakimś mieszkaniu na dachu wieżowca z ładnym widokiem?

– Trudno o wieżowce na wiktoriańskich ulicach.

– Ostatnio bardzo popularne stało się przystosowywanie różnych obiektów do celów mieszkalnych. – Rosemary miała niezłą orientację na rynku nieruchomości.

– To prawda. Przebudowy są kosztowne, lecz pieniądze zainwestowane w renowacje zawsze się zwracają. Jesteś zainteresowana dwiema sypialniami? – W Dannyim odezwał się pośrednik.

– Tak, a także dużym salonem, gdzie nie tylko mogłabym przyjmować gości, lecz który pełniłby również inne funkcje.

Chciałabym mieć też, o ile to możliwe, ogród na dachu.

– Obecnie w tej okolicy nie ma żadnego ciekawego obiektu, ale na rynku nieruchomości panuje spore ożywienie i sędzę, że przyszli inwestorzy będą przeprowadzać znaczne renowacje w zakupionych przez siebie budynkach.

– Miej oczy szeroko otwarte, Danny; ten dom nie musi się znajdować przy Tara Road, byle tylko był gdzieś w pobliżu.

– Na pewno coś dla ciebie znajdę – obiecał.

Po trzech tygodniach wrócił z nowinami o dwóch nieruchomościach wystawionych na sprzedaż. Żaden z właścicieli nie był jednak zainteresowany przebudową. Pozostawała więc kwestia namówienia Barneya McCarthy’ego do ich zakupu.

150

Jego ekipa przeprowadziłaby remont i, po uzyskaniu zgody miejskiego architekta, postawiono by nadbudówkę na dachu dla Rosemary. Do sporządzania projektu można było przystą-

pić niezwłocznie.

Danny spodziewał się zachwyty ze strony przyjaciółki żony, tymczasem Rosemary przyjęła wieści bardzo chłodno.

– Mówimy o zakupie hipotecznym, a nie o wynajmie, prawda? – upewniła się na wstępie. – I mam nadzieję, że będę mogła zobaczyć tytuły własności wszystkich pozostałych mieszkań budynku?

– Tak – odrzekł zdziwiony.

– A mój architekt wraz z geodetą będą mogli obejrzeć plany?

– Ależ oczywiście.

– I czuwać nad realizacją projektu budowlanego oraz mieć nadzór nad wykonaniem robót?

– Nie mam żadnych obiekcji.

– A co sądzą projektanci o ogrodzie na dachu?

– Inżynierowie nadzoru budowlanego są zdania, że jeżeli nie nawieziesz tam zbyt dużo ciężkiej ziemi, oba budynki wytrzymają to obciążenie.

Rosemary uśmiechnęła się jednym z tych swoich obejmujących wszystko uśmiechów, od którego rozjaśniał się cały pokój.

– To wspaniała nowina, Danny. Pokaż mi te domy.

Ria była wstrząśnięta taką niewdzięcznością przyjaciółki.

– Jak śmiała w ten sposób ciebie przesłuchiwać! To niewyobrażalne! – powiedziała oburzona.

– Nic się nie stało – uspokajał żonę Danny.

– Jesteś jej życzliwy i nakłoniłeś Barneya do zakupu tego budynku. – Ria wciąż była głęboko poruszona reakcją Rose-151

mary.

– Mylisz się, Rio, McCarthy nie kieruje się w swoich decyzjach względami przyjaźni, lecz dostrzega w owym przedsięwzięciu doskonały interes.

– Ale sposób, w jaki podała swoje warunki... i oświadczy-

ła, że musi nadzorować pracę Barneya... Kiedy to mówiła, nie wiedziałam, co począć z oczami.

Danny się roześmiał.

– Kochanie, Barney znany jest z tego, że często odstawia fuszerkę budowlaną, stosując najszybsze i najłatwiejsze metody. Twoja przyjaciółka musiała się o tym dowiedzieć. Zabezpiecza się i jest przezorna, to wszystko. Dzięki temu stała się tym, kim jest.

Hilary prychnęła na wieść o tym, że Rosemary zamieszka przy Tara Road.

– To ostatecznie przypieczętuje dominującą pozycję tej dzielnicy, skoro ona zamierza się tutaj przeprowadzić.

– Dlaczego jej nie lubisz? Nigdy nie powiedziała na ciebie złego słowa – narzekała Ria.

– A czy ja powiedziałam coś złego na nią? – spytała Hilary z miną niewiniątka.

– Nie, ale nie podoba mi się ton twojego głosu. Przypuszczam, że Rosemary czuje się bardzo samotna. Ty jesteś w innej sytuacji, masz Martina, ja mam dzieci... oraz Danny'ego, kiedy jest w domu, tymczasem ona nie ma nikogo.

– Jestem pewna, że nie uskarża się na brak adoratorów –

stwierdziła siostra.

– Na pewno nie. Podobnie jak i nam ich nie brakowało, kiedy byłyśmy młode. Na cóż jednak zdadzą się propozycje matrymonialne, jeśli składają je głupcy pokroju Kena Murray-a?

152

– Zapewne Rosemary interesują się lepsi kandydaci na męża niż Ken Murray.

– Być może, ale najwidoczniej nie znalazła odpowiedniego mężczyzny. To wspaniale, że zamieszka pomiędzy mamą a nami, nie sądzisz? Tylko was jeszcze tutaj brakuje.

– A skąd ja i Martin zdobylibyśmy środki na spłacenie domu przy Tara Road? „

Ria zmieniła temat.

– Matka Gertie jest trudną kobietą.

– Wszystkie matki są trudne.

– Nasza nie jest najgorsza.

– Mówisz tak, ponieważ wiecznie pilnuje ci dzieci.

– Wcale nie, robi to sporadycznie. Prowadzi bardzo aktywne życie. Matka Gertie odmówiła zabrania do siebie wnuków. Powiedziała, że gdyby chciała mieć więcej dzieci, zdecydowałyby się pomimo dojrzałego wieku na założenie własnej rodziny – I jak Gertie sobie teraz poradzi?

– Będzie się szamotać, jak zwykle. Powiedziałam jej, że dzieci jakiś czas mogą spędzać u nas, ale...

– Ria umilkła i przygryzła wargę.

– Ale Danny’emu nie podoba się ten pomysł?

– Obawia się, żeby Jack Brennan nie wystraszył swoim zachowaniem Annie i Briana, kiedy przyjdzie tutaj szukać swoich pociech oraz okazji do awantury.

– Więc co teraz będzie?

– Będę do niej przychodzić i zabierać oboje na całe dni, ale nie dni są najgorsze, lecz noce. Wtedy Gertie najbardziej zależy na tym, ażeby dzieci przebywały poza domem.

– Co za matnia – westchnęła siostra, a jej twarz złagodnia-

ła pod wpływem współczucia.

Reakcja taka była bardzo nietypowa dla Hilary, która normalnie zwykła rozmawiać tylko o tym, kto ile zarabia.

153

– Czy ty i Martin nie zabralibyście dzieciaków do siebie na weekend? Być może ich babkę ruszy w końcu sumienie albo ten szalenciec rozwali sobie głowę po pijanemu i znowu trafi do szpitala. Gertie byłaby wam dożgonnie wdzięczna.

– Dobrze – zgodziła się niespodziewanie Hilary. – Co one jadają?

– Fasolę, paluszki rybne, frytki i lody – wyliczała Ria.

– No to poradzimy sobie.

– Z największą przyjemnością zaprosiłabym ich oboje do siebie, ale... – usprawiedliwiała się Ria, a

w jej głosie zabrzmiał smutek.

– Wiem, że chętnie byś to zrobiła – uspokoiła siostrę Hilary. – No cóż, ja, w przeciwieństwie do ciebie, poślubiłam człowieka niezwykle wielkodusznego. Nic zatem dziwnego, że mogę teraz być bardziej im pomocna.

Ria umilkła, myśląc o spontanicznie reagującym i czułym Dannym Lynchu, którego siostra uważała za mniej wielkodusznego niż chorobliwie skąpy i małostkowy Martin Moran.

Czyż to nie jest zdumiewające, jak ludzie oceniali własną sytuację?

– A zatem lady Ryan ma zamiar zaszczyścić nas swoim są-

siedztwem na Tara Road – powiedziała Nora Johnson.

Matka Rii wprowadziła ostatnio do własnego życia nowy element: szczeniaka o nieokreślonej rasie. Nawet dzieci, które kochały zwierzęta, były lekko zaskoczone jego wyglądem.

Psiak sprawiał wrażenie, że posiada zbyt wiele łap, chociaż miał tylko cztery, a jego łeb wydawał się większy od tułowia, choć pewnie było to niemożliwe. Przez chwilę chodził niepewnie po kuchni, potem zaś wbiegł na górę i pooblewał nogi krzesel we frontowym pokoju. Annie doniosła o tym z rado-

ścią, a Brian uznał, że to najzabawniejsza rzecz, o jakiej kiedykolwiek słyszał.

154

Ria z trudem ukryła rozdrażnienie.

– Czy został jakoś nazwany, mamó? – spytała.

– Nie ma żadnej wymyślnej nazwy, tylko numer: trzydziesty drugi.

– Zamierzasz na niego wołać: „Trzydziesty drugi”? – Nie posiadała się ze zdziwienia.

– Miałam na myśli ten dom, gdzie stawiają dla lady Ryan nadbudówkę na dachu. Pies wabi się „Kleszcz”, już ci mówi-

łam. – Nie mówiła, ale było to bez znaczenia. – Wszyscy już wiedzą, że twoja przyjaciółka przeprowadza się na Tara Road.

Każdy o tym słyszał.

– To dobrze. Pewnie ją znają z widzenia. Dość często by-wa na naszej ulicy.

– Ludzie czytają o niej w gazetach. Szeroko się teraz rozpisują o niej w prasie, podobnie jak o waszym przyjacielu Barneyu McCarthym. – Nora również i tej znajomości nie pochwałała, dlatego

skwitowała swoje stwierdzenie kolejnym prychnięciem.

– To nadzwyczajne, że Rosemary stała się tak sławna –

powiedziała Ria. – Pani Ryan wciąż uważa ją za trzynastolatkę i mnie stawia córce za wzór. Czy możesz to sobie wyobrazić? I to komu jak komu, ale Rosemary!

Rosemary Ryan przeglądała ostatnio nie tylko czasopisma kobiece, lecz także prasę poświęconą zagadnieniom finansowym. Jej firma coraz bardziej umacniała swoją pozycję na rynku i w ostatnich miesiącach zrealizowała kilka zagranicznych kontraktów. Wykonała pocztówki dla jednej z bardzo znanych turystycznych miejscowości nad Morzem Śródziemnym i wygrała przetarg na wydrukowanie materiałów promujących ważne wydarzenie sportowe na zachodnim wybrzeżu Ameryki. Rosemary stała się poważnym udziałowcem w przedsiębiorstwie, a całkowite przejęcie interesu było kwestią

155
czasu. Człowiek, który zatrudnił ją kiedyś jako młodą dziewczynę, aby pomagała mu w prowadzeniu bardzo małej drukarni, ze zdumieniem patrzył na tę pewną siebie kobietę, która tak niebywale rozkręciła jego biznes. Jego samego teraz znacznie bardziej interesowało pokonywanie przeszkód na polu golfowym niż łapanie porannego pociągu do Belfastu, aby odbyć tam dwa spotkania w porze lunchu i wrócić do domu popołudniowym pociągiem z podpisanym kontraktem o wartości przekraczającej najśmielsze marzenia.

Rosemary nie widziała powodu, dla którego obywatele północnej Irlandii mieliby nie korzystać z drukarskich usług firmy zarejestrowanej na południu kraju, skoro obsługa była profesjonalna, ceny przystępne, a jakość wykonanej pracy wysoka. Dawno temu namówiła innych udziałowców do zmiany nazwy spółki z „Drukarnia Bractwa Białej Koniczyny”, na inną, równie nic nieznaczącą jak „Drukarnia partnerów”.

Nadal w życiu Rosemary nie było żadnego mężczyzny.

Właściwie miała ich wielu, lecz żaden nie okazał się tym jedynym. A w każdym razie nie do wzięcia. Ta atrakcyjna, a nawet zalotna dama stanowiła dla ludzi zagadkę. Nie była kobietą zimną i kilka przelotnych flirtów dostarczyło jej sporej dozy przyjemności. Ludzie podejrzewali ją o znacznie bujniej-sze i barwniejsze życie seksualne niż to, które prowadziła w rzeczywistości. Zależało jej jednak na utrwaleniu takiej opinii o sobie.

Przede wszystkim dlatego, by nikt nie sądził, że jest lesbijką jak siostra.

– Czy stałoby się coś strasznego, gdyby nawet ludzie my-

śleli tak o tobie? – zachnęła się Eileen.

– Nie jestem na tym punkcie przeczulona, skoro jednak nie mam takich skłonności, nie widzę powodu, by odpierać ataki wymierzane przeciwko kobietom o odmiennych upodobaniach

156
seksualnych. Ty i Stephanie możecie stawić czoło opinii publicznej, ponieważ ów związek stanowi część waszego życia.

W moim wypadku wszakże nie miałyby to żadnego uzasadnie-nia.

– Dość logiczne rozumowanie – przyznała jej siostra. –

Nadal nie rozumiem jednak, dlaczego kwestia orientacji seksu-alnej jest dla ciebie tak kłopotliwa. Nie żyjemy w latach pięć-

dziesiątych, na miłość boską, i możesz robić, co ci się żywnie podoba.

– Oczywiście. Irytują mnie tylko ludzkie oczekiwania.

– Może już go spotkałaś, tylko o tym nie wiesz.

– Co przez to rozumiesz?

– Może pan „Ideal” tkwi tuż pod twoim nosem, lecz ty nie uzmysłowiłaś sobie jeszcze, że to on. I pewnego wieczora oboje rzucicie się sobie w ramiona.

Rosemary zastanowiła się nad sugestią siostry.

– Całkiem możliwe – przyznała w końcu.

– Kto to może być? Na pewno nikt, kto cię odtrącił, ponieważ żaden mężczyzna nie oparłby się tobie, Rosemary.

Może to ktoś, na kogo dotychczas nie zwracałaś uwagi... Czy nikt taki nie przychodzi ci na myśl?

– Rosemary nie powiedziała nikomu o Richardzie Roche’u

– mężczyźnie, z którym umówiła się za pośrednictwem biura matrymonialnego i którego widywała przelotnie na różnych imprezach. Jego zdolność czytania z jej twarzy okazała się dla niej tak bolesna, że straciła zainteresowanie dalszymi poszu-kiwaniami towarzysza życia.

– Lubię Colma Barry’ego, wiesz, tego, który niedawno otworzył restaurację. Nie sądzę jednak, aby był zdolny do za-

łożenia rodziny.

– Jest gejem?

– Nie, ale ma bardzo skomplikowaną osobowość.

157

– Na twoim miejscu nie zawracałabym sobie nim głowy, Rosemary, naprawdę. Skup się na budowie swego pałacu i na dalszym rozwijaniu interesów.

– Myślę, że tak zrobię – odpowiedziała jej siostra.

Kiedy Gertie przydarzył się kolejny „wypadek”, jej matka dała za wygraną i zabrała wnuki do siebie na stałe.

– Nie dla ciebie to robię, lecz dla tych dwojga bezbronnych istot, które tak bezmyślnie powołaliście do życia, ty i ten nałogowy pijak.

– Nie pomagasz mi, mammo.

– Oczywiście, że pomagam. Zabieram dwójkę dzieci z po-tencjalnego zagrożenia. Gdybyś była kobietą normalną, a nie na wpół obłąkaną, doceniłabyś to, co robię.

– Mam przyjaciół, mammo, którzy mogą zabierać dzieci do siebie, kiedy Jack będzie cierpiał na swój kolejny rozstrój nerwowy.

– Jack jest nerwowo rozstrojony przez siedem dni w tygodniu. A choć Moranowie okazali się przyzwoitymi ludźmi, mogą zabierać dzieci do siebie tylko na weekendy i to sporadycznie!

– Jesteś bardzo dobra, mammo, ale nie rozumiesz całej sytuacji.

– Ja nie rozumiem? Chociaż masz dwójkę wylęknionych dzieci, które podskakują do góry na najmniejszy dźwięk, nie wystąpiłaś dotychczas do sądu o pozbawienie tego łajdaka praw rodzicielskich, aby na zawsze zniknął z ich życia!

– Przecież jesteś bardzo religijna, więc powinnaś rozumieć, że wzięłam ślub, na dobre i na złe. Nietrudno utrzymać –

związek, w którym wszystko dobrze się układa; gorzej, kiedy pożycie dwojga małżonków ma bardziej burzliwy przebieg.

– Ta druga sytuacja dotyczy większości ludzi. – Usta matki 158

zaczęły się mocno i tworzyły cienką linię, gdy pakowała rzeczy Johna i Katy, szykując je do kolejnej przeprowadzki w ich niespokojnym, krótkim życiu.

Rosemary prawie codziennie zaglądała wieczorami do Danny’ego i Rii. Zawsze były jakieś plany do omówienia i wiadomości do wysłuchania. Nigdy nie zostawała do późna –

siedziała jednak na tyle długo, aby każdy wiedział, że jest na bieżąco ze wszystkimi sprawami i że przed jej bystrym wzrokiem nie ukryje się żadna fuszerka. Ria wielokrotnie próbowa-

ła zatrzymać przyjaciółkę na kolacji, ale Rosemary zawsze wymawiała się, zapewniając, że zjadła olbrzymi lunch i nie będzie mogła przełknąć ani kęsa. Ria wiedziała, że to nieprawda. Tylko raz w tygodniu Rosemary chodziła na lunch do

„Quentina”, przez pozostałe dni miała w biurku niskokaloryczny jogurt i jabłko. Podczas spotkań w

interesach, na jakie umawiała się w hotelu „Shelbourne”, ograniczała się do wypicia lampki wina lub wody mineralnej. Rosemary Ryan nie by-

ła by chuda jak chart, gdyby nie posiadała niezłomnej woli.

Czasami Ria zastanawiała się, w jakim celu, na Boga, przyjaciółka narzuciła sobie tak żelazną dyscyplinę? Gimnastyka i pływanie przed pracą, bieganie w weekendy, wieczna dieta, wczesne kładzenie się do łóżka i regularne wizyty u fryzjera –

na cóż to wszystko?

Rosemary zapytana, odparłaby, że robi to dla osobistej satysfakcji. Owa nieprzekonywająca odpowiedź świadczyłaby o jej ogromnym poczuciu samotności. Ria postanowiła nigdy więcej nie poruszać tej kwestii, podobnie jak nie wracała do rozmów o seksie, których ostatnio obie unikały. A przecież kiedyś nie miały innego tematu, było to jednak w dawnych czasach, kiedy Ria jeszcze nie sypiała z Dannym. Ria nie zwierzała się przyjaciółce z tego, że mąż wciąż tak samo potra-

fi doprowadzić ją na szczyty ekstazy jak we wczesnym okresie ich znajomości. Rosemary natomiast nie opowiadała jej o swoich kolejnych podbojach. Ria wiedziała, że przyjaciółka bierze pigułki i ma mnóstwo kochanków. Oglądała plany mieszkania Rosemary: z przestronną sypialnią oraz luksusową łazienką, wyposażoną w jacuzzi i dwie umywalki. Kobieta sypiąca samotnie nie potrzebowałaby tego rodzaju salonu ką-

pielowego. Ria pragnęła o to zapytać, lecz nie śmiała. Przyjaciółka sama opowiedziałaby jej o wszystkim, gdyby miała ochotę.

– Realizacja projektu trwa dłużej, niż zakładaliśmy – zauważyła Rosemary.

– Sprawdź w kontrakcie, a przekonasz się, że zawiera klauzulę uwzględniającą nieprzewidziane wypadki – roześmiał

się Danny.

– Potrafisz się zabezpieczyć – odrzekła z uznaniem.

– Nie gorzej niż ty.

– Ja tylko zabezpieczyłam się na wypadek złej jakości wykonanych robót.

– A ja na wypadek deszczowej pogody, jaka ostatnio daje się nam we znaki – zripostował.

Ria razem z dziećmi kroїła przy stole ciasto na paszteciki.

Brian chciał je obtaczać w panierce, a Annie nadawała im kształt.

– O czym oni rozmawiają? – spytał chłopiec.

- O interesach – odrzekła Annie. – Tata i ciocia Rosemary rozmawiają o interesach.
- Dlaczego robisz to tutaj? Kuchnia jest miejscem do zabawy – zauważył głośno Brian.
- On ma rację. – Rosemary przyznała chłopcu słusność. –

Zabierzmy te wszystkie papiery do waszego pięknego salonu 160

na górze. Gdybym miała tak śliczny pokój, nigdy nie dopuści-

łabym do tego, żeby stał pustką i przesiąkał stęchlizną niczym staromodna bawialnia w jakiejś ruderze.

Danny wielkodusznie zabrał dokumenty na górę.

Ria stała z rękoma upapranymi mąką i czuła pieczenie pod powiekami. Jak Rosemary śmiała ją tak poniżyć? I to przy wszystkich! Zrobiła z niej nieporządną gospodynię, która za-puściła reprezentacyjny pokój na piętrze. Postanowiła dopilnować, aby pomieszczenie to już nigdy nie stało niewykorzy-stane.

– Dobrze się czujesz, mamó? – spytała Annie.

– Oczywiście, kochanie.

– Czy ty nie chciałabyś zajmować się prowadzeniem interesów?

Ni stąd, ni zowąd Ria przypomniała sobie przepowiednię wróżki, pani Connor, o tym, że z powodzeniem będzie zarzą-

dzać własną firmę.

– Nie, kochanie – odpowiedziała. – Ale dziękuję, że o to pytasz.

*

Nazajutrz przyszła Gertie. Wyglądała na skrajnie wyczerpaną i miała ogromne sińce pod oczami.

– Tylko nie zacznij prawić mi kazań, proszę cię, Rio.

– Nie miałam zamiaru tego robić. Każdy z nas jest kowa-lem własnego losu.

– Z radością odnotowuję zmianę twojego stanowiska.

– Gertie, chciałabym, żebyś mi pomogła wysprzątać frontowy pokój. Musimy go przewietrzyć i wypucować na wysoki połysk.

– Czy spodziewacie się kogoś? – spytała niewinnie przyja-161

ciółka.

– Nie – oparła ostrym tonem, aż tamta zamilkła i utkwiała w niej oczy. – Przepraszam – bąknęła Ria.

– W porządku, skoro jesteś miła i postanowiłaś nie wtrącać się do moich spraw, ja również nie zamierzam ingerować w twoje.

Pracowały w milczeniu. Gertie polerowała mosiężną kratę przed kominkiem, a Ria wcierała pszczeli wosk w drewniane części foteli. Odłożyła nagle ścierkę.

– Czuję się straszliwie niepotrzebna, nieefektywna i głupia.

– Ty tak się czujesz? – Gertie była zdumiona.

– Tak, ja. Mamy taki wspaniały pokój, a nigdy z niego nie korzystamy.

Gertie przyjrzała się jej z namysłem. Ktoś wyprowadził

Rię z równowagi. Na pewno nie była to jej matka; potoki wyrzutów Nory Johnson zawsze spływały po córce jak po kaczmę.

Nie mogła to być również Francis Sullivan – matka przyjaciół-

ki Annie, Kitty – ta kobieta nie potrafiłaby nikogo zdenerwować. Hilary nie poruszała w rozmowie innych tematów niż koszty i ceny, a oprócz tego Ria na pewno nie przejęłaby się opinią siostry. Pozostawała jedynie Rosemary. Gertie już otworzyła usta, lecz natychmiast je zamknęła. Ria nigdy nie pozwoliłaby nikomu powiedzieć złego słowa na przyjaciółkę i Gertie nie wiedziała, jak mogłaby ją pocieszyć.

– Chyba przyznasz, że to idiotyczne?

Gertie odpowiedziała, powoli dobierając słowa:

– W porównaniu z moim mieszkaniem ten dom jest pałacem i może tylko budzić podziw. Mnie osobiście zadowoliliby już sam fakt jego posiadania. A jeszcze ty i Danny wyszukali-

ście te wszystkie piękne rzeczy. Być może masz rację... powinniście częściej używać tego pokoju. Dlaczego nie mieliby-

ście zacząć tego robić od dzisiejszego wieczora?

162

– Boję się, że dzieci kompletnie go zniszczą.

– Nie zrobią tego. Spraw, aby przebywanie w tym salonie traktowały jako pewnego rodzaju nagrodę. Niech posiedzą chwilę tutaj, na przykład, wieczorem, przed pójściem do łóżek.

Jeśli będą się grzecznie zachowywały, pozwól im zostać nieco dłużej. Nie sądzisz, że to poskutkuje?
– Oczywiście wydawały się nienaturalnie wielkie w jej mrocznej, udręczonej twarzy.

Ria miała ochotę się rozplakać.

– Wspaniały pomysł! – odrzekła, siląc się na wesołość. –

Uporajmy się z porządkami w dwadzieścia minut, a potem zejdziemy na dół i poczęstujemy się jeszcze ciepłym ciastem z porzeczkami.

– Barney wpadnie do nas na drinka wieczorem przed kolacją. Pójdziemy do mojego gabinetu – oznajmił Danny.

– Może tym razem skorzystacie z frontowego pokoju? –

zapropnowała Ria. – Dzisiaj mogę wam tam podać kawę.

Wraz z Gertie zrobiłyśmy wielkie porządki i salon wygląda olśniewająco. Uprzątnęłam cały bałagan i będziecie mogli roz-

łożyć swoje papiery na stole, gdyż zabrałam wszystkie te pisma i niepotrzebne rzeczy.

Oboje poszli na górę, aby dokonać lustracji. Była szósta wieczorem i przez okna wpadały do środka ukośne promienie słońca. Na półce nad kominkiem stały kwiaty.

– Jesteś czarodziejką. Czeka mnie niełatwa rozmowa, dobrze zatem, że będę mógł przeprowadzić ją w tak miłym otoczeniu.

– Czy stało się coś złego? – zaniepokoiła się Ria.

– Nic wielkiego. Barney jak zwykle ma problemy z go-tówką. I choć nigdy nie trwają długo, można się przez nie na-bawić wrzodów żołądka.

– W tej sytuacji chyba zatrzymam dzieci na dole, prawda?

– Będę ci ogromnie wdzięczny, kochanie. – Mąż wydawał

163

się zmęczony i spięty.

Barney przyszedł o siódmej, a wyszedł o ósmej.

Ria umyła dzieci i przygotowała je do snu. Kiedy usłyszeli trzask drzwi frontowych, we trójkę udali się na górę. Dzieci zachowywały się trochę niepewnie – były niejako na obcym terytorium. Usiadły i zagrały w węże i drabiny. Nie krzyczały dzisiaj na siebie – prawdopodobnie czuły się onieśmielone.

Grały rozważnie, jak gdyby ta zabawa miała dla nich bardzo doniosłe znaczenie. A kiedy wybierały się już do łóżek, przynajmniej raz nie protestując, Danny mocno uściśnął oboje.

– Wasza obecność nadaje wszystkiemu sens – stwierdził

lekko zdławionym głosem.

Ria zapowiedziała, że przyjdzie sprawdzić, czy dzieci wyszorowały zęby.

– Czy było aż tak źle?

– Nie, nie najgorzej. Barney zachowuje się w typowy dla siebie sposób: musi mieć wszystko natychmiast. Znowu porywa się na przedsięwzięcie, które przerasta jego możliwości finansowe. Wiesz, że rozpaczliwie pragnie odremontować budynek pod numerem trzydziestym drugim, aby był to pokazo-wy dom, który stanie się jego wizytówką i dzięki któremu ludzie znowu zaczną go traktować poważnie. Problem w tym, że taka renowacja kosztuje majątek.

– I co zrobi?

– Potrzebuje dodatkowych gwarancji bankowych. Nalega, żebyśmy poręczyli za jego kredyty naszym domem.

– Tym domem?

– Jego własna hipoteka jest już obciążona.

– I co mu powiedziałaś? – Rię ogarnęło przerażenie. Barney był hazardzistą; gdyby zbankrutował, mogli stracić wszystko.

– Wyjaśniłem, że dom stanowi naszą wspólną własność i 164

muszę zapytać ciebie.

– W takim razie lepiej od razu do niego zadzwoń i powiedz, że się zgadzam.

– Mówisz poważnie?

– Słuchaj, gdyby nie Barney, nigdy nie kupilibyśmy tego domu. Gdyby nie on, niczego byśmy nie mieli. Powinieneś być

od razu mi o tym powiedzieć. Natychmiast z nim się skontaktuj, może jeszcze złapiesz go w samochodzie. Niech wie, że nie musieliśmy się zastanawiać nad podjęciem decyzji.

Kochali się tej nocy, lecz Ria nie mogła potem zasnąć. A jeżeli problem z przepływem gotówki tym razem okaże się poważniejszy? Jeśli stracą swój piękny dom? Mąż leżał obok niej pogrążony w błogim śnie. Kilkakrotnie popatrzyła na jego twarz. Zanim nadszedł świt, utwierdziła się w przekonaniu, że nawet utrata domu nie będzie miała dla niej znaczenia, jeśli Danny przy niej zostanie.

– Chodźmy na górę, mamó, napijemy się herbaty we frontowym pokoju – zaproponowała Norze.

– Bardzo różni się od miejsca, w jakim dorastałaś – zauważyła matka, rozglądając się po pomieszczeniu, które córka postanowiła wreszcie właściwie wykorzystać.

Uwaga Rosemary wciąż sprawiała Rii ból; przyjaciółka w pewnym sensie wyświadczyła jej jednak przysługę. Danny, siedząc w salonie, nigdy nie zasypiał, tylko rozglądał się wokół

siebie, z zadowoleniem podziwiając skarby, jakie zdołali zgromadzić. Dzieci były spokojniejsze i nie rozrzucały po całej podłodze swych gier, lecz trzymały je starannie poskładane w jednej z szuflad kredensu. Nawet Gertie lubiła tutaj sprzątać; zwykła mawiać, że ma wrażenie, iż wkracza między kartki ilustrowanego magazynu. Hilary natomiast rozwodziła się nad kosztami każdego przedmiotu i wyrzucała siostrze, że ich za-165

kup był zabójstwem.

Nawet matka Rii lubiła przesiadywać we frontowym pokoju, choć nigdy otwarcie tego nie przyznawała. Porównywała go z salonami w innych domach, gdzie zajmowała się prasowaniem, i twierdziła, że jest o wiele bardziej wytworny. Nigdy nie pozwoliła psu przekroczyć progów tego miejsca i Kleszcz musiał niechętnie się zadowolić swoim koszykiem w kuchni.

Rosemary podczas każdej wizyty podziwiała salon. Prawdopodobnie zapomniała już, jak okrutnymi słowami określiła go wcześniej: jako zatęchłą bawialnię, z której nikt nie korzysta.

Teraz dostrzegała tylko jego walory: wysoki sufit, dwa duże okna oraz urocze ciepłe barwy. To prawdziwy klejnot, powtarzała wielokrotnie.

Ria uświadomiła sobie, że posiadanie pięknych rzeczy może dawać wielką satysfakcję. Jeśli ktoś nie miał nienagannej figury, doskonałego makijażu ani wytwornych ubrań, musiał

zadowolić się posiadaniem pięknego pokoju. Po raz pierwszy zrozumiała, dlaczego ludzie kupują podręczniki poświęcone stylowemu urządzeniu wnętrza oraz meblom z różnych epok.

Zastanawiające było jednak to, dlaczego projekt mieszkania Rosemary skrajnie różnił się od frontowego pokoju przy Tara Road pod numerem szesnastym, dla którego była tak peł-

na podziwu. Przestronny apartament na najwyższym piętrze w domu pod numerem trzydziestym drugim przewidywał asce-tycznie gołe ściany i ogród na dachu, zapewniający nie tylko widok na dublińskie góry w ciągu dnia, ale i zachwycającą panoramę oświetlonego miasta w dole po zachodzie słońca.

Wnętrze miało być surowe i oszczędne w przedmioty – w tym celu pozostawiono mnóstwo wolnej przestrzeni na ścianach, zaprojektowano podłogi z jasnego drewna oraz minimalną ilość urządzeń kuchennych.

Projekt ten był przeciwieństwem domu Rii. Starła się 166

jednak polubić artystyczną wymowę czystych linii i podczas prac wykończeniowych często odwiedzała mieszkanie na dachu, zmuszając się do pochwał, choć miejsce to przywodziło jej na myśl galerię sztuki nowoczesnej.

Danny spędzał dużo czasu pod numerem trzydziestym drugim i czasami Ria nie mogła się oprzeć wrażeniu, że zbyt dużo. Równocześnie przebudowywano przecież kilka domów; ten był tylko jednym z nich.

– Powiedziałem ci już, że szukamy odpowiednich lokatorów, aby Barney znowu poczuł pewny grunt pod nogami. To sprawa prestiżowa. Potrzebujemy dobrych artykułów w prasie na stronach poświęconych nieruchomościom, a Rosemary mo-

że to załatwić. Dobrze byłoby, gdyby pozostałe mieszkania kupili jacyś politycy, ludzie show-biznesu czy gwiazdy sportu.

– Czy masz w kim wybierać?

– Na razie nie, ale chcemy rozpuścić wici, gdzie się da.

Poprosiłem Colma, ażeby pomówił o tym z grubymi rybami, które bywają w jego restauracji.

– I zrobił to?

– Tak, ale niestety tylko jego prymitywny szwagier Monto Mackey przyszedł zasięgnąć języka.

– To Monto i Caroline zamierzają zamieszkać przy Tara Road?

– Nie przypuszczałem, że ten facet dysponuje taką gotówką. Okazało się jednak, że byłem w błędzie. Zaproponował mi żywe pieniądze; i to duże.

– Nie! – Ria była oszołomiona ową wiadomością. Piękna, lecz apatyczna siostra Colma poślubiła człowieka handlującego samochodami: rosłego, nieciekawego mężczyznę o czerwonej twarzy, którego znacznie bardziej interesowały wyścigi niż własna żona czy prowadzenie interesu. Wydawał się ostatnim 167

kandydatem, który mógłby kupić tego rodzaju apartament.

– Oczywiście Barney ogromnie się ucieszył na wiadomość, że oto jest ktoś z walizą pieniędzy. Przekonałem go jednak, że powinniśmy zachować czujność. Musimy myśleć o lokatorach reprezentujących odpowiedni poziom, a nie o kimś tak mało ważnym jak Monto Mackey.

– Posłuchał twojej rady? Czy jego interesy już dobrze stoją? – Ria nigdy nie powiedziała otwarcie, że niepokoi się z powodu gwarancji, jakich udzielili McCarthy’emu, jej lęk był

jednak zawsze wyczuwalny.

– Nie martw się, kochanie, jeszcze nie puka do naszych drzwi komornik. U Barneya wszystko w

porządku, trzeba go tylko odwieść od chęci szybkiego wzbogacenia się i przełamać jego awersję do drobnej uciążliwości, jaką jest płacenie podatków. – Mąż sprawiał wrażenie rozbawionego.

Był wyraźnie zafascynowany postawą swojego szefa, a ich wzajemne stosunki cechowała zażyłość i brak skrępowania.

Kiedy Rosemary poruszyła w obecności Barneya temat zakupu ogrodowych mebli, zaproponował, że przedstawi jej swego przyjaciela.

– Nie ma potrzeby kłopotania się VAT-em. Zapłaci pani gotówką i wszyscy będą szczęśliwi – zaproponował.

– Nie wszyscy – oświadczyła chłodnym tonem. – Na pewno nie rząd i nie obywatele, którzy są płatnikami podatku konsumpcyjnego. Ani mój księgowy.

– Och, proszę mi wybaczyć – odrzekł McCarthy.

– Nikt jednak nie poczuł się zakłopotany. Istniały różne metody prowadzenia interesów. W ten sposób funkcjonował

świat biznesu.

– Czy lady Ryan urządza parapetówkę? Może będzie życzyła sobie, żebym odbierała od gości płaszcze? – Nora była 168

ciekawa wszystkich szczegółów związanych z przeprowadzką Rosemary.

– Nie szukaj zaczepki, Holly. – Danny miał słabość do swojej teściowej. – Nazywasz ją „lady Ryan” tylko dlatego, że chcesz wyprowadzić z równowagi Rię. Nie, nie słyszałem o żadnym przyjęciu. Czy Rosemary coś o tym wspomniała, skarbie?

– Przypuszczam, że zamierza poczekać, dopóki nie urządzi ogrodu na dachu – wyjaśniła. – Twierdzi, że mieszkanie nie będzie miało efektownego wyglądu bez odpowiedniego oświetlenia, drewnianych pojemników na kwiaty i altanek. Jest per-fekcjonistką.

– Jak dużo czasu jej to zabierze? Wyhodowanie roślin w moim ogrodzie trwało trzy lata – stwierdziła Nora.

– O Boże, nie, w świecie Rosemary Ryan wszystko odbywa się znacznie szybciej. Ogród, zgodnie z naszymi założeniami, będzie gotowy już za trzy tygodnie.

– To niemożliwe. – Matce zabrakło tchu z wrażenia.

– Możliwe, jeśli zatrudni dobrych ogrodników i sprowadzi rośliny w pojemnikach.

– Ciekawa jestem, czy będę mogła sprzątać u Rosemary, jak sądzisz? – zapytała Gertie Rię.

– Prowadzisz własną firmę, Gertie, i nie masz czasu na sprzątanie cudzych domów. Poza tym nie musisz tego robić.

– Muszę – odparła krótko.

– A kto będzie pilnował zakładu?

– Powiedziałaś mi już, że nikt go nie musi pilnować. Nawet pies twojej matki, Kleszcz, mógłby sprawować nad nim nadzór. Zatrudniam dzieciaki, żeby siedziały tam zamiast mnie.

Znacznie więcej zarabiam na sprzątaniu, niż im płacę.

– To śmieszne.

– Czy ma już kogoś do pomocy?

169

– Sama ją o to zapytaj, Gertie.

– Nie, ty ją wybadaj, zgoda? Zrobisz to dla swojej przyjaciółki, prawda?

– Nie zlecę sprzątania Gertie, to wykluczone. Po pierwsze, powinna się zająć własną, chylącą się ku upadkowi pralnią, a po drugie, wychowaniem dzieci.

– Chciałaby trochę dorobić.

– Dorabia u ciebie.

– Nie mogę jej już zatrudniać. Danny zastanawia się, co robię całymi dniami, skoro muszę płacić Gertie za sprzątanie.

– To zrozumiałe.

– Przemyśl to sobie, Rosemary. Potrzebujesz kogoś zaufa-nego.

– Zawarłam kontrakt z firmą na sprzątanie dwa razy w tygodniu.

– Ależ to całkiem obcy ludzie. Mogą ci wszystko ukraść albo chociażby grzebać w twoich osobistych rzeczach.

– Och, daj spokój, Rio, proszę. Jak, twoim zdaniem, przetrwałyby tego rodzaju instytucje, gdyby nie zatrudniały uczciwych ludzi? Bezpieczeństwo jest zagwarantowane, w przeciwnym razie tego typu firmy nie funkcjonowałyby na rynku.

Takie było stanowisko Rosemary w kwestii sprzątania. O

wiele bardziej zajmowało ją teraz urządzenie ogrodu. Przywieziono i zamontowano drewniane

kratownice, a kilka dni póź-

niej na dach zostały wniesione rośliny w pojemnikach.

– Chcę mieć mnóstwo róż – wyjaśniła Rii. – Po tej stronie planuję ustawić pnące krzewy o różowym odcieniu, a po tamtej odmianę „muscosa” oraz „Madame Pierre Oger”. Co jeszcze, jak sądzisz? – radziła się przyjaciółki, jak gdyby była ciekawa jej opinii.

– Widzę, że masz „Złoty deszcz”, to bardzo ładna roślina.

– Ria wymieniła jedyną nazwę, jaką знаła.

170

– Tak, ale jest żółta. Myślałam o całej gamie kolorów, które oddziaływałyby intensywnie na wyobraźnię, gdy się patrzy na kwiaty.

Rosemary nigdy nie wyraziła nadziei, że ogród w opinii jej gości będzie miał piękny, gustowny czy porażający zmysły wygląd. Interesowały ją tylko własne odczucia. A przecież musiało jej zależeć, aby inni również go podziwiali. Ria jednak nie była o tym przekonana. Czasami niczego nie czuła się pewna w związku z Rosemary. Wiedziała na przykład, że jeszcze trzy miesiące temu przyjaciółka nie potrafiłaby wymienić nazwy żadnego z tych kwiatów, a teraz pomagała ogrodnikom w przeplataniu przez kratownicę pędów wiciokrzewu, jaśminu i wistarii, jak gdyby nie zajmowała się niczym innym przez całe swoje życie. Zdumiewająca była znajomość rzeczy, z jaką się do wszystkiego zabierała.

Rosemary rzeczywiście wydała przyjęcie z okazji przeprowadzki do nowego domu. Ria prawie nikogo nie знаła, Danny i Barney spotkali również niewielu znajomych. Tego wieczoru McCarthy’emu towarzyszyła Polly, Ria musiała się więc pilnować, aby nie wspomnieć o bankiecie przy Monie.

Colm miał nadzieję, że jemu zostanie powierzona kulinarna obsługa przyjęcia, Rosemary wybrała jednak inną firmę.

– Klienci, sam rozumiesz – powiedziała lekkim tonem, jak gdyby stwierdzenie to wyjaśniało wszystko.

Gertie spytała ją wprost, czy nie będzie potrzebowała ko-goś do pomocy podczas przyjęcia, i Rosemary odpowiedziała jej również bez ogródek:

– Nie mogę ryzykować, że zjawi się tutaj Jack, aby dochodzić swoich małżeńskich praw, domagać się obiadu albo jednego i drugiego – oświadczyła.

Na przyjęciu była obecna matka Rosemary, a także Eileen i Stephanie.

171

– Czy znasz jakichś ludzi w tym tłumie? – spytała starszą córkę pani Ryan swarliwym tonem.

– Nie, matko. Aktualnie obracam się tylko wśród prawników i manifestantów, a Rosemary należy do świata biznesu.

– Nie przypuszczam, ażeby ktokolwiek tutaj wywodził się z wyższych sfer – westchnęła pani Ryan.

W tym momencie Rosemary znalazła się akurat za jej plecami i bezgłośnie poruszając ustami wypowiedziała zdanie, które matka bez wątpienia miała na końcu języka: „To sami parweniusze”. Eileen i Stephanie wybuchnęły śmiechem. Pani Ryan była zaskoczona.

– Jesteście wystarczająco ekscentryczne, nie musicie jeszcze bardziej zabiegać o uwagę zebranych.

– Ale przynajmniej nie nosimy cukierkowych kostiumów, pani Ryan – zauważyła Stephanie. Była wiotka niczym trzcina i ze swoimi długimi, kasztanowatymi włosami prezentowała się bardzo efektownie.

– Ani meloników – zachichotała Eileen.

Pani Ryan ponownie westchnęła. Nikt nie miał takich problemów jak ona, nikt.

Pomimo całego bogactwa wokoło i pięknie urządzonego mieszkania nadal nie było słyhać o kandydacie na męża Rosemary. Pojawili się natomiast fotografowie i pani domu została uwieczniona w towarzystwie znanego polityka. Barney i Danny zrobili sobie zdjęcie z pewną aktorką przy klombie kwiatów w ogrodzie na dachu, skąd roztaczał się panoramiczny widok na miasto. Fotografia Rosemary trafiła do rubryki po-

święconej zagadnieniom finansowym, a zdjęcie obu mężczyzn znalazło się w kolumnie dotyczącej handlu nieruchomościami.

Od tego momentu licznie zaczęły napływać oferty kupna mieszkań. Wszyscy byli zadowoleni.

172

Od czasu, kiedy Rosemary została bliską sąsiadką Danny’ego i Rii, regularnie ich odwiedzała. Często wpadała do nich na godzinę około siódmej wieczorem i wypijali razem po kieliszku wina z wodą sodową we frontowym pokoju. Ria podawała koreczki z serem na ciepło albo smażone migdały lub suszone śliwki owinięte plasterkami bekonu. Nie przejmowała się wcale, że Rosemary odmówi poczęstunku; wiedziała, że Danny zje kilka zakąsek, a resztę dokończy sama wraz z dziećmi. Przynajmniej miała okazję, by użyć kupionej na aukcji wiktoriańskiej porcelany.

Dzieci zostawały wtedy na dole w kuchni. Obowiązywał je surowy zakaz wszczynania bójek oraz dotykania czegokolwiek na piecu. Ria zaczęła regularnie układać włosy i robić delikatny makijaż. Musiała choć trochę zadbać o swój wygląd, skoro co wieczór spotykała się z elegancką Rosemary.

– Stroisz się dla lady Ryan – drwiła z niej matka.

– A ja zauważyłam, że i ty ostatnio ładnie się ubierasz, mamó. Nora zaczęła nosić okrągłe, sztywne toczki, w jakich kiedyś chodziła Audrey Hepburn. Kupiła je w sklepie z używaną odzieżą. Danny

wypowiedział się o tych nakryciach głowy z wielkim uznaniem:

– Teraz już mi nie powiesz, Holly, że nie wyglądasz jak Audrey Hupburn. Mogłabyś uchodzić za jej młodszą siostrą.

Również Gertie z dezaprobatą odnosiła się do wizyt Rosemary.

– Usługujesz jej niczym osobista służąca, Rio – zauważyła.

– Och, przesadzasz. W przeciwieństwie do Rosemary i do Danny’ego nie muszę pracować zawodowo. Poza tym sprawia mi przyjemność przyjmowanie gości w naszym pięknym frontowym pokoju.

Gertie przestała interesować się posadą u Rosemary, choć z pewnością przydałoby się jej kilka dodatkowych funtów i 173

praca na tej samej ulicy. Chętnie zobaczyłaby też wnętrze mieszkania, którego zdjęcia były zamieszczane w gazetach.

Nawet jako sprzątaczką.

– Czy podoba ci się mieszkanie na dachu domu pod numerem trzydziestym drugim? – spytała Rię. Uznała, że będzie miała o czym opowiadać klientkom w pralni, nawet jeśli informacje o nowym apartamencie pochodziły z drugiej ręki.

Ria nieczęsto zabierała ze sobą Briana do mieszkania Rosemary. Miał trzy lata i zakłócał spokój tego miejsca swoim nieustannym paplaniem, nadmierną ruchliwością, wiecznie lepkiimi uściskami i chęcią zwrócenia na siebie uwagi. Annie w ogóle nie chciała z nią chodzić. Nie było tam żadnych rozrywek, a przestronne i puste wnętrza przytłaczały dziewczynkę.

– Musisz koniecznie przyprowadzać ze sobą dzieci – nalegała Rosemary.

Ria wiedziała jednak, że lepiej, aby przychodziła sama. Za bardzo kochała swoje pociechy, aby przeproszać za ich, jej zdaniem, zupełnie normalne zachowanie. Podczas jednego z wielu niedzielnych popołudni, kiedy Danny pracował, zostawiła dzieci pod opieką matki i udała się z wizytą do przyjaciół-

ki. W mieszkaniu panował niezmacony spokój i wyglądało nienagannie – jak gdyby od momentu, kiedy goście mieli okazję je podziwiać podczas przyjęcia, gospodyni nigdy nie używała łóżka, nie gotowała posiłków ani nie robiła prania. Nawet kwiaty w ogrodzie na dachu wydawały się namalowane.

Pomimo wytwornego otoczenia, w jakim mieszkała Rosemary, pod wieloma względami nadal była taka, jak przed laty –

w czasach, kiedy pracowała w agencji handlu nieruchomości-

ściami. Wciąż potrafiła śmiać się w zaraźliwy sposób, kpiąc z obsesji Hilary na punkcie oszczędzania, z lęku, jaki budzili w pani Ryan parweniusze, i z Nory Johnson, która żyła w świecie

174
swych ulubionych bohaterów filmowych.

Zwierzała się Rii z problemów w pracy. Opowiedziała jej o dziewczynie, którą musiała zwolnić – chociaż była idealną sekretarką i doskonale wywiązywała się ze swoich obowiązków – z powodu przykrego zapachu, jaki tamta wydzielala, o pewnym kliencie, który rozmyślił się w ostatniej chwili i odwołał olbrzymie zlecenie, a Rosemary musiała skierować przeciwko niemu pozew do sądu, a także o wydrukowanych za darmo ulotkach na imprezę dobroczynną, która okazała się hałaśliwą zabawą dla narkomanów, aż musiała interweniować policja.

Siedziały ze stopami w górze na tarasie, w otoczeniu intensywnego aromatu kwiatów.

– Jak nazywa się ta śliczna roślina, która ma tak wspaniały zapach?

– To tytoń – odparła Rosemary.

– A duży, ciemnoczerwony kwiat, przypominający z wyglądu bez?

– *Solatum crispum*.

– Skąd, na Boga, znasz te wszystkie nazwy? I jak zdołałaś je zapamiętać? Przecież masz na głowie mnóstwo innych spraw, Rosemary!

– Przeczytałam o moich kwiatkach w książkach, Rio. Jakiż sens miałoby posiadanie tych wszystkich roślin, gdybym niczego o nich nie wiedziała? – W jej głosie zabrzmiało lekkie zniecierpliwienie.

Ria pamiętała z przeszłości, jak radzić sobie z rozdrażnieniem przyjaciółki.

– Masz całkowitą rację. Ja też mam wiele książek o kwiatkach i następnym razem będę równie dobrze zaznajomiona z tematem jak ty.

– To mi się podoba – pochwaliła ją Rosemary. Chwila iry-175

tacji minęła.

Może gdyby ich ogród był mniej zaniedbany i dziki, oboje z Dannym również mogliby spędzać w nim niedzielne popo-

łudnia i przyglądać się zabawie dzieci. Lub choćby tylko porozmawiać i poczytać gazety. Od tak dawna nie siedzieli razem w ogrodzie.

– Czy pielęgnowanie tych wszystkich roślin jest bardzo pracochłonne?

– Nie. Zatrudniłam człowieka, który przychodzi tutaj raz w tygodniu na cztery godziny, to wszystko.

– A skąd wiesz, co należy zrobić?

– Nie wiem. Wynajęłam go w centrum ogrodnictwa. On sam wie, co ma robić. Cała sztuka polega na tym, ażeby zaoszczędzić sobie pracy. W głównej mierze zawdzięczam to robotnikom budowlanym, którzy postawili tę nadbudówkę: nie mam problemu z chwastami, pieniącymi się z sąsiednich posesji i nie muszę sobie łamać grzbietu przy ich wrywaniu. Ho-duję tylko łatwe w utrzymaniu krzewy, niewymagające skomplikowanych zabiegów pielęgnacyjnych. – Ilekroć Rosemary opowiadała o efektach jakiejś pracy, zawsze można było odnieść wrażenie, że uzyskuje dobre wyniki bez wielkiego wysiłku.

Ria myślała o tym wszystkim, idąc Tara Road. Brian był

już duży i mogłaby podjąć pracę zarobkową. Odnosiła jednak wrażenie, że mąż nie byłby tym zachwycony.

„Czuję się cudownie, skarbie, wiedząc, że jesteś w domu i czuwasz nad wszystkim... „ – powiedziałby, gdyby poruszyła ten temat. Albo zmarszczyłby czoło pod wpływem zatroskania i niepokoju: „Czy nie jesteś szczęśliwa, kochanie? To straszne.

Chyba uważasz mnie za samoluba. Wydawało mi się, że żyjesz pełnią życia... masz tyle przyjaciółek i zajęć... ale oczywiście 176

porozmawiamy o tym”.

A tego również nie chciała.

Na początku lata ulica wyglądała szczególnie uroczo.

Wszędzie kwitły wiśnie, a płatki ich kwiatów tworzyły pod stopami biały dywan. Ria nigdy nie mogła się nadziwić różnorodności stylów życia, jakie prowadzili mieszkańcy Tara Road.

Były tam domy, gdzie małe apartamenty lub pokoje wynajmowali studenci, a ich rowery stały oparte o balustradę. Lynchowie też tak kiedyś robili – aż do tego roku, kiedy to zrezygnowali z lokatorów i przeznaczyli pokoje na własny użytek.

Gdyby po wyjściu od Rosemary Ria skręciła w prawo, musia-

łyby przejść obok zróżnicowanych budowli – wysokich domów, jak ich własny, oraz niższych, prawie niewidocznych wśród drzew, a potem obok małego, nieczynnego warsztatu.

Od tego miejsca ulica znowu zmieniała swoje oblicze i aż do rogu, gdzie panował duży ruch, stały przy niej duże wille otoczone ogrodami. Tuż za rogiem mieszkała i pracowała Gertie.

Wśród klientów jej pralni przeważali studenci, masowo wynajmujący w tej dzielnicy pokoje. Życie, jakie wiodła Gertie z Jackiem, było bardzo tajemnicze i oboje cenili tylko tych przyjaciół, którzy nie zadawali pytań.

Pochłonięta rozmyślaniami o ogrodzie Ria zauważyła, że w odróżnieniu od niej i Danny'ego prawie wszyscy mieszkań-

cy zrobili już porządek na swoich posesjach. Zachodziła w głowę, od czego miałyby zacząć na własnej. Niektóre zdziczałe rośliny tak wybijały, że przydałoby się powycinać je siekierą, ale co dalej? Ria nie chciała być jedną z owych kobiet, które po wyjściu od przyjaciółki natychmiast pragną zmieniać kuchenne blaty albo kupują nowe firanki, lecz ona i Danny zbyt długo przymykali oczy na ten ważny aspekt życia i taka postawa wydała się jej niedorzeczna.

Od pewnego czasu całkiem zaniechała podejmowania na 177

własną rękę jakichkolwiek decyzji, zdawała sobie z tego sprawę, choć niechętnie dopuszczała do siebie tę myśl. Zaraz po ślubie potrafiła wybrać się na główną ulicę i kupić dwie puszki pasty do szorowania, aby Danny po powrocie z pracy zastał

nieskazitelnie czysty zlewozmywak. Być może jednak teraz mąż miał większe oczekiwania. Zajmował się przecież sprzedażą i kupnem nieruchomości. Widywał domy bogaczy oraz ludzi obdarzonych dobrym gustem i wyczuciem stylu. Nigdy potem Ria nie zrobiła nic z własnej inicjatywy. Skoro wszakże mąż nie dostrzegwał, że zaniedbany ogród obniża wartość estetyczną ich domu, być może do niej należało zrobienie czegoś w tej kwestii.

Barney McCarthy zaparkował właśnie samochód na za-graconym podjeździe. Manewrowanie pojazdem nie było tam łatwe. Musiał stanąć obok ich samochodu i uważać przy tym na rower Annie, na trzykołowy wehikuł Briana, na taczkę, któ-

ra leżała tam od tygodni oraz skrzynki zlekceważone przez śmieciarzy, ponieważ nie zostały zanesione pod śmietnik.

– Ślicznie wyglądasz, Rio – oświadczył gość, wysiadając z samochodu.

Podziwiał kobiety, ale nigdy nie prawił im czczych komplementów. Jeśli którejś powiedział, że ładnie wygląda, naprawdę tak uważał.

Dotknęła z zadowoleniem włosów.

– Dziękuję, Barneyu, choć prawdę mówiąc, wcale się tak nie czuję. Jestem trochę zła na siebie i wyrzucam sobie w my-

ślach własne niechlujstwo.

– Ty? – Był zdumiony.

– Mieszkamy tutaj już od dziewięciu lat, a nasza posesja nadal przypomina z wyglądu plac budowy.

– Och, przesadzasz – bąknął pocieszająco.

– Dobrze wiesz, że mam rację. Jestem stale w domu, po-178

winnam więc coś z tym zrobić. I zrobię, już postanowiłam. Nie mogę jeszcze tym problemem obarczać biednego Danny'ego.

Wystarczy, że się zaharowuje całymi dniami... – Odniosła wrażenie, że Barney spojrział na nią ze współczuciem.

– Nie możesz mówić w ten sposób, Rio. Ten ogród zdziczał przed wieloma laty.

– Myślisz, że o tym nie wiem? Może w przybliżeniu zdo-

łasz określić kwotę, jaką musiałabym zapłacić twoim pracownikom za oczyszczenie tego miejsca z chwasty? Dopiero potem moglibyśmy się wspólnie zastanowić, co i gdzie posadzić... Określ koszty i nie przejmuj się Danny'm. Wygospodaruję tę sumę z pieniędzy na utrzymanie domu. Przynajmniej tyle mogę zrobić.

– Sądzę, że powinnaś zapoznać ze swoim pomysłem męża i dowiedzieć się, czego on sobie życzy.

– Powie: „Kiedyś o tym porozmawiamy”, i sprawa nadal pozostanie niezłatwiona. Oczyszcmy ogród z chwastów, Barneyu, a potem razem wybierzemy ozdobne rośliny do zasadzenia.

Stał, drapiąc się po brodzie.

– Sam nie wiem, Rio. Powinnaś się nad tym poważnie zastanowić, nim sprowadzisz robotników. Przypuśćmy, że zechcecie coś tutaj wybudować. Głupotą byłoby robienie pięknych kwiatowych rabatek, jeśli wkrótce trzeba je będzie zrujnować.

– Wybudować? – zdumiała się Ria. – A dlaczego mielibyśmy tutaj jeszcze cokolwiek budować? Czyż nie mamy już olbrzymiego, dwupiętrowego domu? Pokoje po naszych lokatorach wciąż stoją puste. Zamierzamy urządzić w jednym z nich bardziej przestronny gabinet dla Danny'ego, a drugi przeznaczyć na miejsce zabaw dla dzieci. Nie potrzebujemy dodatkowych pomieszczeń.

179

– Nigdy nie wiadomo, czy w miarę upływu lat wasze plany nie ulegną zmianie – zauważył McCarthy.

Ria poczuła nagły chłód. Nie chciała niczego zmieniać, a jedynie trochę upiększyć otoczenie. Postanowiła, że nie będzie dłużej dyskutować o swoich projektach z tym mężczyzną.

Chociaż ją lubił i podziwiał, widział w niej jedynie potulną żonę Danny'ego. Uważał prawdopodobnie, że jest dobrą żoną i matką, a także taktowną panią domu, która w razie potrzeby zawsze ma coś przygotowanego do zjedzenia i serdecznie traktuje zarówno jego żonę, jak i kochankę. Nie sądził jednak, żeby Ria była zdolna do podjęcia jakiejś samodzielnej decyzji w sprawie domu, w którym mieszka.

– Masz całkowitą słuszność, Barneyu. Sama nie wiem, co mnie dzisiaj napadło – stwierdziła. – Pójdę przygotować jakąś przekąskę dla ciebie i Danny'ego. Czy masz ochotę na mrożoną herbatę i kanapki z pomidorami z pełnoziarnistego chleba?

– Jesteś wspaniała.

Matka Rii znajdowała się w kuchni razem z dziećmi.

– Och, widzę, że już wróciłaś od lady Ryan? – Nora nie mogła polubić Rosemary.

Ria nie pamiętała już, od kiedy datuje się owa uraza ani co ją spowodowało. Dawno temu zaniechała prób przekonania matki, że przyjaciółka jest bardzo wartościową kobietą.

– Tak, wróciłam. Ona również o ciebie pytała, mamo.

– Też coś! – prychnęła Nora Johnson. – Czy to głos Barneya słyszałam przed domem?

Ria pochyliła się nad obrazkiem, jaki malowała Annie. W

całej kuchni była porozlewana woda.

– Namalowałam ciebie, mamo – oświadczyła z dumą dziewczynka. Na środku kartki widać było jakieś straszidło pośród rondli i patelni.

– Śliczny portret, Annie – pochwaliła córkę Ria. – Na-180

prawdę piękny. Jesteś bardzo zdolna.

– To ja jestem zdolny – zaprotestował synek.

– I bardzo głupi – dodała Annie.

– Jak możesz, Annie! Brian jest bardzo mądry.

– Przypuszczam, że w ogóle nie ma mózgu w głowie –

oświadczyła z powagą dziewczynka. – Kiedy nie daję mu farb, wrzeszczy na całe gardło, a kiedy jakąś dostanie, robi tylko wielkie plamy.

– Nie pleć bzdur, Annie. Jest od ciebie młodszy. Kiedy osiągnie twój wiek, też będzie umiał wszystko zrobić.

– Czy ty też dorównasz babci rozumem, jak będziesz starsza? – spytała Annie.

– Mam nadzieję, że tak – odrzekła z uśmiechem Ria.

– Wykluczone. Nie ma na to szansy, nawet za milion lat –

obruszyła się matka. – Przypuszczam, że do końca życia bę-

dziesz przygotowywała jakieś wykwintne przysmaki dla tego cudzołożnika na górze.

– Staram się nie używać tego słowa w obecności osób trzecich. – Ria spiorunowała Norę wzrokiem.

Annie nie przepuszczała żadnej okazji nauczenia się nowych określeń.

– A co to jest łyżnik? – spytała.

– To rodzaj drewnianej półki z otworami na łyżki – odparła pośpiesznie Ria.

Dziewczynka zadowolona się tym wyjaśnieniem i ponownie zaczęła malować.

– Przepraszam – powiedziała nieco później Nora. Córka pogładziła ją po ramieniu.

– Nic się nie stało. Tak się składa, że zgadzam się z twoją opinią. Za kilkanaście lat nadal pewnie będę robić to samo.

Zony zawsze usługują mężom, prawda? Czy mogłabyś nalać mrożonej herbaty do dwóch szklanek?

181

– Co za szalony pomysł! Powinnaś podać albo dzin z tonikiem i lodem, albo dwie filiżanki gorącej herbaty, zamiast mieszać jedno z drugim. To wbrew naturze.

Później tego samego wieczora Ria powiedziała Danny’emu, że powinni coś zrobić z dzikimi chaszczami w ogrodzie.

– Nie teraz, kochanie – odrzekł zgodnie z jej przypuszczeniami.

– Nie zamierzam cię nagabywać w tej sprawie. Pozwól, że sama się tym zajmę. Pytałam już Barneya o koszty.

– Już go pytałaś?

– Tak. Tylko dlatego, że próbuję trochę cię odciążyć od domowych zajęć.

– Nie rób tego, kochanie, bardzo cię proszę. Barney nie będzie chciał wziąć od nas pieniędzy, a urządzenie ogrodu naprawdę nie jest konieczne.

– Przecież sam zawsze mówiłeś, że powinniśmy się za-troszczyć o wartość naszej nieruchomości.

– Nie wiem jeszcze, co z nią zrobimy, Rio.

– Jak to nie wiesz? Urządzimy parking dla gości, a także dla nas, aby ustawienie auta nie przypominało pokonywania toru z przeszkodami. Przecież w tym domu zamierzamy spędzić resztę życia, to nie jest jakieś tymczasowe koczowisko.

– Nie zastanawialiśmy się jeszcze nad tym... i nie wiemy, co przyniesie przyszłość.

– Tylko nie zacznij mówić, jak Barney, o rozpoczęciu budowy na naszej parceli. – Ria zirytowała się nie na żarty.

– Barney wspomniał o budowie?

– Tak. I nie mam pojęcia, co, do licha, miał na myśli!

Danny dostrzegł wzburzenie na twarzy żony oraz jej zaczerwienione z gniewu policzki.

182

– Słuchaj, jeżeli w ogóle dojdzie do jakiejś budowy, to jeszcze daleka droga do takich decyzji... Masz rację, musimy coś z tym zrobić... Zgoda, uporządkujmy trochę teren przed domem.

– Co zamierzasz tutaj wybudować?

– Na razie nic, masz absolutną rację.

– Na razie? Czyż nie wystarczy nam ten ogromny dom?

– Kto wie, co przyniesie jutro?

– To nieuczciwe postawienie sprawy, Danny. Przypuszczam, że ty wiesz, czego możemy się spodziewać w przyszłości.

– Zgoda. Powiem ci, co mam na myśli. Przypuśćmy, że nastaną ciężkie czasy, a my nie będziemy chcieli stracić naszego domu. Mając możliwość postawienia w ogrodzie małego budynku, mieszczącego dwa niezależne, dwupoziomowe mieszkania, być może...

– Dwa mieszkania w naszym ogrodzie? Przed naszymi frontowymi drzwiami? – Ria spojrzała na męża, jak gdyby postradał zmysły.

– Taka możliwość będzie dla nas czymś w rodzaju polisy ubezpieczeniowej.

– Ależ to byłoby straszne!

– Lepsze to niż, z braku wyboru, utrata domu. Oczywiście to tylko sytuacja hipotetyczna, jednak powinniśmy ją brać pod uwagę.

– Dlaczego musimy uwzględniać aż tak skrajne rozwiązania? Zawsze patrzyłeś z optymizmem w przyszłość, dlaczego więc teraz snujesz przede mną ponure wizje o konieczności budowy jakichś okropnych mieszkań na wypadek biedy? Jeśli jest coś, o czym mi nie powiedziałeś, lepiej zrób to zaraz. To nieuczciwe, że chcesz mi oszczędzić złych wieści. Nie zamierzam znosić tego dłużej! Danny wziął żonę w ramiona.

– Przysięgam, że niczego przed tobą nie ukrywam. Widziałem jednak zbyt wielu ludzi z mojej branży, którzy spoglądali ufnym okiem w przyszłość i wierzyli, że z każdym rokiem będą się piąć coraz wyżej... a potem następowały nieprzewidziane wypadki, rynek finansowy się załamywał i tracili wszystko.

– Ale przecież my nie posiadamy żadnych papierów wartościowych ani akcji, Danny.

– Wiem, kochanie.

– A więc?

– Ale Barney je posiada, a nasze losy są z nim ściśle związane.

– Kiedy zarobił pieniądze na sprzedaży mieszkań pod numerem trzydziestym drugim, zapewniłeś mnie, że się wykaraskał na dobre i że sprawa z poręczeniem hipotecznym została definitywnie zakończona.

– Rzeczywiście, wyszedł cało z tamtej opresji – przyznał

Danny, usiłując uciszyć jej niepokój. – Jest teraz znacznie ostrożniejszy.

– Barney? Ależ on nigdy nie był ostrożny! Pomimo ataku serca nadal pali papierosy i pije brandy! A poza tym dlaczego my również mamy być przezorni i żyć w ciągłym strachu?

– Ponieważ nasz dobrobyt jest związany z pomyślnością jego interesów. Barney o tym wie i chce dla nas jak najlepiej.

Dlatego zależy mi, aby mieć pewność, że zawsze istnieje moż-

liwość postawienia mieszkań na naszej posesji... Przypuśćmy, że sprawy przybiorą dla niego niepomyślny obrót... trochę ce-gieł i zaprawy w naszym ogrodzie będzie jedynym rozwiązaniem; inwestycją, która nigdy nie straci na wartości, rozumiesz?

– Prawdę mówiąc, nie bardzo – wyznała. – Czy w razie bankructwa Barneya nie będziesz mógł podjąć pracy w innej

agencji handlu nieruchomościami w mieście?

– Przypuśćmy, że będę mógł – odpowiedział Danny, uśmiechając się przelotnie swoim zwykłym pogodnym uśmiechem, którego Ria nauczyła się lękać.

W ten sposób reagował zwykle, ilekroć oprowadzał kogoś po posesji, mającej wątpliwą wartość; kiedy pilno mu było do sfinalizowania jakiejś transakcji, gdyż wkrótce mijał wyznaczony wcześniej

nieprzekraczalny termin realizacji umowy, lub kiedy się obawiał, że łańcuch nie wytrzyma napięcia i pęknie, ponieważ ktoś po drodze nie dostanie pożyczki i cała koncepcja runie niczym domek z kart.

Nie pozostało już nic więcej do odkrycia czy też do omó-

wienia. Zgoda na niewielkie zabiegi porządkowe przed domem oraz perspektywa niepokoju o przyszłość. Tylko tyle wynikło z całej rozmowy.

Sheila Maine donosiła z Ameryki, że w tamtejszej prasie rozpisują się o wielkich możliwościach w Irlandii i ludziach licznie wracających do ojczyzny. Zastanawiała się, czy któraś z przyjaciółek nie mogłaby jej służyć w tej sprawie radą.

Ogromnie się cieszy, że podczas swojego pobytu w kraju mogła się spotkać z nimi wszystkimi. I czyż nie był to zabawny dzień, gdy wybrały się razem do wróżki? Pani Connor powiedziała Sheili, że przyszłość leży w jej własnych rękach. Na każdym kroku stykała się obecnie z podobnym stwierdzeniem.

Dlaczego przed laty, kiedy się wyprawiali za ocean, nie wiedzieli, co zamierzają inni emigranci i nie postąpili podobnie?

Sheila napisała też, że jej syn Sean, rówieśnik Annie, uczy się irlandzkich tańców na organizowanych nieopodal ich domu zajęciach, a jej córka, Kelly, która jest bardzo absorbującym brzdącem, w przyszłym roku zostanie zapisana do grupy ma-luchów. Sheila za wszelką cenę postanowiła nie dopuścić do 185

tęgo, ażeby jej dzieci dorastały w niewiedzy o ich irlandzkim dziedzictwie. Sporządziła list w kilku kopiach i wysłała je do swojej siostry Gertie, do Rosemary, Rii oraz do Hilary. Podczas ostatniej wizyty w Irlandii zapałała szczególną sympatią do Hilary i namawiała ją do wizyty w Stanach w okresie letnich wakacji.

– Jak mogłabym to zrobić? Ona chyba nie ma pojęcia, ile tutaj zarabiamy – zawołała siostra, pokazując Rii zaproszenie.

– Nie wiem, Hilary. – Ria czasami miała wrażenie, że całe życie upłynie jej na przekonywaniu tamtej, iż pewne rzeczy są w zasięgu jej możliwości. – Jeśli zabukujesz bilet z trzymiesięcznym wyprzedzeniem, otrzymasz wielką zniżkę. A Sheila zapewnia, że pobyt tam nic cię nie będzie kosztował.

– A co z Martinem? – Hilary zawsze miała gotowy kontr-argument na każdą sugestię.

– Może pojechać razem z tobą, jeśli będzie miał ochotę spędzić dwa tygodnie w Connecticut, co jest wielce prawdopodobne. A jeśli nie, może wybrać się na wieś w odwiedzinach do rodziców. Zawsze twierdził, że w przeciwieństwie do ciebie chciałby częściej u nich bywać.

Hilary zmarszczyła brwi. Ten pomysł mógł się wydawać rozsądny tylko tak bogatym ludziom, jak Danny i Ria, którzy nie mieli żadnych problemów finansowych. Stwierdziła w duchu po raz któryś z rzędu, że życie dziwnie rozdziela karty.

Zasoby cierpliwości Rii w tym dniu były bardzo ograniczone. Przedtem Mona McCarthy zwróciła się do niej z prośbą o pomoc podczas porannego spotkania pań przy kawie. Ria chętnie spełniłaby jej życzenie, ale oznaczało to konieczność poproszenia kogoś o zaopiekowanie się Brianem. Nie mogła tym problemem obarczać matki. Nora Johnson miała dni cała-

kowicie wypełnione pracą zarobkową oraz życiem towarzyskim i córka musiała uprzedzić ją znacznie wcześniej, ilekroć 186

zależało jej na tym, żeby matka zarezerwowała dla niej czas.

Dzisiaj Nora miała w planach prasowanie w jednym z domów, kolportaż ulotek promujących loterię fantową organizowaną na rzecz schroniska dla zwierząt oraz odwiedziny u kilku pensjonariuszek w domu starców pod wezwaniem świętej Rity. I Ria nie mogła zburzyć jej porządku dnia.

Gertie powiedziała, że nie jest to najlepsza pora na pozostawienie Briana u niej w pralni na kilka godzin, ponieważ...

dzisiejszy poranek nie należy... do udanych. Dzieci Gertie przebywały u jej matki. To wyjaśniało wszystko. A Ria za nic nie poprosiłaby żadnej z sąsiadek, na przykład Francis Sullivan, o zaopiekowanie się jej chłopcem. Znajoma pomyślała-by, że Ria, kobieta niepracująca, nie potrafi zorganizować sobie czasu. Gdyby blada i mizerna Caroline, siostra Colma, była bardziej rozgarnięta, można by ją ściągnąć na kilka godzin.

Zwykle jednak trwało o trzy sekundy za długo, nim pojęła, co się do niej mówi, a Ria nie miała dzisiaj czasu.

Siostra obracała list w rękach na wszystkie strony. Ria postanowiła zaryzykować:

– Chciałabym cię prosić o pewną przysługę, ale powiedz otwarcie, jeśli nie będziesz miała ochoty jej wyświadczyć. Z

wielu powodów bardzo zależy mi na tym, żeby pójść dzisiaj do Mony McCarthy.

– Wcale w to nie wątpię – prychnęła Hilary.

– Nie z tych względów, o jakie mnie podejrzewasz. Byłoby mi jednak bardzo na rękę, gdybyś przez trzy godziny zajęła się Brianem. Obiecuję, że po powrocie przygotuję dla nas olbrzymi, wyborny lunch. Odpowiedz: tak czy nie?

– Po co chcesz tam iść?

– A więc „nie”, jak przypuszczam – odrzekła Ria.

– Niekoniecznie. Jeśli zdradzisz mi ową tajemnicę, dlaczego tak bardzo ci zależy, żeby tam pójść, zostanę z małym.

– Zgoda, powiem ci. Boję się, że Barney McCarthy ma kłopoty finansowe. Chcę się czegoś więcej o tym dowiedzieć, bo jeśli to prawda, ich problemy odbiją się niekorzystnie na sytuacji Danny’ego. Wyjawiłam ci szczerą prawdę, możesz mi wierzyć lub nie. A więc? Czy zgadzasz się zostać z małym?

– Tak – odpowiedziała Hilary.

Ria zatelefonowała po taksówkę, włożyła swój wizytowy kostium oraz najlepszy jedwabny szalik, zabrała świeżo upieczone ciasto orzechowe, które studziło się na blasze, i wyruszyła do rezydencji McCarthy’ch, położonej sześć mil za Dublinem. Podjazd był wypełniony eleganckimi samochodami, a kiedy zbliżyła się do drzwi wejściowych, dobiegł ją głośny gwar kobiecych głosów. Była wzruszona, kiedy spostrzegła, że twarz Mony rozjaśniła się na jej widok. Pośpiesznie zdjęła żakiet i z wyuczonym uśmiechem osoby często bywającej na porannych damskich kawach włączyła się do pomocy. Najważniejszym zadaniem było dopilnować, aby panie przybyłe z wizytą – najczęściej kobiety zupełnie samotne – miło spędziły czas, zostały otoczone ciepłem i poczuły, że są tutaj akceptowane. Nie tak istotne wydawało się owe dziesięć funtów, które zapłaciły przy wejściu, ile sprawienie, aby nabrały pewności, że należą do obecnego tu grona. I w przyszłości dały się namówić na wyłożenie znacznie większych kwot podczas pokazów mody, wystawnych kolacji z tańcami oraz premier filmowych.

Dzisiaj Ria poznała pewną szykowną kobietę, niejaką Margaret Murray.

– Być może zna pani mojego męża, Kena. Również zajmuje się handlem nieruchomościami.

Miała ogromną ochotę powiedzieć tamtej, że Ken Murray był chłopakiem, z którym po raz pierwszy się całowała, gdy miała piętnaście lat. I wyznać, że było to okropne doświadczenie-188

nie, a Ken zarzucił jej, że jest nudna. Uznała jednak, że Margaret może nie uznać owej historii za zabawną. Śmiejąc się do siebie w duchu, postanowiła przemilczeć tę rewelację.

– Jesteś w świetnej formie – zauważyła z uznaniem Mona McCarthy.

– Przypomnij mi, to ci później opowiem dlaczego. Spotkanie się udało, prawda?

– Tak, choć sądzę, że wszystkie panie przyszły tu dzisiaj z czystej ciekawości.

– Dlaczego?

– Ludzie snują jakieś domysły i zastanawiają się, czy jeszcze jesteśmy wypłacalni. Po okolicy krążą pogłoski, że wylą-

dujemy w przytułku dla bezdomnych. – Mona wydawała się nadzwyczaj opanowana, gdy napełniała dzbanki kawą z dwóch ekspresów.

– Nie przejmujesz się tym? – spytała Ria.

– Nie, Rio. Gdybym przejmowała się każdą plotką, jaka do mnie dociera na temat interesów mego męża, chybabym oszalała. Już raz zazналиśmy biedy. Przypuszczam, że gdyby znowu nastąpiły dla nas ciężkie czasy, ponownie zdołalibyśmy stawić czoło trudnościom. Chyba jednak do tego nie dojdzie. Barney jest człowiekiem przewidującym i na pewno zabezpieczył się przed wszelkimi niepomyślnymi wypadkami.

Wydawała się niemal pogodna, gdy z powrotem ruszyła do pokoju pełnego kobiet, chociaż doskonale wiedziała, co je tu sprowadziło: ciekawość, jakim cudem McCarthych nadal stać na tak rozrzutny styl życia.

Colm Barry zastał Rię i Hilary podczas zapowiedzianego przez Rię ogromnego lunchu.

– Cieszę się, że obie nie ograniczacie się w jedzeniu. – Był

szczerze zadowolony, gdy zaproponowały, żeby się do nich 189

przyłączył.

– No cóż, Rię stać na kupno najlepszych kawałków mięsa

– zrobiła typową dla siebie uwagę Hilary.

– O wybornym smaku dania decyduje sposób, w jaki je przyrządziła – stwierdził Colm, delektując się potrawą. – A także to, jak je podała.

– W pobliżu trudno o świeże warzywa – uzalała się Ria. –

W sklepie na rogu są już bardzo przywiędłe, a nigdzie w okolicy, dokąd można dojść z dziecięcym wózkiem, nie sprzedają warzyw.

– Może powinnaś zacząć hodować własne? – zasugerował

Colm.

– O Boże, nie. Przekopanie ziemi za domem wymagałoby ogromnego nakładu pracy. Nawet uporządkowanie ogrodu od strony ulicy byłoby niemałym przedsięwzięciem. A obawiam się, że ani ja, ani Danny nie mamy duszy ogrodnika.

– Jeśli chcesz, założę dla ciebie warzywnik za domem –

zaoferował się mężczyzna.

– Och, nie mogę się na to zgodzić – zaprotestowała.

– Mam w tym własny interes. Jeśli założę prawdziwy ogród warzywny, w którym będą rosły wszystkie jarzyny potrzebne w restauracji, ty też będziesz mogła z nich korzystać.

- Myślisz, że to możliwe?
- Oczywiście, jeżeli tylko nie przewidujecie tam w przyszłości eleganckich trawników, systemów nawadniających, fontann i pergoli.
- Nie, mogę zdecydowanie powiedzieć, że nie mieliśmy tego rodzaju planów – zaśmiała się serdecznie Ria.
- Znakomicie, w takim razie umowa stoi.

Ria odnotowała z zadowoleniem, że Colm nie proponował, aby najpierw zapytali o zdanie Danny'ego. W przeciwieństwie do Barneya traktował ją jako dorosłą kobietę, odpowiedzialną i 190 zdolną do podejmowania samodzielnych decyzji.

- Czy przygotowanie gruntu będzie wymagało wielkiego wysiłku?
- Jeszcze nie wiem.
- Ogród jest bardzo zachwaszczony. Nie jestem pewna, czy oprócz starych zdrewniałych korzeni nie ma tam również głązów albo zakopanych śmieci.
- Trochę gimnastyki dobrze mi zrobi; to jeszcze jeden po-wód przemawiający za podjęciem się tego zadania. Wszyscy możemy jedynie na tym zyskać, a nikt nie poniesie straty.
- Bardzo niewielu ludzi ma taki stosunek do życia – zauważyła cierpko Hilary.

Od tego momentu Colm stał się codziennym gościem w ich ogrodzie za domem przy Tara Road. Wchodził cicho przez drewnianą furtkę od strony tylnej ścieżki, a potrzebne narzędzia trzymał w szopie, którą sklecił naprędce w kącie posesji.

Przekopał teren obejmujący połowę szerokości domu i całą długość ogrodu, ale dzieciom pozostało jeszcze mnóstwo miejsca do zabawy. Po kilku miesiącach wyrósł także płot.

Colm obsadził go winną latoroślą, którą zwykł nazywać „rosyjskim winem”.

- Wiesz, uważam, że to naprawdę ładnie wygląda – powiedział z namysłem Danny któregoś dnia. – A pomysł z hodowlą gruntowych warzyw na potrzeby własnej kuchni może być świetnym chwytem reklamowym, ułatwiającym sprzedaż domu.
- Gdybyśmy mieli zamiar go sprzedawać, ale nie mamy. I wolałabym, żebyś nie mówił o takich przerażających rzeczach, Danny – fuknęła Ria.
- Posłuchaj, kochanie. Gdybyś pracowała w świecie, gdzie w rozmowach nie porusza się innych tematów, też posługiwa-

rzekł ze śmiechem.

Miał rację, a poza tym tryskał radością i był w doskonałym nastroju. Czasami potrafił być bardzo czuły dla Rii; nieraz w ciągu dnia wyrывał się z pracy i wpadał do domu, mówiąc, że myślał o niej tak bardzo, że nie mógł się skupić na niczym innym. Szli wtedy na górę i zaciągali zasłony. Ria zastanawiała się parę razy, co sobie o tym pomyśli pracujący w ogrodzie Colm.

Niewiele rozmawiała o tych sprawach z przyjaciółkami i siostrą. Wiedziała jednak, że w wypadku Gertie był to koszmar, gdyż Jack zazwyczaj szukał z nią zbliżenia tylko po pijanemu. Co się zaś tyczyło Hilary, jej życie seksualne prawie przestało istnieć. Martin stwierdził kiedyś, że jedynym powodem współżycia kobiety i mężczyzny jest nadzieja na spłodzenie dziecka. W przeciwnym razie brakuje zarówno bodźca do współżycia, jak i pożądania. Hilary zwierzyła się siostrze, że była to tylko pojedyncza uwaga i potem tłumaczył się, że powiedział tak na skutek przygnębienia i wcale tak nie myślał. A jednak owe słowa na zawsze stały się pomiędzy nimi.

Ria nie знаła żadnych szczegółów dotyczących życia in-tymnego Rosemary. Przypuszczała jednak, że musi być bardzo aktywne w tym doskonałym otoczeniu, jakie przyjaciółka sobie stworzyła. Gdziekolwiek się znalazła, wszędzie mężczyźni zwracali na nią uwagę. Czasami Ria widziała, jak Rosemary wraca z jakiegoś przyjęcia w męskim towarzystwie. Czy zabierała kochanków na górę do swojego mieszkania, którego zdjęcia zamieszczało tak wiele gazet? Prawdopodobnie tak. Na pewno nie wiodła życia zakonnicy. Poznawanie w ten sposób mężczyzn musiało budzić bardzo mieszane emocje. Uczenie się zawilosci cudzego ciała i zaznajamianie się z nim nie do-równywało pewności, co kobiecie w nim odpowiada, jak było to w wypadku Rii oraz Danny'ego. Ria wiedziała, że powinna 192

się uważać za wielką, ale to wielką szczęściarę.

Niepokój o finanse Barneya zdawał się cichnąć i Danny przestał pracować do późnych wieczornych godzin. Zabierał

swoją małą księżniczkę, Annie, na spacer i robił z nią wypadki nad morze. Trzymał za rączkę pulchnego synka, kiedy chłopiec niepewnie stawiał pierwsze kroki i potem, gdy dzieciak poruszał się śmiesznie, kołysząc biodrami, a także wtedy, kiedy Brian zaczął się ojcu wyrывać i wyprzedzając go, gonił naprzód.

Ogród za domem powoli się zmieniał dzięki żmudnej pracy Colma. Ria była pewna, że o wiele łatwiej zdołałaby sobie przyswoić nazwy dwudziestu roślin w skrzynkach na tarasie niż zrozumieć wywody przyjaciela na temat podwójnych zbiorów oraz potrzeby stosowania barier ochronnych przed szkodnikami. Próbowwała okazać mu współczucie, gdy nie udała się brukselka lub kiedy wiatr połamał tyki podpierające strąki fasoli mamuciej, a groch, który Colm usiłował wyhodować w wiszących koszykach, w ogóle nie wzeszedł.

– Dlaczego nie posiejesz go na grządkach? – spytała kiedyś Colma w dobrej wierze.

– Próbowałem uprzyjemnić ci widok. Wiesz, mnóstwo koszy wiszących na tylnej ścianie. Myślałem, że będą ładnie wyglądały. – Miał minę srodze zawiedzionego.

Żałowała, że nie umie podzielać jego entuzjazmu. Uprawa roślin, jej zdaniem, była wyczerpującą i wymagającą ogromnej determinacji pracą. A przecież w sklepach piętrzyły się całe stosy zdrowej brukselki i grochu. Colm jednak nie ustawał w walce. Nawet przygotował małe grządki dla dzieci, aby mogły hodować swoje własne pomidory i paprykę. Miał dobry kontakt z Annie i Brianem i zdawał się doskonale rozumieć różnicę wieku pomiędzy nimi. Brian otrzymał pojedynczą sadzonkę

193
pomidora, którą miał tylko podlewać, Annie natomiast została zachęcona do hodowania sałaty i bazylii. Zazwyczaj jednak Colm nie uczestniczył w codziennych zabawach dzieci i skupiał się na pracy po swojej stronie olbrzymiego płotu poro-

śniętego rosyjskim winem.

W drugiej części ogrodu znajdowała się huśtawka, ogrodowe fotele, a nawet zrobiony domowym sposobem ruszt do pieczenia mięsa. Teren przed frontem budynku został wyłożony asfaltową nawierzchnią przez ekipę Barneya – na szczęście roboty, określone mianem drobnych zabiegów porządkowych, objęły dość szeroki zakres. Ludzie podziwiali też wielobarwne wrzosa, które rosły w gotowych kwietnikach.

– Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, skąd się tu wzięły te krzaki – powiedziała kiedyś Ria.

– Przecież sama musiałaś je tutaj zasadzić, kochanie, nikt inny. Choć moja wiedza w dziedzinie ogrodnictwa jest bardzo skromna, to wiem, że rośliny te nie pojawiają się za skinieniem czarodziejskiej różdżki! I czy przypadkiem wrzosa nie wymagają specjalnej ziemi?

Colm był obecny przy tej rozmowie.

– Obawiam się, że to ja jestem sprawcą całego zamieszania. Kupiłem worek niewłaściwej ziemi, dla roślin wrzosowatych, której nie znoszą zielone cytryny.

Oboje nie znali się na tym, lecz pokiwali mądrze głowami.

– Musiałem coś z nią zrobić, więc wysypałem ją tutaj.

Mam nadzieję, że nie macie nic przeciwko temu?

– Ależ skąd. To wspaniały pomysł – pochwalił go Danny.

– Czy to ty zasadziłeś wrzosa?

– Otrzymałem je od kogoś w prezencie. Ponieważ umie-

ściłem w jadłospisie informację, że wszystkie warzywa zostały osobiście przez nas wyhodowane, klienci sądzą, że posiadam ogromny ogród za domem. I często zamiast napiwków obda-194

rowują mnie roślinami.

– Ależ powinniśmy ci za to wszystko zapłacić... – zaczęła Ria.

– Nie mów głupstw, Rio. Zapewniam was oboje, że zrobi-

łem świetny interes, mogąc korzystać z waszego ogrodu. Pomysł z własnymi jarzynami okazał się bardzo dobry. W tym tygodniu zasadziłem całe grzędy kabaczków i trzeba teraz tylko wymyślić na nie kilka smakowitych przepisów.

– Czy twoja restauracja obecnie lepiej prosperuje? – zainteresował się Danny.

– Znacznie lepiej. Otrzymaliśmy znakomite notowania, co bardzo nam może pomóc. – Barry nigdy się na nic nie uskarżał, nawet w okresach słabego ruchu. – Zastanawiałem się, czy nie przeszkadzałyby wam w ogrodzie mała szklarnia? Ukryłbym ją starannie przy tylnej ścianie parkanu... ?

– Proszę bardzo, Colmie. Czy oczekujesz współpracy z naszej strony?

– Potrzebuję jedynie waszego pozwolenia na korzystanie z elektryczności; szklarnia nie powinna pobierać dużo prądu.

– Och, gdyby wszystkie transakcje były takie proste –

westchnął Danny, potrząsając dłonią sąsiada.

Latem 1995 roku Brian kończył siedem lat i Danny i Ria postanowili urządzić przyjęcie z grillem dla jego przyjaciół.

Brian zapowiedział, że jego koledzy mają wyłącznie ochotę na kiełbaski. „Kto by tam jadł co innego” – oświadczył.

– A może smakowałyby wam kotlety jagnięce? – spytał

ojciec. Skoro miał stać w fartuchu i czapce kucharza, wołał przewracać na ruszcie coś bardziej ambitnego niż tylko kiełbaski.

– Wykluczone – odparł krótko chłopiec.

– A co powiedziałbyś o ślicznych zielonych paprykach 195

wyhodowanych przez Colma? Moglibyśmy je nadziać na szpikulec i zrobić kebaby.

– Moi przyjaciele nie lubią kebabów – obstawał przy swoim syn.

– Bo nigdy ich nie próbowali – oświadczyła Annie.

Miała prawie dwanaście lat i zaledwie trzy miesiące dzieliły ją od osiągnięcia tego wieku. Radzenie sobie z kimś tak infantylnym, jak Brian, było w jej przekonaniu zadaniem wyjątkowo trudnym. Pomimo to nie mogła się oprzeć wrażeniu, że oboje rodzice wydają się o wiele bardziej zachwyceni jego dziecięcą, bezsensowną paplaniną niż którymkolwiek z jej stwierdzeń.

Przygotowania do przyjęcia śmiertelnie ją nudziły. Zaproponowała, żeby rodzice dali Brianowi dwa funty ugotowanych parówek i pozwolili przyjaciółom brata podgrzać je na ogniu.

Była pewna, że i tak nie zauważąliby różnicy, ponieważ jedyne, co ich obchodziło, to ogromne ilości keczupu.

– Nie, wszystko musi się odbyć jak należy. Tobie też urządziliśmy wspaniałe przyjęcie, kiedy kończyłaś siedem lat, pamiętasz? – powiedziała mama.

Annie nie pamiętała. Wspomnienia ze wszystkich urodzin mieszały się ze sobą. Rozumiała jednak, że rodzice muszą robić wiele zamieszania z powodu przyjęcia, podobnie jak wokół

wszystkich innych rodzinnych uroczystości.

– To prawda, było wspaniałe – przyznała niechętnie.

– Jesteś piękna, Annie Lynch! Cudowna z ciebie dziewczyna. – Matka objęła ją i uściśliła tak mocno, że niemal za-dała jej ból.

– Jestem okropnie brzydka, spójrz na moje beznadziejnie proste włosy!

– Ja zwykłam mawiać przez całe swoje życie: „spójrzcie na moje beznadziejnie kręcone włosy” – wyznała Ria. – Bycie 196

kobietą okazuje się czasami bardzo deprymujące. Nigdy nie jesteśmy w pełni zadowolone ze swojego wyglądu.

– Niektóre kobiety są.

– Och tak, gwiazdy filmowe, o których wiecznie rozprawia twoja babcia, albo prawdziwe piękności. Zapewne one tak, ale nie żadna ze znanych nam osób płci żeńskiej.

– Myślę, że Rosemary nie ma zastrzeżeń do własnego wyglądu.

Rosemary Ryan kategorycznie sprzeciwiła się, ażeby dzieci jej przyjaciółek nazywały ją ciocią. Stwierdziła, że nie życzy sobie, ażeby ciągle ktoś przypominał o jej dojrzałym wieku.

– Rzeczywiście, ona świetnie wygląda. Co prawda, wiecznie stosuje różne diety, więc być może w głębi duszy również nie czuje się całkiem usatysfakcjonowana.

– Nie, jest z siebie bardzo zadowolona; można to poznać po sposobie, w jaki przegląda się w lustrze.

– Co takiego?

– Uśmiecha się do samej siebie, mamó. Zwróć na to uwagę; Rosemary uśmiecha się nie tylko do luster, ale również do zdjęć, jeśli są w oszklonych ramkach.

– Niezły z ciebie gagatek, skoro zauważasz takie rzeczy –

zaśmiała się Ria.

Annie nie lubiła, kiedy dorośli protekcjonalnie poklepywali ją po głowie.

– Mam rację, prawda, tato?

– Absolutną, księżniczko.

– Nie słyszałeś, o czym rozmawialiśmy – zarzuciły mu obie.

– Słyszałem. Annie powiedziała, że Rosemary uśmiecha się do własnego odbicia w lustrze, i rzeczywiście to robi. Zawsze to robiła. Już przed laty, kiedy jeszcze pracowała w agencji.

197

Annie ucieszyła się z poparcia ojca, jej matka natomiast poczuła się lekko zbita z tropu. Oto pod adresem przyjaciółki została wysunięta poważna uwaga krytyczna, a Ria nigdy dotychczas nie spostrzegła, że Rosemary jest próżna.

– No cóż, tak atrakcyjna kobieta, jak ona, ma prawo zachwycać się sama sobą – uznała w końcu.

– Rosemary atrakcyjna? Przypomina raczej drapieżnego ptaka – oświadczyła Annie.

– Efektownego drapieżnego ptaka – poprawił córkę Danny.

– Mama wygląda o wiele lepiej niż ona – stwierdziła Annie.

– Co do tego nie ma cienia wątpliwości – zgodził się, ca-

łując każdą z nich w czubek głowy.

W dniu siódmych urodzin Briana była słoneczna pogoda.

Przygotowania zajęły całe przedpołudnie. Nora Johnson wprowadzała dodatkowe zamieszanie swoją obecnością, przysłała też Gertie i zaoferowała pomoc. Była wymizerowana, jak gdyby nie spała od miesiąca.

– Chętnie skorzystam z twojej oferty, jeśli przyprowadzisz dzieci i zostaniesz razem z nimi na przyjęciu – oświadczyła Ria.

– Nie, nie dzisiaj. – Przyjaciółka była tak roztrzęsiona, że patrzenie na nią niemal sprawiało ból.

- Co się dzieje, Gertie?
- Nic. – Ale ta odpowiedź zabrzmiała jak krzyk rozpacz.
- Gdzie są dzieci?
- U mojej matki.
- A kto pilnuje pralni?
- Pewna szesnastoletnia uczennica, która chce trochę zarobić podczas wakacji. Skończyłaś już przesłuchanie, Rio? Czy mogę się zabrać do roboty?

198

- Jesteś niesprawiedliwa, nie miałam zamiaru cię przesłuchiwać. – Ria była wyraźnie wyprowadzona z równowagi.
- Nie chciałam cię obrazić, przepraszam.
- Martwię się o ciebie, bo nie wyglądasz zbyt dobrze.

Dlaczego chcesz nam pomagać?

- A jak myślisz?
- Nie wiem, Gertie. Naprawdę nie wiem.
- Jesteś tępą jak noga stołowa. Potrzebuję pieniędzy, to oczywiste.

Ria pobladła z wrażenia.

- Jesteś moją przyjaciółką, na miłość boską! Jeśli chcesz mnie poprosić o pieniądze, nie licz na to, że doznam nagłego olśnienia. Ile potrzebujesz? – spytała, sięgając po torebkę.
- Nie wezmę od ciebie pieniędzy, Rio.
- Chyba oszaleję. Czy przed chwilą nie powiedziałaś, że są ci potrzebne?

- Tak, ale nie przyjmę ich w formie jałmużny.
- W porządku. Zwrócisz mi kiedyś.
- Nie będę mogła tego zrobić.
- Nieważne.
- Dla mnie ważne. Chcę na nie uczciwie zapracować. Zamierzam wyszorować wszystko i wyczyścić. Zacznę od pieca kuchennego, potem umyję posadzkę w kuchni i posprzątam łazienki. Potrzebuję dziesięciu funtów.

Ria usiadła, wstrząśnięta przebiegiem rozmowy.

- To niemożliwe, żeby ci zabrakło dziesięciu funtów, Gertie. Musisz mieć przynajmniej tyle. Przecież, na miłość boską, prowadzisz własną firmę!
- Odłożyłam pieniądze na bieżące wydatki zakładu. Powiedziałam Jackowi, że wrócę przed lunchem z dziesięcioma funtami i zabroniłam mu zbliżać się do pralni.
- Jezu Chryste, Gertie! Weź ode mnie te dziesięć funtów!

199

Myślisz, że będę spokojnie patrzeć przez dwie godziny, jak się zaharowujesz, ażeby zarobić tę kwotę?

- Niczego nie wezmę za darmo.
- W takim razie idź sobie.
- Słucham?
- Słyszałaś. Jesteś moją przyjaciółką i nie mam zamiaru płacić ci dziesięciu funtów za to, że przez godzinę będziesz jeździć ścierką po mojej kuchni i wkładać szczotki do moich klozetów. Przykro mi, ale nie mogę się na to zgodzić. – Ria miotła wzrokiem błyskawice. W oczach Gertie zabłyśły łzy.
- Och, Rio, nie bądź taka zasadnicza. Spróbuj zrozumieć moją sytuację.
- Doskonale rozumiem... Dlaczego nie stać cię na odrobinę godności?
- Staram się zachowywać godnie, lecz ty odbierasz mi tę szansę. – Patrząc na Gertie, można było odnieść wrażenie, że przewróci ją najłżejszy podmuch wiatru. – Widzę, że jesteś bardzo wściekła.
- Oczywiście, że jestem. A teraz weź ode mnie ten banknot, bardzo cię proszę. A jeżeli kiedykolwiek spróbujesz zwró-

cić mi pieniądze i ruszysz palcem przy porządkach w moim domu, to przysięgam, że wepchnę ci tę cholerną forszę do gardła.

– Nie złość się na mnie, Rio. Masz cudowne życie. Nie mówię tego z zazdrości, w pełni na nie zasłużyłaś. Ciężko pracujesz i zawsze jesteś bardzo serdeczna dla ludzi. Przyznasz jednak, że wszystko wspaniale ci się układa. Możesz jedynie wyobrazić sobie, co byłoby, gdyby sprawy w twoim życiu przyjęły niepomysłny obrót.

Ria przełknęła ślinę.

– Dzisiaj mój syn obchodzi siódme urodziny i świeci słoń-

ce. Nic dziwnego, że jestem szczęśliwa. Jednak nie każdego 200

dnia tak się czuję. Nie ma osoby, która byłaby zawsze zadowolona ze swojego życia. Posłuchaj, jesteś moją przyjaciółką. I obie wszystko wiemy o sobie nawzajem.

– Nie wiemy o sobie wszystkiego – odpowiedziała cicho Gertie. – Nie jesteśmy już podlotkami, lecz dorosłymi kobietami dobrze po trzydziestce. Pomyślałam, że jeśli wykonam tę pracę, w jakiś sposób nasze rachunki będą wyrównane. Przepraszam cię, Rio. I wybac, że wyprowadziłam cię z równowagi w dniu urodzin Briana. – Odwróciła się, zamierzając odejść.

– Jeśli nie weźmiesz tych dziesięciu funtów, rozgniewasz mnie nie na żarty.

– Oczywiście. Dziękuję ci, Rio.

– Nie rozstawaj się ze mną tak chłodno. Chciałabym cię objąć na pożegnanie.

– Był to bardzo sztywny uścisk. Szczupłe ciało Gertie przypominało deskę.

– Wiesz, co powinnaś zrobić? Przyjść potem razem z dziećmi. Mogę liczyć na ciebie?

– Bardzo dziękuję, ale nie przyjdę. I to nie z powodu dą-

sów.

– W porządku.

– Jeszcze raz dziękuję, Rio.

– Masz bardzo duże poczucie własnej godności, Gertie.

Zawsze miałaś.

– A ty zasługujesz na wszystko, czym zostałaś obdarowana przez los, a nawet na więcej. Życzę miłego dnia. – I odeszła.

W kuchni zjawiała się Nora Johnson.

– Przywiązałam balony do furtki przed domem, żeby wszyscy wiedzieli, gdzie się odbywa przyjęcie. Widziałam lady Ryan, paradowała ulicą w kostiumie szytym na zamówie-201

nie. Idzie do nas: zapewne po to, ażeby zaoferować swoją pomoc – stwierdziła z ironią matka. – A gdzie poniosło Gertie?

Obiecała, że wyszoruje stare brytfanny do ciasta, aby można ich było użyć do pieczenia kiełbasek.

– Musiała wrócić do domu, mamó.

– Dużo by mówić o uczynnych przyjaciółkach! Nigdy ich nie ma, kiedy są potrzebne! Zginęłybyś, gdyby nie Hilary i ja.

– Czy ciągle tego nie powtarzam, mamó?

– Jak myślisz, czy Annie zgodzi się zabawiać gości?

– Nie sądzę. Zabawa z bandą siedmioletnich chłopaków zapewne nie jest wymarzoną przez Annie sposobem spędzenia letniego popołudnia. Przypuszczam, że będzie wolała trzymać się od nich na dystans. Za to Danny przygotował dla nich mnóstwo atrakcji.

– Czyżby otrzymał dzisiaj wolne od Swojego Szefa Biznesmena? – prychnęła Nora.

– Tak, mamó.

– Trochę blado dzisiaj wyglądasz. Dobrze się czujesz?

– Nigdy nie byłam w lepszej formie.

Ria opuściła ją z ulgą, aby przywitać się z Rosemary, która przyszła zapytać o liczbę gości. Kupiła mnóstwo lodów czekoladowych i włożyła je do lodówki u siebie w domu.

– Wrócę za godzinę, nie będziesz musiała kłopotać się z chowaniem ich do zamrażarki. Czy Gertie ma jakieś problemy?

– Dlaczego pytasz? – spytała zaciekawiona.

– Biegła zapłakana ulicą i nawet mnie nie zauważyła.

– Och, nic nowego. Te same kłopoty co zwykle. – Ria zrobiła ponurą minę.

– Należy zgłosić wniosek o rozpisanie referendum w sprawie rozwodów – oświadczyła stanowczo Rosemary.

– Czy sądzisz, że zmieniliby to sposób myślenia Gertie? –

spytała Ria. – Nawet gdyby od jutra wprowadzono w naszym 202

kraju rozwody, nie zostawiłaby Jacka. Miałaby go porzucić i, jak inni, uznać za straconego? Nie zrobiłaby tego, to oczywiste.

– Jaki sens ma umieszczanie zakazu rozwodów w konstytucji, skoro wszyscy reagują na swoje nieudane związki tak samo jak ona? – zastanawiała się przyjaciółka.

– Też chciałabym to wiedzieć – przyznała z zakłopotaniem Ria. – Dwie znane nam rodziny, w których przypadku zmiana ustawy byłaby w pełni uzasadniona, nawet nie pomyślałyby o skorzystaniu z tego wyjścia. Nie sądzisz chyba, że Barney McCarthy chciałby odmienić swoją wygodną sytuację życiową, gdyby miał tę możliwość zagwarantowaną prawem?

– Rzeczywiście. Nie przypuszczam, żeby mu zależało na jakichkolwiek zmianach w swoim życiu. Nie wiedziałam tylko, że posiadasz zdolność tak trafnej oceny układów międzyludzkich – zaśmiała się niemal z podziwem przyjaciółka.

Czasami Ria potrafiła być naprawdę zaskakująca. Rosemary wróciła do swojego domu pod numerem trzydziestym drugim, ażeby przebrać się w coś bardziej odpowiedniego na przyjęcie dla dzieci.

Goście niemal zaraz po przyjściu zaczęli się okładać pię-

ściami. Wszyscy bez wyjątku. Nie dlatego, żeby mieli jakiś szczególny powód do bójki, ich postawa nie była też przejawem prawdziwej agresji, wrogości czy wrodzonych predyspozycji do awantur, lecz zachowaniem typowym dla siedmioletnich chłopców. Kiedy próbowały rozdzielić dwóch walczących przeciwników, którzy o mało nie runęli na warzywnik Colma, Ria powiedziała do matki, że przyjaciółki Annie są o wiele łagodniejsze z usposobienia.

– A skoro mowa o Annie, gdzie ona się podziewa?

– Przypuszczam, że siedzi w swoim pokoju. Nie ma sensu ściągać jej tutaj. Jest starsza od nich i nie sądzę, żeby uznała 203

ich zachowanie za zabawne. Przyjdzie, kiedy usłyszysz, że wniesiono już tort urodzinowy.

– Albo kiedy poczuje kielbaski. Jestem gotowa się założyć, że gdy tylko do niej dojdzie ich zapach, zbiegnie z góry niczym chart, który się zerwał ze smyczy – oświadczyła Nora z miną mędrca.

Annie nie znajdowała się jednak w swoim pokoju. Wymknęła się tylną furtką z ogrodu i szła ścieżką, która biegła równoległe do Tara Road. Dziewczynka zauważyła na niej któregoś dnia małego, wychudzonego, rudego kota. Był prawdopodobnie bezpański. Wyglądał na wylęknionego i nie sprawiał wrażenia zwierzęcia, które przywykło do pieszczot. Być może został porzucony i Annie mogłaby go zatrzymać. Oczywiście rodzice byliby temu przeciwni, dotychczas nie chcieli się zgodzić na żadne zwierzę w domu. Gdyby jednak przemyciła kociaka niepostrzeżenie do swojego pokoju i ukrywała przez kilka dni, przynosząc mu jedzenie na małej tacy, być może potem nie mieliby już serca go wyrzucić. Annie uznała dzisiejszy dzień za bardzo odpowiedni na przeszmurowanie kota. Była pewna, że nikt niczego nie zauważy. W ogrodzie panowało wielkie zamieszanie wywołane

przez pozbawionych mózgu kolegów Briana, którzy wrzeszczeli i popychali się nawzajem. Dzisiaj nawet żyrafę zdołałaby wnieść na górę. Usi-

łowała przypomnieć sobie, za którą furtką widziała zwierzaka.

Znajdował się gdzieś w pobliżu, jeszcze przed domem Rosemary. Rozpoznanie budynku od tyłu okazało się jednak trudne.

Annie Lynch stanęła na środku ścieżki w swojej błękitnej, wzorzystej letniej sukience, odgarnęła z czoła proste blond włosy i zmrużyła oczy przed promieniami popołudniowego słońca. Postanowiła zlustrować kolejne posesje przez szpary w drewnianych furtkach. Niektóre były rozklekotane i miały

dziury pomiędzy deskami. Jedna tylko została świeżo odmalowana i nic nie można było przez nią zobaczyć. Annie cofnęła się o krok. Stwierdziła, że znajduje się na tyłach domu pod numerem trzydziestym drugim, gdzie mieszka Rosemary Ryan.

Rosemary miała swój własny elegancki ogród na dachu, ale i za domem, gdzie znajdowały się sadzawka oraz letnia altanka, rosło wiele ozdobnych roślin. Może właśnie tam za-wędrował biedny kotek zachęcony widokiem ryb w wodzie.

Annie uklękła i zajrzała do środka przez dziurkę od klucza.

Po zwierzęciu nie było ani śladu, a w altance przebywali jacyś ludzie. Sprawiali wrażenie, że o coś ze sobą walczą. Annie uważniej przyjrzała się scenie. To Rosemary Ryan szamotała się z jakimś mężczyzną. Serce podskoczyło dziewczynce do gardła. Czyżby przyjaciółka jej rodziców została napadnięta?

Może Annie powinna przypuścić szturm na bramę i narobić wrzasku? Ale czy robiąc to, nie narazi się na niebezpieczeń-

stwo? Napastnik mógł przecież wybiec na zewnątrz i ją również skrzywdzić! Rosemary Ryan miała spódnicę zadartą wysoko wokół talii, a mężczyzna napierał na nią całym ciałem.

Annie przeżyła jeszcze większy wstrząs, kiedy uświadomiła sobie, jakiej sceny jest świadkiem. To, z czego obie z Kitty Sullivan chichotały w szkole, miało inny przebieg. I nie tak zachowywały się pary na filmach. W kinie i w telewizji wyglądało to zgoła inaczej. Kochankowie całowali się, leżeli obok siebie i pieścili się czule. Nie było popychania ani pomruków.

To niemożliwe, żeby Rosemary Ryan kochała się z kimś w ten sposób. Annie miała inne wyobrażenie o akcie miłosnym i cała sytuacja wydawała się jej nie do pojęcia.

Z bijącym sercem cofnęła głowę, usiłując cokolwiek z tego wszystkiego zrozumieć. Prawdę mówiąc, nikt nie mógł zobaczyć tych dwojga, chyba że spoglądał przez dziurkę od klucza w tylnej furtce.

Letnia altanka stała tyłem do głównego bu-205

dynku i przodem do parkanu.

Annie nie rozpoznała mężczyzny; był odwrócony do niej plecami. Widziała tylko twarz Rosemary, pomarszczoną z niezadowolenia i złości, a nie rozmarzoną jak na filmach. Być może Annie niewłaściwie oceniła sytuację i to, co tych dwoje robiło, wcale nie było aktem miłosnym. Jeszcze raz zajrzała do środka.

Rosemary obejmowała mężczyznę za szyję, miała zamknięte oczy, nie odpychała go jednak od siebie, lecz przycią-

gała. – O tak, tak, o tak! – zawodziła.

Przerażona Annie wyprostowała się, nie wierząc własnym oczom. Pognała pędem w powrotną drogę. Kiedy mijała dom pod numerem szesnastym, doszły ją odgłosy przyjęcia Briana, nie zatrzymała się jednak. Nie miała ochoty wchodzić do ogrodu, mając jeszcze przed oczami to, co odkryła przed chwilą. Wszyscy oczekiwali od niej normalnego zachowania, a tego by nie zniosła. Wiedziała, że nic już nigdy nie będzie takie, jak przedtem, że nikomu nie zdoła wyjawić tego, czego była świadkiem. Łzy zamazywały jej widok przed oczami, gdy biegła na oślep przed siebie. Nagle, kiedy już niemal dotarła do głównej ulicy, gnana pragnieniem powrotu do normalności, potknęła się o wyrwę na dróżce i z głuchym odgłosem runęła na ziemię.

Leżała rozciągnięta na ścieżce, nie mogąc złapać oddechu.

Kiedy usiłowała z powrotem stanąć na nogach, spostrzegła, że ma otartą skórę na kolanach i łokciach, a skaleczenia krwawią.

Oparła się plecami o tylną ścianę budynku na końcu ulicy i zapłakała żałośnie, jak gdyby za chwilę miało jej pęknąć serce.

Colm usłyszał jej szlochanie i wybiegł z domu.

– Co się stało, Annie? – Nie odpowiedziała, tylko wzruszyła ramionami. – Pójdę po twoją mamę, dobrze?

– Nie! Proszę, nie rób tego, Colmie. Proszę.

206

Colm nie był taki, jak inni dorośli. Nie miał gotowej recepty na wszystko i nigdy nie wypowiadał się autorytatywnie o tym, co dla młodego człowieka jest najlepsze.

– Zgoda, ale popatrz, jak wyglądasz... Pokieraszowałaś się okropnie podczas upadku. Pozwól, że to obejrzę. – Delikatnie wziął ją za rękę. – Obtarłaś tylko naskórek, to nic groźnego. A co z twoimi kolanami? Nie patrz w dół. Sprawdzę bez dotykania i powiem ci, co się stało.

Annie stała posłusznie, gdy Colm ukląkł i przyglądał się uważnie skaleczeniom. W końcu stwierdził:

– Kolana są bardzo zakrwawione, ale sądzę, że obejdzie się bez zakładania szwów. Pozwól, że odprowadzę cię do domu, Annie.

Zaprzeczyła ruchem głowy.

– Nie, Brian wyprawia właśnie przyjęcie urodzinowe, nie chcę tam teraz wracać.

Colm usłuchał jej prośby.

– Jeśli masz ochotę, możesz skorzystać z mojej łazienki i obmyć wodą swoje biedne kolana. Ja będę w restauracji, więc możesz czuć się swobodnie. Gdybyś jednak czegoś potrzebowała, przyjdź do mnie. Poczęstuję cię lemoniadą i spełnię inne twoje życzenia. – Uśmiechnął się do niej łagodnie.

Propozycja została przyjęta.

– Dziękuję, Colmie, chętnie skorzystam z twojej pomocy.

Razem weszli do domu i mężczyzna wskazał Annie drogę do łazienki.

– Znajdziesz tam mnóstwo czystych ręczników. Byłoby dobrze, gdybyś dodała do wody odrobinę środka odkażającego-go... – Dziewczynka wyglądała bezradnie i najwyraźniej nie wiedziała, jak się zabrać do opatrzenia kolan.

– Jeśli chcesz, powycieram krew i usunę ziarenka żwiru ze skaleczeń?

207

– Nie wiem...

– Czasami samemu łatwiej jest opatrzyć własne rany. Czy mam zostać? Posiedzę na krześle, kiedy je będziesz obmywała i powiem ci, jeśli zobaczę, że coś jeszcze trzeba poprawić, zgoda?

Po raz pierwszy uśmiechnęła się do niego.

– Będę bardzo wdzięczna, Colmie.

Patrzył, jak dziewczynka delikatnie dotyka skóry rozwodnionym środkiem dezynfekcyjnym i usuwa z kolan piasek i ziemię. Skaleczenia były powierzchowne, a krwawienie ustało.

– Nie sięgnę do łokcia. Czy mógłbyś mnie w tym wyręczyć? Ostrożnie umył jej rękę, a potem przyniósł duży, puszysty ręcznik.

– A teraz przyłóż go do rany i wysusz ją do sucha.

– Poplamie go krwią. – Annie wyglądała na zaniepokojoną.

– Nie szkodzi. W najgorszym wypadku pralnia Gertie będzie miała trochę więcej roboty – stwierdził z uśmiechem.

Udali się potem do chłodnego i pogrążonego w mroku ba-ru. Stały tam cztery wysokie stołki. Colm wskazał Annie miejsce na jednym z nich.

– Na co ma pani ochotę, panno Lynch?

– A co byś mi polecił, Colmie?

– Słyszałem, że po przeżytych szoku lekarze zalecają dużą ilość cukru. W takich wypadkach nieodmiennie radzę się napić gorącej słodkiej herbaty.

– Ohyda – wzdrygnęła się dziewczynka.

– Doskonale cię rozumiem, ja też za nią nie przepadam.

Zdradzę ci, że zwykle pijam... napój o nazwie „Święty Klemens”. To sok pomarańczowy wymieszany z sokiem cytrynowym. Co sądzisz o takim połączeniu?

– Wydaje się znakomite. Chętnie skosztuję twojego ulu-208

bionego napoju – powiedziała Annie. – Nigdy nie pijesz prawdziwych drinków?

– Nie, alkohol niezbyt mi służy. Wpływa niekorzystnie na moją osobowość, na przemianę materii i nie mam pojęcia na co jeszcze. Nie wiem dokładnie, co jest tego przyczyną, ale zdecydowanie źle działa na mój organizm.

– Jak to stwierdziłeś?

– Wydedukowałem na podstawie własnych doświadczeń, ponieważ ilekroć zaczynałem pić, nigdy nie mogłem przestać –

uśmiechnął się krzywo.

– Podobnie, jak ma się sprawa w przypadku zażywania narkotyków?

– Dokładnie tak samo. Dlatego na dobre musiałem się wyrzec alkoholu.

– Czy nie brakuje ci prawdziwych drinków podczas przyjęć? – spytała Annie.

– Czy nie odczuwam ich braku? Nie. A już na pewno nie żał mi tego, kim stawałem się pod wpływem alkoholu. Traci-

łem nad sobą kontrolę. I cieszę się, że nie jestem już taki. Czasami żałuję, że nie mogę, jak inni, wypić wieczorem lampki wina czy kilku piw podczas letniego upału. Nie potrafiłbym jednak powstrzymać się od dalszego picia, dlatego też nie mogę zaczynać.

Dziewczynka patrzyła na niego ze współczuciem.

– Umieję za to zrobić wiele rzeczy, których inni nie potrafią – powiedział Colm wesołym tonem. – Przyrządzam cudowne sosy i wspaniałe desery, od których nie można oderwać wzroku.

– Ci okropni koledzy Briana zażyczyli sobie lodów w opakowaniach ze srebrnej folii! Czy możesz to sobie wyobrazić? – Annie prychnęła z lekceważeniem.

– Rzeczywiście są obrzydliwe! – przyznał Colm i oboje

zaczęli się śmiać. W śmiechu dziewczynki jednak zabrzmiała ledwie słyszalna nuta hysterii.

– Czy na ścieżce stało się coś, co spowodowało, że upadłaś?

– chciał wiedzieć Colm.

Na twarzy Annie odmalował się wyraz czujności.

– Nie, a dlaczego pytasz?

– Tylko tak sobie. Czy mogę cię teraz odprowadzić do domu?

– Czuję się już dobrze, Colmie.

– Oczywiście. Czyż oboje o tym nie wiemy? Ale ja i tak muszę codziennie spacerować. To coś w rodzaju zasady obowiązującej wszystkich kucharzy, aby nie urosły im zbyt duże brzuchy, którymi trącaliby rondle.

Roześmiała się, gdyż nie potrafiła wyobrazić sobie Colma o pulchnych kształtach. Był niemal tak samo szczupły, jak tato.

Razem wyruszyli w drogę. Pod bramą spostrzegli Rosemary Ryan. Wyjmowała z bagażnika swojego samochodu torbę-lodówkę z lodami. Annie zeszywniała. Colm spostrzegł

zmianę w zachowaniu dziewczynki, lecz nic nie powiedział.

– Wielkie nieba, Annie! Straszliwie się potłukłaś! Czy upadłaś, kochanie?

– Tak.

– Już wszystko w porządku – zapewnił ją Colm.

– Te skaleczenia wyglądają paskudnie. Gdzie to się stało?

– Na ulicy przed restauracją – odrzekła spiesźnie dziewczynka.

Barry spojrział na nią zdziwiony.

– I Colm przybiegł ci na ratunek – dopowiedziała z uśmiechem Rosemary.

Zawsze uśmiechała się zalotnie do restauratora, choć nigdy nie osiągnęła dzięki temu żadnego widocznego efektu.

210

– Właśnie. Nie mogę dopuścić do tego, aby ktokolwiek zobaczył, że ludzie przewracają się przed moim lokalem. Jeszcze by się to niekorzystnie odbiło na moich interesach – zażartował.

– Miałaś szczęście, że nie przewróciłaś się na środku ruchliwej jezdni. – Rosemary, zaabsorbowana taszczeniem torby, straciła zainteresowanie niefortunną przygodą Annie. Zza domu dochodziły wrzaski przyjaciół Briana. – Publiczność czeka na mnie i na lody – zaśmiała się perliście. – I nie muszę się zbyt długo zastanawiać nad tym, na co bardziej. – Wyprzedziła ich i przeszła przez suterene do ogrodu.

– Dziękuję, Colmie.

– Nie ma za co.

– Nikogo nie powinno obchodzić... gdzie faktycznie upadłam, prawda?

– Absolutnie nie powinno.

Czuła, że jest mu winna wyjaśnienia.

– Szukałam kota. Sądziłam, że jeśli zdołam go przez kilka dni przetrzymać w moim pokoju... rozumiesz?

– Tak, rozumiem – odrzekł poważnym tonem.

– Dziękuję za „Świętego Klemensa” i za wszystko, co dla mnie zrobiłeś.

– Do zobaczenia, Annie.

Babcia okazała się wspaniałą, ponieważ ocaliła dla niej kilka kiełbasek.

– Nie mogłam cię nigdzie znaleźć, dlatego włożyłam je do piekarnika, żeby całkiem nie wystygły.

– Jesteś cudowna, babciu. A gdzie się wszyscy podziali?

– Czekają na tort urodzinowy, który ma zostać wniesiony niebawem, gdy tylko lady Ryan poustawią świece.

– Mama nie znosi, kiedy ją tak nazywasz – zachichotała Annie i skrzywiła się z bólu, jaki poczuła w łokciu.

211

Babka bardzo się zatroskała.

– Pozwól, że ci przemyję rany.

– Już zostały opatrzone, babciu, i to jak należy, z użyciem środka odkażającego. Niech babcia spojrzy na ciocię Hilary w otoczeniu tych wszystkich okropnych chłopaków!

– Hilary uwielbia przebywać w ich towarzystwie. Przyniosła dużą tarczę, do której się rzuca koła. Przed chwilą dzieciaki zażarcie walczyły ze sobą o zwycięstwo.

– A co miały otrzymać w nagrodę?

– Och, jakąś grę elektroniczną. Hilary pracuje w szkole, więc wie, czym najbardziej pasjonują się chłopcy w tym wieku.

– Dlaczego ciocia Hilary nie ma własnych dzieci, babciu?

– Po prostu Bóg jej ich nie dał.

– Dobrze wiesz, że to nie Bóg daje dzieci, babciu.

– Nie bezpośrednio, ale pośrednio tak i twojej ciotce Hilary po prostu ich nie zesłał.

– Może ciocia nie lubi spółkowania – powiedziała w za-myśleniu Annie.

– Słucham? – Nora straciła wprost mowę, co było nietypową dla niej reakcją.

– Może postanowiła nie poddawać się procesowi ich splodzenia. Rozumiesz, tak jak robią to koty czy króliki. Z pewno-

ścią są tacy ludzie, którzy nawet nie mogą o tym myśleć.

– Niewielu jest takich – odrzekła sucho babka.

– Złożę się, że w przypadku ciotki sprawa do tego się sprowadza. Możesz o to zapytać.

– Nie wypada pytać ludzi o takie rzeczy, Annie, wierz mi.

– Wierzę, babciu. Wiem, że są sprawy, o których się nie mówi i odsuwa je daleko ze swych myśli. Mam rację?

– Całkowitą – przyznała babka z niewypowiedzianą ulgą.

Potem zaczęli się schodzić rodzice przyjaciół Briana. W

swoich pociech. Chłopcy tłukli się nawzajem pięściami i zamęczając siebie oraz innych, od-wlekali moment pójścia do domów. Annie obserwowała swych rodziców pośrodku grupy dorosłych. Podsuwali gościom tace z lampkami wina oraz małymi kanapkami z wędzonym łoso-siem. Tato często obejmował mamę ramieniem. Dziewczynka wiedziała od szkolnych koleżanek, że dorośli nadal chcą być ze sobą, kochać się i robić te rzeczy, nawet jeśli nie myślą o po-większaniu rodziny. Annie uważała to za mało prawdopodobne. Tego rodzaju upodobania wydawały się jej wręcz odraża-jące.

Wszyscy okazywali jej współczucie z powodu potłuczo-nych kolan. Kiedy leżała w łóżku, mama przysłała do jej pokoju i odsuwając na bok pluszowe maskotki, zajęła miejsce w du-żym fotelu.

– Byłaś bardzo milcząca przez całe dzisiejsze popołudnie I wieczór, córeczko. Czy bardzo cię bolała kolana?

– Już nie, mamó. Niepotrzebnie robisz tyle wrzawy o nic.

– Nie robię wrzawy. Jest mi tylko żal, że tak się pokale-czyłaś. Ty też na pewno byś mi współczuła, gdyby spotkał

mnie podobny wypadek.

– Oczywiście, mamó. Przepraszam, źle się wyraziłam, ale zapewniam cię, że dobrze się czuję.

– Jak to się stało?

– Upadłam na ścieżce, już wam mówiłam.

– Jesteś bardzo zręczna i nieczęsto zdarza ci się coś takiego. Kiedy ja i Hilary byłyśmy w twoim wieku, nieustannie się przewracałyśmy, ale ty nigdy. Przypuszczam, że to z powodu miana: „księżniczka”, jakim cię obdarzył tato, postanowiłaś się poruszać jak jedna z nich.

Spojrzenie matki było ciepłe i pełne dumy. Annie sięgnęła 213

do jej ręki.

– Dziękuję, mamusiu – powiedziała z oczami pełnymi łez.

– Te urwisy wyczerpały całą moją energię. Prawdę mó-

wiąć, ci wszyscy chłopcy swoim zachowaniem bardziej przy-pominali stado rozjuszonych i nacierających na siebie młodych byczków niż dzieci. Kiedy pomyślę, jak łatwo było gościć twoje przyjaciółki... No cóż, na tym polega różnica płci. Masz ochotę na coś ciepłego do picia? Przeżyłaś dzisiaj spory szok.

– Co masz na myśli? – Wzrok Annie stał się czujny.

– Upadek jest wstrząsem dla organizmu, nawet w twoim wieku.

– Ach, o to chodzi. Nie, dziękuję, świetnie się czuję.

Ria pocałowała córkę w zarumieniony policzek i zamknęła za sobą drzwi. Powiedziała szczerą prawdę. Miała dzisiaj za sobą morderczy dzień. Ale czy w porównaniu z innymi kobietami mogła się na cokolwiek uskarżać? Jej matka wróciła do pustego domu wraz ze swoim cudacznym psem. Hilary prze-mierzała miasto z tarczą do rzutków w torbie, a w domu czekał

na nią mężczyzna, który nigdy nie brał jej w ramiona, ponieważ nie mogli spłodzić dziecka. Gertie zastanawiała się, jakim nowym horrorom będzie musiała stawić czoło w mieszkaniu nad pralnią. A Rosemary była sama jak palec w swym marmu-rowym pałacu na dachu wysokiego domu.

Tymczasem Ria miała wszystko, o czym kiedykolwiek marzyła.

214

Rozdział 3

Czasami spotyka się w sklepach matki z córkami – normalnie ze sobą rozmawiają, oglądając spódnice i sukienki na stoiskach, kiwiają z aprobatą głowami, a marszczą brwi jedynie wtedy, kiedy się zastanawiają nad ostatecznym wyborem. Są niczym przyjaciółki: jedna przymierza upatrzony ciuch w przebieralni, druga zaś czeka na zewnątrz z czterema innymi sztukami odzieży. Rii przyszło na myśl, że być może nie są zwykłymi przedstawicielkami ludzkiej rasy, lecz aktorkami zatrudnionymi przy kręceniu reklamówek. Sądząc po jedenastu spięciach, do jakich doszło w ciągu zaledwie półtorej godziny pomiędzy nią a Annie, nie mieściło się jej w głowie, że matki i kilkunastoletnie córki mogą z własnej woli chodzić razem na zakupy. Te wszystkie kobiety w towarzystwie nastolatek z pewnością jedynie odgrywały role członków szczęśliwej rodziny.

Annie dostała w prezencie od babki pieniądze. Kwota znacznie przewyższała wszystkie dotychczasowe, jakie dziewczynka wydawała na własną odzież. Do tej pory sama decydowała o zakupie butów, dzinsów i podkoszulków, tym razem było inaczej, gdyż pieniądze zostały przeznaczone na zakup kreacji, w której miała występować na wszystkich przyjęciach wydawanych tego lata. Ria uznała za całkiem normalne, że będzie towarzyszyć Annie i służyć jej radą. Wyprawa mogła okazać się nawet zabawna. Uważała tak przed kilkoma godzinami. Obecnie wspólne wyjście na zakupy uznała za największą głupotę, jaką obie popełniły w życiu.

Kiedy uwagę córki zwrócił skórzany komplet ozdobiony łańcuchami, Ria westchnęła głośno.

– Wiedziałam, że tak się będziesz zachowywać! Czuję to 215

przez skórę! – stwierdziła płaczącym tonem Annie.

– Nie miałam nic złego na myśli... Sądziłam tylko, że... –

Nie potrafiła znaleźć właściwych słów.

– Co sądziłaś, mammo? Wyduś to z siebie wreszcie! – Twarz dziewczynki poczerwieniała ze złości.

Ria nie zamierzała przyznawać, że jej zdaniem kreacja przywodzi na myśl ilustrację do artykułu pod tytułem: „Wy-dobyta na światło dzienne garderoba sadomasochisty”.

– Dlaczego nie chcesz tego przymierzyć? – spytała słabym głosem.

– Nie myśl, że włożę to na siebie i pozwolę, żebyś się ze mnie śmiała. Widziałam twoją minę...

– Nie zamierzałam się z ciebie wyśmiewać, Annie. Skąd mam wiedzieć, jak będziesz w tym wyglądać? Być może okaże się...

– Och, mammo, na miłość boską!

– Naprawdę uważam, że powinnaś się przekonać, czy jest ci w tym do twarzy. W końcu to twoje pieniądze.

– Wiem, że moje. Otrzymałam je od babci na zakup czegoś, co mi się spodoba, a nie, na przykład, okropnej męskiej kamizelki w obrzydliwą kratę, w jakiej zapewne najchętniej chciałabyś mnie widzieć.

– Bądź rozsądna, Annie. Nigdy nie nakłaniałam cię do noszenia czegokolwiek, musisz to przyznać!

– Wobec tego, w jakim celu wybrałaś się ze mną na zakupy, mammo? Odpowiedz. Skoro nie zamierzasz mi niczego narzucać, to co tutaj robisz?

– Myślałam, że razem wypatrzymy...

– Przecież ty nigdy nie zwracasz uwagi na nic ani na nikogo. W przeciwnym razie nie chodziłabyś w tych ciuchach, jakie obecnie masz na sobie.

– Słuchaj, wiem, że nie chcesz się tak ubierać jak ja.

216

– Nikt nie chce się ubierać podobnie do ciebie, mammo, naprawdę. Czy nigdy nawet przez minutę nie zastanowiłaś się nad własnym wyglądem?

Ria spojrzała w stronę jednego z luster. Zobaczyła odbicie zaróżowionej z gniewu nastolatki – szczupłej, o prostych blond włosach – trzymającej w garści ubranie, które przywodziło na myśl strój niewolnicy. Obok niej stała znużona kobieta z wielką szopą mocno skręconych i opadających na ramiona włosów, w czarnym swetrze wyciętym z przodu w serek i układanej czarno-białej spódnicy. Na zakupy Ria włożyła wygodne pantofle na płaskim obcasie. Nie wybiegła z domu, nie zastanawiając się nad własnym wyglądem, gdyż pamiętała o licznych lustrach w sklepach z odzieżą. Uczesała się, zrobiła lekki makijaż, a nawet wyczyściła buty i skórzaną torebkę. Kiedy przed wyjściem przejrzała się w lustrze w holu, wydawało jej się, że wygląda źle. Musiała jednak przyznać, iż teraz tutaj prezentowała się znacznie gorzej.

– I twoim problem nie jest kwestia wieku – stwierdziła Annie. – Znam kobiety starsze od ciebie, które nie dają za wygraną.

Ria z wielkim trudem zmusiła się, aby nie chwycić córki za włosy i nie wywlec jej ze sklepu. Zamiast tego jeszcze raz w zamyśleniu spojrzała w stronę lustra. Miała trzydzieści siedem lat. A na ile wyglądała? Na trzydzieści pięć? To wszystko.

Dzięki kręconym włosom wydawała się młodsza, niż była w rzeczywistości. Bo chyba nikt nie wziąłby jej za czterdziestolatkę? Ale skąd mogła mieć tę pewność?

– Och, mam. Przestań wciągać policzki i robić głupie miny. Wyglądasz śmiesznie.

Kiedy do tego doszło! I co było powodem takiej pogardy i nienawiści, jaką okazywała jej Annie? Przecież do niedawna stosunki między nimi układały się całkiem poprawnie.

217

Ria podjęła jeszcze jeden nadludzki wysiłek.

– Przestańmy rozmawiać o mnie. To tobie babcia dała prezent. I chciałyby, żebyś kupiła sobie coś ładnego i odpowiedniego.

– Wcale nie. Czy ty nigdy nikogo nie słuchasz uważnie?

Powiedziała, że mam sobie kupić coś, co mi się spodoba. Ani słowem nie wspomniała o odpowiednim ubraniu.

– Miałam na uwadze...

– Miałas na uwadze cokolwiek, w czym, być może, wyglądałby dobrze jedynie pudel na wystawie psów. – Annie stanęła tyłem do matki, aby ukryć łzy, które napłynęły jej do oczu.

Obok nich jakaś kobieta wybierała wraz ze swoją córką bluzkę na stoisku.

– Musisz wziąć tę różową – oświadczyła podekscytowana dziewczyna. – Chodź, zapytamy ekspedientkę! Jest ci do twarzy w tym kolorze. A potem pójdziemy na kawę.

Wyglądały na prawdziwą matkę z córką, a nie na dwie modelki, przysłane z agencji po to, aby swoim zachowaniem wprawiać w przygnębienie zwyczajne kobiety. Ria odwróciła głowę, ażeby nikt nie dostrzegł łez zazdrości w jej oczach.

Danny zamówił na jedenastą przywiezienie cykliniarki i Ria chciała być o tej porze z powrotem w domu. Za osobliwy uznała pomysł zrywania wykładzin dywanowych, aby odsłonić piękne, drewniane podłogi. Jej nie wydawały się ładne, gdyż miały mnóstwo gwoździ i odbarwień. Jednakże Danny znał się na tego typu rzeczach i, jak zwykle, musiała zaakceptować jego racje. Ludzie, którym sprzedawał domy i którzy wszystko najlepiej wiedzieli, mówili, że drewniane podłogi powinny zostać wyeksponowane i co najwyżej nakryte starannie dobranymi do wnętrza dywanami. Wykładziny

niem, były w złym guście i służyły tylko do ukrycia bezlitos-nych usterek pod spodem. Na cały weekend można było wy-pożyczyć cykliniarkę. Wystarczyło pochodzić z nią po domu, a maszyna, targana gwałtownymi wstrząsami, zdierała najbardziej zniszczoną warstwę podłogi. Oto, jaka praca czekała ich przez najbliższe dwa dni.

Ria zastanawiała się, co córka sobie pomyśli, jeśli zostawi, ją samą. Czy Annie uzna, że matka się dąsa? A może przyjmie jej odejście z ulgą?

– Wiesz, że twój ojciec umówił się na dzisiaj z ludźmi, którzy mają przywieźć nam cykliniarkę?

– Nie zamierzam spędzić weekendu na cyklinowaniu pod-

łóg, mamó. To nie jest w porządku, że chcecie mnie obarczyć tą robotą.

– Ależ nawet mi to nie przyszło do głowy. Miałam jedynie na myśli, że powinnam wrócić do domu i zaczekać na nich.

Przykro mi, lecz muszę cię opuścić. – Annie wpatrywała się w nią bez słowa. – Wiem, że nie jestem zbyt pomocna i gdy wi-dzę zbyt wiele rzeczy naraz, kręci mi się w głowie – powiedziała Ria.

Córka nagle zmieniła się na twarzy. Wyciągnęła rękę w stronę matki i niespodziewanie przytuliła się do niej.

– Nie jesteś najgorsza, mamó – przyznała niechętnie. Tego rodzaju sformułowanie w ustach dziewczynki było w tych dniach wielką pochwałą.

Ria ruszyła w powrotną drogę z nieco lżejszym sercem.

Ledwie znalazła się pod drzwiami swojego domu przy Ta-ra Road, usłyszała trzaśnięcie furtki oraz znajome wołanie:

– R-i-i-o! R-i-i-a!

Okrzyk, dobrze znany w całej okolicy, był regularny jak dzwony na Anioł Pański czy nawoływania łodziarza. Obwieszczał przybycie Nory Johnson oraz jej psa, Kleszcza, bez-219

kształtnego stworzenia nieokreślonej rasy, który nigdy nie czuł

się swobodnie w domu Danny’ego i Rii, a jednak okoliczności zmuszały go do spędzania tam większości swego niespokoj-nego życia. Matka Rii bywała w miejscach, dokąd nie mogła go zabierać, a pozostawiony sam w mieszkaniu usychał z tę-

sknoty. Kleszcz był również w domu Lynchów, lecz z jakiegoś powodu nie było to uznawane za przejaw tęsknoty.

Matka Rii, według niej samej, nigdy nie przychodziła bez zapowiedzi ani bez zaproszenia. Robiła z tego powodu wiele szumu od czasu, kiedy się przeprowadziła do swej chatki w sąsiedztwie. „Nigdy nie można przyjmować za pewnik faktu, że jest się mile widzianym w domu dzieci” – zwykła często powtarzać. Ta życiowa zasada była tym bardziej nie na miejscu, że Nora niemal codziennie pojawiała się nieproszona i nikogo nie uprzedzała o swojej wizycie. Zakładała zapewne, że okrzyk od furtki jest wystarczającą zapowiedzią jej przyjścia.

Dzisiaj Ria przypomniała sobie o szkolnych czasach, kiedy to matka przychodziła po nią na plac zabaw albo do parku i przywoływała córkę zawsze w ten sam sposób. Szkolne przyjaciółki zwykły naśladować wołanie Nory. I teraz, kiedy Ria była już kobietą w średnim wieku, nic się nie zmieniło; matka nadal wykrzykiwała jej imię w sposób, który przywołał na myśl okrzyk bojowy.

– Wejdz, mamó – starała się, by jej głos miał zapraszające brzmienie.

Była przekonana, że pies wystraszy się cykliniarki i będzie czekał, a potem zacznie rozpaczliwie wyć, jak gdyby któraś z jego łap dostała się pod maszynę. Dzisiejszy dzień wydawał się najgorszy ze wszystkich dotychczasowych, jakie matka wybrała na powierzenie jej opieki nad Kleszczem.

Nora pośpiesznie wtargnęła do środka, jak zwykle pewna serdecznego powitania. Czyż nie wołała od furtki, zawiada-220

miając o swoim nadejściu?

– Jakiś szczeniak w autobusie kazał mi pokazać bilet. Powiedziałam mu, żeby uważał na to, do kogo się zwraca.

Ria zastanawiała się, dlaczego matka, znana miłośniczka psów, zawsze używała określenia „szczeniak” w obelżywym znaczeniu tego słowa. W dzisiejszych czasach wszędzie pełno było szczeniaków, wiecznie płaczących się pod nogami.

– I co widzisz w tym złego?

– Jak mógł uważać, że jestem jeszcze w wieku, który zobowiązuje mnie do kupowania biletu? Jedno spojrzenie tych jego szparek zamiast oczu powinno mu wystarczyć do zorientowania się, że ma do czynienia z emerytką.

Matka Rii pomimo swojej żółtej lnianej garsonki i apaszki w czarne grochy rzeczywiście wyglądała dokładnie na swoje lata, „szczeniak” w autobusie okazał się po prostu bezmyślny.

Tylko że każdy chłopak w jego wieku brał wszystkich ludzi po czterdziestce za starców. Nie było jednak sensu wyjaśniania tego wszystkiego matce. Ria uwijała się w kuchni, szykując tacę z kruchym ciastem, które upiekła wczorajszego wieczora.

Kubki do kawy były już przygotowane. Wiedziała, że za chwilę pomieszczenie zapełni się ludźmi – przyjadą robotnicy z cykliniarką, a Danny będzie chciał się nauczyć sposobu jej obsługiwania. Wpadnie też Brian z kilkoma kolegami – w domu Lynchów, w przeciwieństwie do ich własnych, zawsze znalazło się coś pysznego do zjedzenia. Być może wróci też Annie w swoim cudacznym

stroju, w towarzystwie Kitty Sullivan, z którą była umówiona w pasażu handlowym.

Rosemary zawsze odwiedzała ich w soboty, a czasami zjawiała się również Gertie, ilekroć zdołała się wymknąć ze swojego mieszkania nad pralnią. Gertie sprzątała u nich dwa razy w tygodniu, ale wtedy przychodziła do pracy. W soboty bywała u Lynchów towarzysko, choć za każdym razem uży-

wała jakiegoś pretekstu: zapomniała czegoś albo chciała się upewnić co do terminu następnych porządków.

Mógł także przyjść Colm Barry z jarzynami. W każdą sobotę przynosił całe ich naręcze, czasami nawet szorował olbrzymie, pokryte ziemią rzepy i marchewki albo przebierał

szpinak. Ria gotowała zupy i inne potrawy ze świeżych warzyw, które rosły tuż przy domu i których wyhodowanie nie kosztowało jej najmniejszego wysiłku.

Przychodzili też i wychodzili inni ludzie. W kuchni Rii Lynch zawsze wszyscy byli serdecznie przyjmowani – w przeciwieństwie do czasów jej dzieciństwa, kiedy nikogo nie zapraszano do kuchni, mrocznego pomieszczenia z podartym linoleum na podłodze. Nikogo nie zachęcano także do składania wizyt w domu Nory. Matka, a z tego, co Ria pamiętała, również ojciec byli nerwowi, nie umieli wypoczywać i nie potrafili zrozumieć, że inni mogą mieć na to ochotę.

Nawet i teraz, kiedy matka odwiedzała ją tutaj, nigdy nie usiadła spokojnie na miejscu. Wiecznie pobrząkiwała kluczami, szamotała się z płaszczem, to go zdejmując, to wkładając, i nie potrafiła się poddać magicznemu urokowi ciepłego, gościnnego otoczenia.

Podobnie miała się sprawa z rodzicami Danny'ego, którzy zwykli byli przesiadywać w swojej wielofunkcyjnej kuchni, gdzie przez cały dzień popijali herbatę i nie życzyli sobie, żeby im w tym ktokolwiek przeszkadzał. Ich synowie dorastali w swoich pokojach, a każdy żył własnymi sprawami. Do dzisiaj rodzice Danny'ego prowadzili taki sam tryb życia: nie utrzymywali stosunków towarzyskich ani z sąsiadami, ani z przyjaciółmi. I nie mieli zwyczaju organizowania spotkań rodzinnych. Ria rozejrzała się z dumą po swojej przestronnej i przytulnej kuchni, która zawsze tętniła życiem, gdzie nigdy nie brakowało ludzi i gdzie ona sama, w tym sercu domu, wszyst-

kim zawiadywała.

Danny nigdy nie zwracał uwagi na brzęczenie kluczy Nory Johnson ani na jej nawoływania od furki. Dzisiaj też po wej-

ściu do kuchni szczerze się ucieszył, widząc teściową, i serdecznie ją uściśnął na powitanie. Miał na sobie sportową, błę-

kitną koszulę, którą kupił w Londynie. Należała do tego rodzaju rzeczy, jakich Ria nigdy nie kupiłaby swojemu mężowi.

Musiała jednak przyznać, że wyglądał w niej wyjątkowo dobrze i nieprawdopodobnie młodo, niczym

licealista. Być może rzeczywiście miała najgorszy na świecie gust i nigdy nie potrafiła wybrać właściwego ubrania. Niepewnie obciągnęła górną część swojego czarnego, wykpionego przez córkę swetra.

– Holly! Pewnie przyszłaś po to, żeby wziąć udział w cyklinowaniu! Jestem tego pewien – powitał ją zięć. – Nie tylko obdarowałaś naszą córkę fortuną na zakup fatalaszków, ale przyszłaś, aby zaoferować nam swoją pomoc w szlifowaniu podłóg.

– Mylisz się, Danielu. Chciałam tylko zostawić u was na godzinę biednego Kleszcza. Pracownicy zakładu opiekuńczego Świętej Rity są bardzo nietolerancyjni i nie zezwalają na –

wpuszczanie psów do budynku, choć właśnie tego starzy ludzie potrzebują najbardziej: czworonożnego towarzysza! Ci szczeniakowaci doktorzy uważają jednak, że trzymanie psów w zakładzie byłoby niehigieniczne i że pensjonariusze mogliby się potykać o zwierzęta! Typowa postawa!

– Dzięki niej możemy mieć u siebie Kleszcza. Witaj, piesku!

Czy to możliwe, żeby naprawdę lubił tego okropnego kundla, którego wycie zagłuszało wszelkie inne dźwięki? Kleszcz miał żółte, pokryte plamami zęby, a wokół pyska zbierała mu się piana. Pomimo to Danny patrzył na zwierzątko z wyraźną czułością. W życiu męża Rii wiele zależało od uprzejmego 223

zachowania wobec klientów i trudno było powiedzieć, czy jego postawa jest szczerą. Może tylko udawał entuzjazm. Obracał

się w świecie, gdzie nie należało wypowiadać na głos własnych myśli.

Matka Rii wychyliła duszkiem kawę i zaczęła się zbierać do wyjścia. Bardzo zaangażowała się w codzienne życie domu starców pod numerem sześćdziesiątym ósmym przy Tara Road. Hilary była pewna, że matka myśli o zapisaniu się na listę przyszłych pensjonariuszy. Nora nauczyła Annie grać w brydża i czasami zabierała ze sobą wnuczkę do Świętej Rity, aby dziewczynka uczestniczyła w rozgrywkach. Dziewczynka utrzymywała, że się tam świetnie bawi. Starzy ludzie byli hała-

śliwi jak dzieciaki w szkole i prowadzili ze sobą podobne wojny i sprzeczki. Annie opowiadała wszystkim w domu, że babcia cieszy się wielkim autorytetem wśród pensjonariuszy, choć oczywiście w porównaniu z nimi jest jeszcze bardzo młoda.

Nora podkreślała zawsze, że trzeba się dobrze zastanowić nad własnymi widokami na przyszłość. Niejednokrotnie wspominała o tym mimochodem, dając córce do zrozumienia, iż powinna zrobić to samo. Pewnego dnia stanie się niedołączona i będzie zdana na samą siebie. I wtedy zacznie żałować, że nie okazała się przewidująca i zawczasu nie pomyślała o starości.

Tym bardziej że miała na to mnóstwo czasu i nie musiała, jak inni, chodzić do normalnej pracy.

– Pewnie doprowadzasz facetów ze Świętej Rity do szaleństwa, kiedy wchodzisz tam, niczym wielkanocny kurczak, cała na żółto, i oślepiasz biedaków swoim widokiem? – powiedział Danny.

– Daruj sobie te pochlebstwa, kochany – zachnęła się No-ra, choć uwielbiała ich słuchać.

– Naprawdę tak uważam, Holly. Pewnie nie mogą oderwać 224

od ciebie oczu – żartował nadal. Jego teściowa, wyraźnie zadowolona, poprawiła włosy i energicznym krokiem wyszła z domu, szykowna i zadbana w swoim kostiumie. – Twoja mama świetnie się trzyma – stwierdził. – Życzyłbym sobie, żebyśmy w jej wieku zachowali równie dziarski wygląd.

– Na pewno zachowamy. Czyż nie wyglądasz raczej na chłopca niż na mężczyznę, który zbliża się do czterdziestki? –

powiedziała ze śmiechem Ria.

Jej komentarz najwyraźniej jednak nie rozbawił męża.

Palnęła gafę. Miał trzydzieści siedem lat, niemal trzydzieści osiem. Była głupia, że zirytowała go tym żartem. Udawała, że nie spostrzegła własnego nietaktu.

– Spójrz na mnie. Kiedyś powiedziałeś, że dobrze przyjrzałeś się mojej mamie, nim zacząłeś się starać o moją rękę.

Tłumaczyłeś, że kobiety z wiekiem upodabniają się do swoich matek. – Ria plotła, co jej ślina przyniosła na język, byleby tylko z jego twarzy zniknął wyraz przygnębienia.

– Ja tak powiedziałem? – W głosie męża zabrzmiało zdziwienie.

– Tak. Nie pamiętasz?

– Nie przypominam sobie.

Żałowała, że w ogóle zaczęła tę rozmowę. Danny był

zmieszany i jej wspomnienia najwyraźniej mu nie pochlebiały.

– Muszę zatelefonować do Rosemary – oświadczyła nagle.

– Po co?

Powiedziała cokolwiek, ponieważ nie mogła już dłużej stać przed nim, czując się taka samotna. Ogarnęło ją przerażenie na myśl o tym, że nudzi i irytuje męża.

– Chcę ją zapytać, czy nas dziś odwiedzi – odparła pogodnym tonem.

– Zawsze nas odwiedza – zauważył Danny. – Podobnie jak połowa świata.

Powiedział to z nutą zniecierpliwienia, Ria była jednak pewna, że kocha życie, jakie toczyło się w ich ruchliwej, przytulnej i wypełnionej roześmianymi ludźmi kuchni przy Tara Road. A także atmosferę, która tak bardzo różniła się od tej panującej w jego pozbawionym miłości domu na wsi, gdzie dorastał i gdzie towarzystwa dotrzymywały mu jedynie wrony kraczące na drzewach za oknami.

Danny czuł się tutaj szczęśliwy, podobnie jak ona: wiedli życie, o jakim oboje marzyli. Szkoda, że z powodu zmęczenia i zabiegania nie kochali się już tak często. Po prostu zbyt wiele ostatnio się działo. Ria wierzyła jednak, że ich życie niebawem się unormuje i wszystko będzie jak niegdyś.

Rosemary była żądna wieści o zakupach.

– Cudownie jest patrzeć, jak dziewczęta dojrzewają do podejmowania własnych decyzji – stwierdziła. – Kiedy zaczynają wiedzieć, czego chcą, i znajdują własny styl.

Nie usiadła, lecz buszowała po kuchni. Podnosiła różne fajansowe przedmioty i sprawdzała pod spodem ich nazwy, wodziła palcami po zawieszonych na ścianach sznurach cebul i czytała przepisy, przyklepione taśmą do lodówki: wszystkiemu się przyglądała, niczego nie podziwiając.

Z ogromną wdzięcznością przyjęła kubek z czarną kawą, jak gdyby nikt jej nigdy niczym nie poczęstował, odmówiła jednak kruchego ciasta, twierdząc, że wstała właśnie od nie-przyzwoicie ogromnego śniadania. Sądząc po jej szczupłych biodrach i dziewczęcej figurze, wydawało się to mało prawdopodobne. Rosemary nosiła szykowne, dobrze skrojone dzinsy oraz białą jedwabną koszulę – strój, który zwykła nazywać weekendowym. Miała starannie ułożone włosy; nieodmiennie w każdą sobotę była pierwszą klientką w zakładzie fryzjerskim. Zawsze wzdychała z zazdrością, mówiąc o kobietach, 226

które nie muszą tam bywać – o szczęściarach, takich jak Ria, które nie chodzą do pracy.

Przejęła już na własność firmę poligraficzną i była laure-atką nagrody ufundowanej dla przedstawicieli drobnej przedsiębiorczości. Ria chętnie by ją udusiła, gdyby ich przyjaźń nie trwała od tak dawnych czasów. Rosemary stanowiła żywy do-wód na to, że kobieta nie tylko wszystko potrafi robić, ale mo-

że także oszałamiająco wyglądać. No cóż, obie przebyły razem daleką drogę. I przecież, na miłość boską, przyjaciółka była razem z Rią owego dnia, kiedy ta poznała Danny'ego. Przez lata słuchała o wszystkich domowych dramatach, a Ria była powierniczką jej zwierzeń. Miały przed sobą bardzo niewiele tajemnic.

Jedyną osobą, co do której różniły się w poglądach, była Gertie.

– Dając jej pieniądze dla tego pijaka, jedynie utwierdzasz tę idiotkę w przekonaniu, że życie, jakie prowadzi, jest normalne.

– I tak nie zamierza go porzucić. Mogłabyś jej zaproponować jakieś zajęcie. Bardzo żałuję, że nie chcesz tego zrobić –

tłumaczyła błagalnym tonem Ria.

– Nie, Rio. Czy nie widzisz, że tylko pogarszasz sytuację?

Skoro przechodzisz do porządku dziennego nad tym, że jej głowa wygląda jak bokserki worek treningowy, a biedne, za-straszone dzieciaki mieszkają u babci, przyczyniasz się do te-go, że podobne sceny będą się powtarzać bez końca. Gdybyś pewnego dnia powiedziała: „dosyć tego”, być może odzyska-

łaby rozsądek. Dodałabyś jej w ten sposób odwagi.

– To by niczego nie zmieniło. Utwierdziłoby ją tylko w przekonaniu, że nie ma już przy sobie ani jednej bratniej duszy.

Zapewne Rosemary skwitowałaby tę opinię westchnie-niem. A przecież zgadzały się ze sobą w tak wielu innych kwe-227

stiach: niemożności dogadania się z matkami, problemów z siostrami i roztropnej decyzji o zamieszkaniu przy ślicznej, wysadzonej drzewami Tara Road. Ria zawsze miała w przyjaciółce ogromne wsparcie we wszystkim. Zbyt często słyszała od innych znajomych, że zwariowałyby, gdyby nie pracowały zawodowo i nie miały własnych, zarobionych przez siebie pieniędzy. Mówiły jej o tym prosto w oczy. Rosemary nie poruszała tego tematu. I w przeciwieństwie do innych pracujących kobiet nigdy nie pytała Rii, a już szczególnie w obecności Danny’ego, co robi całymi dniami?

Chociaż od pięciu lat Annie i Brian nie wymagali już tak wielkiej opieki jak kiedyś, Ria nigdy poważnie nie zastanawiała się nad powrotem do pracy zarobkowej. A poza tym, realistycznie oceniając własne perspektywy, jakie zajęcie mo-głaby wykonywać? Nie miała żadnych kwalifikacji ani stażu, lepiej więc było nic nie zmieniać. Rzadko czuła się przygnę-

biona rolą gospodyni domowej. I była szczerze przekonana o tym, że nie powinna się uskarżać na swój los, skoro Rosemary, która miała wszystko, co tylko kobieta może osiągnąć w życiu, twierdziła, że jej zazdrości.

– Powiedz mi, Rio, co kupiłyście? – Przyjaciółka naprawdę sądziła, że sprawunki były udane i podjęły wspólną decyzję.

– Nigdy nie byłam w tym zbyt dobra. Tym razem również nie wiedziałam, czego szukać ani na co zwrócić uwagę Annie –

wyznała Ria, przygryzając wargę.

Odniosła wrażenie, że dostrzegła na twarzy tamtej błysk zniecierpliwienia.

– Ależ chyba musisz mieć rozeznanie, co teraz oferują w sklepach. Masz przecież tyle czasu na chodzenie po nich!

W tym momencie pod dom zajechała furgonetka z cykliniarką, a robotnicy, którzy wnieśli maszynę do domu, z przyjemnością przyjęli propozycję wypicia razem kawy. Po chwili 228

do kuchni wtargnął dziesięcioletni Brian, bardziej przypominając swoim wyglądem biedne dziecko, wybrudzone gdzieś w ziemi na placu budowy, niż chłopca, który przed chwilą wstał z łóżka. Przeprowadził ze sobą dwóch kolegów, o ubiorze równie nieporządnym, jak jego własny. Chwycili puszki z co-ca-colą, każdy wziął po kilka kawałków kruchego ciasta i po-biegli na górę. Zjawiała się też Gertie, chaotycznie wyjaśniając, że wczoraj nie umyła miedzianego rondla. I zaczęła go szorować od spodu, co oznaczało, że potrzebuje przynajmniej pięć-ciofuntowej pożyczki.

Kleszcz zaczął wyc i w tym momencie, jak na dany sygnał, Nora wróciła niespodziewanie od Świętej Rity. Nie zawiadomili jej, że rano odbędzie się pogrzeb, więc nie jest tam dzisiaj potrzebna. Do okna zastukał Colm Barry, pokazując, iż zostawia jej kosz pełen warzyw. Skinęła ręką, żeby się do nich przyłączył, odczuwając znajomy przypływ dumy, że oto znajduje się w samym centrum tego miłego zamieszania. Popatrzyła na Danny'ego, który przyglądał się całej scenie, stojąc w kuchennych drzwiach. Był przystojny i miał chłopięcy wygląd.

Dlaczego wymknęła jej się owa głupia uwaga o dobijaniu do czterdziestki?

Najwyraźniej jednak już ją przeboleła, a tamta chwila przygnębienia minęła. Jego twarz teraz nie wydawała się już za-kłopotana. Stał i przyglądał się wszystkiemu, jak gdyby był

postronnym obserwatorem – człowiekiem z zewnątrz, który po raz pierwszy przyszedł tutaj z wizytą.

Wszyscy po kolei cyklinowali podłogę. Zadanie okazało się trudniejsze, niż ktokolwiek przypuszczał. Problem nie sprowadzał się do stania za maszyną, która sama wiedziała, co ma robić. Trzeba było nią kierować i obracać, omijając przy tym kąty oraz ciężkie przedmioty. Danny obsługiwał cykli-229

niarkę pełen entuzjazmu. Oświadczył z zadowoleniem, że wy-szlifowane podłogi zmieniają wygląd domu i Ria niespodziewanie poczuła na plecach ciarki. Przecież ich dom był cudowny, dlatego więc mąż pragnął cokolwiek zmieniać?

Matka Rii nie chciała zostać na lunch.

– Nieważne, ile ton warzyw zostawił dla was Colm. Wiem, jakie to kłopotliwe, jeśli ktoś komuś zbyt długo zawraca głowę.

Usiądź do stołu razem ze swoją rodziną, Rio, i zatroszcz się o męża. To cud, że tak długo udaje ci się go przy sobie zatrzymać. Zawsze twierdziłam, że urodziłaś się pod szczęśliwą gwiazdą, skoro zdołałaś złapać na męża kogoś takiego jak Danny Lynch.

– Przestań, Holly, od twoich pochlebstw puchnie mi gło-wa. Zapewniam cię, że małżeńskie życie ze mną jest wątpliwym błogosławieństwem. Jeśli naprawdę nie zamierzasz zostać, pozwól, że ci dam kilka pomidorów od Colma. Już wi-dzę, jak przez całe popołudnie serwujesz do wódki i do martini odwiedzającym cię dżentelmenom kanapki z cienko pokrojonego chleba z pomidorami.

Nora Johnson zaniósła się śmiechem.

– Bardzo byłabym rada, gdyby któryś zechciał mnie odwiedzić! Wezmę parę pomidorów, skoro nie wiecie, co z nimi zrobić.

Matka Rii nigdy nie przyjmowała niczego z wdzięczno-

ścią. Ilekroć coś od nich wzięła, zachowywała się tak, jak gdyby wyświadczała im przysługę.

Rosemary była wyraźnie rozczarowana, że nie ma żadnych ubrań do obejrzenia. Zastanawiała się, czy zauważyły szalową, czerwoną sukienkę w witrynie narożnego sklepu u zbiegu ulic.

Nie? Kreacja była absolutnie boska.

230

– Nie dla kobiet w naszym wieku – stwierdziła, poklepując się po płaskim brzuchu – lecz dla kogoś, jak Annie, kto ma boską figurę, i komu, w przeciwieństwie do nas, nie zwisają zwały tłuszczu.

Rosemary musiała wiedzieć, że jej nic nie zwisa. Z pewnością była w pełni świadoma tego faktu.

Brian i jego dwaj przyjaciele, Dekko i Myles, mieli problem. Zamierzali obejrzeć w domu Dekka mecz transmitowany przez telewizję satelitarną, ale z powodu obecności małego dziecka zabroniono im włączania telewizora.

– Czy nie możecie u nas obejrzeć meczu? – zasugerowała Ria. Brian spojrzał na matkę z zakłopotaniem.

– Nie, nie możemy. Czy ty nigdy niczego nie rozumiesz?

– Oczywiście, że rozumiem. Ten dom należy tak samo do ciebie, jak do mnie i do taty. Możesz zanieść do pokoju tacę z jedzeniem.

Twarz Briana pokryła purpura, gdy starał się wyjaśnić problem matce.

– My nie mamy telewizji satelitarnej, mam. Przypomniała sobie. Kilka miesięcy temu spierali się o to długo, ponieważ ona i Danny byli zdania, że dzieci i tak zbyt dużo czasu spędzają przed telewizorem.

– Co prawda, w domu Dekka też nie mają z niej obecnie wielkiego pożytku – stwierdził ponuro Brian. – Skoro nie można włączyć odbiornika z powodu jakiegoś paskudnego bachora!

– Jak możesz, Brianie, wyrażać się w ten sposób o małym braciszku twojego przyjaciela?

– Brian ma rację, pani Lynch. Niemowlę jest okropne i sprawia same kłopoty. Nie mogę pojąć, dlaczego rodzice po tylu latach zdecydowali się na jeszcze jedno dziecko? Mam już dziesięć lat, na miłość boską. – Chłopcy pokręcili głowami i 231

zaczęli dyskutować nad możliwością użycia przedłużacza.

Gdyby wynieśli przed dom odbiornik i nastavili go cicho, może udałoby się rozwiązać problem? Dekko w to wątpił. Jego matka była bardzo zasadnicza we wszystkich sprawach, które dotyczyły tego beznadziejnego smarkacza.

Ria nie uznała owych wiadomości za pomyślne. Od dawna zastanawiała się poważnie nad urodzeniem jeszcze jednego dziecka. Firma handlu nieruchomościami prosperowała coraz lepiej, a Danny został wybrany agentem roku. Byli jeszcze młodzi i mieszkali w przestronnym domu. Miała nadzieję, że nic nie stoi na przeszkodzie do powiększenia rodziny.

Miedziany rondel aż lśnił czystością i Gertie pokazała go z dumą Rii.

– Możesz się w nim przejrzeć lepiej niż w lustrze.

Ria zastanawiała się, dlaczego ktokolwiek miałby podnosić ciężki rondel i przeglądać się w nim, ale nic nie powiedziała.

Ani słowem nie wspomniała też o siniaku na policzku Gertie –

ciemnej plamie, którą koleżanka usiłowała zasłonić włosami.

– Mój Boże, świeci się jak słońce. Jesteś bardzo dobra, że zechciałaś przyjść do nas dzisiaj, Gertie.

Ostatnio powtarzał się ten sam rytuał: Ria proponowała pieniądze, Gertie wzbraniała się przed ich przyjęciem, lecz w końcu ustępowała. Była to sprawa zachowania pozorów godności. Obecnie w ten sposób to rozgrywały.

Nie dzisiaj jednak.

– Dobrze wiesz, dlaczego przyszedłam.

– A jednak uważam, że to bardzo miło z twojej strony. –

Ria sięgnęła po torebkę, zaskoczona bezpośredniością przyjaciółki.

– Obie jesteśmy świadome mojej rozpaczliwej sytuacji, Rio. Czy mogłabym cię dzisiaj prosić o dziesięć funtów? Od-232

pracuję tę kwotę w przyszłym tygodniu.

– Nie dawaj mu tych pieniędzy, Gertie.

Tamta odsunęła do tyłu włosy, ażeby przyjaciółka mogła lepiej zobaczyć długą, czerwoną szramę.

– Proszę cię, Rio!

– Znowu to zrobi. Rzuć go, to jedyne rozsądne wyjście.

– I dokąd pójde, powiedz mi? Gdzie się podzieję z dwojgiem dzieci?

– Zmień zamki w drzwiach i przedstaw mu sądowy zakaz kontaktowania się z wami.

– Rio, błagam cię na kolanach. On czeka na ulicy przed domem.

Ria wręczyła Gertie dziesięciofuntowy banknot. Usłyszała z holu rozmowę, jaką prowadziły przez telefon Annie i Kitty:

– Ależ skąd! Niczego nie kupiłyśmy. Sądziś, że było to możliwe? Stała tam, wywracając oczami. „Nie będziesz nosić tego, nie będziesz nosić tamtego... „. Nie mówiła wprost, ale można to było wyczytać z jej twarzy... Okropna sytuacja, wierz mi. Nie, nie zamierzam w ogóle nic kupować. Przysięgam, że tak będzie najlepiej. Gra nie jest warta świeczki. Nie wiem tylko, co powiem babci. Była dla mnie bardzo hojna i absolutnie nie wtrąca się do tego, w co się ubieram.

Ria odszukała wzrokiem Danny’ego. Sama jego obecność mogła ją podnieść na duchu, przywrócić pewność siebie i do-dać sił, które zdawały się z niej uchodzić. Mąż, wstrząsany drganiem maszyny, pochylał się nad cykliniarką, zdzierającą wierzchnią warstwę podłogi, by odsłonić zdrowe drewno, które chciał wyeksponować. Był całkowicie pochłonięty pracą, a równocześnie sprawiał wrażenie, że wykonuje ją dla kogoś innego: dla jednego ze swoich klientów, który zwrócił się doń z prośbą o podwyższenie standardu nieruchomości.

Ria dotknęła ręką gardła, zastanawiając się, czy to przy-233

padkiem nie początki grypy. Był przecież cudowny poranek.

Dlaczego więc wszystko ją denerwowało? Zastanawiała się, co by się stało, gdyby napisała do działu prasowego zajmującego się rozwiązywaniem problemów czytelniczek. A może powinna się zwrócić o pomoc do psychologa? Czy poradziłby jej, żeby podjęła pracę zarobkową? Tak, tego typu sugestia wydawała się bardzo sensowna. Ludzie postronni mogli sądzić, że praca zawodowa odciąga uwagę od wszelkich innych problemów, gdyż nie pozostawia czasu na zbędne rozmyślenia, za to daje człowiekowi poczucie niezależności oraz wiarę we własne siły. W jej wypadku rozwiązanie to nie było jednak żadnym wyjściem. Ria miała już pracę. Nie było sensu wychodzić co rano z domu dla samej zasady – tylko po to, ażeby komuś coś udowodnić. Poza tym Danny często powtarzał, że pracująca żona straszliwie zagmatwałaby jego sytuację podatkową. A ponadto dzieci osiągnęły wiek, kiedy bardziej niż kiedykolwiek potrzebowały w domu obecności osoby dorosłej.

Również matka potrzebowała jej, gdy przychodziła z codzienną wizytą. A także Gertie i to nie tylko z powodu owych kilku funtów, jakie zarabiała sprzątaniami, lecz przez wzgląd na moralne wsparcie. I kto zastąpiłby Rię w pracy charytatywnej, gdyby zatrudniła się gdzieś w pełnym wymiarze godzin? Jej działalność dobroczynna nie miała nic wspólnego z wytwornymi lunchami połączonymi ze zbieraniem datków, których organizowaniem zajmowały się inne przedstawicielki klasy średniej; Ria wykonywała przecież prawdziwą pracę – sprzedawała rzeczy ofiarowane do sklepu przez innych ludzi, a uzyskiwane pieniądze przeznaczano na pomoc dla ubogich.

Opiekowała się w szpitalach małymi dziećmi, których matki dowiedziały się właśnie, że mają raka piersi. Zbierała używane ubrania, które trzymała w garażu i potem oddawała do pralni chemicznej, korzystając z upustu udzielanego dla większych 234

ilości odzieży. Składała plastikowe pojemniki od gotowego jedzenia, by wlać w nie własnoręcznie przyrządzone sosy, któ-

re potem sprzedawano na imprezach charytatywnych. I wystawała przed supermarketami z puszkami na datki.

Sam dom również jej potrzebował. Danny często powtarzał, że tworzy jednoosobową linię frontu, walcząc z kornikami, usuwając wilgoć i niszcząc grzyby. A zresztą nawet gdyby podjęcie pracy zawodowej było dla niej właściwym rozwiązaniem, to czym mogłaby się zajmować? Na wzmiankę o Internecie przechodziły ją ciarki. Musiałyby zdobyć co najmniej elementarną umiejętność obsługi komputera oraz innych biurowych urządzeń, zanim zaczęłaby się ubiegać gdziekolwiek o pracę sekretarki.

Liczyła na to, że uczucie pustki i niepokoju minie, a szukanie posady nie będzie potrzebne, gdyż okaże się, że jej smutek wynika z chęci posiadania jeszcze jednego dziecka.

Bardzo pragnęła je urodzić; znowu poczuć małą główkę na swojej piersi, zobaczyć patrzące na nią z ufnością małe oczy i mieć przy sobie Danny'ego. Pomysł nie wydawał się wcale absurdalny; oboje tego potrzebowali. Pomimo pogardliwych uwag Briana i jego kolegów nadeszła pora, aby zdecydowali się na następne dziecko.

Wieczorem byli zaproszeni do Rosemary na kameralną kolację we troje. Ria znała już menu: miał być chłodnik, ryba z rusztu i sałata, a potem owoce i sery, podane przy dużym oknie z widokiem na rozległy i dobrze oświetlony ogród na dachu.

Danny często powtarzał, że mieszkanie Rosemary w domu pod numerem trzydziestym drugim przy Tara Road jest obecnie warte fortunę. I oczywiście zawsze było nienagannie utrzymane. Dzięki sukcesom, jakie odnosiła firma poligraficzna, przyjaciółka nie miała problemów finansowych i chociaż nie dorównywała Rii w jej kulinarnych umiejętnościach, zaw-235

sze udawało się jej podać elegancki posiłek i to bez wyraźnego wysiłku.

Ria oczywiście wiedziała, jak wiele dań pochodzi bezpo-

średnio z delikatesów, nikt inny jednak nie zdawał sobie z tego sprawy. I kiedy goście chwalili wyborny ciemny chleb, ona tylko się uśmiechała. Rosemary zawsze potrafiła wszystko pięknie podać. Winogrona i figi były ułożone na tacy o nowoczesnym kształcie, w wysokim dzbanku z niebieskiego szkła znajdowała się woda z lodem, a w czarnym wazonie stały białe tulipany. Baśniowy wystrój wnętrza. Z aparatury stereofonicznej dobiegały ciche dźwięki muzyki jazzowej, a Rosemary miała na sobie elegancki strój, jakby wybierała się na jakąś premierę. Ria nigdy nie mogła się nadziwić energii, jaką przyjaciółka wkładała w zachowanie wysokiego standardu.

Ria szła obok męża po Tara Road. Czasami wolałaby, żeby nie snuł bez przerwy domysłów na temat wartości rynkowej każdego mijanego domu. Zachowanie Danny'ego było jednak w pełni zrozumiałe, przecież tym się zajmował na co dzień. A ich ulica, co często oboje podkreślali w rozmowach, była jedyna w swoim rodzaju. Wszystkie inne miejsca w Dublinie stawały się lub też przestawały być modne, Tara Road stanowiła wszakże wyjątek. Niektóre domy zmieniły mieszkańców, a poprzedni właściciele zbili majątki na swych nieruchomościach.

Stwały tu także budynki licznie zamieszkałe przez studentów. Nieodzownymi elementami tych podupadłych posesji były zniszczone tarasy, przepelnione kosze na śmiecie oraz rowery. Na ich ulicy można też było zobaczyć budowle z czerwonej cegły należące od kilku pokoleń do przedstawicieli klasy średniej: pracowników wysokich urzędów państwowych i dobrze opłacanych urzędników bankowych. Coraz więcej też widziało się domów takich jak ich własny – niegdyś okazałych, ale podupadłych, którym teraz stopniowo przywracano dawną 236

światłość.

Sklepy, należące do ciągu handlowego na rogu za pralnią, gdzie mieszkała Gertie, w miarę upływu lat stawały się coraz bardziej eleganckie. Była też tu ekskluzywna restauracja Colma, a także małe domki, jak jej matki, które nie dały się w żaden sposób sklasyfikować ani opisać.

Za każdym razem, ilekroć Ria zbliżała się do bramy pod numerem trzydziestym drugim, nie mogła się nadziwić pięk-nemu rozwiązaniu architektonicznemu przed wejściem do budynku. Jej myśli zawsze biegły w tym samym kierunku. Marzyła o tym, żeby teren przed ich własnym domem był równie elegancko zagospodarowany, a parking mieścił co najmniej kilka samochodów. Wszystko wokół zachęcało przybysza do skierowania się w stronę drzwi wejściowych, w tym również roślinność, która w miarę zbliżania się do schodów z granitu stawała się coraz wyższa, by w końcu przejść w rozłożyste krzewy. Budynek przywodził na myśl twierdzą. Otoczenie domu Lynchów nie dawało owego poczucia trwałości; przeciwnie, stwarzało wrażenie, że w ciągu kilku minut można je zmienić. I chociaż kilka lat temu Danny zgodził się na skalnia-ki i wyłożenie nawierzchni wokół wejścia kostką, to w porównaniu z frontem budynku pod numerem trzydziestym drugim rozwiązania te miały charakter prowizoryczny. Tutaj nikt nie mógł wyobrazić sobie budowy czynszowych mieszkań; na podjeździe przed domem Lynchów nie stanowiłoby to żadnego problemu. Danny kilkakrotnie zapewniał żonę, że możliwość rozbudowy dodaje ich posesji uroku i tajemniczości oraz podnosi jej cenę. Ria zaś powtarzała mu, że wartość finansowa nieruchomości ma tylko wtedy znaczenie, kiedy ktoś zamierza ją sprzedać. W przeciwnym razie o walorach domu świadczy jedynie to, co sprawia, że mieszkańcy dobrze się w nim czują.

Rozmawiali o tym od czasu do czasu. Był to jeden z nielicz-237

nych tematów, co do których Ria nie potrafiła się porozumieć z mężem i który budził w niej zbyt gwałtowne emocje. Argumenty, jakich używała, przekonując Danny'ego, że powinni nadać terenowi przed domem bardziej trwały charakter, zawsze brzmiały sztucznie. Było to wiercenie dziury w brzuchu i wy-glądało na zazdrość, że nie mają tego, co inni.

Ria zawsze uważała, że doskonale potrafi odróżnić sprawy ważne od mało istotnych. I teraz postanowiła zrobić, co w jej mocy, aby przekonać męża o tym, że powinien jeszcze raz zostać ojcem.

Ogród zajmował znacznie dalszą pozycję na liście jej priorytetów, a o wszystko nie chciała się wyklócać. Ostatnio Danny był blady i wyglądał na zmęczonego. Zbyt ciężko pracował.

Rozejrzała się wokół, gdy Rosemary poszła po drinki.

Mieszkanie przyjaciółki wydawało się idealnym miejscem do życia. Nic nie świadczyło o tym, że jego właścicielka jest kobietą interesu. Rosemary trzymała wszystkie swoje dokumenty i papiery w biurze, apartament przy Tara Road miał służyć jedynie wypoczynkowi. I wyglądał dziewiczo, jak w dniu, kiedy się do niego wprowadziła. Farba na ścianach pozostała bez skazy, a tapicerka na meblach nie była poprzecierana ani pobrudzona przez dzieci. Ria spostrzegła rozłożone na niskim stole książki o sztuce oraz ilustrowane czasopisma. W jej domu nie ulegałyby długo na miejscu, wkrótce zostałyby zavalone szkolnymi zadaniami, czyjąś kurtką, tenisówkami lub gazetą.

Często Ria nie mogła się oprzeć wrażeniu, że mieszkanie Rosemary nie jest prawdziwym domem; bardziej przypominało plan zdjęciowy, stworzony na potrzeby ilustrowanego magazynu.

Miała zamiar podzielić się swoimi spostrzeżeniami z Dannym, gdy wracali do domu, ogarniając wzrokiem inne budynki przy Tara Road. Jak zwykle gratulowali sobie w myślach kup-238

na nieruchomości w tej dzielnicy jako mądrej decyzji, którą podjęli, kiedy byli młodymi ludźmi w kiepskiej sytuacji finansowej. Mąż odezwał się pierwszy:

– Uwielbiam dom Rosemary – oświadczył niespodziewanie. – Panuje tam niczym niezmacony spokój, a człowiek nie czuje się do niczego zobowiązany.

Ria spojrzała na niego zaskoczona; w ten ciepły, wiosenny wieczór Danny szedł z przewieszoną przez ramię marynarką.

Na oczy, jak zwykle, opadały mu włosy, ponieważ nie potrafił

ich ujarzmić żaden fryzjer. Dlaczego tak lubił atmosferę panującą w mieszkaniu przyjaciółki? Przecież nie gustował w zbyt przestronnych i surowych wnętrzach. Pewnie powodem była stale rosnąca wartość rynkowa apartamentu. Człowiek, który całymi dniami zajmował się cenami nieruchomości, nie mógł

pozostać obojętny na widok wysokich walorów i standardów tego budynku. W głębi duszy Danny na pewno wolał domy o ciepłych barwach i mieszkania tętniące życiem.

Gdyby dzisiaj gościli u siebie Rosemary, przy ich kuchennym stole zasiadłoby co najmniej siedem lub osiem osób. Co jakiś czas wpadałyby i wypadały dzieci ze swoimi przyjaciół-

mi. Być może zjawiłaby się Gertie, aby pomóc w podawaniu potraw – i w końcu też by się do nich dosiadła. Z głębi domu dochodziłaby muzyka, dzwoniłby telefon, Klemens – wścibiśki kot podarowany Annie przez Colma – przyszedłby sprawdzić listę obecności, a goście przekrzykiwaliby się i przeszkadzali sobie nawzajem w rozmowie. Po obu stronach stołu stałyby otwarte wielkie butle wina, a na początek zostałyby podana amerykańska potrawa z ryby nadziewanej małżami i krewetkami oraz ciemny pełnoziarnisty chleb. Głównym daniem by-

łaby pieczeń, a na zakończenie Ria zaproponowałyby co najmniej dwa desery. Zawsze piekła cudowne kruche ciasto z me-lasą, któremu nikt nie potrafił się oprzeć. Wszyscy miło spę-

239

dziliby wieczór. I nikt nie miałby poczucia, że kolacja jest epizodem z awangardowego francuskiego filmu.

Głupotą byłoby jednak spieranie się o to z mężem; mógłby jeszcze pomyśleć, że Ria próbuje się wywyższać. Dlatego, chcąc go zadowolić, jak zwykle mu przytaknęła. Wzięła Danny'ego pod rękę i przyznała mu rację. Rzeczywiście miło było posiedzieć i swobodnie pogawędzić. Nie podzieliła się z nim swoimi spostrzeżeniami na temat wyglądu Rosemary, która była ubrana, jak gdyby zamierzała udzielić wywiadu telewizyjnego, a nie gościć u siebie Danny'ego i Rię – swych najbliższych znajomych.

– Jesteśmy szczęściarzami, że mamy tak dobrych przyjaciół i sąsiadów – westchnęła z zadowoleniem i naprawdę tak uważała.

Gdy skręcili do własnego ogrodu, spostrzegli światła w salonie.

– Jeszcze szaleją – zauważył ze śmiechem Danny.

– Mam nadzieję, że nie. Dochodzi pierwsza.

– No cóż, jeśli to nie dzieci, to odwiedzili nas złodzieje.

Nie sprawiał jednak wrażenia zaniepokojonego. Złodzieje nie oglądaliby telewizji ani nie czekali na powrót domowników.

Ria była zirytowana. Liczyła na to, że dzisiejszego wieczora oboje wypiją szybkiego drinka w kuchni, a potem będą mogli porozmawiać o kolejnym dziecku. Miała przygotowane argumenty na wypadek, gdyby Danny był przeciwny temu pomysłowi. I łudziła się, że dzisiejszej nocy będą ze sobą blisko, przynajmniej fizycznie, nawet jeśli ona nigdy nie zdoła pojąć, z jakiego powodu przebywanie w chłodnej atmosferze nieprzytulnego apartamentu Rosemary sprawia mężowi przyjemność. Dlaczego akurat dzisiaj dzieci o tak późnej porze są jeszcze na nogach?

W salonie siedziała Annie wraz z przyjaciółką. Ani sło-240

wem nie wspomniała przedtem o wizycie Kitty. Nikt nie pytał

Rii o pozwolenie użycia jej lakieru, którym obie wymalowały sobie paznokcie u nóg. Nikt też nie zwracał się do niej z prośbą o pożyczenie kasety wideo z ćwiczeniami gimnastycznymi, nastawionej teraz na pełny regulator. Dziewczyny podniosły wzrok, jak gdyby zirytował je widok powracających do własnego domu dorosłych.

– Dobry wieczór, panie Lynch – odezwała się Kitty, która rzadko przejmowała się obecnością

kobiet, za to wszystkim mężczyznom posyłała szerokie uśmiechy.

Swoim wyglądem przypominała jedną z tych dziewcząt, jakie widuje się w dokumentalnych programach telewizyjnych poświęconych niebezpieczeństwom życia w dużym mieście.

Była chuda jak bezdomne dziecko i miała ciemne sińce pod oczami. Ria podejrzewała, że wymizowany wygląd dziewczyny jest skutkiem zbyt częstego siedzenia do późnych godzin w dyskotekach. Domyślała się, że Kitty jest ich stałą bywalczynią, ponieważ Annie wiecznie się uskarżała, że rodzice nie zezwalają jej na podobną swobodę.

Danny uważał, że Kitty jest zabawna i ma prawdziwy charakter.

– Cześć, Kitty, cześć, Annie! Widzę, że pomalowałyście każdy paznokieć na inny kolor! Cóż za zabawny pomysł!

Dziewczęta uśmiechnęły się do niego z zadowoleniem.

– Dysponowałyśmy niewielką gamą odcieni – usprawiedliwiała się Annie. – Nie miałyśmy koloru niebieskiego ani czarnego.

– Same róże i czerwienie. – Kitty z dezaprobatą zmarszczyła brwi.

– Och, bardzo mi przykro – odrzekła z sarkazmem Ria.

Słowa te zostały wypowiedziane zbyt ostrym tonem i zabrzmiała w nich gorycz. Ria chciała być zabawna, ale zapewne

została opacznie zrozumiana. Zirytowała ją obecna upokarzająca sytuacja. Nie dość, że te dwie smarkule dokładnie przetrząsnęły jej szufladę z kosmetykami, to jeszcze ów fakt miał

schlebiać Rii, a jednocześnie budzić w niej poczucie winy, gdyż nie posiadała lakierów do paznokci w należytej gamie kolorów. Dziewczęta wzruszyły ramionami i spojrzały na pana domu, szukając u niego poparcia.

– Brian w łóżku? – spytała oschle Ria, zanim mąż zdążył

się odezwać i pogorszyć sprawę.

– Nie, wziął samochód i razem z kumplami pojechali zajrzeć do kilku nocnych klubów – odparła córka.

– Annie, jak możesz odzywać się do mnie w ten sposób?

– Och, mam, a czego ode mnie oczekujesz? Nie sądzisz chyba, że ja albo Kitty wiemy, co on teraz robi. Albo że nas to cokolwiek obchodzi.

Jej przyjaciółka postanowiła ratować sytuację.

– Proszę się nie martwić o syna, pani Lynch. Poszedł o dziewiątej do łóżka. Śpi smacznie pod kołdrą, zapewniam pa-nią. – Usiłowała obsadzić Rię w roli gderającej, starej matki, która nie potrafi niczego zrozumieć.

– Oczywiście, że już śpi od dawna, Rio. – Danny na równi z dziewczętami protekcyjnie poklepywał ją po głowie.

– Czy miło spędziliście wieczór? – zwróciła się Annie do ojca, nie dlatego, że była ciekawa odpowiedzi, ale ponieważ chciała ukarać matkę.

– Tak, było bardzo sympatycznie. Bez zamieszania oraz zbytcej krzątaniny.

– Ach tak. – Nawet w obecnym nastroju i mając wielką chęć dokuczyć matce, Annie nie potrafiła okazać należytego entuzjazmu.

Ria postanowiła nie zauważać drażliwości, z jaką córka ostatnio na wszystko reaguje. Zbagatelizowała wydarzenia 242

dzisiejszego wieczora.

– No cóż, przypuszczam, że najwyższa pora, abyście już poszły spać. Czy Kitty zostaje u nas na noc?

– Dzisiaj jest sobota, mamó. Chyba wiesz, że jutro nie idziemy do szkoły?

– Musimy jeszcze trochę posiedzieć w pozycji wyprosto-wanej. – Głos Kitty miał błagalne i przymilne brzmienie, jak gdyby dziewczyna obawiała się, że pani Lynch może jej wymierzyć klapsa.

– Nie ma potrzeby, żebyście to robiły – powiedział Danny z uśmiechem.

Starął się im schlebić, nie mogły jednak wziąć jego zapewnienia za dobrą monetę. W końcu był tylko zaślepionym, starzejącym się ojcem.

– Och tato, musimy jeszcze trochę wytrzymać.

– Niech pan się do nas przyłączy, zobaczymy, co każą nam robić dalej.

Ria stała, uśmiechając się sztywno, i przyglądała się mę-

zowi, który razem z dwiema nastolatkami wykonywał idiotyczne ćwiczenia, starając się wciągnąć swój płaski brzuch.

Upadli we trójkę na kanapę, śmiejąc się z własnych wysiłków.

Nie przyłączyła się do nich ani nie wyszła z pokoju. Prawdopodobnie trwało to około dziesięciu minut, lecz miała wrażenie, że upłynęły dwie godziny. Potem nie było już miłej pogawędki w kuchni ani też szansy na zbliżenie, kiedy udali się na górę. Danny oświadczył, że musi wziąć prysznic. Jest ostatnio w kiepskiej formie i bez kondycji, skoro kilka minut prostych ćwiczeń zważyło go z nóg,

narzekał.

- Naprawdę zaczynam się zmieniać w bryłę starej słoniny
- stwierdził na końcu.
- Mylisz się, jesteś piękny – powiedziała szczerze, kiedy się rozebrał.

243

Pragnęła, żeby od razu położył się do łóżka, poszedł jednak wziąć prysznic i wrócił w pidżamie; oznaczało to, że dzisiejszej nocy nie będą się kochać. Tuż przed zaśnięciem Ria usiłowała sobie przypomnieć, kiedy ostatnio to robili. Bardzo dawno temu. Nie zamierzała jednak jeszcze tym się teraz przejmować. Oboje byli zbyt zapracowani. Przez podobne okresy przechodziła większość małżeństw, a potem wszystko wracało do normy.

W niedzielę Danny wyszedł na cały dzień. Klienci szukali nowych mieszkań, a jego agencja koncentrowała się na profesjonalnym przygotowaniu rynku dla młodych nabywców.

Właściciele firm budowlanych uważali, że uwzględnianie w projektach mieszkaniowych klubów gimnastycznych i barów tylko wtedy ma sens, kiedy młodzi samotni ludzie mogą spotykać w tych miejscach osoby o podobnych upodobaniach.

Danny musiał opracować właściwą politykę sprzedaży. I raczej nie było szansy na to, żeby zdążył wrócić na lunch.

Brian wybierał się do domu Dekka, gdyż dzisiaj odbywały się tam chrzciny. Dekko nie zamierzał uczestniczyć w uroczystości, ale miała przyjechać babcia, a także znajomi z pracy mamy i taty i z jakiegoś powodu wszystkim zależało na jego obecności. Na koniec zostało ustalone, że jeżeli Myles i Brian włożą czyste koszule i będą roznosić tace z kanapkami, każdy z nich otrzyma po pięć funtów.

– To mnóstwo forsy – zauważył z powagą Dekko. – Chyba postradali zmysły, skoro są gotowi wydać piętnaście funtów tylko po to, żebyśmy zostali na przyjęciu.

– Normalni ludzie byliby gotowi zapłacić piętnaście funtów za pozbycie się nas – zauważył Brian.

– W domu, w którym urodzi się małe dziecko, nie ma normalnych ludzi – stwierdził Dekko z miną mędrca i wszyscy trzej westchnęli.

244

Annie oświadczyła, że obie z Kitty wybierają się na organizowane w ich szkole forum kariery, o którym wszystkich uprzedzała od dawna, tylko nikt jej nie słuchał.

– Dotychczas nie byłaś zainteresowana tego typu zebra-niami – zauważyła Ria.

– Dlatego, że były poświęcone zagadnieniom bankowości, ubezpieczeń, prawa oraz innym tego

rodzaju okropnym rze-czom. – Annie dziwiła się, że matka nie potrafi pojąć tak oczywistych spraw.

– A co jest tematem dzisiejszego forum, że musisz w nim uczestniczyć?

– Prawdziwe kariery w przemyśle rozrywkowym i świecie mody.

– A co z twoim lunchem, Annie? Rozmroziłam cały udziec jagnięcy i wygląda na to, że nie będzie miał go kto zjeść.

– Tylko ty, mamó, jesteś zdolna do tego, ażeby stawiać na równi problem jakiegoś starego baraniego udźca z przyszłością własnej córki! – Rozzłoszczona wypadła jak burza z pokoju.

Ria zatelefonowała do matki.

– Nie bądź śmieszna, Rio. Sądzisz, że rzucę wszystko i przyjdę do ciebie tylko po to, aby zjeść ogromne ilości czer-wonego mięsa? Dlaczego nie upewniłaś się, zanim rozmroziłaś ten udziec, czy twoja rodzina będzie w komplecie na lunchu?

To typowe dla ciebie. Nigdy zawczasu o niczym nie pomyślisz.

Ria zadzwoniła do Gertie. Jack odebrał telefon.

– Słucham?

– Och... dzień dobry, Jack... mówi Ria Lynch.

– Myślisz, że nie wiem? Czego chcesz?

– Chciałam porozmawiać z Gertie.

– Po to, jak sądzę, ażeby ją naszpikować mnóstwem femi-nistycznych bredni.

– Nie, zamierzałam ją tylko zaprosić na lunch.

245

– Nie możemy przyjść.

– Może ona zdoła się wyrwać do mnie na moment.

– Nie, nie licz na to...

– Chciałabym z nią o tym porozmawiać, Jack.

– Mało mnie to obchodzi... Usłyszała odgłosy szamotani-ny.

– Ria? Mówi Gertie... Przykro mi, ale nie mogę pójść.

– Dokąd?

– Tam, gdzie mnie zapraszasz... Przepraszam, ale to niemożliwe.

– Chciałam ci tylko zaproponować wspólny lunch, Gertie, cholerny jagnięcy udziec.

W słuchawce rozległo się łkanie.

– Jeśli to rzeczywiście wszystko, co miałaś mi do powiedzenia, to po co, do diabła, telefonujesz i narażasz mnie na kłopoty?

– Tu mieszkanie Hilary i Martina. Po usłyszeniu sygnału proszę zostawić wiadomość.

– Mówi Ria. Nie mam do przekazania żadnej wiadomości.

Skoro o dziesiątej rano w niedzielę jesteście poza domem, prawdopodobnie nie mogę liczyć na to, że wrócicie przed lunchem.

Zatelefonowała do Colma Barry'ego, który niedzielne przedpołudnia spędzał zwykle w swoim pokoju nad restauracją. Tłumaczył, że korzysta ze spokoju i ciszy, ażeby popracować nad księgowością i odbębnić całą papierkową robotę.

– Halo? – Siostra Colma, Caroline, zawsze mówiła tak cicho, że trzeba było dobrze nadstawiać ucha, ażeby ją usłyszeć.

Wyjaśniła, że brat wyszedł dokądś w jakichś sprawach. Jej słowa zabrzmiały tak nieprzekonująco, że Ria zaczęła się zastanawiać, czy Colm przypadkiem nie stoi obok i nie sygnali-246

zuje jej na migi, że nie podejdzie do telefonu.

– Nieważne. Chciałam go tylko zapytać, czy nie miałby ochoty przyjść do mnie na lunch.

– Na lunch? Dzisiaj? – Caroline zabarwiła oba słowa zdumiewającą dozą niedowierzania.

– Tak.

– W gronie twojej rodziny?

– No cóż, tak.

– Czyżby był zaproszony wcześniej i zapomniał?

– Nie, to taka spontaniczna decyzja. Ty również jesteś zaproszona, jeśli nie masz żadnych zajęć.

Caroline najwyraźniej nie mogła pojąć owej propozycji.

– Lunch? Dzisiaj? – spytała, używając tych samych słów co przedtem i Ria miała ochotę mocno ją trzasnąć.

– Nieważne.

– Colmowi na pewno będzie przykro, że nie mógł skorzystać z zaproszenia. Bardzo lubi u was bywać, ale... on...

– Wiem, załatwia jakieś sprawy poza domem. – Ria czuła, że w jej głosie brzmi nadmierne rozdrażnienie. – A czy ty, przypadkiem, nie masz wolnego czasu, Caroline? Może wpa-dlibyście do mnie z mężem? – Żarliwie pragnęła, ażeby byli zajęci. I dopisało jej szczęście.

– Przykro mi, Rio. Nie potrafię wyrazić jak bardzo, ale dzisiaj to niemożliwe. Innym razem chętnie skorzystamy z zaproszenia.

– W porządku, Caroline. Zawiadomiłam was w ostatniej chwili. – I odłożyła słuchawkę.

Zadzwonił telefon i Ria odebrała go pełna nadziei.

– Ria? Mówi Barney McCarthy.

– Och, Barney? Danny właśnie wyszedł na spotkanie z to-bą.

247

– Już wyszedł?

– Tak, opracowuje plan sprzedaży nowych mieszkań o wysokim standardzie.

– Och tak, oczywiście.

– Nie dzwoniś z biura?

– Nie, zatrzymały mnie pewne sprawy. Gdyby telefonował, powiedz mu, że skontaktuję się z nim nieco później.

– Dobrze.

– Wszystko w porządku, Rio?

– W najlepszym – skłamała.

Czy miała upiec ten nieszczęsny udziec, aby potem, gdy wszyscy wrócą, podać go na zimno z sałata? Gertie twierdziła, że produkty żywnościowe można zamrażać z powrotem, jeśli całkiem nie rozmarzły. Ale co Gertie mogła o tym wiedzieć?

Colm znał się na przechowywaniu żywności i podpowiedziałby jej, co powinna zrobić, był jednak poza domem, jak utrzymywała jego rozkojarzona siostra. Rosemary również potrafiłaby jej doradzić, lecz Ria nie miała ochoty o nic jej pytać. Czy rzeczywiście stawała się nudna, jak utrzymywała Annie? I bezmyślna, jak sugerowała matka? Ria pojmowała teraz, dlaczego ludziom żyjącym

samotnie niedziele wyjątkowo się dłużej. By-

łoby inaczej, gdyby zdecydowali się na jeszcze jedno dziecko...

wtedy dzień miałby za mało godzin.

Brian pochorował się na chrzcinach. Nazajutrz biadolił, że czuje się podle i prosił rodziców, aby mu pozwolili nie pójść do szkoły. Był przekonany, że Dekko i Myles mają bardziej wyrozumiałe rodziny, które nie zmuszają do wyjścia z domu ludzi niezdrowych i w wyjątkowo kiepskiej formie. Annie twierdziła, że to kara za picie szampana, który zapewne był

powodem ich niedyspozycji. Brian, czerwony na twarzy ze złości, oświadczył, że siostra nie ma żadnych wiarygodnych dowodów na potwierdzenie swoich zarzutów. I że próbuje do-248

prowadzić do konfliktu, aby w ten sposób odwrócić uwagę rodziców od własnego późnego powrotu do domu i niepokoju, jaki tym wywołała.

– Dyskutowałam o mojej karierze, przyszłości i pracy – o sprawach nieosiągalnych dla takiego alkoholika jak ty –

oświadczyła lodowatym tonem dziewczyna, zwracając się do brata.

Ria próbowała przywrócić spokój, na próżno jednak szukała wzrokiem wsparcia u Danny'ego, który siedział z głową w materiałach poświęconych budowie nowych obiektów mieszkalnych. Wczoraj wieczorem po powrocie do domu był zmę-

czony, zbyt zmęczony, ażeby zareagować na jej gest, kiedy w łóżku wyciągnęła doń rękę. Oświadczył, że ma za sobą wyjątkowo ciężki dzień. Ria również miała za sobą ciężki dzień, który upłynął jej na pchaniu po całym parterze ciężkiej cykliniarki, na nic się jednak nie uskarżała. A teraz znowu znaleźli się na dobrze znanym gruncie; w swojej przestronnej, słonecznej kuchni podczas hałaśliwego śniadania, od którego każda prawdziwa rodzina wspólnie rozpoczynała nowy tydzień.

Zanim wszyscy byli gotowi do wyjścia, sprzeczki ucichły.

Brian doszedł do wniosku, że najwyraźniej nie wymiga się od szkoły i uznał, że być może świeże powietrze dobrze mu zrobi.

Powtórzył raz jeszcze, że nikt nie ma żadnego dowodu na to, iż pił alkohol. Annie zgodziła się, że rzeczywiście powinna była zatelefonować i zawiadomić rodziców o przedłużeniu się dyskusji, nie przypuszczała jednak, że ktoś będzie na nią czekał.

Naprawdę.

Danny niechętnie powlókł się do swego świata mieszkań własnościowych.

– W dzisiejszych czasach nie można niczego sprzedać z wykładzinami od ściany do ściany – oświadczył. – Każdy musi mieć teraz piękną dębową podłogę. Nikt nie bierze pod uwagę 249

lokali mieszkalnych, które nie spełniają tego warunku. Skąd nasze społeczeństwo ma tyle pieniędzy? Chyba nie pojmę tego do samej śmierci.

– Od tego momentu dzieli cię wiele lat. Mam jeszcze przedtem w związku z tobą wielkie plany – odrzekła ze śmiechem Ria.

– A ja mam nadzieję, że nie dotyczą dzisiejszego wieczora.

Muszę być na kolacji z kilkoma właścicielami firm budowlanych.

– Och nie! Znowu?

– Niestety tak. I jeszcze wiele razy, póki nasze plany nie zostaną ostatecznie uzgodnione. Czy agenci handlu nieruchomościami, którzy się uchylają od spotkań promocyjnych, mogą liczyć na zaufanie klientów?

Ria skrzywiła się z rezygnacją.

– Rozumiem. No cóż, przecież to długo nie potrwa.

– Co masz na myśli?

– Te wszystkie mieszkania zostaną w końcu sprzedane, prawda? Czy nie do tego zmierza wasza działalność?

– W tej fazie... tak, ale to dopiero wstępny etap. Pamiętajtasz? Dyskutowaliśmy o tym w sobotę z Barneyem.

– Czy znalazł cię wczoraj?

– Nie, a dlaczego pytasz?

– Zatrzymały go jakieś sprawy. Powiedziałam mu, że jesteś w biurze.

– Cały dzień upłynął mi na rozmowach. Przypuszczam, że ktoś odebrał wiadomość. Przekażą mi ją, gdy przyjdę do pracy.

Zatelefonuję do niego.

– Zbyt ciężko pracujesz, Danny.

– Ty też. – Uśmiechnął się ze współczuciem. – Sprowadziłem do domu cykliniarkę i okazało się, że to ty musiałaś wykonać prawie całą robotę.

– Czy nadal uważasz, że teraz nasze podłogi lepiej wyglą-

dają? – spytała bez przekonania.

– Z całą pewnością, kochanie. Wartość domu wzrosła o kilka tysięcy i to podczas jednego weekendu. A kiedy zagoni-my dzieci do roboty i razem z nimi odczyścimy również pod-

łogi na piętrze, ten budynek będzie wart prawdziwą fortunę.

– Ale przecież nie zamierzamy sprzedawać naszego domu, prawda? – upewniła się Ria, wzmagając czujność.

– Oczywiście, że nie. Mówię tak na wypadek, gdybyśmy pewnego dnia, kiedy będziemy już starzy i siwi, zapragnęli zamieszkać w miłym mieszkanku gdzieś nad morzem albo na planecie Mars. – Potargał dłonią jej kręcone włosy i wyszedł.

Ria uśmiechnęła się do siebie. Życie znowu było takie jak dawniej.

– R-i-i-a?

– Dzień dobry, mamo. A gdzie się podział Kleszcz?

– Rozumiem. Rozmowa z matką zupełnie się dla ciebie nie liczy. Ważny jest tylko pies.

– Spodziewałam się, że będzie ci towarzyszył, to wszystko.

– Twoja przyjaciółka, Gertie, wyprowadziła go na poranny spacer. Poszedł trochę pobiegać nad kanałem.

– Gertie?

– Powiedziała, że pasterskie psy, jak mój, muszą się wy-biegać i potrzebują więcej ruchu. A ja, chociaż wciąż jestem w dość dobrej formie, nie zamierzam już podejmować takich wy-siłków dla Kleszcza, więc Gertie zaoferowała swoją pomoc.

Ria była zdumiona. Przecież w ostatnich dniach przyjaciółka ledwie chodziła, żyjąc w nieustannym strachu przed swoim mężem pijakiem, więc jak mogła biegać? Matka jednak przestała się interesować tym tematem.

– Przechodziłam akurat koło waszego domu i tylko wpadłam przypomnieć Annie, że jesteśmy umówione na siódmą 251

wieczorem.

– Dokąd się wybieracie?

– Zabieram Annie wraz z jej przyjaciółką, Kitty, do Świętej Rity. Kitty chce zgłębiać tajniki gry w brydza.

Rii zawirowało w głowie.

– Ależ oni o tej porze mają kolację.

– Ludzie, którzy tam mieszkają, są mili, normalni i towarzyscy. Uważają, jak przypuszczam, że istnieją ważniejsze sprawy niż jedzenie – odpowiedziała matka i usiadła przy stole, czekając na kawę.

Zachmurzona niczym burza gradowa twarz Nory sugerowała, że Ria nie jest ani miła, ani normalna i że nie lubi się z nikim spotykać.

W chwili kiedy pralka zaczęła wirować i szumieć, zatelefonowała Rosemary.

– O Boże, Rio, jak ja ci zazdroszczę, że możesz odpoczywać we własnym domu, podczas gdy ja muszę tkwić w pracy.

– Tak nam się ułożyło życie. – Ria czuła, że z największym trudem panuje nad swoim głosem. Bez żadnego powodu stała się opryskliwa. Pośpiesznie starała się zatrzeć niemiłe wrażenie, jakie mogły wywołać jej słowa. – Zawsze uważamy, że dobrze jest wszędzie tam, gdzie nas nie ma. Kiedy zbieram z podłogi różne porozrzucane rzeczy, często myślę z zazdrością o tobie, że pracujesz zawodowo i przebywasz poza domem.

– Przesadzasz. To niemożliwe, żebyś w ten sposób myślała.

– Dlaczego tak sądzisz?

– Ponieważ gdybyś rzeczywiście czuła się więźniem we własnym domu, znalazłabyś sobie jakąś pracę. Dzwonię, żeby cię zawiadomić, że dzisiaj rano widziałam Jacka w samochodzie policyjnym. Został zatrzymany za zakłócanie porządku publicznego przed jednym z pubów. Uznałam, że powinnaś o 252

tym wiedzieć. Jeśli aktualnie nie masz nic innego do roboty, możesz sprawdzić, czy zdążył stłuc Gertie na kwaśne jabłko.

– Jest cała i zdrowa. Wyprowadziła właśnie na spacer psa mojej matki.

– Mówisz poważnie? Ludzie są zdumiewający. – Rosemary najwyraźniej ucieszyły te zaskakujące wieści. – Chyba nie robi tego dla pieniędzy?

– Nie przypuszczam. Matka powiedziała mi, gdyby Gertie wyświadczała jej tę przysługę odpłatnie.

– A zatem wszystko w porządku, skoro nie chodzi jej o parę funtów, za które Jack mógłby sobie kupić kilka drinków, kiedy zostanie wypuszczony z aresztu.

– Pani Lynch?

– Tak, słucham. – Przez cały dzień działy się dziwne rzeczy.

– Żona Danny’ego Lyncha?

– Tak, to ja.

– Och, przepraszam. Chyba pomyliłam numer.

– Ależ nie, mówi Ria Lynch. – Ale połączenie zostało przerwane.

W tym samym momencie zatelefonowała Hilary.

– Twój nagrany głos brzmiał tak smutno, że przywodził na myśl Matkę Boską Bolesną – oświadczyła siostra.

– Powiedziałam tylko, że nie mam nic do przekazania.

Obie stwierdziłyśmy kiedyś, że ludzi, którzy nie zostawiają żadnych wiadomości, powinno się wieszać.

– Nadal twierdzę, że zakup automatycznej sekretarki był

wyrzuceniem pieniędzy w błoto. Czy ktoś kiedykolwiek do nas telefonuje? Albo czy zostawia jakieś oczekiwane przez nas wiadomości?

– Dziękuję, Hilary.

253

Ów sarkazm pozostał jednak niezauważony.

– O czym chciałaś ze mną porozmawiać? Pewnie o mamie?

– Wcale nie.

– Naprawdę miewa coraz bardziej zwariowane pomysły.

Ty tego nie zauważasz, ponieważ jest ci tak wygodniej. Zawsze pragniesz wierzyć w to, że wszystko wygląda wspaniale: na świecie nie istnieje problem głodu, nie ma wojen, wszyscy politycy są uczciwi i mają szlachetne intencje, a w naszym kraju panuje wspaniały klimat.

– Telefonujesz po to, ażeby zaatakować mnie na wszystkich frontach czy w jakimś konkretnym celu?

– Bardzo śmieszne. Wracając do mamy, martwię się o nią.

– Nie rozumiem dlaczego? Rozmawialiśmy już o tym wiele razy. Jest zdrowa i w dobrej formie, ma mnóstwo zajęć i czuje się szczęśliwa.

- No cóż, powinna się jeszcze czuć potrzebna we własnej rodzinie.
- Ależ nie ma powodu, ażeby się uskarżać. Czyż codziennie nas nie odwiedza? A czasami nawet przychodzi dwa razy w ciągu dnia. Zapraszam ją na posiłki, proponuję pozostanie u nas na noc. Częściej wychodzi dokądś z Annie i z Brianem niż ja...
- Zarzucasz mi teraz, jak sędzę, że poświęcam jej zbyt mało czasu?
- Nic takiego nie powiedziałam. Matka nie może wprost się nachwalić ciebie i Martina za dobroć, jaką jej okazujecie.
- No cóż, możliwe.
- Więc co cię naprawdę niepokoi?
- To, że próbuje sprzedać swój dom. Zaległo milczenie.
- Mylisz się, Hilary, nic o tym nie wspominała Danny’emu.

254

- Być może nie zamierza korzystać z jego pośrednictwa.
 - A do kogo innego miałaby się z tym zwrócić? Nie, Hilary, musiałaś źle zrozumieć jej zamiar.
 - Zobaczymy – odpowiedziała siostra i odłożyła słuchawkę.
 - Skarbie?
 - Tak, Danny?
 - Czy nikt mnie nie szukał w domu? Mam na myśli pewną dziwną kobietę?
 - Nie, nikt. Dlaczego pytasz?
 - Och przeprowadziłem kilka nieprzyjemnych rozmów z jakąś wariatką w sprawie kupna mieszkania. Twierdzi, że nie została przez nas należycie obsłużona... całkowita paranoja.
- Telefonuje do prywatnych mieszkań wszystkich pracowników agencji.
- Dzwoniła jakaś kobieta, ale nie zostawiła żadnej wiadomości. To mogła być ona.
 - Czy coś mówiła?
 - Nie. Sprawdziała tylko, kim jestem.
 - I jak jej się przedstawiłaś?

Nagle Ria straciła cierpliwość. To był bardzo stresujący weekend, a w dodatku wypełniony głupimi, niepowiązаныmi ze sobą wydarzeniami, w których nie mogła doszukać się sensu.

– Powiedziała jej, że jestem seryjnym mordercą, wymachującym siekierą – prychnęła. – Na miłość boską, Danny, a jak jej się miałam przedstawić? Spytała, czy rozmawia z panią Lynch, a kiedy odpowiedziałam twierdząco, oświadczyła, że pomyliła numer i odłożyła słuchawkę.

– Zawiadomię policję o tych dokuczliwych telefonach.

– Mówisz, że wydzwania również do biura? Czy znasz jej 255

nazwisko?

– Posłuchaj, skarbie, wrócę dzisiaj późno, uprzedzałem cię, pamiętasz?

– Tak, wiem, służbowa kolacja.

– Muszę pędzić, skarbie.

Zwracał się w ten sposób do wszystkich kobiet i w okre-

śleniu tym nie było nic nadzwyczajnego. To śmieszne, że musiała ustalać termin spotkania z własnym mężem w celu przedyskutowania sprawy powiększenia rodziny, a potem ponownie się z nim umówić, gdyby uznali jej pomysł za dobry.

O siódmej wypita kubek zupy i zjadła grzanekę. To była jej cała kolacja. Siedziała sama w swojej ogromnej kuchni. Szalejący kwietniowy wiatr szarpał ubraniami rozwieszonymi na sznurze, Ria nie zamierzała ich jednak zdejmować. Brian poszedł odrabiać lekcje do domu Dekka, Annie po brydżu u Świętej Rity wybierała się na pizzę ze swoją babką, z którą zdecydowanie bardziej wolą spędzać czas niż z matką. Brian był nawet gotów dzielić pokój z niepożądanym małym bratem swojego kolegi, byleby tylko nie zostać we własnym domu.

Colm Barry pomachał Rii z ogrodu, nim poszedł do swojej restauracji. Rosemary zapewne była u siebie i przygotowywała do zjedzenia coś, co wymagało minimum wysiłku. Jej druga przyjaciółka, Gertie, unikała swojego męża alkoholika, spacerując całymi dniami z cudacznym psem; w każdym razie tak utrzymywała matka Rii. Jak doszło do tego... że wszystkie pi- skłeta wyfrunęły nagle z gniazda? Dlaczego teraz stale nikogo nie ma w domu?

Wszyscy zeszli się razem w chwili, kiedy się tego najmniej spodziewała. Annie i Nora śmiały się, jak gdyby były rówie-

śniczkami. Dzieliło je pół wieku, a pomimo to czuły się swobodnie w swoim towarzystwie i dobrze się rozumiały. Dziew-256

czynka stwierdziła, że starsze panie są ogromnie zabawne. Zamierzały jej pożyczyć autentyczne ubrania z lat pięćdziesią-

tych, w tym również jedno śmieszne sztuczne futro. A kilka pensjonariuszek wybrało się nawet razem z nimi do pizzerii.

– Mogą opuszczać zakład? – zdumiała się Ria.

– To nie więzienie, Rio, tylko dom starców. I ci, którzy zdołali się tam dostać, są prawdziwymi szczęściarzami.

– Ale ty jesteś jeszcze za młoda na to, aby zamieszkać w takim miejscu, prawda? O wiele za młoda – upewniała się Ria.

– Mówię ogólnie. – Matka przybrała wyniosłą pozę.

– A więc nie zamierzasz tam się przenieść? Norę zdumiało pytanie córki.

– Cóż to, przesłuchujesz mnie? – zachnęła się gwałtownie.

– Och, mamó, na miłość boską! Czy ty zawsze musisz wszczynać awantury? – jęknęła Annie.

Do kuchni wszedł Brian. Wyraźnie ucieszył się na widok babki, lecz nie wydawał się zdziwiony jej obecnością.

– Widziałem Kleszcza przywiązanego do furtki, więc do-myśliłem się, że jesteś.

– Kleszcz? Przywiązany do furtki? – Matka Rii wypadła z domu jak strzała. – Biedny, kochany piesku, dlaczego ona cię porzuciła?

Dobiegł ich odgłos samochodu. Wrócił Danny. Niespodziewanie wcześniej.

– Tato! Tato! Czy wiesz, gdzie mogę znaleźć kolory flag: włoskiej, węgierskiej i indyjskiej? Ojciec Dekka nie wiedział, gdzie ich szukać. Byłoby wspaniale, gdybyś mógł mi pomóc.

– Ta twoja przyjaciółka jest jeszcze bardziej roztrzepana niż ty, Rio. – Nora Johnson nadal irytowała się z powodu psa.

– Wyobraź sobie, Gertie zostawiła Kleszcza przywiązanego do furtki – zwróciła się do zięcia. – Kto wie, od ilu godzin tam tkwił?

257

– Przyszliśmy zaledwie przed kilkoma minutami, babciu, i jeszcze go tam nie było – odezwała się pojednawczo Annie.

– Widziałem przed chwilą Gertie, jak biegła ulicą. – Danny również starał się uspokoić teściową. – Dlaczego nie ma jedzenia na stole?

– Wszyscy jedli poza domem. – W głosie Rii zabrzmiało znużenie i przygnębienie. – Ty też

powiedziałaś, że wybierasz się na służbową kolację.

– Odwołałem spotkanie. – Był pełen entuzjazmu jak dziecko. Ria wpadła na doskonały pomysł.

– Dlaczego nie mielibyśmy się wybrać we dwójkę do restauracji Colma?

– Och, sam nie wiem... Mogę zjeść cokolwiek...

– Nie, mam wielką ochotę tam iść, naprawdę. Sprawi mi to ogromną przyjemność.

– Kolacja u Colma każdemu sprawiłaby wielką przyjemność – prychnęła Annie. – Większą niż pizza.

– Oraz parówki u Dekka – burknął Brian.

– Żałuję, że mnie nie stać na kolację w czterogwiazdkowej restauracji, kiedy nie mam nastroju do gotowania – zauważyła z goryczą matka Rii.

– Zatelefonuję do Colma i zarezerwuję stolik. – Ria zerwała się na równe nogi.

– Prawdę mówiąc, skarbie, wolałbym zjeść coś w domu....

cokolwiek... może być stek albo omlet...

– Dlaczego masz się zadowalać byle czym? Tobie też coś się należy od życia.

– Zbyt często stołuję się w restauracjach. Posiłek w domu sprawi mi większą przyjemność – błagał.

Ria jednak trzymała już słuchawkę przy uchu i rezerwowała miejsce. A potem lekko wbiegła po schodach na górę, przebrała się w czarną sukienkę i włożyła złoty naszyjnik.

258

Najchętniej wzięłaby kąpiel i poświęciła swojemu wyglądowi więcej czasu, wiedziała jednak, że musi kuć żelazo, póki gorą-

ce. Oto nadarzała się wspaniała okazja, by porozmawiać z mę-

żem o planach na przyszłość. Musiała działać szybko, zanim matka albo córka zdążą wyświadczyć jej niedźwiedzią przysługę i postawią przed Dannym parówki oraz fasolę z puszki.

Idąc obok siebie wzdłuż Tara Road, dotarli do rogu. Światła restauracji Colma nęciły ich swoim blaskiem. Ria podziwiała sposób oświetlenia lokalu: nie można było rozpoznać poszczególnych osób, a przechodzień odnosił wrażenie, że goście siedzą razem. Z zadowoleniem dostrzegła, że nawet w poniedziałkowy wieczór wszystkie stoliki u Colma są zajęte.

Przykro byłoby, gdyby pomimo ugotowanych potraw, błyszczącej zastawy i sreber lokal świecił pustkami. Oto powód, dla którego ona sama nigdy nie chciała prowadzić własnej restauracji –

czułaby się przygnębiona, gdyby klienci zawiedli.

– Widzę niewiele samochodów przed lokalem – stwierdził

Danny, przerywając jej myśli. – Ciekaw jestem, jak Colm może się utrzymać z prowadzenia tej restauracji.

– Uwielbia gotować – odparła Ria.

– Całe szczęście, ponieważ sądząc po dzisiejszej frekwencji, nie może liczyć na wielkie zyski.

Ria nie znosiła, kiedy Danny sprowadzał każdą sprawę do pieniędzy. Miała ostatnio wrażenie, że mąż ocenia wszystko przez pryzmat wyników finansowych.

Caroline odebrała od nich płaszcze. Nosiła elegancką czarną sukienkę, a na głowie zawiązała czarny turban, który całkiem zakrywał jej włosy. Ria doszła do wniosku, że tylko kobieta o klasycznych rysach może sobie pozwolić na tak surową kreację.

– Wyglądasz dzisiaj bardzo szykownie, Caroline. A turban 259

jest bardzo oryginalnym dopełnieniem stroju. – Wydawało się jej, że tamta dotknęła obronnym gestem policzka, lecz nie była tego pewna.

– No cóż, pomyślałam, że może... – nie dokończyła zdania.

Wczoraj tak dziwnie rozmawiała przez telefon, że Ria zastanawiała się, czy nie dzieje się z nią coś niedobrego. I dzisiejszego wieczora także, pomimo pogodnego uśmiechu i płynnych ruchów, gdy prowadziła ich do stolika, w jej postawie kryła się osobliwa rezerwa i napięcie. Wraz z bratem stanowili dziwną parę: Caroline ze swoim otyłym mężem, Montem Mackeyem, który zawsze nosił sztywne garnitury i jeździł

coraz bardziej ekskluzywnymi samochodami – oraz Colm, utrzymujący dyskretne związki z tajemniczymi kobietami.

Obecnie miał romans z żoną pewnego dobrze znanego biznesmena, lecz nikt nigdy o tym nie wspominał. Colm i Caroline sprawiali wrażenie, że czuwają nad sobą nawzajem – jak gdyby mieli świadomość, iż któreś z nich spotka życiowy zawód.

Ria bardzo pragnęłaby, ażeby jej stosunki z Hilary cechowała podobna lojalność. Siostra była jednak kobietą o skomplikowanej naturze; wybuchała gniewem, bywała nieczuła, często okazywała zazdrość i złośliwość, czasami zaś zdobywa-

ła się na zdumiewającą wyrozumiałość. Nigdy jednak nie tworzyły tak zwartej frontu jak Colm i Caroline.

– Błądzisz gdzieś daleko myślami – zauważył Danny.

Spojrzała na swojego przystojnego męża, który pomimo widocznego na twarzy zmęczenia nadal miał chłopięcy wygląd.

Danny uważnie studiował jadłospis, zastanawiając się, czy zamówić chrupiącą kaczkę czy też zachować rozsądek i przez wzgląd na zdrowie zdecydować się na solę z rożna. Miał jednak decyzję wypisaną na twarzy.

– Myślałam o Hilary.

– A co tym razem przeskrobała?

260

– Nic. Może tylko mam jej za złe to, że z wszystkiego wy-ciąga błędne wnioski. Przebąkiwała coś o tobie, o mamie i za-miarze sprzedania domu.

– A ty co jej powiedziałaś?

– Znasz Hilary i wiesz, że ona nigdy nie słucha, co się do niej mówi.

– Uprzedziła cię, że chcę sprzedać dom?

– Stwierdziła, że matka nie zawiadomiła cię nawet o tym, że szuka nabywcy na dom.

– Nie rozumiem.

– A czy ktoś byłby w stanie to pojąć? Wygaduje jakieś nonsensy.

– Chodzi o dom twojej matki. Rozumiem!

– A więc rozumiesz więcej ode mnie. To wszystko nie trzyma się kupy!

Colm podszedł do ich stolika, ażeby się z nimi przywitać.

Zawsze przestrzegał zasady, aby nie zabierać gościom więcej niż czterdzieści sekund, a w tym czasie przekazać im możliwie jak najwięcej ciepła i informacji.

– Poleciłbym pieczeń jagnięcą „Wicklow”. Mamy też świeże ryby, kupione dzisiaj rano w porcie prosto z łodzi. Warzywa, jak wiecie, pochodzą z najlepszego ogrodu w całym kraju i proponowałbym kabaczki, jeśli się jeszcze wam nie znudziły. Czy mogę was poczęstować na powitanie lampką szampana? A potem zniknę wam z oczu, ażeby nie zakłócać chwili prywatności.

Barry powiedział kiedyś Rii, że zbyt wielu właścicieli restauracji popełnia ogromny błąd, uważając, że goście są zachwyceni, kiedy gospodarz lokalu tkwi bez końca przy ich stoliku. Zawsze był zdania, że jeśli ludzie decydują się na posiłek poza domem i chcą spędzić czas w swoim towarzystwie, powinno im się to umożliwić. Dzisiejszego wieczora Ria szcze-261

gólnie wysoko ceniła ów pogląd.

Wybrała pieczeń jagnięcą. Danny uznał, że skoro ostatnio spał się jak głupiec, musi się zadowolić zwykłą rybą z rusztu w sosie śmietanowym z cytryną.

– Nie masz powodu, by martwić się o swoją sylwetkę, Danny, jesteś piękny. Powiedziałam ci to już któregoś wieczora.

Był najwyraźniej zakłopotany.

– Mężczyzna nie może być piękny, skarbie.

– A właśnie, że może. Ty jesteś. – Wyciągnęła rękę i dotknęła jego dłoni. Rozejrzył się wokoło z zakłopotaniem.

– Wszystko w porządku, możemy się trzymać za ręce, jesteśmy małżeństwem. To para, która siedzi przy tamtym stoliku, powinna mieć się na baczności. – Roześmiała się na widok starszego mężczyzny, który pozwalał sobie na bardzo swo-bodne gesty wobec znacznie młodszej od siebie towarzyski.

– Rio? – odezwał się Danny.

– Pozwól, że najpierw ja powiem ci wszystko to, co sobie zaplanowałam. Ogromnie się cieszę, że twoja dzisiejsza służ-

bowa kolacja została odwołana. Chciałam znaleźć się z tobą sama, a nie z połową mieszkańców miasta w naszej kuchni.

– Przecież odpowiada ci ten styl życia.

– Zwykle tak, lecz nie dzisiaj. Muszę z tobą porozmawiać.

Ostatnio nigdy nie mamy na to czasu, zresztą na nic, nawet na kochanie się ze sobą.

– Rio!

– Nie mam o to do ciebie pretensji. Nieraz tak bywa. To, o czym zamierzam ci powiedzieć... Potrzebowałam czasu oraz odpowiedniej atmosfery, ażeby... Chciałam... – Umilkła nagle, nie mogąc znaleźć właściwych słów... Danny wpatrywał się w nią, zmieszany.

– Powiedziałam ci kiedyś, że masz chłopięcy wygląd i na-262

prawdę tak uważam. Jesteś młody i można cię wziąć za dwu-dziesięciolatka. Nie zmieniłeś się od czasu, kiedy Annie była niemowlęciem, a tobie włosy opadały na oczy i nikomu nie mieściło się w głowie, że jesteś już ojcem. Nadal masz to samo spojrzenie co wtedy.

– Co ty, na Boga, wygadujesz, Rio?

– Wypowiadam na głos swoje myśli, Danny. I wiem, że niejedno dostrzegam. Nadeszła pora na kolejne dziecko; na rozpoczęcie nowego życia. Osiągnąłeś życiową stabilizację, umocniłeś pozycję zawodową i z radością będziesz śledził

rozwój maleńkiego syna lub córki. – Zbliżył się do nich kelner, niosąc figi i szynkę parmeńską. Jednak coś, co dostrzegł w wyrazie twarzy tych dwojga, kiedy siedzieli naprzeciwko siebie, skłoniło go do zmiany kierunku. Zimne zakąski mogły trochę zaczekać.

– Nadeszła pora, ażebyś miał jeszcze jedno dziecko, byś po raz trzeci został ojcem. Chcę, żebyś wiedział, że nie myślę tylko o sobie, lecz mam na uwadze także twoje dobro – oświadczyła Ria, uśmiechając się na widok zaszokowanej twarzy mę-

ża.

– Dlaczego mówisz o tym w ten sposób? – Jego głos był

niewiele głośniejszy od szeptu, a twarz przybrała odcień śnieżnej bieli.

Przecież ten pomysł nie mógł być dla niego wstrząsem. Od kilku lat od czasu do czasu napomykała o trzecim dziecku. Z tą tylko różnicą, że tym razem ujęła to raczej w kategoriach ojcostwa, zamiast powoływać się na własną potrzebę albo na ich wspólne życie z kolejnym maleństwem.

– Pozwól, że ci wyjaśnię, Danny...

– Nie wierzę własnym uszom. Dlaczego? Dlaczego mó-

wisz o tym w taki sposób?

– Twierdzą tylko, że pora jest odpowiednia, to wszystko.

263

Mam na myśli ciebie i twoją przyszłość; twoje życie.

– Jesteś taka opanowana... chyba śnię. – Potrząsnął głową, jak gdyby chciał przywrócić jasność myślom.

– Oczywiście ja również tego pragnę, wiesz o tym doskonale, lecz przysięgam, że przede wszystkim mam na względzie twoją pomyślność. Dziecko jest ci teraz bardzo potrzebne.

Dzięki niemu znowu spojrzysz na wszystko z właściwej perspektywy, przestaniesz się śpieszyć i denerwować inwestycjami budowlanymi, akcjami na rynku oraz wszelkimi innymi sprawami tego typu.

– Od jak dawna wiesz? – spytał. Pytanie wydało się jej dość osobliwe.

– Chyba zawsze przeczuwałam, że kiedy dwójka naszych dzieci nieco podrośnie, nadejdzie taki

dzień.

– Zawsze będą wyjątkowymi istotami w moim życiu i nic nie zmieni tego faktu. – Jego głos miał stłumione brzmienie.

– Myślisz, że tego nie rozumiem? Na miłość boską, Danny! Nie twierdzę, że następne dziecko będzie lepsze. Mówię tylko, że będzie inne.

Ria przestała się pochylać nad stołem i usiadła prosto.

Kelner skorzystał ze sposobności i bez słowa postawił przed nimi talerze. Sięgnęła po widelec, Danny jednak nadal siedział

bez ruchu.

– Nie mogę pojąć, że udaje ci się zachować tak niewzruszony spokój – powiedział drżącym głosem, z trudem wydo-bywając z siebie słowa.

Ria spojrzała ze zdumieniem na męża.

– Wcale nie jestem spokojna, kochany. Powiedziałam tylko, że nadeszła pora, abyśmy mieli jeszcze jedno dziecko, a ty zdajesz się podzielać tę opinię... więc jestem podekscytowana.

– Co powiedziałaś?

– Mów trochę ciszej, Danny. Chyba nie chcesz, żeby 264

wszyscy w restauracji wiedzieli o naszych planach. – Zaniepokoiła się trochę na widok wyrazu jego twarzy.

– O, mój Boże! – westchnął. – O, Boże, nie wierzę!

– Co się stało? – Tym razem przestraszyła się nie na żarty.

Mąż trzymał się dłońmi za głowę.

– O co chodzi, Danny? Proszę cię, przestań zachowywać się w ten sposób.

– Powiedziałaś, że rozumiesz. Powiedziałaś, że myślałaś o mojej przyszłości i o moim życiu. A teraz oświadczasz, że to ty chcesz mieć kolejne dziecko! I że ty je urodzisz! Oto sprawa, którą chciałaś ze mną przedyskutować! – Miał udręczoną minę.

Ria zamierzała powiedzieć, że tak się zwykle dzieje, iż to kobieta rodzi dziecko, lecz coś ją od tego powstrzymało. Usłyszała swój własny głos, który zdawał się pochodzić z bardzo daleka, kiedy zadała pytanie, które miało odmienić całe jej życie.

– A o czym ty właściwie mówiłeś, Danny?

– Myślałem, że odkryłaś prawdę. I przez jedną szaloną chwilę łudziłem się, że pogodziłaś się z faktami.

– Co takiego? – Głos Rii, choć jej samej wydawało się to nieprawdopodobne, miał opanowane brzmienie.

– Wiesz, Rio, że z kimś się spotykam. Musiałaś być tego świadoma. A teraz okazało się, że ona jest w ciąży. I że znów będę ojcem. Zamierza urodzić moje dziecko i oboje jesteśmy bardzo szczęśliwi z tego powodu. Zamierzałem zawiadomić cię o tym podczas przyszłego weekendu. I nagle odniosłem wrażenie, że wiesz już o wszystkim.

Hałasy w restauracji przybrały na sile. Brzęk sztućców stał

się mocniejszy i głośniejsze dźwięczały talerze, uderzając o siebie.

Szkła dzwoniły ostro, jak gdyby miały się potłuc w drobny mak, a przyplływające i odpływające strzępy innych rozmów zlewały się ze sobą, tworząc ogłuszający ryk. Dobiegający od 265

stolików śmiech miał bardzo ochryple brzmienie. Głos Danny'ego dochodził z bardzo daleka:

– Posłuchaj mnie, Rio.

Nie mogła wydobyć z siebie słowa.

– Nie chciałem tego, za nic w świecie. To, co się stało, nie wynikało z żadnego wcześniejszego planu. Pragnąłem, żebyśmy byli... Nie szukałem nowej życiowej partnerki...

Rzeczywiście wyglądał młodo; przywodził na myśl bez-radnego chłopca. Tego było dla niej za wiele. Za wyjątkową niesprawiedliwość losu uznała fakt, że musi stawić czoło takiej sytuacji.

– Powiedz, że to nieprawda – poprosiła błagalnym tonem.

– Wiesz, że prawda, skarbie. Zauważyłaś, że przestaliśmy się ze sobą zgadzać i że od pewnego czasu nic nas już nie łą-

czy.

– Nie wierzę w to. I nigdy nie uwierzę.

– Ja również nie przypuszczałem, że nas to spotka. Sądzi-

łem, że zestarzejemy się razem jak inne pary małżeńskie.

– Rzeczywiście, jak inne pary małżeńskie.

– Tak, niektórym to się udaje. Ale my się zmieniliśmy. Nie jesteśmy już tymi samymi ludźmi, którzy się pobrali przed laty.

Mamy inne potrzeby.

– W jakim ona jest wieku?

– To nie ma nic do rzeczy, Rio...

– Ile ma lat?

– Dwadzieścia dwa, ale to jest bez znaczenia... i bez związku z obecną sytuacją.

– Oczywiście – odrzekła bezdźwięcznym tonem Ria.

– Zamierzałem powiadomić cię o wszystkim; być może stało się lepiej, że już teraz sprawa wyszła na jaw. – Zaległa cisza. – Musimy o tym porozmawiać.

Wciąż się nie odzywała.

266

– Nie masz nic do powiedzenia? – spytał błagalnym głosem.

– Jest siedem lat starsza od twojej córki.

– Jak mam cię przekonać, że wiek nie ma tutaj nic do rzeczy, skarbie?

– A nie ma?

– Nie chcę cię ranić. – Cisza. – Zadałem ci wystarczająco wiele bólu. Mówiąc szczerze, zastanawiałem się, czy nie mo-

żemy być jedynymi ludźmi na świecie, którzy rozegrają to tak, jak należy. Czy zdołamy być jedyną parą, która nie będzie sobie nawzajem rozdzierać ran?

– Co proszę?

– Oboje kochamy Annie i Briana. A czekają ich ciężkie doświadczenia. Obiecuj, że nie zgotujemy im jeszcze gorszego piekła.

– Słucham?

– Co chcesz wiedzieć?

– Nie rozumiem, do czego zmierzasz.

– Skarbie!

Ria podniosła się z krzesła. Drżała na całym ciele i musiała złapać się stołu, ażeby ustać na nogach. Odezwała się bardzo niskim, donośnym głosem:

– Jeśli jeszcze kiedykolwiek... zwracając się do mnie, użyjesz słowa „skarbie”, przysięgam, że wezmę widelec do ręki i wydlubię ci oko!

Ruszyła niepewnym krokiem w stronę wyjścia z restauracji. Danny stał bezradnie przy stoliku i patrzył w ślad za nią.

Nogi odmówiły jej posłuszeństwa i niebezpiecznie się zachwiała; wyglądało na to, że jednak nie zdoła dotrzeć do drzwi.

Colm Barry odstawił talerze i spieszenie ruszył w jej stronę.

Uchronił Rię przed upadkiem, w ostatniej chwili chwycił ją w ramiona i szybko zaciągnął do kuchni. Danny podążył za nimi i 267

stojąc niepewnie w progu, patrzył, jak Caroline ociera zimną wodą twarz i nadgarstki jego żony.

– Czy aby nie ty po części jesteś odpowiedzialny za to, co się z nią stało, Danny? Czy to przypadkiem nie przez ciebie zemdląła? – spytał Colm.

– W pewnym sensie tak.

– Wobec tego sądzę, że powinieneś stąd wyjść. – Gospodarz był uprzejmy, lecz stanowczy.

– Co chcesz przez to...

– Odprowadzę ją do domu. Kiedy już przyjdzie do siebie i jeśli będzie miała ochotę tam wrócić.

– A dokąd mogłaby pójść?

– Danny, proszę – powiedział Colm nieznośnym sprzeciwu głosem. To była jego kuchnia; znajdował się na swoim terytorium.

Danny odszedł. Skorzystał z frontowego wejścia i otworzył

kluczem zamek. W kuchni jego teściowa, w towarzystwie dwojga dzieci oraz psa, oglądała telewizję. Danny na minutę zatrzymał się w holu, zastanawiając się, jak i co im wyjaśnić.

Uznał jednak, że to do Rii należy decyzja o tym, co powiedzą dzieciom oraz w jaki sposób. Cicho wszedł po schodach na górę. Stał w sypialni, znowu nie wiedząc, jak się powinien zachować. Ria po powrocie mogła nie chcieć go tutaj widzieć.

Ale jeśli gdzieś sobie pójdzie, czy żona nie odbierze tego jako kolejnego ciosu? Napisał list i położył go na poduszce.

Rio, jestem gotów porozmawiać z tobą, kiedykolwiek zechcesz. Pomyślałem, że nie będziesz sobie życzyła, żebym tutaj nocował, dlatego zabrałem kołdrę i przeniosłem się do gabinetu. Możesz mnie obudzić o każdej porze. Nie potrafię wyrazić, jak bardzo jest mi przykro, wierz mi. Zawsze

wszystkiego, co najlepsze.

Danny Sięgnął po telefon i uzyskał pierwsze z dwóch połączeń.

– Halo, Caroline? Mówi Danny Lynch. Czy mogę rozmawiać z Colmem?

– Sprawdzę, czy jest.

– Czy możesz poprosić go, ażeby jej przekazał, że nie powiedziałem o niczym dzieciom i jestem w gabinecie? Nie w sypialni, tylko w gabinecie, jeśli będzie chciała ze mną rozmawiać. Dziękuję, Caroline.

Następnie wybrał drugi numer.

– Halo, skarbie, to ja... tak, powiedziałem jej... Nie bardzo... Tak, oczywiście, że wspomniałem o dziecku... Nie wiem... Nie, nie ma jej w domu... Nie, nie mogę przyjść do ciebie, muszę poczekać na jej powrót. Najdroższa, chyba nie sądzisz, że teraz zmienię zdanie... Ja też cię kocham, skarbie.

Znajdowali się w samym centrum krzątania związanej z przygotowaniem i wydawaniem posiłków w restauracyjnej kuchni. Colm Barry przyniósł Rii małą brandy. Sączyła powoli alkohol z wyrazem pustki w oczach. Przyjaciel ani słowem nie zapytał jej o to, co się stało.

– Powinna już pójść – powtarzała co jakiś czas.

– Nie ma pośpiechu – uspokajał ją za każdym razem. W

końcu powiedziała to z większą determinacją.

– Dzieci będą się o mnie niepokoić.

– Przyniosę twój płaszcz.

Wyszli z restauracji w milczeniu. Przy bramie przed domem Ria zatrzymała się i spojrzała na towarzyszącego jej mężczyznę.

– Mam wrażenie, jak gdyby to, co się stało, spotkało inną kobietę, a nie mnie.

– Wiem.

– Naprawdę, Colmie?

– Tak, w ten sposób bronimy się przed szokiem. O każdym nieszczęściu myślimy początkowo, że przytrafiło się komuś innemu.

– A co potem?

– Uświadamiamy sobie, jak sędzę, że jednak nas dotknęło.

– Tak przypuszczałam – odrzekła Ria.

Wydawać się mogło, że rozmawiają o warzywach albo właściwym czasie spryskiwania drzew owocowych. Nie było solidarnego uścisku dłoni ani słowa pożegnania. Colm wrócił

do restauracji, a Ria weszła do domu.

Usiadła w kuchni. Nikt nie zmiotł okruszyn ze stołu, a na talerzu leżały ogryzki po jabłkach. Mleko nie zostało schowane do lodówki. Na krzesłach wały się gazety oraz kolorowe czasopisma. Ria dostrzegła to wszystko bardzo wyraźnie, ale nie z zajmowanego przez siebie miejsca. Miała wrażenie, że znajduje się gdzieś wysoko i obserwuje świat z góry. Widziała siebie – małą postać siedzącą w nieposprzątej kuchni pogrążonego w ciemnościach domu, podczas gdy wszyscy inni domownicy spali. Przypatrywała się staremu zegarowi ścien-nemu, który wybijał godzinę za godziną. Nie zastanawiała się nad tym, co ma dalej robić. Zachowywała się tak, jak gdyby jeszcze do niej nie dotarło, że to, co się dzieje, dotyczy właśnie jej.

– Mamo, dzisiaj jest popis musztry – powiedziała Annie.

– Ach tak?

– Gdzie jest śniadanie, mamo?

– Nie wiem.

– Och, mamo. Potrzebna mi biała koszula, a nie ma ani jednej wyprasowanej.

– Doprawdy?

270

– Gdzie byłaś? Wychodziłaś do sklepu?

– Dlaczego pytasz?

– Masz na sobie płaszcz. Przypuszczam, że sama zdołam ją wyprasować.

– Na pewno.

– Czy tato już wyszedł?

– Nie wiem. A nie ma jego samochodu?

– Hej, mamó, dlaczego jeszcze nie ma na stole śniadania?

– dopytywał się Brian.

Siostra ofuknęła go.

– Nie bądź świnią, Brian. Czy jesteś zbyt pijany, żeby chociaż raz przygotować sobie jedzenie?

– Nie jestem pijany.

– Ale wczoraj byłeś, cuchnęło od ciebie alkoholem. –

Spojrzeli na matkę, spodziewając się, że przerwie sprzeczkę.

Ria nie odezwała się jednak.

– Nastaw wodę, Brianie. Jesteś wielkim, bezużytecznym mazgajem – oświadczyła Annie.

– Podlizujesz się mamie, bo pewnie czegoś od niej potrzebujesz. Chcesz, żeby ci zrobiła kanapki albo gdzieś cię podwiozła. Zazwyczaj nie jesteś dla niej taka miła.

– A właśnie że jestem, prawda, mamó? – zawołała doprowadzona do rozpaczyny dziewczyna.

– Dlaczego siedzisz w płaszczu, mamó? – spytał Brian.

– Weź swoje płatki kukurydziane i zamknij się wreszcie –

poleciała bratu Annie. Przed Rią nie stał żaden kubek z kawą ani z herbatą.

– Pewnie wypła przed wyjściem – wyjaśniła dziewczynka.

– Gdzie była? – Chłopiec sprawiał wrażenie zaintrygowanego; próbował pokroić chleb.

– Nie musi się opowiadać tobie z każdego kroku – stwierdziła jego siostra. Jej głos dochodził do Rii z bardzo daleka.

271

– Do widzenia, mamó.

– Słucham?

– Powiedziałem: „do widzenia” – Brian spojrzał na siostrę, szukając u niej oparcia.

– Och, do widzenia, kochanie. Do widzenia, Annie. Razem obeszli dookoła dom, ażeby wziąć rowery. Zwykle za wszelką cenę starali się wychodzić osobno, dzisiaj jednak było inaczej.

– Co jej się stało, jak sądzisz? – spytał Brian.

– Być może upili się wczoraj, gdy byli w restauracji u Colma – odpowiedziała z lekceważeniem Annie. – Może się zalali oboje. Zauważ, że tata jeszcze nie wstał i nie zaczął szykować się do pracy.

– W takim razie chyba wszystko w porządku – zawyrokował chłopiec.

Danny wszedł do kuchni.

– Czekałem, aż dzieci wyjdą z domu – wyjaśnił.

– Słucham?

– Nie wiem, co im chcesz powiedzieć. Uznałem, że lepiej będzie, jeśli najpierw wspólnie się nad tym zastanowimy.

Miał niepewną i zaniepokojoną minę. Był rozczochrany i nieogolony, twarz miał bladą. Przespał dzisiejszą noc w ubraniu. Rii nadal nie opuszczało to osobliwe wrażenie nieobecno-

ści – czuła się tak, jak gdyby była postronnym obserwatorem, który z boku śledzi przebieg wydarzeń. Owo uczucie nie mi-nęło podczas dłużących się, bezsennych godzin nocy. Nie odezwała się, tylko wstała i wyczekująco popatrzyła na męża.

– Dobrze się czujesz, Rio? Dlaczego siedzisz w płaszczu?

– Przypuszczam, że nie zdjęłam go z siebie.

– Co takiego? W ogóle nie kładłaś się spać?

– Nie, a ty?

– Usiądź, skarbie...

272

– Słucham?

– Wiem, przepraszam. To tylko taki zwrot, nic nieznaczące słowo. Chciałem powiedzieć: „usiądź, Rio”.

Nagle zaczęło jej się rozjaśniać w głowie. Niespodziewanie przestała widzieć w dole maleńkie, nie większe od zapalek ludzkie postacie, którym się przyglądała z daleka. Oto siedzi pośród panującego w kuchni bałaganu, mając na sobie płaszcz oraz najlepszą wizytową czarną sukienkę. Danny, jej mąż

–
jedyne mężczyzna, jakiego kiedykolwiek kochała – miał dwu-dziesięcioletnią dziewczynę, która jest z nim w ciąży. I zamierzał porzucić dom, aby założyć nową rodzinę.

– Odejdź, Danny, proszę. Idź już do pracy.

– Nie możesz mi rozkazywać, Rio. I nie przybieraj takiej wyniosłej pozy... musimy porozmawiać. A także zaplanować, co zrobimy i co powiemy.

– Będę przyjmować pozę, jaka mi się spodoba. I chciałabym, żebyś zniknął mi z oczu do czasu, kiedy będę gotowa do rozmowy z tobą. – Głos, który się dobywał z jej wnętrza, miał

całkowicie normalne brzmienie. Być może Danny'emu również taki się wydał.

Z ulgą skinął głową.

– Kiedy to nastąpi? Kiedy będziesz gotowa... porozmawiać ze mną?

– Dam ci znać.

– Myślisz, że dzisiaj będzie to możliwe? Na przykład...

późnym wieczorem?

– Tego jeszcze nie wiem.

– Posłuchaj, ska... Posłuchaj, Rio, chcę, żebyś wiedziała o pewnych sprawach. Muszę opowiedzieć ci o tym, co się wydarzyło.

– Sądzę, że już to zrobiłeś.

– Nie, nie. Muszę ci dokładnie wszystko wyjaśnić i współ-

nie z tobą zastanowić się nad tym, co dalej.

– Chyba wiem, co się stało.

– Chcę ci wytłumaczyć...

– Zrób to od razu. – Wyglądał na niezdecydowanego. – Po co z tym zwlekać? – ponagliła.

Poszedł na górę, a Ria stała, przysłuchując się pluskaniu wody, kiedy brał szybki prysznic oraz skrzypieniu szuflady, którą otworzył, żeby wyjąć czyste ubranie. Kiedy zszedł do kuchni, nadal był nieogolony. Miał minę winowajcy i sprawiał

wrażenie człowieka zagubionego.

– Czy czujesz się na siłach, żeby jakoś przez to przebrnąć?

– spytał. Ria zmiażdżyła go spojrzeniem. – Wiem, że to zabrzmiało głupio... ale martwię się o ciebie, a ty nie pozwalasz mi mówić. Nie chcesz wiedzieć, co się stało i nie obchodzą cię żadne szczegóły.

– Powiedz mi tylko, jak ona ma na imię – wycedziła powoli.

– Bernadette – odparł.

– Bernadette – powtórzyła niespiesznie Ria.

Na długą chwilę zaległo milczenie, a potem spojrzała w stronę drzwi i Danny wyszedł z domu, wsiadł do samochodu i odjechał.

Po jego odejściu uświadomiła sobie, że jest bardzo głodna.

Prawie nic nie jadła od wczorajszego lunchu. Figi i szynka parmeńska pozostały wieczorem nietknięte na talerzu. Prędko uprzątnęła stół i zaczęła szykować dla siebie jedzenie. Uznała, że nie pora na przestrzeganie diety i liczenie kalorii. Wiedziała, że będzie musiała zmobilizować wszystkie siły, ażeby stawić czoło czekającym ją stresom. Ukroiła dwie kromki pełnoziarnistego chleba i wzięła banana. Zaparzyła mocną kawę. Bez względu na to, co się stało, potrzebowała paliwa, które

czyłoby jej niezbędnej energii.

W momencie kiedy zaczęła jeść, dobiegło ją ciche pukanie do drzwi od strony ogrodu. To Rosemary przyniosła żółtą sukienkę, o której rozmawiały pewnego wieczora. Czy przypadkiem nie w ostatnią sobotę? Zalewie trzy dni temu? Przyjaciółka zawsze ubierała się do pracy tak, jak gdyby zamierzała wystąpić w telewizji i to w porze największej oglądalności.

Miała elegancki kostium, nienaganny makijaż, a jej krótkie włosy były doskonale ostrzyżone i ułożone jak tuż po wyjściu od fryzjera. Sukienka, którą przyniosła Rii, wyglądała na nie-noszoną. Przyjaciółka stwierdziła, że kreacja nie odpowiada jej kolorem, a kobiecie o ciemnych włosach będzie w niej bardziej do twarzy.

Teraz stała z wyciągniętą ręką, trzymając przed sobą suknię niczym ekspedientka w sklepie, która usiłuje rozwiać wątpliwości klientki i nakłonić ją do dokonania zakupu.

– Wygląda niepozornie, ale musisz ją przymierzyć. Uwa-

żam, że możesz w niej śmiało wystąpić na przyjęciu z okazji otwarcia nowego osiedla mieszkaniowego.

Ria spojrzała na nią bez słowa.

– Nie patrz na mnie w ten sposób. Wiem, że jej kolor wydaje ci się zbyt blady, ale z czarnym szalem i do twoich ciemnych włosów będzie bardzo odpowiednia... – Rosemary umilkła nagle i uważnie przyjrzała się przyjaciółce.

Ria siedziała na krześle z pobladłą twarzą w swojej czarnej welurowej sukience, ze złotym łańcuszkiem na szyi i o godzinie ósmej trzydzieści jadła ogromną kanapkę z bananem.

– Co ci jest? – Głos Rosemary wydawał się niewiele gło-

śniejszy od szeptu.

– Nic, dlaczego pytasz?

– Co się stało? Co robisz, Rio?

– Jem śniadanie, nie widzisz?

275

– O co chodzi? Dlaczego masz na sobie tę sukienkę... ?

– Myślisz, że tylko ty możesz chodzić rano wystrojona? –

Rii drżały usta, a jej głos zabrzmiał, jak gdyby była zbuntowaną pięciolatką. Zauważyła, że tamta patrzy na nią z przerażeniem. I poczuła nagle, że nie potrafi dłużej znieść tego napię-

cia. – O Boże, Rosemary, on ma dziewczynę, która jest w ciąż-

ży. Dwudziestodwulatkę, która zamierza urodzić mu dziecko!

– Nie! – Rosemary upuściła sukienkę na podłogę i podeszła do przyjaciółki, ażeby ją objąć.

– Niestety to prawda. Nazywa się Bernadette – Ria mówiła teraz podwyższonym, niemal histerycznym tonem. – Bernadette, możesz to sobie wyobrazić? Nie przypuszczałam, że dwudziestolatki nadal noszą takie imiona! Porzucił mnie dla niej.

Wszystko skończone. Danny odszedł. O Jezu, co ja bez niego pocznę? Tak bardzo go kocham, Rosemary. Co ja teraz zrobię?

Rosemary kołysała Rię w ramionach i mruzczała uspokajająco w jej ciemne włosy.

– Cicho, już cicho, to niemożliwe, żeby wszystko między wami było skończone. Będzie dobrze, zobaczysz.

Ria wyrwała się z jej uścisku.

– Nie będzie! On mnie porzucił. Dla niej! Dla Bernadette.

– A przyjąłabyś go z powrotem? – Tamta zawsze była bardzo praktyczna.

– Oczywiście, że przyjąłabym. Dobrze o tym wiesz – za-chlipała Ria.

– W takim razie musimy go nakłonić, żeby do ciebie wró-

cił – oświadczyła Rosemary i biorąc ze stołu serwetkę, otarła Rii, jak dziecku, mokra od łez twarz.

– Mogę wejść, Gertie?

– Och, Rosemary, wybrałaś niezbyt odpowiednią porę na 276

odwiedziny. Może przełożymy tę wizytę na kiedy indziej...

Rosemary jednak minęła ją w drzwiach. W mieszkaniu panował okropny bałagan. Wygląd wnętrza nie byłby niczym nowym, gdyby nie połamane meble. Lampa wisiała przechylna pod dziwnym kątem, a mały stół leżał w kącie w trzech częściach. W innym rogu piętrzył się stos kawałków rozbitej porcelany i szkła. Dywan szpeciła plama po wylanej kawie lub innym napoju.

– Bardzo cię przepraszam, ale sama widzisz... – zaczęła Gertie.

– Nie przyszedłem tutaj o dziewiątej rano, Gertie, ażeby w dziesięciostopniowej skali oceniać wygląd twojego mieszkania. Potrzebuję twojej pomocy.

– O co chodzi?

Gertie ze zrozumiałych powodów się zatrwożyła. Jakiej pomocy ona mogła udzielić Rosemary Ryan? Kobiecie, która miała doskonale zorganizowane życie, wyglądała jak modelka, posiadała dom niczym z kolorowego czasopisma i odnosiła sukcesy zawodowe? Musiało stać się coś strasznego, skoro przyszła po pomoc do Gertie.

– Jesteś potrzebna Rii. Musisz natychmiast do niej pójść.

Wkładaj płaszcz, to cię podwiozę.

– Nie mogę, nie dzisiaj.

– Musisz, Gertie, Ria cię potrzebuje, to pilne. Pomyśl, ile ona dla ciebie robi za każdym razem, ilekroć ty jesteś w potrzebie.

– Nie, nie teraz. Widzisz, ostatniego wieczora doszło pomiędzy mną a Jackiem do małej sprzeczki.

– A to mi nowina! – Rosemary rozejrzała się po mieszkaniu z pogardą.

– Doszliśmy na koniec do porozumienia i obiecałam mu, że nie będę już więcej do was chodzić. – Zniżyła głos: – Jack 277

jest zdania, że to moje przyjaciółki, które próbują stanąć pomiędzy nami, są przyczyną naszych wszystkich problemów.

– Co za bzdury! – zachnęła się Rosemary.

– Mów ciszej, bo go obudzisz.

– Mało mnie to obchodzi! Twoja przyjaciółka, która nigdy w życiu o nic cię nie poprosiła, chce,

żebyś do niej przyszła. I pójdziesz tam, do cholery!

– Nie dzisiaj. Powiedz jej, że bardzo ją przepraszam. Ona zrozumie. Ria dobrze wie o moich domowych problemach i wybaczy mi, że tym razem nie mogłam się stawić.

– Ona być może ci wybaczy, ale ja nie. Nigdy.

– Przyjaźń polega na wzajemnej wyrozumiałości i umiejętności przebaczenia. A Rię uważam za moją przyjaciółkę, podobnie jak ciebie.

– Czy z tego wynika, że ten ciemny jak tabaka w rogu damski bokser, pogrążony obecnie w pijackim śnie, nie jest twoim przyjacielem? Czy właśnie to mi próbujesz powiedzieć?

Bądź rozsądna, Gertie! Czy może cię spotkać z jego strony jeszcze coś gorszego? Powybija ci następne zęby? I podczas kolejnej wizyty u Jimmy Sullivana będziesz musiała wprawić cały ich komplet? To ci ułatwi życie, będziesz tylko wyjmować sztuczną szczękę, ilekroć twój ukochany chłopiec krzywo na ciebie spojrzy.

– Jesteś bardzo cyniczną i okrutną kobietą, Rosemary –

stwierdziła Gertie.

– Doprawdy? Zaledwie chwilę temu byłam wyrozumiałą i współczującą przyjaciółką. A teraz pozwól, że powiem, za ko-go ja ciebie uważam, Gertie. Jesteś bezwolną, samolubną i skamlącą ofiarą, która w pełni zasługuje na cięgi, jakie otrzy-muje, a może nawet na jeszcze większe baty, ponieważ nie masz w sobie bodaj krztyny życzliwości ani przyzwoitości.

Każda inna kobieta na ziemi na wieść o tym, że Ria Lynch 278

potrzebuje pomocy, pomknęłaby do niej jak strzała. Nie ty jednak, Gertie.

Rosemary nigdy dotychczas nie była tak wściekła. Ruszyła w stronę drzwi, nawet nie oglądając się za siebie, ażeby sprawdzić, jak tamta przyjęła jej słowa. Zanim dotarła do samochodu, usłyszała za swoimi plecami kroki. W dziennym świetle zauważyła siniaki na twarzy Gertie – skaleczenia, których wcześniej nie dostrzegła z powodu półmroku panującego w mieszkaniu. Przez chwilę obie mierzyły się spojrzeniami.

– Rzucił ją. Drań!

– Danny? To niemożliwe, nie zrobiłby tego!

– Zrobił – stwierdziła Rosemary, zapuszczając silnik.

*

Ria nadal siedziała w swojej wizytowej sukience. I fakt ten, bardziej niż wszystko inne, potwierdzał

niezbicie, że sytuacja naprawdę jest poważna.

– Powiedziałam Gertie tylko tyle, że Danny wyprowadza się z domu. Sama wiem niewiele więcej, zresztą żadna z nas nie chce ani nie musi o niczym więcej wiedzieć. Pragniemy jedynie ci pomóc, abyś jakoś zdołała przetrwać dzisiejszy dzień.

– Rosemary przejęła dowództwo.

– To bardzo miło z twojej strony, Gertie, że przysłałaś. –

Głos Rii był ledwo słyszalny.

– Dlaczego miałabym nie przyjść? Pomyśl o tym wszystkim, co dla mnie zrobiłaś. – Gertie powiedziała to ze wzrokiem utkwionym w podłogę, aby nie natknąć się na spojrzenie Rosemary. – Od czego zaczniemy?

– Nie wiem. – Normalnie pewna siebie Ria wydawała się zagubiona. – Z wyjątkiem was obu nie zniosłabym rozmowy z 279

nikim innym.

– Kto może przyjść do ciebie z niezapowiedzianą wizytą?

Colm?

– Nie, on jest w ogrodzie. Poza tym i tak wie o wszystkim, gdyż wczoraj wieczorem zemdlalam u niego w restauracji.

Rosemary i Gertie wymieniły szybkie spojrzenia.

– Kto jeszcze może wpaść? – spytała Rosemary i nagle wraz z Gertie wykrzyknęły jednocześnie: – Twoja matka!

– Och, słodki Jezu, nie zniosłabym dzisiaj spotkania z nią!

– jęknęła Ria.

– W porządku – powiedziała Gertie. – Czy chcesz, żebym ją trzymała z dala od twojego domu? Mogę to zrobić. Pójdę do niej, podziękuję za pożyczenie psa i przeproszę ją za to, że przywiązałam Kleszcza do furtki.

– Do czego był ci potrzebny? – spytała Ria.

Pora nie była odpowiednia na zachowywanie pozorów.

– Do ochrony. Jack czuje respekt przed psami. A wczoraj trochę się zdenerwował po tym, jak został zabrany z ulicy przez policjantów.

– Szkoda, że nie wsadzili go za kratki na dłużej – zauwa-

żyła Rosemary.

– Ilu potrzebowaliby więzień, gdyby chcieli zamykać wszystkich pijaków? – Gertie była w filozoficznym nastroju. –

Mogę powiedzieć twojej matce, że zachorowałaś na grypę.

Rosemary pokręciła przecząco głową.

– Nie, to by jedynie pogorszyło sytuację. Zjawiłaby się tu zaraz z naparami leczniczymi albo próbowałaby cię umieścić w tym swoim domu starców. Mogłybyśmy powiedzieć, że wybrałaś się na zakupy i że nie będzie nikogo w domu. Ale czy coś takiego nie wyda się jej dziwne?

Ria najwyraźniej nie potrafiła odpowiedzieć na to pytanie.

– Może potem wpaść, ażeby zobaczyć, co kupiłam –

280

stwierdziła w końcu.

– A gdybyś ją zawiadomiła, że się wybierasz na jakieś spotkanie?

– Z kim? – spytała Ria. Zaległo milczenie. Rosemary przerwała ciszę.

– Powiemy, że mamy dwa darmowe talony na lunch „U

Quentina”, które zamierzałyśmy wykorzystać, ale coś nam wypadło. A ponieważ są tylko dzisiaj ważne, twoja matka i Hilary mogą tam pójść zamiast nas. Co sądzisz o tym pomysśle?

Była lakoniczna i stanowcza. Zapewne właśnie tak postę-

powiała w pracy. Rozejrzała się wokół, ażeby sprawdzić, jak została przyjęta jej propozycja.

– Nie masz pojęcia, ile czasu zabiera im podjęcie jakiegokolwiek decyzji – powiedziała Ria. – Za nic w świecie nie zrobią nic tak nieoczekiwanego.

– Prawdopodobnie Hilary będzie żał przepuścić taką okazję. Pójdzie tam, choćby tylko po to, żeby talon się nie zmarnował. A twoja matka będzie ciekawa stylu lokalu. Wybiorą się tam, zobaczysz. Zarezerwuję stolik.

– Każdy by się wystroił i wybrał do „Quentina” – zapewniła je Gertie. – Nawet ja nie omieszkałabym skorzystać z podobnej gratki. – I wykrzywiła swoją biedną, posiniaczoną twarz w bladym uśmiechu.

Ria poczuła ucisk w gardle.

– Chyba macie rację.

– Odbiorę Annie i Briana ze szkoły i zawiozę ich do mnie.

Zjedzą u mnie kolację i pooglądają wideo. – Rosemary dostrzegła wyraz powątpiewania na twarzy Rii, więc dodała szybko: – Zdobęde dla nich tak znakomity film, że nie zdołają oprzeć się pokusie, a także zaproszę tę okropną Kitty.

Ria uśmiechnęła się blado. Ten ostatni argument przesądził sprawę!

281

– A na koniec, Rio, zamówię dla ciebie wizytę u mojego fryzjera. Naprawdę pracują tam bardzo dobrzy fachowcy.

– Za późno na fryzury i makijaże, Rosemary. Te sprawy mamy już daleko za sobą. Nigdzie nie pójde. Mój wygląd jest bez znaczenia.

– A w jaki sposób zamierzasz wypełnić czas do powrotu męża do domu? – spytała Rosemary.

Nie uzyskała odpowiedzi na swoje pytanie, więc przeprowadziła dwie pośpieszne rozmowy telefoniczne z profesjonalistkami równie zapracowanymi, jak ona. Nie marnowała czasu na długie ani szczegółowe wyjaśnienia. Najpierw skontaktowała się z kierowniczką „U Quentina”, która została powiadomiona, że pani Johnson i pani Moran są gośćmi Rosemary, mają być obsłużone po królewsku jako zdobywczynie talonów i dostać wszystko, o co poproszą. Następnie zatelefonowała do salonu fryzjerskiego, gdzie zapisała panią Lynch na modne strzyżenie oraz manikiur.

– Zwykle nie jestem tak słaba, ale obawiam się, że dzisiaj nie starczy mi sił na udzielenie matce i Hilary wyjaśnień w związku z lunchem „U Quentina” – odezwała się Ria.

– Nie musisz tego robić, ja się tym zajmę – zapewniła Rosemary.

– W domu panuje straszliwy bałagan.

– Po powrocie od fryzjera zastaniesz idealny porządek – obiecała Gertie.

– Wprost nie mogę uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę – odezwała się Ria, wolno wymawiając poszczególne słowa.

– To normalny sposób na radzenie sobie z problemami.

Trzeba zając myśli czymś innym – oświadczyła ze znajomością rzeczy Gertie.

– Traktuj to jako środek znieczulający. Musisz przez 282

chwilę zdać się na automatycznego pilota – tłumaczyła Rosemary, która znajdowała na wszystko radę, choć nie miała poję-

cia, co czuje człowiek na widok otwierającej się przed nim otchłani rozpaczy.

Ria niewiele zapamiętała z wizyty w salonie fryzjerskim.

Upредиła tam wszystkich, że jest bardzo zmęczona, ponieważ w ogóle nie spała tej nocy i muszą jej wybaczyć, jeśli będzie trochę oszołomiona. Próbowwała okazać zainteresowanie gorą-

cym kompresem z oliwy, jaki został nałożony na jej gęste, kręcone włosy i usiłowała podjąć decyzję co do koloru i kształtu swoich paznokci. Przeważnie jednak poddawała się bezwolnie wszelkim zabiegom, a kiedy przyszło do płacenia, została poinformowana, że całość uregulowała już pani Rosemary Ryan.

Ria spojrzała na zegarek. Była pora lunchu. Jeśli wszystko przebiegło zgodnie z planem, jej matka i siostra siedziały wła-

śnie w jednej z najbardziej renomowanych dublińskich restauracji przy posiłku, który w ich przekonaniu był darmowy; jeszcze jeden niezwykle aspekt tego całkowicie nierzeczywi-stego dnia.

W lokalu „U Quentina” i matce Rii zaproponowano po lunchu likier kawowy.

– Czy sądzisz, że jest objęty talonem? – syknęła pani Johnson, a jej córka, ośmielona doskonałym włoskim winem, oświadczyła zdecydowanym tonem:

– Myślę, że w tak wytwornych lokalach, jak ten, nie skąpią gościom dodatkowego poczęstunku.

Okazało się, że oferta promocyjna jest bardzo szeroka, o czym zapewniła obie panie elegancka kierowniczka restauracji, i już nawet niepytane otrzymały drugą kolejkę.

Kiedy czekały na taksówkę, zostały poproszone o skosz-283

towanie nowego likieru. Właściciele restauracji zastanawiali się nad umieszczeniem go w karcie z alkoholami, jednak przed podjęciem ostatecznej decyzji pragnęli zasięgnąć opinii najbardziej cenionych bywalców lokalu. Powrót taksówką do domu stanowił zamazaną plamę w pamięci Nory Johnson. Była rada, że apodyktyczna Rosemary upредиła ją o nieobecności Rii w domu, w przeciwnym razie czułaby się zobowiązana do złożenia córce wizyty i zdania jej relacji z przebiegu lunchu.

Postanowiła, że zatelefonuje do niej potem, kiedy trochę od-pocznie.

Jeszcze całe dwie godziny dzieliły Rię od powrotu Danny’ego do domu. Nigdy dotąd czas tak bardzo

się jej nie dłu-

żył. Krążyła bez celu po pokojach, dotykając różnych przedmiotów, w tym stolika w holu, gdzie Danny zawsze zostawiał

klucze. Przesunęła dłońią po oparciu fotela, w którym mąż zwykł często wieczorami zasypiać, z papierami biurowymi na kolanach. Podniosła szklany dzbanek, otrzymany od niego na urodziny. Było na nim wyryte imię: „Ria”. Jeszcze w listopadzie Danny kochał ją do tego stopnia, żeby umieścić na naczyniu jej imię, a już w kwietniu inna kobieta była z nim w ciąży.

To wszystko nie mieściło się Rii w głowie.

Spojrzała na poduszkę, którą dla niego wyhaftowała.

Znajdowały się na niej trzy słowa: „Mój ukochany Danny”.

Wyszycie napisu zabrało Rii kilka tygodni. Doskonale pamię-

tała wyraz jego twarzy w chwili, kiedy podarowała mu prezent. „Sądząc po tym, co dla mnie zrobiłaś, chyba kochasz mnie prawie tak mocno, jak ja ciebie” – powiedział. Prawie tak mocno!

Spojrzała na ich nową aparaturę stereofoniczną. Podczas ostatnich świąt Bożego Narodzenia, przed niespełna sześcioma miesiącami, Danny godzinami szukał najlepszego miejsca do 284

ustawienia głośników. Kupił Rii mnóstwo płyt kompaktowych, w tym wszystkie przeboje Elli Fitzgerald – jej ulubionej piosenkarki – a ona zdobyła dlań nagrania zespołów, za którymi przepadał, jak „Dorsey Brothers” czy orkiestra Glenna Millera.

Dzieci skwitowały jękami ich muzyczne upodobania. Być mo-

że ta smarkata Bernadette słucha owej dziwnej muzyki, którą lubiły Annie i Kitty? A Danny udaje, że jemu również się to podoba? Ria pomyślała, że mąż wkrótce wróci do domu i opowie jej o tego typu sprawach.

Dostrzegła w ogrodzie Colma Barry’ego. Przerzucał kom-post, ale robił to w sposób chaotyczny, jak gdyby nie interesował się stanem warzyw, lecz był tam tylko po to, aby zaopiekować się nią w razie potrzeby.

Gertie zatelefonowała do Rosemary o siódmej wieczorem.

– Dzwonię, ażeby ci powiedzieć... sama nie wiem, po co wła-

ściwie zawracam ci głowę...

– Ale ja wiem. Ponieważ jest siódma wieczorem i obie szalejemy z niepokoju.

– Czy dzieci są u ciebie?

– Tak, pomysł okazał się dobry. Choć niewiele brakowało, a musiałabym pójść do łóżka z facetem w wypożyczalni, ażeby zdobyć tę kasetę wideo.

– Dzięki filmowi przez jakiś czas będą zajęte. Jak myślisz, czy oni się pogodzą?

– Będą musieli – zapewniła Rosemary. – Oboje mają zbyt wiele do stracenia.

– A co z dzieckiem? I z tamtą ciężarną dziewczyną?

– Prawdopodobnie właśnie o tym teraz rozmawiają.

– Czy modlisz się czasami, Rosemary?

– Nie robiłam tego od dawna. A ty?

– Nie. Raczej próbuję ubić interes. Obiecuję Panu Bogu różne rzeczy, jeśli mnie wysłucha i Jack przestanie pić.

285

Rosemary przygryzła usta; owo wyznanie musiało tamtą sporo kosztować.

– I udaje ci się dobić targu?

– A jak sądzisz?

– Przypuszczam, że nie zawsze – udzieliła dyplomatycznej odpowiedzi.

– Dzisiaj zawarłam kolejną umowę. Powiedziałam Panu Bogu, że jeśli zwróci Rii Danny’ego, zrobię to, co Mu obiecuję od dawna.

– Mam nadzieję, że nie miałaś na myśli nadstawienia drugiego policzka ani niczego w tym rodzaju – wypaliła Rosemary, zanim zdążyła ugryźć się w język.

– Nie, tak się składa, że to coś wręcz przeciwnego – odpowiedziała Gertie i odłożyła słuchawkę.

O siódmej wieczorem Ria całkiem wyłączyła głos w automatycznej sekretarce. Nie chciała, aby kolejne wiadomości od matki i siostry, które jak się okazało, na miękkich nogach opu-

ściły restaurację po lunchu, zakłócały teraz jej spokój. Nagrali się również inni telefonujący: szwagier Martin dopytywał się o żonę, matka Dekka zawiadamiła Briana o szansie zarobku w zamian za opiekę nad dzieckiem w sobotę. Szef zakładu usług remontowych potwierdzał możliwość wypożyczenia cykliniarki na przyszły weekend. A kobieta, która zajmowała się organizacją zjazdu absolwentów szkoły, prosiła o adresy innych uczniów z tego samego rocznika.

Ria nie mogłaby dzisiaj rozmawiać z żadną z tych osób.

Jak ludzie radzili sobie kiedyś bez automatycznych sekretarek?

Dobrze pamiętała dzień, kiedy ją zainstalowali w domu oraz jak się śmiali z wysiłków Danny'ego, który zamierzał nagrać jakąś przekonującą wiadomość. „Musimy spojrzeć prawdzie w oczy – powiedział wtedy. – Nie jestem zawodowym aktorem”.

286

Tymczasem okazało się, że był, i to doskonałym, i od miesięcy z powodzeniem odgrywał swoją rolę. A może nawet od lat?

Ria usiadła w oczekiwaniu na powrót Danny'ego Lyncha do domu przy Tara Road.

Nie zawołał od drzwi, jak miał to w zwyczaju. Tym razem nie było okrzyku: „Hej, hej, skarbie, wróciłem!”. I nie położył

kluczy na stoliku w holu. Był blady i zdenerwowany. W normalnej sytuacji ogarnąłby ją niepokój; zastanawiałaby się, czy to przypadkiem nie początki grypy i błagałaby męża, żeby nie spędzał tyle czasu w biurze, lecz więcej odpoczywał. Sytuacja nie była jednak normalna i Ria spojrzała na niego wyczekują-

co.

– Bardzo tu cicho dzisiaj – odezwał się w końcu.

– Rzeczywiście.

Można by ich było wziąć za parę obcych ludzi, którzy dopiero przed chwilą się poznali. Usiadł i podparł głowę na rę-

kach. Ria wciąż się nie odzywała.

– Jak chcesz to załatwić? – spytał.

– Powiedziałaś, że musimy porozmawiać, Danny. Wobec tego rozmawiajmy, słucham.

– Nie ułatwiasz mi zadania.

– Chyba się przesłyszałam. Dlaczego miałabym ci cokolwiek ułatwiać?

– Staram się być całkowicie uczciwy wobec ciebie. Nie zamierzam więcej kłamać ani niczego przed tobą ukrywać. Nie jestem dumny z siebie za to, co się stało, ale nie próbuj mnie łapać za słowa. To tylko utrudni naszą rozmowę.

Popatrzyła na niego, lecz nic nie powiedziała.

– Błagam cię, Rio. Zbyt dobrze się znamy nawzajem.

I doskonale rozumiemy znaczenie każdego słowa, a nawet ciszy.

287

Odezwała się w końcu, powoli dobierając słowa.

– Nie, wcale cię nie znam. Powiedziałeś, że nie będzie już kłamstw ani zatajania faktów. Otóż nie miałam pojęcia o kłamstwach ani o tym, że cokolwiek przede mną ukrywasz. Sądzi-

łam, że nie mamy przed sobą tajemnic.

– Nie, nie mogłaś tak myśleć. Bądź ze mną szczerą.

– Jestem, Danny. I zawsze byłam. Gdybyś mnie znał, jak utrzymujesz, wiedziałbyś o tym.

– Uważałaś, że nasze pożycie wspaniale się układa? – Tak.

– Nie zauważyłaś żadnych zmian? Sądziłaś, że jesteśmy tacy sami jak w dniu naszego ślubu? – Był zdumiony.

– Tak. Myślałam, że jesteśmy starsi, bardziej zajęci i zmęczeni, w gruncie rzeczy jednak tacy sami.

– Ale... – Nie potrafił mówić dalej.

– Ale co, Danny?

– Przecież nie mieliśmy już sobie nic do powiedzenia, Rio.

Zajmowaliśmy się organizowaniem spraw domowych, wypo-

życzaliśmy cykliniarkę, wyjmowaliśmy jedzenie z zamrażarki, sporządzaliśmy listy sprawunków. Trudno to jednak nazwać życiem, prawdziwym życiem we dwoje.

– To ty wypożyczałaś cykliniarkę – sprostowała. – Ja nigdy jej nie chciałam.

– A co sądzisz o rozmowach, jakie ostatnio prowadziliśmy ze sobą, skarbie? Dobrze wiesz, że mam rację, tylko nie chcesz mi jej przyznać.

– Zamierzasz nas opuścić... ten dom, mnie, Annie i Briana... nie mylę się, prawda?

– Wiesz, że nasze życie już nie jest takie jak niegdyś?

– Nie, nie wiem. Wcale tego nie zauważyłam.

– Nie powiesz mi, że nasze życie idealnie się układało?

– Nie, nie było idealne. Zbyt ciężko pracowałeś. I zbyt często przebywałeś poza domem, choć być może wcale nie 288

spędzałeś tego czasu w pracy. Ja, w każdym razie, tak myśla-
łam.

– W większości rzeczywiście pochłaniały mnie sprawy zawodowe – przyznał ponuro.

– Poza tym sądziłam, że wszystko jest w porządku. Nie miałam pojęcia, że nie czujesz się tutaj szczęśliwy.

– To nie tak.

Ria pochyliła się do przodu i spojrzała mu prosto w oczy.

– A jak, Danny? Odpowiedz, proszę. Chciałeś porozmawiać, więc rozmawiajmy. Chciałeś, żebym była opanowana, więc jestem. I jestem szczerą na równi z tobą. Skoro, jak twierdzisz, nie czułeś się tutaj nieszczęśliwy, to dlaczego od-chodzisz? Wy tłumacz mi, bo nie mogę tego pojąć.

– Z naszych uczuć już nic nie pozostało, Rio, i nikt nie jest niczemu winny. To po prostu się zdarza.

– Mnie się nie zdarzyło – odrzekła z prostotą.

– Ależ tak, tylko nie chcesz spojrzeć prawdzie w oczy.

Pragniesz nadal kontynuować tę farsę.

– Ani przez minutę niczego nie udawałam.

– Nie miałem nic złego na myśli; chodzi mi jedynie o odgrywanie roli Szczęśliwej Rodziny.

– Ależ my jesteśmy szczęśliwą rodziną, Danny.

– Nie, skarbie. Oboje możemy mieć coś więcej. Nie jesteśmy jeszcze starzy i żadne z nas nie musi rujnować swojej przyszłości, godząc się na bezbarwną egzystencję, jaką od pewnego czasu stało się nasze życie.

– Nasze życie było udane. Czyż nie mamy dwojga cu-downych dzieci oraz wspaniałego domu? Powiedz mi, czego chcesz jeszcze?

– Och, Rio, chcę być kimś. Chcę mieć przed sobą przyszłość i marzenia, które mogą się spełnić. Chcę zacząć wszystko od nowa i żyć pełnią życia.

289

– A także mieć kolejne dziecko?

– Jest częścią moich przyszłych planów, nowym początkiem.

– Opowiesz mi o niej? O Bernadette? I o tym, co jest tak cennego w waszym związku, a czego brakowało w naszym małżeństwie? Oczywiście nie mam na myśli zachwycającego współżycia seksualnego. Być może jestem opanowana, nie na tyle jednak, ażeby móc o tym słuchać.

– Błagam cię, daruj sobie te gorzkie oskarżycielskie słowa.

– A ja cię błagam, żebyś się zastanowił nad tym, co do mnie mówisz. Jaką gorycz i jakie oskarżenia dostrzegasz w moim pytaniu? Pragnę się jedynie dowiedzieć, dlaczego nagle ma się skończyć nasze wspólne życie, które do tej pory uważa-

łam za w pełni satysfakcjonujące? Poprosiłam cię tylko, żebyś mi wyjaśnił, z jakiego powodu twoje widoki na przyszłość są znacznie lepsze w nowym układzie? Przepraszam, że wspominałam o seksie. Wiem jednak od ciebie, że spodziewacie się dziecka, więc wybaczone, ale musiało dojść pomiędzy wami do fizycznego zbliżenia.

– Nie znoszę twojego sarkazmu. Zbyt dobrze się znamy nawzajem i nie powinniśmy w ten sposób rozmawiać. Naprawdę nie powinniśmy.

– Wiem, że sprawa jest poważna i że w grę wchodzi dziecko. Chciałabym jednak wiedzieć, czy mamy szansę wspólnie przebrnąć przez to, co nas spotkało, Danny, i przetrwać kryzys? Niektórym parom to się udaje.

– Nie. To nie wchodzi w rachubę.

– Nie możesz tak szybko przekreślać naszego małżeństwa.

Związałaś się z kobietą znacznie młodszą od siebie i bardzo ci to pochlebia. Jestem wściekła i zdenerwowana, to oczywiste, ale jakoś zdołam przejść do porządku dziennego nad tym, co się stało. Wszyscy musimy czasami zdobyć się na wspaniałość-290

myślność. A ten epizod w twoim życiu nie musi od razu oznaczać rozpadu naszego związku.

– Przez cały dzień powtarzałem sobie w myślach... Boże, spraw, niech Ria zachowa spokój. Nie spodziewam się, że mi wybaczy, ale niech będzie na tyle opanowana, żebyśmy mogli spokojnie porozmawiać i wspólnie zastanowić się nad najlepszym rozwiązaniem przez wzgląd na nasze dzieci. I jesteś opanowana, choć na to nie zasługuję, ale to niewłaściwy rodzaj spokoju. Uważasz, że mój związek z Bernadette jest tylko przelotnym flirtem.

– Flirtem?

– Tak, przypomnij sobie, że przechodziliśmy przez to wszystko: kolorowy zawrót głowy, flirt, romans, coraz mocniejsza więź i wreszcie prawdziwa miłość. – Danny, mówiąc to, uśmiechnął się i z czułością spojrzał na żonę.

Ria była zaintrygowana.

– Do czego zmierzasz?

– Otóż to nie jest flirt, lecz prawdziwa miłość. Kocham Bernadette i pragnę spędzić z nią resztę mojego życia.

Skinęła głową, jak gdyby fakt, że mężczyzna, którego kochała, wypowiada się w ten sposób o innej kobiecie, był w peł-

ni zrozumiała. Odezwała się, ważąc słowa:

– O czym jeszcze myślałeś w ciągu całego dnia oprócz te-go, żebym była opanowana? Czy zastanowiłeś się nad najlepszym sposobem zakończenia naszej dyskusji?

– Och, Rip, proszę cię. Nie staraj się prowadzić ze mną takich gier.

– Nigdy nie byłam dalsza od tego. Pytam poważnie, jak chcesz to zakończyć?

– Przypuszczam, że z godnością. I w poczuciu wzajemnego poszanowania.

– Co takiego?

291

– Spytałaś mnie, więc odpowiedziałem. Łudziłem się, że zgodzisz się ze mną co do oceny naszego małżeństwa, które kiedyś było bardzo udane, lecz teraz nastąpił jego całkowity rozpad... Miałem też nadzieję, że zastanowimy się wspólnie nad takim wyjaśnieniem całej sytuacji Annie i Brianowi, aby jak najmniej ich zranić.

– Nie zrobiłam niczego, co by ich mogło zranić.

– Wiem.

– A więc nie myślałeś o tym, co by nas mogło pojednać, ani nie zastanawiałaś się nad możliwością naprawienia naszych stosunków, żeby znowu stały się takie jak dawniej – w każdym razie dla ciebie.

– Nie, kochanie. To koniec.

– A zatem dążąc do rozmowy ze mną, nie miałaś na myśli rozmowy o nas, lecz o tym, co mam zrobić, kiedy odejdziesz, prawda?

– O tym, co oboje zrobimy. To nie ich wina. Annie i Brian nie zasługują na ciężkie doświadczenia.

– To prawda. Ale ja zasługuję, czyż nie tak?

– Ty to co innego. Przestaliśmy się kochać.

– Ja nie przestałam.

- Ależ tak, tylko nie chcesz się do tego przyznać.
- Nieprawda. I nie powiem tego jedynie dla poprawienia twojego samopoczucia.
- Proszę cię!
- Kocham cię, Danny. Kocham twój wygląd oraz sposób, w jaki się uśmiechasz, kocham twoją twarz, pragnę znaleźć się w twoich ramionach i usłyszeć od ciebie, że to tylko koszmarny sen.
- Mówisz o tym, co było, ale czego już nie ma, Rio.
- Ani trochę mnie już nie kochasz?
- Zawsze będę cię podziwiał.

292

- Nie zależy mi na twoim podziwie, lecz na twojej miłości.
- Tylko tak myślisz... jednak w głębi serca już nie darzysz mnie uczuciem.
- Daruj sobie tego typu uwagi, Danny. Nie nakłonisz mnie do wyznania, że ja również jestem znużona naszym związkiem.
- Nie możemy mieć wszystkiego... – zaczął.
- A jednak ty masz ochotę sporo dla siebie zagarnąć.
- Chciałbym, żebyśmy porozmawiali ze sobą jak cywili-zowani ludzie i zdecydowali, gdzie będziemy mieszkać...
- Co masz na myśli?
- Zanim powiadomimy dzieci, powinniśmy móc im nakreślić wizję przyszłości.
- O niczym nie będę ich zawiadamiać. Nie mam im nic do przekazania. Możesz im powiedzieć, co zechcesz.
- Chodzi o to, ażeby im oszczędzić zbyt wielkiego stresu...
- Wobec tego zostań w domu i zrezygnuj ze swoich planów, to nie będą zestresowane.
- Nie mogę tego zrobić, Rio. Już podjąłem decyzję. Dopiero w tym momencie dotarło do niej, że to wszystko dzieje się naprawdę. Dotychczas były tylko słowa i koszarne sny, teraz wszystko rozumiała i poczuła się bardzo, ale to bardzo znużona.

– W porządku. Decyzja została podjęta.

Zmiana w jej zachowaniu sprawiła mu wyraźną ulgę. Miał

rację, twierdząc, że bardzo dobrze się znają i sprawdziły się jego przewidywania, że Ria w końcu pogodzi się z sytuacją.

Od tej pory będą prowadzili rozmowę na innym poziomie.

Zgodnie z jego życzeniem omówią szczegóły i wspólnie zastanowią się nad miejscem zamieszkania każdego z nich.

– Nie ma pośpiechu z przeprowadzką. Nie musimy natychmiast zmieniać wszystkiego i zakłócać im szkolnego rytmu, ale być może załatwimy to do końca lata.

293

– Co być może załatwimy do końca lata? – spytała.

– Zaplanujemy nasze dalsze życie i zastanowimy się, gdzie każde z nas zamieszka.

– Ja będę mieszkać tutaj, czyż nie? – zdumiała się Ria.

– Zrozum, najdroższa, będziemy musieli sprzedać ten dom.

Stanie się o wiele za duży dla...

– Mam sprzedać nasz dom przy Tara Road? – Ria była ogłuszoną tą wiadomością.

– Nie będziemy mieli innego wyjścia, ponieważ...

– Ależ, Danny, przecież to nasz dom, miejsce, w którym żyjemy, nie możesz go sprzedać!

– Będziemy zmuszeni to zrobić. Jak inaczej... każde z nas będzie mieć zapewniony byt?

– Nie wyniosę się stąd, ażebyś ty mógł zapewnić byt jakiejś dwudziestolatce!

– Proszę cię, Rio, musimy pomyśleć o tym, co powiemy Annie i Brianowi.

– To ty musisz pomyśleć! Ja nie zamierzam im niczego mówić i nie wyprowadzę się z tego domu!

Zapadło milczenie.

– A więc jak zamierzasz to rozegrać? – spytał w końcu Danny. – Tatuś, ten nikczemny potwór, odchodzi i porzuca dzieci, a biedna, poczciwa i święta matka zostaje z nimi...

– No cóż, z grubsza biorąc, właśnie tak przedstawiają się fakty.

Teraz był już wściekły.

– Nieprawda. Naszym zadaniem jest podjęcie próby konstruktywnego myślenia. Powinniśmy zadbać, aby to doświadczenie stało się dla obojga jak najłżejsze.

– Zgoda. Zaczekajmy na ich powrót i zobaczymy, jak im to będzie ułatwiał.

– Gdzie oni są?

294

– Oglądają film u Rosemary.

– A ona wie? – Tak.

– O której wrócą?

Ria wzruszyła ramionami.

– Przypuszczam, że o dziewiątej albo o dziesiątej.

– Czy nie możesz wcześniej po nich zatelefonować?

– Chcesz powiedzieć, że nie możesz poczekać na swoje dzieci przez kilka godzin we własnym domu?

– Nie to miałem na myśli. Boję się tylko, że skoro będziesz okazywać mi wrogość, pogorszysz całą sprawę.

– Nie zamierzam się odnosić do ciebie wrogo. Usiądę i poczytam albo zajmę się czym innym.

Danny rozejrzał się wokół siebie z niedowierzaniem.

– Nie pamiętam, aby kiedykolwiek w tym domu panował

tak bezgraniczny spokój. I nigdy nie widziałem cię z książką w dłoni. Miejsce to zawsze przywodziło mi na myśl miejskie centrum handlowe; wiecznie otwierały się jakieś drzwi, ludzie nieustannie wychodzili stąd i wchodzili, a na stole stało jedzenie i mnóstwo filiżanek z kawą. Człowiek miał wrażenie, że przebywa w kawiarnianym ogródku w towarzystwie twojej matki, jej psa, Gertie, Rosemary, dzieci oraz ich przyjaciół.

Obecna chwila jest chyba pierwsza w tym domu, kiedy można usłyszeć własne myśli.

– Sądziłam, że lubisz, kiedy dom tętni życiem.

– Nigdy ani przez chwilę nie było tutaj spokoju. Wiecznie panował ruch jak na placu zabaw.

– Nie wierzę ci. Tworzysz historię od nowa.

Ria wstała od stołu i podeszła do dużego fotela. Nadal odczuwała straszliwe zmęczenie. Zamknęła oczy i wiedziała, że może zasnąć w środku tej rozmowy o zakończeniu ich małżeństwa i ustabilizowanego życia, jakie dotychczas wiodła. Powieki ciążyły jej jak ołów.

295

– Ogromnie mi przykro, Rio – powiedział Danny. Nie odezwała się jednak. – Chyba pójdę na górę i spakuję trochę swoich rzeczy. Co o tym sądzisz?

– Nic nie sędzę. Rób, co chcesz.

– Jestem szczęśliwy, że mogę posiedzieć tu z tobą i porozmawiać.

Wciąż miała zamknięte oczy.

– Więc rozmawiaj.

– Ale nie mam nic więcej do dodania – stwierdził ze smutkiem. – Przecież nie mogę bez końca powtarzać, że jest mi przykro z powodu tego, co się stało. To nie ma sensu.

– Rzeczywiście, nie ma – zgodziła się Ria.

– Może więc będzie lepiej, jeśli pójdę na górę i spakuję parę rzeczy.

– Może. – Rio?

– Słucham?

– Nie, nic takiego.

Przez chwilę dochodziły ją z piętra kroki męża pomiędzy gabinetem a sypialnią. A potem zasnęła w fotelu.

Obudziły ją głosy dzieci w kuchni.

– Zwykle to tato lubi drzemać w fotelu – zauważył Brian.

– Miło spędziliście czas? – spytała Ria.

– Pewnie. Ten film dopiero za trzy tygodnie wejdzie na ekrany kin. – Chłopiec miał błyszczące oczy.

– A ty, Annie?

– Film był w porządku. Czy Kitty może zostać u nas na noc?

– Nie, nie dzisiaj.

– Ależ mam, dlaczego nie? Czemu zawsze robisz każde-mu piekło z życia? Uprzedziłyśmy już panią Sullivan, że Kitty będzie u mnie nocowała.

– Nie dzisiaj. Ojciec i ja chcemy porozmawiać z tobą i z 296

Brianem.

– Przecież Kitty może również uczestniczyć w tej rozmowie.

– Słyszałaś, co powiedziałam, Annie? – W głosie matki było coś niezwykłego, jakieś nieznane brzmienie.

Nadąsana Annie odprowadziła przyjaciółkę do drzwi. Do Rii dotarła przytłumiona uwaga o ludziach, którzy wszystko psują. Danny zszedł na dół. Był blady i niespokojny.

– Oboje z waszą matką chcieliśmy z wami porozmawiać –

zaczął. – Jednak głównie ja będę mówił, ponieważ to ja... Ponieważ do mnie należy udzielenie wam wyjaśnień. – Przenosił

wzrok z syna na córkę, gdy oboje stali przestraszeni przy stole.

Ria nadal siedziała w fotelu.

– Nie wiem, od czego zacząć, więc jeśli nie uznacie tego stwierdzenia za zbyt sentymentalne, chciałbym na początek was zapewnić, że oboje bardzo was kochamy i jesteśmy szczę-

śliwi, że mamy tak wspaniałe dzieci...

– Nie jesteś przypadkiem chory, tato? – przerwała mu Annie.

– Nie, to co zamierzam powiedzieć, nie ma nic wspólnego ze zdrowiem.

– Ani nie idziesz do więzienia? Mówisz takim tonem...

– Nie, kochanie. Nastąpią jednak pewne zmiany, o których chciałbym z wami porozmawiać...

– Wiem, co to za zmiany! – Brian wykrzywił usta z odrazą.

– Rodzice Dekka w podobny sposób zaczęli z nim rozmowę, kiedy ogłaszali mu tę straszną nowinę. Również powiedzieli, że go kochają. Będziemy mieli dziecko, prawda?

Annie spiorunowała brata wzrokiem.

– Masz odrażające pomysły, Brianie.

Oboje jednak spojrzeli na matkę, aby potwierdziła, że przypuszczenie chłopca jest błędne. Ria zaśmiała się cicho.

297

– My nie będziemy mieli, ale wasz tato tak – powiedziała.

– Rio! – Danny miał minę, jak gdyby go uderzyła. Jego twarz przybrała barwę popiołu. – Jak mogłaś, Rio?

– Odpowiedziałam tylko na pytanie. Przecież zawsze twierdziłeś, że nigdy nie powinniśmy pozostawiać pytań dzieci bez odpowiedzi.

– O co chodzi, tato? O czym chciałeś nam powiedzieć? –

Annie przenosiła spojrzenie z ojca na matkę.

– Chciałem was zawiadomić, że przez jakiś czas nie będę razem z wami mieszkał tutaj. Prawdę mówiąc, wyprowadzam się stąd na zawsze. A w przyszłości wszyscy prawdopodobnie będziemy zmuszeni zmienić miejsce zamieszkania, ale zawsze zarówno u mnie, jak i u mamy będzie dla was miejsce. A zatem wszystko, co się tyczy was, pozostanie niezmienione.

– Rozwodzicie się?

– Kiedyś pewnie tak, ale do tego momentu jest jeszcze daleka droga. Najważniejsze teraz to dopilnować, aby każdy o wszystkim wiedział, żeby nie było żadnych tajemnic i aby nikt nie czuł się skrzywdzony.

– Oto najważniejsze ustalenia waszego ojca – zadrwiła Ria.

– Rio, proszę cię. – Miał przygnębioną i zbolaną minę.

– Ale to nieprawda, że będziesz miał dziecko, tato? Mama tylko to sobie wymyśliła?

Danny zmierzył Rię gniewnym spojrzeniem.

– Teraz to nie jest istotne. Liczy się wyłącznie fakt, że jesteście moimi dziećmi i nic nie może tego zmienić.

– A więc to prawda! – stwierdziła Annie z przerażeniem –

Tylko nie dziecko! – jęknął jej brat.

– Zamknij się, Brianie, to dziecko nie urodzi się tutaj. Tato z jego powodu wyprowadza się z domu. O to chodzi, prawda?

Danny nie odpowiedział, przyglądał się żałośnie w milcze-298

niu dwóm przygnębionym, młodym twarzom.

– Czy to prawda, tato? Zamierzasz nas porzucić dla kogoś innego?

– Nigdy nie mógłbym cię porzucić, Annie. Jesteś moją córką i nigdy się nie rozstaniemy.

– Ale zamierzasz opuścić dom i zamieszkać z inną kobietą, która jest z tobą w ciąży?

– Oboje z waszą matką uważamy zgodnie, że nie jesteśmy już tymi samymi ludźmi, którymi byliśmy niegdyś... I mamy odmienne potrzeby...

Z fotela dał się słyszeć stłumiony chichot Rii.

– Kim ona jest, tato? Czy my ją znamy?

– Nie, jeszcze nie mieliście okazji jej poznać.

– Czy ciebie to nic nie obchodzi, mamo? Nie zatrzymasz go? Nie powiesz mu, że nie chcesz, żeby odchodził? – W

oczach Annie błyszczała wściekłość.

Ria miała ochotę zerwać się na równe nogi, aby mocno przytulić do siebie swoją zranioną, zagniewaną córkę i wyja-

śnić jej, jak boleśnie przeżywa obecną sytuację i jak to wszystko jest dla niej nierzeczywiste.

– Nie, Annie. Twój ojciec dobrze o tym wie, lecz już podjął decyzję.

– Och, Rio, uzgodniliśmy... i obiecałaś, że nie zrobimy z tego słownej rozgrywki pomiędzy nami.

– Niczego nie uzgadnialiśmy ani niczego nie obiecywałam.

I to nie ja wmawiam moim dzieciom, że mam odmienne „potrzeby”, ponieważ to nieprawda. Jesteś mi potrzebny i chcę, żebyś został z nami.

– O, Boże, mam, to już koniec.

Twarz Briana przybrała odcień śnieżnej bieli. Jeszcze nigdy nie słyszał, żeby jego zaradna matka przyznała, że jest zdana na łaskę losu.

299

– Wszystko w porządku, Brianie. Właśnie o tym pragnę was zapewnić. Nic nie ulegnie zmianie. Nadal będę waszym tatą – tym samym, co zawsze.

– Nie możesz rzucić mamy, tato. Nie możesz odejść do innej kobiety i zostawić nas samych. – Chłopiec o mało się nie rozplakał.

Odezwała się Annie:

– Mama wcale się tym nie przejmuje. Nic jej to nie obchodzi. Pozwala tacie odejść i nawet nie stara się go zatrzymać.

– Wspaniale, wielkie dzięki, Rio. – Danny był bliski łez.

Rio odzyskała głos.

– Nie powiem dzieciom, że zgadzam się z twoją decyzją ani że nic się nie stało, ponieważ stało się, Danny.

– Obiecałaś... – zaczął.

– Niczego nie obiecywałam.

– Ustaliliśmy, że nie chcemy ranić dzieci.

– To nie ja od nich odchodzę ani nie ja rozważam za ich plecami możliwość sprzedaży tego domu. Czy to ja je krzywdzę? Sama dopiero co dowiedziałam się o całej sprawie i spodziewasz się, że będę dzielna i pogodna? Nie przyznam, że podjąłeś tę decyzję dla naszego wspólnego dobra lub że jeste-

śmy już innymi ludźmi i mamy różne potrzeby. Ponieważ ja się nie zmieniałam, Danny, i mam te same potrzeby co zwykle.

Potrzebuję ciebie tutaj, w naszym domu.

– Rio, miej trochę godności, proszę cię.

Nagle oboje uświadomili sobie, że żadne z dzieci się nie odzywa. Spojrzeli na nie. Ich pobladłe buzie, na których malował się wyraz niedowierzania, zalane były strugami niepo-hamowanych łez. Najwyraźniej zaczęła już do obojga docierać straszliwa prawda, że ich życie na Tara Road dobiegło końca. I że nic już nigdy nie będzie takie, jak kiedyś. W kuchni zapanowała pełna grozy cisza. Wszyscy bojaźliwie przyglądali się 300

sobie nawzajem. Zwykle to Ria przerywała milczenie, robiła pierwszy ruch i starała się podtrzymać dobrą atmosferę. Jednak nie tym razem. Dzisiaj sprawiała wrażenie, że jest bardziej wstrząśnięta niż pozostali.

W końcu odezwał się Danny:

– Nie wiem, jak to najlepiej wyrazić – wyznał bezradnie. –

Chciałem inaczej was o tym powiadomić, ale być może nie ma dobrego sposobu na przekazanie tego typu wiadomości.

Milczeli.

– Co chcecie, żebym zrobił? Czy mam przenocować dzisiaj w gabinecie? Mielibyście wtedy wrażenie, że życie toczy się normalnym trybem. Czy też wolicie, żebym sobie poszedł i wrócił jutro? Powiedzcie. Zastosuję się do waszego życzenia.

Nie ulegało wątpliwości, że Ria nie ma zamiaru się odzywać. Danny spojrzał na dzieci.

– Idź – powiedział syn.

– Zostań – poprosiła córka.

– Jeśli zamierzasz nas opuścić, lepiej odejść od razu – powiedział Brian. Wszyscy spojrzeli na Annie.

– Dlaczego nie? – odezwała się cichym, zbolałym głosem.

– Skoro i tak jutro nas zostawisz, po co dłużej z tym zwlekać?

– Nie żegnam się z wami... – zaczął Danny. – Czy możecie to zrozumieć?

– Nie. Szczerze mówiąc, nie potrafię tego pojąć, tato – odrzekła dziewczynka. A potem podniosła swoją szkolną torbę, opuściła kuchnię i nie oglądając się za siebie, weszła po schodach na górę.

Brian patrzył w ślad za siostrą.

– Co się stanie z nami wszystkimi? – spytał.

– Jakoś to przetrwamy – zapewnił go Danny. – Nie z takimi doświadczeniami ludzie sobie radzą.

– Mamo? – Chłopiec patrzył na Rię.

301

– No cóż, jak powiedział twój tato, ludzie wychodzą cało z różnych kryzysów, więc myślę, że i nam się to uda. – W spojrzeniu, jakie posłał jej Danny, malowała się wdzięczność. Nie chciała jej. – Dzieci wyraziły życzenie, żebyś sobie poszedł.

Czy mógłbyś usłuchać ich prośby?

Wyszedł cicho, a po chwili we trójkę usłyszeli, jak zapuszcza silnik i odjeżdża sprzed domu przy Tara Road.

Ria przygotowała małe przemówienie, które wygłosiła podczas śniadania.

– Niewielkim byłam dla was oparciem wczorajszego wieczora – stwierdziła.

– Czy to naprawdę nieodwracalna decyzja, mamo? Czy nie możemy nic zrobić, ażeby ją zmienić? – Twarz synka wyrażała nadzieję.

– Wygląda na to, że nie zdołamy powstrzymać biegu wydarzeń. Chciałabym jednak wam powiedzieć, że sytuacja nie jest ani tak smutna, ani tak okropna, jak mogło się to wam wydawać wczorajszego wieczora.

– Jak mamy to rozumieć? – spytała pogardliwym tonem Annie.

– Pragnę was zapewnić, że to, co powiedział wasz ojciec, jest całkowitą prawdą. Oboje bardzo was kochamy i będziemy przy was. W potrzebie ja i tata zawsze będziemy w pobliżu –

nawet jeśli nie w tym domu – dopóki wam się to nie znudzi i nie zechcecie się usamodzielnic. Nigdy już nie podniosę głosu na waszego ojca, jak wczoraj, a on nie będzie czynił mi wyrzutów. Jeśli zapragniecie spędzić z nim, na przykład, weekend, nie będę robić trudności. I zawsze przyjmę was z otwartymi ramionami, jeśli zechcecie być ze mną. Obiecuję. – Jej wystąpienie nie zostało zbyt entuzjastycznie przyjęte przez dzieci.

302

– Proponuję, żebyście zatelefonowali dzisiaj do niego do biura i spytali, czy nie spotkałby się z wami któregoś wieczora, ażeby o wszystkim wam opowiedzieć.

– A ty nie możesz tego zrobić, mamo? – zaproponował

chłopiec.

– Nie mogę, Brianie, naprawdę. Nie znam szczegółów i mogłabym poprzekręcać fakty. Niech tata sam z wami porozmawia. Kiedy nie będzie żadnych nieudomówień, rozwiążą się wasze niepokoje.

– A jeśli każde z was przedstawi nam inną wersję wydarzeń? – dociekała Annie.

– Postaramy się tego więcej nie robić.

– Czy wszyscy już o tym wiedzą?

– Przypuszczam, że tylko kilka osób zna sprawę.

– To wiedzą czy nie wiedzą? – spytała córka niezbyt uprzejmym tonem. – Mam na myśli babcię, ciotkę Hilary i pa-na McCarthy’ego?

– Babcia i ciotka Hilary jeszcze nie wiedzą, ale pan McCarthy chyba tak. Nie zastanawiałam się nad tym, sądzę jednak, że jest o wszystkim powiadomiony. – Twarz Rii była jak gład.

– Czy wolno nam o tym rozmawiać? Czy mogę opowiedzieć o wszystkim Kitty? A może powinnam milczeć, gdyż jest to wstydliva tajemnica rodzinna?

– Kitty to twoja przyjaciółka i nie musisz niczego przed nią ukrywać.

– Nie chcę zawiadamiać Dekka i Mylesa o odejściu taty.

Wypapraliby o tym przed całą klasą – oświadczył Brian.

– To nie zawiadamiaj ich, na miłość boską – Annie straciła cierpliwość do brata. – Kto będzie sprawował prawną opiekę nad nami, ty, mamó, czy tato?

– Powiedziałam wam, że nikt nie zamierza o was walczyć.

303

Zawsze będziecie mile widziani w domu każdego z nas. Sądzę jednak, że w ciągu tygodnia prawdopodobnie będziecie mieszkać ze mną.

– Czy dlatego, że tamta kobieta nas nie chce? – Annie natychmiast stała się podejrzliwa.

– Ależ nie. Ona wie, że wasz ojciec ma dwoje dzieci i na pewno będzie chciała się z wami zaprzyjaźnić.

– Ale spodziewa się własnego dziecka – mruknął Brian.

– Jak ona się nazywa? – zainteresowała się dziewczyna.

– Nie wiem – skłamała Ria.

– Musisz znać jej imię i na pewno znasz – zawyrokowała córka.

– Nie znam. Dowiedz się od ojca.

– Dlaczego nam nie powiesz? – Annie nie dawała za wygraną.)

– Zostaw mamę w spokoju. Dlaczego się upierasz, że musi znać jej imię?

– Ponieważ to pierwsza rzecz, o jaką zapytałabym na jej miejscu. o jaką każdy by zapytał.

Danny wyśmiewał zwyczaj Rii sporządzania list, które obejmowały sprawy do załatwienia. Zawsze opatrywała swoje notatki nagłówkiem: „Lista”. A jako że przyzwyczajenie z czasem staje się drugą naturą człowieka, po wyjściu dzieci Ria usiadła przy stole i napisała „Lista”. Uściski Annie i Briana, gdy żegnali się z matką, były niezdarne, pozory normalności zostały jednak przywrócone. Łzy oraz chwile przedłużającego się milczenia minęły. Lista obejmowała wiele rozmów telefonicznych.

Najpierw Ria musiała zatelefonować do matki, ażeby ją powstrzymać przed wizytą tutaj, następnie do Hilary, a o dziesiątej, gdy otwierano sklep, z którego zyski przeznaczone były 304

na cele charytatywne, musiała uprzedzić, że dzisiaj nie przyjdzie. Zamierzała też skontaktować się z Rosemary w jej biurze, zadzwonić do pralni do Gertie, a także do Colma, aby podzię-

kować mu za życzliwość, jaką jej okazał.

Wreszcie czekała ją rozmowa telefoniczna z Dannym.

Obok imienia męża dopisała pewną ręką: „Nie przepraszać”.

Nora Johnson zaczęła się tłumaczyć z przebiegu lunchu:

– Może być problem z wysokością rachunku w restauracji.

Zapewnili nas jednak, że możemy za darmo wypić trzy likiery kawowe. Prawdę mówiąc, Rio, nalegali, żebyśmy przyjęły po-częstunek. Gdyby jednak pojawiły się jakieś wątpliwości...

– Czy możesz przestać mówić, mamó? Bardzo cię proszę.

– Dlaczego używasz takiego, tonu w stosunku do swojej matki?

– Posłuchaj mnie, mamó, dzisiaj nie mam dobrego dnia.

Danny i ja zamierzamy wystąpić do sądu o separację. Wczoraj wieczorem powiedzieliśmy o tym dzieciom. Niezbyt dobrze przyjęły tę wiadomość.

– Wyprowadził się z domu? – Głos matki brzmiał bardzo spokojnie.

– Tak. Nie postanowiliśmy jeszcze, co zrobimy z domem, lecz Danny już się wyprowadził.

– Zatrzymaj dom – poradziła matka tonem przypominają-

cym trzask sideł.

– Musimy jeszcze to wszystko przedyskutować. Jeśli pozwolisz, rozłączę się, ponieważ nie jestem dzisiaj w nastroju do rozmów.

– Rozumiem, ale musisz porozmawiać z prawnikiem o za-trzymaniu nieruchomości.

– Och, mam, nie to jest w tej chwili najistotniejsze. Mój mąż odchodzi. Nie jest ci z tego powodu przykro? I nie współ-

305

czujesz mi?

– Zawsze przewidywałam, że kiedyś to nastąpi.

– Nie mogłaś tego przewidzieć.

– Ależ tak. Danny ma bardzo małe chytne oczy – powiedziała matka Rii.

– Czy mogę rozmawiać z panią Hilary Morgan?

– Jezu, Rio, szczęściara z ciebie, że nie skorzystałaś z tego talonu. Mam straszliwego kaca.

– Czy mogę coś powiedzieć, Hilary?

– Oczywiście. Nie umiem pozbierać myśli i z pewnością nie powinnam słuchać tych szkolnych wrzasków, jednak mu-szę tkwić tutaj aż do trzeciej po południu. O Boże, nawet nie wiesz, jaka jesteś szczęśliwa, że przez cały dzień nie masz nic do roboty i możesz siedzieć w tym swoim wielkim domu...

– Zamilknij, Hilary, i dopuść mnie wreszcie do głosu...

– Słucham?

– Mój mąż ma inną kobietę i ona jest w ciąży.

– Nie wierzę.

– To prawda. Chciałam osobiście ci o tym powiedzieć, że-by uprzedzić mamę, która prawdopodobnie próbuje się właśnie do ciebie dodzwonić. – Ria wyczuła nieznaczące drżenie w swoim głosie.

– Jest mi ogromnie przykro, Rio. Nie potrafię wyrazić, jak bardzo.

– Wiem, Hilary.

- I co teraz będzie?
 - Sądzę, że sprzedamy dom i Danny pójdzie swoją drogą, a ja swoją. Nie mam pojęcia, co dalej.
 - A co na to dzieci?
 - Są w ciężkim szoku, podobnie jak ja.
 - O niczym nie wiedziałaś? Nie podejrzewałaś niczego?
 - Nie. A jeśli powiesz mi, jak mama, że Danny ma małe 306 chytre oczy, dopadnę cię i zamorduję.
- Zachichotały. W środku rozmowy o tym wszystkim umiały jeszcze śmiać się z matki.
- Może zwolnię się z zajęć pod pretekstem złego samopoczucia i przyjadę do ciebie? – zaproponowała bez przekonania Hilary.
 - Nie, dziękuję. Muszę załatwić miliony spraw, naprawdę.
 - Mam nadzieję, że jedną z nich jest położenie ręki na akcie własności domu – powiedziała Hilary, zanim odłożyła słuchawkę^
- Frances Sullivan, żona dentysty, prowadziła sklep, w którym obie dyżurowały.
- Oczywiście, Rio... Znajdę kogoś, kto cię zastąpi dzisiaj przed południem. Nie musisz się tym kłopotać. Czy wybierasz się na jakąś miłą przejażdżkę?
 - Nigdzie się nie wybieram. Muszę rozwiązać pewne rodzinne problemy...
 - Życzę powodzenia. Czy przypadkiem nie są związane z Annie i moją Kitty?
 - Nie, a skąd to przypuszczenie? – W głowie Rii zadźwięczały dzwonki alarmowe.
 - To nic ważnego – próbowała się wycofać Frances.
 - Nie ukrywaj niczego przede mną. Ja powiedziałabym ci, gdyby coś do mnie dotarło.
 - Prawdopodobnie nie ma o czym mówić. Kitty wygadała się przede mną, że obie z Annie wybierają się w przyszłą sobotę na rajd motocyklowy. Zastanawiałam się, czy coś ci o tym wiadomo.
 - Chyba nie mówisz o przyszłej sobocie? W tym dniu podobno mają kolejne spotkanie dyskusyjne w szkole.

– Nie sądzę – odrzekła Frances Sullivan. – Ale niczego ode 307

mnie nie słyszałaś.

Sekretarka natychmiast połączyła ją z panią Ryan.

– Czy nie telefonuję w złym momencie, Rosemary?

– Zamierza z nią zerwać?

– Nie ma na to szansy.

– A co z dziećmi?

– Bardzo źle przyjęły całą sprawę, to zrozumiały. Pomiędzy mną a Danym doszło do prawdziwej sceny.

– Dobrze się czujesz, Rio?

– W tej chwili tak, włączyłam automatycznego pilota.

Dziękuję za wszystko, co dla mnie zrobiłaś.

– Za co właściwie?

– Za fryzjera oraz za lunch dla mamy i Hilary. A skoro o nich mowa: zalały się obie i rachunek może być znacznie wyższy, niż się tego spodziewałyśmy.

– Och, na miłość boską, Rio!

– Dziękuję także za to, że byłaś przy mnie i za słowa otuchy. Za nie jestem ci najbardziej wdzięczna, szkoda tylko, że nie zdołałam ich lepiej wykorzystać.

– Znowu zejdziecie się ze sobą, zobaczysz.

– To raczej mało prawdopodobne.

– Nadal mieszkasz przy Tara Road, prawda?

– Na razie tak.

– Zostań tam, Rio. On nie wyrzeknie się tego domu.

– Gertie, szczerze doceniam to, że wczoraj do mnie przyszłaś. Wiem, że moment nie był dla ciebie zbyt dogodny.

– Czy załatwiliście pomyślnie sprawę?

– Niestety nie.

– Nie ma bardziej doświadczonej osoby niż ja w kwestii rodzinnych sprzeczek. Danny szczerze pożałuje swojego wy-skoku, wierz mi, i zrobi wszystko, żeby naprawić stosunki po-308

między wami. I rzuci tę dziewczynę, kimkolwiek ona jest, bez względu na to, co zrobi: urodzi dziecko czy zdecyduje się na zabieg. A wy oboje znowu będziecie razem. Wiem, że nie spodoba ci się ten przykład, ale, podobnie jak ja i Jack, jeste-

ście skazani na siebie.

– Wiem, że chcesz mi pomóc, Gertie, ale...

– Posłuchaj, czy możesz wyobrazić sobie życie któregoś z was poza Tara Road? Jesteście stworzeni do tego, aby tam mieszkać. I wasz dom stanowi gwarancję pomyślnego rozwiązania konfliktu.

– Czy to ty, Colmie? Mówi Ria Lynch.

– Witaj, Rio.

– Byłeś dla mnie bardzo serdeczny. Nie podziękowałam ci za pomoc, jaką mi okazałeś.

– Nie ma za co dziękować. Od tego są przyjaciele.

– Ale nikt nie powinien uważać przyjacielskiego wsparcia za rzecz naturalną.

– Ty jesteś daleka od tego.

– Nie wiem. Fakty docierają do mnie z opóźnieniem.

– Są takie dni, kiedy nam wszystkim to się zdarza.

– Dziękuję, że nie spytałeś, czy się pogodziliśmy.

– Te sprawy wymagają czasu.

Działał na nią uspokajająco i o nic nie pytał, dlatego opowiedziała mu o wszystkim. Po poprzednich rozmowach obecna wydała jej się bardzo kojąca.

– Danny?

– To było okropne – oznajmił na przywitanie. – Przepraszam.

Ria spojrzała na swój niewielki świstek papieru. Widniało tam polecenie: „Nie przepraszaj”. Miała ochotę się rozpłakać i 309

powiedzieć mu, że jest jej przykro i że oboje nie należą do tego typu ludzi, którzy skaczą sobie do oczu. Chciała, aby wrócił do domu i wziął ją w ramiona. „Nie przepraszaj”, przeczytała i pojęła, iż miała rację, pisząc te słowa. Danny nie zamierzał

wrócić do domu. Nigdy.

– Trudno znaleźć sposób, który nie byłby okropny – odrzekła rzeczowym tonem. – Zastanówmy się nad tym, czy zdo-

łamy jakoś poprawić sytuację. Poradziłam dzieciom, żeby dzisiaj zatelefonowały do ciebie. Może znajdziesz dla nich czas któregoś wieczora i spotkasz się z nimi gdzieś na neutralnym gruncie? Wyjaśnisz im wszystko i opowiesz o swoich zamiarach na przyszłość. Przedstawisz im także wakacyjne plany.

– Ależ nic nie zostało jeszcze konkretnie postanowione.

Oboje najpierw...

– Muszą wiedzieć, czego się mają spodziewać. Czy bę-

dziesz gotował dla nich obiady oraz czy będą mogli spędzać u ciebie weekendy. Wiedzą, że Tara Road zawsze pozostanie ich domem, ale nie mają pojęcia, co ty zamierzasz im zaoferować.

– Czy nie będziesz przeciwna...

– Annie ma prawie piętnaście, a Brian dziesięć lat, Danny.

Chyba nie sądzisz, że mogłabym narzucić swoją wolę dzieciom w tym wieku i zakazać im spotykania się z własnym ojcem?

Zresztą wcale nie mam ochoty tego robić. Muszą usłyszeć od ciebie możliwie jak najwięcej dobrych wieści.

– Jesteś bardzo opanowana – stwierdził z uznaniem.

– Wiesz, że nie jestem. Zapewnisz ich, że gdziekolwiek byś się znalazł, zawsze będą u ciebie mile widziani. I nie ogra-niczysz się do czczych frazesów, lecz przedstawisz im kon-kretne plany, zgoda?

– Plany?

– Przypuszczam, że gdzieś mieszkasz? – Tak.

– Czy przewidziałeś tam również miejsce dla nich, gdyby 310

chcieli się u ciebie zatrzymać?

– Zatrzymać się?

- Kiedy przyjdą do ciebie z wizytą.
- Obecnie to tylko ciasne mieszkanie.
- Gdzieś w pobliżu? – Głos Rii, choć brzmiało w nim zainteresowanie, pozbawiony był jakichkolwiek emocji.

– Na osiedlu Bantry Court, w bloku, który wybudowali-
śmy... który Barney postawił przed kilkoma laty, pamiętasz?

– Tak, pamiętam – odpowiedziała. – To wspaniale, że udało ci się znaleźć mieszkanie w tak bliskim sąsiedztwie. –

Miała nadzieję, że gorycz w jej głosie nie jest zbyt wyraźnie słyszalna.

– Nie należy do mnie, lecz do Bernadette. Dostała je od ojca na swe osiemnaste urodziny. Rozumiesz, był to rodzaj inwestycji.

– I z pewnością okazała się trafna – zauważyła ponurym tonem Ria.

– On już nie żyje.

– Ach tak.

– A jej matka jest nieco zaniepokojona całą sytuacją.

– Wyobrażam to sobie.

– To ona wtedy do ciebie telefonowała; kobieta, która się nie przedstawiła, pamiętasz? Przypuszczam, że mnie sprawdzała.

– Ale chyba wiedziała, że jesteś żonaty?

– Sądzę, że tak. – Jego głos miał żalosne brzmienie.

– Pewnie wkrótce zamieszkacie we własnym domu? – Ria nadal mówiła pogodnym tonem. – Gdzie wszyscy się pomieszczą.

– Pewnie tak.

Zapadło milczenie. Po chwili odezwał się Danny:

– Uporządkowanie takich spraw wymaga czasu, chyba 311

zdajesz sobie z tego sprawę?

– Sądzę, że Annie i Brian będą zachwyceni, jeśli przedstawisz im określone plany. Powinni mieć

pewność, że cię nie stracą.

– A ty nie mogłabyś... ?

– Większość czasu i tak będą spędzać ze mną. Także podczas lata. Opowiedz im o wakacjach, na które ich zabierzesz.

Wspominałeś kiedyś o wypożyczeniu łodzi i rejsie po Shannon, pamiętasz?

– Sądzisz, że przypadnie im do gustu ten pomysł? Wiesz, mam na myśli wakacje bez ciebie?

– Beze mnie? No cóż, muszą się zacząć przyzwyczajać do mojej nieobecności w okresach, gdy będą przebywać z tobą.

My wszyscy musimy się z tym oswoić. Lepiej, żeby się tego czym prędzej nauczyły. Nie pozwól, aby wpadły w panikę na myśl o tym, że na dobre zniknąłeś z ich życia.

Podczas rozmowy Ria ani razu nie wymieniła imienia Bernadette. Ani słowem nie wspomniała też o dziecku, które miała urodzić tamta dziewczyna. Wyraziła się jasno, że oczekuje, ażeby Annie i Brian stali się częścią nowej rodziny. Za-leżało jej tylko na tym, by Danny nie zamykał drzwi przed swoją córką i synem.

– Jeszcze jedno. Czy twoi rodzice wiedzą o... zaistniałej sytuacji?

– Ależ skąd! – Był zaskoczony tym przypuszczeniem.

– Nie martw się. Zawiadomię ich o wszystkim przy najbliższej okazji.

– Nie wiem, co powiedzieć... – zaczął.

– A Barney, Mona, Polly... Czy oni są zorientowani we wszystkim?

– Mona o niczym nie wie – zapewnił ją pośpiesznie Danny.

312

– Ale Barney jest na bieżąco w całej sprawie?

– Pomaga nam w znalezieniu domu.

– Tak, jak pomógł w zdobyciu tego – zauważyła Ria. Poczowała, że ogarnia ją nagła wściekłość na Barneya McCarthy'ego. Uzmysłowała sobie, że nigdy nie darzyła sympatią tego człowieka. Lubiła obie jego kobiety, lecz za nim samym nie przepadała. Jakie to dziwne, że do dzisiaj nie zdawała sobie z tego sprawy. Postanowiła zmienić temat.

– Łatwo można odwrócić uwagę dzieci od spraw zasadni-czych. Postaraj się roztoczyć przed nimi wspaniałą wizję wakacji.

- A co ty będziesz robić, kiedy wszyscy wyjedziemy?
- Być może również wybiorę się dokądś na urlop.
- Ależ skarbie... dokąd...
- Czy mogę cię prosić, żebyś nie zwracał się do mnie w ten sposób, Danny?
- Bardzo cię przepraszam. Już raz o tym wspominałaś, wiesz jednak, że to słowo nie ma dla mnie żadnego znaczenia.
- Teraz wiem. Dotychczas sądziłam, że ma.
- Proszę cię, Rio.
- W porządku, Danny. Zakończmy tę rozmowę.
- Dokąd mam ich zabrać? Do McDonald’sa czy do „Planet Hollywood”?
- Nie wiem. Przeprowadzenie rozmowy w obu tych miejscach może okazać się trudne, ale najlepiej będzie, jeśli sami wybieriecie lokal.

Potem się rozłączyli.

Rozmowa okazała się mniej stresująca, niż Ria się tego spodziewała. Zabawne, jak bardzo zirytował ją współudział

Barneya w całej sprawie. Nedorzecznnością przecież było denerwować się z tego powodu. W końcu ona sama wraz z Dannym od lat zachowywała w tajemnicy sekret przedsiębiorcy. I 313

nigdy nie powiedzieli Monie McCarthy, gdzie naprawdę za-słabł jej mąż owej nocy, kiedy urodziła się Annie Lynch.

314

Rozdział 4

Ria zupełnie straciła poczucie czasu. Nieraz budziła się wkrótce po położeniu się do łóżka, myśląc, że jest już rano i ze zdumieniem uświadamiała sobie, iż przespała zaledwie pół

godziny. Puste miejsce obok niej wydawało się bezdenną otchłanią. Wstawała wtedy, podchodziła do okna i obejmowała się ramionami, jak gdyby próbowała w ten sposób ukoić swój ból. Właśnie minęła północ, a Danny spał w jakimś bloku mieszkalnym, tuląc do siebie tego dzieciaka. Myśl o tym była nie do zniesienia. Ria obawiała się, że jej umysł nie zdoła wytrzymać tak wielkiego stresu. Przecież nieraz zdarzały się podobne przypadki. Kiedy podczas owych długich godzin siedziała, bezmyślnie gapiąc się w okno, gdy znikwały gwiazdy i wstawał świt, zastanawiała się, czy przypadkiem, niepostrze-

żenie, już nie postradała zmysłów. Jednak w ciągu dnia udawało jej się funkcjonować prawidłowo. Dom był posprzątanym, posiłki ugotowane, ludzie przychodzili i wychodzili. I rozmawiała normalnie – a przynajmniej tak jej się wydawało – z ty-mi, którzy wypowiadali do niej jakieś słowa.

Wszystko było jednak nierzeczywiste. Wieczorami nie potrafiła przypomnieć sobie żadnych faktów, jakie się wydarzyły podczas minionego dnia. Czy to dzisiaj Myles i Dekko przynieśli trzy żaby, aby je wpuścić do wanny? A może było to wczoraj albo przed tygodniem? – Kiedy nastąpiła owa straszliwa kłótnia z Annie o Kitty? I jak do niej doszło? Czy Hilary przyniosła sześć pasternaków z prośbą, ażeby siostra ugotowa-

ła dla niej zupę, którą zabrałaby potem ze sobą do domu, czy też Ria tylko to sobie wymyśliła?

Nie wątpiła w to, że Danny wróci. Tylko kiedy? Jak długo jeszcze miał trwać ów poniżający i bolesny okres wyczekiwa-315

nia, zanim rzuci klucze na stół w holu i powie: „Wróciłem, skarbie. Każdy mężczyzna czasami zaangażuje się w jakiś głupi romans, ale mój już się skończył. Wybaczysz mi czy mam cię błagać o to na kolanach?”.

Natychmiast mu przebaczy. Uścisną się mocno, a potem być może wyjadą gdzieś razem na urlop. Przez jakiś czas będą starannie unikać w rozmowach wzmianki o Bernadette, a potem jej imię pojawi się jako rodzaj ryzykownego żartu.

Ale kiedy rozpocznie się ów proces gojenia ran? Czasami w ciągu dnia Ria nieruchomieła nagle podczas wykonywania jakiejś czynności, uświadamiając sobie kolejne kłamstwa. Ko-lorowa koszula kupiona w Londynie. Przecież to ta dziewczyna ją dla niego wybrała. Bernadette była tam razem z nim. Ria musiała usiąść w chwili, kiedy uzmysłowiła sobie ową prawdę.

A potem rachunek za telefon w jego samochodzie. Danny łą-

czył się głównie z jej numerem, który obecnie podał Rii, w razie nagłej potrzeby, jako swój. Perfumy ze strefy wolnocłowej były prezentem, który miał złagodzić poczucie winy z powodu wycieczki z Bernadette. Albo dzień, kiedy wybrali się wszyscy do zoo... W chwili kiedy wchodzili do pawilonu z lwami, Danny został nagle wezwany do pracy. Nie z biura po niego telefonowali; to Bernadette chciała się z nim spotkać. Ria przypominała sobie jeszcze wiele innych tego typu faktów.

Przez cały ten czas niczego nie podejrzewała. Była straszliwą idiotką; łatwowierną, naiwną idiotką. Zaraz jednak zakwestionowała tę opinię. Kto chciałby być strażnikiem, śledzącym każdy ruch bliskiej osoby? To proste – jeśli się kogoś kocha, to mu się ufa.

Ale wszyscy wokół wiedzieli, to oczywiste. Kiedy telefonowała do Danny’ego do biura, współpracownicy zapewne wznosili oczy do nieba, odczuwając zarówno współczucie, jak i rozdrażnienie. I mówili o niej: kura domowa, która nie wie, że 316

jej mąż ma inną kobietę. Nawet Trudy, dziewczyna odbierająca telefony, musiała łączyć rozmowy z Bernadette tak często, jak z Rią. Być może Bernadette też знаła imię sekretarki i poprosiła tę

dziewczynę o przepis na dietę, co stanowiło dobry sposób wkupienia się w jej łaski?

Oczywiście do grona wtajemniczonych należał również Barney McCarthy, który często bywał w ich domu przy Tara Road i chwalił wyborną kuchnię Rii. Zapewne wielokrotnie spotykał się w mieście z Dannym i Bernadette. A i „U Quentina”, dokąd Ria wybierała się raz do roku z okazji rocznicy swojego ślubu, sympatyczna Brenda Brennan, szefowa restauracji, też musiała o wszystkim wiedzieć. I szczerze współczuła Rii, myszowatej i nie podejrzewającej niczego żonie.

Z całą pewnością Polly także była wprowadzona w sprawę, choć nie współczuła Rii, lecz żywiła do niej pogardę, ponieważ Ria była w identycznej sytuacji jak Mona. A Mona? Czy wiedziała? Ria od tak dawna oszukiwała ją, ukrywając istnienie Polly, że być może Mona przez cały czas robiła to *Hamo* w związku z Bernadette.

Niewykluczone, że gdyby sytuacja nie była tak ohydna, Ria uznałaby ją za zabawną. Ale skoro tak wiele osób wiedziało, czy Rosemary również zaliczała się do ich grona? Jej uwagi nie uchodziło przecież żadne wydarzenie w Dublinie.

Nie, to niemożliwe. Ria była pewna, że reakcja tamtej na wieść o romansie Danny’ego nie była udawaniem. Poza tym jako prawdziwa przyjaciółka wyjawiałaby jej prawdę. Gdyby Rosemary i Gertie wiedziały o tej sprawie, z pewnością jakoś spró-

bowałaby Rię ostrzec: nie dopuściłyby do tego, żeby nagle świat runął jej na głowę. Od czasu do czasu Ria zastanawiała się, czy przyjaciółka przypadkiem nie przekazywała jej ostrze-

żeń. Czy wszystkie owe rady dotyczące strojów i znalezienia sobie pracy nie były pewnego rodzaju sugestiami, że jej sytu-

acja rodzinna wcale nie jest taka wspaniała?

Sullivanowie z całą pewnością o wszystkim wiedzieli.

Frances była konkretna i życzliwa.

– To prawdopodobnie tylko przelotny związek, moja droga. Mężczyźni przed czterdziestką zachowują się bardzo dziwnie. Jeśli zdołasz przetrzymać kryzys, jestem pewna, że wszystko się dobrze ułoży.

– Wiedziałaś o tym? – spytała ją Ria bez ogródek. Odpowiedź nie była równie jednoznaczna.

– W tym mieście krąży mnóstwo różnych plotek i opowie-

ści, a od słuchania tego wszystkiego człowiekowi może pomieszać się w głowie. Mam wystarczająco dużo własnych problemów z utrzymaniem w korbach Kitty.

Colm prawdopodobnie nie wiedział. Danny nie był chyba na tyle głupi, ażeby zabierać kochankę do restauracji, która znajdowała się kilka kroków od domu. Jednak wiele innych osób doskonale orientowało się w sytuacji. Ria czuła się straszliwie poniżona na myśl o tym, jak wiele. Kierowcy

taksówek, pracownik stacji benzynowej, a prawdopodobnie również Larry, dyrektor banku. Kto wie, czy Bernadette nie przeniosła tam swoich pieniędzy i oboje z Dannym nie mieli teraz wspólnego konta?

Mężczyzna zatrudniony do mycia okien zapytał o Danny'ego:

– A gdzie się podziewa pani mąż?

Ria była dzisiaj w nastroju do zwierzeń.

– Odszedł. Rzucił mnie dla młodszej.

– Zawsze miał rozbiegany wzrok. To dobrze, że go się pani pozbyła – stwierdził tamten. Dlaczego to powiedział? Dlaczego?

I co było powodem, że klienci sklepu, gdzie pracowała ja-318

ko wolontariuszka, ściskali jej rękę i mówili, że jest wspaniałą kobietą? Kto im powiedział? Czyżby wiedzieli o całej sprawie od samego początku? Och, jak bardzo Ria pragnęła zaleźć się z dala od tych wszystkich, którzy byli zorientowani w sytuacji; okazywali współczucie i protekcyjnie gładzili ją po głowie.

Ria wiedziała, że owe rozmowy skończą się z chwilą, kiedy Danny rzuci Bernadette i wróci do domu. Ale jak długo jeszcze miała czekać na ten moment i znosić pobłażliwe uśmiechy ludzi, zachowujących się tak, jak gdyby jej mąż złapał grypę?

Oczywiście musiała także radzić sobie z dziećmi. Annie miała ostatnio ogromną huśtawkę nastrojów: to winiła matkę za odejście ojca, to znów obarczała za to winą samą siebie.

– Gdybyś zachowywała się trochę bardziej normalnie, mamó... gdybyś nie mówiła tyle i nie zajmowała się wiecznie gotowaniem, tata by nas nie rzucił. – A już następnego dnia lamentowała: – To wszystko przeze mnie. Nazywał mnie swoją księżniczką, a ja nie poświęcałam mu nigdy ani chwili i wiecznie przesiadywałam u Kitty. Tato doszedł do wniosku, że go nie kocham i znalazł sobie dziewczynę niewiele starszą ode mnie.

Dwa razy spytała matkę, czy mogą napisać list do ojca i wyjaśnić mu, jak bardzo czują się teraz osamotnieni.

– Pewnie nie zdaje sobie z tego sprawy – szlochała.

– Dobrze o tym wie. – Ria była niewzruszona niczym głaz.

– Skoro wie, to dlaczego nie wraca?

– Wróci, ale jeszcze nie jest gotowy do podjęcia takiej decyzji. I naprawdę uważam, Annie, że nie powinniśmy go ponaglać. – Ria po raz pierwszy spostrzegła, że dziewczynka potakująco kiwa głową. Był to rzadki wypadek, kiedy córka podzielała jej opinię.

Syn miał również swoje poglądy w tej kwestii.

– Prawdopodobnie przeze mnie tato nas opuścił. Nigdy się 319

porządnie nie myłem.

– Nie sądzę, ażeby akurat to było powodem jego odejścia, Brianie.

– Z pewnością to. Wiesz, że ojciec codziennie brał prysznic i co rano wkładał czystą koszulę.

– Dorośli ludzie na ogół dbają o czystość.

– Możemy mu powiedzieć, że od tej pory zawsze będę się mył starannie, obiecuję.

– Gdyby ojciec miał zamiar cię porzucić dlatego, że jesteś brudny, zrobiłby to już przed łąty – stwierdziła ponuro Annie.

Pewnego dnia chłopiec doszedł do wniosku, że ojciec opuścił dom z powodu seksu.

– Tak twierdzą Dekko i Myles. Uważają, że przeprowadził

się do niej, ponieważ ma ochotę robić to z nią nieustannie przez całą dobę.

– Domysły twoich kolegów chyba nie są słuszne – odrzekła Ria.

– Może nie całkowicie, ale po części tak. Mogłabyś zatelefonować do niego i obiecać mu, że ty także będziesz zainteresowana robieniem tego w dzień i w nocy. – Czuł się trochę skrępowany i zawstydzony, że musi rozmawiać z własną matką o takich sprawach, był jednak głęboko przekonany, że nie można tego przemilczeć.

– To nie jest dobry pomysł, Brianie. – Ria ucieszyła się, że córka nie jest obecna przy tej rozmowie.

Kiedy jednak chłopiec wyciągnął asa z rękawa, Annie znajdowała się razem z nimi w pokoju.

– Mamo, wiem, jak nakłonić tatę do powrotu do domu.

– To może być interesujące – zauważyła jego siostra.

– Powinniście mieć jeszcze jedno dziecko.

Cisza, jaka zaległa po tym stwierdzeniu, była niemal ogłuszająca.

320

– Możesz je urodzić – ciągnął dalej syn. – Nie będę temu przeciwny. Rozmawiałem już z Mylesem i Dekkiem. Twierdzą, że nie jest to aż takie straszne, jak by się mogło wydawać.

We trzech będziemy się opiekować brzdącem wieczorami. To wspaniały sposób na powiększenie

kieszonkowego. – Spojrzał

na przygnębiłą twarz matki. – Posłuchaj, mamó. Jeśli tylko tato wróci, jestem gotów zajmować się dzieckiem za darmo.

Nie będę brał od was żadnych pieniędzy.

Ria myślała o tym, jak cudownie byłoby znaleźć się całe mile stąd, gdzie nie musiałaby zapewniać ludzi, że czuje się dobrze i że wszystko w porządku, choć w rzeczywistości świat daleki był od ideału i już na zawsze miał taki dla niej pozostać.

Aby uniknąć spotkania ze znajomymi, często w ogóle rezygnowała z wychodzenia z domu. Miała jednak całkowitą świadomość niebezpieczeństw, jakie niesło ze sobą zagrzebanie się na Tara Road i zaakceptowanie roli zdradzonej żony poprzez prowadzenie pustelniczego życia.

Od strony drzwi wejściowych dobiegł ją jakiś dźwięk.

Podniosła głowę i znieruchomiała na moment. Czasami mąż wpadał do domu w ciągu dnia.

„Stęskniłem się za tobą, skarbie. Nie przytulisz się do swego zapracowanego męża?” –

zawsze się wtedy przytulała. Kiedy to się skończyło? I dlaczego tego nie spostrzegła? Dlaczego szelest wsuwanej pod drzwi ulotki reklamowej nadal wywoływał przypuszczenie, że to Danny przyszedł do domu? Powrót do rzeczywistości kosztował dzisiaj Rię wyjątkowo dużo wysiłku; z trudem uświadomiła sobie, co się wokół niej dzieje oraz porę dnia. Słyszając dzwony na Anioł Pański, spojrzała na ścienny zegar. Każdy to robił, jak gdyby odruchowo sprawdzając, czy w kościele dopilnowali właściwej pory. W tym samym momencie zadzwonił

telefon.

321

Nieznajoma kobieta mówiła z wyraźnym amerykańskim akcentem:

– Proszę mi wybaczyć, że telefonuję do domu, ale to mój jedyny kontakt z panem Dannym Lynchem, pośrednikiem handlu nieruchomości, jaki udało mi się zdobyć. W informacji nie znali numeru do jego biura.

– Słucham panią. – Ria była przygaszona.

– Będę się streszczać. Nazywam się Marilyn Vine. Oboje z mężem byliśmy w Irlandii przed piętnastoma laty. Poznaliśmy wtedy pana Danny’ego Lyncha, który próbował nas zainteresować nabyciem pewnej nieruchomości...

– Jeśli pani sobie życzy, podam numer męża do pracy, ponieważ nie zastała go pani w domu...

– Bardzo proszę, oczywiście, ale czy mogłaby mi pani poświęcić jeszcze minutę? Chciałabym się dowiedzieć, czy mąż mógłby wyświadczyć mi przysługę, o jaką zamierzam się do niego zwrócić. W

grę nie wchodzi żadne transakcje finansowe.

– Och, wobec tego bardzo wątpię, aby miał ochotę się tym zająć – oświadczyła Ria.

– Słucham?

– Chciałam powiedzieć, że ostatnio obchodzą go tylko wartości i ceny, ale być może nie powinnam tego mówić. Jestem dzisiaj wyjątkowo źle do niego nastawiona.

– Proszę mi wybaczyć. Chyba zatelefonowałam w nieodpowiednim momencie.

– Odtąd już nigdy nie będzie dobrych momentów. Liczyła pani na to, że Danny wyświadczy pani jakąś przysługę za darmo?

– Chyba niezbyt dokładnie się wyraziłam. Pan Lynch wydał mi się szalenie sympatycznym, przystojnym, młodym człowiekiem i zastanawiałam się, czy przypadkiem nie wie o 322

kimś, kto chciałby się zamienić mieszkaniem na lato. Mam do zaoferowania dom z basenem, położony w Westville, w miasteczku akademickim – wygodny, jak sądzę, i przytulny. Szukam w Dublinie nieruchomości z ogrodem, usytuowanej blisko centrum, dokąd mogłabym chodzić na piechotę.

– Ma pani na myśli tegoroczne wakacje? – upewniła się Ria.

– Tak. A konkretnie lipiec i sierpień. Wiem, że trochę późno się do tego zabrałam... ale prawdę mówiąc, dopiero ubiegłej nocy doszłam do wniosku, że chciałabym spędzić lato w Irlandii. Nie mogłam spać i postanowiłam zatelefonować.

– Dlaczego pomyślała pani akurat o Dannym? – spytała cichym i wyważonym tonem.

– Pani mąż wydał mi się bardzo bystry i rzutki, a poza tym oprócz niego nie znam nikogo w waszym kraju. Byłam pewna, że jeśli sam nie zajmuje się wymianą domów na lato, zdoła skontaktować mnie z właściwą osobą.

– A jaki dom panią interesuje: duży czy mały?

– Wszystko mi jedno. Nie będę się czuła samotna, nawet jeśli będzie przestronny. A osoba, która zdecyduje się przyjechać do Westville, będzie mogła zaprosić cztery do pięciu osób, ponieważ mój dom jest dość obszerny. Będzie miała też do dyspozycji dwa samochody oraz możliwość zwiedzenia wielu ciekawych miejsc w okolicy.

– Czy w Ameryce nie ma agencji, z których pośrednictwa mogłaby pani skorzystać?

– Oczywiście, że są. A także oferty internetowe. Przypomniałam sobie jednak przyjazną twarz agenta, którego pozna-

łam przed wieloma laty i pomyślałam, że prościej będzie zwró-

cić się do niego o pomoc. Pani mąż na pewno mnie nie pamię-

ta. Obecnie nie jestem w nastroju, aby prowadzić rozmowy i negocjacje z zupełnie obcymi ludźmi. Choć zapewne wyda się 323

to pani nieco dziwne.

– Myli się pani. Dokładnie wiem, co pani czuje.

– Czy rozmawiam z panią Lynch?

– Nie wiem.

– Co proszę?

– Jesteśmy w separacji z mężem i staramy się o rozwód. W

Irlandii można się już rozwodzić, wie pani o tym?

– Zatelefonowałam w niewłaściwym momencie. Ogromnie panią przepraszam.

– Ależ nie, moment jest doskonały. Zróbmy to.

– Co takiego?

– Ja pojedę do pani, a pani przyjedzie tutaj na lipiec i sierpień. Umowa stoi!

– No cóż, sądzę, że powinniśmy...

– Oczywiście, że powinniśmy. Przyślę pani zdjęcia oraz wszelkie inne niezbędne informacje. Dom jest uroczy, pokocha go pani. Stoi przy Tara Road, w ogrodzie rośnie wiele drzew, ma pięknie wypolerowane drewniane podłogi oraz śliczne, stare witraże w oknach, a także... oryginalne stiuki na suficie i... i... – Ria już otwarcie płakała. Po drugiej stronie linii panowało milczenie. Wzięła się w garść. – Wybacz mi, proszę, dobrze, Marion?

– Marilyn, Marilyn Vine.

– Nazywam się Ria Lynch i nie jestem teraz w stanie wy-myślić nic, na czym zależałoby mi bardziej niż na wyniesieniu się jak najdalej stąd – do jakiegoś spokojnego miejsca z basenem, położonego w atrakcyjnej pod względem turystycznym okolicy. Mogę zabrać tam na miesiąc dzieci, drugi zaś spędzić samotnie i zastanowić się nad własną przyszłością. To z powodu niepewnego jutra dałam się przed chwilą nieco ponieść emocjom.

– Z tego, co mówisz, wnioskuję, że szukam dokładnie ta-324

kiego domu jak twój. Zróbmy to!

Nie można było poznać po jej głosie, że stoi w kuchni swojego domu z białego drewna, a po twarzy również spływają jej łzy. W końcu Marilyn odłożyła telefon na kuchenny blat i z filiżanką kawy wyszła do ogrodu. Usiadła przy basenie, gdzie wcześniej pływała. Pokonywanie piętnastu długości rano i po południu stało się jej codziennym rytuałem, jak mycie zębów.

Była godzina siódma dziesięć rano, a Marilyn właśnie zgodziła się na zamianę domów z jakąś wyjątkowo roztrzęsioną kobietą, która najwyraźniej przechodziła życiowy kryzys. Z kobietą, której nigdy nie widziała na oczy i która mieszkała tysiące mil stąd. Z osobą, która być może nie miała prawa wynajmować swego domu, gdyż w związku z przeprowadzaniem rozwodu sąd badał zapewne prawne aspekty aktu własności budynku.

Marilyn wiedziała, że postąpiła głupio, podejmując spontaniczną decyzję wczesnym rankiem, pod wpływem chwilo-wego kaprysu. Prowadzenie rozmów telefonicznych o tak wczesnej porze nie leżało w jej zwyczaju. A tym bardziej akceptowanie planów jakiejś rozhisteryzowanej kobiety po drugiej stronie linii. Doszła do wniosku, że już nigdy nie pozwoli sobie na tak wielką nieroztropność. Pozostawał tylko jeden problem – czy powinna ponownie zatelefonować i odwołać tę nedorzeczną umowę, zanim ów pomysł na dobre zakorzeni się w umyśle tamtej kobiety, czy też wystarczy, jeśli do niej napi-sze?

Mogła zadzwonić natychmiast – obecny moment wydawał

się najzręczniejszy, by wycofać się z zawartego układu – i powiedzieć, że wymiana nie jest możliwa z powodu rodzinnych obowiązków, od których nie może się uchylić. Marilyn uśmiechnęła się krzywo na myśl o sobie jako o kobiecie z ro-dzinnymi zobowiązaniami. Lecz przecież ta Ria w Irlandii nie
325

jest zorientowana w jej życiowej sytuacji. Łatwiej byłoby napisać albo wysłać e-mail, byleby tylko nie słyszeć rozczarowa-nia w jej głosie. Na Tara Road nie było jednak tak nowoczesnych urządzeń, a pani Lynch nie miała dostępu do biura swojego męża, gdzie zapewne znajdowały się tego typu rzeczy.

Ria wydała się jej kobietą spontaniczną, ale jednocześnie pogodną, która z całą pewnością była dziś wytracona z równowagi. Marilyn próbowała ocenić jej wiek. Przystojny agent handlu nieruchomościami musiał obecnie mieć około czterdziestki, więc jego żona zapewne także zbliżała się do tego wieku. Wspomniała o czternastoletniej córce i dziesięcioletnim synu. Twarz Marilyn przybrała twardy wyraz. Małżeństwo tej kobiety rozpadało się i nienawidziła swojego męża, to oczywiste. Wypowiadała się o nim z wielkim lekceważeniem jak o obcym mężczyźnie. Marilyn była pewna, że Ria bardzo prędko stanie na własnych nogach.

Nie mogła pozwolić sobie teraz na rozmyślania. Niebawem musiała wyjść do pracy: pojechać do miasteczka akademickiego i zająć swoje miejsce na parkingu. Potem zaś przywitać się z kilkoma osobami i pójść do biura, gdzie pracowała, chłodna i niezależna, w swoim jasnocytrynowym kostiumie.

Będą patrzeć na nią z zainteresowaniem. Czy to nie dziwne, że nie pojechała na Hawaje razem z mężem? Zajęcia pro-fesora-gościa, jakie zaproponowano Gregowi Vine'owi, wydawały się

dokładnie tym, czego obojgu małżonkom najbardziej było potrzeba. Marilyn pozostała jednak nieugięta w swej decyzji, odmówiła towarzyszenia mężowi i równie stanowczo uchylała się od jakichkolwiek wyjaśnień. Zresztą koledzy i przyjaciele dawno już zaniechali wszelkich pytań i prób nakłonienia jej do wyjazdu z Gregiem. Wiedziała, że jest obiektem zainteresowania i domysłów. Troska znajomych była szczerą, podobnie jak zdumienie, że nie wybrała się na skąpaną w 326

słońcu wyspę razem ze swym kochającym mężem, pomimo serdecznego wsparcia dziekanatu uczelni i obietnicy, że stanowisko Marilyn pozostanie wolne do jej powrotu.

Co by powiedzieli, wiedząc, jak nieprawdopodobny pomysł teraz rozważa? Zamiana domów na dwa miesiące z kobietą, która jest właścicielką albo tylko tak twierdzi, okazałego, wiktoriańskiego budynku w Dublinie? Z pewnością uznaliby tę decyzję za absurdalną i poradziliby, żeby pod żadnym pozorem nie wcielała jej w życie.

Marilyn dokończyła kawę i wyprostowała ramiona, zastanawiając się nad tym, co zrobiła. Była kobietą dorosłą – i to kobietą w sile wieku. Tego lata, pierwszego sierpnia, wypadały jej czterdzieste urodziny. Doszła do wniosku, że podejmie decyzję, która jej samej będzie odpowiadać. Dlaczego ktoś miał-

by jej sugerować, co jest dla niej najlepsze?

Skinęła głową w kierunku telefonu, jak gdyby potwierdza-

ła ustalenia niedawno przeprowadzonej rozmowy. Przyjrzała się swojemu odbiciu w lustrze w holu. Kasztanowe włosy były ostrzyżone na krótko, aby po pływaniu szybko schły na słońcu, i z wyjątkiem wyrazu niepokoju w zielonych oczach oraz nieco nadmiernie napiętych ramion, wydawała się zupełnie normalną kobietą. Nie wyglądała na osobę, która mogłaby wpaść na jakiś niezrównoważony pomysł.

Marilyn wzięła do ręki klucze i pojechała do pracy.

Ria usiadła przy stole, kurczowo trzymając się blatu. Nie wyjeżdżała sama za granicę od czasów, gdy była nastolatką. A i z Dannym zaledwie kilka razy opuszczała Irlandię. No cóż, dobrze, że przynajmniej miała paszport oraz kilka tygodni na przygotowania.

Pani Vine powiedziała, że z przyjemnością będzie karmić kota Annie. Dzieci na pewno ucieszy perspektywa wyjazdu do 327

Ameryki, gdzie zamieszkają w domu z basenem. Marilyn zapewniła, że Ria nie będzie miała problemów z dostosowaniem się do prawostronnego ruchu drogowego, ponieważ Westville jest spokojną miejsciną. Ria natomiast ostrzegła tamtą przed nadmierną brawurą za kierownicą w Dublinie, gdzie na użytkowników dróg czyha mnóstwo niebezpieczeństw i aż się roi od szalonych kierowców.

Marilyn oświadczyła, że woli piesze spacerki.

Z nawyku Ria wyjęła kartkę, napisała słowo: „Lista” i podkreśliła je. A potem, czując ucisk w

piersiach, zaczęła notować, co musi zrobić. Czy przypadkiem całkiem nie oszalała?

Przecież zupełnie nie zna tej kobiety i nic o niej nie wie, z wyjątkiem tego, że obie płakały w słuchawkę. Czy sposób, w jaki Amerykanka zabrała się do zorganizowania tej wymiany domów na lato, nie był dość osobliwy? Przecież sprawami tego typu zajmowały się agencje turystyczne oraz inne wyspecjalizowane firmy, nie wspominając o systemie internetowym, który stwarzał ludziom doskonale możliwości kontaktowania się i znalezienia domu idealnie odpowiadającego czyimś potrzebom.

Jakiego rodzaju osobą mogła być kobieta, która zapamię-

tała przystojną twarz Danny'ego i postanowiła wytropić go po latach? Być może wpadł jej w oko, gdy dawno temu bawiła w Irlandii z wizytą; był przecież niezwykle atrakcyjnym męż-

czynną. Kto wie, czy nie nawiązała z nim wtedy bliższych stosunków, niż się do tego przyznawała; może nawet mieli przelotny romans. A pomysł z wynajęciem jego domu był częścią intrygi; podstępem, aby znów pojawić się w jego życiu?

Ria nieraz widywała na filmach sytuacje, gdy na pozór wiarygodni i uczciwi ludzie wykorzystywali niewinne i łatwo-wierne osoby, które lekkomyślnie dopuściły tamtych oszustów do swych spraw. Kto wie, czy obecne godziny nie są począt-

kiem koszmaru i nie doprowadzą ich wszystkich do tragedii?

Musiała się poważnie nad tym zastanowić i mieć pewność, czego właściwie chce. Dlaczego uznała ten pomysł za dobry?

Czy tylko dlatego, że nie chciała, patrząc na Hilary, na matkę, Rosemary, Frances i Gertie, za każdym razem dostrzegać współczucie w ich oczach? A może był inny powód, dla któ-

rego perspektywa wyprawy za Atlantyk wydawała się jej tak niezwykle nęcąca?

Może tam będzie mi łatwiej o nim zapomnieć – powiedziała do samej siebie. I przestanę widzieć wszędzie wokół

jego twarz. A śpiąc w obcym, amerykańskim łóżku, nie obudzę się o czwartej nad ranem przerażona, że miał wypadek samo-chodowy, aby po chwili uświadomić sobie jeszcze bardziej bolesną prawdę, że on wcale nie zamierza wrócić do domu.

Ameryka może okazać się właściwym lekarstwem na to wszystko. Także na owe straszliwe domysły, że z pewnością były i inne „Bernadetty”. Ludzie twierdzili, że mężczyzna szukający przygód nigdy nie poprzestaje na jednym romansie.

Kto wie, czy w ich domu nie bywały kobiety, które również sypiały z jej mężem. Cóż za cudowny pomysł, żeby wyjechać gdzieś, gdzie nikt nie zna Danny'ego Lyncha i nigdy o nim nie słyszał.

Pomimo to decyzja o wyjeździe wydawała się Rii nieroztropna. Oto zaproponowała całkiem obcej

kobiecie, ażeby zamieszkała podczas wakacji w domu przy Tara Road. W normalnych czasach nigdy nie zrobiłaby równie szalonego kroku.

I na pewno nie wykazałaby się tak całkowitym brakiem przezorności. Czasy jednak nie były normalne, a dwa miesiące w Ameryce mogły się dla niej okazać zbawienne. Idiotyczne są też pomysły, że owa kobieta może być seryjnym zabójcą.

Ria przypomniała sobie, że tamtej nie zależało konkretnie na ich domu; to ona sama zaproponowała jej zamieszkanie 329

przy Tara Road. Marilyn wydawała się zakłopotana i kilkakrotnie usiłowała się rozłączyć. To Ria pragnęła za wszelką cenę podtrzymać rozmowę. Tamta zapowiedziała, że przyśle zdjęcia oraz referencje bankowe; Ria obiecała, że zrobi to sa-mo. Nie ulegało wątpliwości, że pani Vine jest w pełni zrównoważoną i zdrową na umyśle kobietą. Chciała uciec z własnego domu i pozbierać myśli; w języku Amerykanki sformu-

łowanie to było dokładnym odzwierciedleniem pragnień Rii. I na próżno by doszukiwać się absurdu w zbiegu okoliczności, który sprawił, że dwie osoby o identycznych pragnieniach zetknęły się ze sobą przypadkowo w odpowiednim momencie.

Dlaczego tak bardzo mi na tym zależy? – zadawała sobie w duchu pytanie Ria. Jeszcze dzisiaj rano po przebudzeniu się nie miałam pojęcia, że spędzę lato w domu w Connecticut. Czy powodem są dzieci i chęć zorganizowania im wakacji, które byłyby ekwiwalentem wyprawy z ojcem nad Shannon? A mo-

że jedynie mam ochotę znaleźć się tam, gdzie Danny Lynch nie jest pępkiem świata? I gdzie wszyscy nie będziemy w napięciu czekali na jego następny ruch, aby móc właściwie zareagować?

Ria przeczuwała, że chodzi po trosze o wszystko to razem.

Wciąż jednak nie była pewna, czy wystarczy jej sił na zreali-zowanie owego pomysłu. A może powinna porozmawiać o tym z Rosemary? Przyjaciółka była tak bystra, że od razu trafiała w samo sedno.

Wyprostowała sztywno ramiona. Jest silna, wbrew wielu dowodom świadczącym o czymś wręcz przeciwnym. I nie zamierza dopuścić do tego, aby na skutek niesprzyjających okoliczności stać się jedną z owych rozdygotanych kobiet, które widywała, prowadząc działalność charytatywną, i którymi gardziła. Tamte godne pożałowania istoty nie potrafiły nawet samodzielnie wybrać koloru obrusa, a nim podjęły decyzję i zapłaciły kwotę całych trzech funtów, musiały zasięgnąć opinii 330

męża, córki lub sąsiadki.

Spodobał się jej ton wypowiedzi Marilyn. Ta kobieta nie jest maniakalną, obłąkaną morderczynią zamierzającą zrujnować życie sąsiadom z Tara Road, lecz osobą, która zjawiała się w najbardziej pożądanym momencie. Ria z ponurą determinacją przystąpiła do sporządzania listy.

Wspólny posiłek z Annie i Brianem okazał się niezbyt udany.

Danny zabrał dzieci do „Quentina”, sądząc, że uznają to za wyróżnienie, co jak się okazało, było ogromną pomyłką.

Przede wszystkim przyszły nieodpowiednio ubrane. Inne nastolatki, które jadły wczesną kolację w towarzystwie rodziców i dziadków, prezentowały się bardzo szykownie. Brian natomiast miał na sobie wyświechtane džinsy i bardzo brudny podkoszulek. Na jego zapinanej na zamek bluzie znajdowało się wiele napisów, wśród których przeważały nazwiska piłkarzy oraz zmarłych gwiazd muzyki pop. Chłopiec przypominał

swoim wyglądem młodocianego chuligana; jednego z tych, którzy budzą postrach wśród przechodniów na Grafton Street.

Annie również nosiła džinsy – jak na gust Danny’ego zbyt obcisłe. Jasne włosy – nieumyte dzisiaj i pozbawione blasku –

założyła za uszy. I miała na sobie stary, wyszywany cekinami żakiet, do którego najwyraźniej była niezwykle przywiązana.

Należał do pewnej starej damy od Świętej Rity i podobno pochodził z lat pięćdziesiątych.

– Spójrzcie na te ceny! – wykrzyknął oszołomiony Brian. –

Zobaczcie tylko, ile tutaj liczą sobie za stek i za nerkówkę w cieście! Mama zrobiłaby to samo za darmo.

– Wcale nie za darmo, bałwanie – obruszyła się jego siostra. – Musiałaby przecież kupić mięso na steki, a także nerkówkę oraz mąkę i masło na ciasto.

331

– Ale tylko za to musiałaby zapłacić! – protestował Brian.

– Jedzenie nie rośnie w kuchni, głuptasie. To pogląd typowy dla wszystkich mężczyzn. Nie sądzisz, że należy wziąć pod uwagę również koszt jej pracy?

Danny zorientował się, że Annie próbuje rozsądnie uzasadnić wygórowaną cenę posiłku, jakim ich podejmował. Ale ta rozmowa prowadziła donikąd.

– Czy zdecydowaliście już, na co macie ochotę? – Z nadzieją przenosił wzrok z jednego na drugie.

– Czy *porcini* to schab pieczony? – spytał Brian.

– Nie, to grzyby – wyjaśnił ojciec.

– Bałwan. – Annie pogardliwie skitowała niewiedzę brata, choć sama nie potrafiłaby odpowiedzieć na jego pytanie.

– Mam ochotę na hamburgera, ale nie znalazłem w karcie tej pozycji – oświadczył chłopiec.

Danny z trudem ukrył rozdrażnienie.

– Spójrzcie, polecają mieloną wołowinę z pomidorami i bazylią – zauważył.

– Dlaczego nie nazywają tego kotлетem siekanym, jak we wszystkich innych normalnych lokalach? – utyskiwał jego syn.

– Zakładają, że ludzie potrafią czytać – stwierdziła Annie, ucinając rozmowę. – Czy tutaj nie prowadzą kuchni wegetariańskiej, tato?

W końcu wybór został dokonany i Brenda Brennan podeszła, by osobiście przyjąć zamówienie.

– Miło widzieć pana wraz z rodziną, panie Lynch – powiedziała uprzejmie, nie okazując ani odrobiny niezadowolenia z faktu, że dzieci są ubrane jak włóczęgi.

Danny uśmiechnął się do niej z wdzięcznością.

– Czy to ona? – spytał szeptem Brian, kiedy szefowa restauracji odeszła.

– Kogo masz na myśli? – Ojciec był szczerze zdumiony.

332

– Kobietę, która spodziewa się dziecka i do której się przeprowadziłeś.

– Nie bądź śmieszny, Brianie. – Tym razem cierpliwość Annie była na wyczerpaniu. – Nie widzisz, że jest stara jak mama? To nie może być ona.

Danny uznał obecny moment za odpowiedni, ażeby poruszyć temat, który stał się powodem ich spotkania.

– Oboje z matką przeprowadziliśmy dzisiaj bardzo sensowną rozmowę. Zaniechaliśmy utarczek słownych, które po-przednio wyprowadziły nas z równowagi, a i dla was były bardzo niemiłe.

– To rzeczywiście coś nowego – burknęła córka.

– Wszyscy przeżywamy obecnie trudne chwile, ale przynajmniej znowu potrafimy ze sobą rozmawiać.

– Zamierzasz do nas wrócić? – spytał syn z nadzieją w głosie.

– O tym właśnie rozmawiałem z waszą matką, Brianie.

Problem sprowadza się do tego, że wcześniej użyliśmy niewłaściwych słów. Wcale nie odszedłem od was obojga ani was nie porzuciłem. Zamieszkałem tylko gdzie indziej, to wszystko.

– A właściwie gdzie? – zaciekawiła się Annie.

– Na razie w niewielkim mieszkaniu, wkrótce jednak przeprowadzę się do domu ze ślicznym ogrodem, gdzie zawsze będziecie mogli przyjść. Chciałbym, żebyście go traktowali jako swój własny.

– Mamy już śliczny dom z ogrodem przy Tara Road – zauważyła dziewczynka.

– No cóż, od tej pory będziecie mieli dwa. – Danny roz-promienił się, zadowolony z własnej uwagi.

Córka i syn spojrzeli na niego z powątpiewaniem.

– Czy każde z nas będzie miało swój własny pokój? –

333

chciała wiedzieć Annie.

– Tak, oczywiście. Nie natychmiast i nie nazajutrz po przeprowadzce. W projekcie budowlanym zostaną jednak wprowadzone zmiany i robotnicy pana McCarthy’ego przedzielą dla was jeden z pokoi. Do tego czasu jedno z was będzie mogło sypiać na kanapie w salonie.

– Trudno nazwać drugim domem miejsce, gdzie trzeba sypiać na kanapie – zauważyła.

– To tylko rozwiązanie tymczasowe. – Danny starał się zachować promienny uśmiech.

– Ile dni będziemy przebywać w domu z pokojem podzielonym na dwa? – spytał Brian.

– Jak długo będziecie chcieli. Właśnie o tym rozmawiałem dzisiaj z waszą matką. Oboje zgodnie uznaliśmy, że jesteście najważniejsi...

Annie weszła ojcu w słowo:

– Czy każde z nas może mieszkać gdzie indziej? Chodzi mi o to, czy nie będę na siłę dołączana do Briana?

– Nie, oczywiście, że nie.

Wyraźnie zadowolilo ją to zapewnienie.

– A kiedy urodzi się dziecko i będzie nas denerwować swoim krzykiem, czy będziemy mogli wrócić na Tara Road? –

spytał chłopiec.

– Oczywiście.

– A zatem wszystko w porządku. – Brian wyglądał na usatysfakcjonowanego.

– Czy ona będzie, jak mama, pilnować porządku w naszych pokojach i ustali godzinę powrotu do domu?

– Będziecie zawsze bardzo mile widziani przez Bernadette.

Wprost nie może się doczekać spotkania z wami. Jak sądzicie, kiedy możemy się z nią umówić?

– Nie odpowiedziałeś, czy będzie przestrzegać dyscypliny i 334

czy nie narzuci nam własnych reguł. – Córka nie dawała za wygraną.

– Będziemy jedynie oczekiwać od was, żebyście byli tak samo uprzejmi i pomocni, jak jesteście w domu przy Tara Road.

– Ależ my nie jesteśmy wcale pomocni w domu przy Tara Road – sprostował Brian, jak gdyby ojciec opacznie ich zrozumiał.

Danny westchnął.

– Możemy ustalić jakąś datę i miejsce spotkania z Bernadette?

– Czy ona ma już duży brzuch? I czy widać, że jest w ciąży?

ży?

– chciała wiedzieć Annie.

– Chyba jeszcze nie. Dlaczego o to pytasz? Dziewczynka wzruszyła ramionami.

– Co za różnica, gdzie się spotkamy.

Danny'ego ogarnęło lekkie zniecierpliwienie; ta rozmowa okazała się znacznie trudniejsza, niż się spodziewał.

– Czy koniecznie musimy zawierać z nią znajomość? –

spytała córka. – Czy nie lepiej poczekać do narodzin dziecka i do tego czasu nie zawracać sobie głowy żadnymi spotkaniami?

– Oczywiście, że muszę ją wam niezwłocznie przedstawić

– podniósł głos Danny. – Latem wszyscy będziemy pływać jachtem po Shannon. Przedtem musicie się dobrze poznać.

Spojrzeli na niego niepewnie.

– Po Shannon? – spytała Annie.

– Wszyscy? – upewnił się Brian.

– Czy Kitty może również z nami jechać? – ożywiła się dziewczynka i dodała szybko, zwracając się do brata: – Nawet nie próbuj dopytywać się o Mylesa ani o Dekka.

– Szczerze mówiąc, nie sądzę, żeby mama miała ochotę...

335

spędzić wakacje... razem z nią – oświadczył Brian, powoli dobierając słowa.

Annie wymieniła spojrzenia z Dannym. Podczas całego koszmarnego posiłku był to jedyny moment jej solidarności z ojcem. Dobrze, że choć ona pojmowała problem. Nie powiedziała, że brat jest pozbawiony rozumu. Zamiast tego oboje zaczęli wyjaśniać dziesięcioletniemu chłopcu, że jego matka nie pojedzie razem z nimi na te planowane od dawna i długo omawiane wakacje.

W biurze Marilyn dyskutowano na temat dorocznego sierpniowego pikniku absolwentów. Lista z adresami domów, gdzie mieli zostać zakwaterowani goście, była już gotowa.

Obejmowała hotele, zajazdy, akademiki oraz prywatne domy, gdzie mogli się zatrzymać dawni studenci. Wielu z nich ze zniecierpliwieniem oczekiwało tego weekendu jako jednej z największych atrakcji w roku. Impreza zasiliała fundusz uczelni, a jednocześnie przyczyniała się do zachowania związków pomiędzy teraźniejszością a przeszłością.

Stało się już tradycją, że pracownicy uniwersytetu oferowali przybyłym nocleg we własnych domach. Marilyn i Greg gościli dużo osób na Tudor Drive i byli to sami sympatyczni ludzie. Goście z radością korzystali z basenu podczas upalnych dni sierpnia i wielu z nich przez długie lata korespondowało ze swymi gospodarzami. A do Vine'ów licznie napływały zaproszenia z Bostonu, Nowego Jorku i Waszyngtonu.

Piknik był w trakcie przygotowań: redagowano zawiadomienia, z uwzględnieniem szczegółów dotyczących odpisu podatkowego od darowizn na rzecz biblioteki uniwersyteckiej oraz centrum sztuki. Organizatorom pozostało jeszcze do przedyskutowania kilka zagadnień. Musieli zastanowić się nad rodzajem rozrywek, ustalić liczbę mówców, którzy zamierzali

wystąpić z referatami oraz dopilnować, ażeby przemówienia zostały skrócone do minimum. Wkrótce wszystkie prace miały zostać rozdzielone. Marilyn wiedziała, że musi przedtem zabrać głos. Nie mogła wziąć na siebie zobowiązań, z których nie zdoła się wywiązać.

Odchrząknęła i zwróciła się do dziekana, który przewodniczył zebraniu.

– Panie przewodniczący, chciałabym pana zawiadomić, że w lipcu i sierpniu nie będzie mnie w mieście. Skorzystałam z udzielonej mi przez uczelnię zgody na urlop. Zamierzam wyjechać pod koniec czerwca i wrócić na Święto Pracy, dlatego też prosiłabym o przydzielenie mi maksymalnie dużo zadań w początkowej fazie przygotowań.

Zgromadzeni podnieśli na nią oczy, a ich twarze rozjaśniły się w uśmiechach. To była dobra nowina.

Znerwicowana Marilyn Vine wreszcie dała za wygraną i postanowiła w końcu dołączyć do swego biednego, samotnego męża na Hawajach.

Od wyjazdu dzieliły Rię prawie dwa miesiące. Miała jeszcze mnóstwo czasu. Nie zamierzała wtajemniczać nikogo w swoje plany, póki nie zakończy przygotowań. Lista okazała się niezwykle pomocna. Ria nie mogła pojąć, dlaczego Danny zawsze wyśmiewał ten zwyczaj. Targał jej włosy i mówił, że jest zabawna. Przecież wszyscy ludzie, na miłość boską, często notowali różne rzeczy. To prawda, że jeśli pracowali w jakimś biurze, korzystali z komputerów, kopiarek czy z laptopów.

Zasada postępowania była jednak identyczna: należało sobie zapisać, co ma być zrobione, i trzymać się planu. Metoda ta gwarantowała, że nic nie uleci z pamięci.

Ria przypuszczała, że upłynie co najmniej tydzień, zanim otrzyma od Marilyn dokumenty. Nie chciała nikogo zaskakiwać swoimi planami, dopóki nie będzie mogła udowodnić, że 337

pomysł jest dobry. Przygotowała trochę informacji na temat własnego domu, które zamierzała wysłać najdalej jutro. Sfotografowała wnętrza oraz widok budynku od zewnątrz. Zgromadziła też kilka wycinków prasowych z rubryki poświęconej zagadnieniom nieruchomości w „Irish Times”, aby dowiedzieć atrakcyjności usytuowania Tara Road. Dołączyła plan Dublina, aktualny turystyczny przewodnik po mieście i po restauracjach oraz listę książek, jakie Marilyn powinna przeczytać przed wyjazdem. Podała adres swojego banku, a także nazwisko, numer telefonu i faksu dyrektora. Przygotowała też rzeczową, zwięzłą notatkę z informacją, że dom stanowi wspólną własność jej oraz męża i że prawo własności nie jest kwestionowane. Danny miał się zaopiekować dziećmi w lipcu. Ria obiecała Marilyn, że w późniejszym okresie przyśle jej również listę z adresami przyjaciół, na których pomoc będzie mogła liczyć po przyjeździe.

Ria zastanawiała się, czy jej przewidywania co do nadej-

ścia dokumentów z Ameryki nie są zbyt optymistyczne i czy nie będzie zmuszona zachować swoich planów w tajemnicy dłużej niż tydzień. Być może sprawa przeciągnie się nawet do dziesięciu dni. Nie uwzględniła jednak szybkości przepływu informacji w Stanach Zjednoczonych ani istnienia firm kurierskich. Nazajutrz pod dom zajechała furgonetka, a posłaniec wręczył Rii przesyłkę ze wszystkimi szczegółowymi informacjami od Marilyn. Wstrzymując oddech, obejrzała zdjęcia basenu oraz niskiego, białego budynku z kwiatami na ganku.

Przerzuciła wzrokiem plan okolicy i lokalną gazetę, zapoznała się też ze szczegółami dotyczącymi samochodów, udogodnień przy zakupach oraz członkostwa w centrum sportowym i klu-bie, które mogło być przeniesione na nią podczas pobytu w Stanach. Okazało się, że w pobliżu domu będzie miała możliwość grywania w golfa, w tenisa oraz w kręgle. Marilyn obie-338

cała też dostarczyć jej listę z numerami telefonicznymi osób, z którymi będzie się mogła skontaktować w razie jakiegoś nie-przewidzianego wypadku.

W równie zwięzłym i lakonicznym liście, jak Rii, Amerykanka wyjaśniła, że potrzebuje pewnego dystansu, by zastanowić się nad własną przyszłością. Nie wyjechała do męża, który prowadzi wykłady na Hawajach, ponieważ musi dokonać pewnych przemyśleń. Oprócz przekazanych

szczegółów bankowych nadmieniła także, że mąż jeszcze nie wie o jej wakacyjnych planach, ale z jego strony nie będzie żadnych problemów, i obiecała to potwierdzić w ciągu najbliższej doby. Nie chciała mówić mu przez telefon, że wymiana została zorganizowana tak pośpiesznie. Owe sprawy wymagały nieco dyplomacji i była pewna, że Ria to zrozumie.

Ria rozumiała. Sama musiała jeszcze zawiadomić Danny'ego. Czy wszyscy w biurze wiedzą, zastanawiała się znowu, kiedy zatelefonowała i poprosiła o połączenie z mężem. Podję-

cie decyzji o zadzwonieniu do niego stało się teraz bardzo trudne. Jako żona Danny'ego automatycznie miała pewien status w oczach jego podwładnych, a kim była teraz? W głosie sekretarki wyraźnie zabrzmiało współczucie, lekceważenie i zażenowanie. A może tylko Ria doszukiwała się czegoś, czego w istocie nie było?

– Czy możesz przyjść po swoje rzeczy, Danny? Muszę trochę uporządkować dom.

– Chyba nie ma z tym wielkiego pośpiechu?

– Z mojego punktu widzenia nie, ale chodzi mi o dzieci...

Naprawdę uważam, że powinny przyzwyczaić się do tego, że twoje rzeczy znajdują się tam, gdzie mieszkasz.

– No cóż, przecież już ci mówiłem, że moje obecne mieszkanie jest trochę ciasne.

– Czyż Barney nie wyszykował dla was nowego lokum?

339

– Powiedziałem jedynie, że czegoś dla nas szuka, Rio.

– Czy to znaczy, że tego domu jeszcze nie ma?

– Jest, ale jeszcze nieukończony.

– Jednak chyba możesz w nim przechować swoje kije golfowe, książki oraz resztę ubrań? A także wieżę stereofoniczną.

Przecież jest twoja.

– Mylisz się, ska... Nie należy do mnie, lecz do was. Chyba nie zniżymy się do dzielenia wszystkiego pomiędzy sobą?

– Kiedyś będziemy musieli to zrobić.

– Ale chyba nie w tej sekundzie?

– Przyjedź samochodem, jeśli możesz. Chcę porozmawiać z tobą o kilku innych sprawach. Czy

mógłbyś wpaść przed powrotem dzieci ze szkoły?

– Chciałbym się z nimi zobaczyć.

– To rozumiałe i możesz się z nimi widywać, kiedy tylko zechcesz. Nie uważam jednak, ażeby nasz dom był odpowiednim do tego miejscem.

– Nie zaczynaj wprowadzać swoich reguł, Rio.

– Zgodziliśmy się co do tego, że nie będziemy niepotrzebnie drażnić dzieci i że są mile widziane w domu każdego z nas.

Ja nie zamierzam przebywać w twoim mieszkaniu, kiedy przyjdą do ciebie z wizytą. A zatem, rozumując logicznie, lepiej, żeby nie widywały ciebie u mnie.

Zapadło milczenie.

– Moja sytuacja jest nieco odmienna.

– Nie sędzę. W domu Bernadette nie ma żadnych śladów mojej obecności – porozrzuconych kosmetyków, ubrań ani maszyny do szycia. Nie widzę więc powodu, dla którego dzieci miałyby ciągle widzieć tutaj twoje rzeczy.

– Przyjdę – obiecał Danny.

Heidi Franks nie mogła się doczekać końca zebrania, zor-340

ganizowanego w związku z piknikiem dla absolwentów, aby porozmawiać z Marilyn. Szczerze uradowała się na wieść o tym, że koleżanka wreszcie odzyskała zdrowy rozsądek. Heidi zamierzała zaoferować jej pomoc w opiekowaniu się ogrodem.

Wiedziała, że stanowi on powód dumy i radości Marilyn, a jej sąsiedzi nie są zbyt dobrymi ogrodnikami. Podjęcie decyzji o wyjeździe zabrało Marilyn wiele czasu. Heidi nie zamierzała podbiec do koleżanki z okrzykami radości, lecz przyjęła wiadomość z identycznym spokojem, z jakim została przekazana.

Marilyn obwieściła na zebraniu swoją decyzję wyważonym i opanowanym tonem, choć musiała zdawać sobie sprawę z tego, że wszyscy bardzo się o nią martwią i są ciekawi jej planów.

– Chętnie zajrzę do ciebie od czasu do czasu i podleję kwiaty – zaproponowała Heidi, kiedy wreszcie znalazły się same.

– To miło z twojej strony, ale nie musisz się tym kłopotać.

System nawadniania roślin jest całkowicie zautomatyzowany.

– W takim razie będę sprawdzać, czy twoje śliczne rabatki nie zostały zaatakowane przez mszyce lub

inne szkodniki.

– Dziękuję, ale w czasie mojej nieobecności w domu bę-

dzie mieszkała pewna osoba. To dlatego nie mogłam w tym roku przyjąć do siebie na nocleg żadnego z uczestników pikniku.

– Naprawdę znalazłaś kogoś do pilnowania domu? Świetny pomysł. Kto to taki?

– Och, nie znasz jej. Pochodzi z Irlandii. Nazywa się Ria Lynch.

– Z Irlandii?

– Wiem, że tutejsze warunki wydadzą się jej nieco odmienne niż we własnym kraju. Spieszę się, Heidi, muszę jeszcze oddać te materiały. Porozmawiamy później i wtedy o wszystkim ci opowiem. – I wyszła z biura.

341

Heidi, patrząc za koleżanką, uśmiechnęła się ciepło. Wiedziała, że Greg bardzo się ucieszy. Był załamany, kiedy okazało się, że Marilyn nie zamierza pojechać razem z nim na Hawaje. Poruszył niebo i ziemię, ażeby otrzymać tam stanowisko wykładowcy w ramach wymiany naukowców, i kiedy już osiągnął cel, nie mógł się wycofać. I oto nareszcie żona zamierzała do niego dołączyć.

Ria nigdy dotychczas nie korzystała z usług firmy kurier-skiej. Okazało się to zdumiewająco łatwe; goniec przyjeżdżał

do domu i zabierał przesyłkę. Była straszliwie naiwna, sądząc, że w pilnych sprawach ludzie nadal korzystają z pośrednictwa zwykłej poczty. Musiała jeszcze nauczyć się wielu rzeczy. I pomyślała, że być może obecne lato okaże się dla niej pod tym względem bardzo pomocne.

Dostrzegła w ogrodzie Colma. Kot Klemens, który jako mały kociak został podarowany Annie przez Barry'ego, śledził

sennym wzrokiem poczynania mężczyzny. Colm pracował

niezwykle ciężko, a pomimo to nigdy nie ulegał nastrojom i zawsze był serdeczny. Nagle Ria poczuła ochotę, aby zaprosić go na herbatę i opowiedzieć mu o swych planach.

Nie mogła jednak tego zrobić; nie przed rozmową z Dannym; wiedziała, że ten wpadnie w złość, kiedy się dowie, w jaki sposób ona zamierza spędzić lato. Były mąż miał za sobą nieudany wieczór z dziećmi u „Quentina”... co za idiotyczne miejsce wybrał na kolację z nimi. Wprawdzie ani syn, ani córka nie powiedzieli jej, że spotkanie okazało się wielkim nie-wypałem, ale nie musieli nic mówić; mieli to wypisane na twarzach.

Heidi odebrała telefon na biurku Marilyn.

– Dzień dobry, mówi Heidi Franks... Och, Greg, miło cię 342

słyszeć. Nie, nie zastałeś jej, przed chwilą wyszła. Czy mam jej coś przekazać? Oczywiście, powiem jej. Wiesz, Greg, jestem szczęśliwa, że się wybiera do ciebie. To wspaniała nowina.

Tak, dzisiaj. Na zebraniu. Na lipiec i sierpień. Co takiego? Nic o tym nie wiesz? Może chce ci zrobić niespodziankę? Och, przykro mi, jeśli się wygadałam. Nie, nie mogłam się przesłyszeć, Greg. Powiedziała, że kiedy do ciebie pojedzie, waszym domem przy Tudor Drive będzie się opiekować jakaś Irlandka.

Lepiej, jeśli sama ci o wszystkim opowie, Greg. To wszystko rzeczywiście jest trochę zagmatwane. – Heidi powoli odłożyła słuchawkę i obróciła się z krzesłem.

W drzwiach stała Marilyn, przysłuchując się tej rozmowie z pobladłą twarzą. Dlaczego wspomniała o swoich planach koleżance, zanim powiadomiła o nich Grega? Była skończoną idiotką. Zrobiła to po części z powodu różnicy czasowej pomiędzy Connecticut a Hawajami, a po części dlatego, że wciąż zastanawiała się, jak mu o tym powiedzieć. A teraz sytuacja była jeszcze gorsza niż przedtem.

Danny nawet nie sięgnął po kopertę ze zdjęciami, broszurą i mapami. Wpatrywał się tylko w Rię, ogłuszony nowiną. – To niemożliwe. Wierz mi, to czyste szaleństwo!

Była opanowana. Na swojej liście zanotowała przedtem:

„Nie prosz ani nie błagaj”. Przystroga poskutkowała; Ria zdoła-

ła się ustrzec od popełnienia obu tych pomyłek.

– Jedyne koszty stanowią opłaty za przelot. Dowiadywałam się już o bilety w biurze podróży. Nie doprowadzą nas do ruiny.

– A co uważasz za rujnujące? – spytał szyderczym tonem.

– Ceny posiłku u „Quentina” dla dwojga dzieci, które miały jedynie ochotę na hamburgera i pizzę – odparła.

– Spodziewałem się, że prędzej czy później poruszysz tę 343

kwestię. Dokładnie to przewidziałem – oświadczył tryumfującym tonem.

– Znakomicie. Chyba więc już czujesz się usatysfakcjonowany, że miałeś rację?

– Proszę cię, daruj sobie te kąśliwe uwagi. Ustaliliśmy, że przez wzgląd na dobro dzieci, postaramy się nie mieszać ich do naszych wzajemnych rozgrywek. I wydawałaś się bardzo rzeczowa przez telefon. Co wpłynęło na zmianę twojej postawy?

– Nadal jestem rzeczowa, nie zmieniałam się i mam na uwadze dobro dzieci. Zamierzasz wynająć dla nich jacht, któ-

rym będziecie pływać po Shannon. Mnie na to nie stać. Prawdę mówiąc, nie mam zielonego pojęcia, jakimi pieniędzmi dysponuję. Dlatego też zorganizowałam dla nich wspaniałe wakacje w domu z pięknym basenem. Zastanów się nad tym, Danny. Koszty wyjazdu ograniczą się do opłat za bilety. Będziemy robić zakupy w tanim sklepie i sama będę im gotowała jedzenie – z tą jedynie różnicą, że tam zamiast tutaj. Myślałam, że będziesz zadowolony.

– Zadowolony? Sądziłaś, że uraduje mnie udostępnienie mojego domu jakiejś wariatce, której żadne z nas nie zna?

– Naszego domu...

– Ten pomysł jest nie do przyjęcia, Rio, wierz mi.

– Już wszystko zaplanowałyśmy.

– Wobec tego odwołaj plany.

– Czy wyjaśnisz dzieciom, że nie będą mogły wyjechać razem ze mną na wakacje i stracą okazję zobaczenia Stanów Zjednoczonych? Czy zaopiekujesz się nimi przez całe dwa miesiące? Zrobisz to, Danny? Do tego sprowadza się cała sprawa.

– Sprawa sprowadza się do tego, że chcesz mi przystawić pistolet do głowy.

– Nie mam takiego zamiaru. Robię, co mogę, aby jakoś 344

sklecić to, co ty rozbiłeś. Dotychczasowe życie w pełni mnie zadowalało, to ty postanowiłeś je zmienić. I w tym tkwi problem. – Dostała wypieków na twarzy, podobnie jak on.

Mówił teraz spokojniejszym tonem i zauważyła, że przestał nazywać ją „skarbem”. Przynajmniej tyle do niego dotarło.

– Niczego nie wiemy o tej osobie, Rio. I ani przez chwilę nie myśl, że podoba mi się ten pomysł. Ucieczka nigdy nie jest dobrym rozwiązaniem.

Ria przechyliła na bok głowę i w milczeniu przyglądała mu się z kpiącym uśmiechem.

– Ja nie uciekłem. Podjąłem życiową decyzję, o której otwarcie i uczciwie cię zawiadomiłem – stwierdził nieco chęł-

pliwym tonem.

– Racja, zapomniałam. Rzeczywiście. – Była teraz całkiem opanowana.

– Być może kiedyś porozmawiamy o zorganizowaniu wymiany z jakąś rodziną ze Stanów. Obecnie

tego rodzaju tury-styka cieszy się coraz większym powodzeniem. Barney niedawno wspominał...

– Wyjeżdżam pierwszego lipca, a ona tego samego dnia zjawi się tutaj. Dzieci mogą przylecieć do mnie pierwszego sierpnia. Sprawdziłam rozkład lotów, są jeszcze wolne miejsca, ale trzeba się pośpieszyć z rezerwacją. – Głos Rii miał spokojne brzmienie i wydawała się pewna tego, co mówi.

Danny niechętnie sięgnął po przesyłkę od Marilyn Vine, ażeby przejrzeć jej zawartość. W tym momencie Ria wiedziała, że odniosła zwycięstwo, a jej podróż do Ameryki staje się faktem.

Marilyn wysłała bardzo krótki e-mail do Grega na uniwersytet na Hawajach:

Bardzo przepraszam, że nie skontaktowałam się z Tobą i 345

nie powiadomiłam Cię o swoich wakacyjnych planach. Proszę, zadzwoń wieczorem do domu o dowolnej porze, abym mogła wszystko wyjaśnić.

Jeszcze raz serdecznie przepraszam.

Marilyn Zatelefonował o ósmej. Czekala przy aparacie i natychmiast podniosła słuchawkę.

– U ciebie jest teraz trzecia po południu – zauważyła.

– Nie dzwonię po to, ażeby dyskutować o różnicach stref czasowych. O co chodzi?

– Naprawdę jest mi bardzo przykro, ale domyślasz się chyba, że Heidi źle mnie zrozumiała. Za godzinę zamierzałam wysłać do ciebie e-mail z prośbą o kontakt telefoniczny.

– Dzwonię teraz.

– Zamierzam wyjechać. Duszę się tutaj.

– Doskonale to pojmuję, ja też tak się czułem. Dlatego zorganizowałem tę podróż. – W jego głosie Marilyn nie słyszała jednak zrozumienia.

Greg był tak pewny jej zgody na ów wyjazd, że się zała-mał, kiedy oświadczyła, że nie jest w stanie udać się z nim na Hawaje.

– Nie zaczynaj od nowa wałkować tej sprawy, Greg. Rozmawialiśmy już na ten temat.

– Sytuacja w dalszym ciągu pozostaje dla mnie niewyja-

śniona. Tkwię tu, sześć tysięcy mil od domu, i nadal nie mogę pojąć, dlaczego nie przyjechałaś ze mną.

– Przestań, Greg, bardzo cię proszę.

– Nie spodziewasz się chyba, że twoje: „Bardzo cię, proszę, Greg”, jakimś cudem mnie oświeci? Co

to za plany wakacyjne, o których wspomniałaś? Zamierzasz mi o nich powiedzieć? Czy muszę czekać na dalsze sprzeczne wieści od połowy członków rady twojego wydziału, ażeby się dowiedzieć, 346 czy wreszcie do mnie przylecisz?

– Nie wiem, jak cię przeprosić za to, co się stało.

– Dokąd się wybierasz, Marilyn? – Jego głos miał teraz chłodne brzmienie.

– Pierwszego lipca wyjeżdżam do Irlandii.

– Do Irlandii?

Bez trudu wyobraziła sobie jego twarz, brązową od opalenizny i zmarszczoną teraz ze zdziwienia, okulary nasunięte na głowę i lekko przerzedzone włosy nad czołem. Prawdopodobnie miał na sobie spłowiałe szorty oraz jedną z tych jaskrawych koszul, które dobrze wyglądają w blasku słońca na gorącej wyspie, ale w każdym innym miejscu wydają się zbyt krzykliwe i są atrybutem turysty.

– Byliśmy tam razem przed laty, pamiętasz?

– Oczywiście, że pamiętam. Uczestniczyliśmy w trzydniowej konferencji, a przez kolejne trzy dni zwiedzaliśmy zachodnie rejony kraju, gdzie nieustannie padało.

– Nie jadę tam w nadziei na dobrą pogodę, lecz na odzyskanie spokoju.

– To bardzo dla ciebie niebezpieczne, Marilyn. W twoim obecnym stanie nie powinnaś zaszywać się w jakiejś chacie na zboczu góry.

– Nie wybieram się w góry. Będę mieszkać w okazałym domu w eleganckiej dzielnicy Dublina. To stara, wiktoriańska rezydencja, którą wybudowano jeszcze w czasach, kiedy ta ulica znajdowała się na przedmieściach. Budynek wygląda uroczo i jest otoczony dużym ogrodem.

– Chyba nie mówisz serio.

– Jak najbardziej, Greg. Zorganizowałam wymianę z wła-

ścicielką owej nieruchomości, a ta kobieta przyjeżdża do nas, na Tudor Drive.

– Masz zamiar udostępnić nasz dom zupełnie obcej kobiecie-347

cie?

– Uprzedziłam ją, że musi się liczyć z prawdopodobieństwem

twojego powrotu. Jest w pełni świadoma faktu, że być może będziesz musiał przyjechać do Connecticut w sprawach zawodowych.

– Och, to wielka wspaniałomyślność z jej strony. A czy istnieje również możliwość, że jej mąż będzie odwiedzał ciebie od czasu do czasu?

– Nie. Są w separacji.

– Podobnie jak my – stwierdził mąż. – Pomimo wszelkich sformułowań, jakich używamy, by ukryć ten fakt, my też jesteśmy w separacji, Marilyn, prawda? – Jego słowa zabrzmiały bardzo ponuro.

– Ja tak nie myślę o naszej rozłące. W tym roku po prostu daliśmy sobie trochę czasu na dokonanie przemyśleń, to wszystko. Rozmawialiśmy na ten temat setki razy. Czy chcesz dowiedzieć się czegoś o Rii?

– O kim?

– O Rii Lynch, kobiecie, która przyjeżdża do naszego do-mu.

– Nie, nie chcę. – I Greg się rozłączył.

*

Heidi Franks była całkowicie wytrącona z równowagi. Nie mogła sobie darować, że wygadała się przed Gregiem Vi-ne'em, kiedy zatelefonował z Hawajów. Musiała pójść do toalety i wypłakać się tam ze złości na własną głupotę. Przeczuwała, że swoją niepotrzebną paplaniną doprowadziła do bardzo niezręcznej sytuacji. Ale skąd mogła wiedzieć, że Greg nie ma pojęcia o planach własnej żony?

Vine'owie byli wyjątkowo zgodnym małżeństwem i nikt 348

ani przez chwilę nie pomyślał, że ta chwilowa rozłąka i pobyt Grega na Hawajach oznacza kryzys w ich pożyciu. Przecież regularnie telefonował i nadawał e-maile do domu, a w pocztówkach, jakie wysyłał do przyjaciół i wielu członków rady wydziału, zawsze nawiązywał do wiadomości od Marilyn.

Można więc było sądzić, że zna plany swojej żony i nikogo ze znajomych nie należało winić za takie przekonanie.

A jednak sytuacja okazała się bardzo niezręczna i trudno było wymazać z pamięci pobladłą twarz Marilyn, gdy wchodząc do pokoju, usłyszała, jak koleżanka paple o jej sprawach przez telefon. Heidi osuszyła oczy. Miała podrażnioną skórę na policzkach, które pokrywały czerwone plamy. A jej włosy były w całkowitym nieładzie. Och, jak bardzo żałowała, że Marilyn nie jest kobietą, przed którą można by się właściwie wytłumaczyć. A nawet razem z nią popłakać. Gdyby Marilyn wtajemniczyła ją w swoje plany i zobowiązała do zachowania tajemnicy, Heidi udzielałaby jedynie wymijających odpowiedzi. Bo najbardziej zirytował ją w tym wszystkim fakt, że należała do kobiet dyskretnych. Wiedziała jednak, że może jedynie poma-rzyć o szczerzej rozmowie z koleżanką. Marilyn nieugięcie zachowywała dystans i obojętność. „Bzdura – skwitowałaby próby przeprosin Heidi. – Nie ma o czym mówić, to zwykłe nieporozumienie”. I sprawa została zamknięta.

Heidi czuła się wyjątkowo podle. Dzisiaj wieczorem wy-dawano koktajl na pożegnanie wykładowcy z katedry matema-tyki i Henry'emu zależało na tym, ażeby żona towarzyszyła mu na przyjęciu. Uroczystości tego typu zwykle były okazją dla małżonek starszych członków rady wydziału do pokazania się w szalowych kreacjach. Heidi raz jeszcze z niezadowoleniem obrzuciła wzrokiem swoją zaczerwienioną twarz oraz fryzurę, która przypominała ptasie gniazdo. Zimne i wilgotne kompresy mogły okazać się niewystarczające, by przywrócić blask 349

smutnym, zapuchniętym oczom. Heidi podjęła nagłą i nietypową dla siebie decyzję, by wziąć wolne popołudnie i wybrać się do salonu kosmetycznego w Westville. Wiedziała, że Carlotta – kosmetyczka specjalizująca się w „zabiegach przeznaczonych dla dojrzałej cery” – właściwie się nią zajmie.

Cudownie było leżeć, pozwalając, by fachowa siła zajęła się jej twarzą i Heidi natychmiast poczuła się odprężona, a sa-mopoczucie z każdą chwilą miała lepsze. Carlotta była atrakcyjną kobietą o dużych ciemnych oczach, a jednocześnie emanowało z niej niemal matczyne ciepło. Zawsze nienaganny ubiór właścicielki stanowił doskonałą reklamę jej firmy. Przed dziesięcioma laty przybyła z Kalifornii do Westville, gdzie otworzyła cieszący się dużym powodzeniem, elegancki gabinet kosmetyczny, w którym zatrudniała sześć miejscowych pracowników.

Plotki głosiły, że w młodości co najmniej trzykrotnie stawała na ślubnym kobiercu, nikt jednak nigdy nie słyszał o żadnych dzieciach. Obecnie nie miała męża, nie było jednak wątpliwości co do tego, że jeśli Carlotta zechce ponownie wstąpić w związek małżeński, natychmiast znajdzie się jakiś chętny, gotów wyrzec się dla niej swojego dotychczasowego spokojnego i ustabilizowanego życia. Miała egzotyczną urodę, a ponadto była czarującą, finansowo niezależną kobietą. I bez względu na wiek, o którym wiele dyskutowano w Westville (jedni dawali jej czterdziestkę, a inni twierdzili, że jest znacznie bardziej zaawansowana w latach), Carlotta nie miałaby najmniejszego problemu ze znalezieniem sobie czwartego mę-

ża, gdyby była zainteresowana kolejnym zamążpójściem.

Zaproponowała Heidi maseczkę ziołową oraz masaż. Nie poleciła żadnego zbyt pośpiesznego ani kosztownego zabiegu.

Heidi przyrzekła sobie w duchu, że regularnie będzie odwiedzać miejsce, które tak kojąco podziałało na jej nerwy. Była to 350

winna samej sobie. Henry miał swoje pole golfowe, więc ona również powinna regularnie korzystać z jakiejś formy relaksu, aby sprawiedliwości stało się zadość. Gdy mocne i wprawne dłonie masowały jej szyję i kark, Heidi zaczęła zapominać o smutnej i przygnębionej twarzy Marilyn Vine; kobiety, która zamierzała wziąć dwa miesiące urlopu, aby gdzieś wyjechać, nie powiadamiając o swoich planach mężach.

– Jak się obecnie miewa Marilyn? – spytała niespodziewanie Carlotta.

Kosmetyczka mieszkała w bezpośrednim sąsiedztwie Vi-ne'ów, Heidi zupełnie o tym zapomniała. Nie zamierzała jednak dwa razy w ciągu dnia popełniać tego samego błędu. Postanowiła, że tym

razem ani słowem nie piśnie o planach i zamiarach Marilyn.

– Od czasu do czasu spotykamy się w biurze, ale nie wiem, jak jej się żyje. Jest bardzo skryta. Na pewno masz z nią znacznie częstszy kontakt niż ja, Carlotta. Przecież jesteście sąsiadkami. Często ją widzisz?

Carlotta miała ogromną łatwość wypowiadania się o ludziach bez wdawania się w szczegóły. Tym razem też ograniczyła się do ciepłych ogólników. Stwierdziła, że Vine'owie to cudowni ludzie i trudno o lepszych sąsiadów. A ich posesja jest wyjątkowo dobrze utrzymana. Mieszkańcy wszystkich innych domów przy Tudor Drive zaczęli bardziej dbać o wygląd własnych ogrodów, zachęceni przykładem Marilyn. Ona po prostu kocha swoje drzewa i kwiaty.

– Bywa w twoim salonie? – spytała Heidi.

– Nie poświęca zbyt wielkiej uwagi sprawom urody.

– Szkoda, wizyta tutaj sprawiłaby jej ogromną przyjemność – zauważyła Heidi.

– Cieszę się, że czujesz się odprężona – odrzekła z zadowoleniem Carlotta. – Przypuszczam, że teraz, przed podróżą, 351

Marilyn nie ma głowy do zabiegów kosmetycznych.

– Przed podróżą?

– To ty nic nie wiesz? Wybiera się na dwa miesiące do Irlandii. Zamieniła się domami z jakąś swoją znajomą.

– Kiedy ci o tym powiedziała?

– Dzisiaj rano, gdy wyrzucałyśmy śmiecie. Właśnie skończyła załatwianie formalności. Wydawała się bardzo ożywiona.

Od dawna nie miałyśmy tak długiej pogawędki.

– Irlandia... – powiedziała w zamyśleniu Heidi. – Co ją, do licha, skłoniło do tego, ażeby wyjeżdżać aż do Irlandii?

– Wakacje w Ameryce! – zdumiała się Rosemary. – Nie wierzę.

– Mnie samej wciąż trudno w to uwierzyć – przyznała Ria.

– I co na to wszyscy? – dopytywała się przyjaciółka.

– Chcesz wiedzieć, co Danny o tym sądzi?

– Szczerze mówiąc, chyba rzeczywiście właśnie jego mia-

łam na myśli.

– No cóż, jest przerażony, to oczywiste. Podejrzewam jednak, że najbardziej zatrważa go konieczność zajmowania się przez miesiąc dziećmi. Nie bardzo pasują do obrazka miłego gniazdka.

– Co wobec tego zrobi?

– Będzie musiał jakoś sobie poradzić z tym problemem. Ja wyjadę po nie pierwszego sierpnia na lotnisko Kennedy’ego.

Lipiec to jego sprawa. – Ria wydawała się silniejsza i bardziej zaradna.

Rosemary spojrzała na nią z podziwem.

– Widzę, że wszystko dokładnie sobie przemyślałaś, prawda? Do czasu przyjazdu Briana i Annie zdążysz dokładnie poznać miasteczko. Będiesz wiedziała, dokąd ich zabrać oraz jakie zaproponować im rozrywki. Rzeczywiście potrzebujesz 352

miesiąca na zdobycie orientacji w okolicy?

– Potrzebuję miesiąca, ażeby wziąć się w garść. Ten czas zamierzam przeznaczyć wyłącznie dla siebie. Dzieci po przyjeździe same znajdą sobie mnóstwo zajęć. Pokażę ci zdjęcia domu.

Rosemary była pod wrażeniem zarówno zmiany, jaka się dokonała w przyjaciółce, jak i fotografii pięknego ogrodu z basenem w małym mieście, w stanie Connecticut. Być może była to sztuczna energia, lecz Ria Lynch naprawdę zaczęła przejawiać oznaki życia. Do tej pory zachowywała się jak lu-natyczka.

– Nigdzie nie jadę – oświadczyła Annie.

– Świetnie – odparła Ria.

Reakcja matki zaskoczyła dziewczynę. Spodziewała się perswazji oraz przymilnych słówek. Nie ulegało wątpliwości, że sytuacja w domu uległa zmianie.

Brian uważnie przyglądał się zdjęciom.

– Spójrzcie, obok garażu znajduje się miejsce do gry w koszykówkę. Zastanawiam się, czy mają tam piłkę? Może powinienem zabrać swoją?

– Oczywiście, że mają – oświadczyła jego siostra wyniosłym tonem.

– Spójrz na basen, wygląda jakby należał do jakiegoś hotelu.

Annie, wciąż ze zbuntowaną miną, ponownie sięgnęła po fotografię.

– To niedorzeczny pomysł – stwierdziła.

Ria nie odezwała się i nadal nakrywała stół do śniadania.

Odstawiła na bok duży fotel z rzeźbionymi oparciami, w któ-

rym zazwyczaj siadał Danny. Nie wygłosiła przy tym żadnego publicznego oświadczenia, tylko wsunęła fotel do kąta, wraz z 353

piętrzącym się na nim stosem ilustrowanych czasopism i gazet.

Za każdym razem siadała gdzie indziej przy stole, starając się wprowadzać zmiany, aby nie pozostawiać ziejącej pustki tam, gdzie do niedawna miał swoje miejsce mąż.

To zdumiewające, że wciąż się go spodziewała. Niemal liczyła na to, że przyjdzie, stanie w drzwiach i powie: „Miałem dzisiaj okropny dzień, skarbie. Miło znowu znaleźć się w do-mu”. Czy kiedy już się spotykał z Bernadette, nadal zwykł tak mówić? Pod wpływem tej refleksji Ria się wzdrygnęła. Jak niewiele wiedziała o Dannym i jego życiowych pragnieniach!

Często zauważała, że nie może się skupić na przygotowaniach do podróży, gdyż w głowie jej huczy od różnych myśli. Zawsze ze zrozumieniem odnosiła się do późnych powrotów z pracy męża i planowała dania, które można było łatwo podgrzać. A kto wie, czy podczas tych wszystkich wieczorów, kiedy wyczerpany zasypiał w wielkim fotelu, nie było to zmę-

czenie spowodowane uprawianiem seksu z młodą dziewczyną.

Ria miała za sobą tygodnie wstrząsających przebudzeń o czwartej nad ranem w pustym łóżku, prób przypomnienia sobie, kiedy po raz ostatni się tutaj kochali, oraz rozważań o tym, co myślał Danny, gdy już planował porzucenie jej i przeprowadzkę do innego domu.

Była pewna, że gdyby mieszkała sama, oszalałaby. Zachowanie pełni władz umysłowych zawdzięczała w pewnej mierze konieczności robienia dobrej miny przed dziećmi.

Spojrzała na oboje, gdy siedzieli przy stole. Brian przeglądał

zdjęcia, wpatrując się w umocowany na ścianie budynku duży kosz do gry w koszykówkę oraz basen, wokół którego teren wyłożono płytkami. Annie z naburmuszoną miną przesuwiała po stole wycinki i fotografie. Rię ogarnęło nagle współczucie dla swoich pociech. Czekają je lato zupełnie inne niż to, jakiego miały prawo się spodziewać. Ria wiedziała, że musi postę-

354

pować z nimi bardzo łagodnie.

Odpowiedziała na stwierdzenie córki, z namysłem dobierając słowa:

– Wiem, że nie zachwyca was pomysł wakacji w Ameryce, ale ten wyjazd ma także wiele plusów. Pobyt tam stanie się dla nas wszystkich nowym doświadczeniem i nie będziemy musieli płacić rachunków za hotel. I co ważne, osoba, która tutaj przyjedzie, zaopiekuje się naszym domem.

– Co to za kobieta? – spytała zrzędlwym tonem Annie.

– Wszelkie informacje o niej znajdziesz w tej oto korespondencji, kochanie. Zostawiłam ją na wierzchu, żebyście mogli wszystko przeczytać.

– Nic z tego nie wynika – oświadczyła córka.

W pewnym sensie miała rację. List nie wnosił wiele nowego. Marilyn nie wyjaśniła, dlaczego zdecydowała się na opuszczenie raju, w którym żyła, aby przyjechać do Dublina.

Ani nie powiedziała, czy jej mąż wybiera się tutaj razem z nią.

Nie było także wzmianki o przyjaciółach i krewnych ani o dalszych znajomych z Westville. Do korespondencji został dołą-

czony jedynie, na wypadek nagłej potrzeby, wykaz adresów ślusarza, hydraulika, elektryka i ogrodnika.

Lista Rii okazała się o wiele obszerniejsza. Fakt ten nie miał jednak znaczenia, ponieważ i tak nic nie mogło zadowolić Annie. Wciąż z nadąsaną miną wertowała papiery rozłożone na kuchennym stole.

– Czy tato ustalił już datę wyjazdu nad Shannon? – spytała Ria.

Dzieci spojrzały po sobie z poczuciem winy, jak gdyby miały coś przed nią do ukrycia.

– Powiedział, że wszystkie łodzie są już zarezerwowane –

wyznał Brian.

– To niemożliwe.

355

– On w każdym razie tak twierdzi – powiedziała córka.

– Widocznie jest na nie duży popyt – zauważyła Ria, udając, że nie słyszy nutki niedowierzania w głosie dziewczyny.

– Może tylko wymyślił tę wymówkę – zasugerował syn.

– Nie, Brianie. Dobrze wiesz, że nie zrobiłby tego. Przecież marzy o tej wyprawie.

– On może tak, ale ona na pewno nie – uściśliła Annie.

– Tego nie wiemy. – Ria starała się postawić sprawę uczciwie.

– A właśnie że wiemy, mammo.

– Sama wam o tym powiedziała?

– Nie, jeszcze jej nie poznaliśmy – pośpieszył z wyjaśnieniem Brian.

– A zatem...

– Ale dzisiaj ją poznamy – powiadomiła matkę Annie. –

Po lekcjach.

– To dobrze – odrzekła bezsensownie Ria.

– Co widzisz w tym dobrego? – Córka była dzisiaj gotowa walczyć z własnym cieniem.

– To, że razem z Bernadette spędzicie lipiec, a zatem im prędzej się z nią spotkacie, tym lepiej. Zdążycie się bliżej poznać przed wakacjami.

– Nie mam ochoty zawierać z nią znajomości – zachnęła się Annie.

– Ani ja – zgodził się z siostrą chłopiec, co nie zdarzało się często.

– Gdzie jesteście umówieni?

– W jej mieszkaniu; u nich – wyjaśniła dziewczyna. – Zostaliśmy zaproszeni na herbatę. – Z jej tonu wynikało, że trudno o bardziej niedorzeczną propozycję spędzenia popołudnia.

Ria ucieszyła się, dostrzegając opór przeciwko kobiecie, która zabrała jej męża. W głębi duszy wiedziała jednak, że

tylko od dobrego nastawienia dzieci do wybranki ojca zależy szansa na spokój w przyszłości.

– Byłoby miło, gdybyście... – zaczęła.

Już chciała im poradzić, żeby zaniósł Bernadette mały kwiatek doniczkowy albo drobny upominek. Taka postawa dzieci przełamałaby lody i sprawiła przyjemność Danny'emu.

Powstrzymała się jednak od tej sugestii. Cóż za absurdalny pomysł. Nie zamierzała ścielić mu życia różami ani ułatwiać spotkania dzieci z jego kochanką. Musiał rozegrać tę partię według własnego uznania.

– Co byłoby miło? – Annie wyczuła zmianę w nastroju matki.

– Gdyby nie doszło do tego wszystkiego, ale cóż, stało się i teraz musimy sobie radzić z nową sytuacją najlepiej, jak potrafimy. – Była pełna animuszu.

– Zgarnęła ze stołu zawartość listu Marilyn.

– Zamierzasz to gdzieś schować? – spytała dziewczynka.

– Tak. Brian już obejrzał zdjęcia, a ty i tak nie jedziesz z nami, więc chyba nie masz nic przeciwko temu, że włożę ten list do moich rzeczy?

– Co będę tutaj robiła przez resztę wakacji?

– Nie wiem, Annie. Przypuszczam, że przeniesiesz się na czas naszej nieobecności do Bernadette i ojca. Na pewno znajdziesz sobie jakieś zajęcie. – Wiedziała, że postępuje nie-uczciwie, ale nie zamierzała się zniżać do błagań ani nalegań.

Wszyscy troje wiedzieli, że kiedy nadjedzie pora, Annie pojedzie do Westville.

Blok mieszkalny przy Bantry Court, gdzie mieszkała Bernadette, był postawiony przez Barneya przed pięcioma laty. I większość mieszkań w nim została sprzedana przez Danny'ego. Może właśnie przy tej okazji mąż poznał Bernadette, 357

Ria nigdy go o to nie pytała. Znalazłoby się także wiele innych niezadanych pytań. Na przykład, jak wygląda ta dziewczyna, o czym ze sobą rozmawiają, co mu gotuje. I czy głaszcze Danny'ego po głowie, trzymając go mocno w objęciach, kiedy z dudniącym sercem budzi się w nocy z koszmarnego snu.

Dotychczas Rii udawało się właściwie funkcjonować, gdyż odsuwała od siebie tego rodzaju myśli. Jednak dzisiaj jej córka i syn wybierali się na herbatę do mieszkania tej kobiety. I z jakiegoś powodu Ria uznała za ważne, ażeby zobaczyć wcze-

śniej Bernadette. Zanim ją poznają dzieci.

Gdy tylko wyszły do szkoły, wsiadła do samochodu i pojechała tam. Zauważyła, że przebycie całej drogi trwało kwadrans. Zapewne mąż wielokrotnie pokonywał wieczorami tę trasę, kiedy pracował do późna. Czy powrót na Tara Road wzbudzał w nim za każdym razem odrazę, czy też Danny był

zadowolony z podwójnego życia, jakie prowadził? A gdyby Bernadette nie zaszła w ciążę, czy sytuacja taka trwałaby nadal? Bantry Court, Tara Road, dwa oddzielne rozdziały jego codziennej egzystencji?

Ria zatrzymała się na parkingu przed budynkiem i spojrzała w okna. Za jednym z nich siedziała Bernadette, która dzisiejszego popołudnia zamierzała gościć na herbacie syna i cór-kę Danny'ego, zawrzeć z nimi znajomość i opowiedzieć im o przyszłej przyrodniej siostrze lub bracie. Czy nazwie Danny'ego, „kochanym” albo też „najdroższym”? Czy wprowadzi dzieci w zakłopotanie, kładąc mu rękę na ramieniu?

Nie zjedna sobie sympatii tych dwojga bez względu na to, co zrobi. Nie było sposobu, aby mogła to rozegrać we właściwy sposób. Annie i Brian chcieli tego, co z powodu Bernadette stało się niemożliwe: pragnęli, aby ich życie było znowu takie jak niegdyś.

Nazywała się Bernadette Dunne. Przynajmniej tego Ria 358

dowiedziała się od dzieci. Nazwisko to utkwilo głęboko w jej świadomości, niczym niezwykle ciężki przedmiot.

Podeszła do listy z nazwiskami lokatorów oraz dzwonekami do mieszkań. Widniało tam: „Dunne”, pod numerem 12, na ostatnim piętrze. Czy powinna zadzwonić? Nawet gdyby Bernadette wpuściła ją do środka, choć wydawało się to raczej mało prawdopodobne, co, u licha, Ria mogłaby jej powiedzieć?

Uzmysłowiła sobie, że działa impulsywnie, nie zastanawiając się nad tym, co robi.

Zawahała się i cofnęła o krok. W tym momencie do do-mofonu podeszła kobieta i nacisnęła guzik z numerem 12.

Odpowiedział głos:

– Kto to? – Wysoki, młody głos.

– Ta ja, Ber, mama – odpowiedziała kobieta.

– Och, jesteś już, to dobrze. – Dziewczyna prawdopodobnie nacisnęła brzęczyk, ponieważ drzwi się otworzyły.

Ria skuliła się z tyłu.

– Wchodzi pani? – Kobieta była uprzejma i trochę zaintrygowana zachowaniem rozdygotanej i pełnej wahania nie-znajomej.

– Słucham? Nie, rozmyśliłam się. Bardzo pani dziękuję.

Zanim się odwróciła, żeby odejść, obrzuciła ciężkim spojrzeniem nową teściową Danny’ego. Pani Dunne była niska, lecz wyglądała elegancko w beżowym kostiumie z białą bluzką, do którego pasowała duża skórzana torba. Miała dobrze obcięte, krótkie, ciemne włosy oraz pantofle koloru miedzi, na wysokich obcasach. Jej wiek Ria oceniła na czterdzieści, a najwyżej na czterdzieści pięć lat. Matka Bernadette była niewiele starsza od Danny’ego i od niej.

Ria wsiadła do samochodu. Przyjście tutaj okazało się głupotą i niepotrzebnym wystawieniem na próbę własnych nerwów. Teraz była zbyt roztrzęsiona, aby móc poprowadzić 359

auto. Musiała chwilę odczekać, uspokoić się i odzyskać zdolność panowania nad kierownicą. Co ją napadło, żeby tutaj przyjeżdżać? Co jej dała wiedza o tym, że pani Dunne, która właśnie odwiedziła swą ciężarną córkę, należy do pokolenia Rii i nie jest starszą kobietą, jak matka jej czy też Danny’ego?

W jaki sposób Danny to sobie tłumaczył? A może był zbyt otumaniony, ażeby cokolwiek dostrzec? Ria nie zdążyła podą-

żyć tym tropem swoich myśli, ponieważ nagle znowu spostrzegła w oszklonych drzwiach bloku przy Bantry Court tamtą kobietę. Tym razem była w towarzystwie córki. Ria pochyliła się do przodu i wytężyła wzrok. Dziewczyna miała długie, puszyste, proste włosy, które lśniły niczym reklama nowego szamponu. Ria zorientowała się, że jej ręka odruchowo wędruje do własnych skręconych kosmyków.

Bernadette miała bladą twarz w kształcie serca i ciemne oczy. Była to twarz uduchowiona, z rodzaju tych, jakie można zobaczyć na obwolucie płyt kompaktowych popularnych pio-senkarek. Dziewczyna miała na sobie długi, luźny żakiet z czarnego aksamitu, krótką, różową spódnicę, a na nogach dziecięce, czarne pantofle ozdobione różową koronką. Ria wiedziała, że tamta ma skończone dwadzieścia dwa lata i jest nauczycielką muzyki, ale przypominała swoim wyglądem siedemnastolatkę, którą matka przyłapała na wagarowaniu i postanowiła odwieźć do szkoły osobiście. Wsiadły do eleganckiej toyoty starlet i matka Bernadette wprawnie wycofała pojazd z parkingu.

Odzyskała siły, znalazła kluczek i ruszyła za nimi, gdy nieco odjechały spod budynku przy Bantry Court. Musiała wiedzieć, dokąd się wybierają – nagle wszystko inne przestało się liczyć. Dwa samochody posuwały się wolno po zatłoczonych ulicach podczas wzmożonego porannego ruchu. Nagle jeden z nich zasygnalizował, że się zatrzymuje. Wyskoczyła z 360

niego Bernadette i pomachała matce, usiłującej znaleźć miejsce do zaparkowania. Cięża dziewczyny nie była jeszcze widoczna, a może tylko skutecznie zakrywała ją rozwiane połyskujące ob-szerne żakietu. Ria spostrzegła, dokąd zmierza dziewczyna.

Do dużych i znanych delikatesów. Najwyraźniej chciała zrobić zakupy na przyjęcie dla swoich przyszłych pasierbów. Dzisiaj zamierzała wydać prawdziwą ucztę dla Annie i Briana Lynchów.

Ria miała ochotę zostawić samochód na chodniku, włączyć światła awaryjne i wbiec za tamtą do sklepu. Doradziłaby jej zakup wegetariańskiego pasztetu dla Annie, małych kiełbasek, za którymi obecnie przepadał Brian, oraz dojrzalego sera brie i pełnoziarnistego chleba dla Danny'ego. A może tylko zatrzymałaby się przy jednym ze stoisk i nawiązała rozmowę z tą dziewczyną jak klientka z klientką?

Było to jednak niebezpieczne. Niewykluczone, że Bernadette oglądała zdjęcia Rii i wiedziała, jak ona wygląda. A poza tym wkrótce mogła nadejść matka dziewczyny, aby jej służyć radą przy zakupach. I rozpoznałaby w Rii ową roztrzęsioną kobietę, którą spotkała przed budynkiem przy Bantry Court.

Jakąż była matką, skoro zachęcała córkę do rozbicia czyjejś rodziny i urodzenia dziecka zonanemu mężczyźnie? Zapewne nie dała dobrego przykładu Bernadette, skoro sprawy przyjęły taki obrót.

Po chwili Ria uzmysłowiła sobie, że ta kobieta mogła wcale nie chcieć takiego życia dla swojej córki. I prawdopodobnie była zaniepokojona całą sytuacją, podobnie jak byłaby Ria, gdyby to Annie zaangażowała się w związek z zonanym mężczyzną w średnim wieku. Niewykluczone, iż na początku w ogóle nie wiedziała o tym, że Danny jest zonaty i dopiero później nabrała podejrzeń.

Nagle przypomniała sobie ową telefoniczną rozmowę z 361

nieznajomą, która usiłowała się dowiedzieć, czy Ria jest panią Lynch. To musiała być ona. Danny najpierw wymyślił jakąś nieprawdopodobną historię, a dopiero potem wyznał prawdę.

Ria zrobiłaby to samo, gdyby Annie miała się związać z żonatym mężczyzną. Zatelefonowałaby do jego domu, ażeby sprawdzić, czy żona rzeczywiście istnieje. I aby porozmawiać z wrogiem. Ta kobieta z pewnością również kochała swoją córkę i wolałaby na partnera życiowego dla niej młodego chłopaka, który byłby wolny. Kto mógł jednak przewidzieć, do czego są zdolne córki?

Czy teraz, obejrzawszy Bernadette, poczuła się lepiej, niż gdyby nadal tkwiła w nieświadomości? Ria zastanawiała się nad tym, siedząc w samochodzie i przygryzając wargę. Prawdopodobnie dobrze się jednak stało, że ją zobaczyła. Oznaczało to, że odtąd nie będzie już więcej domysłów. Przynajmniej oczyściła swój umysł z bezsensownych rozważań. Choć cała sytuacja nie stała się dla niej znośniejsza z racji bardzo młodego wieku Bernadette. Ani też łatwiejsza do wybaczenia.

Rozległo się pukanie w przednią szybę i Ria podskoczyła.

Przez jedną obłądną chwilę sądziła, że to Bernadette i jej matka mają zamiar z nią porozmawiać. Zaraz jednak spostrzegła surową twarz funkcjonariuszki straży miejskiej.

– Chyba nie przyszło pani do głowy, żeby tutaj parkować?

– spytała kobieta.

– Nie, myślałam tylko o mężczyznach i kobietach oraz o tym, jak różne są ich pragnienia.

– Trzeba przyznać, że wybrała pani sobie dość osobliwe miejsce na snucie tego typu rozważań. – Strażniczka sprawiała wrażenie, jakby zamierzała w tej sekundzie otworzyć czarny notes i wypisać mandat.

– Ma pani rację – przyznała Ria. – Ale tego rodzaju myśli nachodzą człowieka całkiem niespodziewanie. Już odjeżdżam.

362

– Bardzo roztropna decyzja. – Kobieta z pewnym żalem schowała swój notes.

*

W południe Ria zatelefonowała do Marilyn.

– Mam nadzieję, że nie stało się nic złego? – W głosie Amerykanki zabrzmiało zaniepokojenie.

– Nie, chciałam się tylko upewnić, czy twoje przygotowania są w toku, to wszystko. Chyba nie dzwonię o zbyt wczesnej porze? Jeśli tak, to bardzo przepraszam. Pomyślałam, że może już jesteś na nogach.

– Wszystko w porządku, właśnie skończyłam pływać. Zadzwoniłaś w bardzo odpowiednim

momencie. A czy ty już wszystko zorganizowałaś?

– Tak, sądzę, że tak. – Ria wydawała się bardzo przybita.

– Nic się nie zmieniło, prawda?

– Nie. Przygnębiła mnie tylko pewna sprawa, która nie ma związku z naszymi wakacjami. Dzisiaj zobaczyłam kobietę, dla której mój mąż mnie porzucił. To jeszcze dzieciak. Odkrycie to było dla mnie sporym wstrząsem.

– Bardzo mi przykro.

– Dziękuję. Musiałam komuś o tym powiedzieć.

– Tak, wiem.

– Oczy Rii napęłniły się łzami; ta kobieta sprawiała wrażenie, jakby naprawdę ją rozumiała. Ria musiała zapewnić Marilyn, że nie zamierza szukać w rozmowach z nią ujścia dla swoich emocji.

– Nie myśl, że jestem w depresji – zaczęła. – Chciałam tylko uzyskać od ciebie potwierdzenie, że mój wyjazd do Westville nadal jest aktualny. Muszę mieć przed sobą jakąś perspektywę.

363

– Oczywiście, że jest aktualny – odpowiedziała Marilyn. –

Ponieważ gdyby nie był, ja również załamałabym się nerwowo. Wczoraj wieczorem przeprowadziłam bardzo nieprzyjemną rozmowę telefoniczną z mężem. Powiedzieliśmy sobie zbyt wiele cierpkich słów... A nie mam ochoty zwierzać się nikomu tutaj z obawy przed pobłażliwym głaskaniem po głowie oraz zapewnieniami, że nic się nie stało. Ponieważ dla mnie to jest ważne.

– Oczywiście. I na czym stanęło?

– Rozłączył się i tyle.

– A ty nie mogłaś ponownie do niego zatelefonować, ponieważ kolejna rozmowa miałaby podobny przebieg?

– Trafiłaś w sedno – oświadczyła tamta.

Przez chwilę obie milczały. Żadna z nich nie starała się drugiej pocieszyć.

– Jak zamierzasz spędzić ten dzień? – spytała Ria.

– Chcę pracowicie wypełnić każdą chwilę. Być może nie jest to zbyt właściwa metoda, ale jedyna, na jaką obecnie mnie stać. A jakie są twoje dzisiejsze plany?

– Mniej więcej takie same, jak twoje. Nie ma sensu siedzieć beczynnie i starać się nie przejmować, jak wszyscy ra-dzą. Stwierdziłam, że kiedy człowiek zaczyna odpoczywać, do głowy cisną mu się obrazy z przeszłości.

– Jestem podobnego zdania – zapewniła ją Marilyn.

Nic więcej nie pozostało już do powiedzenia. Pożegnały się jak stare przyjaciółki, które rozmawiają ze sobą, używając skrótów myślowych.

Na Rię dobrze wpłynęła własna deklaracja o pracowitym dniu. Postanowiła zacząć od sprawdzenia zawartości szaf –

stwarzało to doskonałą okazję do ciężkiej fizycznej pracy. Teraz, kiedy w jej domu miała zamieszkać obca osoba, należało w końcu zrobić od dawna odkładane porządki. Większość rze-364

czy Danny’ego została już usunięta z domu, a teraz zamierzała pozbyć się reszty. Zakazała sobie przerw na sentymentalne wspomnienia o lepszych czasach. Postanowiła profesjonalnie podejść do zagadnienia, jak pracownik firmy zajmującej się przeprowadzkami.

Zaczęła od szafy łazienkowej. Wciąż znajdowało się w niej kilka jego pidżam, skarpetki i podkoszulki. Nie zamierzała dłużej się zajmować garderobą byłego męża; niech Bernadette znajdzie na nią miejsce. Wszystkie ubrania zostały złożone i umieszczone w specjalnie do tego celu kupionej, pakownej torbie. Danny nie będzie mógł zarzucić Rii, że wrzuciła jego rzeczy do worka na śmieci. Starannie spakowane, wyglądały tak, jak gdyby miał je ze sobą zabrać na wakacje. Do jego bielizny Ria dołączyła również kilka starych sportowych ręczników, zimowy szlafrok, sfatygowany dres, w którym zazwyczaj biegał, oraz bardzo niemodne kąpielówki. Wiedziała, że nie podziękuje za to wszystko, nie będzie mógł jednak niczego jej zarzucić.

Potem zatelefonowała do matki i zaprosiła ją na lunch.

– Czy zastanowiłaś się dobrze nad tym bezsensownym pomysłem wyemigrowania do Ameryki? – spytała Nora Johnson.

– Wybieram się tam tylko na dwa miesiące wakacji, ma-mo, ażeby odpocząć i zmienić otoczenie, ponieważ dokładnie tego potrzebuję. Taki urlop może mi tylko wyjść na zdrowie.

– Z pewnością trochę cię podniesie na duchu – przyznała niechętnie matka.

– Przyjdź do mnie mammo, potrzebuję twojej pomocy. Ro-bię porządki w kuchennych szafkach, a do tego są nieodzowne dwie osoby.

– Chyba oszalałaś, Rio. Jesteś klinicznym przypadkiem.

Jak można myśleć w takim momencie o porządkach?

– A co byś wolała? Mam kazać aresztować Danny’ego dlatego tylko, że przestał mnie kochać? A może, twoim zdaniem, powinnam leżeć na kanapie i płakać?

– Nie.

– W takim razie ugotuję wspaniałą, wysokokaloryczną zupę, którą zjemy dla pokrzepienia się po skończonej robocie.

W ten sposób Ria upiekła dwie pieczenie na jednym ogniu.

Matka potrzebowała wyjaśnień i zapewnień, że wyjazd córki nie jest szalonym przedsięwzięciem. A czyż istniała lepsza po temu okazja niż podczas wspólnych porządków w kuchni?

Kiedy się uporały z zadaniem, Ria była skrajnie wyczerpana. Ale przynajmniej matka została ułagodzona, przekonana o sensowności planów wakacyjnych i serdecznie zaproszona do złożenia wizyty w Westville. Dodatkową korzyścią była jej pomoc przy sprzątanii szafek.

Ria nie zamierzała jednak na tym poprzestać. Pragnęła dzisiaj paść ze zmęczenia. Nie miała ochoty leżeć w swoim ogromnym, pustym łóżku i myśleć o tym, że Danny śpi z tym dzieciakiem przy Bantry Court. Marzyła, by w jednej chwili zapaść w mocny sen. Po wyjściu matki zatelefonowała do Gertie. Jej też była winna wyjaśnienia w związku ze swoimi wakacyjnymi planami. I uznała, że wytłumaczenie sytuacji stanie się o wiele łatwiejsze, kiedy obie będą zajęte sprzątaniiem.

– Wiem, że to, o co cię poproszę, zabrzmii jak kwestia z filmu „Pamiętnik szalonej gospodyni”, ale czy nie mogłabyś mi poświęcić dwóch godzin po południu, jeśli zdołasz się wyrwać z domu? Wyświadcysz mi wielką przysługę. Muszę poczyścić wszystkie srebra, zapakować je i zanieść do banku.

Marilyn z pewnością nie zechce ponosić za nie odpowiedzialności podczas pobytu w moim domu. Poza tym przypuszczam, że i tak w przyszłości będę się musiała nimi podzielić z Dannym, nie zaszkodzi więc, jeśli zostaną już uporządkowane.

366

– Z największą przyjemnością ci pomogę, tym bardziej że jest pewna sprawa, o której chciałabym z tobą porozmawiać. U

mnie panuje dzisiaj względny spokój. Czy mogę przyjść od razu?

– Wspaniale, Gertie. I posłuchaj, zapłacę ci dwadzieścia funtów. Naprawdę, twoja pomoc jest dla mnie tyle warta.

– Nie musisz kłopotać się pieniędzmi...

– To normalna zapłata za świadczenie przysługi. Gertie była blada jak zwykle i rozglądała się nerwowo wokół siebie.

– Nie ma nikogo w domu?

– Nie, jestem sama.

– Zapewne się domyślasz, co chcę ci powiedzieć. Odszukałam na mapie miejscowość, do której się wybierasz. Załedwie trzydzieści mil dzieli ją od miejsca zamieszkania Sheili.

– Sheili? Twojej siostry? To cudownie. – Ria nie posiadała się z zachwytu. – Będę się mogła z nią zobaczyć!

Gertie nie podzielała jej entuzjazmu.

– Nie powiesz jej o niczym, prawda, Rio? Nie piśniesz jej ani słowa, zgoda?

– O czym?

– O mnie i o Jacku. Wiesz, o naszej sytuacji. – Przyjaciół-

ka miała wystraszony wzrok.

Rię ogarnęła tak wielka litość dla niej, że z trudem wydobyła z siebie głos.

– Oczywiście, że nic nie powiem, Gertie, przecież dobrze o tym wiesz.

– Pomyślałam, że będziesz tam sama i przygnębiona po tym, przez co ostatnio przeszłaś, a w takim nastroju ludzie są skłonni do zwierzeń...

– Nie, Gertie. Nikomu nie będę się zwierzać, naprawdę.

– Trudno mi o tym mówić, Rio, ale fakt, że Sheila mi zazdrości, trzyma mnie przy życiu. Nikt inny nie chciałby się

znaleźć w mojej sytuacji. Miło jest mieć świadomość, że ta zaradna siostra, która wyemigrowała do Ameryki, sądzi, iż wiodę tutaj wspaniałe życie, mam przystojnego męża, cudowną rodzinę oraz wspaniałych przyjaciół.

– Ależ, w pewnym sensie, rzeczywiście masz to wszystko, Gertie – zapewniła ją Ria, i została nagrodzona uśmiechem z dawnych czasów, kiedy przyjaciółka pracowała jeszcze w firmie „U Polly”.

– Racja, rzeczywiście mam – przyznała tamta. – Wszystko zależy od punktu widzenia.

Razem polerowały srebra, poruszając w rozmowie tylko te tematy, które nie mogły dotknąć żadnej z nich. Po zakończonej robocie Ria wręczyła Gertie kopertę.

– Branie od ciebie pieniędzy jest dla mnie bardzo krępują-

ce, ponieważ praca tutaj naprawdę sprawia mi ogromną przyjemność. To uroczy, szczęśliwy dom; a

twój mąż jest głupcem.

Co ona ma mu do zaoferowania, czego by tutaj nie miał?

– Ponowną młodość, jak sądzę – odparła Ria. – Nie potrafię znaleźć innego wytłumaczenia.

– Jesteś zmęczona, Rio. Może położysz się na chwilę, zanim dzieci wrócą ze szkoły?

– Nie jestem zmęczona, a poza tym dzieci spędzą dzisiejsze popołudnie i wieczór ze swoim ojcem.

– Ciekawe, czy znowu zabierze je do „Quentina”?

– Nie, ma zamiar przedstawić im dzisiaj przyszłą macochę

– wyjaśniła Ria niebezpiecznie opanowanym głosem.

– Ona nigdy nią nie zostanie, wspomnisz moje słowa. Ten związek rozpadnie się na długo przedtem, zanim dojdzie do jakichkolwiek małżeńskich planów.

– Niewielka z tego dla mnie pociecha, Gertie, naprawdę –

odpowiedziała błagalnym tonem.

– Nie zamierzałam cię pocieszać. Stwierdziłam jedynie 368

fakt, ponieważ tak się niechybnie stanie. Polly ją widziała; daje jej co najwyżej trzy miesiące.

Rii nie spodobała się myśl, że tamta o niej z kimś rozmawiała, ale jeszcze bardziej obruszyła się na wieść o tym, iż Barney i Polly utrzymują towarzyskie kontakty z Bernadette.

Prawdopodobnie wielokrotnie spotykali się we czwórkę. Pod wpływem tej refleksji Ria nabrała ochoty na jeszcze jakąś wyjątkowo ciężką robotę, której oddałaby się bez reszty, aby powstrzymać natłok myśli. Zastanawiała się, czy nie będzie przesadą, jeśli po wyjściu Gertie zabierze się do szorowania podłóg w kuchni?

Zdecydowała się na kompromis. Poszła do frontowego pokoju, usiadła przy okrągłym stole i rozejrzała się wokoło.

Jakie odczucia wzbudzi w Amerykance ten staroświecki salon?

Marilyn mieszkała w nowoczesnym domu o przestronnych i pustych wnętrzach. Być może uzna to pomieszczenie za zbyt przeładowane z powodu obrazów w ciężkich ramach i stylowego kredensu. Ale wszystkie zgromadzone tu sprzęty i przedmioty były pieczołowicie i z wielką czułością wybierane na aukcjach i gromadzone przez lata. Ria dokładnie pamiętała dni, kiedy każdy z nich został tutaj ustawiony. Gertie regularnie wszystko czyściła, ilekroć przychodziła zarobić dodatkowe pieniądze na alkohol dla Jacka. Ria wierzyła, że meble spodobają się Marilyn i będzie się dobrze czuła w tym pokoju.

Otworzyła szuflady kredensu. Chętnie dowiedziałyby się od kogoś, co powinny zawierać. Prawdopodobnie służyły do przechowywania obrusów, sztućców, korkociągów i tac. Ona podawała jednak posiłki w kuchni. Jakież byłoby sens trzymania w kredensie bielizny stołowej, skoro nikt tutaj nie jadał? Ria zaciękała się nagle, co się w nich znajduje.

Stwierdziła, że w szufladach poniewierają się wszystkie rupiecie, które nie miały swojego stałego miejsca. Były tam 369

dziecięce rysunki, popsuty zegarek na rękę, ołówki, stary kalendarz, beret zrobiony na drutach przez matkę Rii, taśma samoprzylepna, latarka bez baterii, przewodnik po restauracjach, kasetka z nagraniami Boba Marleya, kilka tanich plastikowych zabawek z przyjęcia bożonarodzeniowego, stary dziennik Annie, kilka przepisów kulinarnych oraz zdjęcie Rii i Hilary z czasów, kiedy obie były nastolatkami. Ria położyła wszystko na tacy i wilgotną ścierką przetręła wnętrze szuflad. Nie zamierzała niczego chować z powrotem do środka. To nie było odpowiednie miejsce dla żadnej z tych rzeczy.

Bez pośpiechu sięgnęła po dziennik Annie. Śmieszne, ukośne pismo okazało się tak drobne, że musiała dobrze wyte-

rać wzrok, ażeby móc je odczytać. Uśmiechnęła się na widok listy z pierwszą dziesiątką muzycznych przebojów oraz nazwiskami i datami urodzin piosenkarzy. Kolejne notatki dotyczyły szkoły. Była tam wzmianka o tym, że Annie zabroniono siedzieć w jednej ławce z Kitty, ponieważ wicznie gadały na lekcjach. Jedni nauczyciele byli okropni, a inni, choć nie najgorsi, wydawali się zbyt sztywni. Dokładnie to samo pisała kiedyś Ria w swoich pamiętnikach. Zastanawiała się, co się z nimi stało i czy matka je kiedyś czytała.

Dotarła do zapisków córki z przyjęcia urodzinowego Briana. Pismo stało się teraz wyjątkowo małe i nieczytelne, jak gdyby każde słowo z racji swojej ważności zostało zanotowane w wielkim pośpiechu. Zrozumienie tekstu okazało się nie mniej trudnym zadaniem niż jego odcyfrowanie.

Ria nie miała żadnych obiekcji, że czyta czyjś prywatny dziennik. Musiała się dowiedzieć, co zaszło tamtego dnia.

Córka napisała o tym w bardzo zawołowanej formie. Do owego wydarzenia doszło na ścieżce za domem, oprócz Annie nikt o nim nie wiedział i, według niej samej, była to najstrasz-370

liwsza rzecz na świecie. Dziewczynka zapewniała z całą stanowczością, że nie poczuwa się do winy. Szukała tylko bezpańskiego kotka. I trudno uznać ów fakt za przestępstwo.

Nieważne, że zdaniem Kitty to jest cudowne. Mnie nie obchodzą żadne tego rodzaju doznania. I wcale w nie nie wierzę.

Ona miała wykrzywioną twarz, jak gdyby gniewała się o coś.

Nie będę rozmawiać o tym z Kitty, boby mnie wyśmiała. Oczywiście nie powiem również mamie, ponieważ by mi nie uwierzyła albo zrobiłaby jakąś przykrą uwagę. Byłam bliska wygadania się

przed Colmem. Jest bardzo miły i zauważył, że stało się coś złego. Nie mogłam jednak mu się zwierzyć. Ma dosyć własnych zmartwień, a poza tym trudno mówić o tego rodzaju sprawach. Brakowałoby mi słów na wyrażenie tego, co się sta-

ło. Żałuję, że to widziałam. Ale stało się i nie mogę zmienić tego faktu. Nie przypuszczałam, że można to robić w ten sposób. Sądziłam, że trzeba przyjąć pozycję leżącą. I że też akurat na nią musiałam się natknąć. Nigdy jej nie lubiłam, a obecnie darzę ją jeszcze mniejszą sympatią. Prawdę mówiąc, uważam, że jest odrażająca. Chwilami mam ochotę dać jej do zrozumienia, że byłam świadkiem tamtej sceny, aby mieć nad nią przewagę, ale to chyba niezbyt dobry pomysł. Roześmiałyby się tylko i jak zwykle przybrałyby wyniosłą pozę.

Ria wstrzymała oddech. Co Annie mogła zobaczyć? Kogo widziała? I gdzie? Z kontekstu wynikało, że sprawa nie dotyczy Kitty. Do Rii powróciły wspomnienia z dnia urodzin Briana. Annie przed przyjściem do domu przewróciła się na ulicy przed restauracją Colma. Czy to możliwe, że zobaczyła Colma z jakąś kobietą? Nie, jego określiła jako sympatycznego człowieka, a osobą, która oburzyła ją swoim zachowaniem, była kobieta: wyniosła i pogardliwie odnosząca się do wszystkich.

371

Być może chodziło o Caroline. Czyżby Annie natknęła się na dziwną i zamkniętą w sobie siostrę Colma z jej roślami i prymitywnym mężem? Albo na Caroline w towarzystwie innego mężczyzny? Czy w dalszym tekście znajdzie się o tym jakaś wzmianka?

Ria powróciła do lektury.

Nie obchodzi mnie, że zdaniem wielu ludzi miłość jest przeżyciem cudownym. Ja nie zamierzam mieć z tym nic wspólnego. Wolalabym, żeby tato przestał mówić, że pewnego dnia zjawi się jakiś mężczyzna i zabierze mu jego księżniczkę.

Nigdy do tego nie dojdzie. Czasami żałuję, że w ogóle się urodziłam.

Ria usiadła nagle przy stole, na którym leżały porozrzucane rupiecie z kredensu. Zrozumiała, że będzie musiała odłożyć wszystko z powrotem na miejsce. Zapewne Annie któregoś dnia wcisnęła w pośpiechu do szuflady swój pamiętnik z zamiarem zabrania go stąd później. I nigdy nie może się dowiedzieć, że matka go znalazła.

Marilyn rozejrzała się po swoim domu, starając się obiektywnie ocenić jego wygląd. Jaki się wyda komuś, kto mieszka w stuletniej rezydencji? Sądząc ze zdjęć, wszystkie meble w salonie Rii były antykami. Ten Danny Lynch musiał być bardzo obrotnym człowiekiem. Dom Marilyn został postawiony w latach siedemdziesiątych, a ulica Tudor Drive należała do osiedla zbudowanego z myślą o coraz większej liczbie naukowców i ludzi biznesu, którzy pragnęli cieszyć się spokojem i życiem blisko natury. Wszystkie budynki stały na niewielkich parcelach, a ich właściciele wspólnie dbali o zielen przed swoimi domami. Mieszkali tutaj sami wpływowi ludzie. Krajobraz 372

miasteczka z porozrzucanymi gdzieś białymi, drewnianymi kościołami przywodził na myśl widokówkę z napisem:

„Witamy w Connecticut”. Komuś jednak, kto przybywał z kraju o tak starej tradycji jak Irlandia, ta pozbawiona pamiątek z przeszłości okolica mogła się wydać nieatrakcyjna.

W jednej z książek o Dublinie, którą Marilyn właśnie czytała, autorzy zachęcali do zwiedzenia miejsca nad jeziorem, na południe od miasta, gdzie w roku sześćset którymś – w siód-mym wieku, a nie w siedemnastym – wiódł swój pustelniczy żywot święty Kevin. Marilyn miała nadzieję, że Ria i jej dzieci nie dojdą do wniosku po pierwszej półgodzinie pobytu w Westville, że obejrzeni już wszystko, co mogli tutaj zwiedzić, i nie zaczną się zastanawiać, co dalej robić z czasem.

Była już zmęczona nieustannym porządkowaniem szaf i szykowaniem domu na przyjazd nowych mieszkańców. Dla Rii przeznaczyła małżeńską sypialnię, a dla towarzyszących jej osób trzy inne pokoje. Ludzie, którzy zaprojektowali ten dom, musieli mieć na uwadze bardziej liczną rodzinę.

U nich pokoje gościnne były zajęte sporadycznie. Vi-ne’owie zadowalali się własnym towarzystwem i rzadko kogoś zapraszali. Na Święto Dziękczynienia przyjeżdżali do nich krewni, a w dniach pikniku zapewniali nocleg absolwentom uczelni. I to wszystko. A teraz z pokoi tych miała korzystać para irlandzkich dzieci. A także bawić się w ogrodzie Marilyn.

Miała nadzieję, że ów dziesięcioletni chłopiec nie będzie grał

w piłkę w pobliżu rabatek kwiatowych. Nie mogła jednak ustanawiać reguł. Podobną sugestią Ria mogłaby odebrać jako przypuszczenie, że jej syn jest rozwyrzony. Zamiast wprowadzenia zakazów Marilyn wolała założyć, że zachowanie chłopca będzie nienaganne.

Zatrzymała się z dłonią na klamce przed jednym z pokoi.

Czy powinna go zamknąć na klucz? Tak, oczywiście, że po-373

winna. Nie życzyła sobie, aby obcy ludzie kręcili się wśród zgromadzonych w nim rzeczy. Zresztą nie mieliby ochoty tutaj zaglądać. Woleliby uszanować wspomnienia, które ukryła za tymi zamkniętymi drzwiami. I nie poczuliby się urażeni, że zostali pozbawieni dostępu do tego pokoju. Ale czy rzeczywi-

ście nie wydałby się im dziwny fakt, że wyłączyła z użytkowa-nia jedno z pomieszczeń w budynku, który na okres wakacji miał się stać ich domem?

Marilyn żałowała, że nie było takiej osoby, którą mogłaby poprosić o radę. Bo kogo miałyby zapytać o zdanie? Na pewno nie Grega. Wciąż wydawał się urażony i sztywny. Jej decyzja o urlopie w Irlandii wprawiała go w osłupienie, zirytował go przyjazd Rii na Tudor Drive i w ogóle nie chciał rozmawiać na ten temat.

Nie mogła zwrócić się też do Carlotty, swojej najbliższej sąsiadki, która zawsze chętnie wkroczyłaby w życie Vine’ów.

Marilyn zbyt dużo czasu poświęciła pieczołowitemu budowaniu takich związków międzyludzkich, które opierały się raczej na zachowaniu dystansu we wzajemnych stosunkach i na obo-pólnym poszanowaniu niż na sąsiedzkiej zażyłości. I nie zamierzała teraz tego niszczyć, zasięgając cudzej

opinii w tak delikatnej i osobistej kwestii. Krok ów mógłby zmienić wszystko pomiędzy nimi obiema.

Nie zamierzała również obarczać tym problemem Heidi.

Koleżanka zapragnęłaby jeszcze bardziej ingerować w jej życie. A i tak z uporem podsuwała Marilyn różne rozrywki: kurs brydża dla początkujących, zajęcia z feng shui czy spotkania członkiń kółka hafciarskiego. Heidi i Henry byli tak serdeczni i życzliwi, że gdyby im tylko pozwoliła, przyjeżdżaliby każdego wieczora na Tudor Drive, ażeby ją dokądś zabrać. Nie wiedzieli, czym jest uczucie wiecznego niepokoju. Oboje mieli przedtem inne związki i w swoim dojrzałym, drugim małżeństwie 374

znaleźli pełnię szczęścia. Ciągłe wydawali przyjęcia i uczestniczyli we wszystkich uroczystościach uniwersyteckich. Nie umieli zrozumieć kogoś, kto chce być sam. Marilyn doszła do wniosku, że być może zamknie pokój, ale zostawi klucz gdzieś w widocznym miejscu, aby Ria nie uznała tego za ograniczenie jej swobody korzystania z domu. Nie zamierzała już teraz podejmować ostatecznej decyzji. Postanowiła wstrzymać się z nią aż do dnia wyjazdu i dopiero wtedy przeanalizować własne odczucia w tej kwestii.

Szybko mijał czas. Zarówno na Tara Road, jak i na Tudor Drive nastąpiło lato. Ria dobrze przećwiczyła swoje oddziały.

Zachęcała wszystkich wokół, aby życzliwie przyjęli Marilyn i często zapraszali ją do siebie. To właśnie lubią Amerykanie –

bywanie w cudzych domach.

– Nawet w moim? – Hilary nie była przekonana.

– Szczególnie w twoim. Zależy mi na tym, żeby Marilyn poznała moją siostrę i zawarła z nią serdeczną znajomość.

– Nie wystarczy to, co ty jej zapewniłaś? Czy wiesz, ile musiałaby zapłacić za korzystanie przez dwa miesiące z tak wspaniałego domu, jak twój? Stwierdziliśmy oboje z Martinem, że zarobiłabyś fortunę, gdybyś wynajęła go tylko na ten tydzień, kiedy w mieście odbywa się wystawa koni.

– Masz rację, Hilary. Chciałabym, żebyś przyjechała do mnie do Ameryki. Mogłybyśmy się spotkać z Sheilą Maine i wspaniale spędzić razem czas.

– Milionerzy z pewnością mogą się dobrze bawić –

stwierdziła siostra.

Ria po prostu zlekceważyła tę uwagę.

– Czy zaopiekujesz się Marilyn?

– Wiesz, że tak.

Wszyscy inni też obiecali okazać życzliwość gościowi Rii.

375

Matka postanowiła zabrać Marilyn w odwiedziny do pensjonariuszy Świętej Rity. Uznała, że spotkanie ze starymi Irlandczykami, którzy mają mnóstwo wspomnień, może się wydać Amerykance interesujące. Frances Sullivan planowała zaprosić ją na herbatę, a nawet któregoś wieczora wybrać się razem z nią do teatru. Rosemary zapewniła natomiast, że wciągnie Marilyn na listę gości, których będzie podejmować u siebie na przyjęciu.

Niespodziewanie do Rii zatelefonowała Polly Callaghan.

– Słyszałam, że na okres wakacji przyjeżdża do ciebie Amerykanka. Jeśli będzie miała ochotę na przejażdżkę po okolicy podczas weekendów, niech skontaktuje się ze mną.

– Skąd wiesz o jej przyjeździe? – spytała Ria.

– Od Danny’ego.

– On nie pochwała pomysłu z wymianą domów. Tamta tylko prychnęła.

– Nie zawsze może postawić na swoim.

– Zwykle stawia.

– Związek z Bernadette nie przetrwa próby czasu, moja kochana – zapewniła ją kochanka Barneya.

Rii podskoczyło serce. Właśnie to rozpaczliwie pragnęła usłyszeć. Chciała poznać opinię osoby, która zna ich wszystkich i umie właściwie ocenić, kto ma szansę na ostateczne zwycięstwo; przydałaby jej się taka sojuszniczka jak Polly, która mogła donieść, co się dzieje w szeregach wroga. Była bliska spytania tamtej, jaką tworzą parę. I czy to prawda, że Bernadette prawie wcale się nie odzywa, tylko siedzi w milczeniu z opadającymi na twarz włosami. Pragnęła usłyszeć, że Danny ma smutny i zagubiony wygląd oraz że sprawia wrażenie człowieka, który zrobił fałszywy krok.

Zaraz jednak przywołała się ostro do porządku. Polly była kochanką Barneya McCarthy’ego i należała do przeciwnego

obozu. I Ria nie powinna się przed nią zdradzać, że czuje potrzebę zwierzeń.

– Kto może wiedzieć, czy przetrwa? Poza tym to i tak już nie ma znaczenia. Danny chce być z nią, my mu nie wystarczymy, więc niech tak będzie.

– Wszyscy mężczyźni chcą mieć więcej niż to możliwe.

Nikt nie wie o tym tak dobrze jak ja.

– Jesteście ze sobą od dawna, Polly, i związek wasz przetrwał, prawda? – Ria po raz pierwszy otwarcie wspomniała o romansie tych dwojga i zawstydzila się trochę, że to zrobiła.

– Prawda, ale jest nieoficjalny. Ja pozostaję na drugim planie i zawsze już tak będzie. To Mona jest jego żoną i cieszy się powszechnym szacunkiem.

– Nie podzielam twojej opinii. Uważam, że Mona jest głupia – stwierdziła Ria. – Skoro Barney cię kocha, powinna pozwolić mu odejść do ciebie.

Polly wybuchnęła gromkim śmiechem.

– Daj spokój, chyba sama nie wierzysz w to, co mówisz.

On wcale nie ma ochoty od niej odchodzić. Chce mieć nas obie. Danny prawdopodobnie też zamierza! być zarówno z tobą, jak i z tą dziewczyną.

Ria wielokrotnie odtwarzała w myślach tamtą rozmowę.

Jej zdaniem Polly nie miała racji. Danny wprost palił się do odejścia i rozpoczęcia nowego życia. I teraz były inne czasy niż wtedy, kiedy Barney i Polly zakochali się w sobie.

Zaskoczył ją telefon od Mony, która życzyła Rii miłego urlopu w Stanach i zaproponowała pożyczenie walizek.

– Jesteś bardzo odważną kobietą, kochana. Nie potrafię wyrazić mojego podziwu dla ciebie.

– Wcale mnie nie podziwiasz, Mono. Sądzisz, że uciekam i że staram się w ten sposób coś udowodnić. Tak uważa większość przyjaciół Danny’ego.

377

– Mam nadzieję, że nadal jestem również twoją przyjaciółką. Nie wiedziałam o tej kobiecie. I nigdy nie uczestniczy-

łam w osłanianiu ich romansu.

– Wierzę, że tak było, Mono. – Rię ogarnęły wyrzuty sumienia; przez całe lata brała czynny udział w ukrywaniu romansu Barneya.

– Jestem zdania, że miałaś rację, zajmując twarde stanowisko, Rio. Żałuję, że sama przed laty nie postąpiłam podobnie. Naprawdę szczerze tego żałuję.

Ria nie mogła uwierzyć, że ta wymiana zdań odbyła się naprawdę. Po tylu latach nagle przestały istnieć tematy tabu w rozmowach z Moną i Polly.

– Wybrałaś rozwiązanie, jakie wtedy wydawało ci się najwłaściwsze.

– Staralam się zminimalizować złe skutki, co nie jest jednoznaczne z podjęciem słusznej decyzji – wyznała Mona. –

Życzę ci powodzenia tam, dokąd się wybierasz. I powiedz swojej amerykańskiej przyjaciółce, że jeśli będzie sobie życzyła, ażebym ją dokądś zabrała, niech do mnie zadzwoni.

Tak, Ria była pewna, że wszyscy staną na wysokości zadania. Gertie miała przychodzić i sprzątać dom. Colm obiecał, że zaprosi Marilyn do swojej restauracji i przedstawi ją kilku miłym osobom.

– Colmie, czy pozwolisz, że zadam ci pytanie, które zapewne wyda ci się nieco dziwne?

– Pytaj, o co chcesz.

– Przed laty, podczas przyjęcia wydawanego z okazji urodzin Briana, Annie przewróciła się przed twoją restauracją, a ty opatrzyłeś jej stłuczone kolano.

– Tak, przypominam sobie.

– Poczęstowałeś ją napojem „Świętego Klemensa” i dlate-378

go potem nazwała tak kota.

– Tak? – Colm wyraźnie zrobił się czujny.

– Czy nie sądzisz, że Annie była tamtego dnia z jakiegoś powodu wzburzona? I to nie tylko na skutek upadku, ale także pod wpływem innego wydarzenia?

– Dlaczego o to pytasz, Rio?

– Trudno powiedzieć. Moją uwagę przykuła wzmianka o pewnym incydencie, jaki miał wtedy miejsce. Pomyślałam, że zdołasz mi wyjaśnić to wydarzenie.

– Nie możesz jej samej o to zapytać?

– Nie. – Nastąpiła chwila milczenia. – Wzmianka ta znajdowała się w pamiętniku Annie, który przypadkiem przeczyta-

łam.

– Ach, tak.

– Jesteś zbulwersowany.

– Bez przesady. No, może trochę.

– Każda matka by to zrobiła, wierz mi.

– Pewnie masz rację. Czego się dowiedziałaś?

– Zobaczyła coś, co ją wytrąciło z równowagi, to wszystko.

– Nic mi o tym nie powiedziała. Nie sądzisz chyba, że to ja ją przestraszyłem? – Miał teraz bardzo poważną minę.

– Ależ nie. Straszliwie wszystko zagmatwałam. Nie to miałam na myśli. Napisała w pamiętniku, że byłeś dla niej bardzo miły i życzliwy. Zamierzała opowiedzieć ci o wszystkim, ale nie zdobyła się na to. Zastanawiałam się, czy przypadkiem nie zobaczyła czegoś u ciebie.

– U mnie?

– Przecież przewróciła się przed twoją restauracją, prawda? Colm pamiętał, że Annie upadła na ścieżce za domem. Ale to była tajemnica, której zamierzał dochować. I wyglądało na to, że z wyjątkiem swojego pamiętnika Annie nigdy nikomu jej

nie powierzyła.

– Nie – odpowiedział z namysłem. – W moim lokalu na pewno nie zobaczyła niczego, co by ją mogło wytrącić z równowagi.

Ria wzięła się w garść.

– Czuję się bardzo podle po tym przesłuchaniu, ale musisz mi wybaczyć. Dzisiaj wieczorem czeka mnie pożegnanie z dziećmi, z którymi się rozstaję na cały miesiąc. I trochę dałam się ponieść emocjom.

– Wygląda na to, że dobrze sobie radzą z sytuacją. Ty zresztą również. – Był dla niej pełen podziwu.

– Och, kto może wiedzieć, co się dzieje w duszy drugiego człowieka? – zamyśliła się Ria. – Kiedy przed wieloma laty umarł mój ojciec, długo przeszukiwałam dom w nadziei, że ukrył gdzieś pieniądze z myślą o zabezpieczeniu nas na przyszłość i że matka przestanie wreszcie lamentować z powodu braku środków do życia. Ludzie uważali wtedy, iż dobrze zniosłam jego śmierć.

– Rozumiem. – Colm był pełen współczucia. – Ja i Caroline mieliśmy ojca alkoholika. Snuliśmy fantazje o jakiejś ma-gicznej miksturze, która powstrzymałaby go od picia, aby stał

się dla nas prawdziwym tatą. Ale nie znaleźliśmy żadnego cudownego lekarstwa. – Kiedy to mówił, na jego twarzy malowała się pustka.

Ria nie wiedziała o tym wcześniej.

– My, matki, też często sprawiamy zawód naszym dzieciom; czytamy ich pamiętniki, zabieramy im ojców, jesteśmy beznadziejne! A grill, jaki zamierzam urządzić dla nich dzisiejszego wieczora w ogrodzie, z pewnością nie sprawi, że świat znowu wyda im się normalny. – Zaśmiała się z goryczą.

– Kolacja na pewno się uda. Zostawiłem trochę warzyw dla Annie. Nadal jest wegetarianką, prawda?

- Tak, Colmie. Okazałeś się wspaniałym przyjacielem w chwilach kryzysu.
- Będzie mi ciebie brakowało.
- Może Marilyn okaże się bardzo atrakcyjną kobietą i kiedy wrócę, będziecie już parą?
- Uprzedzę cię o tym – obiecał.

Wróciła do domu, ażeby stawić czoło pożegnalnemu wieczorowi z dziećmi.

Nie dowiedziała się od nich wiele na temat spotkania z Bernadette. Ale choć pragnęła znać każdy szczegół, nie zamierzała o nic wypytywać. Nie mogła budzić w nich poczucia, że muszą zdawać raporty z pobytu w obozie przeciwnika. Uzyskała tylko kilka praktycznych informacji o tym, że wakacje na jachcie nad Shannon znowu są aktualne oraz że prace wykoń-

czyeniowe zostały przyspieszone – ekipa Barneya McCarthy’ego dzień i noc harowała bez wytchnienia i wreszcie dom jest gotowy do zamieszkania, chociaż wciąż jeszcze pachnie farbą. Już jutro mieli w nim nocować.

Ria dowiedziała się, że będą dwa miejsca do spania w pokoju Annie oraz że w przybudówce, w której miały zostać w przyszłości zamontowane jakieś urządzenia, umieszczono rozkładane łóżko dla Briana. Ria przypuszczała, że chodzi zapewne o pralkę oraz suszarkę i chłopiec był rozczarowany, gdyż sądził, że będzie to aparatura naukowa.

Annie i Brian poznali matkę Bernadette, która była naprawdę w porządku i zawiozła ich na basen. Zapisała ich na sześciogodzinny kurs pływania, aby przygotowali się do następnego, który będą mieli już w Ameryce. Ria miała poczucie, że wie wszystko, a jednocześnie nie wie nic o życiu, jakie czeka dzieci podczas jej nieobecności. Doznanie było niesamowite. Miała wrażenie, że umarła i niczym duch krąży ponad ich

głowami, pragnąc interweniować, ale nie może mówić, ponieważ nie ma już ciała.

Zjedli kolację w ogrodzie. Były kebaby, kiełbaski dla Briana i mnóstwo młodych warzyw, zostawionych przez Colma w koszyku dla Annie. Klemens zdawał się wyczuwać, że opuszczają dom; przyszedł i patrzył na nich z wyrzutem.

- Mam nadzieję, że ona będzie się z nim bawić i trochę się nim zajmie – powiedziała Annie. – Klemens nie lubi, gdy zbyt długo pozostawia się go własnym myślom. To mu nie służy.
- Możesz przyjść w odwiedziny do Marilyn i osobiście ją o to poprosić – zaproponowała Ria.
- Ten dom po twoim wyjeździe jutro rano przestanie być naszym domem – zauważyła córka.
- To prawda, z drugiej strony jednak będzie zajęty przez kogoś, kto daje wam gościnę u siebie. Byłoby więc miło, gdybyście przyszli się jej przedstawić.

- Czy musimy to robić? – Brian już widział przed sobą nudne rozmowy z dorosłymi.
- Nie, oczywiście że nie, ale byłby to miły gest z waszej strony.
- Na pewno Colm będzie czuwał nad Klemensem. Kocha go tak samo jak ja – pocieszała się Annie.

Nie było sensu oczekiwać od niej jakichkolwiek zwierzeń, a Ria za nic w świecie nie przyznałaby się do tego, co przeczytała. Gdyby ów fakt wyszedł na jaw, prawdopodobnie szansa na zdobycie zaufania córki zostałaby bezpowrotnie zaprze-paszczona.

Podczas tego ciepłego wieczora gawędzili swobodnie o planach na przyszłość.

Rosemary zaproponowała, że jutro rano odwiezie dzieci do domu Danny’ego, aby Ria, przez nikogo nienagabywana, miała czas na spokojne przygotowania do podróży. Większość rzeczy 382

rodzeństwa została już tam przeniesiona. Ria przylepiła taśmą do wnętrza walizek listy ze spisem rzeczy do spakowania na wakacje na łodzi. Przed odjazdem dzieci miały dokładnie sprawdzić zgodność zawartości bagażu z wykazem.

– Powiedziała, że jesteś świetnie zorganizowana –

oświadczył Brian.

– Kto tak powiedział, Bernadette? – Ria starała się, aby w jej głosie nie brzmiało zbyt wielkie zaniepokojenie.

– Tak, kiedy zobaczyła walizki. A tato oznajmił, że jesteś Królową List.

Syn spojrzał na nią w nadziei, że dostrzeże zadowolenie na jej twarzy; Annie była jednak bystrzejsza i wiedziała, że przebieg tej rozmowy nie może sprawić matce przyjemności.

– Bo faktycznie nią jestem. Wasz tato ma rację – odrzekła Ria z radością, od której była daleka.

Zirytowała się na myśl o tym, że Danny w obecności tego podlotka szydzi z jej spisywania wszystkiego.

– Tato przyjdzie dzisiaj wieczorem pożegnać się z tobą, prawda? – Mina chłopca wciąż wyrażała nadzieję, że ich sytuacja rodzinna wróci do normalnego stanu.

– Tak, kiedy już pójdziecie spać. Jest jeszcze kilka spraw, które chciałabym z nim omówić przed wyjazdem.

– Nie będziecie się kłócić? – upewniła się córka.

– Dobrze wiesz, że już tego nie robimy.

– Przy nas nie, ale pewnie na osobności doprowadzacie się nawzajem do furii – stwierdziła Annie.

– Nie sądzę, żeby to kiedykolwiek nam się zdarzyło, ale każdy inaczej postrzega życie innych ludzi. Często uważam, że

– wasza babcia jest szalona: spędza każdą wolną chwilę z pensjonariuszami Świętej Rity, zamiast przebywać w towarzystwie swoich rówieśniczek. Ona jednak jest tam szczęśliwa i wesoła jak ptaszek.

383

– Lubi tam przebywać, ponieważ wie, że ci wszyscy starcy potrzebują jej i są od niej uzależnieni. Uważają ją za młodą osobę, a nie jak inni za starzejącą się kobietę – wyjaśniła Annie, jak gdyby zrozumienie sytuacji było dziecinnie proste.

Ria obiecała telefonować do nich w soboty. Powiedziała, że mogą skontaktować się z nią w każdej chwili, ponieważ w domu Marilyn znajduje się automatyczna sekretarka. Nie ma jednak potrzeby, ażeby trwonili pieniądze taty i Bernadette na długie rozmowy.

– Nie przypuszczam, żeby ona posiadała jakieś pieniądze –

oświadczył Brian. – Sądzę, że utrzymują się z dochodów taty.

– Masz ptasi mózdzek, Brianie – stwierdziła jego siostra.

Danny przybył o dziesiątej. Ria przeżyła wstrząs, kiedy uświadomiła sobie, jak bardzo nadal ją fizycznie pociąga.

Obawiała się, że już zawsze tak będzie. Pod tym względem niewiele zmieniło się dla niej od czasu, gdy po raz pierwszy zobaczyła go w agencji handlu nieruchomościami i stwierdziła oszołomiona, że to za nią wodzi oczami, a nie za Rosemary.

Było coś w twarzy tego mężczyzny, co sprawiało, że chciała go pogłaskać. Całą siłą woli przewyciężyła pragnienie wycią-

gnięcia ręki i dotknięcia jego włosów. Musiała zapanować nad sobą, nie mogła pozwolić, ażeby się zorientował, jak wielką ma nad nią władzę.

– Może wyjdziemy na chwilę do ogrodu? Panuje tam niczym niezmacony spokój. Ale najpierw chciałabym wiedzieć, na co masz ochotę. Na herbatę? Czy na drinka?

– Może być piwo?

– Niestety nie, przykro mi. Widzę, że zmieniłeś upodobania?

– Napiję się herbaty.

– Czy, twoim zdaniem, doprowadzamy się nawzajem do 384

furii? – spytała przyjaznym tonem, nastawiając wodę w czaj-niku.

– Nie sędzę, a dlaczego pytasz?

– Tak uważają nasze dzieci.

– Co one wiedzą? – Danny uśmiechnął się szeroko.

– Bardzo im się podoba nowy dom – powiedziała Ria.

– To dobrze.

– Czy możesz mi obiecać, że będziesz miał oko na Kitty?

To prawda, że nigdy jej nie lubiłam, ale naprawdę uważam, że ta mała kokietka może sprowadzić Annie na złą drogę.

– Jasne, czy coś jeszcze?

– Brian jest z natury brudasem i dzielenie z nim ciasnych pomieszczeń na łodzi może okazać się bardzo nieprzyjemne.

Musisz pilnować, żeby codziennie mył się i przebierał, w przeciwnym razie gotów jest przez cały miesiąc nosić te same rzeczy.

Danny ponownie uśmiechnął się szeroko.

– Zanotowałem.

– A czy ty życzysz sobie, żebym ja czegoś dopilnowała, kiedy przyjadą do mnie do Westville? Może jest coś, na co nie chciałbyś im pozwolić?

Był najwyraźniej zaskoczony tym pytaniem, sprawiał jednak wrażenie zadowolonego.

– Nie wiem. Przypuszczam, że powinnaś ich ostrzec przed zmianą kierunku ruchu drogowego, aby przechodząc przez jezdnię, spodziewali się nadjeżdżających pojazdów z przeciwnej strony.

– To bardzo rozsądna uwaga. Będę im o tym nieustannie przypominała.

– I chyba powinni, w ramach poszerzania wiedzy, zwiedzić jakieś muzea i galerie sztuki. Może im się to przydać w przyszłości w szkole.

385

– Oczywiście, Danny.

Zabrali kubki z herbatą do ogrodu i usiedli na kamiennej ławce. Zapadło milczenie.

– A co z pieniędzmi? – spytał.

– Kupiłam bilet dla siebie, a ty pokryłeś koszty przelotu dzieci. Poza tym wszystko będzie tak, jak tutaj. Mam na myśli normalne wydatki na utrzymanie domu, z tą jedynie różnicą, że będę je ponosić w Westville.

– Tak. – Jego głos zabrzmiał nieco apatycznie.

– Wszystko w porządku, prawda?

– Tak, oczywiście.

– Rachunki za zużycie energii elektrycznej i gazu oraz za telefon zostaną uregulowane przelewem przez nasz bank...

– Tak – powiedział ponownie.

– A zatem możemy uznać, że kwestie finansowe zostały omówione, prawda? – upewniła się Ria.

– Myślę, że tak.

– Mam nadzieję, że miło spędzicie czas nad Shannon. Zamierzasz popłynąć na północ czy na południe?

– Na południe, nad zatokę Derg. Jest tam mnóstwo uroczych miejsc do zacumowania łodzi i wyprawa zapowiada się fantastycznie. Byleby tylko pogoda dopisała.

Rozmawiali jak para obcych ludzi.

– Z pewnością dopisze. Długookresowe prognozy nie są najgorsze – zapewniła go wesoło Ria.

Znowu zapadła cisza.

– Mam nadzieję, że wy również będziecie mieli udany pobyt w Stanach.

– Jestem tego pewna, Danny. Dziękuję, że zaakceptowałeś moje wakacyjne plany. Doceniam to.

– To jedyne uczciwe rozwiązanie – stwierdził.

– Zostawię ci numer telefonu do Marilyn.

386

– Dobrze.

– Może któregoś dnia przyprowadzisz tutaj dzieci, żeby ją poznały?

– Słucham? Ach tak, oczywiście.

– Prawdopodobnie będzie lepiej, jeśli uprzedzisz ją telefonicznie o waszej wizycie.

– Rzeczywiście, chyba masz rację.

Nie pozostało nic więcej do dodania. Weszli po schodach na górę i czując się skrępowani, stanęli w holu, który kiedyś –

w dniu, gdy przyrzekli sobie, że stworzą tu wspianały dom i zamieszkają w nim do końca życia – był zavalony skrzyniami, pudłami i rowerami.

Teraz, w wieczornym świetle, drewniana podłoga z dwoma wspianymi dywanami lśniła ciepłym blaskiem. Drzwi do frontowego pokoju były otwarte na oścież. Na stole stał wazon z różami ściętymi przez Colma na powitanie amerykańskiego gościa. Kwiaty odbijały się w drzewie, zegar na kominku wydzwaniał godzinę, a wiatr poruszał ciężkimi zasłonami z aksamitu.

Danny wszedł do środka i rozejrzał się dookoła. Na pewno przepelniał go żal i to nie tylko z powodu tych wszystkich przedmiotów, ale także czasu, energii i serdecznej troski po-

święconych na gromadzenie tego wszystkiego. Z trudem prze-

łykał ślinę, przyglądając się wnętrzu. Był wyjątkowo spokojny.

Nie wykonywał gwałtownych ruchów, zgodnych z jego spon-tanicznym sposobem bycia. Zachowywał się tak, jak gdyby fotografował to miejsce w myślach.

Ria wiedziała, że nigdy nie zapomni widoku męża stoją-

cego nieruchomo z ręką na oparciu jednego z foteli. Niemal sprawiał wrażenie, że zastanawia się nad ostatnim meblem niezbędnym do wyposażenia tego pokoju. Może nad zegarem szafkowym? A może nad jeszcze jednym lustrem, w którym 387

odbijałoby się okno? Twarz Danny'ego miała tego rodzaju wyraz. Nie wyglądał na mężczyznę, który zamierza zostawić wszystko to, co tutaj stworzył, aby zamieszkać teraz z ciężarną dziewczyną o imieniu Bernadette. Wydawało się, że za chwilę odłoży kluczyki samochodowe, oświadczy, że wrócił do domu i że tanto wszystko było tylko śmieszną pomyłką. Oczywiście przyjazdu Marilyn nie dałoby się już odwołać, ale mogliby znaleźć dla niej inne lokum. Ich życie znowu potoczyłoby się normalnym trybem. Nie trzeba budzić dzieci, ażeby im obwie-

ścić ową nowinę, wystarczy, że jutro rano dowiedzą się o wszystkim. Do tego rodzaju refleksji skłaniał Rię wyraz twarzy męża oraz atmosfera tego miejsca.

Nie odzywała się; wstrzymała oddech w oczekiwaniu na moment, kiedy ziści się jej marzenie. Musiała się tylko pilnować, żeby nie powiedzieć czegoś niewłaściwego. To było teraz najważniejsze. Dotychczas spisywała się bez zarzutu: była opanowana i nie dramatyzowała. Zauważyła, że Danny to docenia. W jego ciepłym uśmiechu nie dostrzegła napięcia. I ro-ześmiał się w głos, kiedy powiedziała mu, jak brudny i cuchnący może być jego syn. A na schodach, otarłszy się o nią ramieniem, nie odskoczył do tyłu, jak podczas wcześniejszych rozmów, kiedy się jeszcze

wzajemnie ranili.

Stał teraz jak zahipnotyzowany i Ria nie wiedziała, jak długo to trwało. Wydawało się jej, że całą wieczność. Pokój czynił cuda. Za chwilę jej mąż się odezwie, powie, że to, co zrobił, było szaleństwem, że jest mu przykro, że nie chciał

skrzywdzić tak wielu osób. A ona mu wybaczy, oznajmiając to łagodnym, uspokajającym tonem. I Danny zrozumie, że musiał

wrócić, ponieważ tutaj jest jego miejsce.

Tylko dlaczego potrzebował tak dużo czasu na znalezienie odpowiednich słów? Czy powinna mu pomóc, naprowadzić go na właściwy kierunek? W tym momencie spojrzał prosto na 388

Rię i zobaczyła, że przygryzł wargę. Toczył ze sobą walkę i to, co zamierzał powiedzieć, wyraźnie przerastało jego siły. Jak miała go zawiadomić o swojej bezgranicznej wyrozumiałości i całkowitym przebaczeniu? Do jakiego kroku była zdolna, aże-by go odzyskać?

W przeszłości słowa okazały się zgubne; Danny zarzucił

jej nadmierne gadulstwo. Cóż za straszliwe bzdury z taką naiwnością przy nim plotła! Wiedziała, że musi się oprzeć pokusie otwarcia teraz ust i milczeć, ponieważ od tego zależy ich wspólna przyszłość.

Nieznacznie przesunęła się w jego stronę – zrobiła jeden krok, który najwyraźniej wystarczył: Danny podszedł i wziął ją w ramiona. Nie płakał w dosłownym znaczeniu tego słowa, ale drżał na całym ciele.

– Rio, Rio, cóż za straszliwy zamęt! Jaka ogromna strata –
powiedział.

– Wcale nie musi tak być – szepnęła mu cicho do ucha.

– O Boże, żałuję, że nasze życie nie potoczyło się inaczej.

Tak bardzo żałuję. – Nie patrzył na nią, tylko nadal mówił w jej włosy.

– Ale jeszcze może być inaczej. Jeśli oboje tak postanowimy – odrzekła łagodnie.

Powoli, Rio, powoli, ostrzegła się w myślach. Nie zacznij tylko trąkotać i nie wygłaszaj długiej listy obietnic, postanowień i prośb. Pozwól, żeby to on poprosił i dopiero wtedy powiedz tak. Pogładź go po głowie i zapewnij, że w końcu dobrze wszystko się ułoży, ponieważ on właśnie to pragnie usłyszeć.

Wydawało jej się, że Danny ma zamiar ją pocałować.

Wiedziała, że musi zareagować tak, jak zrobiłaby to dawna, namiętna Ria. Uniosła dłonie z jego drżących ramion i objęła go mocno za szyję. Jej wargi odnalazły jego usta i zaczęły chciwie penetrować ich wnętrze. Dobrze było znowu trzymać 389

Danny'ego w objęciach. Dała się ponieść fali pożądania i przez chwilę nie zdawała sobie sprawy z tego, że mąż szarpie ją za ręce.

– Co ty wyprawiasz, Rio! Proszę cię, przestań! – Był

wstrząśnięty i przestraszony.

Cofnęła się, zdumiona. Przecież przytulił się do niej, po-

łożył jej głowę na ramieniu i ubolewał nad zamętem w ich życiu oraz poniesionymi stratami. I czyż nie wyznał, że chciałby to naprawić? Dlaczego więc teraz patrzył na nią w ten sposób?

– Wszystko będzie dobrze – powiedziała jeszcze zarumieniona. Była nadal przekonana o tym, że powinna ułatwić mu powrót. – Obiecuję ci, Danny, że wszystko się dobrze ułoży, zobaczysz. Twoje miejsce jest tutaj.

– Rio! – Patrzył na nią, oniemiały ze zdumienia.

– To twój pokój, sam go stworzyłeś. A my wszyscy jesteśmy twoją rodziną.

– Błagam cię, Rio...

– A ja błagam ciebie... wróc do nas. Nie będziemy więcej o tym rozmawiać, tylko zostań, a wszystko będzie po dawnemu.

Rozumiem, że poczuwasz się do odpowiedzialności wobec Bernadette, a nawet, być może, darzysz ją uczuciem...

– Przestań...

– Ona przeboleje twoje odejście, Danny. Jest jeszcze dzieckiem i ma przed sobą całe życie z kimś w bardziej odpowiednim dla niej wieku. I kiedyś uzna wasz romans za cudowną, lecz szaloną i nierozsądną przygodę... A nasze życie będzie się dalej toczyć swoim zwykłym biegiem. I, jak inni ludzie w podobnej sytuacji, przejdziemy do porządku dziennego nad tym epizodem.

– To niemożliwe... Nie mogę pojąć tej nagłej zmiany, jaka w tobie zaszła. – Wydawał się szczerze zdumiony.

Cóż za obłąd. Przecież to Danny pierwszy wyciągnął do 390

niej ręce!

– Objąłeś mnie. Wspomniałeś o zamęcie, popełnionym błędzie i stracie. I oświadczyłeś, że bardzo żałujesz tego, co się stało.

– Źle mnie zrozumiałaś, Rio. Powiedziałem, że jest mi przykro, ale nic ponadto.

– Wyraziłeś żal z powodu tego, jaki obrót przyjęły sprawy, więc zasugerowałam, żebyś do nas wrócił. Nie będę cię spo-wiadać z każdej godziny spędzonej wieczorem poza domem, przysięgam. Tylko zostań, Danny, proszę cię, zostań. – Po jej policzkach spływały łzy, a on nadal stał przestraszony. – Bardzo cię kocham, Danny, i wszystko ci wybaczę. Zrobię, co w mojej mocy, żeby cię odzyskać. – Starając się powstrzymać łzy, wyciągnęła do niego ramiona. Wziął jej rękę w dłonie.

– Słuchaj, kochanie, odchodzę. A ty wcale nie miałaś na myśli tego wszystkiego, co usłyszałem przed chwilą. Ani jedno słowo, które tutaj padło, nie zostało powiedziane poważnie.

Miałaś zamiar przekazać mi tylko to, o czym rozmawialiśmy ze sobą przez pół godziny w ogrodzie, kiedy życzyłaś nam udanych wakacji nad Shannon, a ja wyraziłem nadzieję, że będziesz zadowolona ze swojego pobytu w Ameryce. – Spojrzał na nią niepewnie, jak gdyby modlił się w myślach o to, aby jego pokrzepiające słowa powstrzymały jej łzy i zażegnały niebezpieczeństwo ponownego uścisku.

– Zawsze będę tutaj na ciebie czekała, pamiętaj.

– Nieprawda, jutro wyjeżdżasz do Ameryki, gdzie będziesz się wspaniale bawić – próbował ją rozweselić. – A w tym do-mu jakaś obca kobieta zacznie się zastanawiać nad naszymi śmiesznymi obyczajami.

– Zostanę tutaj. A ten pokój zawsze będzie na ciebie czekał.

– Nie, Rio, to nieprawda. Odchodzę. Chcę jednak, żebyś 391

wiedziała, jak...

– Jak? – spytała.

– Jak wspaniałomyślna byłaby twoja propozycja, gdyby nie fakt, że nie mogę jej przyjąć. Uważam ją za przejaw cał-

kowitego braku egoizmu z twojej strony.

Spojrzała na niego ze zdumieniem. Nie pojmował, że w grę nie wchodzi ani żadna wspaniałomyślność, ani brak egoizmu. Ria wypowiedziała tylko na głos swoje najżarliwsze pragnienia. Nigdy nie potrafił tego zrozumieć, a ona, na domiar wszystkiego, wyszła na kompletną idiotkę.

Tygodnie snucia planów i trzymanie się w karbach poszły na marne. Po co w ogóle wchodził do tego pokoju? Gdyby nie zobaczyła tu Danny'ego, prawdopodobnie nie chwyciłaby się kurczowo owej nadziei niczym liny ratowniczej. Wyraźnie widziała jednak malujące się na jego twarzy uczucia. Nie

wy-myśliła ich sobie. I była pewna, że ów obraz na zawsze pozostanie głęboko wryty w jej sercu.

– Późno już, musisz iść – powiedziała.

Udało jej się w końcu powstrzymać łzy. Nie była jednak tą samą, opanowaną Rią, która przed chwilą razem z nim wchodziła po schodach na górę – na jej policzkach zbyt jeszcze były widoczne ślady niedawnych emocji. Odzyskała wreszcie panowanie nad sobą i wyczuła jego ulgę.

– Szczęśliwej podróży – powiedział, stojąc w drzwiach.

– Dziękuję. Mam nadzieję, że bezpiecznie dotrę do celu.

– Stworzyliśmy razem cudowny dom, Rio, naprawdę –

stwierdził, mierząc wzrokiem hol za jej plecami.

– Dochowaliśmy się też dwójki wspaniałych dzieci – do-dała.

Na stopniach przed domem, którego urządzenie zabrało obojgu tak wiele czasu, Ria i Danny pocałowali się delikatnie.

Potem on wsiadł do samochodu i odjechał, a ona weszła do 392

swojej kuchni przy Tara Road, zajęła miejsce przy okrągłym stole i przez długi czas siedziała ze wzrokiem bezmyślnie utkwionym w przestrzeni przed sobą.

393

Rozdział 5

Nie sprzeczekali się ze sobą – opowiadała Annie bratu, pomagając mu zamknąć walizkę.

– Skąd wiesz?

– Przez chwilę podsłuchiwałam ich rozmowę z okna łazienki. Omawiali głównie plany wakacyjne.

– To dobrze.

– Mama mówiła tacie, że jesteś brudasem.

Chłopiec sprawiał wrażenie zdziwionego. Najwyraźniej powątpiewał jednak w prawdziwość siostry.

– To niemożliwe. Nie mogła tego powiedzieć! Dlaczego miałyby to zrobić? – Na jego okrągłej buzi malował się wyraz zatroskania.

Annie zrobiło się go żal.

– Tylko żartowałam – skłamała.

– Byłem tego pewien. – Wiara, jaką Brian pokładał w matce, została przywrócona.

– Żałuję, że ona wyjeżdża – wyznała Annie.

– Ja też.

Owa zgodność poglądów była dla rodzeństwa czymś tak niezwykłym, że niemal poczuli się tym faktem zaskoczeni.

Spojrzeli z wahaniem po sobie. Nastaly dla nich bardzo niepewne czasy.

Rosemary zjawila się wcześniej, niż zapowiedziała, i Ria podała jej filiżankę kawy.

– Świetnie wyglądasz – stwierdziła z uznaniem przyjaciółka.

– Jasne.

– Przyszłam trochę wcześniej, żebyś nie miała czasu na bolesne pożegnania. Gdzie się podziewają dzieci?

394

– Kończą pakowanie. – Ria była wyraźnie w milczącym nastroju.

– Nie martw się o nie, wszystko będzie dobrze.

– Wiem.

Rosemary spojrzała na nią ostro.

– Czy wczorajsze spotkanie z Dannym miało spokojny przebieg?

– O tak, zachowywaliśmy się jak para cywilizowanych ludzi. – Za nic na świecie Ria nie wyjawila by nikomu tego, co wydarzyło się wczorajszego wieczora. Nie miała nawet ochoty dopuszczać do siebie myśli o tym wszystkim.

– To dobrze. – Zapadło milczenie. – Rio?

– Słucham?

– Wiesz, że dzieci nigdy nie będą uważać Bernadette za...

Zawsze będzie dla nich jedynie tym, kim jest.

– Tak, wiem.

– I nigdy nie połączą ich bliskie więzi. Czy wyobrażasz sobie, co ona teraz musi czuć, mając przed sobą perspektywę zastępowania im ciebie przez miesiąc? Dla każdego byłoby to nie lada wyzwanie, a co dopiero dla tego milczącego dzieciaka.

– Rosemary nie doczekała się odpowiedzi, podjęła więc dalszy wywód: – Muszę przyznać, że początkowo uznałam pomysł z tą amerykańską eskapadą za szalony. Obecnie jednak jestem zdania, że to najmądrzejsza rzecz, jaką mogłaś zrobić. Nikt nie spodziewał się po tobie tak sprytnego posunięcia. Słyszę, że idą dzieci. Rozstanie ma nastąpić powoli czy szybko?

– Szybko. Jesteś cudowna – powiedziała z wdzięcznością Ria.

Po kilku minutach machała już na pożegnanie dzieciom, które przyjaciółka odwoziła do obcego domu, gdzie miały spędzić lipiec. Kto by przypuszczał, że sprawy przybiorą taki obrót? Jeszcze bardziej nieprawdopodobny wydał się Rii po-395

dziw Rosemary dla pomysłowości, jaką wykazała.

Matka Bernadette siedziała przy kuchennym stole w nowym domu córki.

– Obeszła się z tobą bezlitośnie, pryskając do Stanów i zostawiając pod twoją opieką dwójkę dzieci.

– Wiem, mamó, ale w pewnym sensie lepiej się stało, że wyjechała.

– Co w tym dobrego? – Finola Dunne nie potrafiła się doszukać w decyzji Rii żadnej korzyści dla swojej córki.

– Przynajmniej nie będzie jej na Tara Road, a Danny przestanie myśleć o tym miejscu jako o centrum swojego świata.

– Sądząc po czasie, jaki zwykł spędzać z tobą, ta kobieta dawno temu przestała znajdować się w centrum jego uwagi. –

Matce Bernadette zawsze udawało się okazać niezadowolenie z romansu córki z żonatym mężczyzną, chociaż czuła się dumna z tego, że sprawa została załatwiona w taki sposób.

– Mieszkał tam przez szesnaście lat i tamten dom nadal ma dla niego nieprzeparty urok.

– Wasz obecny, z czasem, też będzie miał nie mniejszy, wierz mi, dziecko. Gdy stanie się trochę bardziej zamieszkanym.

Pani Dunne rozejrzała się po kuchni wyposażonej w nowoczesne urządzenia, które w błyskawicznym tempie zamontowała ekipa Barneya McCarthy'ego. Ten luksusowy dom znajdował się w modnej ostatnio dzielnicy na południowych obrzeżach Dublina. Musiał kosztować fortunę. Stał przy zacisznej alei i były tu idealne warunki dla małego dziecka, a w sąsiedztwie mieszkało wiele młodych małżeństw.

Pani Dunne wiedziała, że Danny Lynch jest bardzo obrotnym agentem handlu nieruchomościami.

Uważała jednak, że im prędzej sprzeda posiadłość przy Tara Road, a za uzyskane pieniądze kupi mniejszy i bardziej odpowiedni dom dla swojej pierwszej żony, tym lepiej. Musiała przyznać, że ten mężczyzna-396

zna ciężko pracuje, i nie miała wątpliwości, iż uwielbia Bernadette. Finola obawiała się jednak, że zaharuje się na śmierć, jeśli czym prędzej nie uporządkuje swoich spraw finansowych.

Dzisiaj już o szóstej rano wyjechał na spotkanie z klientem, aby uniknąć ulicznych korków.

– Żadnej wzmianki o sprzedaży Tara Road? – spytała.

– Żadnej. I nie zamierzam go o to pytać. Podejrzewam, że jest bardziej przywiązany do tego domu niż do jakiegokolwiek kobiety. Na myśl o tym przechodzą mnie ciarki – wyznała jej córka.

– Nie pora teraz na takie rozważania. Zaraz tu będą dzieciaki i rozpoczną się długie wakacje oraz wymyślanie rozrywek dla tych dwojga.

– To tylko trzydzieści dni, a Brian i Annie nie są wcale najgorsi – pocieszyła ją Bernadette, nadrabiając miną.

W samochodzie dzieci Rii nie były w nastroju do rozmowy.

– Jak sądzicie, co będziecie robili całymi dniami? – spytała Rosemary pogodnym tonem.

– Nie mam pojęcia. – Annie wzruszyła ramionami.

– Nie mają telewizji kablowej – stwierdził Brian.

– Może będą was dokądś zabierać? – Rosemary była optymistką.

– Ona jest bardzo milcząca i nigdzie nie chodzi – powiedział chłopiec.

– Czy jest miła? I czy rozmowy z nią są interesujące?

– Nie bardzo – wyznał.

– Jest w porządku, tylko nie mamy sobie wiele do powiedzenia – dodała Annie.

– Właściwie wolę jej matkę – oświadczył Brian. – Ty też polubiłabyś ją, Rosemary. Lubi dużo mówić i jest mniej więcej 397

w twoim wieku.

– Z pewnością – odrzekła Rosemary Ryan, która doskonale radziła sobie na posiedzeniach zarządu i w dyskusjach telewizyjnych, lecz obecna rozmowa sprawiała jej wyjątkową trudność.

*

Na dublińskim lotnisku Ria rozejrzała się wokoło. Mnó-

stwo ludzi wyruszało w daleki świat. Zastanawiała się, czy w głowie któregoś z podróżnych panuje taki okropny mętlik, jak w jej własnej. W kolejce przed sobą dostrzegła przystojnego mężczyznę z wysoko postawionym kołnierzem nieprzemakalnego płaszcza. Na oczy opadały mu jasne włosy. W napięciu wpatrywała się w niego, przez jedną szaloną minutę sądząc, że to Danny przybiegł co tchu, ażeby w ostatniej chwili zatrzymać ją i błagać o zmianę planów. Uzmysłowiła sobie, że to ostatnia rzecz, jaką by zrobił. Myśl owa była dla Rii kubłem zimnej wody na głowę. Wciąż pamiętała, jak mąż odsuwa jej ręce, które zarzuciła mu na szyję. Pod wpływem tego wspomnienia zaczerwieniła się ze wstydu.

Spacerowała po sklepie wolnocłowym, zastanawiając się, co kupić. Na półkach znajdowały się tak ogromne ilości towarów, których wartość znacznie przewyższała cenę, że zrezygnowanie z zakupów byłoby marnotrawstwem. Ria nie paliła jednak papierosów, alkohol piła w bardzo umiarkowanych ilo-

ściach, nie potrzebowała także żadnych elektronicznych urzą-

dzeń, a dom Marilyn z pewnością wyposażony był w najnowsze cuda techniki, których obsługi musiała się dopiero nauczyć.

Zatrzymała się przy stoisku z perfumami.

– Zależy mi na jakimś nowym zapachu, którego nigdy 398

wcześniej nie używałam, żeby mi się z niczym nie kojarzył –

powiedziała.

Ekspedientka najwidoczniej przywykła do tego rodzaju życzeń. Obie przetestowały najnowsze kwiatowe perfumy o lekkiej woni. Kosztowały czterdzieści funtów.

– Są raczej drogie – zauważyła Ria z powątpiewaniem.

– Cena jest sprawą względną. Wszystko zależy od tego, czy może pani przeznaczyć tę kwotę na dobry zapach. –

Dziewczyna najwyraźniej zamierzała jej się pozbyć.

– Nie mam pojęcia, czy mnie na nie stać – odparła Ria z namysłem. – Czy to nie dziwne? Właściwie nie wiem, jaka jest moja obecna sytuacja finansowa. Dotychczas nie zastanawia-

łam się nad tym. Może się okazać, że mogę sobie pozwolić na znacznie większą rozrzutność, a być może do końca życia nie zdołam kupić żadnego kosmetyku o cenie zbliżonej do kosztu nabycia tych perfum.

– Na pani miejscu kupiłabym je – poradziła sprzedawczy-ni, pragnąc czym prędzej zakończyć te

abstrakcyjne rozważania.

– Ma pani rację. Poproszę – powiedziała Ria.

Zasnęła w samolocie i śniła o tym, że Marilyn nie wyjechała z Tudor Drive, lecz czekała na nią w ogrodzie. Miała ciemne włosy, na nogach pantofle koloru miedzi i nosiła be-

żowy kostium, podobnie jak matka Bernadette. Zachichotała na widok Rii: „Wcale nie jestem Marilyn, głupia kobieto, lecz nową teściową Danny’ego. Ściągnęłam cię tutaj, aby oni mogli się przeprowadzić na Tara Road. Uknuliśmy spisek przeciwko tobie!”. Ria obudziła się spocona, a serce dudniło jej jak szalone. Świadomość przebywania w samolocie tysiące stóp ponad ziemią, w otoczeniu ludzi jedzących lunch, wywołała w niej ogromne emocje.

– Dobrze się pani czuje? Straszliwie pani zbladła – spytała 399

zaniepokojona stewardesa.

– Dziękuję, nic mi nie jest. Miałam tylko zły sen, to wszystko. – Ria uśmiechnęła się z wdzięcznością za okazaną troskę.

– Czy ktoś będzie na panią czekał na lotnisku Kennedy’ego?

– Nie, ale wiem, do którego autobusu mam wsiąść. Dam sobie radę.

– Zamierza pani spędzić w Stanach urlop, prawda?

– Tak, myślę że tak. Jestem pewna, że tak to można nazwać. W pewnym sensie pobyt tam rzeczywiście będzie dla mnie urlopem.

Ria dostrzegła nerwowy uśmiech uprzejmej dziewczyny w uniformie stewardesy. Naprawdę musi skończyć z tym głupim nawykiem analizowania wszystkiego, co robi. Nic jednak nie mogła poradzić na to, że została zaskoczona tak prostym pytaniem.

Oparła się plecami o fotel i zamknęła oczy. To zabawne, że w podświadomości upodobiła Marilyn do matki Bernadette, choć w rzeczywistości obie kobiety całkowicie różniły się od siebie. Nagle, wstrząśnięta, szeroko otworzyła oczy. Nie miała pojęcia, jak wygląda Marilyn! Znała wymiary basenu, napięcie prądu, dopuszczalny ciężar rzeczy wkładanych jednorazowo do pralki i suszarki, godziny mszy w kościele w Westville oraz dni wywozu śmieci. Podano jej nazwiska i numery telefonów życzliwych dwóch kobiet, jakiejś Carlotty i Heidi. Otrzymała też zdjęcia: skalniaków, małżeńskiej sypialni, basenu, a także wiaty samochodowej.

Wiedziała, że Marilyn podczas pobytu w Irlandii będzie obchodzić swoje czterdzieste urodziny. Nie miała jednak poję-

cia, czy jej lokatorka jest brunetką czy blondynką, kobietą ni-ską czy wysoką, szczupłą lub tęgą. Zdumiewająca była myśl, 400

że ubiegłej nocy wyruszyła ze swojego kraju, ażeby zamieszkać w Dublinie przy Tara Road, zupełnie nikomu nieznaną kobietą i nikt nie wiedział nawet, jak wygląda.

Loty do Dublina odbywały się nocą, a dowóz pasażerów na lotnisko Kennedy'ego zapewniała linia autobusowa z pobliskiego miasta. Marilyn zgodziła się, żeby Heidi ją tam podwiozła. Zamknęła frontowe drzwi, a klucze, wraz z instrukcjami dla gościa, zostawiła w kopercie u Carlotty. Ria po przybyciu wczesnym wieczorem miała skontaktować się z sąsiadką i odebrać od niej kopertę. Marilyn zostawiła w domu nienaganny porządek. W sypialniach była czysta, świeżo wyprana bielelna pościelowa i ręczniki, w lodówce znajdowało się jedzenie, a na stole i blacie kuchennym stały kwiaty.

Decyzję co do sposobu zamknięcia pokoju Marilyn podjęła dopiero w chwili, kiedy usłyszała, że pod jej dom zajechał samochód Heidi. Zostawiła drzwi zamknięte tylko na klamkę.

Była pewna, że Ria zrozumie i zachowa się właściwie. Prawdopodobnie w ciągu tych dwóch miesięcy zetrze tam parę razy kurze i pootwiera okna. Nie ma potrzeby mówić o pewnych sprawach ani pisać o nich.

Całą drogę do dworca autobusowego Heidi paplała i zadawała pytania. Czy Ria przypadkiem nie gra w brydża? Czy Marilyn zapisze się na kursy wakacyjne w Trinity College podczas swojego pobytu w Dublinie? Jakie są prognozy pogody? I od niechcienia, zupełnie obojętnym tonem: czy Greg zamierza przyjechać do niej do Irlandii? A może wróci na wakacje do Westville? Na żadne z tych pytań Marilyn nie udzieliła zadowolającej odpowiedzi, uściśliła jednak serdecznie przyjaciółkę, zanim wsiadła do autobusu.

– Jesteś bardzo uczynna. Mam nadzieję, że kiedyś, kiedy 401

wydo stanę się z tego straszliwego emocjonalnego mętlaku, zdołam ci się odwdziżyć.

Heidi patrzyła w ślad za odjeżdżającym sprzed dworca autobusem. Przyjaciółka siedziała sztywno wyprostowana i czytała list. Miała bardzo pogodne oczy. Można było odnieść wrażenie, że po raz pierwszy od długiego czasu zachowuje się jak normalny człowiek.

Marilyn wciąż od nowa czytała list, jaki napisała do Grega.

Włożyła w niego tyle serca, ile zdołała, a pomimo to nadal pełen był niedomówień. Jak gdyby coś powstrzymywało ją od zbyt obszernych wyjaśnień. A może nie pozostało nic więcej do wyjaśnienia? Niewykluczone, że nie była już zdolna do mi-

łości ani nie potrafiła przejmować się uczuciami innych osób i że taka miała pozostać do końca życia.

Wyjęła mały album ze zdjęciami przysłanymi przez Rię.

Na każdym z nich znajdowali się jacyś ludzie. A na odwrocie widniały informacje. „Annie podczas odrabiania lekcji w naszym pokoju od frontu”. „Brian podający pizzę do stołu w kuchni”. „Moja matka wraz z moją starszą siostrą Hilary”. „Ja z przyjaciółką, Gertie, która pomaga mi w sprzątanii i innych domowych pracach”. „Przyjaciółka domu, Rosemary, mieszka przy tej samej ulicy”. „Colm Barry – uprawia warzywnik na tyłach naszego domu i prowadzi restaurację na rogu Tara Road”. Na najlepszym zdjęciu domu znajdowała się również czteroosobowa rodzina, mrużąca oczy przed słońcem. Na odwrocie Ria napisała: „W szczęśliwszych czasach”.

Marilyn przyjrzała się uważnie Danny’emu. Niewątpliwie był przystojnym mężczyzną. I niewiele się zmienił od owego momentu przed wieloma laty, gdy go poznała i kiedy tryskał

chłopięcym entuzjazmem. Następnie zatrzymała wzrok na Rii

– niskiej, ciemnowłosej, zawsze uśmiechniętej kobiecie. Na każdym zdjęciu jej twarz jaśniała zyczliwością. Pod wieloma 402

względami jej wygląd różnił się od głosu, który Marilyn słyszała w słuchawce. Podczas rozmów telefonicznych Ria wydawała się niespokojna i spięta, jak gdyby dręczona obawą, że dom przy Tara Road nie spełni oczekiwań gościa. Za każdym razem starała się też zapewnić Marilyn, że jej dzieci po przyjeździe do Westville nie będą sprawiać kłopotów.

Najbardziej jednak niepokoiła się o to, czy przybyła zostanie należycie przyjęta przez olbrzymią rzeszę przyjaciół rodziny i znajomych. Byłby to najbardziej niewyobrażalny początek pobytu w Irlandii Marilyn Vine – nazywanej pustelnicą z powodu dystansu, jaki zachowywała w stosunkach z koleżankami, rodziną, przyjaciółmi i sąsiadami. Marilyn Vine, która nie potrafiła nawet rozmawiać z własnym mężem ani też wyjaśnić mu, co ją skłoniło do wybrania się w tę dziwną podróż. Postanowiła, że będzie uprzejma dla tych wszystkich ludzi, lecz nie pozwoli, aby ją wciągnęli w swoje sprawy.

– Czy mogę zaprosić Kitty na kolację, Bernadette? – spytała Annie.

Tamta oderwała wzrok od książki, którą czytała.

– Przykro mi, ale twój ojciec nie zgodził się na jej wizyty tutaj.

– Zawsze bywała w naszym domu. I tato ją lubił, kiedy jeszcze mieszkał razem z nami.

– No cóż, widocznie przestał ją darzyć sympatią. – Bernadette nie wydawała się zbyt przejęta tym faktem.

– Czy mama jest już w Ameryce? – spytał Brian.

– Nie wspominaj o mamie – syknęła Annie, upominając brata.

– Nie mam nic przeciwko temu – wzruszyła ramionami dziewczyna i powróciła do lektury. Rzeczywiście nie wyglą-

dała na poruszoną wzmianką o Rii.

– A zatem doleciała już czy nie? – domagał się odpowiedzi 403

na swoje pytanie chłopiec.

Bernadette ponownie podniosła wzrok, lecz choć zachowywała się uprzejmie, można było wyczuć, że wolałaby, ażeby w domu panowała cisza.

– Niech się zastanowię. Przelot trwa od pięciu do sześciu godzin. Tak, sądzę, że powinna już być na miejscu. Pewnie siedzi w autobusie i jest w drodze tam, dokąd się wybiera.

– Do Westville – wyjaśniła Annie.

– Ach tak. – Tamta ponownie pogrążyła się w lekturze.

Wyglądało na to, że nie mają sobie nic więcej do powiedzenia. Tata uprzedził, iż nie wróci przed ósmą i zapowiadał

się wyjątkowo długi wieczór. Z czystej rozpaczy dziewczynka sięgnęła po „Folwark zwierzęcy”, jedną z książek, które matka podsunęła jej do przeczytania. Annie powiedziała wtedy, że nie sądzi, aby ta lektura jej się spodobała, tymczasem okazała się interesująca i to nawet bardzo. Brian czytał o bohaterach rozgrywek piłkarskich.

Kiedy Danny wrócił do domu zmęczony i pełen obaw, zastał ich siedzących spokojnie we trójkę w fotelach, z książkami w dłoniach. Annie podniosła wzrok i spostrzegła wyraz zadowolenia na twarzy ojca. W domu przy Tara Road wszystko wyglądało zupełnie inaczej. I pewnie tata tęsknił za tamtą atmosferą, nawet jeśli nie kochał już mamy i wolał Bernadette.

Tutaj nie było krzątającej przygotowaniom do kolacji. Pani domu po prostu wyjęła gotowe zamrożone dania i włożyła je do mikrofalówki. Nie było też niekończącego się strumienia

ludzi przepływających przez dom. Gertie nie wpadała i nie wypadała, nie zaglądała Rosemary, zabrakło Kitty, tych okropnych Dekka i Mylesa, babci z Kleszczem oraz Colma z koszem warzyw. I z pewnością tacie musiało ogromnie tego wszystkiego brakować.

Ale kiedy Annie uważnie mu się przyjrzała, nabrała pew-

ności, że ojciec woli swoje obecne życie. Położył klucze na dużym owalnym talerzu.

– Wróciłem do domu – oznajmił i wszyscy poderwali się z miejsc, ażeby go powitać. Kiedy obwieszczał swoje przybycie na Tara Road, prawie nikt tego nie zauważał z powodu wiecznie panującego tam zamieszania.

Wszystkie wskazówki okazały się niezwykle precyzyjne i pomocne. Autobus rzeczywiście stał tam, gdzie według Marilyn miał się znajdować, a opłata za przejazd dokładnie odpowiadała cenie wymienionej przez Amerykankę. Pogoda była słoneczna i bardziej upalna niż w Dublinie. Rię zaskoczył hałas i kłębiące się wokół tłummy, pomimo to czuła, że da sobie radę.

Poza tym postępowała zgodnie z instrukcjami, a ów system zdawał się funkcjonować nienagannie.

Autobus dowiózł ją do dużego miasta. Tam dowiedziała się od kierowcy, skąd odchodzi inny, do Westville. Głęboko zaczerpnęła powietrza na widok zbliżającej się tablicy z nazwą owej miejscowości. To miejsce miało stać się teraz jej domem.

Zapagnęła rozejrzeć się tutaj chwilę, więc wniosła swoje dwie walizki do lodziarni i usiadła, ażeby zebrać myśli. W menu widniały nazwy o egzotycznym brzmieniu; pomyślała, że Marilyn w Dublinie znajdzie o wiele skromniejszy wybór mrożonych napojów oraz innych lodowych smakołyków. Ria jednak nie przyszła tutaj na lody. Obserwowała wchodzących i wychodzących ludzi, którzy w większości znali się nawzajem.

Kobieta za ladą była niewątpliwie liczącą się osobą i żartowała z klientami niczym bohaterka telewizyjnego serialu komedio-wego.

Ria znajdowała się teraz w Ameryce i nie mogła wszystkiego porównywać z życiem we własnym kraju. Powinna nawet zacząć myśleć w dolarach i zaprzestać przeliczania 405

wszystkich cen na funty. Z okna, przy którym siedziała, widziała gabinet kosmetyczny Carlotty. Prezentował się bardzo elegancko. Było to miejsce, gdzie kobieta mogła wejść dyskretnie i ukryta za ciężkimi kotarami w kremowym kolorze i złotym napisem na oknie wystawowym, otrzymać fachową poradę, w jaki sposób opóźnić proces starzenia się i jak utrzymać swojego mężczyznę. Ria była ciekawa wyglądu Carlotty.

Nie widziała jej zdjęcia ani też fotografii żadnej innej osoby z tego miasteczka.

Zebrała się na odwagę i przeszła na drugą stronę ulicy. W

ciemnozielonym podróżnym stroju – na który składała się weł-

niana bluzka ze spódnicą – oraz z dwiema walizkami wyróż-

niała się wśród innych przechodniów. Wszyscy wyglądali tak, jak gdyby przed chwilą opuścili inne salony piękności. Ria czuła się przepocona po podróży i zmęczona. Pchnęła drzwi i weszła do środka. Carlotta okazała się wysoką kobietą o wydatnym biuście i egzotycznej, niemal meksykańskiej urodzie.

Przeprosiła klientkę, z którą rozmawiała, i natychmiast podeszła do Rii.

– Witaj w Stanach, Rio. Mam nadzieję, że pokochasz Westville. Jesteśmy zachwyceni, mogąc cię u nas gościć. – Powitanie było tak ciepłe, szczere i całkowicie nieoczekiwane, że Ria poczuła pieczenie w oczach. Carlotta obrzuciła ją wzrokiem profesjonalistki. – Obserwowałam przyjeżdżające co dwadzieścia minut autobusy, lecz widocznie przeoczyłam ten właściwy.

– Weszłam najpierw do lodziarni – wyjaśniła Ria.

Zorientowała się, że po tak ciepłym powitaniu była to po-nura i raczej nieuprzejma odpowiedź, a przecież szczerze pragnęła odwzajemnić serdeczność, z jaką została przyjęta. W

porównaniu z Marilyn, która czasami podczas rozmów telefonicznych okazywała zbyt dużą powściągliwość, Carlotta wyda-

wała się bardzo wylewna. Jej zachowanie było wyraźną próbą nawiązania przyjaźni i Rię zatrwożyła własna niemożność znalezienia odpowiednich słów.

– Musisz mi wybaczyć, ale czuję się trochę oszołomiona.

Nie przywykłam do tak długich lotów... – Głos jej się załamał.

– Wiesz, co ci poradzę? Uważam, że powinnaś trochę się zrelaksować. Weź prysznic i odpocznij na aromaterapii. Obecnie Katie nie ma żadnej klientki i może ci zrobić masaż. A potem położysz się w zaciemnionym pokoju. Obudzę cię za kilka godzin i razem pojedziemy na Tudor Drive, zgoda? Chyba że wolisz, abym od razu odwiozła cię do domu Marilyn? Zrobię, jak zechcesz. Nie sprawi mi to żadnej różnicy.

Ria doszła do wniosku, że marzy o pozostaniu w salonie.

Katie była jedną z tych kobiet, które nie lubią paplać o byle czym ani nie zadają pytań. Ria nie czuła potrzeby przeproszenia za swoją zmęczoną i zaniedbaną cerę, za zmarszczki, które pojawiły się wokół jej oczu, ani za zdecydowanie zbyt obwisły podbródek. Kojące i wygładzające skórę olejki były wcierane delikatnie lub intensywnie, w zależności od anatomicznego rozkładu punktów nacisku: w skronie, ramiona i głowę, i czuła się cudownie. Kiedyś Rosemary zafundowała im obu podobny masaż i Ria obiecała sobie wtedy co miesiąc poddawać się temu zabiegowi. Dwanaście razy w ciągu roku. Ale poprzestała na planach. Uznała, że masaż jest zbyt kosztowny, tym bardziej że zawsze były jakieś niespodziewane wydatki na dzieci lub na sprawy domowe. Myśli Rii ponownie podążyły tropem jej obecnych możliwości finansowych, ale powstrzymała je całą siłą woli. W tym chłodnym i mrocznym pomieszczeniu, kiedy cudowne palce kosmetyczki masowały rytmicznie jej ramiona i

plecy, a w powietrzu unosiła się intensywna i kojąca woń aro-matycznych olejków, odsunięcie na dalszy plan wszelkich trosk i mocny sen nie sprawiły Rii wielkich trudności.

407

– Przykro mi, że cię budzę. – Carlotta wręczyła jej szklankę soku pomarańczowego. – Musisz jednak zacząć się prze-stawiać na czas amerykański.

Ria czuła się jak nowo narodzona. Wstała z łóżka w różowej, bawełnianej koszuli, którą dostała do snu, i podeszła do Carlotty, aby uścisnąć jej rękę.

– Nie wiem, jak mam ci dziękować za wspaniałe przywitanie. Dokładnie tego potrzebowałam. Nie mogłaś mi sprawić większej przyjemności.

Właścicielka

salonu

potrafiła

wyczuć

prawdziwą

wdzięczność.

– Ubierz się, Rio, zawiozę cię do domu. Spędzisz tutaj wspaniałe wakacje, zobaczysz.

Kiedy szykowała się do wyjścia, Katie wręczyła jej jakiś arkusik papieru. Ria pomyślała, że to wskazówki dotyczące sposobu pielęgnowania cery, z którymi powinna się zapoznać później, spojrzała jednak na kartkę. Był to rachunek opiewają-

cy na kwotę, jakiej nigdy, przez całe swoje życie, nie wydała w salonie piękności. Sądziła, że zabieg został wykonany z uprzejmości na powitanie. Co za poniżające uczucie! Nie mogła okazać zdziwienia.

– Już płacę – powiedziała tylko.

– Carlotta udzieliła pani piętnastoprocentowego rabatu, który łącznie z napiwkami został uwzględniony w cenie – wy-jaśniła Katie.

Ria wręczyła jej pieniądze z przyprawiającym o mdłości poczuciem własnej głupoty. Skąd jej przyszło do głowy, że ta kobieta wyświadczy jej darmową przysługę? Przebywała wśród ludzi, dla których wizyty w salonie piękności były czymś całkiem naturalnym. Być może, gdyby sama przed laty zaczęła regularnie korzystać z zabiegów kosmetycznych, nie znalazłaby się w obecnym położeniu.

408

Gertie tak zaplanowała rozkład dnia, ażeby zdążyć na Tara Road przed przybyciem Marilyn. Rii bardzo zależało na tym, ażeby ktoś czekał na gościa i wpuścił go do domu. Przywiązywała do tego wielką wagę.

– Przypuśćmy, Gertie, że niespodziewanie coś ci wypadnie. Czy dopilnujesz, aby moja matka zjawiała się tam zamiast ciebie?

– A co mogłoby mi wypaść? – zdziwiła się koleżanka, jak gdyby nigdy w życiu nie zaskoczyła jej żadna nieoczekiwana sytuacja.

– Dobrze wiesz, iż zawsze coś się może wydarzyć.

– Nie musisz się obawiać. Ktoś na pewno będzie na nią czekał – oświadczyła stanowczym tonem Gertie.

W chwili, kiedy wychodziła z domu z zamiarem udania się do Rii, otrzymała jednak wiadomość, że Jack znajduje się w szpitalu. Wczoraj wieczorem doszło do bójki i mąż dopiero przed chwilą odzyskał przytomność. Gertie pognąła co tchu w piersiach do domku, gdzie mieszkała Nora Johnson, lecz nie zastała jej w domu. Prawdopodobnie wybrała się do Świętej Rity, ale sąsiedzi nie byli tego pewni. Niechaj go piekło pochłonie! – Gertie przeklinała w duchu Danny’ego Lyncha. Całą swoją złość skierowała przeciwko niemu. Gdyby nie porzucił

żony dla jakiegoś bladego dziewczątka, nie doszłoby do tego wszystkiego. A Gertie nie musiałyby biegać od znajomej do znajomej w poszukiwaniu osoby, która wpuści do domu Rii jakąś Amerykankę. Jimmy Sullivan poinformował ją, że Frances jest teraz w sklepie z używaną odzieżą i nie zdoła się stamtąd wyrwać.

Gertie ruszyła pędem do restauracji. „O Boże spraw, żeby Colm nie wybrał się dzisiaj na targ. Niech go zastanę, a uwierzę w twoje istnienie. Ma tyle sympatii dla Lynchów, więc nie

odmówi mi wyświadczenia tej przysługi i będzie miły dla tej kobiety. Boże, proszę Cię, spraw, żeby był u siebie”.

Gertie nigdy w swoich modlitwach nie prosiła Boga o to, aby Jack zaczął się wreszcie zachowywać jak normalny mąż-

czyzna. Niektóre rzeczy przerastały nawet możliwości Stwór-cy. Ale tak prozaiczna prośba, jak ta, o obecność Colma w domu, mogła zostać wysłuchana. I została.

– Pozwól, że najpierw cię odwiozę, Gertie. Ta Amerykanka ma przyjechać dopiero za pół godziny.

– Nie, dziękuję, nie mogę zawieść Rii.

– Przecież wszystko zostało ustalone: po przybyciu do Dublina miała przez kilka godzin trochę się rozejrzeć po mieście.

Zjawi się tutaj dopiero w południe.

– Może być wcześniej. Pojadę autobusem.

– Odwiozę cię. Który to szpital?

Kiedy siedzieli w samochodzie, Gertie nerwowo wykręcała chusteczkę w dłoniach. Rozmowa wyraźnie się nie kleiła.

– Twoja obecność jest bardzo kojąca, Colmie – odezwała się w końcu kobieta. – Naprawdę. Każdy inny na twoim miejscu zadawałby pytania.

– O co tu pytać?

– Na przykład o to, dlaczego on tak postępuje.

– W jakim celu? Zbyt długo sam to robiłem. Prawdopodobnie ludzie zadawali sobie wtedy to samo bezsensowne pytanie. – Colm potrafił podtrzymać człowieka na duchu, a tego właśnie Gertie dzisiaj potrzebowała. Przestała szarpać rożek chusteczki.

– Być może ludzie zachodzą w głowę, dlaczego z nim jestem...

– To proste, szczęściarz z niego, i tyle.

– Co przez to rozumiesz?

– Ja nie miałem przy sobie nikogo, kto by tuszował moje 410

wybryki. W końcu sam musiałem stawić czoło faktom i zdać sobie sprawę z tego, jak odrażające jest moje życie.

– Czy to znaczy, że znalazłeś w sobie siły dlatego, że byłeś zdany na samego siebie? – Twarz Gertie wyrażała niepokój. –

Moja matka zawsze to powtarza. Radzi mi, żebym go rzuciła, bo może wtedy odzyska rozum.

Colm wzruszył ramionami.

– A może tego rodzaju rozwiązanie rzeczywiście okazało-by się skuteczne, kto wie? Powiem ci jedno, odzyskanie rozumu wcale nie było dla mnie zabawnym doświadczeniem.

Uzmysłowiłem sobie, że moje życie jest całkiem puste. – Zostawił ją pod szpitalną bramą i odjechał, ażeby powitać amerykańską lokatorkę Rii.

Marilyn musiała przyznać, że instrukcje Rii, objaśniające, co trzeba zrobić po przyjeździe do Dublina, okazały się niezawodne. Obie zgodziły się co do tego, że teraz nie dojdzie po-między nimi do spotkania. Byłoby tak pośpieszne i beznadziejne – tuż przed odlotem jednej i chwilę po

wylądowaniu drugiej. Samolot Marilyn miał przylecieć około siódmej rano.

Ria poradziła jej, żeby dojechała autobusem do centrum, zostawiła bagaże w przechowalni i pieszo udała się na śniadanie do jednej z kawiarni przy Grafton Street. Po drodze będzie miała okazję zobaczyć most O'College, spinający brzegi rzeki Liffey, wejście do Trinity College, a także liczne księgarnie oraz sklepy z upominkami, które, być może, zechce odwiedzić w przyszłości. Po śniadaniu powinna się wybrać na spacer wokół skweru Świętego Stefana. Podczas dalszej krótkiej przechadzki, która miała się zakończyć na postoju taksówek, Ria poleciła uwadze gościa kilka pomników oraz innych miejsc godnych obejrzenia. Stamtąd, po odebraniu bagażu, podróżniczka miała się udać prosto na Tara Road, gdzie będzie 411

na nią czekała jedna z wymienionych w liście osób, ażeby ją powitać i oprowadzić po domu.

I wszystko przebiegało zgodnie z planem. Marilyn nabrała orientacji w mieście, którego topografii nie zdążyła zapamiętać podczas swojej poprzedniej krótkiej wizyty. Niewątpliwie zmieniło się i rozwinęło w ciągu tych lat. Ruch uliczny stał się bardziej ożywiony, samochody wyglądały bardziej okazale, a ludzie byli lepiej ubrani. Ze wszystkich stron docierała do Marilyn obca mowa. W obecnych czasach nie tylko turyści amerykańscy odwiedzali sklepy z rękodziełem artystycznym; miasto wydawało się pełne Europejczyków.

Około jedenastej trzydzieści Marilyn poczuła, że bardzo bolą ją nogi. (Ria wsiadała właśnie na pokład swojego samolotu). Uznała, że nadeszła pora na odszukanie nowego domu.

Kierowca opowiedział jej zawiłą historię o nieszczęściu wydawania zbyt wielu licencji taksówkarskich, w sytuacji kiedy dla przedstawicieli tej profesji brakowało zajęcia w mieście.

Stwierdził, że wielu Irlandczyków porozjeżdżało się po całym świecie, a i on żałuje, iż nie wyemigrował do Ameryki w ślad za swoim bratem, który obecnie nosił perukę i miał za żonę Niemkę. Poinformował Marilyn, że Tara Road jest obecnie najszybciej rozwijającym się rejonem Dublina. I prawdziwą kopalnią złota.

– Jeśli pani przyjaciele są właścicielami tego domu, można powiedzieć, że siedzą na milionach – stwierdził z przekonaniem, mijając bramę wjazdową i zajeżdżając pod wejściowe schody.

Drzwi otworzył ciemnowłosa, przystojny mężczyzna po czterdziestce. Zszedł na dół z wyciągniętą dłonią.

– Witam panią w imieniu Rii na Tara Road – powiedział, a Marilyn, rozpaczliwie usiłowała odszukać w myślach jego nazwisko na liście tysiąca Rii znajomych i przyjaciół, jaka zo-412

stała jej przedstawiona. Nie wiadomo dlaczego, spodziewała się raczej siostry Rii, Hilary, albo którejś z jej przyjaciółek.

– Nazywam się Colm Barry, jestem sąsiadem i przyjacielem Rii. Opiekuję się również warzywnikiem, ale korzystam z tylnej furtki, więc nie będę pani przeszkadzał podczas pobytu tutaj.

Marilyn spojrzała na niego z wdzięcznością. Powiedział

dokładnie to, co powinna wiedzieć, bez wdawania się w niepotrzebne szczegóły. Był uprzejmy, a jednocześnie powściągliwy w okazywaniu emocji i jego sposób zachowania bardzo jej przypadł do gustu.

– Ach tak, to pan jest właścicielem restauracji – powiedziała, identyfikując go wreszcie.

– Tak, to ja – potwierdził i pokonał granitowe stopnie, taszcząc jej walizę.

Zdjęcia Rii nie kłamały. Hol rzeczywiście wyglądał okazale ze swoją błyszczącą drewnianą podłogą oraz z eleganckim, stylowym stołem. Drzwi do frontowego pokoju były uchylone, Colm pchnął je lekko.

– Gdybym tutaj mieszkał, nigdy bym stąd nie wychodził –

oznajmił z prostotą. – Ten pokój, z oknami po obu stronach, oddaje atmosferę całego domu. Jest uroczy. – Na stole stał olbrzymi wazon z różami. – Ria prosiła mnie, żebym zostawił

dla pani te róże.

Marilyn podziękowała, czując ucisk w gardle. Pokój był

przepiękny, a kwiaty o barwie intensywnego różu i czerwieni na ślicznym stole dopełniały wrażenia.

Colm wniósł na piętro bagaż i wskazał na małżeńską sypialnię.

– Przypuszczam, że Ria tutaj panią ulokowała. Zapewne powiadomiła panią o wszystkich szczegółach listownie. Tygodniami szykowała dom na pani przyjazd i wiem, że kosztowało 413

ją to niemało wysiłku.

Marilyn również o tym wiedziała. Obrzuciła wzrokiem nieskazitelnie czystą kapę, całkiem nową, która z pewnością została rozłożona na łóżku dopiero dzisiaj rano, poskładane ręczniki oraz pachnącą świeżością, opróżnioną szafę. Ta kobieta musiała się rzeczywiście napracować nad wyszykowa-niem domu. Marilyn, nękana poczuciem winy, łudziła się, że jej własny dorówna temu pod względem schludności i porząd-ku. Zeszli na dół do kuchni. W tym momencie otworzyła się kłapa w drzwiach i do środka wszedł rudy kocur.

– To Klemens. – Mężczyzna dokonał formalnej prezentacji. – Ma nienaganne maniery, a jedyną jego słabością jest po-lowanie na niewinne ptaki. Proszę się nie zdziwić, jeśli czasami, chełpiąc się zdobyczą, przyniesie pani jakiegoś.

– Rozumiem. Muszę go wtedy pochwalić: „Świetna robota, Klemensie, dobry z ciebie kotek” – odpowiedziała z uśmiechem.

– Właśnie. Na ogół nie przejawia wielkiej ochoty do współzawodnictwa. Otwiera oko, patrzy na ptaki i ponownie zasypia. – Colm przystąpił do dalszego oprowadzania gościa po kuchni i otworzył

lodówkę.

– O, widzę, że Ria zostawiła dla pani podstawowe jedzenie. Jest również zupa z warzyw z tego oto ogrodu. Czy mam ją wyjąć do podgrzania? Ma pani za sobą długą podróż. Na pewno chce się pani tutaj w spokoju rozgościć. – I odszedł.

Cóż za miły i zrównoważony człowiek, pomyślała Marilyn. Dokładnie kogoś takiego chciałyby mieć za sąsiada. Nie miałyby problemów z trzymaniem na dystans mężczyzny pokroju Colma Barry’ego. W przeciwieństwie do Carlotty, która w każdej chwili była gotowa podejść po płotu i mieszać się w cudze sprawy. Miał rację, rzeczywiście chciała się rozlokować.

Była zadowolona, że to jego zastała w domu Rii, a nie którąś z 414

kobiet. Wyczuwała w nim bratnią duszę. Zrozumiał, że miała ochotę zostać sama. Marilyn była rada, że to właśnie on na nią czekał.

Powoli chodziła po domu, który do września miała uważać za własny. Pokoje dzieciinne były posprzątane, na ścianach u Briana wisiały zdjęcia z podobiznami piłkarzy, a u Annie por-trety gwiazd muzyki pop. Parapety okienne zdobiły plastikowe modele zapaśników u Briana i pluszowe maskotki u Annie.

Obie łazienki były dobrze utrzymane, a armatura w jednej z nich z całą pewnością pochodziła jeszcze z wiktoriańskich czasów. Jeden z pokoi, pomimo licznych półek, był całkiem pusty i ogołcony ze śladów życia. To pewnie tutaj mieścił się gabinet Danny’ego w czasach, które Ria określała mianem „szczęśliwszych”.

W przytulnej, niemal przeładowanej kuchni półki uginały się pod ciężarem książek kucharskich, a szafki pełne były garnków i naczyń do wypieków. Nie ulegało wątpliwości, że to tutaj stołowali się domownicy i toczył się główny nurt co-dziennego życia. Na każdym kroku można się było natknąć na piękne przedmioty, a co najważniejsze, panowała tu prawdziwie rodzinna atmosfera. Na ścianach niemal nie było pustego miejsca – wszędzie znajdowały się fotografie – głównie dzieci, ale także i zdjęcia przedstawiające Danny’ego Lyncha. Nie został wyeliminowany z ich życia z powodu swojego odejścia.

Marilyn przyjrzała się uważnie twarzy tego mężczyzny, pró-

bując coś z niej wyczytać. Jednego wszakże się dowiedziała, przebywając w tym domu: albo musiał naprawdę ogromnie kochać tamtą drugą kobietę, albo był bardzo nieszczęśliwy w małżeństwie z Rią, skoro bez wahania zdecydował się to wszystko porzucić.

– Jak sądzisz, czy powinnam wybrać się do niej z wizytą?

– Nora Johnson radziła się Hilary.

– Czy nie wystarczy jej to, co ma? Siedzi za darmo w do-mu, w którym za pobyt normalnie musiałaby zapłacić fortunę –

prychnęła Hilary.

– Może czuje się trochę osamotniona, a Ria powiedziała...

– Och, wielkie mi rzeczy, co mówiła Ria... Skoro tak się paliła do tego wyjazdu, mogła zostawić dom pod opieką wielu innych ludzi.

Nora spojrzała na swoją starszą córkę z błyskiem zniecierpliwienia w oczach.

– Posłuchaj mnie, Hilary, jeśli sugerujesz, że ty również mogłaś zaopiekować się domem i karmić tego jej głupiego kota...

– Oczywiście, że mogłam, mamó. Wcale nie musiała sprowadzać jakiejś obcej Amerykanki!

– Ależ Hilary, głuptasie, przecież Ria pragnęła wyjechać na wakacje do Stanów. I do tego sprowadza się cała sprawa.

Nie zależało jej na tym, aby zamienić się domem z kimś na tej samej ulicy, a nawet na drugim krańcu miasta.

Hilary poczuła się straszliwie głupio. Czasami w przyływie urazy zapominała o owym istotnym fakcie.

– Dzisiaj i jutro zostawmy ją w spokoju, ażeby mogła odpocząć. Może potem się z nią skontaktujemy – zasugerowała.

– Nie chciałabym, aby sobie pomyślała, że nie jest u nas mile widziana – powiedziała matka.

I kiedy siostra Rii prychnęła ukradkiem, Nora gotowa była ulec pragnieniu złożenia Amerykance wizyty.

W drodze na Tudor Drive Carlotta zwracała uwagę gościa na wszystkie urocze miejsca.

Rię zdumiały wspólne trawniki przed frontem mijanych domów.

– Nie ma ogrodzeń – zauważyła.

– Panują tu dobrosąsiedzkie stosunki – wyjaśniła jej prze-416

wodniczka.

– Czy podobnie jest na Tudor Drive? – spytała Ria.

– Nie. Tam posesje są ogrodzone.

Carlotta wymieniała nazwy ulic oraz dróg dojazdowych do prywatnych domów, z którymi Ria podczas najbliższych dni i tygodni miała się zapoznać. Kosmetyczka zwróciła jej uwagę na dwa hotele, klub i bibliotekę, na stację benzynową z miłą obsługą oraz na inną, zatrudniającą bardzo niesympatycznych pracowników, na dwa sklepy z antykami, kwiaciarnię, dobry sklep spożywczy oraz znakomite delikatesy. No i oczywiście na ogród botaniczny, który wskazała tryumfalnym gestem.

– Nie sądzę, aby miejsce to szczególnie wzbudziło moje zainteresowanie. Z trudem odróżniam ozdobne kwiaty od chwastów.

Informacja ta wprawiła kosmetyczkę w zdumienie.

– Sądziłam, że masz bzika na punkcie roślin ogrodowych i właśnie owa wspólna pasja stała się okazją do zawarcia przez was obie znajomości.

– Nie, wręcz przeciwnie, bardzo marna ze mnie ogrod-niczka.

– To jedynie dowodzi, jak błędne wnioski można czasami wyciągnąć. Ponieważ Marilyn nie ma żadnych innych zainteresowań, uznałam...

Były już prawie na miejscu.

– Chętnie zaprosiłabym cię do siebie i poczęstowała czymś, wiem jednak, że przyjechałaś tutaj na całe lato i pewnie marzysz o tym, żeby jak najprędzej zobaczyć dom. – Carlotta sięgnęła po kopertę z kluczami, aby podać ją gościowi.

– Nie wejdiesz ze mną do środka? – zdumiała się Ria.

– Raczej nie. Widzisz, to twój dom. Dom Marilyn i Grega.

– Bardzo cię proszę, wejdź i oprowadź mnie po nim. Tamta pod wpływem niezdecydowania przygryzła wargi.

417

– Nie jestem dobrze zorientowana w rozkładzie pokoi.

– Och, daj spokój, Carlotto. Poczuję się o wiele bardziej zadomowiona, jeśli mi wszystko pokażesz. Poza tym Marilyn obiecała zostawić dla mnie w lodówce butelkę wina. Ja dla niej też coś zostawiłam u siebie. Byłby to miły początek mojego pobytu tutaj.

– Nie chcę, żeby pomyślała...

Lecz dalsze protesty nie miały sensu. Ria wysiadła już z samochodu i oglądała od zewnątrz swoje nowe miejsce zamieszkania.

– Powinnyśmy skorzystać z tej małej furtki czy też obejść dookoła wiatę, jak sądzisz?

– Nie wiem. – Uprzejma i pewna siebie Carlotta sprawiła wrażenie, jak gdyby nagle straciła cały kontenans.

– Gdzie się znajduje główne wejście?

– Nigdy w życiu nie byłam w tym domu, Rio – wyznała jej towarzyszka.

Chwila ciszy wydała się prawie niezauważalna, gdyż Ria niemal natychmiast przerwała milczenie:

– Wobec tego będzie to nowe doświadczenie dla nas obu.

I weszły do budynku pod numerem 1024 przy Tudor Drive, każda z walizką w ręce, aby rozpocząć misję odkrywczą mającą na celu zbadanie rozkładu domu Vine'ów.

– Heidi? Mówi Greg Vine.

– Och, dzień dobry, Greg. Jak się miewasz? – Heidi była tak szczęśliwa, iż mąż Marilyn nadal chce z nią rozmawiać, pomimo niedyskrecji, jakiej się ostatnio dopuściła, że nie zastanawiała się, co go skłoniło do tego telefonu.

– Generalnie nie najgorzej, Heidi, ale mam pewien problem. Czy odwiozłaś Marilyn na lotnisko? Chodzi mi o to, czy na pewno wyjechała?

– Tak, oczywiście. Przecież chyba podała ci numer swoje-418

go telefonu w Irlandii? Zapewniła mnie, że jesteście w kontakcie. – Zaniepokojona Heidi nieco podniosła głos.

– Oczywiście, że go mam. Jestem ciekaw, czy ta osoba...

już przybyła do Westville? Mam na myśli kobietę, która zamieszka w naszym domu.

– Nie jestem pewna, ale przypuszczam, że od jakichś dwóch godzin powinna już być na miejscu, Greg. – Heidi nie powiedziała tego głośno, lecz próba wydobycia z Marilyn jakiegokolwiek informacji na temat przyjazdu Rii była równie przykrym doświadczeniem, jak wyrywanie zęba.

– Rozumiem.

– Czy coś się stało?

– Nie, nic ważnego. – Odpowiedź zabrzmiała bardzo ponuro. Niemał rozpaczliwie.

Serce Heidi przepełniło współczucie dla tego mężczyzny.

Starła się odgadnąć, na jakiej informacji może mu zależeć.

– Chciałbyś wiedzieć, czy dotarła bezpiecznie i czy już się rozgościła w waszym domu?

- No chyba tak.
- A może życzysz sobie, żebym pojechała do was i sprawdziła, czy ona już tam jest?
- Prawdopodobnie przez pierwszy tydzień automatyczna sekretarka będzie przekazywała wiadomość, która jeszcze przez nas została zarejestrowana na taśmie. Dopiero potem ta kobieta zechce pewnie zmienić treść nagrania. – Wydawał się rozgoryczony i dotknięty.
- Chcesz się dowiedzieć, czy przyjechała, a także co to za osoba? Czy o to chodzi, Greg?
- Myślę, że trafniej to sformułowałaś, niż ja bym potrafił.
- W głosie rozmówcy zabrzmiał wymuszony śmiech.
- Nie wiem, czy powinnam tam jechać. Ona może spać po
- podróży. Ale jeśli zatelefonuję i odezwie się automatyczna 419 sekretarka... ?
- Zrobisz to, co uznasz za stosowne, Heidi. Czuję się tutaj całkiem bezradny. To niesamowite, jak człowiek na odległość wyolbrzymia problemy.
- Rozumiem – odpowiedziała ze współczuciem.
- Nie sądzę, żebyś to rozumiała. Ty i Henry umiecie ze sobą rozmawiać i myślę, że my z Marilyn również potrafiliśmy się kiedyś porozumieć. Obecnie jednak nie możemy poruszyć żadnego tematu, żeby nie wyprowadzić siebie nawzajem z równowagi... – zamilkł nagle.
- To się zmieni.
- Wybacz mi moje melodramatyczne skłonności.
- Czy jest aż tak źle?
- Nie chodzi o mnie. Posłuchaj, Heidi, nie chciałbym podkopywać zaufania, jakim cię darzy Marilyn, naprawdę.
- Nie ma czego podkopywać, Greg. Podaj mi swój numer, a oddzwonię, gdy tylko czegoś się dowiem.
- Zatelefonuj na mój rachunek, Heidi.
- Wykluczone. Kupisz mi za to jakiś ładny szal w żywych kolorach, w którym mogłabym wystąpić na pikniku absolwentów uczelni.
- Och, Boże, zupełnie o tym zapomniałem!

– Przypuszczam, że wrócisz na tę okazję do domu? Nie opuściłeś żadnego z pikników. Wszyscy bardzo tutaj na ciebie liczymy.

– Gdzie będę mieszkał, nawet jeśli przyjadę? – W głosie Grega zabrzmiało bezgraniczne zdziwienie.

– Posłuchaj, Greg, do pikniku mamy jeszcze mnóstwo czasu. Pozwól, że zanim podejmiesz jakąkolwiek decyzję, najpierw zamelduję ci o sytuacji na Tudor Drive.

– Prawdziwy z ciebie przyjaciel, Heidi.

– Wciąż nimi jesteśmy i będziemy nadal, cała nasza 420

czwórka, wspomnisz moje słowa – odpowiedziała bez przekonania.

Carlotta i Ria ruszyły na obchód domu.

– Wszędzie jest tak pięknie. I pomyśleć, że Marilyn nie ma nikogo na stałe do pomocy. Pewnie przed wyjazdem zatrudniła ekipę do sprzątania – powiedziała z podziwem Carlotta.

Opuściły przestronny salon, z kolorowymi dywanami na podłodze i trzema kozetkami z białej skóry wokół kominka, minęły olbrzymią kuchnię z blatem śniadaniowym i dużym jadalnianym stołem, i przeszły do gabinetu Grega. Trzy ściany zapełniały tam od podłogi po sufit półki z książkami, a pod jednym z okien stało biurko o blacie z czerwonej skóry oraz duży czarny fotel obrotowy. Na ścianach nie było miejsca na zdjęcia, ale na stołach ustawionych wzdłuż każdej z nich znajdowały się małe rzeźby, ozdoby oraz innego rodzaju skarby.

– Śliczny pokój – oświadczyła Ria. – Gdybyś mogła zobaczyć, jak teraz wygląda gabinet mojego męża... przywodzi mi na myśl pustą skorupę.

– Dlaczego tak wygląda? – spytała rzeczowym tonem Carlotta.

Ria spojrzała na nią w milczeniu.

– Przepraszam. Miałam na myśli mojego byłego męża, który niedawno wyprowadził się z domu. Jego pokój nigdy nie miał atmosfery tego miejsca; nawet za dawnych dobrych czasów. Czy teraz powinniśmy obejrzeć ogród, jak sądzisz?

– Ogród zostawimy na jutro – zarządziła Carlotta.

– Wobec tego zaatakujmy butelkę wina marki Chardonnay

– zasugerowała Ria.

– Jeśli aromaterapia tak skutecznie usuwa skutki zmęczenia spowodowanego wielogodzinnym lotem i zmianą stref czasowych, jak to widać w twoim przypadku, jesteśmy o krok 421

od doniosłego odkrycia – stwierdziła kosmetyczka i obie udały się do kuchni.

W tym momencie rozległo się pukanie do drzwi frontowych. Carlotta i Ria spojrzały po sobie, a potem razem poszły je otworzyć. W wejściu stała kobieta po czterdziestce z zapa-kowaną elegancko butelką.

– Nazywam się Heidi Franks, pracuję razem z Marilyn i przyszłam, żeby się z tobą przywitać... Och, dzień dobry, Carlotto, nie spodziewałam się zastać cię tutaj...

– Ria nalegała, żebym weszła do środka. – Sąsiadka Marilyn najwyraźniej usprawiedliwiała się, jak gdyby została przy-

łapaną na wścibianiu nosa w nie swoje sprawy.

– Wejdz, Heidi, nie mogłaś się zjawić w lepszym momencie – oznajmiła Ria. – Właśnie zamierzałyśmy się pokrzepić winem.

– Nie, naprawdę nie chciałabym...

Ria zastanawiała się, co skłania owe kobiety do przeprosin za to, że przekroczyły progi domu Vine'ów. Amerykanie sły-nęli ze swej bezpośredniości, a łatwość, z jaką nawiązywali przyjaźnie, była niemal legendarna, tymczasem obie przyjaciółki Marilyn niemal lękliwie spoglądały wokół siebie, jak gdyby bały się własnego cienia.

Odsunęła jednak od siebie te dziwaczne myśli i zaprowadziła nowe znajome do kuchni.

Marilyn rozpakowała bagaże i zjadła zupę. Wypiła także kieliszek drogiego francuskiego wina. A potem długo leżała, mocząc się w wannie na piętrze, aby usunąć uczucie zmęczenia, spowodowane wielogodzinnym lotem i wędrówką po Dublinie.

Sądziła, że zdoła zasnąć, ale nie, przez całe długie popo-

łudnie miała oczy szeroko otwarte, a po głowie galopowały jej 422

myśli. Dlaczego przyjechała do tego domu, pełnego śladów przeszłości i zapowiedzi przyszłego życia? Na miłość boską, dlaczego zdecydowała się na pobyt w tej wiktoriańskiej rezydencji? Marilyn nie знаła dokładnej daty wybudowania domu, przypuszczała jednak, że prawdopodobnie stał już w czasach wojny secesyjnej, kiedy toczyły się walki o Gettysburg.

Panowała tutaj atmosfera nadziei, której na zawsze miało zabraknąć przy Tudor Drive pod numerem 1024. W każdym pokoju domu przy Tara Road spoglądały na nią promiennie buzie dwojga dzieci – chłopca o uśmiechu szerokim jak roz-krojony arbuz oraz dziewczynki, która była niemal w wieku Dale'a.

Marilyn leżała pod białą kapą w najokazalszej sypialni domu, gdzie nie brakowało niczego, i rozmyślała o swoim pustym życiu.

Rozległo się ciche miauczenie i w drzwiach pojawił się za-niepokoiony pysk ogromnego ryżego kocura. Klemens jednym susem wskoczył na łóżko i wyciągnął się obok na pościeli.

Mruczał niczym mały statek parowy na jeziorach w północnej części stanu Nowy Jork. Marilyn miała obojętny stosunek do kotów – tolerowała je jak wszystkie inne zwierzęta. Klemens jednak był mądrym stworzeniem – i najwyraźniej wyczuwał, że jest nieszczęśliwa. Zwinął się w kłębek przy niej i mruczał

coraz głośniej. Wydawane przez niego odgłosy uspiły ją w końcu niczym kołysanka lub monotonna pieśń. Kiedy się obudziła, dochodziła północ.

W Westville była siódma wieczorem. Mogła zatelefonować do Rii, aby jej podziękować za udostępnienie tego tchną-

cego spokojem domu. Ustaliły wcześniej pomiędzy sobą, że Ria podniesie słuchawkę, jeśli będzie miała ochotę rozmawiać.

Marilyn wybrała numer. Po trzech sygnałach usłyszała własny głos.

423

– Mówi Marilyn – powiedziała. – Nastąpiła właśnie północ i jest wspaniale. Chciałam ci bardzo podziękować.

Wtedy odezwała się Ria:

– Tutaj dopiero zapada zmierzch, lecz dom o tej porze wydaje się jeszcze cudowniejszy. Bardzo ci dziękuję.

– Znalazłaś wino? – spytała Marilyn.

– Tak, właśnie je kończę, a czy ty znalazłaś swoje?

– Oczywiście. Jeszcze nie wypiałam całej butelki, ale na pewno to zrobię.

– Czy Gertie czekała na ciebie?

– Spotkało mnie bardzo serdeczne powitanie, dziękuję.

Zachwycał się twoim domem. Jest przepiękny. Czy Carlotta przekazała ci klucze?

– Tak. Ty również mieszkasz bajkowo. Przedstawiane przez ciebie opisy były zbyt skromne.

Zapadło krótkie milczenie, a potem się pożegnali, życząc sobie nawzajem dobrej nocy. Marilyn nie miała pojęcia, dlaczego udawała przed tamtą, że została przywitana przez Gertie.

Podobnie Ria nie mogła pojąć, dlaczego nie powiedziała Marilyn, że jej przyjaciółki, Carlotta i Heidi, zamierzają właśnie otworzyć trzecią butelkę wina. Gdyby ktoś poprosił je obie o wyjaśnienia, nie potrafiłyby ich udzielić.

– Zamierzam dzisiaj odwiedzić moją babcię, Bernadette.

– To dobrze.

– I nie wiem, o której dokładnie wrócę.

– Oczywiście.

Annie zabrała podręczną torbę, w której znajdowała się krótka spódnica z lycry oraz góra niezakrywająca pleców.

– Zanim wyjdiesz, zadzwoń do taty, dobrze?

– Po co?

– Ponieważ zapomniałaś powiadomić go przy śniadaniu, że 424

wybierasz się do babci.

– Nie będzie zadowolony, że mu zawracam głowę głup-stwami.

– Wręcz przeciwnie. Sądzę, że się ucieszy.

– Powiem mu o tym wieczorem.

– Wolisz, żebym to ja poinformowała go o twoich planach? – W głosie Bernadette nie było groźby. Pytanie, jakie zadała, zabrzmiało niewinne, lecz tylko pozornie.

– Niepotrzebnie zachowujesz się jak więzienny strażnik, Bernadette.

– A ty niepotrzebnie próbujesz mnie okłamać, Annie.

Wiem, że nie idziesz w odwiedziny do babci z całym tym ekwipunkiem. Wraz z Kitty macie zgoła inne plany.

– Nawet jeśli twoje domysły są słuszne, to co ci do tego?

– Nic. Nie obchodzi mnie, dokąd się wybierasz ani co zamierzasz robić. Swoim zachowaniem możesz jednak zdenerwować ojca, a tego sobie nie życzę.

To było najdłuższe wypowiedziane przez Bernadette zdanie, jakie Annie kiedykolwiek słyszała. Dziewczynka namy-

ślała się przez moment, a potem, badając grunt, zaryzykowała:

– Nie zdenerwuje się, jeśli się o niczym nie dowie.

– Sprytnie próbujesz mnie podejść. Nawet na to nie licz! –

oświadczyła kategorycznie tamta.

– Muszę zatelefonować do Kitty – oznajmiła Annie, uznając swą porażkę.

Bernadette skinieniem głowy wskazała na telefon.

– Bardzo proszę – powiedziała i powróciła do lektury.

Podczas rozmowy Annie obejrzała się raz i drugi, lecz nic nie wskazywało na to, że Bernadette podsłuchuje.

– Nie, nie mogę wyjaśnić – powiedziała zbuntowanym tonem. – Oczywiście, że próbowałam, sądzisz, że poddałam się bez walki? A jak myślisz, kto? Tak. I jeśli chcesz znać moje 425

zdanie, jest nawet gorsza od mamy.

Rozgoryczona odłożyła słuchawkę i obejrzała się przez ramię na zwiniętą w kłębek w fotelu Bernadette. Odniosła wrażenie, że dostrzega na jej twarzy cień uśmiechu, chociaż być może uległa tylko złudzeniu.

– Jaka ona jest? – dopytywali się Myles i Dekko.

– Sadzę, że w porządku – przyznał niechętnie Brian.

– Czy ciągle uprawiają ze sobą seks?

– Ależ skąd! Oczywiście, że nie.

– To po co przeprowadził się do niej? I jak zaszła w ciążę?

– spytał Dekko.

– To już przeszłość. Nie przypuszczam, żeby teraz to robili. – Brian był zaskoczony taką sugestią.

– Dorośli nigdy z tego nie rezygnują. – Myles wciąż się boczył z powodu niemowlęcia, którego narodziny odbiły się negatywnie na jego życiu. – Są gotowi robić to do ostatniego tchnienia.

– Naprawdę? – zainteresował się Dekko.

– Dobrze o tym wiem. – Myles był autorytetem w sprawach seksu. – Szczególnie dotyczy to tych dwojga, Brianie. W

związku z nową sytuacją.

– Wiem, co masz na myśli. – Chłopiec uważnie analizował

w myślach stwierdzenia kolegi.

- Czy nie słyszysz, jak sapią i nie mogą złapać oddechu?
 - Nie. – Zaprzeczył ruchem głowy. – W każdym razie nie robią tego przy nas.
 - Oczywiście, że nie przy was, głuptasie, ale kiedy już leżą w łóżku... dopiero wtedy można ich usłyszeć.
 - Tata i Bernadette wiecznie tylko rozmawiają półgłosem o pieniądzach.
 - Skąd wiesz?
 - Oboje z Annie kiedyś ich podsłuchiwaaliśmy. Chcieliśmy 426 się dowiedzieć, czy mówią coś o mamie, ale nie wspomnieli o niej ani słowem.
 - A czego dotyczą te pieniężne dyskusje?
 - Potwornie nudnych spraw, takich jak podwójny zastaw hipoteczny. Godzinami wałkują ten temat – wyjaśnił Brian.
 - Czy dzieci mocno dają ci we znaki? – dopytywała się Finola Dunne przez telefon, ale jej córka tylko się roześmiała.
 - Nie są najgorsze. Oczywiście, są bardzo żywe i robią wiele hałasu.
 - Wszystko jeszcze przed tobą – zauważyła nie bez racji matka Bernadette.
 - Wiem.
 - Poza tym dzisiaj jest lekcja pływania, będę więc miała okazję osobiście się o tym przekonać. Lubię tego chłopca. Ma poczucie humoru.
 - Trudno coś takiego powiedzieć o Annie. – W głosie Bernadette zabrzmiała jednak życzliwość.
 - Rzeczywiście, ani na chwilę nie można jej spuścić z oka.
 - Zawsze wyznawałaś taką zasadę, mamó.
 - I na niewiele się zdało w twoim wypadku. – Matka Bernadette odłożyła słuchawkę.
- Na basenie Annie nie posiadała się ze zdumienia na widok swojej przyjaciółki Kitty.
- Cóż za zbieg okoliczności – powtórzyła ze cztery razy.
- Kitty wydawała się tak samo zaskoczona.
- Kto by przypuszczał, że cię tutaj spotkam?

– To moja koleżanka, Mary, pani Dunne – Annie dokonała prezentacji. – Karmi mojego kota, Klemensa. Czy po lekcji pływania będę się mogła wybrać razem z nią na Tara Road i zobaczyć, jak mu się wiedzie?

– Nie wiem powodu, dla którego miałabyś tam nie poje-427

chać – powiedziała Finola Dunne.

Pomiędzy basenem a domem Danny’ego i Rii było dobre połączenie autobusowe. A Mary wydawała się sympatyczna i musiała być uczynną dziewczyną, skoro zechciała się zaopiekować cudzym kotem.

– Dlaczego nazywasz ją Mary? – zdziwił się brat.

– Ponieważ tak brzmi jej imię, głuptasie – syknęła Annie.

– Dotychczas miała inne – zaprotestował chłopiec.

– Ale teraz ma to, więc czy mógłbyś nareszcie zamilknąć?

Trener pływania gwizdkiem przywołał swoich uczniów.

– Do zobaczenia, Kitty! – zawołała Annie.

– Przepraszam, ale wydawało mi się, że twoja koleżanka nazywa się Mary – zauważyła Finola Dunne.

– No cóż... używa obu imion. – Annie mocno się zaczerwieniła.

Brian wyszczerzył zęby w tryumfalnym uśmiechu.

Podczas lekcji pływania Finola przeprowadziła rozmowę telefoniczną; kiedy nadeszła pora opuszczenia basenu, oczy pani Dunne były zimne jak stal.

– Powiedz „Mary”, że karmieniem kota zajmuje się ta Amerykanka, która obecnie mieszka na Tara Road. Nie ma więc potrzeby, żeby Kitty tam jeździła.

Annie zwiesiła głowę.

– Porozumiała się pani z Bernadette? – spytała w końcu.

– Tak. I mam dla ciebie wiadomość od niej.

– Co powiedziała? – spytała dziewczynka lęklwym tonem.

– Kazała ci powtórzyć, że to twoja druga próba. Trzecią zajmie się ojciec.

Carlotta i Heidi oświadczyły Rii, że żadna z nich w życiu nie wypijała na raz całej butelki wina, jak się to stało dzisiaj.

Były bardzo zaskoczone i nie mogły się temu nadziwić. Cał-

428

kowitą winę przypisywały złemu wpływowi swojej nowej ir-landzkiej przyjaciółki. Ria zapewniła je, że ona również nigdy nie splamiła się tak skandalicznym postępkami i zwykle zadowalała się jednym drinkiem w ciągu całego wieczora.

– Ale jesteśmy w Stanach Zjednoczonych – lamentowała Carlotta. – A my tutaj liczymy uncje oraz kalorie. I wszyscy znamy ludzi tkwiących w szponach tego nałogu. Weźmy choćby połowę klientek mojego zakładu: wszystkie są na odwyku. A tymczasem ja sama szybkimi krokami zmierzam w kierunku uzależnienia!

– Jestem kobietą w średnim wieku i żoną naukowca.

Wszystkie słyszałyśmy o kobietach, które zaczęły zdradzać pociąg do butelki właśnie w tym okresie życia. I całkiem się wykoleiły. Pensje naszych mężów nie wystarczą na pokrycie rachunków z kliniki Betty Ford!

– Moja sytuacja wygląda najgorzej – zaśmiała się Ria. –

Jestem opuszczoną żoną i przyleciałam tutaj z Irlandii, aby uporządkować myśli, a już pierwszego dnia w Ameryce spotkałam dwie alkoholiczki, z którymi dokładnie się urzęnęłam.

Wiele dowiedziały się o sobie nawzajem. Została ujawniona wysokość alimentów Carlotty, jakie jej zapłacili trzej kolejni mężowie w jednorazowych ratach, a nawet szczegóły dotyczące korzystnego sposobu zainwestowania tych sum. Poznały też detale małżeńskiego pożycia Heidi w pierwszym związku. Poprzedni mąż nie spełnił pod żadnym względem jej oczekiwań i mógł być jedynie porównywany z pierwszą żoną Henry'go. Byłoby najlepiej, gdyby oboje się odnaleźli i pobrali, zamiast wiązać życie innym, Bogu ducha winnym, ludziom.

Oczywiście Danny Lynch również został wprowadzony na scenę Westville. Obie Amerykanki usłyszały historię spotkania Lynchów w przeddzień dwudziestych drugich urodzin Rii, a także o dniu, kiedy po raz pierwszy kochała się z Dannym na 429

Tara Road, oraz o nocy, kiedy przyznał, że rzeczywiście ma zamiar znowu zostać ojcem, tyle że tym razem nie jej dziecka.

– Zobaczmy, co Marilyn zostawiła nam do jedzenia – zaproponowała Heidi.

Mogły gawędzić ze sobą bez końca. Kiedy jednak posiliły się *quiche* ze szpinakiem i wypiły po filiżance kawy, aby wytrzeźwieć, Ria wyczuła, iż obie kobiety są trochę zażenowane z powodu swoich wcześniejszych wynurzeń. Nie dlatego, by żałowały owych zwierzeń, ale że dom Vine'ów nie wydawał

się im odpowiednim do tego miejscem. Z rozczarowaniem spostrzegła, jak pryska ciepły nastrój. Sądziła, że już pierwszego dnia po przybyciu do Westville zyskała dwie nowe, cudowne

przyjaciółki. Być może jednak owa przyjaźń wcale nie była jej pisana. Musi się nauczyć większej roztropności i nie powinna pochopnie doszukiwać się serdeczności tam, gdzie prawdopodobnie jej nie ma. Kiedy wieczór dobiegł końca, nie błagała swych towarzyszek o ponowne spotkanie – i najwyraź-

niej przyjęły ten fakt z ulgą. Wcześniej wyczuła ich zadowolenie, że nie wspomniała w rozmowie z Marilyn o przyjęciu, jakie urządziły sobie we trójkę na Tudor Drive. Podczas owych wszystkich zaskakujących zwierzeń, dyskusji i debat żadna z nich ani razu nie wspomniała o właścicielce domu.

Kiedy rozstały się o dziesiątej wieczorem, czyli o trzeciej nad ranem czasu europejskiego, Ria ruszyła na obchód po do-mu Marilyn. W Irlandii jej mąż leżał w łóżku z dziewczęciem, które spodziewało się jego dziecka; Brian spał na plecach ze skotłowaną pościelą w nogach pośłania i przy zapalonym świetle, Annie zaś zapełniała swój dziennik nieprawdopodobnie ryzykownymi projektami ucieczki z Kitty. A pogrążoną we śnie matkę otaczały wizerunki świętych oraz niesprecyzowane plany sprzedaży domku przy Tara Road i przeprowadzki do Świętej Rity.

430

Hilary z mężem spali w swoim ciasnym domu na łóżku, które kupili gdzieś na wyprzedazy i na którym już nigdy się nie kochali, ponieważ zdaniem Martina nie miałyoby to sensu, skoro nie mogli spłodzić dziecka. Duży, okrągły, czerwony budzik nastawiony był na szóstą trzydzieści. Podczas wakacji Hilary nadal musiała chodzić do szkoły, gdzie pracowała w sekretariacie, a Martin sprawdzał testy egzaminacyjne, ażeby mogli związać koniec z końcem. Rosemary już od czterech godzin była pogrążona we śnie, Gertie prawdopodobnie też, skoro jej sytuacja domowa była na tyle stabilna, że przyjaciółka zdołała stawić się na Tara Road, aby powitać gościa. Może więc i ona spała obok swojego rosłego, pijanego gburą, którego zwykła traktować niczym cenny i kruchy skarb, a osłanianie jego ekscesów stało się jej życiowym celem.

Klemens zapewne drzemał na którymś z krzesel w kuchni.

Co noc, w poczuciu krzywdy, z wielką skrupulatnością wybierał inne. Nigdy nie był wpuszczany do żadnej sypialni na pię-

trze, pomimo częstych prób wślizgnięcia się do środka oraz usilnych protestów Annie.

Czy Marilyn również spała? Może teraz leży z otwartymi oczami i myśli o niej? Ria weszła do pokoju, do którego przedtem jedynie zajrzała i instynktownie zatrzasnęła drzwi przed Carlotta. Włączyła światło. Ściany były zapełnione zdję-

ciami motocykli marki Electra Glidse i Honda. Na łóżku leżały porozrzucane chłopięce rzeczy: kurtki, dzinsy, wielkie bucio-ry... jak gdyby piętnastolatek wpadł tutaj, przekopał ciuchy w poszukiwaniu czegoś do włożenia i spiesznie wyszedł. W szafie na wieszakach wisiały inne ubrania, a na półkach piętrzyły się stosy podkoszulków, krótkich spodni i skarpet. Na biurku pod oknem leżały szkolne notatki, magazyny młodzieżowe i książki. Były także zdjęcia chłopca – przystojnego nastolatka ze sterczącymi na wszystkie strony włosami i uśmiechem, któ-

regu uroku nie umniejszał nawet aparat korekcyjny na zębach.

Na każdej fotografii znajdował się w otoczeniu przyjaciół. Na jednej grali w koszykówkę, na innej pływali, bawili się na śniegu lub mieli na sobie teatralne kostiumy, wykonane zapewne na potrzeby szkolnego przedstawienia. Dobór zdjęć był

przypadkowy.

Ria uważnie im się przyjrzała. Zostały tu pozostawione celowo. Pragnęła dowiedzieć się czegoś więcej o kobiecie, która teraz spała w jej łóżku na Tara Road. W tym domu z pewnością musiała się znajdować gdzieś jej podobizna. Dałaby ona Rii wyobrażenie o wyglądzie Marilyn Vine. Wreszcie znalazła to, czego szukała. Zdjęcie było przyklepione taśmą do wnętrza sportowej torby chłopca: zrobiono je latem, przedstawiało trzy osoby: uśmiechniętego szeroko chłopca w stroju tenisowym, obejmującego za ramiona mężczyznę o przerzedzonych nad czołem włosach i w rozpiętej pod szyją koszuli w kratę oraz jeszcze młodą kobietę. Wysoka, szczupła, w żółtym dresie, miała wyraźnie zaznaczone kości policzkowe i ostrzy-

żone na krótko, ciemne włosy, na które nasunęła przeciwsłoneczne okulary. We trójkę mogli stanowić reklamę zdrowego stylu życia.

Rosemary zostawiła wiadomość w skrzynce listowej.

Droga Marilyn!

Witaj w Dublinie. Jestem pewna, że zaraz po przebudzeniu będziesz miała ochotę ponownie zasnąć, a nie rozmawiać ze wścibskimi sąsiadkami. Pragnę Cię tylko zawiadomić, że w każdej chwili, kiedy zechcesz wpaść na drinka albo wybrać się razem ze mną na lunch do „Quentina”, gdzie może Ci się spodoba, wystarczy, że do mnie zadzwonisz.

*Nie chciałabym Ci się narzucać z zaproszeniami i propo-*432

zycjami. Wiedz jednak, że jako najbliższa, mam nadzieję, przyjaciółka Rii, pragnę Cię powitać i życzyć udanego pobytu w naszym mieście. Ria była bardzo podekscytowana perspektywą spędzenia wakacji w Twoim domu.

Pozdrawiam serdecznie.

Rosemary Ryan

Marilyn trzymała list w ręce, zanim Rosemary zdążyła wrócić biegiem do swojego samochodu, który stał zaparkowany przed bramą. Wybiła się całkiem ze snu po rozmowie z Rią o północy. Wiedziała, że nie zdoła już ponownie zasnąć pomimo nader czułego mruczenia Klemensa, który niechętnie zszedł po schodach na dół, aby nadal dotrzymywać jej towarzystwa, i usadowił się na jednym z foteli w tym pięknym, starym pokoju. Marilyn dostrzegła przez okno wysoką, niezwykle szykowną blondynkę w bardzo dobrze skrojonym kostiumie, na który zapewne mogła sobie pozwolić jedynie osoba

zajmująca wysokie stanowisko. Błyskając eleganckimi rajstopami o przydymionym odcieniu i wysokimi obcasami, wsiadła do błyszczącego auta i odjechała. Ria przedstawiła ją Marilyn w swoich notatkach jako wielką przyjaciółkę, a jednocześnie potentatkę finansową i uosobienie doskonałości, niemniej ogromnie sympatyczną kobietę.

Marilyn spodobała się treść listu. Nie zawierał nacisków i dowodził serdeczności. A jego autorką była kobieta, która już o szóstej trzydzieści wybierała się do pracy, posiadała własną firmę i wyglądała jak gwiazda filmowa. Rosemary Ryan jeź-

dziła po ulicach Dublina samochodem marki BMW. Marilyn ponownie przeczytała pozostawiony przez tamtą list. Nie miała ochoty spotykać się z tą kobietą ani prowadzić z nią rozmów.

Nieważne, jak doniosłą rolę odgrywali wszyscy ci ludzie w 433

życiu Rii; Marilyn nie miała z nimi nic wspólnego. Postanowi-

ła, że pozostawi zaproszenie bez odpowiedzi. Dopiero jeśli Rosemary odezwie się ponownie, być może wtedy spotka się z nią na moment.

Nie po to przyjechała do Irlandii, ażeby na siłę zawierać nowe znajomości.

– Śniłeś mi się, Colmie – powiedziała Orla King, kiedy wszedł do restauracji.

– Nieprawda. Chcesz się dowiedzieć, czy pozwolę ci za-

śpiewać w piątek w moim lokalu, i potrzebowałaś wymówki, ażeby przyjść i zobaczyć się ze mną. – Uśmiechnął się do niej, aby odebrać swoim słowom niemąły wydźwięk.

Dziewczyna roześmiała się dobrodusznie.

– Oczywiście, że mam ochotę śpiewać tutaj w piątek i w niedzielę, a także każdego wieczora w sierpniu podczas wystawy koni, kiedy sala będzie wypełniona gośćmi. Ale naprawdę mi się śniłeś.

– Czy jako właściciel restauracji cieszysz się dużym powodzeniem?

– Nie, siedziałeś w więzieniu skazany na dożywocie za zamordowanie swojego szwagra.

– Zawsze byłeś bardzo melodramatyczna – stwierdził

Colm z uśmiechem, ale jego oczy pozostały poważne.

– Niestety, nie mamy wpływu na nasze sny – odparła, wzruszając ramionami. – To musi coś oznaczać.

– Nie pamiętam, żebym zamordował mojego szwagra. –

Colm udawał, że usiłuje coś sobie przypomnieć. – Nie, jestem nawet pewny, że nie zrobiłem tego.

Przyszedł tutaj wczoraj wieczorem po wyścigach w towarzystwie przyjaciół.

– To typ spod ciemnej gwiazdy, nie sądzisz?

– Nie darzę go wielką sympatią, ale z pewnością go nie zamordowałem. – Prowadzenie lekkim tonem tej rozmowy 434

sprawiało Colmowi wyraźną trudność.

– Wiem, że nie. Telefonował dzisiaj do mnie, próbując mnie namówić, żebym przyszła zaśpiewać na przyjęciu wydawanym w męskim gronie. A wszyscy wiemy, co oznacza występ na męskim przyjęciu.

– A co oznacza?

– „Pokaż nam swoje cycki, Orla”.

– Co za ohyda.

– Nie wszyscy są tego zdania, kochany.

– Miałem jedynie na uwadze fakt, że tę wysoce niestosowną propozycję złożył profesjonalnej piosenkarce mężczyzna, który jest mężem mojej siostry. Źle mnie zrozumiałaś.

Jestem pewien, że każdego zachwyciłby widok twojego biustu, jednak nie w tych okolicznościach.

– Czasami przemawiasz jak adwokat.

– Może być mi bardzo potrzebny, jeśli twój sen się ziści –

zauważył słabym głosem Colm.

– Monto powiedział... a właściwie dał mi do zrozumienia...

– Orla umilkła.

– Tak?

– Napomknął, że ma problemy z twoją siostrą, z Caroline.

– Tak, a największy, jak sądzę, z pamiętaniem o tym, że jest jej mężem.

– Nie tylko z tym. Wspomniał o jakiejś mrocznej tajemnicy.

– Owa tajemnica to nieroztropny wybór. Caroline poślubiła człowieka, którego trafnie określiłaś mianem typa spod ciemnej gwiazdy. I na tym kończą się sekrety. Ale wróćmy do sprawy, chcesz wystąpić w piątek, Orla? Zgoda, zaśpiewaj kilka szlagierów. Ale twój głos ma być stonowany i nie może się wybijać na pierwszy plan. Ludzie chcą ze sobą rozmawiać, a nie tylko słuchać twoich

piosenek, rozumiałaś?

435

– Tak, szefie.

– I zaśpiewasz więcej kawałków Elli, a mniej Lloyda Webbera, zgoda?

– Nie masz racji, ale zastosuję się do twoich życzeń.

– I będziesz się trzymała z dala od Danny’ego Lyncha.

Wybiera się tutaj w piątek ze swoją nową żoną, dwójką dzieci oraz teściową.

– Ona nie jest jego żoną, tylko ciężarną kochanką. Niepotrzebnie wpadasz w taki patos, Colmie.

– Trzymaj się od nich z daleka. Jeśli tego nie zrobisz, nigdy więcej nie znajdziesz pracy ani tutaj, ani w żadnym innym lokalu.

– Obiecuję, szefie.

Colm zastanawiał się, dlaczego ostrzegł Orle. W końcu wiadomość, że związek owej zakochanej pary papu-

żek-nierozłączek bazuje na bardzo niepewnych podstawach, mogła sprawić przyjemność przebywającej w Ameryce Rii.

Interesy miały jednak pierwszeństwo, a który właściciel restauracji życzyłby sobie awantury w swoim lokalu w piątkowy wieczór?

– Zaproponowałem pani Dunne, żeby w piątek wybrała się wraz z nami na kolację – oznajmił dzieciom Danny.

– Mama obiecała zadzwonić w piątek – zaprotestował

Brian.

– Finola prosiła, żebyśmy zwracali się do niej po imieniu.

Nie życzy sobie, aby nazywać ją panią Dunne – oświadczyła jego siostra.

– Wystąpiła z tą sugestią do mnie, a nie do was.

– Do nas też.

– Mylisz się, Annie. Ona należy do innego pokolenia.

– Przecież do Rosemary też zwracamy się po imieniu.

– Rosemary jest feministką.

436

– Finola jest nią również, sama nam o tym powiedziała –

upierała się dziewczynka.

– W porządku, niech wam będzie. Myślałem o wybraniu się do „Quentina”. Okazało się jednak, że Finola chce pójść do Colma, wobec tego zmieniłem plany.

– Dobrze się stało – oświadczyła Annie. – Colm ma prawdziwe wegetariańskie jedzenie, a nie te wymyślne frykasy, które kosztują fortunę. Cena jednego wegetariańskiego posiłku u „Quentina” odpowiada miesięcznym kosztom utrzymania ubogiej rodziny.

– A co będzie, jeśli mama zadzwoni? – niepokoił się Brian.

– Włączymy automatyczną sekretarkę, a jeśli zatęsknimy za mamą, zatelefonujemy do niej po powrocie. – Danny był

pogodnie usposobiony do świata.

– A jeśli już nie może się doczekać rozmowy z nami? –

Brian miał wątpliwości.

– Może powinniśmy zmienić wiadomość i powiedzieć jej, że jesteśmy wszyscy u Colma? – zasugerowała Annie.

– Nie będziemy niczego zmieniać – oświadczył Danny ka-tegorycznym tonem.

– Ależ to takie proste, tato.

– Ludzie telefonują również do Bernadette i nie będą mieli ochoty wysłuchiwać naszych zajakliwych informacji.

– Chcemy tylko zawiadomić mamę, że nie zapomnieliśmy o naszej umówionej rozmowie telefonicznej – obstawała przy swoim córka.

– A więc uprzedźcie ją o naszym dzisiejszym wyjściu.

– Nie stać nas na telefonowanie do niej – zauważył Brian.

– Zadzwońcie do niej, skoro wam na to pozwalam. Tylko rozmawiajcie krótko, zgoda?

– A co będzie z zastawem hipotecznym i wszystkimi innymi długami? – spytał chłopiec.

437

– Co masz na myśli? – zaniepokoił się ojciec. Annie po-

śpiesznie załagodziła słowa brata:

– Często powtarzasz, że wszystko drogo kosztuje i może będziemy zmuszeni ponownie zaciągnąć zastaw hipoteczny.

Brian jednak nie zdaje sobie sprawy z tego, jak tanie jest trzy-dziesiętosekundowe połączenie.

– Nigdy nie wspominałem o...

– Tato, czeka nas miły wieczór u Colma. Finola będzie zachwycona naszą wspólną kolacją, podobnie jak i my wszyscy. Nie martw się więc o Briana, którego umysł jeszcze nie funkcjonuje, o czym od dawna usiłowałam cię przekonać.

– Wspaniała z ciebie dziewczyna, księżniczko – stwierdził

ojciec. – Kiedy rozglądam się po Dublinie, widzę wielu uśmiechniętych mężczyzn, którzy pewnego dnia zabiorą mi ciebie.

– Daj spokój, tato, kogo chcesz oszukać? Tam, gdzie bywasz, nie spotykasz chłopaków w moim wieku.

– To prawda, ale przecież nie zamierzasz uciec ode mnie z małolatem, prawda, księżniczko?

– Ty związałeś się ze swoją rówieśniczką. Zapadło milczenie, które po chwili przerwał Brian:

– A z kim ja się ożenię, tato?

– Z dziewczyną, która będzie pozbawiona zmysłów, a już w szczególności zmysłu węchu – odparła jego siostra.

– To nie w porządku, prawda, tato? – obruszył się chłopiec.

– Prawda, synku. Annie tylko żartuje. W stosownym czasie poślubisz jakąś wspaniałą kobietę.

– Może jakąś zapaśniczkę? – zasugerowała dziewczynka.

Brian zlekceważył uwagę siostry.

– Skąd można mieć pewność, że wybranka jest odpowiednia?

438

– Będziesz o tym wiedział – starał się rozwiać niepokoje syna Danny.

– Ty się pomyliłeś, tato. Sądziłeś, że mama jest tą właściwą kobietą, i okazało się, że byłeś w błędzie.

– Wtedy była tą właściwą, Brianie.

– A jak długo trwa właściwy okres, tato? – dopytywał się Brian.

– Wygląda na to, że około piętnastu lat – stwierdziła Annie.

– Chodźcie na kolację! – zawołała Bernadette z kuchni. –

Kupiłam smaczną rybę i frytki!

Marilyn wyniosła przed dom krzesło oraz filiżankę z kawą i usiadła w słońcu przed frontowymi schodami, aby się przyjrzeć ogrodowi.

Wymagał wielu zabiegów. Wielka szkoda, że w przeciwieństwie do domu nie został otoczony miłością i troską. Ktoś zasadził tu kiedyś bardzo rzadkie gatunki roślin. Najwidoczniej któryś z poprzednich użytkowników znał się na ogrodnictwie i sądząc po doborze kolorystyki kwiatów, pragnął nadać temu miejscu niepowtarzalny charakter – jednak krzewy, na skutek braku odpowiednich zabiegów pielęgnacyjnych, zdziczały i były nie do uratowania. A zaniedbana i sękata palma zginęła wśród krzaków, które niemal całkiem ją zagłuszyły.

Za bramą dostrzegła kobietę w wieku około sześćdziesię-

ciu lat, która z zaciekawieniem zaglądała do środka. Towarzyszył jej brzydki pies o bardzo nieproporcjonalnych kształtach.

– Dzień dobry – powiedziała uprzejmie Marilyn.

– Och, witam. Przypuszczam, że to pani jest gościem z Ameryki.

– Tak, nazywam się Marilyn Vine. Czy mieszka pani w sąsiedztwie?

439

– Jestem Nora, matka Rii, a to Kleszcz.

– Bardzo mi miło.

– Ria zabroniła nam składania niezapowiedzianych wizyt.

Mówiąc to, Nora wchodziła stopień po stopniu na schody prowadzące do domu, ale miała bardzo niepewną minę. Kleszcz wydał z siebie donośny i niemiły dla ucha skowyt, jak gdyby w przeczuciu wymiany dalszych wymuszonych uprzejmości.

Marilyn przypomniwała sobie tę kobietę ze zdjęcia i wiedziała, że Nora mieszka nieopodal.

– Pozwoli pani, że coś jej wyjaśnię na początek: Ria nie dorastała w tego typu domu, pośród antyków.

Marilyn wyraźnie usłyszała urazę w głosie przybyłej.

– Naprawdę, pani Johnson?

Nora spojrzała na zegarek i z cichym okrzykiem stwierdziła, że jest już spóźniona na umówione spotkanie u Świętej Rity.

– Musi się pani tam wybrać razem ze mną któregoś dnia.

To dom starców i pani odwiedziny byłyby dla pensjonariuszy wspaniałym wydarzeniem – zapewniła.

– Z jakiego powodu? – zdziwiła się Marilyn.

– No cóż, starzy ludzie lubią wszelkie nieoczekiwane rzeczy, które urozmaicają ich szarą codzienność. Czasami przy-prowadzam tam wnuki, a kiedyś ściągnęłam nawet żonglera, na którego natknęłam się na Grafton Street. Staruszkowie lubią Kleszcza, ponieważ też wprowadza pewną odmianę w ich życie. Jestem pewna, że wizyta Amerykanki sprawiłaby im ogromną radość.

– Dziękuję za zaproszenie. Może skorzystam z niego któregoś dnia.

– Czy lady Ryan zdążyła już się pokazać?

– Słucham?

– Pytałam o przyjaciółkę Rii, o Rosemary.

440

– Nie, ale zostawiła dla mnie list. Wszyscy są dla mnie niezwykle uprzejmi.

– Są pani ciekawi, Marilyn, to zrozumiałe.

I pani Johnson odeszła. Ale choć przedtem mówiła, że żadna jest każdego szczegółu o Marilyn Vine, ani jej o nic nie zapytała, ani nie dowiedziała się o niej niczego.

Po odejściu Nory Marilyn weszła do kuchni i ponownie wzięła do ręki etui ze zdjęciami, które przysłała jej Ria. Musi się dowiedzieć, kim są ci wszyscy ludzie, skoro w dalszym ciągu mieli się tutaj niespodziewanie zjawiać. Kiedy przyszła Gertie i niezdecydowana stanęła w drzwiach, Marilyn od razu ją rozpoznała.

– Nie kłopotz się pieniędzmi – zaczęła tamta. – Ria na pewno powiedziała ci, że kilka dodatkowych funtów tygodniowo bardzo mi się przyda, uważam jednak, że nie powinnaś uszczuplać swoich

zasobów finansowych przeznaczonych na urlop...

– Wszystko w porządku. Będę rada, mając pewność, że ten piękny dom nadal jest utrzymywany tak jak dotychczas.

Gertie rozejrzała się wokół siebie.

– Przecież masz nienaganny porządek. Nie widzę ani jednej rzeczy, która znajdowałaby się nie na swoim miejscu. Branie pieniędzy za sprzątanie tutaj byłoby jednoznaczne z wy-ciąganiem ręki po jałmużnę.

– Ja mam na to inny pogląd.

– Nie jestem pewna, czy Ria opowiadała... – zaczęła Gertie.

– Oczywiście. Jesteś tak miła, że zechcesz przychodzić dwa razy w tygodniu, aby pomóc mi w utrzymaniu tego domu w dobrym stanie.

– Odpowiada ci to?

Kobieta miała duże, ciemne sińce pod oczami. Stosunki 441

między nią a Rią cechował pewien rodzaj zależności. Marilyn wiedziała, że Gertie jest zarówno przyjaciółką pani domu, jak i jej pracownicą, ale to nie była jej sprawa.

– Czy życzysz sobie, żebym podała ci kawę? – spytała Gertie.

– Nie, dziękuję.

– Wolisz, żebym od razu zabrała się do sprzątania?

– Dobrze znasz ten dom. Rób to, co uważasz za niezbędne.

– Zwykle zaczynam od wycierania kurzu i froterowania podłogi w pokoju od frontu.

– Oczywiście.

– Czy chcesz, żebym ci w czymś pomogła? Na przykład w prasowaniu?

– Będę ci bardzo wdzięczna. Nie znoszę prasowania. Wychodzę teraz, więc chciałabym się pożegnać. Do zobaczenia następnym razem.

– Do zobaczenia. Jesteś tutaj bardzo mile przez wszystkich widziana, Marilyn.

– Dziękuję. – Marilyn zabrała klucze i ruszyła przed siebie ulicą Tara Road. O Boże! Zanosilo się na to, że dom wiecznie będzie pełen ludzi. Nie takiego wypoczynku szukała.

Gertie doszła do wniosku, że jak na osobę, która nie znosi prasowania, wszystkie ubrania gościa są

wyjatkowo starannie poukładane w szafie i nawet Marilyn zdążyła po przyjeździe skorzystać z żelazka Rii; postanowiła jednak nie spierać się o to. Amerykanka miała w sobie coś, co do niej przemawiało.

Nie dopytywała się, dlaczego Gertie, która prowadzi własną pralnię, potrzebuje kilku dodatkowych funtów tygodniowo, ani nie kwapiła się z opowiadaniem o własnej sytuacji rodzinnej. Gertie zetknęła się w życiu ze zbyt wieloma wścibskimi osobami, które lubiły jej oferować własne recepty na życie. Nic 442

zatem dziwnego, że niechęć Marilyn do angażowania się w cudze sprawy wydała się Gertie wyjątkowo zachęcająca.

– Co ona gada? – spytał Brian.

– Włączyła się automatyczna sekretarka. Ta kobieta mówi, że nikogo nie ma w domu i proponuje, aby zostawić wiadomość obecnym użytkownikom – wyjaśniła mu siostra.

– Przecież, z wyjątkiem naszej mamy, nie ma tam żadnych innych użytkowników.

– Bądź cicho, Brianie. Dzień dobry, mamó, tu Annie i Brian. Chcieliśmy cię tylko zawiadomić, że w piątkowy wieczór wybieramy się z tatą na wspaniałą kolację do Colma, mo-

żemy więc nie wrócić do domu przed jedenastą. Nie chcieli-

śmy, żebyś telefonowała do nas na próżno. To tyle, mamó. U

Briana też wszystko w porządku.

– Pozwól, że sam jej o tym powiem! – wrzasnął brat.

– Nie będziesz marnował czasu. Mama dobrze o tym wie.

Chłopiec wyrwał siostrze słuchawkę.

– U mnie wszystko w porządku. Nadal chodzę na lekcje pływania. Finola twierdzi, że zdaniem trenera robię wielkie postępy. Och, a skoro już mowa o Finoli, ona również wybiera się razem z nami na kolację.

Annie odebrała mu słuchawkę i odłożyła ją na widełki.

– Czy musiałeś wspominać o Finoli? Nie ma większego głuptasa od ciebie na całym świecie! – wrzasnęła, mierząc brata pałającym wściekłością wzrokiem.

– Przepraszam. – Chłopiec był przygnębiony. – Nie zastanowiłem się nad tym, co mówię. Byłem zbyt podekscytowany, że nagrywam dla mamy wiadomość.

Miał tak żalostną minę, że nawet twarde serce Annie Lynch nieco zmiękło.

– Przypuszczam, że świat się nie zawali – burknęła. – I mama nie weźmie ci tego za złe.

443

Ria wróciła z basenu w jednym z frotowych szlafroków kąpielowych Marilyn. Na początku tylko się rozkoszowała pluskaniem w chłodnej wodzie w otoczeniu pięknych kwiatów i cudownie utrzymanego ogrodu, potem jednak zabrała się do lektury książek Dale'a na temat sportu, które leżały starannie ułożone w jego pokoju. Wśród nich znajdował się dziennik pływacki. Chłopiec rejestrował każdego dnia, ile długości basenów pokonał on sam oraz jego koledzy. Wśród notatek Ria natknęła się na wzmiankę: „Mama postanowiła nie zachowywać się jak delfin i zostać prawdziwą pływaczką. Jednorazowo pokonuje cztery długości basenu. Nie jest to na razie imponujący wynik, ale zamierza go poprawić”.

W momencie, kiedy Dale zaprzestał swoich zapisków, Marilyn Vine przepływała jednorazowo trzydzieści basenów!

Ria czuła, że również dla niej pozostawiono tu wskazówkę: kiedy przyjadą dzieci, nie powinna zachowywać się jak delfin, lecz być wytrwałą, a nawet zdolną do współzawodnictwa pływaczką. Pokonała dzisiaj dystans odpowiadający sześciu długościom basenu i była skrajnie wyczerpana. Pilnie potrzebowała filiżanki herbaty i odpoczynku.

Dostrzegła migające czerwone światełko w telefonie i po-

śpiesznie cofnęła taśmę, ażeby odebrać wiadomość. Usiadła przy śniadaniowym blacie i słuchała swoich dzieci, które mó-

wiły do niej z odległości tysięcy mil. Po twarzy spływały jej łzy. Co ona tutaj właściwie robi? Dlaczego zamęcza się głupimi ćwiczeniami na basenie zamiast być razem z nimi w domu?

Dlaczego je zostawiła, pozwalając, by zaprzyjaźniły się z matką Bernadette? I jak Danny mógł być aż tak okrutny i nieczuły, żeby zabierać syna i córkę do restauracji, gdzie rozegrała się tamta małżeńska scena i gdzie Ria dowiedziała się o istnieniu jego kochanki? Czy Colm im także okaże życzliwość i postawi, jak ma w zwyczaju, darmowego drinka?

444

Ta sama, co zwykle, rodzina Lynchów, jedynie z kilkoma drobnymi zmianami. Takimi na przykład jak żony. Jedna odstawiona na boczny tor, a na jej miejsce wprowadzona inna. A także nowa teściowa. Nora Johnson nie będzie uczestniczyć w kolacji, tylko pani Dunne w swoich błyszczących pantoflach koloru miedzi na nogach oraz w szykownym kostiumie. Ria co chwilę odtwarzała wiadomość, choć było to niczym dotykaniem bolącego zęba. Nie zdołała się nawet uśmieć ze sprzeczki, do jakiej doszło pomiędzy rodzeństwem. Wiedziała, że zaraz po odłożeniu słuchawki Annie udzieli bratu reprimendy i zarzuci mu brak taktu. Być może jeszcze w tej chwili trwała pomiędzy nimi straszliwa awantura. Jak Bernadette zareaguje na tę burzliwą wymianę zdań? Czy każe im zamilknąć, czy też będzie udawać, że niczego nie zauważyła?

Rii nie obchodziła jej reakcja. Jakakolwiek by była, musiała zostać źle przyjęta przez dzieci. A może tamta kobieta, którą jej dzieci z jakiegoś powodu nazywały Finolą, matka Bernadette, ma zbyt duży wpływ na Annie i Briana? Wybierała się przecież, na miłość boską, razem z nimi na kolację! Ta wiadomość najbardziej ją zabolala.

Miara się przepelniła; Ria oparła głowę o blat i rozplakała się załośnie. Nie spostrzegła mężczyzny, który podszedł do oszklonych drzwi i na widok zgiętej w pół i pogrążonej w bez-granicznym smutku kobiety, zawahał się i nie zdecydował za-pukać. Nie słyszał łkań ani zdławionych słów. Podniósł z ziemi płócienną torbę i cicho się wycofał. Pora nie była odpowiednia na składanie wizyty ani wyjaśnienia, że jest bratem Grega Vi-ne'a, bawi przejazdem w tym mieście i wpadł zobaczyć się z Marilyn. Wrócił do swojego wypożyczonego samochodu i odjechał do motelu. Od czasu wypadku w tym domu panowała rozpacz i każde odwiedziny kosztowały go niemało wysiłku. A teraz natknął się jeszcze na obcą zapłakaną kobietę w szlafro-445

ku, której widok rozdzierał mu serce. Nigdy nie widział, żeby ktoś tak rzewnie płakał. Obiecał bratu, że jeśli będzie przejeź-

dzał przez wschodnie rejony kraju, zajrzy do Marilyn. I sądził

błędnie, że lepiej zrobi, jeśli zjawi się bez uprzedzenia, w przeciwnym razie szwagierka z pewnością znalazłaby jakąś wy-mówkę, żeby się z nim nie spotkać.

Wziął prysznic, wypił zimne piwo i zadzwonił do domu swojego brata. Usłyszał informację, że nie zastał Marilyn ani Grega, ale może zostawić wiadomość dla obecnych mieszkań-

ców. Pod wpływem nagłego impulsu odezwał się więc:

– Mówi Andy Vine, brat Grega. Jestem przejazdem w Westville. Zatrzymałem się w ... przepraszam... – Zaczął szperać w poszukiwaniu nazwy motelu oraz numeru telefonu. – Wiem, że Greg przebywa na Hawajach. Czy nie zechciałaby pani powiadomić mnie, gdzie się obecnie podziewa Marilyn? Byłbym bardzo zobowiązany. Dziękuję z góry.

Ria wysłuchiwała wiadomości, nie podniosła jednak słuchawki. Marilyn nie wspominała o żadnym szwagrze. Być może utrzymywali ze sobą dość luźne stosunki. Jeśli ów męż-

czynna rzeczywiście był bratem pana domu, z pewnością musiał wiedzieć, że bratowa przebywa w Dublinie. I skoro spodziewał się zastać ją w domu, to dlaczego po prostu nie wpadł

z wizytą? A może jest po prostu śmieszna ze swą podejrzliwo-

ścią i telefonowanie do Marilyn do Irlandii, dla potwierdzenia tożsamości brata Grega, zostałyby uznane za zwykłą dziecina-dę? Oraz wścibianie nosa w cudze sprawy, a tego Marilyn, o czym Ria zdążyła się już przekonać, z pewnością by sobie nie życzyła. Zasięganie informacji u Carlotty albo u Heidi na temat szwagra Marilyn nie miało sensu, ponieważ obie kobiety niewiele wiedziały o sprawach przyjaciółki. Ria postanowiła więc skontaktować się z Gregiem na Hawajach.

Bez trudu uzyskała z nim połączenie. Wydawał się młod-446

szy, sądząc po głosie i znacznie bardziej swobodny, niż można to było wywnioskować ze zdjęcia.

– Tak, oczywiście, wiem, kim pani jest – odrzekł, kiedy podała mu swoje nazwisko.

– Przede wszystkim pragnę pana zapewnić, że nic się złego nie dzieje. Wszystko tutaj jest w jak najlepszym porządku –

oznajmiła.

– Co za ulga. Sądziłem już, że zamierza mnie pani zawiadomić o jakimś kataklizmie hydraulicznym.

– Nie, wszystko działa bez zarzutu. Ponieważ jednak mieszka – m w pańskim domu... postanowiłam przedstawić się panu... ale nie chciałabym obciążać pańskiego rachunku.

– To bardzo uprzejmie z pani strony. Mam nadzieję, że niczego pani nie brakuje. – Ton jego wypowiedzi był uprzejmy, lecz chłodny.

Ria powiadomiła go o wiadomości telefonicznej przekazanej z motelu. Greg zapewnił ją, że rzeczywiście ma brata, który jest powszechnie szanowanym człowiekiem i pracuje w Los Angeles, a od czasu do czasu bywa służbowo w Bostonie oraz Nowym Jorku.

– W porządku, w takim razie odpowiem na telefon. Postanowiłam sprawdzić jego informację, ponieważ nie miał pojęcia o planach Marilyn.

– Bardzo doceniam pani przezorność. Moja żona zwykła, nazwijmy to, trzymać wszystkich na dystans, i nikomu nie opowiada o swoich zamiarach. – W głosie mężczyzny zabrzmiała gorycz.

Ria postanowiła nie zważać na jego ton.

– Wobec tego zapewne ucieszy pana wiadomość, że bezpiecznie dotarła na miejsce i rozłokowała się w moim domu, podobnie jak ja na Tudor Drive. Dobrze byłoby, gdyby pan również mógł pojechać do Dublina.

447

– Och, nie sądzę, żeby jej plany uwzględniały moją wizytę.

– Głos Grega znowu miał lodowate brzmienie.

– Kiedy spytałam, czy odwiedzi ją pan w Irlandii, odpowiedziała, że nie wie.

– Naprawdę? A czy pani mąż zamierza przyjechać do Westville?

Ria głęboko zaczerpnęła powietrza. Wyglądało na to, że Marilyn rzeczywiście dość powściągliwie udzielała wszelkich wyjaśnień.

– Nie. Danny jest obecnie moim byłym mężem. Zamieszkał ze znacznie młodszą od siebie kobietą o imieniu Bernadette. Zresztą to główny powód, dla którego znalazłam się tutaj.

Za miesiąc jednakże spodziewam się przyjazdu mojego syna i córki. Czy Marilyn nawet o tym pana nie powiadomiła?

Umilkł, a po chwili powiedział:

– Tak, wspominała mi co nieco. Bardzo panią przepraszam za moje zachowanie, było niczym nieusprawiedliwione. Proszę jednak spróbować mnie zrozumieć: odmowa przyjazdu Marilyn na Hawaje ogromnie mnie zaskoczyła i wciąż nie mogę się pogodzić z tym faktem.

– Proszę się mną nie przejmować. Z mojego punktu widzenia wszystko jest w absolutnym porządku. Sądzę, że Marilyn potrzebowała czegoś innego.

– Najwidoczniej.

– A pański syn?

– Słucham?

– Czy podoba mu się na Hawajach?

– Słucham?

– Przypuszczam, że tego rodzaju miejsce powinno się spodobać wszystkim młodym ludziom. – Ria czuła, że się rumieni, choć nie miała pojęcia dlaczego.

– Och, tak. Z pewnością.

448

– Przypuszczam, że tęskni za matką.

– Przepraszam?

– Oni nigdy nie chcą tego okazać, lecz robią to w sposób, którego nawet sami nie potrafią określić. – Wiedziała, że staje się zbyt wylewna. – Mam na myśli chłopców... – dodała nerwowo.

– No tak. – Greg wyraźnie palił się do jak najszybszego zakończenia tej rozmowy.

– Nie będę dłużej trzymać pana przy telefonie – powiedziała Ria. – Ostatnio nie wiem dokładnie, co się dzieje w życiu innych ludzi, ale jeszcze raz zapewniam pana, że w domu wszystko w idealnym porządku. Mam nadzieję, że wiadomość ta nieco pana uspokoi.

– Oczywiście. A czy pobyt u nas dobrze pani zrobił?

– Do tej pory całkowicie spełnił moje oczekiwania – odrzekła zgodnie z prawdą. – Przed chwilą jednak moje dzieci nagrały dla mnie wiadomość.

– Tęsknią za panią? Czy w tym tkwi problem?

– Nie. Problem tkwi w tym, że nawet nie zauważają mojej nieobecności.

– Marilyn? Mówi Rosemary Ryan.

– Och, tak, dziękuję za wiadomość. Rosemary niezwłocznie przystąpiła do tematu:

– Chciałabym zaprosić w piątek ciebie i Gertie na kolację do restauracji Colma, co o tym sądzisz? Tego wieczora specjalnością jego kuchni będą owoce morza i sądzę, że spodoba ci się to miejsce.

– Nie chciałabym sprawiać kłopotu.

– To tylko zwykły babski wieczór. Wiesz, że Gertie towarzysko się nie udziela. Proszę cię, zgódź się, moja droga.

– Dziękuję, Rosemary. Z największą przyjemnością wy-449

biorę się tam razem z wami – ustąpiła Marilyn Vine.

Ria zatelefonowała do motelu, do Andy’ego Vine’a.

Przedstawiła się i opowiedziała, dokąd wyjechała jego bratowa.

– Obie potrzebowałyśmy czasu na dłuższe przemyślenia i uznałyśmy wymianę domów za dobry pomysł.

Wydawał się w pełni usatysfakcjonowany jej wyjaśnieniami.

– Czy w normalnej sytuacji, gdyby Marilyn była w domu, zatrzymałbyś się przy Tudor Drive?

– Myślę, że tak.

– Zatem, skoro liczyłeś na nocleg w domu brata, nie ma potrzeby, żebyś wykosztowywał się na motel, prawda? – Ria za wszelką cenę starała się postąpić właściwie.

– Nie, Mario, nie myśl o tym w ten sposób. Obecnie ten dom należy do ciebie, jak twój w Irlandii do Marilyn.

– Przykro mi, przez wzgląd na ciebie. Jak długo zamierzasz zabawić w Westville?

– Sądziłem, że spędzę tutaj dwie noce: dzisiejszą i sobotnią... Dopiero w niedzielę zamierzałem wyjechać do Bostonu...

gdybym zastał w domu Marilyn. Konferencja rozpoczyna się w poniedziałek rano.

– Przykro mi, że nie powiadomiła cię o swoim wyjeździe.

Przygotowania do podróży odbywały się jednak w wielkim pośpiechu – usprawiedliwiała się Ria.

To nie mogła być ta sama kobieta, która płakała, dając upust swej bezgranicznej rozpacz.

– Zamierzałem zaprosić Marilyn do niedawno otwartej tajlandzkiej restauracji.

– Może następnym razem.

– Lubisz dalekowschodnią kuchnię, Mario?

450

Ria zamilkła z wrażenia. Była to ostatnia rzecz, jakiej się spodziewała w Ameryce: zaproszenie na kolację od mężczyzny, którego nawet nie widziała na oczy – i to w niespełna tydzień po przyjeździe! Ale był piątkowy wieczór, a jej dzieci w Irlandii wybierały się do restauracji Colma w gronie obcych osób.

– Bardzo dziękuję, Andy, z największą przyjemnością przyjmuję zaproszenie – odpowiedziała.

– Monto chce tu przyprowadzić dzisiejszego wieczora swoją bandę – oznajmił siostrze Colm.

– I co mu powiedziałaś? – Caroline w jednej chwili ogarnął

niepokój.

– Oświadczyłem, że wszystkie miejsca są zarezerwowane.

– Och, nie!

– Poradził mi, żebym zamienił słowo z tobą. Zapowiedział, że zatelefonuje później, aby sprawdzić, czy przypadkiem nie zwolnił się jakiś sześćoosobowy stół.

– Przyjmij go, Colmie.

– Dlaczego? Denerwuje cię jego obecność. I nie musimy zarabiać na tych sześciu chłopcach, którzy jak zwykle zamówią mocno wysmażone befsztyki oraz kilka kolejek podwójnego dzinu.

– Proszę, zgódź się, dobrze?

– Ogarnia mnie przerażenie, gdy widzę, jak bardzo się go boisz. – Spojrzał w jej duże, smutne oczy z wyrazem ogromnego współczucia i dostrzegł zbierające się w ich kącikach łzy.

– Pomimo to wysłucham twojej prośby. Który stół będzie najmniej widoczny, jak sądzisz?

Uśmiechnęła się blado.

– Czy sądzisz, że zachowywałabym się w stosunku do niego w taki sposób, gdyby było inne rozwiązanie?

– Dobrze wiesz, że jest.

451

– Daj spokój, rozmawialiśmy o tym tysiące razy.

– Przykro mi, kochanie. – Objął siostrę, a Caroline położyła mu głowę na ramieniu.

– Nie powinno być ci przykro. Zrobiłeś dla mnie wszystko, co było możliwe: uratowałeś mi życie.

Wciąż trzymając siostrę w objęciach, poklepał ją po plecach. W tej samej chwili dobiegł go z tyłu wesoły głos Orli King:

– Witajcie wszyscy. Pomyślałam, że wpadnę przed umó-

wioną godziną, ażeby przedstawić mój repertuar. Widzę jednak, że przyszedłam nie w porę.

Matka Bernadette postanowiła, że nauczy Briana grać w szachy.

– Czy to bardzo skomplikowane? – spytał podejrzliwie chłopiec.

– Nie, zrozumienie zasad jest stosunkowo proste. Najtrudniej jest zostać dobrym graczem. W ciągu pół godziny przy-swoisz sobie reguły tej gry i zapamiętasz je na całe życie.

– W porządku – zgodził się Brian.

– Czy ty też chcesz zgłębić tajniki szachów, Annie?

– Dziękuję, Finolo, ale jeśli nie masz nic przeciwko temu, wolałabym się tym nie zajmować.

– Jak sobie życzysz.

Pani Dunne przewidziała tę odmowę. Nastolatce nie mogła się spodobać perspektywa jakiegokolwiek zajęcia wspólnego z młodszym bratem, a poza tym czułaby się nielojalna wobec matki. Bernadette miała rację: Annie rzeczywiście była skomplikowanym dzieckiem, a niespełna piętnaście lat Finola uwa-

żała za najgorszy na świecie wiek dla dziewczyny.

Danny i Bernadette wraz z Barneyem McCarthym uczest-

niczyli w spotkaniu z potencjalnymi inwestorami nowego projektu budowlanego. Nie przebiegało ono zbyt pomyślnie. Biznesmeni zadawali dociekliwe pytania o wcześniejsze spłaty kredytów i

chcieli znać zbyt wiele szczegółów dotyczących dokumentacji budowlanej. Bernadette milczała i z szacunkiem przenosiła zaciekawione, lecz pozbawione zrozumienia spojrzenie na poszczególnych uczestników dyskusji. Ria dodałaby rozmowie nieco lekkości i być może za sprawą żony owa prowadząca donikąd wymiana zdań na temat hipotetycznego przedsięwzięcia stałaby się mniej nerwowa.

Kiedy wstali z miejsc i zamierzali się rozejść, Danny był już bardzo zmęczony.

– Może pójdziemy razem do „Quentina”? – zaproponował Barney.

– Dziękuję, ale wybieramy się na planowaną od dawna rodzinną kolację.

– Trudno. Pomyślałem, że odprężylibyśmy się nieco, gdybyśmy wpadli na Tara Road na drinka, wzięli prysznic, a potem we dwóch wybrali się dokądś, aby w spokoju rozwiązać finansowe problemy tego świata.

– Owszem, to byłoby niezłe.

Nagle spojrzeli po sobie spłoszeni. Obaj zapomnieli o tym, że Danny nie mieszka już w domu przy Tara Road.

Być może właśnie ów fakt skłonił Danny’ego do powrotu przez swoją dawną ulicę. Musiał nadłożyć niewiele drogi, aby przejechać po dobrze znanej okolicy. Kiedy spojrzał w stronę budynku, który kiedyś był jego domem, dostrzegł wysoką i szczupłą kobietę o sylwetce sportsmenki. Miała na sobie ciemne dzinsy oraz białą koszulę i była dość atrakcyjna. Wykopywała zapamiętałe zdziczałe krzewy w ogrodzie od strony ulicy. Na wyasfaltowanym podjeździe przed domem leżała rozłożona olbrzymia plastikowa płachta, na którą kobieta od-453

kładała wszystkie wykarczowane rośliny.

– Co ona, do diabła, sobie wyobraża? – zachnął się Danny i gwałtownie zwolnił.

– Nie zatrzymuj się, Danny. – Głos Bernadette był opanowany, lecz stanowczy.

– Muszę! Ona zamierza kompletnie zniszczyć mój ogród.

– Odjedź kawałek dalej, żeby cię nie zobaczyła.

– A niech mnie zobaczy! Przysięgam na Boga, że nie puszcę jej tego płazem!

Pojechał jednak dalej i zahamował dopiero przed domem Rosemary.

– Nie idź tam, gdy jesteś wzburzony.

– Ależ ona jest gotowa powycinać wszystkie drzewa! –

zaprotestował Danny.

– Jeśli ją zdenerwujesz, może niezwłocznie wrócić do Ameryki.

– To dobrze! Niech sobie wraca!

– Wtedy twoje dzieci nie będą miały dokąd pojechać na wakacje – zauważyła Bernadette.

– W przyszłym tygodniu wybierają się razem z nami nad Shannon, czy to nie wystarczy? – Usłuchał jednak rady i wrócił

do domu.

– Pozwolicie, że na cześć naszego amerykańskiego gościa postawię wam martini? – zaproponował Colm.

Wspólna kolacja okazała się dobrym pomysłem.

Marilyn zrelacjonowała towarzyszącym jej paniom przebieg radosnego dnia, jaki spędziła w ogrodzie – czuła się najszczęśliwsza, kiedy miała ręce po łokcie upaprane ziemią. I jeśli któraś z tamtych pomyślała, że Amerykanka powinna przedyskutować z Rią pomysł wykarczowania krzaków, nim przystąpiła do realizacji owego przedsięwzięcia, nie wspomniała o tym ani słowem. Poza tym bardzo możliwe, że Mari-454

lyn zapytała Rię o zgodę. Gertie opowiedziała swoim towarzyszkom o pewnym mężczyźnie, który co sobota przychodził

do pralni z całym workiem damskiej czarnej bielizny. I nie przejmując się ludźmi, na oczach wszystkich starannie składał

wyprane rzeczy i ze spokojem pakował je do dużej torby.

Chciałaby móc się podzielić z Jackiem wszystkimi tego rodzaju drobnymi, codziennymi zdarzeniami, niestety, nigdy nie wiedziała, jak zareaguje mąż. Mógłby wpaść do pralni i zwy-myślać tamtego klienta od zboczeńców. I jeśli nawet Marilyn i Rosemary uznały, że życie kobiety, która nie może opowiedzieć swojemu mężowi żadnych zabawnych historyjek z pracy, jest godne pożalowania, żadna z nich nie dała tego po sobie poznać.

A kiedy atrakcyjna blondynka zaczęła śpiewać piosenkę, zatytułowaną: „Ktoś nade mną czuwa”, Gertie i Rosemary poinformowały Marilyn, że wokalistka była kiedyś najbardziej nieznośną dziewczyną w Dublinie i w czasach młodości słynę-

ła z wywoływania wyjątkowo spektakularnych scen.

– Ale jest dobra w tym, co teraz robi – stwierdziła Marilyn, starając się zachować obiektywizm i z

uwagą przyglądała się kobiecie, która grała i śpiewała w taki sposób, jak gdyby każde słowo miało dla niej ogromne znaczenie.

– W jej przypadku współczynnik ryzyka wydaje się trochę za wysoki. Zawsze powtarzam to Colmowi, ale czy on kiedy chce mnie posłuchać? – Ton Rosemary sugerował, że wszyscy inni kierują się jej radami i dobrze na tym wychodzą.

– Może po prostu chciał jej dać jeszcze jedną szansę –

snuła domysły Gertie. – Colm jest znany z tego, że lubi pomagać ludziom przegranym.

– Ona nie wygląda mi na przegraną – wyraziła swoją opinię Marilyn.

W tym momencie do restauracji wszedł Danny Lynch wraz 455

ze swym towarzystwem. Wskazano mu stolik po drugiej stronie sali. Marilyn natychmiast rozpoznała mężczyznę ze zdjęć na ścianach oraz fotografii, jakie otrzymała od swej zmienniczki.

– Czy to mąż Rii? – spytała bez ogródek i obie kobiety ponuro skinęły głowami.

Do owego momentu ani słowem żadna z nich nie wspomniała o przyjaciółce. Teraz jednak, w tym oto miejscu, cała jej osobista tragedia stała się widoczna jak na dłoni i dalsze unikanie tematu było już niemożliwe. Niezwykle czarująca i bardzo zadbana kobieta w czarnym żakiecie wyszywanym cekinami wskazywała miejsce przy stole pozostałym i grała pierwszoplanową rolę w grupie Danny'ego.

– Nie wygląda na dwudziestodwulatkę; mogłaby raczej uchodzić za moją rówieśnicę – szepnęła Marilyn.

– Zdziwisz się, Marilyn, ale to matka tej dwudziestodwu-latki – odpowiedziała szeptem Rosemary.

– Matka! – Amerykanka nie posiadała się ze zdumienia.

Po chwili spostrzegła obok dwójki ożywionych dzieci, o znanych ze zdjęć twarzach, mizerną młodą dziewczyną w luź-

nym niebieskim swetrze i spódnicy: bladego podlotka o długich, prostych włosach, który wyglądał na niewiele starszą siostrę Annie. Marilyn poczuła niemal fizyczny ból na myśl o tym, że Ria Lynch musiała znosić takie upokorzenie. Danny Lynch nadal był owym nadpobudliwym chłopcem, z którym Marilyn miała okazję się zetknąć przed wieloma laty. I którego żona wciąż darzyła głębokim uczuciem. Czy jakakolwiek kobieta potrafiłaby znieść cierpienie spowodowane odejściem mężczyzny do tej dziwnej, nieukształtowanej jeszcze młodej dziewczyny? Nic dziwnego, że biedna Ria postanowiła pokonać trzy tysiące mil, byleby stąd uciec.

Orla zaczęła śpiewać szlagier: „Mężczyzna, którego ko-456

cham”. Colm zmarszczył brwi. Jego twarz stała się jeszcze bardziej nachmurzona, kiedy rozbrzmiały

słowa następnej piosenki: „Śpiewają miłosną pieśń, lecz nie dla mnie”.

– Spokojnie, Orlo – powiedział, kiedy ją mijał, niosąc steki do stolika szwagra.

– Prawdziwy Gershwin, szefie, zgodnie z życzeniem. A może zaśpiewam: „Świetna robota, jeśli zdołasz ją zdobyć”.

Przy tej piosence powinno zabić mocniej kilka serc, nie są-

dzisz?

– Pomimo niezłego głosu nie masz przed sobą wielkiej kariery. A skoro o karierze mowa, jeśli będziesz nadal wybierać tego rodzaju repertuar, zapomnij o występach w przyszłym miesiącu podczas wystawy koni.

– Bądź wobec mnie uczciwy, Colmie, sam powiedziałaś: Cole Porter i Gershwin. Utwór George’a już wykonałam i wszystkim bardzo się podobał. Teraz kolej na Cole’a: „Wyrzucę cię stąd”, „Zalazłeś mi za skórę” oraz „Ta dama jest dziwką”. Nic na to nie poradzę, jeśli tytuły te mogą zostać odebrane jako insynuacje. Ja nie pisałam tych piosenek. Śpiewam je na twoje życzenie.

– Nie bądź idiotką, Orlo.

– Hola! I kto to mówi? Facet, który się kocha we własnej siostrze! Bohater odgrywający główną rolę: Colm Barry!

– Uprzedzam cię, że będziesz tego jutro bardzo, ale to bardzo żałowała. Wciąż jestem właścicielem restauracji i nigdy nie dostaniesz pracy ani u mnie, ani w żadnym innym lokalu w Dublinie.

– Pamiętasz przebój, którego słuchaliśmy tygodniami, zatytułowany: „Jedyny, niepowtarzalny dzień”? Otóż dzisiaj jest właśnie mój dzień. – Miała zbyt błyszczące oczy.

– Nie rób tego, Orlo.

– Porzucił mnie. Mógł mnie mieć, ale odszedł do tej starej 457

baby w żakiecie z cekinami.

– Nie z nią jest Danny.

– A niby z kim? Przecież to ją trzyma za ramię. Poza tym reszta towarzystwa to same dzieci.

– Jego wybranką jest ta dziewczyna w niebieskim swetrze.

Kobieta w żakiecie to przyszła teściowa Lyncha.

Oślupiała ze zdumienia Orlo ponownie spojrzała w stronę stolika Danny’ego.

- Zmyślasz.
 - Mówię prawdę, ale nie będziesz miała okazji przekonać się o tym.
 - Ona jest niepełnoletnia; taki związek jest prawnie zabroniony, podobnie jak twój z Caroline. – Podniosła się z miejsca, najwyraźniej mając zamiar podejść do stolika Danny’ego Lyncha.
 - Orlo, usiądź w tej chwili i zagraj coś. Nie śpiewaj, tylko zagraj; na przykład melodię „Dym wpada ci do oczu”.
 - Wyznajesz obłudną filozofię życiową.
 - Graj albo wynoś się stąd. No już!
 - Zmusisz mnie do wyjścia, używając swojej armii?
 - Armii jego. – Colm spojrzał znacząco na stolik szwagra.
- Oraz na sześciu silnych brutalach, których nie znosił z całego serca.
- Lubią mnie. Dlaczego mieliby mnie stąd wyrzucić?
 - Ponieważ grzecznie ich o to poproszę.
 - A ja poinformuję Monta, że pieprzysz jego żonę.
 - I kto ci uwierzy, Orlo? Komuś takiemu, jak ty, kto nie potrafi się kontrolować i nie ma siły woli?
 - Gdzie się podziała dzisiaj nasza solidarność?
 - W jaki sposób przemyciłaś alkohol? Pilnowałem cię od chwili, gdy przyszłaś. I nawet sprawdziłem twój sok grejpfrutowy.

458

Odrzuciła głowę do tyłu i wybuchnęła śmiechem.

– Jest w wazonie z kwiatami, ty głupcze. Pierwsza linia obrony. Pół butelki wódki w goździkach.

Colm chwycił wazon i opróżnił jego zawartość do pustego kubelka po lodzie. A potem skinął na kelnera, każąc mu zabrać wiaderko.

– Co mam z tym zrobić, panie Barry?

– Wylej do ścieku przed lokalem. Zostaw tylko kwiaty, wypłucz lodygi.

– Uwierzyłeś mi jednak – stwierdziła z tryumfem Orlo.

Sprawiała jednak wrażenie zaniepokojonej.

– Dopiero wtedy, kiedy zobaczyłem wyraz twoich oczu w momencie opróżniania wazonu, nabrałem pewności, że rzeczywiście ukryłaś tam wódkę.

– Ty obłudny głupcze!

– Hej, Colm! Masz zamiar przez całą noc sterczeć i gapić się na cycki śpiewaczki czy wreszcie podasz nam te steki? –

zawołał od swojego stolika Monto.

Kilka osób zareagowało na jego uwagę nerwowym śmiechem, inni odwrócili oczy.

Orla wstała z miejsca, wzięła do ręki mikrofon i ruszyła w głąb sali.

– Chciałabym spełnić życzenia gości – oświadczyła. – Są-

dzę, że właśnie to może zadecydować o szczególnym uroku dzisiejszego wieczora. Często jednak ludzie sami nie wiedzą, co chcą usłyszeć. Postanowiłam więc, że to ja wybiorę dzisiaj piosenki, które uznam za odpowiednie. Zaśpiewam kilka przy każdym stoliku.

Goście śmiali się i zachęcali ją do występu. Klientom lokalu, którzy jej nie znali, wydawała się atrakcyjną, profesjonalną wokalistką i w jej propozycji nie dostrzegli nic nadzwyczajnego. Wiele osób na sali zamarło jednak z trwogi i ze

zgrozą obserwowało poczynania Orli King.

Podeszła najpierw do stolika Rosemary.

– Mamy tutaj trzy urocze damy – oświadczyła. – Z pewnością feministki. A może lesbijki? Niewykluczone. W każ-

dym razie nie towarzyszy im żaden mężczyzna. Moja babka zwykła śpiewać piosenkę zatytułowaną: „W Bannion żyły sobie trzy urocze dziewczyny”, ale ta przyśpiewka jest zbyt stara, nawet jak dla tej grupy. Może więc im zaśpiewam szlagier:

„Siostry”... ?

– Czyż nie pomagałam ci przez całe życie? – spytała Rosemary z twarzą zastygłą niczym maska.

– Miałaś swoje powody – oświadczyła Orla. Uznała, że kilka taktów piosenki wystarczy i przeniosła się do stolika Monto.

– Sześciu potężnych i wpływowych mężczyzn. Nie ma w nich ani krztyny łagodności, wiercie mi, dobrze o tym wiem.

– Rozejrzała się z promiennym uśmiechem po sali. – Jaką piosenkę powinnam dla nich wybrać? Już wiem, najlepiej tę, którą wszyscy śpiewali podczas męskiego przyjęcia, na jakie zosta-

łam zaproszona. Bardzo im się podobała. Nie myślcie, że to powszechnie znana przyśpiewka o Eskimosie Nellu; to był:

„Bal u Kirriemuir”. O dwudziestu czterech dziewicach, przybyłych z Inverness; po zakończonym balu okazało się, że nie ma już ani jednej. – Orla z uśmiechem przeniosła się do stolika Lynchów.

W tym momencie Colm zaczął gorączkowo szeptać coś do ucha swojemu szwagrowi.

– No, no, spójrzcie tylko, co za miła rodzinka. – Orla z uśmiechem wyławiała po kolei wzrokiem każdą osobę z grupy Danny’ego Lyncha niczym rybę na wędce. – Czego lubicie słuchać?

Jedynie Brian poważnie potraktował to pytanie. Wybrał

460

utwór z repertuaru zespołu „Spice Girls”.

– Zna pani piosenkę zatytułowaną: „Czego chcesz, czego naprawdę chcesz?” – spytał z ożywieniem.

Widok jego niewinnej buzi na chwilę zbił Orłę z tropu.

Zawahała się, lecz tylko na moment, który mógł być wystarczająco długi, by pozbyć się jej z lokalu.

– A co powiedzielibyście o szlagierze: „Miłość i małżeń-

stwo”? Nie, ten związek nie wydaje się zbyt trwały. A co są-

dzicie o przeboju: „Ona miała zaledwie szesnaście lat”? Nie, ta dziewczyna wydaje się starsza. Czy to twoja nowa żona, Danny? – W chwili kiedy się odwracała, wskazując na Finolę, Monto wraz z jednym ze swoich giermków dźwignęli Orłę w górę i skierowali się razem w stronę drzwi. – Nie myśl, że ludzie nie wiedzą o tym, co nas łączyło, Danny! Są tego w pełni świadomi, podobnie jak wiedzą o tym, że żona Monta utrzymywała i... nadal utrzymuje...

Głos jej przestał być słyszalny, ponieważ znalazła się poza restauracją. Jeśli Colm liczył na to, że przyjaciele pomogą mu w rozładowaniu niemiłej atmosfery, spotkało go srogie rozczarowanie. Kłopotliwa cisza, jaka zapadła w lokalu, zdawała się nie mieć końca. Rosemary, zwykle tak szybka w zażegnaniu krytycznych sytuacji, była wściekła i siedziała z pobladłą twarzą, a obok niej Marilyn, równie zmieszana i zaskoczona. Gertie najwyraźniej zatrwożył kolejny dowód spustoszenia, jakie może spowodować alkohol.

Jedynie zachowanie towarzystwa Monta było niestosownie wesołe i pewne siebie, a niektórzy z mężczyzn próbowali nawet naśladować śpiew Orli.

Jimmy oraz Frances Sullivanowie, którzy podejmowali kolację gości z Cork, byli wyraźnie

zażenowani sytuacją. Colm dostrzegł znajomych restauratorów, którzy zapewne specjalnie przyszli zobaczyć, jak idzie jego interes. W innym kącie sali 461

siedziały dwie rodziny, które zamierzały się poznać przed zaplanowanym na weekend weselem. Caroline stała bez ruchu porażona oskarżeniem, jakie zostało skierowane pod jej adresem. A osoby z towarzystwa Danny'ego Lyncha nie śmiały na siebie spojrzeć. Wszyscy goście byli przygnębieni z powodu szokującego zachowania pijanej Orli King. Dlaczego to zrobi-

ła? Ponieważ była nieszczęśliwa.

Przecież nikt z nas nie jest szczęśliwy, pomyślał Colm.

Dlaczego więc właśnie Orla miałyby sobie pozwalać na luksus robienia scen i wyprowadzania wszystkich z równowagi? Spozrzegł utkwione w sobie oczy kelnerów, którzy najwidoczniej czekali na jego polecenie. Uzmysłowił sobie, że od momentu, kiedy szamocząca się kobieta została usunięta z lokalu, upły-nęły zaledwie sekundy. Jemu zaś wydawały się całym życiem.

Wyprostował ramiona, wskazał gestem na jeden ze stolików, który należało posprzątać, oraz na inny, przy którym trzeba było postawić wiaderko z lodem na wino. Dotknął ramienia Caroline, wskazując jej wzrokiem kuchnię, a siostra, blada jak widmo, posłusznie ruszyła w tym kierunku.

Potem podszedł do stolika Rosemary.

– No cóż – powiedział, patrząc prosto w oczy Marilyn Vi-ne – nie może się pani skarżyć, że nie robimy, co w naszej mocy, aby odsłonić przed panią kulisy towarzyskiego życia w Dublinie.

– Rzeczywiście, nie mogę – przyznała z kamienną twarzą.

Wolałby, żeby nie siedziała z tą pokerową miną. Była go-

ściem i powinna powiedzieć coś od serca; coś wesołego i ciepłego, ażeby pokazać, że jest dobrym kompanem i nie przejęła się owym incydentem. Kobieta milczała jednak.

– Czuję się zawstydzony, że tego rodzaju wydarzenie mia-

ło miejsce akurat podczas pani pierwszej wizyty w moim lokalu – oświadczył.

462

Marilyn skinęła głową, przyjmując jego przeprosiny. Colm poczuł, że się rumieni z zażenowania po tej wyniosłej odpra-wie.

– Ona już nigdy więcej nie będzie tutaj występować, Colmie – oświadczyła stanowczo Rosemary.

W jej stwierdzeniu nie znalazł jednak cienia solidarności, która mogłaby mu ułatwić rozmowę; Rosemary sugerowała raczej, że Colm powinien był to przewidzieć i że po części on sam ponosi odpowiedzialność za wszystko, co się stało.

– Przypominało to scenę z kabaretu – stwierdziła biedna Gertie, starając się nieco zbagatelizować incydent.

Towarzystwo przy stoliku Lynchów wciąż nie mogło ochłonąć.

– Przykro mi z powodu tego kabaretu – powiedział Colm, postanawiając nie okazywać zbyt wielkiego przejęcia. Nie zamierzał się płaszczyć przed tymi ludźmi.

– Myślisz, że zaszkodziło jej coś, co tutaj zjadła? – spytał z zaciekawieniem Brian Lynch.

– Jako właściciel lokalu mam nadzieję, że nie. – Colm zmusił się do uśmiechu.

– Przypuszczam, że raczej szkodliwe okazało się to, co zaproponowałeś jej do wypicia. – Głos męża Rii był lodowaty.

– Mylisz się, Danny. Dobrze wiesz, że nic jej nie proponowałem. Orla, podobnie jak ja, nie może pić. Coś jednak wyprowadziło ją z równowagi i ukryła wódkę w wazonie.

Bernadette położyła rękę na ustach, ażeby stłumić chichot.

– W wazonie? Alkohol musiał mieć ohydny smak! – zauważyła.

– Też tak myślę. – Colm uśmiechnął się do tej dziwnej dziewczyny.

Nie przypuszczał, że kiedykolwiek nadarzy mu się okazja, aby rozmawiać z kochanką Danny’ego. Rzeczywiście była 463

jeszcze dzieckiem i bardziej wyglądała na przyjaciółkę Annie niż jej ojca. Jakimż koszmarem musiało to być dla Rii.

– W każdym razie lepiej teraz zdać się raczej na rozmowę niż na muzykę – powiedział.

– I bardzo dobrze – odrzekła Annie. – Muzyki można słuchać wszędzie, a tak się składa, że my wolimy pogawędzić.

– To prawda – odezwał się Brian. – Pytaliśmy właśnie Bernadette, czy dziecko w jej brzuchu ma płetwowe stopy.

Zastanawialiśmy się także, czy przy tamtym stoliku, razem z Rosemary i Gertie, nie siedzi przypadkiem owa Amerykanka.

Wiesz, przyjaciółka mamy, niejaka Marilyn Vine.

– Tak, to rzeczywiście ona – potwierdził Colm.

– Spotkało ją niezłe powitanie na Tara Road – zauważył

Danny.

– To samo jej powiedziałem. Uznała jednak cały incydent za niezwykle zabawny – skłamał Colm i ruszył do sąsiedniego stolika, ażeby ułagodzić następnych gości.

Dla wszystkich jednak miły wieczór już się zakończył.

Wrócił Monto ze swoim pomocnikiem.

– Gdzie ją zostawiliście? – Colm niemal fizycznie cierpiał, rozmawiając z tym człowiekiem.

– Zastanawialiśmy się nad kilkoma miejscami, w końcu postanowiliśmy ją umieścić w szpitalu dla dochodzących pacjentów – oznajmił jego szwagier z głupkowatym uśmiechem.

– Wyjdzie stamtąd i znowu zjawi się tutaj. Zamknijcie drzwi od restauracji.

– Nie ma obawy. Wcisnęliśmy kilka banknotów pewnej zatrudnionej tam osobie. Już ona dopilnuje, żeby Orla nie opu-

ściła szpitala.

– Dziękuję, Monto. Jestem twoim dłużnikiem za dzisiejszą przysługę.

– Masz wobec mnie znacznie większe zobowiązania i do-464

brze o tym wiesz. Nigdy więcej nie chcę słyszeć, że wszystkie stoliki są zajęte.

– Oczywiście. To się już nie powtórzy. Zaszło nieporozumienie.

– Właśnie.

Przy stoliku Danny’ego zapłacono rachunek i towarzystwo szykowało się do wyjścia.

– Odliczyłem od rachunku cenę wina jako rekompensatę za ów niemiły incydent – powiedział Colm.

– Dziękuję – odrzekł Danny cierpkim tonem.

– Nie ma w tym winy Colma – zaprotestowała Annie.

– Oczywiście. – Jej ojciec nadal był pełen rezerwy.

– Ani twojego taty, że Orla akurat właśnie jego wybrała –

zauważył Colm jeszcze bardziej lodowatym tonem.

– To prawda. I bardzo dziękuję za hojny gest, jakim było postawienie nam wina – pożegnał się Danny Lynch, powalając ich wszystkich z nóg błyskawiczną zmianą taktyki.

– Czy kolacja się udała? – spytała Ria córkę.

– Zdarzyło się coś przedziwnego, mamó. Zatrudniona tam wokalistka upiła się albo była po narkotykach. Chodziła po sali z biustem na wierzchu i mówiła wszystkim przykre rzeczy. Nie ulegało wątpliwości, że za bardzo ją poniosło. Pani Vine również była obecna na sali. Ta pijana artystka podeszła prosto do jej stolika i oświadczyła, że wszystkie są lesbijkami! Naprawdę nazwała tak panią Vine, Gertie i Rosemary!

Ria złapała się za głowę.

– Powtórz, Annie. Gertie i Rosemary? Nie wierzę!

– No cóż, mamó, jedyna osoba, która może wszystko potwierdzić, ponieważ również tam wtedy była, to błyskotliwy obserwator, Brian Lynch, właśnie czekający przy telefonie na rozmowę z tobą.

465

– Wybacz mi, Annie. Oczywiście, że ci wierzę, kochanie.

Tylko to, o czym mówisz, wydaje się wprost nieprawdopodobne. Czy Bernadette i... Finola spędziły miły wieczór?

– Sądzę, że były nieco oszołomione jego przebiegiem.

– Kocham cię, Annie – powiedziała Ria.

– Och, mamó, na miłość boską. Oddaję słuchawkę Brianowi.

– Mamó?

– Czy wieczór był udany, Brianie?

– Raczej szalony, mamó. Nie uwierzysz, co się działo. Kto to jest lesbijka? Nikt mi nie chce powiedzieć.

– Lesbijka?

– Tak, czy możesz mi wyjaśnić znaczenie tego słowa?

– To kobieta, która lubi inne kobiety bardziej niż mężczyzn.

– I co w tym strasznego?

– Nic. Opowiedz mi o wieczorze w restauracji.

– Czy znasz jakieś lesbijki?

- Tak, kilka.
- Czy są okropne?
- Nie, oczywiście, że nie.
- To dlaczego ludzie mówią o nich szeptem?
- Na pewno nie, wierz mi.
- Mówili, mamó, dzisiejszego wieczora, naprawdę.
- Jestem pewna, że się przesłyszałeś.
- Nie sądzę. Chcesz życzyć dobrej nocy Finoli? Właśnie wychodzi. – Rię dobiegł wrzask Annie:
- Straszliwy z ciebie głuptas, Brianie!
- Oczywiście, że chętnie powiem Finoli „dobranoc”. – Ria usłyszała własne słowa.

Zrobiło się małe zamieszanie, a potem na linii odezwał się kobiecy głos:

466

- Chciałam tylko powiedzieć, że pani dzieci są wspaniałymi kompanami. – Matka Bernadette podjęła desperacki wysiłek nawiązania rozmowy.
- Dziękuję. Odnoszę wrażenie, że one również darzą panią sympatią – odrzekła ze ściśniętym gardłem Ria. – Z tego, co zrozumiałam, dzisiejszy wieczór dostarczył wszystkim niezapomnianych wrażeń?

Tamta zastanawiała się przez moment nad odpowiedzią.

- Nie uwierzy pani, co się działo, a nie było nikogo z kamerą, kto by to utrwalił.

Żadna z nich nie użyła imienia swojej rozmówczyni. Być może już zawsze miały w ten sposób odnosić się do siebie.

- Życzę pani wszystkiego dobrego – pożegnała się Ria.

- Ja pani również życzę wiele szczęścia – odrzekła przyszła teściowa Danny’ego Lyncha.

Ria odłożyła słuchawkę. Miała dwie godziny, aby przygotować się na randkę z mężczyzną, który był wydawcą literatury technicznej w Los Angeles i jechał na konferencję do Bostonu.

Przed chwilą zakończyła miłą pogawędkę z matką kochanki swego męża. I wyglądało na to, że pogrążona w depresji kobieta, z którą zamieniły się domami, odwiedziła restaurację Colma. Świat

stał na głowie.

Andy Vine nie przypominał z wyglądu swojego brata. I kiedy wszedł do domu i w ogrodzie obok basenu pił napój cytrynowy, Ria pogratulowała sobie w myślach, że upewniła się co do jego tożsamości. Ten szczupły, rudowłosy mężczyzna okazał się mniej więcej w jej wieku, a może nawet trochę młodszy. I jako naukowiec zakładał, że Ria wie o wiele więcej na temat życia akademickiego, niż było w istocie.

– Proszę mi wybaczyć, przyjąłem błędne założenie –

stwierdził, kiedy okazało się, że ona nie ma pojęcia o stowa-467

rzyszeniach wykładowców i absolwentów ani w Irlandii, ani w stanie Connecticut. – Sądziłem, że to za pośrednictwem jednej z tych organizacji poznałyście się z Marilyn.

– Nie. Inni przypuszczali, że zetknęliśmy się ze sobą za sprawą pasji do ogrodnictwa, tymczasem wcale nie znam się na roślinach. – Ria uśmiechnęła się szeroko.

Miała na sobie swój najlepszy strój na lato: niebiesko-białą sukienkę, kupioną z okazji ubiegłorocznego wesela, w której dotychczas wystąpiła tylko raz. Kreacja prezentowała się okazale razem z kapeluszem od Polly Callaghan. Ria nie bywała w żadnych wytwornych miejscach i nie miała więcej okazji do pokazania się w tej sukience. Powinna się była lepiej ubierać.

Czy wszystko byłoby nadal w porządku, gdyby bardziej dbała o elegancję?

– Znasz tajlandzką kuchnię? – spytał Andy.

– No cóż, w Irlandii mamy już tajlandzkie restauracje, staliśmy się bardzo światowi. Ale byłam tam zaledwie dwukrotnie i nie zapamiętałam żadnej z potraw. Będę więc wdzięczna, jeśli wybierzesz dla mnie jakieś smakowite danie.

Spotkanie miało udany przebieg. Może kobiecie w średnim wieku, dla której sprawy sercowe nie mają już znaczenia, łatwiej zainteresować mężczyznę swoją osobą?

W restauracji prowadzili swobodną pogawędkę. Andy opowiadał o rodzajach publikacji, jakimi zajmuje się jego firma. Były to książki, o których nikt nie słyszał, z wyjątkiem specjalistów z tej dziedziny. Wspominał o radykalnych zmianach, jakie nastąpiły w zakresie edytorstwa naukowego dzięki postępowi technologicznemu i wynalezieniu CD-ROM-ów.

Jego dziadek był komiwojażerem, który handlował encyklopediami. I z pewnością przewróciłby się w grobie, gdyby zobaczył rozmiary obecnych encyklopedii oraz zapoznał się z me-todami ich sprzedaży. Andy mieszkał we własnym apartamen-468

cie w Los Angeles i był rozwiedziony. Nie miał dzieci.

– Rzuciłeś ją czy też ona ciebie? – spytała Ria.

– To nigdy nie jest aż takie proste – odparł z uśmiechem.

– Czasami bywa – obstawała przy swoim.

– W porządku, miałem romans i żona kazała mi się wynosić z domu.

Ria pokiwała głową.

– A więc ty rzuciłeś ją, ponieważ doprowadziłeś wasze małżeństwo do rozpadu.

– To twoja opinia. Zresztą ona też tak twierdziła. Ja nie chciałem rozwodu, ale nie zgodziła się mnie wysłuchać.

– Wybaczylibyś jej, jeśli by to ona znalazła się na twoim miejscu?

– Oczywiście.

– I żylibyście ze sobą dalej, jak gdyby nic się nie stało?

– Posłuchaj, Mario, ludzie bez przerwy sprawiają komuś zawód i nikt nie jest doskonały. Zdarza się, że ktoś czasem nie dotrzyma obietnicy. Małżeństwa przetrzymują przelotne flirty, jeśli w związku dwojga ludzi jest coś więcej niż tylko seks.

Uważałem, że właśnie tak było w naszym przypadku, ale się myliłem.

– A gdybyś mógł cofnąć czas... ? – dopytywała się Ria.

– Nie można zmienić biegu wydarzeń. Nie mam pojęcia, co bym zrobił. Czy ty również jesteś rozwódką?

– Przypuszczam, że tak – odrzekła; Andy spojrzał na nią zaskoczony. – Moja odpowiedź nie jest wcale tak zwariowana, jak się na pozór wydaje. Widzisz, w Irlandii całkiem niedawno wprowadzono rozwody i nie zdążyliśmy jeszcze do nich przywyknąć. Odpowiedź na twoje pytanie jest jednak twierdząca.

Niebawem będę wolna.

– Kto kogo porzucił?

– Och, mąż mnie.

469

– I nie wybaczysz mu?

– Nie dał mi szansy. – Nastąpiła chwila milczenia, po czym Ria ponownie się odezwała: – Andy, czy mogę spytać cię o Dale'a?

– A co chcesz wiedzieć?

– Kiedy rozmawiałam na jego temat z twoim bratem, odniosłam wrażenie, że zrobiłam coś niewłaściwego. Greg był

zaskoczony, a nawet trochę zirytowany.

– A co, na Boga, powiedziałaś?

– Nie pamiętam dokładnie; same zwyczajne rzeczy. Andy potrząsnął głową.

– No cóż, reakcje ludzkie są nieprzewidywalne. I każdy z nas w różny sposób przyjmuje fakty. Marilyn, na przykład, nigdy się z nimi nie pogodziła. W ten sposób stara się stawić czoło rzeczywistości.

– Czy oni nie mogą się porozumieć?

– Greg chciałby, lecz najwyraźniej Marilyn nie ma na to ochoty.

Rię zabolęła lekkość, z jaką mężczyźni przechodzili do porządku dziennego nad problemami. Dale przebywał na Hawajach, jego matka najwyraźniej bardzo za nim tęskniła, a pomimo to impas trwał nadal. Być może Ria i Danny nie ułożyli w sposób doskonały swoich stosunków z dziećmi, ale przynajmniej bardzo się o to starali. I to oboje; Ria musiała tu od-dać mężowi sprawiedliwość. Tymczasem sprawa z Dale'em była bardzo kłopotliwa.

– Sądzę, że Greg powinien spróbować porozumieć się z żoną – ustalić daty oraz długość trwania wizyt.

– Próbował, lecz ona czmychnęła do Irlandii.

– A kiedy Marilyn spodziewa się jego powrotu?

– Na jesieni.

– To kawał czasu. I aż do jesieni ma zamiar zostawić ten 470

pokój w niezmienionym stanie? – Ria nie mogła się nadziwić.

– Co ci właściwie powiedziała? – spytał Andy.

– Nie udzieliła mi żadnych wyjaśnień. Ani słowem nie wspomniała o swoim synu.

Andy wydawał się trochę podenerwowany i na moment zapadła cisza. Nie wracali więcej do tego tematu – znaleźli mnóstwo innych spraw, o których można było porozmawiać.

Mówił jej o swoim dzieciństwie w Pensylwanii, a ona o obse-syjnej fascynacji swojej matki kinem; Andy przyznał się do swojego wielkiego zainteresowania koszykówką, a Ria wyja-

śniła mu zasady hokeja w Irlandii i opowiedziała o wielkim finale odbywającym się co roku w Croke Park. On podał jej przepis na wspaniałą sałatkę cesarską, a ona odwzajemniła się innym, na przysmak ziemniaczany. Miło spędziła wieczór i widziała, że on również.

Kiedy odwiózł ją na Tudor Drive, przez chwilę siedzieli zakłopotani w samochodzie. Ria nie miała ochoty zapraszać go do domu z obawy, iż może zostać źle zrozumiana. A potem odezwali się jednocześnie:

– Jeśli będziesz kiedyś przejazdem w Irlandii... – zaczęła Ria.

– Konferencja kończy się w środę w porze lunchu... – Andy przerwał.

– Mów dalej...

Dokończył to, co zamierzał powiedzieć:

– Zastanawiałem się, czy gdybym tędy wracał i obiecał

zrobić sałatkę cesarską, zgodziłabyś się przygotować w zamian przysmak ziemniaczany?

– Umowa stoi – odpowiedziała Ria z szerokim uśmiechem i wysiadła z samochodu.

Dawno temu, kiedy spotykały się z chłopakami, najważ-

niejsze pytanie brzmiało: „Czy znowu się z nim umówiłaś?”. A 471

teraz była w sytuacji sprzed lat i mężczyzna prosił ją o ponowne spotkanie, podczas którego wszystko mogło się zdarzyć.

Ria, stojąc w sypialni, patrzyła na ogród będący chlubą tej dziwnej kobiety. Z tego, co słyszała, Marilyn Vine każdą wolną chwilę spędzała z rękami w ziemi, wrywając chwasty, przesadzając rośliny, spulchniając glebę oraz przemawiając do kwiatów i pnączy, aby lepiej rosły.

Ria czuła się tu obco. Przyjaźń z Carlotta i Heidi, na którą bardzo liczyła, nie rozkwitła. Obie kobiety wydawały się za-

żenowane z powodu swojej wylewności owego pierwszego wieczora i nie zabiegały o ponowne wesołe spotkanie. A szczery podziw w oczach Andy’ego nie schlebiał Rii ani nie sprawił jej prawdziwej przyjemności. Ten mężczyzna, którego w ogóle nie знаła, należał do innego świata. Uważała, że Westville jest rzeczywiście spokojnym, pięknym miasteczkiem, z mnóstwem drzew i rzeką, ale tutejsi mieszkańcy na każdym kroku prawili sobie sztuczne uprzejmości i silili się na udawaną serdeczność. Miejsce to nie było domem Rii. W jej rodzinnym mieście dzieci spędziły właśnie, razem ze swoją nową rodziną, wesoły wieczór w restauracji u Colma. A Marilyn Vine siedziała przy stoliku po drugiej stronie sali w towarzystwie Rosemary. Tylko Ria tkwiła tu samotnie. Łzy spływały jej po twarzy. Chyba była szalona, uznając pomysł z przyjazdem do Ameryki za dobry. Kompletnie szalona.

Na Tara Road świeciło. Marilyn nie spała dobrze tej nocy.

Cóż za paskudna scena rozegrała się w lokalu Colma! Nagle sytuacja całkiem wymknęła się spod kontroli. A wszyscy ci ludzie byli niczym bohaterowie odgrywanej w teatrze sztuki. I to dramatu o dość ponurej fabule! Rosemary i Gertie nie omieszkały zapoznać Marilyn z wieloma sprawami. Wydobyły na światło dzienne historię rozbitego małżeństwa Rii, opowie-472

działy o nowym związku jej męża, o kłopotliwej sytuacji dzieci, o wokalistce – nałogowej alkoholice, powszechnie znanej ze swojego nieodpowiedzialnego zachowania – oraz o kryminalnych powiązaniach potężnego mężczyzny, który w końcu wyprowadził pijaną Orle King z lokalu. Ci ludzie wszystko o wszystkich wiedzieli i nie wahali się dyskutować o cudzych sprawach. Nie mieli w sobie odrobiny godności, powściągliwości ani instynktu samozachowawczego.

Rosemary uznała za naturalne, że ludzie biorą ją za lesbijkę, skoro jest samotna i ma siostrę, która „chodzi” z przyjaciółką prawniczką. Gertie bez skrępowania mówiła o problemach męża – alkoholika i brutala, ukazując go w taki sposób, jakby po prostu miał skłonność do przeziębienia się w zimie.

Colm, jak gdyby nigdy nic, podszedł do ich stolika, ażeby przeprosić za incydent, który sprawił Marilyn w zakłopotanie i zaskoczenie. A obie towarzyszące jej kobiety zgodnie stwierdziły, że pomysł wyjazdu Rii do Ameryki i pozostawienia dzieci przy ojcu uznały początkowo za szalony, obecnie miały jednak nadzieję, że owa podróż wyjdzie jej na dobre.

To, do jakiego stopnia ci ludzie angażowali się w cudze sprawy, a nawet czuli się upoważnieni do ingerowania w życie innych, nie mieściło się Marilyn w głowie. Obie kobiety bez najmniejszych zahamowań dyskutowały z nią o motywach działania i zmartwieniach swojej przyjaciółki, a przecież Marilyn była kimś zupełnie obcym, kto znalazł się tutaj jedynie na skutek przypadkowej wymiany domów. Oprócz współczucia, jakie żywiła dla Rii na myśl o jej ciężkich przejściach, była także na nią lekko zirytowana.

Dlaczego nie zachowała się z godnością i nie odsunęła tych wszystkich ludzi na dystans? Dlaczego pozwoliła, aby wtargnęli w jej życie? Jedyny sposób na radzenie sobie z tragediami i z nieszczęściami to niedopuszczanie do siebie myśli 473

o nich; nie można ich obwieszczać wszem i wobec ani przyjmować do wiadomości. Negując fakty, zyskuje się pewną nadzieję na przetrwanie. Marilyn wstała z łóżka i wyjrzała przez okno na zaniedbany ogród oraz inne okazałe budynki z czerwonej cegły w sąsiedztwie. Była bardzo samotna i zagubiona w tym mieście, którego otwarci i ciekawi mieszkańcy pragnęli wszystkiego o innych się dowiedzieć i oczekiwali od obcych ludzi zainteresowania szczegółami z własnego życia.

Niespodziewanie Marilyn poczuła bolesną tęsknotę za chłodnym domem i pięknym ogrodem w Westville. Teraz mogłaby tam spokojnie pokonywać kolejne długości basenu bez obawy, że zaraz ktoś ją zawoła i zacznie denerwować reminiscencjami z minionego wieczora. Kot Klemens, który obecnie sypiał w jej łóżku, obudził się, przeciągnął i podszedł do niej pełen nadziei, głośno mrużąc. Rozpoczął się nowy dzień i zwierzak spodziewał się zabawy albo pełnej miski. Marilyn spojrzała ze smutkiem na swego towarzysza: – Zwykle nie rozmawiam ze zwierzętami, Klemensie, jednak w

twoim wypadku zrobię wyjątek. Podjęłam błędną decyzję, przyjeżdżając tutaj. To był najgorszy krok w całym moim życiu.

474

Rozdział 6

Czy nie sądzisz, że rozmawiając z babcią, powinniśmy zwracać się do niej po imieniu? – spytał Brian.

– Co takiego? – Annie oderwała wzrok znad książki.

– Skoro jesteśmy po imieniu z matką Bernadette, również babcię moglibyśmy nazywać Norą. – Chłopiec pragnął być sprawiedliwy.

– Nie, głąbie, i zamknij się wreszcie.

– Zawsze każesz mi się zamknąć. Nigdy nie masz mi nic miłego do powiedzenia, nigdy.

– A co mogłabym ci miłego powiedzieć, Brianie? Zastanów się tylko!

– Niektórzy ludzie mówią mi same miłe rzeczy.

– Kto taki? Oczywiście oprócz mamy i taty. Oni muszą być dla ciebie mili; jesteś ich dzieckiem.

– Finola często mówi mi miłe rzeczy.

– Wymień choć jedną, jaką dzisiaj od niej usłyszałeś.

– Pochwaliła mnie, że zapamiętałem ruch skoczka i dzisiaj prawidłowo przesunąłem go na środek szachownicy.

– Rzeczywiście zrobiłeś to? – Dziewczyna wciąż odmawiała zgłębienia tajników gry w szachy i nie mogła pogodzić się z faktem, że Brian dał sobie z tym radę.

– Tak, chociaż prawdę mówiąc, postawiłem go tam przypadkowo i niespodziewanie okazało się, że mam prawo do bicia. Finola była ze mnie bardzo zadowolona – stwierdził Brian z uśmiechem tryumfu.

Annie doszła do wniosku, że brat czasami bywa bardziej żaloszny niż okropny i że wzbudza w niej litość. Nie pojmował

jeszcze w pełni tego, jak radykalnie zmieni się ich życie. Są-

dził, że po wakacjach wszyscy wrócą po prostu do swoich do-475

mów. Zapytał nawet matki Bernadette, czy jesienią, kiedy już przyjadą z Ameryki, będą mogli

kontynuować grę w szachy.

Finola zapewniła go, że owszem, ilekroć wpadnie z wizytą do taty, a ona również tam wtedy przyjdzie. Głupi Brian zrobił

zdziwioną miną. W głębi duszy liczył na to, że tata wróci do domu. Najwidoczniej nie uważał sprawy za przesadzoną. Jeszcze do niego nie dotarło, że ich sytuacja rodzinna już zawsze będzie wyglądać w ten sposób.

Kitty stwierdziła, że Bernadette musi być bardzo sprytna, skoro do tego stopnia wzięła ojca Annie pod pantofel. Annie, pomimo zakazu, nadal widywała się z przyjaciółką pod pretekstem wyjścia do biblioteki. Ponieważ ostatnio mnóstwo czytała

– jak sama twierdziła, z braku innych zajęć – jej wizyty w bibliotece zostały uznane za w pełni uzasadnione. Kitty przychodziła tam również i zdawała Annie raport ze wszystkiego, co dzieje się w prawdziwym świecie: na rajdach motocyklowych, w dyskotekach i pośród tłumów przebywających w barach. Annie chciwie słuchała owych informacji, tęskniąc za wolnością.

Kitty bardziej interesowała ją jednak sprawa seksu i była zafascynowana Bernadette.

– Zawsze wydaje się milcząca i ospała. Kto by pomyślał, że taka z niej szczwana sztuka? Jest niczym jedna z owych syren – słynnych kurtyzan, które podstępem wabiły mężczyzn.

Niektóre kobiety, wykorzystując seks, potrafią zrobić z męż-

czyn niewolników. Chętnie dowiedziałabym się, jak tego dokonują.

– Uważam za mało prawdopodobne, aby Bernadette udzieliła nam wyjaśnień – odparła oschle Annie.

– Widzę jednak, że żyjecie zgodnie – zauważyła Kitty, nie ukrywając zdziwienia. – Sądziłam, że znienawidzisz ją za to, iż zajęła miejsce twojej matki.

476

– Nie zajęła miejsca mojej matki. Po prostu stworzyła nowe. Trudno to wytłumaczyć.

– Dobrze, że ci na wszystko pozwala – zadrwiła Kitty.

– Powiedziałam tylko, że nie naprzykrza się nam, a to róż-

nica. I nie narzuciła mi żadnych reguł, z wyjątkiem zakazu widywania się z tobą. Nie ulega jednak wątpliwości, że otrzymała w tej sprawie stanowcze polecenie od taty – wyjaśniła Annie, uśmiechając się szeroko.

Kitty była zdziwiona.

– Zawsze myślałam, że twój tato mnie lubi. Podrywał mnie nawet czasami, kiedy bywałam u was i

nadarzała się okazja.

Nic dziwnego, że twoja matka nie darzyła mnie sympatią. To dlatego nie chciała, żebym do was przychodziła.

Annie była wstrząśnięta.

– Nie powinnaś tego robić, Kitty.

– Nigdy nie miałam zamiaru zostać twoją macochą. My-

ślałam tylko o pokazaniu się z nim... i o odwiedzeniu różnych interesujących miejsc... – Przyjaciółka zakołysała biodrami. –

Twój ojciec jest bardzo przystojnym mężczyzną...

Annie spojrzała na nią z uczuciem mdłości. Kitty miała bogate seksualne doświadczenia i twierdziła, że na ogół były bardzo przyjemne. Tylko czasami odczuwała znudzenie, ale przeważnie seks dostarczał jej wspaniałych doznań. I Annie nie powinna z niego rezygnować, dopóki sama nie spróbuje. Annie wiedziała jednak, że to się nigdy nie zdarzy. Uważała tę sferę życia za zbyt przerażającą, gwałtowną, niekontrolowaną i straszną. Podobnie jak scena, której była świadkiem przed laty na ścieżce za domem. I zachowanie Orli King, która narobiła zamieszania w restauracji Colma. Ona również mówiła i śpiewała o seksie. Wszystko, co się z nim wiązało, było ohydne, odrażające i żenujące. Annie przypomniała sobie wyjaśnienia matki sprzed lat, gdy Ria zapewniała ją, że są to wspaniałe 477

przeżycia, szczególnie jeśli się kogoś kocha. A owa bliskość z ukochaną osobą staje się źródłem wielkiej czułości.

Niewiele dobrego przyniosła mamie owa bliskość i czu-

łość! I zanosilo się na to, że pomimo młodego wieku owe uczucia już na zawsze pozostaną dla niej nieosiągalne. W przeciwieństwie do taty, który tak łatwo znalazł sobie kogoś innego.

Ria postanowiła pójść do fryzjera przed środową randką z Andym. Nie zamierzała jednak korzystać z pomocy Carlotty.

Nie chciała, aby sąsiadka pomyślała, że Irlandka szuka jej towarzystwa, nawet gdyby tak było w istocie.

W Westville i okolicy z pewnością znajdowały się inne salony piękności. Ria przypomniała sobie nawet o jednym, w pasażu handlowym, obok którego niedawno przejeżdżała. Postanowiła wybrać się na rekonesans. Kiedy sprawnie wycofała samochód Marilyn z podjazdu przed domem, natknęła się na Carlottę, która właśnie wyjmowała pocztę ze skrzynki.

Przywitanie było ciepłe.

– Dzień dobry! Co za szczęśliwy traf! Miałam nadzieję, że cię zobaczę.

– Oto ja, we własnej osobie – odparła Ria z przyklepionym do twarzy uśmiechem.

Co Carlotta miała na myśli, mówiąc, że pragnęła się z nią zobaczyć? Przecież mieszkała w sąsiednim domu, na miłość boską!

– Nie chciałam ci się narzucać. Wiem, że Marilyn bardzo sobie ceni prywatność...

– Marilyn to Marilyn. A ja jestem Ria – stwierdziła cierpko.

Czuła, że okazując rozdrażnienie, zachowuje się jak dziecko. Podobnie zareagowałby Brian przed kilkoma laty.

478

Widać było, że jest wytrącona z równowagi.

Jeśli Carlottę zaskoczyła jej odpowiedź, zdołała to ukryć.

– Zamierzałam cię zawiadomić, że we wtorek wieczorem będziemy gościć w naszym salonie przedstawicieli firmy produkującej kosmetyki do pielęgnacji włosów. Zależy im na tym, żebyśmy kupili całą serię, dlatego proponują kilku naszym stałym klientkom darmową usługę z wykorzystaniem nowych produktów. Tego rodzaju promocje organizowane są w róż-

nych salonach kilka razy do roku. Pomyślałam, że może zechcesz wziąć w niej udział? Nie będziesz żadnym królikiem doświadczalnym i nie musisz się obawiać, że przefarbują ci włosy na krwistą czerwień!

Ria była oszołomiona.

– Masz przecież stałe klientki.

– Przyjdź – usilnie namawiała ją Carlotta.

– Oczywiście. O której mam się stawić? – Wszystko zostało ustalone i żałowała, że nie czuje się bardziej uradowana.

A więc tamta nie była chłodną ani też trzymającą się na dystans kobietą, jak przypuszczała Ria. I miło jest spotkać ko-goś z sąsiedztwa – jednak z rezerwą odniosła się do propozycji Carlotty. Nadal pamiętała swoje refleksje z sobotniego wieczora. To obce miejsce nie było jej domem. I postąpiłaby nierozsądnie, rozbudzając w sobie nadzieję, że się tu zadomowi i zaprzyjaźni ze wszystkimi sąsiadami.

Zastanawiała się, czy nie zatelefonować do Marilyn, ale nie zdołała wymyślić nic, o czym mogłaby jej powiedzieć.

Wzruszyła ramionami. Dobrze, że przynajmniej miała jakieś plany – „darmowe czesanie”, jak powiedziała jej siostra, Hilary.

Kiedy przyszła Gertie, Marilyn była psychicznie przygotowana na niekończące się dyskusje o scenie, do jakiej doszło 479

wczorajszego wieczora w restauracji. Gertie nie kwapiła się jednak do nawiązania rozmowy. Wyglądała mizernie i była wyraźnie zdenerwowana. Być może Jackowi nie spodobał się ów „babski wieczór” i dał temu wyraz w jedyny znany sobie sposób. Nie ulegało wątpliwości, że tamta odetchnęła z ulgą, kiedy została sama z prasowaniem i na klęczkach mogła się zabrać do polerowania nóg pięknego stołu w pokoju od frontu.

Marilyn pracowała w ogrodzie przed domem. Zawsze zostawiała pieniądze dla Gertie na stole w holu w kopercie, do której dołączała kartkę z podziękowaniem. Colm robił coś w warzywniku na tyłach domu. Z nim również nie nawiązała kontaktu. Rosemary przemknęła ulicą w swoim błyszczącym aucie, ale najwyraźniej uznała, że złożenie wizyty nie jest konieczne. Matka Rii, wraz ze swoim niepoczytalnym psem, od dwóch dni w ogóle się nie pokazywała.

Marilyn poczuła w ramionach napięcie. Być może zdołała przekonać ich wszystkich, że nie życzy sobie uczestniczenia w biwaku, w jaki próbowali zamienić ten dom.

Gertie przed wyjściem zatrzymała się i pogratulowała jej wykonanej roboty.

– Masz w sobie mnóstwo energii, Marilyn – stwierdziła.

– Dziękuję.

– Mam nadzieję, że praca dobrze ci robi i wpłynie na poprawę twojego samopoczucia – powiedziała Gertie na pożegnanie i odeszła.

Twarz Marilyn oblała się szkarłatem.

Jak ludzie ci śmieli przypuszczać, że nie wszystko układa się pomyślnie w jej życiu? Przecież z niczego im się nie zwierzała, a na ich bardzo natrętne pytania udzielała jedynie ogólnikowych i mglistych odpowiedzi. Nie mieli powodu podejrzewać, że dzieje się coś złego. Podczas pierwszej rozmowy z Rią Marilyn omal nie uległa pokusie i nie opowiedziała jej o 480

przyczynie swego ogromnego bólu. Obecnie gratulowała sobie w myślach, że tego nie zrobiła. Gdyby otworzyła się przed Rią Lynch, która jak się okazało, głównie troszczyła się o wszystkich wokół, a jej dom stanowił centrum przepływu informacji w tym mieście, prawdopodobnie owe zwierzenia zostałyby już opublikowane w prasie.

Zamierzała zatelefonować do Rii w Westville, ale się powstrzymała. Nie miała jej nic do powiedzenia.

W załanej słońcem kuchni zadzwonił telefon w chwili, kiedy Ria sporządzała listę spraw do załatwienia w związku z przyjazdem dzieci.

- Ria? Dzień dobry, mówi Heidi! Znalazłam kurs Internetu dla początkujących. Zapiszemy się?
- Przepraszam cię, ale jestem zupełnie zielona w tych sprawach i nie wiem, czy zdołam cokolwiek pojąć. Mogę nie nadążyć za innymi.
- Jest organizowany dla takich jak my, dla komputerowych analfabetów, a nie dla błyskotliwych dzieciaków. Będzie nam jedynie potrzebna umiejętność posługiwania się klawiaturą, a przecież umiesz to robić.
- O ile jeszcze nie zapomniałam, jak się pisze na maszynie.
- Oczywiście, że nie zapomniałaś. Kurs obejmuje tylko pięć lekcji.
- Czy jest bardzo drogi, Heidi? Przepraszam, że pytam, jak moja chorobliwie skąpa siostra, ale muszę się trzymać za kieszeń, ażeby mieć pieniądze, kiedy przyjadą dzieci.
- Nie, wcale nie jest kosztowny, a poza tym ja funduję.

Jako pracownik uczelni korzystam ze zniżki i chciałabym mieć kogoś do towarzystwa.

- Nie mogę.
- W tym tygodniu zajęcia zostały zaplanowane na środę i 481 na piątek, trzy pozostałe odbędą się w przyszłym tygodniu, a potem będziemy już w światowej sieci www.
- Nie jestem pewna co do środy... – zaczęła się tłumaczyć.
- Daj spokój, Rio, przecież nie masz nic innego do roboty, prawda?
- Tak, ale...
- Bardzo bym chciała, żebyś przyszła. To tylko godzina, od dwunastej do pierwszej. Organizatorzy kursu słusznie zało-

żyli, że nie zdołamy dłużej skupić myśli.

- Och, jest w ciągu dnia – odpowiedziała z ulgą Ria. – W takim razie przyjdę. Oczywiście. Wy tłumacz mi, jak mam tam dojechać.

Greg zatelefonował do Marilyn z Hawajów.

- Dziękuję za list – powiedział.
- Był jednak dość lakoniczny. Chciałam, aby zawierał coś więcej.

– To dobrze, że rozmawiamy ze sobą i piszemy do siebie.

W każdym razie lepiej.

Nie zamierzała pozwolić, aby zaczął nadmiernie analizować ich wzajemne relacje.

– Czy u ciebie wszystko w porządku, Greg?

– U mnie tak... odbywają się letnie kursy i kończą je dzieciaki, które nie mają o niczym pojęcia. A absolwenci uczelni, bystrzy młodzi ludzie, nigdy nie znajdują zatrudnienia. Ale czy to coś nowego? Jak świat światem, zawsze tak było. – Wydawał się odprężony. Wymiana zdań między nimi po raz pierwszy od dawna przypominała prawdziwą rozmowę.

– Żałuję, że nie mogę nadawać stąd e-mailów – powiedziała Marilyn.

– Mogłaś wziąć ze sobą swój laptop.

– Nie pomyślałam o tym przed wyjazdem.

482

– Rozmawiałem z Rią Lynch, zadzwoniła do mnie na Hawaje. Wydaje się sympatyczna.

– Nic złego się nie stało?

– Nie, sprawdzała tylko, czy Andy jest rzeczywiście tym, za kogo się podaje. Przejeżdżał przez Westville i chciał się z tobą zobaczyć.

– To miło z jego strony. Czy się spotkali?

– Nie, zatelefonowała tylko do niego do motelu.

– Mam nadzieję, że Ria dobrze sobie radzi. Nie chcę zbyt często do niej dzwonić. Mogłaby odnieść wrażenie, że ją kontroluję – wyjaśniła Marilyn.

– Dobrze to rozumiem. Jakie masz odczucia w stosunku do niej, teraz, kiedy mieszkasz w jej domu?

– Co masz na myśli, mówiąc o odczuciach?

– Nie wydaje ci się trochę dziwna?

– Dlaczego pytasz? – Głos jego żony przybrał chłodne brzmienie. – Wydawało mi się, że sam z nią rozmawiałeś?

– Tak i odniosłem wrażenie, że jest osobą bardzo religijną, która przywiązuje ogromną wagę do spraw duchowych.

– Raczej bym jej o to nie posądzała. – Marilyn była zaintrygowana. – To prawda, że w Irlandii pełno

jest kościołów z dzwoniącymi dzwonami oraz figur świętych, nie przypuszczam jednak, żeby Ria zbyt się tym wszystkim przejmowała.

– Może źle ją zrozumiałem. Jedno z jej wyrażeń nasunęło mi takie przypuszczenie.

– Co dokładnie powiedziała?

– Nic ważnego. Jak już wspomniałem, mogłem się przesłyszeć. Jak wygląda dom, w którym obecnie mieszkasz?

– Jest przepiękny, a wszystkie rzeczy wewnątrz są bardzo stare. Tutejsi ludzie mają osobliwy zwyczaj wpadania bez zapowiedzi, lecz nigdy nie przeciągają wizyt. Och, no i jest jeszcze Klemens – olbrzymi rudy kocur.

483

– Z tego, co mówisz, wszystko nieźle wygląda. Masz jakieś zajęcia?

– Och, tak. Ogród wymaga dużo pracy i chodzę na spacer... nie martw się o mnie, Greg.

– Cieszę się, że jesteś zadowolona – odrzekł z wahaniem.

– No cóż, chyba tak.

– A poza tym w porządku? – Sprawiał wrażenie zaniepokojonego.

– Oczywiście.

Marilyn wróciła do ogrodu i ze zdwojoną energią zaczęła przekopywać ziemię. Nie zapytała, dlaczego podczas rozmowy telefonicznej Ria wydała się Gregowi dziwna. Uznała to jednak za niezbyt ważne. Nic się nie liczyło z wyjątkiem przetrwania okresu, który zamierzała tutaj spędzić, oraz wszelkich wydarzeń, jakie miały w tym czasie nastąpić.

Padł na nią czyjś cień i spostrzegła, że obok niej stoi Colm.

Przyłożyła rękę do czoła, aby osłonić oczy przed słońcem.

– Dzień dobry – przywitał się grzecznie.

– Dzień dobry – odpowiedziała.

– Nie uważam, aby słowa były najlepszą formą przeprosin, dlatego przyniosłem kwiaty.

– Nie ponosisz winy za to, co się stało.

– Do incydentu doszło w moim lokalu. Gorąco proszę Stwórcę o to, ażeby podobna historia nigdy więcej się nie po-wtórzyła! W najgorszych snach o prowadzeniu restauracji, – a wierz mi, że były

bardzo obrazowe, nie przewidywałem tak koszmarnego scenariusza.

Marilyn stwierdziła, że wbrew sobie samej uśmiecha się do niego.

– Było, minęło, nie ma o czym mówić. Dziękuję za kwiaty.

Chciałam zasięgnąć twojej rady w kwestii miejsca zakupu ziemi i nawozu. Będą mi potrzebne, kiedy już oczyszczę ogród z 484

tych skarłowaciałych krzewów.

– Zawiozę cię do sklepu ogrodniczego. – Colm ze zdumieniem patrzył na osiągnięcia Amerykanki. Wykonała robotę za trzech mężczyzn, usuwając korzenie i wycinając gałęzie. Wyglądało na to, że wkrótce ogród znowu będzie gotowy do peł-

nienia swoich funkcji.

– Danny Lynch musi być ci bardzo wdzięczny.

– Za co, na Boga? – zdumiała się szczerze Marilyn.

– Za to, że podniosłaś wartość jego nieruchomości, a tego rodzaju rzeczy mają pierwszorzędne znaczenie w jego życiu.

– Chyba nie darzę go zbyt wielką sympatią.

– Mnie też się nie podoba to, co zrobił Rii, ani sposób, w jaki się z nią obszedł, to pewne. Nie wiem, czy go przedtem lubiłem. Przypuszczam, że chyba tak – usiłował sobie przypomnieć Colm.

– Nie robię tego dla niego, lecz dla Rii i aby poprawić wygląd tej pięknej posesji – wyjaśniła Marilyn.

– Niepotrzebnie się trudzisz. I tak w końcu będą musieli ją sprzedać.

– Nie! – Marilyn była wstrząśnięta.

– Sądysz, że Danny zdoła utrzymać dwie rodziny i znajdzie jeszcze pieniądze na ten dom? Ale dosyć już rozmów o Danny Lynchu oraz o wszystkich kłopotach, jakie sprawia, gdziekolwiek się pojawi.

– Czyżby ta mała blond szansonistka, jak zwykł nazywać tego typu wokalistki mój ojciec, miała z nim również problemy?

– Szansonistka! Cudowne słowo! Tak, a kolejnym była wódka w wazonie z kwiatami. – Marilyn patrzyła na Colma, otworzywszy usta ze zdumienia.

– Widzisz, musiałaś przyjechać aż tutaj, żeby zobaczyć życie w całym jego bogactwie. Czy nie wybrałabyś się dzisiaj ze 485

mną na kolację? Postanowiłem pójść na przeszpiegi do konkurencji. Byłbym szczęśliwy, gdybyś zechciała mi towarzyszyć.

– Bardzo dziękuję – odpowiedziała.

Kiedy przyszła Gertie, aby posprzątać i wyprasować ubrania, Marilyn ani słowem nie wspomniała jej o zaproszeniu. Nie nadmieniła o tym również w liście z podziękowaniem za wczorajszy wieczór, wrzuconym do skrzynki na korespondencję w domu Rosemary. Nie było potrzeby obarczania ludzi nieistotnymi informacjami.

– Zastanawiałem się, czy nie wolałabyś, żebym nazywał cię Norą, babciu?

– Odjęło ci rozum, Brianie? – zachnęła się babka.

– A nie mówiłam? Nigdy nie chcesz mi uwierzyć – powiedziała Annie z tryumfem w głosie!

– Skąd się wziął ten pomysł? – Nora Johnson podejrzliwie przenosiła wzrok z jednego na drugie.

– Jeszcze jeden dowód na to, że powinien nosić kaftan bezpieczeństwa – oświadczyła jej wnuczka.

– Wiem, że jesteś w podeszłym wieku, babciu, ale trudno cię nazwać zgrzybiałą staruszką. Pomyślałem, że gdybyśmy rozmawiali ze sobą jak równy z równym, nasze stosunki stały-by się bardziej przyjacielskie.

Annie podniosła oczy do nieba.

– A czy tatę zamierzasz nazywać „Dannym”, kiedy znajdziemy się wieczorem na łodzi? I czy będziesz miał kilka nowych irytujących informacji dla naszej przyjaciółki „Rii”, gdy następnym razem zatelefonuje ze Stanów?

Nora Johnson spojrzała na wnuka. Miał zawstydzoną minę.

– Wiesz co, Brianie? Po namyśle doszłam do wniosku, że właściwie lubię, jak ludzie zwracają się do mnie po imieniu.

Wszyscy u Świętej Rity nazywają mnie Norą.

– Pensjonariusze u Świętej Rity mają ponad sto lat! – za-486

wołała ze złością wnuczka. – Nic dziwnego, że mogą tak babcię nazywać.

– Kleszcz również zwraca się do mnie po imieniu. Dziewczynka spojrzała zatrwożona na babkę.

– Pies nazywa cię Norą, babciu?

– W głębi serca tak. Nie myśli o mnie jak o pani Johnson.

Zgoda, Brianie, od tej pory jestem dla ciebie Norą.

– Dziękuję, babciu. Wiem, że tak będzie lepiej – oświadczył uradowany chłopiec.

Annie doszła do wniosku, że cała rodzina zwariowała. A teraz musieli jeszcze pójść z wizytą na Tara Road, aby przywitać się z Marilyn, nim wyjadą nad Shannon. Mama sobie tego życzyła. Uważała, że będzie to przyjazny i uprzejmy gest z ich strony. Mama żyła w innym świecie, kiedy zostało to postanowione.

Pani Vine przygotowała talerz z okropnymi piernikami, na których można było połamać sobie zęby; przyszykowała też kilka kanapek z szynką.

– Nie, dziękuję – kategorycznie odmówiła poczęstunku Annie.

– Proszę, weź jedną, specjalnie dla was je zrobiłam.

– Bardzo mi przykro, pani Vine, ale nie jadam martwych zwierząt, a pierniki są trochę za twarde. Czy pozwoli pani, że poprzestanę na herbacie?

– Oczywiście, niech sprawdzę... mam kawałek zamrożonego sernika. Mogę go dla was rozmrozić, to nie potrwa długo.

– Ja bardzo lubię kanapki z szynką – oświadczył Brian. – I zjem wszystkie, żeby się nie zmarnowały. Oczywiście, oprócz tych, którymi pani się poczęstuje. – Sięgnął do talerza. – Mo-

żemy je podzielić.

Annie nie musiała upominać brata – wystarczył wyraz jej

twarzy.

– Albo zostawmy je tam, gdzie są, i zjadajmy po jednej, kiedy będziemy mieli ochotę – powiedział przepaszająco.

Marilyn czuła, że nie mogła gorzej rozpocząć tego spotkania.

– Mam nadzieję, że oboje cieszycie się na wyjazd do Westville?

– Czy mają tam normalne ciastka? – dopytywał się chłopiec.

– Tak, oczywiście, i to w ogromnym wyborze – zapewniła go z entuzjazmem.

Skinął głową zadowolony.

– Jestem pewna, że spędzimy tam wspaniałe wakacje.

Mama twierdzi, że pokochała to miejsce. Rozmawialiśmy z nią w sobotę wieczorem. – Annie usilnie starała się być miła i wynagrodzić Marilyn przykrość, jaką jej sprawiła dwukrotną odmową poczęstunku. – Sądzę, że zaczyna się już orientować w okolicy. Kiedy rozmawialiśmy, wybierała się właśnie na kolację do tajlandzkiej restauracji.

A to dopiero zagadka. Kto mógł zaprosić Rię do nowej restauracji, która została otwarta zaledwie przed kilkoma miesiącami? A może postanowiła pójść tam sama?

– Czy wasza mama gustuje w obcych kuchniach?

– Tak, są jej królestwem.

Brian rozejrzał się po kuchni na Tara Road, lecz nigdzie nie dostrzegł zwykle obecnych tam blach pełnych placków oraz innych wypieków.

– Widzę, że pani niewiele gotuje, pani Vine – zauważył

niewiele krytycznym tonem. – Przyjaciółka taty, Bernadette, również nie przepada za pichceniem. Jej matka, Finola, jest chyba lepszą kucharką, ale zajmuje się sprawami kulinarnymi tylko u siebie w domu. Chociaż, przypuszczam, że to ona będzie go-488

tować dla nas na łodzi, jak myślisz, Annie?

– Nie zastanawiałam się nad tym – wycedziła przez zaci-

śnięte zęby siostra. – I nie jestem pewna, czy pani Vine ma ochotę to wiedzieć.

– Czy mogę was prosić, żebyście oboje zwracali się do mnie po imieniu? Nazywam się Marilyn – zaproponowała niespodziewanie. Częste tytułowanie ją „panią Vine” zaczęło jej działać na nerwy. Wyczuwała urazę nastolatki spowodowaną faktem, że przebywa w domu ich matki. A może Annie miała żal do Rii o to, że wyjechała?

Brian ochoczo przystał na propozycję.

– Sądzę, że tak będzie o wiele lepiej, jeśli wolno mi wyrazić moje zdanie.

– To pani przekopła ogród czy Colm? Widzieliśmy mnó-

stwo powyrywanych krzewów.

– Głównie ja, kocham tę pracę. Colm pomoże mi kupić ziemię i posadzić nowe rośliny, kiedy już im zapewnię dostęp światła. Może chcielibyście wybrać jakieś sami? – spytała bez wielkiej nadziei.

W tym momencie zadzwonił telefon. I zaraz rozległ się nagrywany na automatycznej sekretarce głos matki.

– Dzień dobry, Marilyn, mówi Ria. Telefonuję, żeby powiedzieć...

– To mama! – wykrzyknął Brian, podbiegając do aparatu.

– Brian, zaczekaj! – zawołała za nim siostra.

– Nie zatrzymuj go, proszę – nalegała Marilyn.

– Mamo, to ja, Brian, skąd wiedziałaś, że tutaj jesteśmy?

Marilyn i Annie porozumiały się wzrokiem. W tym momencie Marilyn poczuła, że uczucie wrogości dziewczyny mi-ja. Jak gdyby obie były dorosłymi kobietami, patrzyły z po-błażliwością na małego Briana, który sądził, że został wytro-piony przez matkę.

489

– Tak, dobrze się miewa. Wyrybała większość krzewów w ogrodzie przed domem.

Annie westchnęła.

– Po Brianie można się spodziewać tego rodzaju rewelacji

– wyjaśniła. – Zawsze powie coś najmniej pożądanego w danym momencie. Już ja to załatwię.

I trzeba przyznać, że rzeczywiście dobrze wywiązała się z zadania.

– Dzień dobry, mamo. Tu Annie. Pijemy właśnie herbatę.

Tak, jest bardzo miła. Dużo czytam... u taty w domu jest tak nudno, że stałam się miłośniczką książek... „Paragraf 22” oraz

„Ptaki ciernistych krzewów”. Tak, rzeczywiście zaproponowa-

ła, żebyśmy zwracali się do niej po imieniu. Nie, tym razem to nie jest jeden z szalonych pomysłów Briana. Nie traktuj jednak poważnie tego, co mówił o ogrodzie. Narobił wrzawy z powodu kilku chwastów, poza tym pomaga jej Colm, więc przestań panikować. Dzisiaj wieczorem wyjeżdżamy, ale zadzwonimy do ciebie w sobotę.

Gdy Marilyn podeszła wreszcie do telefonu, Ria była bardzo skruszona.

– Wybacz, nie planowałam narady rodzinnej.

– Pomyślny zbieg okoliczności. Czy u ciebie wszystko w porządku?

– O tak, wspaniale, a u ciebie?

– Nie może być lepiej.

– Słyszałam, że byłeś w restauracji u Colma?

– Zatrudniona tam wokalistka wypila wazon wódki. A ja dowiedziałam się, że byłaś na kolacji w nowo otwartej tajlandzkiej restauracji w Westville. Jak ci się tam podobało?

– Mają wyborną kuchnię. Zamówiłam krewetki w sosie curry. – Ria nie przyznała się, że została zaproszona przez szwagra Marilyn. – Posłuchaj, nie przedłużajmy tej rozmowy.

490

Może zadzwonisz do mnie wieczorem z mojego telefonu?

– Wychodzę dzisiaj wieczorem.

– Ach, tak, to świetnie, a dokąd się wybierasz?

– Do kina. Grają film, który koniecznie chciałam obejrzeć

– skłamała Marilyn, ponieważ nie miała ochoty się zdradzać przed Rią, że idzie na kolację z Colmem Barrym.

Uzgodniły, że skontaktują się ze sobą któregoś dnia w przyszłym tygodniu.

– Czy Bernadette zapięła już wszystko na ostatni guzik i zakończyła przedwakacyjne przygotowania?
– spytał Barney.

– Nawet nie zaczęła się jeszcze pakować – odrzekł Danny.

Ciągle zdumiewał go spokój, z jakim szła przez życie.

Wiedział, że w jej przypadku nie będzie żadnych list, planów, przeglądania odzieży, opróżniania lodówek, odwoływania spotkań ani telefonicznych pożegnań. Dwadzieścia minut przed wyjazdem Bernadette po prostu wrzuci do torby kilka ciuchów.

A on spakuje swój bagaż. Dzieci miały przyklepione przez Rię do wnętrza swoich walizek listy ubrań, które powinny ze sobą zabrać.

– Ona jest zdumiewająca, Barney. Nie mam pojęcia, skąd czerpie ten swój bezgraniczny spokój. Jest zaraźliwy, mówię poważnie. Czasami, kiedy się zdenerwuję, wystarczy dziesięć minut przebywania w jej towarzystwie i znowu wszystko wraca do normy.

– A czym się denerwujesz, Danny?

– Wieloma sprawami. Pieniędzmi, pracą, tą obłąkaną kobietą, która obecnie mieszka w moim domu i karczkuje ogród od strony ulicy, oraz Rią, która nie chce przyjąć do wiadomości faktów.

– Hej, czyżby było aż tak źle?

– Na ogół nie lubię się na nic skarżyć, ale sam zapytałeś, a dzisiejszy dzień nie należy do udanych.

da samochodem, a potem siedem dni gniecenia się na ciasnej łodzi i to właśnie wtedy, kiedy powinienem być w biurze.

Matka Bernadette myśli, że siedzę na pieniądzach, a dzieci przez cały czas wchodzą nam na głowę.

– Słyszałem, że w sobotę wieczorem były kłopoty z Orlą King?

– O Boże, Barney, ty wiesz o wszystkim. Jak się dowiedziałeś?

– Jeden z kumpli Monta jest przyjacielem Polly i był wtedy w lokalu. Podobno właściciel podszedł do ich stolika i poprosił

szwagra, aby pomógł usnąć stamtąd Orlę, zanim się do was zbliży. Monto okazał się jednak nie dość szybki.

– Prawie zdążył.

– Musisz zachowywać większą ostrożność, Danny.

– Dobrze o tym wiem. Jestem tak czujny, że przydałoby mi się ze dwanaście par oczu.

Nad rzekę przyjechało mnóstwo rodzin, które zamierzały popływać motorówkami. Matka Bernadette pomyślała zawczasu o zorganizowaniu zapasów żywności.

– Złożyłam telefoniczne zamówienie w miejscowym sklepie – wyjaśniła Danny’emu.

– Wspaniale, Finolo.

Danny w końcu zdołał się odprężyć.

Podróż była długa. Na początku, kiedy późnym popołudniem podczas wzmożonego ruchu opuszczali Dublin, Danny był bardzo spięty. Miał przygarbione plecy i dwukrotnie po-pełnił głupi błąd, zmieniając pas ruchu bez uprzedniego upew-nienia się, czy drugi jest wolny. Finola taktownie zasugerowa-

ła, że zastąpi go za kierownicą i w końcu przystał na jej propozycję.

Bernadette siedziała z przodu i obsługiwała magnetofon, 492

zmieniając kasety, jakie wybrała specjalnie na wakacje. Była to spokojna muzyka: ciche irlandzkie rytmy, utwory na harfę, stonowane dźwięki greckiej melodii, nokturny Chopina, czułe francuskie piosenki, których nich nie rozumiał, tony wygrywane na fujarce oraz nieznana muzyka skrzypcowa. Danny usiadł w swoim samochodzie na tylnym siedzeniu, pomiędzy synem a córka, i zapadł w niespokojny sen, podczas gdy Finola Dunne wiozła ich w stronę centralnych rejonów kraju.

Sniło mu się, że Ria czeka na nich na łodzi. „Nie zamierza pani wrócić do domu?” – spytała Bernadette. Ta wzruszyła tylko ramionami i odparła: „Mogę, skoro pani sobie tego życzy”. On sam miał ochotę za nią pobiec, ale stopy wrosły mu w ziemię. Sen wciąż wydawał się realny, kiedy wysiedli z samochodu i zaczęli rozłokowywać się na łodzi.

– A więc załatwisz to? – zwróciła się Finola do Danny’ego.

– Co takiego? – Był szczerze zdumiony.

– Czy zapłacisz posłańcowi za artykuły spożywcze?

– Co proszę? Ach tak, oczywiście.

Wyjął kartę kredytową, ale mężczyzna przecząco pokręcił

głową, więc Danny sięgnął po książeczkę czekową. Spostrzegł

odcinek ostatniego czeku. Była to spłata raty długu hipotecznego zaciągniętego w towarzystwie budowlanym. Rachunek za produkty żywnościowe okazał się horrendalnie wysoki. Koszty wypożyczenia łodzi motorowej Danny pokrył, korzystając ze swojej karty kredytowej. I nie miał nawet ochoty o tym my-

śleć.

Wiedział jednak, że niebawem będzie zmuszony to zrobić.

Colm zabrał Marilyn do „Quentina”. Oświadczył, że chce jej pokazać najwspanialszy lokal w Dublinie. Okazało się, że zna Brennanów, którzy prowadzili restaurację.

493

– Jak na poniedziałek, panuje u was spory ruch. Co to znaczy modny lokal i kwitnący interes! – zauważył z uznaniem, rozglądając się po wypełnionej gośćmi sali.

– Nonsens, Colmie. Powinieneś wyjaśnić pani Vine, że klienci przychodzą tutaj z powodu wybornego jedzenia –

oświadczyła Brenda Brennan.

– Nietrudno w to uwierzyć – odrzekła uprzejmie Marilyn.

– Widzę Barneya McCarthy’ego z tłumem przyjaciół –

zauważył Colm.

Przez twarz kobiety przemknął cień.

– Rzeczywiście – przyznała. Colm uniósł do góry brwi, jak gdyby chciał zapytać, w czym tkwi problem. – Nie będę pań-

stwu przeszkadzać. Proszę spokojnie zapoznać się z menu –

powiedziała Brenda i odeszła.

– Nie darzy tych ludzi sympatią? – Marilyn wyczuła sytuację.

– Nie w tym rzecz. Obawia się, że może mieć z nimi podobne kłopoty jak ja.

– A cóż to za problemy?

– Zwrot niezrealizowanego przez bank czeku na dość po-kaźną kwotę.

– Naprawdę? – Marilyn włożyła okulary i uważnie przyjrzała się siedzącemu przy oknie towarzystwu. – Sprawiają wrażenie zamożnych. Nie wyglądają na ludzi, którzy mogliby wystawiać czeki bez pokrycia.

– Nigdy przedtem tego nie robili. I są bardzo ważnymi biznesmenami w tym w mieście; znają wszystkich wpływowych ludzi i nikt z restauratorów nie chciałby ich urazić, tym bardziej że w przeszłości, trzeba to uczciwie przyznać, byli dobrymi klientami. To wszystko jest trochę skomplikowane. –

Spojrzał na postawnego mężczyznę, który podejmował na kolacji dziewięć osób. Elegancka i znacznie młodsza od niego 494

kobieta śmiała się głośno.

– Czy to jego żona?

– Nie, to Polly. Żona pozostała zapewne w ich rezydencji.

– Pozwiesz go do sądu?

– Nie, tylko następnym razem będę miał wszystkie stoliki zajęte. Pogodziłem się ze stratą, ale to już ostatnia. Nie ma sensu chodzić do sądu z powodu jednej kolacji.

Marilyn spojrzała na Colma z podziwem.

– Masz rację. My, Amerykanie, mamy zbyt wielkie skłon-ności do występowania na drogę sądową. Jesteś rozsądny, skoro myślisz o tym jak o jednej kosztownej kolacji. I dobrze, że zbytnio się nie martwisz.

– Martwię się. Danny Lynch siedzi w kieszeni u Barneya McCarthy’ego, a skoro ten idzie na dno, pociągnie za sobą również Danny’ego. I co wtedy stanie się z Rią?

Szybkość, z jaką Rosemary przeprowadzała swe cotygodniowe służbowe narady, była wprost legendarna. Odbywały się wczesnym rankiem. Przy dużym talerzu świeżych owoców i sporych ilościach mocnej kawy w zawrotnym tempie omawiano kolejne punkty przewidziane w porządku obrad. Księ-

gowa, szef biura, kierownik do spraw marketingu oraz osobista sekretarka – wszyscy zostali wyćwiczeni w sprawnym przedstawianiu raportów i wniosków. Prędko przedyskutowano kwestie finansowe, kierunki dalszego rozwoju firmy, sprawę godzin nadliczbowych oraz ewentualne posunięcia rywali. Następnym zagadnieniem były bieżące problemy firmy.

– Bank odmówił zrealizowania czeku opiewającego na bardzo pokaźną kwotę – oznajmiła księgowa.

– Na jak wysoką? I czyj to czek?

– Barneya McCarthy’ego.

– Na skutek czyjegoś niedopatrzenia musiał powstać błąd –

495

oświadczyła Rosemary, zamierzając przejść do następnego punktu obrad.

– Przeczytałam w dzisiejszej gazecie, że wypożyczalnia sukien Polly została wystawiona na sprzedaż – oświadczyła lakonicznie kobieta.

– Dziękuję. W takim razie to nie było przeoczenie. Zatelefonuję do banku.

– Nie udzielą tam pani żadnych informacji.

– Mnie udzielą – stwierdziła Rosemary.

Po zakończonej naradzie wykręciła numer telefonu w samochodzie Danny’ego Lyncha. Nikt się jednak nie zgłosił.

„Nie rób mi tego, Danny, ty draniu. Wystarczająco wiele złego wyrządziłeś innym i oświadczam ci, że mnie nic nie zrobisz, nie po tym, przez co oboje przeszliśmy”. – Mówiła jednak do siebie, a nie do Danny’ego, który nie pamiętając o bożym świecie, pływał po Shannon.

Hilary oświadczyła, że zamierza zaprosić Marilyn na pla-

żę. Mogły tam pojechać pociągiem.

– Dość oryginalny pomysł – zauważyła jej matka.

– To Martin wysunął tę propozycję. Uznał, że dzięki temu nie wydam pieniędzy, ponieważ nie będę musiała postawić jej lunchu.

– Racja – przyznała Nora Johnson.

– I przynajmniej będzie miała jakąś rozrywkę.

– Rzeczywiście.

Nora Johnson głęboko westchnęła. Czyżby jej córka, którą sama wychowywała, teraz widziała wszystko wyłącznie w kategoriach pieniądza? Nie była taka w dzieciństwie. To prawda, że nie przelewało się im w czasach, kiedy Nora pracowała w pralni chemicznej. I pewnie nieraz myślały ze smutkiem o tym, co by sobie kupiły, gdyby posiadały jakieś większe zasoby

finansowe. Nigdy jednak nie miały na tym punkcie obsesji. To Martin zmienił Hilary i ściągnął ją w dół do swojego poziomu.

Ale przynajmniej nie porzucił jej dla jakiejś kilkunastoletniej życiowej nieudaczniczki. Nora ponownie westchnęła. Czasami dochodziła do wniosku, że życie jest bardzo ciężkie.

Hilary z niepokojem spojrzała na matkę. Nie lubiła tych westchnień.

– Czy nie sądzisz, mamó, że nadszedł czas, abys przeprowadziła się do domu Rii?

– Co takiego?

– Oczywiście nie teraz, kiedy Marilyn tam mieszka, ale zaraz po jej wyjeździe.

– Dlaczego miałabym to robić?

– Aby mieć towarzystwo i płacić Rii komorne.

– Nie potrzebuję niczyjego towarzystwa.

– Oczywiście, że potrzebujesz, mamó. A poza tym ona z pewnością musi znaleźć kogoś, komu wynajmie część domu teraz, kiedy Danny postanowił wcielić w życie swoje wspaniałe plany.

– Chyba nie mówisz poważnie.

– Jak najbardziej, mamó. Wprowadź się tam, zanim Ria znajdzie sobie innego lokatora.

– Hilary, czy ty masz dobrze w głowie? Biedna Ria jeszcze przed świętami Bożego Narodzenia będzie musiała się wynieść z tego domu.

– Co takiego?

– Barney McCarthy jest bez pieniędzy. Czytałam w dzisiejszej gazecie, że firma Polly Callaghan została wystawiona na sprzedaż. A skoro McCarthy sprzedaje wypożyczalnię strojów swojej flamy,

byłby pewnie gotów przeszukiwać nawet skarbonki własnych dzieci. I jeśli już on sam tak cienko prze-

dzie, podobny los czeka również naszego chłopaczka, Dan-497

ny'ego. Jeszcze przed powrotem Rii twój były szwagier będzie miał pod drzwiami na Tara Road komornika.

Zmieniali się przy sterach. Na rzece zadanie było stosunkowo proste, ale kiedy wypływali na jezioro, zaczynał obowiązywać tam prawdziwy kodeks ruchu. Trzeba było się pilnować, ażeby czarne boje znajdowały się po jednej stronie burty, a czerwone po drugiej. Pomachali swoim nowym znajomym, Niemcom i Holendrom – żeglarzom o wiele spraw-niejszym w cumowaniu łodzi i odbijaniu od brzegu niż oni. W

małych wioskach, do których zawijali, kupowali lody albo odwiedzali puby i grali w rzutki.

– Mama byłaby zachwycona, widząc to! – zawołał kiedyś Brian, kiedy z pobliskich szuwarów zerwało się stado ptaków i uleciało w powietrze ponad ich głowami. Cisza, jaka zapanowała, była wymowniejsza niż wszelkie upomnienia.

– Przepraszam – bąknął chłopiec.

– To zrozumiałe, że mówisz o swojej matce, Brianie –

odezwała się Bernadette sennym głosem. – Przecież ona nie umarła i nie jest żadnym tematem tabu. Może któregoś dnia zabierzesz ją na podobną wycieczkę.

Annie i Brian zauważyli, że Danny z wdzięcznością po-głaskał Bernadette po twarzy. Przesunął palcami po policzku dziewczyny i odgarnął do tyłu jej włosy. Gest ten wyrażał tak ogromną miłość i czułość, że widząc to, byli niemal zażenowani.

Hubie, który prowadził kurs: „Nie bójcie się Internetu”, wyglądał na szesnaście lat i w rzeczywistości był niewiele starszy. Oznajmił im, że po raz pierwszy próbuje swoich sił w roli wykładowcy i chce mieć pewność, że wszyscy kursanci są z niego zadowoleni. Gdyby więc ktoś czegoś potem nie wie-498

dział, oznaczałoby to, że nauczyciel źle wywiązał się ze swojego zadania.

Ria stwierdziła ze zdziwieniem, iż wszystko rozumie.

Okazało się, że świat Internetu jest nie tylko dostępny dla osób pojętnych jak Rosemary, ale także dla tych całkiem zwyczaj-nych. Sposób kontaktowania się był prosty; Ria przekonała się, jak łatwo można się w to wciągnąć i spędzić cały dzień na przeglądaniu stron, odkrywaniu zdumiewających faktów oraz na rozmowach z nieznajomymi z ekranu.

Zjadła lunch w towarzystwie Heidi, a potem obie powtó-

rzyły to, czego się nauczyły i co miały przećwiczyć przed następnymi zajęciami w piątek. Hubie poprosił uczestników kursu, ażeby każdy przysłał mu wiadomość, na którą on będzie mógł odpowiedzieć. Zadanie to nie nastroczało Heidi żadnego problemu; w jej biurze do spraw zatrudnienia absolwentów znajdowało się mnóstwo komputerów. Ale dokąd miała się z tym udać Ria?

– W domu jest laptop, którego nie wzięła ze sobą Marilyn.

Możesz z niego skorzystać.

- Och, będę się bała, że coś popsuję.
- Ależ nie. Uprzedź ją telefonicznie, że będzie ci potrzebny, a ja go uruchomię.
- Nie uzna tego za zbytne grzebanie w jej osobistych rzeczach?
- Nie, przecież to tylko maszyna. Tylko... raczej nie wspominaj, że to Hubie jest naszym wykładowcą.
- Dlaczego nie?
- Był przyjacielem Dale'a.
- I cóż w tym złego?
- No, sama rozumiesz...
- Nie rozumiem. Wiem tylko, że Dale spędza wakacje na Hawajach...

499

- Słucham?
- Jest razem ze swoim ojcem, prawda? Tamta umilkła.
- A gdzie indziej może być? Przecież tutaj go nie ma i nie wyjechał do Irlandii.
- Dale nie żyje – powiedziała cicho Heidi.
- Nie, to niemożliwe. Powinnaś zobaczyć jego pokój; nie wygląda na miejsce kogoś, kto zmarł.
- Dale nie żyje. Do tego sprowadza się problem z Marilyn: nie potrafi pogodzić się z tym faktem. Ria dawno nie przeżyła tak wielkiego wstrząsu.
- Dlaczego nie powiedziała mi o tym?
- W ogóle nie rozmawia na ten temat. Z nikim. Nawet z Gregiem. To dlatego wyjechał na Hawaje.
- Porzucił ją?
- Nie. Sądził, że Marilyn pojedzie tam razem z nim, ona jednak nie chciała mu towarzyszyć. Prawdopodobnie byli tam kiedyś razem z Dale'em.
- W jakim wieku był Dale?
- Miał prawie szesnaście lat.

Och, Boże, pomyślała Ria, był niemal rówieśnikiem Annie.

– Na co umarł?

– Zginął w wypadku motocyklowym.

– Ależ był chyba za młody, aby prowadzić motocykl?...

– Właśnie.

– Dlaczego, na Boga, nie powiedziała mi o tym? – Ria potrząsnęła głową. – W końcu przyjechałam, ażeby zamieszkać w jej domu. I wiedziała, że zobaczę jego pokój. Nawet pościera-

łam tam kurze, na miłość boską!

– Marilyn nie potrafi rozmawiać z ludźmi o tym tragicznym fakcie – wyjaśniła łagodnie Heidi.

– Kiedy to się stało?

500

– W marcu ubiegłego roku. W sierpniu odłączyli go od aparatury.

– Od aparatury?

– Podtrzymującej życie.

– Biedna Marilyn. Cóż za straszliwą decyzję musiała podjąć!

– Uważa, że popełniła wielki błąd. To dlatego nie może zaznać spokoju.

– Skoro dotychczas go nie znalazła, mam poważne wątpliwości, czy znajdzie go na Tara Road.

Marilyn leżała w kąpieli, a Klemens siedział, niczym na straży, na jednym z łazienkowych krzeseł. Gertie powiedziała gościowi, że kot nie ma wstępu na piętro.

– No cóż, teraz ma – odparła Amerykanka.

– Miałam na myśli jedynie to, że po powrocie Rii nadal może uważać, że jest tutaj mile widziany. W końcu to tylko niemądry zwierzak. – Gertie starała się być taktowna, lecz niezbyt się jej to udało.

– Jestem pewna, że Ria robi w moim domu różne rzeczy, które dla mnie również byłyby trudne do zaakceptowania.

Ustaliłyśmy jednak, że godzimy się na to na okres wakacji –

padła zdecydowana i stanowcza odpowiedź.

– Czy ty też masz w Ameryce jakieś żywe stworzenie? –

chciała wiedzieć Gertie.

– Nie, nie mam żadnych żywych stworzeń.

Kiedy Marilyn napuściła więcej gorącej wody do wanny, kot głośno ziewnął.

– Walczyłam o ciebie, Klemensie, nie bądź taki znudzony

– powiedziała.

Zwierzak zamknął pyszczek i ponownie zasnął. Marilyn oddała się rozmyśleniom na temat wszystkich żywych stwo-501

rzeń, jakie Ria tutaj zostawiła.

Andy przybył z torbą-lodówką wypełnioną żywnością.

Przyniósł także butelkę wina.

– Ślicznie wyglądasz – zauważył z podziwem. – Naprawdę zachwycająco.

– Dziękuję. – Od bardzo dawna nikt nie powiedział Rii komplementu. „Dobrze wyglądasz, skarbie” – na tyle tylko potrafił zdobyć się Danny przez wszystkie lata małżeństwa.

Ostatnio również Annie dawała czasami umiarkowany wyraz swojej aprobacie: „W tym kolorze jest ci zdecydowanie do twarzy, mamó”. Rosemary zwykła mawiać, że Ria dobrze wygląda, kiedy się przyzwoicie ubierze, sugerując, że nie zdarza się to zbyt często. Hilary lubiła powtarzać, że osoby, które obrosły w piórka, mogą się puszyć jak pawie, a matka utrzymywała, iż granatowy kostium z białą bluzką jest strojem bez-konkurencyjnym i wielka szkoda, że ludzie z klasą i o tak wielkich możliwościach, jak Ria, noszą ubrania pozbawione stylu, jakich nie widuje się w eleganckich miejscach. Co prawda, Colm mówił czasami, że Ria ładnie wygląda. Jego komplementy odnosiły się jednak raczej do ogrodu i domu oraz do ich właścicielki jako części otoczenia niż do niej samej.

Jawny podziw męczyzny był więc dla niej zupełnie nowym doświadczeniem.

Rozpoczęli kucharzenie od roztarcia w misce czosnku do sałatki cesarskiej. Nie obeszło się przy tym bez przesadnych gestów i zamieszania, ale sałatka rzeczywiście okazała się smaczna. Potem zabrali się do przyrządzania obiecanego przysmaku z ziemniaków.

– Ależ to zwykłe placki – odezwał się Andy, nieco rozczarowany. Spodziewał się jakiejś zupełnie nieznaney potrawy.

– Znasz to? – Ria również była zawiedziona.

– Tak i bardzo je lubię. Poza tym placki są irlandzkie, co decyduje o ich wyjątkowości.

Śmiali się z tego, a także z wielu innych rzeczy. Andy opowiedział Rii o konferencji i o pewnej zwariowanej członki-ni komitetu organizacyjnego, która na skutek stresu wywołanego odpowiedzialnością za realizację tego przedsięwzięcia była bliska eksplozji. Proste ustalenie miejsc uczestników konferencji przy stole podczas kolacji – zadanie o niezbyt doniosłym znaczeniu – skłoniło ją do zażycia bardzo silnego środka uspokajającego.

– I jak się udała ta kolacja? – spytała Ria.

– Nie mam pojęcia. Odbywa się dzisiejszego wieczora.

– Nie zaczekałeś, aby na nią pójść?

– Uznałem, że posiłek z tobą będzie o wiele bardziej interesujący i się nie pomyliłem.

Miała przygotowane ciasto biszkoptowe z truskawkami, które zjedli do kawy.

– Chcesz powiedzieć, że nie przyniosłaś tego smakołyku z cukierni?

– Nie, zrobiłam go tymi oto rękami – oświadczyła ze śmiechem, wyciągając przed siebie dłonie z nowym manikiu-rem.

– Ale spód na pewno kupiłaś gotowy?

– Ależ skąd! Piekę je w okamgnieniu.

Informacja ta wywarła duże wrażenie na Andym i jego zdziwienie sprawiło Rii niemal dziecięcą radość. Opowiedziała gościowi o swoim kursie poruszania się po Internecie i zapyta-

ła, czy jego zdaniem Marilyn nie wzięłaby jej za złe, gdyby skorzystała z komputera w domu.

– Na pewno nie. Zaraz go uruchomię.

– Najpierw powinnam ją zapytać.

– Używanie komputera nie różni się niczym od korzystania 503

z cudzego telefonu lub odkurzacza... To nie jest jakieś cenne, doskonale nastrojone pianino.

– A jeśli... ?

– Daj spokój. Gdzie go trzyma?

– W gabinecie.

Weszli do przytulnego, zapelnionego rzędami książek pokoju i Andy uruchomił laptop.

– Pokażę ci, jak należy go przygotować do pracy, abyś potem mogła poradzić sobie sama.

W tym momencie zadzwonił telefon, a ponieważ w gabinecie nie było automatycznej sekretarki, Ria odruchowo podniosła słuchawkę.

– Halo? – powiedziała, jak gdyby była w swoim domu w Dublinie i odbierała własny telefon.

– Ria? Mówi Greg Vine.

– Och, witaj, Gregu. Jak się miewasz?

Oczy jej i Andy’ego spotkały się ponad stołem. Najbardziej naturalną reakcją byłoby stwierdzenie: „Nie uwierzysz, ale właśnie twój brat jest tutaj”. W normalnej sytuacji każdy to by powiedział. Lecz owa informacja wymagałaby udzielenia wielu dalszych niezbędnych wyjaśnień i mogłaby nasunąć błędne przypuszczenia. Ria nie wspomniała ani słowem o tym, że Andy Vine stoi cztery kroki dalej i przygląda się jej z pół-

uśmiechem.

Wysłuchiwała Grega, który, zakłopotany, zwrócił się do niej z prośbą o odszukanie w gabinecie pewnych potrzebnych materiałów.

– Właśnie tutaj jestem – odrzekła.

– Och, to dobrze! – ucieszył się jej rozmówca. – Obawiam się, że to nie będzie łatwe, ponieważ pokój zawalony jest książkami o tematyce technicznej oraz pracami studentów. Czy mogę wskazać ci miejsce, gdzie znajdziesz to, o co mi chodzi?

504

– Oczywiście.

Skierował ją do półki na ścianie i udzielił takich wskazó-

wek jak: rok, nazwisko i temat. Za każdym razem Ria powtarzała na głos informacje, a Andy, usłyszawszy, odnajdował

dokumenty.

– Pilnie potrzebujemy pierwszej strony publikacji tego chłopca. Musimy mieć ją już dzisiaj.

– Dzisiaj?

– Zamierzam zwrócić się z prośbą do Heidi i do Henry’ego o wyświadczenie przysługi. Może zgodzą się przyjechać do ciebie po tę pracę i przesłać ją do mnie e-mailem.

– Heidi i Henry mają tutaj przyjechać po tę pracę i przesłać ją do ciebie e-mailem? – Ria, niczym

opóźniona w rozwoju, powtarzała słowo po słowie, ażeby zapoznać Andy'ego z tym, co mówił jego brat. W mig pojął jej zamiar i wskazał na kartkę papieru, laptop oraz na siebie.

– Mogę ją sama przesłać, jeśli pozwolisz, żeby skorzystała z przenośnego komputera Marilyn.

– Umiesz obsługiwać pocztę elektroniczną? – Greg był

zdumiony i zadowolony zarazem.

– Tak się złożyło, że dzisiaj nauczyłam się tego na kursie, na który uczęszczamy razem z Heidi.

– Ależ mam szczęście! Nie muszę ich fatygować. – Mąż Marilyn nie posiadał się z zadowolenia z powodu tak pomyślnego zbiegu okoliczności.

Andy napisał: „Zapytaj o hasło oraz o jego adres internetowy”.

W ciągu kilku minut informacja została wprowadzona do komputera i wysłana.

– Już jest na moim ekranie. Nie wiem, jak ci dziękować.

Kto prowadzi ten kurs? Bardzo szybko nauczyłaś się obsługiwać komputer.

505

Ria przypomniała sobie, że Hubie był przyjacielem zmarłego Dale'a.

– Pewien młody człowiek... nie zapamiętałam jego nazwiska.

– Nieważne. Kimkolwiek jest, uratował nas dzisiejszego wieczora.

Odłożyła słuchawkę i spojrzeli na siebie z Andym. Jeden most niemal przez przypadek został pokonany.

– Skoro na Hawajach myślą, iż jesteś ekspertem w dziedzinie informatyki, najwyższy czas, abyś nim została.

Zastanawiała się, czy Andy nie siedzi trochę za blisko niej.

– Wezmę moje notatki. – Poderwała się z miejsca i poszła po kartki, które Hubie rozdał wszystkim uczestnikom kursu.

Brat Grega rzucił okiem na papiery.

– Mój Boże! Hubie Green! To jeden z tych chłopaków, którzy byli razem z Dale'em w noc wypadku.

Ria zmierzyła go wzrokiem.

– Dlaczego nie powiedziałaś mi, że Dale nie żyje! Męż-

czynna był zdziwiony i wstrząśnięty.

– Chyba o tym wiedziałaś!

– Nie miałam zielonego pojęcia, dopiero dzisiaj przez przypadek dowiedziałam się od Heidi.

– Ale wspominałaś o jego pokoju oraz o tym, jak wszystko leży tam porozkładane.

– Sądziłam, że jest także na Hawajach. A na moje pytanie, kiedy wraca, odpowiedziałaś, że na jesieni.

– Och, Boże! Myślałam, że masz na myśli Grega.

Na moment zapadła cisza, kiedy oboje uświadomili sobie owo fatalne nieporozumienie.

– Marilyn i Greg wciąż nie mogą przyjść do siebie po tej tragedii i nie potrafią o niej rozmawiać. Wzmianka o tym, że znasz Hubiego Greena może na nowo ożywić wspomnienia o 506

tamtym wieczorze.

– Wiem – odpowiedziała Ria. – Dlatego udawałam, że nie znam nazwiska instruktora.

– Wydawałaś się bardzo wiarygodna – stwierdził Andy z podziwem.

– Czy wiesz, co najbardziej mnie dziwi? W domu jestem zawsze uczciwa i szczerą, a od momentu kiedy tu przyjecha-

łam, ciągle coś ukrywam i udaję; i to bez żadnego powodu.

– Och, zawsze jest jakiś powód – zauważył z uśmiechem.

– Źle pojmowana uprzejmość, jak sądzę – odrzekła ponurym tonem.

– W porządku, w takim razie musisz tylko nauczyć się obsługi Internetu i będziemy mogli przestać udawać, zgoda?

– Zgoda – odpowiedziała nieco zaniepokojona.

Jak na przyjaciela, siedział zdecydowanie zbyt blisko.

– Czy znasz kogoś, kto jest w sieci? – spytał.

– Hubiego! Powiedział, że w każdej chwili możemy mu przesłać wiadomość.

– Hubie.

– Czy coś nie tak? To miły chłopak.

– Jasne.

– Powiedz mi. Nie znam żadnych szczegółów. Absolutnie żadnych. Wyczułam, że Marilyn jest skryta i odniosłam wrażenie, że nie życzyłaby sobie, abym ją o cokolwiek pytała. Po-myślałam, że sama przekaże mi te informacje, jakie uzna za stosowne, ale nie było ich wiele.

– Masz do niej o to żal?

– Uważam, że powinna była powiedzieć mi o śmierci swojego syna. Ja nie chciałam, żeby zaskoczyły ją rewelacje połowy mieszkańców Dublina o biednej Rii – tej starej poczciwej Rii, którą mąż porzucił dla nastolatki. A ponieważ wiedziałam, że nie będzie o nic wypytywać moich przyjaciół,

507
uznałam, iż ja również nie powinnam wyciągać żadnych szczegółów od jej znajomych... tylko że...

– Co takiego, Mario?

Wcześniej też nie używał skróconej wersji jej imienia i z jakiegoś powodu Ria była zadowolona, że zwraca się do niej inaczej niż wszyscy. Za sprawą tej formy cokolwiek zaszło pomiędzy nimi, lub co miało zajść, wykraczało poza ramy rzeczywistego czasu.

– Mam na myśli tajemniczość. W moim przypadku nie ma nic zagadkowego; to sprawa stara jak świat. Żonaty mężczyzna znajduje sobie nowszy, świeższy i młodszy obiekt zainteresowania. I rozstaje się z pierwszą żoną. Nagle okazuje się, że nic już ich nie łączy, ale tylko to jedno jest niepojęte.

– Mario, przestań, sprawiasz wrażenie bardzo rozgoryczonej.

– A co? Powinnam, twoim zdaniem, tryskać radością?

Moją historię przynajmniej łatwo zrozumieć. Sytuacja w tym domu wygląda jednak inaczej, zupełnie inaczej. Tamten pokój jest niczym świątynia. A wszyscy zachowują się tak, jak gdyby uczestniczyli w zмовie milczenia. Nikt ani słowem nie wspomniał przy mnie o wypadku...

– Chyba rozumiesz... – zaczął Andy.

– Nie, szczerze mówiąc, nie rozumiem. Czy wiesz, co powiedziałam twojemu bratu, kiedy do niego zatelefonowałam?

Zapytałam, czy Dale jest zadowolony z pobytu na Hawajach.

Włosy jeżą mi się teraz na głowie, ilekroć uświadamiam sobie, co Greg wtedy musiał o mnie pomyśleć.

– Na pewno zrozumiał, że Marilyn nie była w stanie zawiadomić cię o tragedii – odrzekł

uspokajająco Andy.

– Jest mi okropnie przykro z powodu tego, co się stało.

Weszłam ponownie do tamtego pokoju i zapłakałam z żalu nad dzieckiem, o którym sądziłam, że uprawia surfing w Honolulu.

508

Gorzko szlochałam, myśląc o tym, że nie żyje i został pogrzebany. Pomimo to nadal uważam, że powinniśmy były o tym porozmawiać. Nie chodzi o roztrząsanie faktów, do czego, zdaniem niektórych ludzi, my, Irlandczycy, mamy wyjątkowe skłonności, ale o powiadomienie mnie o tej sprawie. A Marilyn zostawiła tamten pokój niezmieniony, o niczym mnie nie informując. To nie jest normalne zachowanie, Andy. Ty również zamarłeś, słysząc imię tego chłopca od komputerów. Skoro nikt nie chce mi powiedzieć, co się stało, może zapytam o to Hubiego?

– Nie rób tego.

– Oczywiście, że nie zrobię. Uważam jednak całą tę sytuację za nieco dziwną.

– Myślisz, że my wszyscy tak nie uważamy?

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Jedynym naprawdę szczęśliwym małżeństwem, jakie znałem, był związek Marilyn i Grega. Od czasu owej nocy, kiedy zdarzył się wypadek, nie potrafią żyć ze sobą jak inni ludzie.

– Czy obwiniają się nawzajem o to, co się stało?

– Nie mogą mieć do siebie żadnych pretensji. Dale, Hubie oraz ci dwaj inni chłopcy mieli bzika na punkcie motocykli.

Byli jednak bardzo młodzi i nie mogli sobie pozwolić na ich kupno, a rodzice każdego z tych nastolatków prędzej wyrazili-by zgodę na heroinę we własnym domu niż na motor. W dniu urodzin Hubiego chłopcy wybrali się gdzieś razem, na jakiś piknik. Wiem o tym, ponieważ akurat wtedy byłem tutaj z wizytą. – Andy wstał z miejsca i zaczął krążyć po gabinecie. –

Wypili trochę piwa, natknęli się na dwa motocykle i uznali to za dar niebios.

– Znaleźli je?

– Tak, znaleźli i ukradli sprzed restauracji. Hubie oraz ten 509

drugi chłopiec, niejaki Johnny, który również zginął, mieli trochę w czubach, pozostali dwaj starsi koledzy byli od nich trzeźwiejsi. Poza tym kilka miesięcy w tym wieku ma duże znaczenie.

– Wiem o tym. – Ria pomyślała nagle o Kitty, o rok starszej od córki przyjaciółce Annie; tamta

zawsze wydawała się bardziej od niej dojrzała.

– Urządzili sobie „jazdę próbną”, jak zostało to potem określone w śledztwie, i kiedy wyjechali z zą rogu ulicy, jeden z motocykli zderzył się z ciężarówką. Nic dziwnego, ponieważ motor, na którego tylnym siedzeniu jechał mój bratanek, obejmując Johnny’ego w pasie, poruszał się po niewłaściwej stronie jezdni. Johnny poniósł śmierć na miejscu, Dale był

przez sześć miesięcy podłączony do aparatury podtrzymującej życie, a potem pozwolili mu odejść.

Siedzieli w milczeniu, rozmyślając o tragedii, jaka spadła na ten dom.

– Marilyn oświadczyła, że do końca życia nie wybaczy żadnemu z owych chłopców, choć Greg próbował ją przekonać, że nie zaznają spokoju, dopóki nie nauczą się sztuki przebaczenia.

Ria miała łzy w oczach.

– Czy to ich oddaliło od siebie?

– Przypuszczam, że tak. Greg niewiele o tym mówi. Dobrze wiesz, jak bezradni są mężczyźni, kiedy muszą opowiadać o własnych uczuciach.

– Nie jesteś w tym najgorszy. Z ogromnym współczuciem opowiedziałeś mi tę historię i wyczułeś, że nie kierowała mną zwykła ciekawość.

– Wiem, że nie – zapewnił ją Andy.

– Czy teraz rozumiesz moją potrzebę chronienia prywatności Marilyn i niechęć do wypytywania o cokolwiek Carlotty 510

I Heidi?

– Oczywiście. A ja mam nadzieję, że pojmujesz, dlaczego niewłaściwe byłoby dyskusowanie o przebiegu tamtego wieczora z Hubiem. Ten dzieciak i tak musi żyć z dużym obciążeniem: upił kolegów w swoje urodziny, jego przyjaciel Johnny prowadził skradziony motocykl, a on wraz z tamtym czwartym chłopakiem uszli z wypadku z życiem. Za godny podziwu uważam fakt, że Hubie podjął się prowadzenia kursu, aby w ten sposób zdobyć środki na opłacenie dalszej nauki.

– A jednak myślisz o nim z goryczą – zauważyła Ria.

– To nie z jego winy doszło do wypadku; nie zamierzał

nikogo zabić. – Andy starał się uciszyć jej niepokój.

– Niemniej znalazłam się w niezręcznej sytuacji. Przykro mi, że jestem zamieszana w całą sprawę.

– To wszystko w ogóle ciebie nie dotyczy, Mario. Pora odrobić lekcje.

Wysłali wiadomość Hubiemu, który odpisał: „Gratulacje, pani Lynch, jest pani urodzonym informatykiem”. Nadali również e-mail do Heidi.

– Padnie trupem, kiedy jej jutro powiedzą w pracy, że otrzymała ode mnie wiadomość! – Ria zanosła się śmiechem.

– Żałuję, że nie znam nikogo innego, kto miałby pocztę internetową – stwierdziła.

– Możemy przesłać list na adres mojego laptopa w hotelu –

zapropozował Andy.

– A ty wieczorem zadzwonisz do mnie, aby potwierdzić, że doszedł – powiedziała.

– A może jutro? – zasugerował delikatnie; dopiero po chwili dotarł do Rii sens jego słów. – Miło znowu słyszeć w tym domu śmiech – zauważył. – Ani ty, ani ja nie jesteśmy z nikim związani. I nikt nie poczuje się zdradzony ani skrzywdzony, jeśli spędzimy ze sobą resztę tego wieczora. Czyż nie

511
będzie nam miło? – Wziął pod brodę Rię i podniósł do góry jej twarz, przybliżając ją do siebie.

Z trudem przełknęła ślinę, próbując się odezwać. Andy wykorzystał to chwilowe milczenie i pocałował ją delikatnie, lecz zdecydowanie, a potem objął ramieniem.

Odsunęła się spłoszona. W tym roku kończyła trzydzieści osiem lat. Jej urodziny wypadały w listopadzie, w rocznicę śmierci Clarka Gable’a. I od czasu, kiedy miała dwadzieścia dwa lata, nikt jej nie całował; z wyjątkiem mężczyzny, który był nią znudzony i oświadczył jej, że z ich małżeństwa, tak szczęśliwego w jej mniemaniu, nic nie pozostało.

– Muszę ci coś wyjaśnić – powiedziała cicho.

– Czy to naprawdę konieczne?

– Tak. Spędziłam z tobą uroczny wieczór, lecz musisz zrozumieć, że ja nie...

– Wiem, wiem. – Całował teraz jej ucho, a dokładnie mó-

więc, delikatnie ocierał się o nie ustami, co dostarczało jej raczej miłych doznań.

– Andy, musisz mi wybaczyć, jeśli przekazywałam niewłaściwe sygnały. Od dawna nie spędziłam tak cudownego wieczora, naprawdę. Nie mam jednak ochoty posuwać się dalej. Nie prowadzę z tobą żadnej gry; nigdy tego nie robiłam –

nawet w czasach, kiedy byłam jeszcze podlotkiem i spotyka-

łam się z rówieśnikami. Wtedy również często zdarzało się, że chłopcy opacznie odczytywali moje zachowanie. I jeśli źle oceniłeś sytuację, w pełni ponoszę za to winę. Nie mam wielkiego

doświadczenia w takich sprawach.

– Kiedy ukryłaś przed moim bratem, że tutaj jestem, po-myślałem, że mogę żywić pewne nadzieje – wyjaśnił.

– Rozumiem. – Zdawała sobie sprawę z tego, że miał cał-

kowite podstawy, aby w taki sposób zinterpretować jej zachowanie.

512

– Zgadzam się z tobą, że wieczór był bardzo udany. I nie musi zakończyć się w łóżku, choć ów finał byłby o wiele sympatyczniejszy. Skoro jednak scenariusz ten nie wchodzi w rachubę, przynajmniej zapamiętajmy miłe momenty.

– Wszystkie były miłe. – Uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością, mógł się przecież odwrócić do niej plecami, zirytowany, że go wprowadziła w błąd.

– Na przykład irlandzkie placki, na myśl o których aż się robi ciepło na duszy – powiedział.

– I cesarska sałatka, królowa cesarskich sałatek – dodała Ria.

– Oraz biszkoptowe ciasto z truskawkami! Na upieczonym w domu spodzie!

– A także wyborne, schłodzone białe wino!

– Rzeczywiście, mamy co wspominać. Sprawdź przed pójściem spać pocztę internetową. Może się okazać, że czeka tam na ciebie jakaś wiadomość – powiedział Andy na pożegnanie i wyszedł.

– Posprzątała po kolacji i poszła do gabinetu, aby się przekonać, czy nie ma dla niej listu. Były dwa. Jeden od Hubiego:

*]To tylko test, pani Lynch. Chcę się upewnić, czy potrafi pani również odbierać wiadomości. Hubie Green]*Nadawcą drugiej wiadomości był Andy:

*]Dawno nie spędziłem tak miłego wieczoru, za który serdecznie dziękuję. Z całą pewnością przyjadę na zjazd absolwentów. Gdyby istniała możliwość wcześniejszego spotkania, byłbym zachwycony. Twój nowy przyjaciel, Andy Vine]*Nie do uwierzenia! Stara nudziara, Ria Lynch – biedna, opuszczona i potwornie nudna Ria miała nowego przyjaciela, Andy'ego Vi-ne'a! I gdyby stanowczo nie odmówiła, mogłaby mieć również 513

kochanka o tym samym imieniu i nazwisku. Przyjrzała się sobie w lustrze w holu, zastanawiając się, jak by to było. Nigdy nie kochała się z żadnym innym mężczyzną oprócz Danny'ego

– który tak dobrze znał jej ciało i dawał jej tyle rozkoszy.

Rozebranie się przy Andym wprowadziłoby ją w straszliwe zażenowanie. Jak inni mogli to robić –

nawiazywać intymne stosunki z dopiero co poznanymi partnerami? Ludzie pokroju Rosemary? Ale ta nie musiała przejmować się własnym wyglądem, ponieważ zawsze był niemal doskonały. Ria umarłaby ze wstydu, że jej pośladki wydadzą się obwisłe, a nagie ciało zwiotczałe. I w pewnym sensie z ulgą przyjęła fakt, iż oszcze-

dzony jej został rytuał poznawania cudzego ciała oraz strach przed ewentualną krytyką własnego. A jednak miło było ponownie znaleźć się w objęciach mężczyzny i mieć świadomość, że znowu wzbudza w kimś pożądanie.

Westchnęła i weszła do pokoju Dale'a. Przerzuciła zapiski w jego notatniku, zdjęcia motocykli, reklamy oraz wycinki prasowe o różnych bohaterach-motocyklistach. Marilyn miała tyle silnej woli, żeby to wszystko tutaj zostawić – wspomnienia o maszynie, która zabiła jej jedyne dziecko – a nie potrafiła powiedzieć o śmierci syna kobiecie, która zamieszkała w jej domu. Rzeczywiście jest bardzo skomplikowaną osobą.

Marilyn odrzuciła wiele zaproszeń i zaczęła się obawiać, że taką postawą urazi bliskich swojej zmienniczki. Postanowiła więc przyjąć kolejne i wybrać się na wycieczkę z Hilary, wiecznie niezadowoloną i niezbyt sympatyczną siostrą Rii. Ta kobieta była bardzo natarczywa i wielokrotnie telefonowała, proponując wspólny piknik na wybrzeżu. Marilyn pomyślała, że z przyjemnością znowu popływa. A poza tym powiedziała sobie, że jest godną przeciwniczką wszystkich wścibskich Ir-landek. Wystarczało udzielać wymijających odpowiedzi, wypytywać o sprawy dotyczące ich samych i miała problem z 514

głowy: nie musiała robić nic innego, tylko siedzieć i słuchać.

Hilary zjawiała się, tryskając energią i robiąc wiele szumu.

– Korzystając z pociągu, ominiemy godzinę szczytu, teraz to najlepszy środek lokomocji – oznajmiła.

– Dobrze. Jestem otwarta na wszelkie propozycje.

– Miłosierny Boże! Ria oszaleje, kiedy zobaczy, co zrobi-

łaś z jej ogrodem! Szukałaś skarbu czy co?

– Usunęłam trochę zdiczałych krzewów, to wszystko.

Obiecuję, że kiedy wróci, ogród będzie się prezentował doskonale. Twoja siostra ma bardzo piękny dom, prawda? –

zmieniła temat Marilyn.

– Powiem ci szczerze, co o tym myślę. Uważam, że Ria i Danny zbyt łatwo doszli do pieniędzy, a tego rodzaju rzeczy zwykle się obracają przeciwko ludziom.

– Co właściwie masz na myśli? Możemy się napić kawy czy musimy niezwłocznie wyruszać w drogę?

– Myślę, że zdążymy się napić kawy. Nie ugotowałaś ani nie upiekłaś niczego? – Hilary omiotła wzrokiem kuchnię z wyrazem dezaprobaty na twarzy, podobnie jak Brian, rozglądając się za czymś, czego nie było.

– Nie. Przecież wybieramy się na wycieczkę. – Amerykanka sprawiała wrażenie zdumionej.

– Sądziłam, że urządzimy sobie piknik.

– Wspaniały pomysł! Nie ma tam jakichś delikatesów?

– Co proszę?

– Sklepu, gdzie mogłybyśmy kupić jedzenie na piknik.

– Zakupy w każdej z tych nadmorskich miejscowości by-

łyby równie kosztowne, jak posiłek w restauracji. Miałam na myśli kanapki.

Marilyn zaczęła gorzko żałować, że wyraziła zgodę na tę eskapadę, ale było już za późno.

– Możemy ugotować dwa jajka na twardo, zabrać ze sobą 515

parę pomidorów, kilka plasterków szynki oraz chleb i masło.

Czy to nam wystarczy?

Hilary wyraźnie powrócił dobry humor. Obie przygotowa-

ły piknik składający się z podstawowych składników, złapały autobus na dworzec kolejowy, a stamtąd wyprawiły się pocią-

giem do Dun Laoghaire. Jechały wzdłuż południowego wybrzeża i Marilyn z zachwytem komentowała wszystko to, co widziała.

– Oboje z Martinem byliśmy pewni, że spodoba ci się ta wycieczka – stwierdziła Hilary z zadowoleniem.

– Opowiedz mi, jak poznałaś swego męża – poprosiła Marilyn.

I wysłuchiwała radosnej historii, wygłoszonej z ogromną dumą: o domu kupionym za uciulane pieniądze, o dokonanych inwestycjach, o sumach odłożonych na czarną godzinę oraz o poczynionych oszczędnościach. Po wyjściu z pociągu ruszyły na piechotę do miejsca, gdzie miały pływać. Kiedy szły brzegiem błyszczącego i zimnego morza, Hilary rozwodziła się o cenach nieruchomości, o braciach Martina i ich małych gospodarstwach na zachodzie kraju oraz o przypadkach ciąży wśród czternastolatek w szkole, gdzie Martin uczył, a ona pracowała w sekretariacie.

Kiedy dotarły do kąpieliska, Marilyn aż krzyknęła z zachwytem:

– Spójrz! Wieża Martello i muzeum Joyce’a! Wiem, gdzie jesteśmy. Tu rozpoczyna się akcja „Ulissesa”. To dokładnie to miejsce.

– Tak, rzeczywiście. – Hilary najwyraźniej nie przejawiała wielkiego zainteresowania Jamesem Joyce’em.

Zwróciła uwagę Marilyn na liczne fotografie znaku z napisem: „Czterdzieści stóp plaży wyłącznie dla panów”. Pamię-

tała opowieść swojej matki o pierwszej kąpeli w owym miej-516

scu feministek, które zażądały zwrotu tego odcinka plaży i oddania go wszystkim użytkownikom.

– Ależ to, z pewnością, nie mogło mieć miejsca w czasach, kiedy już żyła twoja matka.

– Prawdopodobnie wydarzyło się nawet za mojego życia.

W tym roku kończę czterdzieści lat – stwierdziła ponuro Hilary.

– Ja też – wyznała Marilyn.

Była to pierwsza oznaka solidarności pomiędzy tymi dwiema tak diametralnie różniącymi się od siebie kobietami.

Podczas wspólnej kąpeli Marilyn przemarzła do szpiku kości, a potem zjadły przygotowane wcześniej kanapki. Mówi-

ła głównie Hilary.

– Opowiedz mi o małżeństwie Rii – zaproponowała Amerykanka.

Hilary przedstawiła wszystkie fakty, jakie знаła. Mówiła o niespodziewanym oświadczeniu szwagra i jego odejściu z domu jeszcze tej samej nocy, o tym, że Barney McCarthy przestał

być złotym chłopcem, a jego kumple z kręgów politycznych okazali się bezsilni, co zapewne oznacza koniec dla Danny’ego Lyncha.

– Czy kiedykolwiek darzyłaś go sympatią?

– Zawsze martwiłam się z jego powodu o Rię. Był zbyt sprytny jak dla niej i za bardzo przystojny. Wielokrotnie to powtarzałam i okazało się, że miałam rację. Nie sprawiło mi to satysfakcji. Jestem szczęśliwa w małżeństwie i chciałabym, żeby jej było równie udane. A czy ty uważasz swój związek za szczęśliwy? – spytała nagle Hilary.

– Nie wiem – odparła Marilyn.

– Musisz wiedzieć.

– Nie, nie wiem.

– A co twój mąż o tym sądzi?

517

– On uważa, że jesteśmy dobraną parą. Ostatnio nie mamy sobie wiele do powiedzenia, ale pomimo to nalega, żebyśmy nadal żyli ze sobą normalnie.

– Masz na myśli seks? – spytała Hilary.

– Seks również. Kiedyś ta strona naszego małżeństwa była bardzo satysfakcjonująca. Teraz jednak byłaby pusta. Przed dwoma laty przeszłam zabieg usunięcia macicy. I chociaż czterdziestolatki mogą zachodzić w ciążę, ja nie mam już na to nadziei.

– Szczęściara z ciebie, że pomimo wszystko on nadal ma ochotę na te rzeczy. Ja nie mogę mieć dzieci, więc Martin jest zdania, że nie powinniśmy uprawiać seksu. I nie robimy tego.

– Nie wierzę – odpowiedziała ze zdziwieniem Marilyn.

– Naprawdę.

– Od jak dawna?

– Jesteśmy małżeństwem od szesnastu lat... Sądzę, że od jakichś ośmiu lat, kiedy nabrał pewności, że pozostaniemy bezdzietni.

– Wiedziałaś o tym przedtem?

– Tak, od samego początku. Byłam u wróżki, która mi to przepowiedziała.

– Uwierzyłaś jej?

– Całkowicie. Jej wszystkie przepowiednie okazały się trafne. – Hilary uprzątnęła pozostałości po pikniku i zapakowała je do papierowej torby.

Była tak niezwykle pewna siebie i głęboko o wszystkim przekonana – nawet o własnej, przepowiedzianej przez wróżkę, bezpłodności. Marilyn pomyślała, że Irlandia jest rzeczywiście bardzo osobliwym krajem.

– Czy ta kobieta posiada jakieś szczególne metafizyczne zdolności?

– Nie mam pojęcia; po prostu wie, co się stanie.

518

– Jest medium? Czy kontaktuje się ze zmarłymi?

– Nie sędzę – odrzekła Hilary. – Ale nie wiem tego na pewno. Interesowałam się tylko żywymi.

– O czym jeszcze ci powiedziała?

– Ze będę miała udane małżeństwo i że zamieszkamy w jakimś zadrzewionym miejscu, co jeszcze się nie potwierdziło.

Marilyn umilkła na moment, myśląc o kobiecie, uważają-

cej za udane swoje małżeństwo z mężczyzną, którego obchodziła jedynie wysokość stóp procentowych i który nie uznawał

seksu bez szansy na prokreację.

– Czy owa wróżka nadal mieszka w tej okolicy? – zapytała cicho.

Przez cały tydzień panowała wyjątkowo piękna pogoda.

Wszyscy to przyznali. Dzieci były opalone i zadowolone z wakacji.

– Czy możemy popływać pontonem, tato? – spytała Annie.

– Nie, Annie, to zbyt niebezpieczne.

– To po co go nam dali?

– Dali go nam, księżniczko, a nie wam, dzieciom.

– Pozwól im, Danny – wstawiła się za Brianem i Annie Bernadette.

– Nie, skarbie, nie znają się na sterowaniu.

– A jak inaczej mają się tego nauczyć? Czy nie wystarczy, jeśli będą pływać w zasięgu naszego wzroku? – Kompromisowe rozwiązanie zadowolilo wszystkich. Danny patrzył dumnie na swojego syna i córkę, którzy wiosłowali, płynąc małą łódką wzdłuż brzegu. – Doskonale sobie z nimi radzisz ani nie boisz się o nie. Ria chciałaby zaraz płynąć obok nich niczym kacza matka.

– Dzieci muszą mieć trochę swobody – stwierdziła Bernadette – jeśli nie chcesz, żeby cię znienawidziły.

519

– Wiem. Ciekaw tylko jestem, czy będziesz zachowywała się tak samo w stosunku do naszego dziecka.

Położył rękę na jej brzuchu i pomyślał o ich synu lub córce

– realnej istocie, która pojawi się w ich domu przed świętami Bożego Narodzenia.

– Oczywiście! – Spojrzała na niego zdumiona. – Chyba nie uważasz, że dzieci, wolne duchy, powinny być zapędzane do zagrody?

Danny uświadomił sobie, że właśnie tego rodzaju zagrodę zbudowali oboje z Rią i że to było powodem, dla którego tak rozpaczliwie potrzebował ucieczki. Położył dziewczynie głowę na kolanach i zamknął oczy.

– Prześpij się. Ja będę czuwała nad pontonem – obiecała Bernadette.

– Czy to nie zdumiewające? – Finola Dunne czytała dodatek w gazecie.

– Co mianowicie? – spytał Danny.

Nadal leżał nieruchomo na trawie, a Bernadette wyplatała coraz to nowe wianki ze stokrotek, które na nim rozkładała i niczym nici przywiązywała go do ziemi.

– Firma „U Polly” została wystawiona na sprzedaż! Od lat była to główna wypożyczalnia sukien w Dublinie.

– Nigdy nie zostanie wystawiona na sprzedaż! – Danny usiadł nagle.

– No cóż, w gazecie jest napisane, że jednak została.

Chwycił dziennik i sam przeczytał ogłoszenie.

– Muszę zatelefonować – oznajmił. – Gdzie się podziewają cholerne dzieciaki na tej przeklętej łodzi i dlaczego pozwoliłaś im wypłynąć?

– Ponton został zacumowany, kiedy spałeś, Danny, a dzieci poszły na lody. Proszę cię, zachowaj spokój. Na razie nie wiesz, czy dzieje się coś złego.

520

– Nie wiem, ale się domyślam.

– Jak sądzisz, co się stało? Czy twoim zdaniem fakt, że firma „U Polly” została wystawiona na sprzedaż, dowodzi bankructwa Barneya?

– I mając tę świadomość, nadal możesz pleść wianki ze stokrotek?

– Wolę pleść wianki niż dostać ataku serca – oświadczyła ze spokojem dziewczyna.

– Kochana, droga Bernadette. Być może niebawem świat runie nam na głowę. Ty jednak nie zdołasz tego pojąć; jesteś jeszcze dzieckiem.

– Wolałabym, żebyś nie mówił takich rzeczy. Nigdy nie kryłam się przed tobą z moim wiekiem – zauważyła.

– Muszę porozmawiać z Barneyem i dowiedzieć się wszystkiego. – Twarz Danny’ego była biała jak płótno.

– Powinieneś zaczekać, póki trochę nie ochłoniesz. W

obecnym stanie nie zdołasz niczego zrozumieć.

– Nie uspokoję się, dopóki nie będę wiedział wszystkiego.

Ale pewnie wtedy tym bardziej okaże się to niemożliwe. Nie mogę uwierzyć, że mnie nie zawiadomił. Jesteśmy przyjaciół-

mi. Często powtarzał, że uważa mnie niemal za swojego syna.

– Może właśnie dlatego, jeśli rzeczywiście ma kłopoty, trudniej mu powiedzieć o nich tobie niż komukolwiek innemu.

– Dla niej sytuacja była oczywista.

– Nie martwisz się ani nie jesteś przerażona?

– A czego miałabym się bać?

– Tego, co nas czeka.

– Masz na myśli ubóstwo? Oczywiście, że się nie boję.

Przecież nie zawsze byłeś zamożnym człowiekiem, Danny. I już raz przeżyłeś biedę, więc teraz też ją pokonasz.

– Ale to było kiedyś.

– Obecnie masz o wiele większą motywację do życia niż 521

wtedy.

Wziął jej dłonie w swoje ręce.

– Chciałbym dać ci wszystko. Pragnąłbym tobie oraz na-szemu dziecku przychylić nieba.

Uśmiechnęła się do niego typowym dla siebie powolnym uśmiechem, który go zawsze rozczulał. Nie powiedziała nic więcej. Jej reakcja sprawiła, że poczuł się zadowolony z siebie i dumny.

Bernadette nie trudziła się obmyślanie najlepszej strate-gii. Nalegała tylko, żeby się uspokoił, a potem się wycofała.

Pozostawiła mężczyźnie radzenie sobie z problemami życia.

– Gdzie jest tata? – spytała Annie. – Przynieśliśmy dla niego lody w polewie czekoladowej.

– Poszedł zatelefonować – wyjaśniła Bernadette.

– Jak długo go nie będzie? Czy powinniśmy je zjeść, jak sądzisz? – Brian oczekiwał wskazówki.

– Przypuszczam, że tak – odparła Bernadette.

– Mówi Danny.

– Ależ udała ci się pogoda! Założę się, że nad rzeką jest teraz pięknie. – Barney sprawiał wrażenie, że cieszy się przez wzgląd na swego rozmówcę.

– Co słyhać, Barney?

– Widzę, że podobnie jak ja, nie potrafisz przestać myśleć na urlopie o sprawach zawodowych.

– Szukałeś mnie? Nie zapłaciłem rachunku za mój telefon w samochodzie i telefonuję z baru.

– Nie, nie szukałem ciebie. Chciałem, żebyś spokojnie wypoczął. – Wydawał się pogodny.

– Czytałem gazetę – oznajmił Danny.

– Gazetę?

522

– I widziałem ogłoszenie o wystawieniu na sprzedaż wy-pożyczalni strojów „U Polly”.

– Tak, rzeczywiście, została wystawiona.

– Co to oznacza, Barney?

– To, że Polly chce się wycofać z biznesu. Otrzymała bardzo korzystną ofertę i badamy rynek, czy nie pojawi się lepsza propozycja.

– Bzdura. Polly z pewnością nie chce się z niczego wyco-fywać, ale niewiele może powiedzieć w tej sprawie.

– Twierdzi, że ma dość prowadzenia interesów. Dobrze wiesz, że kobiety są... nieprzewidywalne.

Danny zbyt często słyszał, jak Barney w ten sposób rozmawia z klientami. A także z księgowymi, prawnikami, poli-tykami oraz dyrektorami banków. Z każdym, komu trzeba było zamydlić oczy. Używał prostych argumentów, mówił pogodnym, a nawet nieco zdziwionym tonem. W przeszłości owa metoda zawsze okazywała się niezawodna, dotychczas jednak nigdy nie wypróbował jej na Danny'm. Nagle zaświtała mu w głowie pewna myśl:

- Czy ktoś jest obecny przy naszej rozmowie?
- Nie, nie ma nikogo, a dlaczego pytasz?
- Nie jesteśmy zrujnowani, powiedz, Barney? Nie owijaj niczego w bawełnę.
- O co ci chodzi?
- Dobrze wiesz, o co. Czy radzimy sobie z trudnościami i czy mamy w banku jeszcze jakieś pieniądze?

Barney się roześmiał.

- Uspokój się, Danny. Czyżby słońce rozmiękczyło ci umysł? Czy kiedykolwiek byliśmy w kłopotach? Obracamy się w świecie, gdzie życie na kredyt jest sprawą normalną.
- Mam rozumieć, że i tym razem wykaraskamy się z tarapatów?

523

- Dotychczas zawsze nam się to udawało.
- Nigdy przedtem nie musiałeś wystawiać na sprzedaż firmy Polly.
- Nie muszę jej sprzedawać. – W głosie szefa zabrzmiał

ledwo słyszalny złowrogi ton. Danny się nie odezwał. – Więc jeśli to wszystko, o co mnie chciałeś zapytać, spokojnie odpoczywaj, abyś w poniedziałek po powrocie był w dobrej formie.

- Jeśli mnie potrzebujesz, mogę natychmiast wrócić. Zostawię tutaj rodzinę i od razu przyjadę.
- Do zobaczenia w poniedziałek – powiedział jego rozmówca i odłożył słuchawkę.

Danny zamówił małą brandy, aby powstrzymać lekkie drżenie dłoni. Barman zmierzył go pełnym współczucia spojrzeniem.

- Życie rodzinne w ciasnej łodzi może stać się nieco męczące – stwierdził.

- To prawda – odrzekł Danny z roztargnieniem. Przebywał myślami daleko, w biurze Barneya McCarthy’ego.

Podczas rozmowy telefonicznej został odprawiony z kwitkiem. Nie wyolbrzymiał problemu – zbyt często był świadkiem, jak jego szef obchodził się w ten sposób z innymi ludź-

mi. A teraz on musiał znosić podobne traktowanie.

– Dużo ma pan dzieci? – spytał barman.

– Dwoje i jedno w drodze.

– O Boże, te wakacje muszą być dla pana istnym piekłem –

zauważył mężczyzna, który prowadził bar nad brzegiem jeziora, lecz choć stykał się z różnymi typami ludzi, nigdy nie widział kogoś o tak bladej i zestresowanej twarzy.

– Wybieram się razem z twoją siostrą do wróżki – oznajmiła Marilyn Rii przez telefon. – Czy mogę wziąć twój samochód?

524

– Chodzę na lekcje obsługi Internetu razem z twoją przyjaciółką Heidi. Czy mogę poćwiczyć na twoim laptopie?

Sheila Maine była zachwycona na wieść o tym, że Ria spędza urlop w Stanach. Gertie nie zawiadomiła siostry o planach swojej przyjaciółki i telefon od Rii był dla Sheili miłą niespodzianką.

– Czy Gertie często do ciebie pisuje?

– Zwykle raz w tygodniu przysyła list pocztą lotniczą.

Opowiada mi o wszystkim, co się u was dzieje.

Rii załomotało serce na myśl o życiu w świecie fantazji, jakiego potrzebowała biedna Gertie, musząc pisać sprawozdania z wymaginowanych szczęśliwych wydarzeń.

– Gertie jest w znakomitej formie, często ją widuję – powiedziała.

– Wiem o tym. Pisała, że często u ciebie bywa.

– To prawda – przyznała Ria. Przyjaciółka nie wyjaśniła siostrze w listach powodu swojej częstej obecności w domu przy Tara Road ani nie napisała, że większość czasu spędza tam na czworakach przy szorowaniu podłóg, ażeby w ten sposób zarobić pieniądze na wódkę dla Jacka. Ludzie musieli mieć jednak pewną sferę godności – i ta należała do Gertie. – Czy odwiedzisz mnie w Westville? Zamieszkałam tutaj na okres wakacji w bardzo pięknym domu. Za kilka tygodni dołączą do mnie moje dzieci.

Sheila zapewniła, że chętnie przyjedzie do niej w sobotę ze swoimi pociechami – Max z powodu zmianowego systemu pracy nie mógł jej towarzyszyć. Obie kobiety dzieliła zaledwie godzina jazdy samochodem.

– I powiedz swojemu przystojnemu mężowi, że nie mogę się doczekać na ponowne spotkanie z nim. Był niezwykle dla nas serdeczny, kiedy bawiliśmy u was z wizytą na Tara Road.

Ria przeżyła wstrząs, uświadamiając sobie, że w listach Gertie o Dublinie jako miejscu z marzeń nie mogło być wzmianki o jakiegokolwiek dysharmonii pożycia małżeńskiego

– i to nie tylko w jej własnym związku. Postanowiła więc wstrzymać się do czasu wizyty z wyjawieniem Sheili swojej historii. Udzielanie wyjaśnień przez telefon byłoby zbyt długie i zbyt nużące. Ta często już powtarzana opowieść dla niej samej zresztą stawała się za każdym razem coraz mniej zrozumiała. Ludzie sądzili, że Ria zdołała pogodzić się ze swą stratą, tymczasem ona w głębi duszy nadal liczyła na to, że pewnego dnia zadzwoni telefon i usłyszy głos Danny’ego, który powie:

„Skarbie, przebaczysz mi?” – albo: „Czy nie moglibyśmy za-czać wszystkiego od nowa?”.

Na oba te pytania miała gotowe odpowiedzi, za każdym razem twierdzące i szczere. Kochała tego mężczyznę, a wszystko, co się stało, było tragiczną pomyłką powstałą na skutek serii wypadków, które nagromadzone wymknęły się spod kontroli. Ria wmawiała sobie, że jeśli nie będzie zbyt mocno chcieć, modlić się ani żywić zbyt głębokiej nadziei, marzenie się ziści.

Rosemary stwierdziła, że pani Connor jest zdumiewającą kobietą i że Marilyn będzie nią zadziwiona. Marilyn pomyśla-

ła, że przyjaciółka Rii wygląda dzisiaj wyjątkowo efektownie w strojnej różowej, jedwabnej sukni. Tego rodzaju kreacja by-

łaby bardziej odpowiednia dla gościa na weselu niż dla pani domu, która przyjmuje u siebie sąsiadkę. Rosemary podała herbatę w pięknym ogrodzie na dachu, gdzie podziwiała rośliny pielęgnowane przez ogrodnika.

Rosemary oświadczyła, że pani Connor powinna być przesłuchana przez komisję do spraw nadużyć finansowych. Niczego nie potrafiła przewidzieć, nie wyjawiała żadnych rewe-

lacji na temat przyszłości, inkasowała jednak majątek za swoje wróżby, a przy tym miała coraz bardziej chorowity oraz zubo-

żały wygląd.

– Byłaś u niej? – zdumiała się Marilyn.

– Tak, kilka razy. Jako młode dziewczyny jeździłyśmy tam razem z Rią i Gertie.

– I co ci powiedziała?

– Nie dowiedziałam się od niej dosłownie niczego, lecz kiedy mówiła, na jej twarzy malował się wielki ból i niepokój.

Za każdym razem odstawiała niezłe przedstawienie, muszę to przyznać. – Rosemary starała się być uczciwa.

- Ale przecież coś ci musiała powiedzieć?
- Oświadczyła, że jestem złą przyjaciółką. – Wybuchnęła śmiechem.
- A jesteś? – Marilyn miała nieco irytujący sposób zadawania bezpośrednich pytań.
- Nie sądzę, ażeby w moim przypadku była to szczególnie trafna ocena. Choć, co prawda, jestem kobietą biznesu, a w interesach nie można się kierować względami przyjaźni.
- Domyślam się.
- W ubiegłym tygodniu wyświadczyłam jednak ogromną przyjacielską przysługę Polly Callaghan. Zwróciła się do mnie z prośbą o wydrukowanie broszury: kolorowej i w najlepszym stylu. Wiedziałam, że rachunek za tę usługę prawdopodobnie nigdy nie zostanie zapłacony, lubię jednak Polly i nie chciałam narażać na szwank naszej przyjaźni, dlatego zaproponowałam jej wymianę: „Ja wybiorę sobie coś z twojego sklepu, a ty będziesz miała druk za darmo”. I tak weszłam w posiadanie tej oto sukni. Co sądzisz o mojej transakcji wymiennej?
- Czy ta kobieta wie, dlaczego to zrobiłaś?
- Być może. – Rosemary się zamyśliła. – Jednakże Barney McCarthy z pewnością będzie wiedział, kiedy mu o tym powie.

527

Ale nie mówmy już na ten temat. Co cię skłania do złożenia wizyty pani Connor? – zwróciła się do gościa.

– Chcę porozmawiać ze zmarłymi – odparła Marilyn.

I po raz pierwszy w swoim życiu zwykle opanowana i pewna siebie Rosemary Ryan zapomniała języka w gębie.

Marilyn doszła do wniosku, że skoro ma zawieźć Hilary do tego zapomnianego przez Boga miejsca, gdzie auta zostawia się w szczerym polu, musi nabrać nieco większej wprawy w kierowaniu pojazdem. W swoim rodzinnym kraju jeździła samochodem z automatyczną skrzynią biegów, ale umiejętność zmiany biegów nie była jej całkiem obca. Wszyscy ostrzegali ją przed ruchem ulicznym w Dublinie, gdzie trzeba walczyć o miejsce do zaparkowania, a kierowcy w ostatniej chwili sygnalizują zmianę pasa ruchu. Pomimo to nie była przygotowana do dramatycznej sytuacji, gdy o włos uniknęła wypadku podczas swojej pierwszej przejażdżki po mieście. Roztrzęsiona zajęchała pod dom przy Tara Road pod numerem szesnastym.

Colm zauważył jej zdenerwowanie, kiedy wysiadała z samochodu, i spytał, czy dobrze się czuje.

– Przysięgam, że przechodnie mają zwyczaj przebiegania przed samą maską – oświadczyła Marilyn.

– Omal nie przejechałem kilku osób. Wchodzą na jezdnię bez względu na kolor świateł.

Colm roześmiał się swobodnie.

– Pierwszy dzień jest zawsze najgorszy. Najważniejsze, że wróciłaś cała i zdrowa. Wygląda na to, że masz gości. –

Wskazał głową w kierunku furtki, gdzie pojawiła się Nora Johnson z Kleszczem.

– Hej-hej! Marilyn! – zawołała matka Rii.

– A niech to wszyscy diabli!

– O, nieładnie, moja droga – powiedział Colm, udając 528

dezaprobatę, i czym prędzej zrejterował do ogrodu na tyłach domu, pozostawiając ją samą z zadaniem radzenia sobie z przybyłymi gośćmi.

– Hilary i ja zamierzałyśmy zjeść razem lunch. Czy nie zechciałabyś się do nas przyłączyć?

– Dziękuję, pani Johnson, ale obecnie raczej nie czuję się na siłach, ażeby się stąd gdziekolwiek ruszyć... – zaczęła się wymawiać.

– Nic nie szkodzi. Możemy zjeść tutaj.

– Tutaj? – Marilyn potoczyła rozgorączkowanym wzrokiem po ogrodzie.

Matka Rii była już niemal wewnątrz budynku.

– Czyż tak nie będzie łatwiej i sympatyczniej? – zapytała.

Nie należała do osób, które wyczuwają, że nie są gdzieś mile widziane. I pozwoliła się zbyć czymś oziębłym zachowaniem. Prawdę mówiąc, nie było na tyle dobitnej wskazówki, która by ją ruszyła z miejsca.

Do diabła, powiedziała do siebie Marilyn. Sprostałam ru-chowi ulicznemu w Dublinie, więc z lunchem też sobie poradzę. Zmuszając się do uśmiechu, skinęła na matkę Rii, zapraszając ją, żeby weszła do środka.

Niedługo potem zjawiała się Hilary.

– Mama powiedziała, że mamy się tutaj spotkać. Dokąd się wybierzemy?

– Marilyn zamierza ugotować dla nas posiłek – oznajmiła z zadowoleniem Nora.

– Zupełnie jak w dawnych czasach, kiedy przesiadywały-

śmy w tej kuchni – zauważyła Hilary, sadowiąc się radośnie za stołem. – Co będziemy jeść?

W lodówce Rii znalazło się kilka kawałków kurczaka, a w drucianym koszu było parę ziemniaków z warzywnika.

– Obiorę kartofle – ofiarowała się Hilary.

529

– Dziękuję – odpowiedziała Marilyn, starając się zapamię-

tać przepis przymocowany do drzwiczek kredensu. Nie wydawał się zbyt zawiły, a wszystkie niezbędne składniki, takie jak: miód, sos sojowy oraz imbir były pod ręką.

Kleszcz usadowił się w swoim koszyku, a Klemens na jednym z krzeseł. W kuchni toczyło się życie jak w dawnych czasach, z tą jedynie różnicą, że miejsce przy garnkach zajęła inna kobieta.

Annie i Brian przypomnieli sobie o pewnym bardzo waż-

nym fakcie. Jeśli Klemens miał wystąpić na wystawie kotów, jeszcze dzisiaj należało doręczyć formularz organizatorom im-prezy.

– Za dwa dni wrócić do Dublina – zaprotestowała Finola.

– Wtedy będzie już za późno – jęknęła dziewczynka. – Liczyliśmy na to, że Klemens zdobędzie najwyższe trofeum.

Formularz prawdopodobnie leży na stole w holu na Tara Road wraz z inną pocztą.

Bernadette wzruszyła ramionami. Tego rodzaju drobne fakty zwykle decydowały o tym, czy życie było postrzegane przez ludzi jako dobre czy też nieudane. Bernadette ze zrozumieniem odniosła się do problemu, lecz nie zaproponowała żadnego rozwiązania. Danny poszedł do telefonu i nie mógł służyć im pomocą.

Finola Dunne zawsze potrafiła w porę dostrzec krytyczną sytuację.

– Idźcie i zatelefonujcie do pani Vine – zaproponowała.

Gertie zadzwoniła do drzwi domu przy Tara Road pod numerem szesnaście.

– Nigdy w życiu nie byłam w tak niezręcznej sytuacji, Marilyn.

530

– Tak? – Marilyn była zarumieniona i zaniepokojona. Kleista maż z miodu, sosu sojowego i imbiru przywierała do dna rondla, podczas gdy kurczak wciąż był surowy.

– Wiem, że termin sprzątnania wypada jutro... ale czy mo-głabym przyjść już dzisiaj?

- Wybrałaś nieodpowiedni moment, Gertie. Właśnie przygotowuję lunch.
- Niezmiernie by to ułatwiło moją sytuację domową, gdybym mogła...
- Bardzo mi przykro. Ale jeśli pragniesz się wyrwać na chwilę z domu, może zechcesz towarzyszyć matce Rii i jej siostrze podczas lunchu?

Aż huczało jej w głowie. Wciąż nie mogła się uspokoić po pierwszej próbie radzenia sobie z ulicznym ruchem w Dublinie. W dodatku pod okiem pary czujnych zwierząt gotowała właśnie skomplikowaną potrawę dla gości, których wcale nie zamierzała przyjmować. A teraz proponowała jeszcze tej bardzo zestresowanej kobiecie, ażeby się do nich przyłączyła.

- Dziękuję ci, Marilyn, chodziło mi o coś zupełnie innego.
 - Tamta nerwowo wykręcała dłonie i miała wystraszone spojrzenie.
 - A zatem o co, Gertie? Przepraszam, lecz nie rozumiem, co masz na myśli...
 - Czy mogłabyś już dzisiaj zapłacić mi za jutrzejsze sprzą-
- tanie, a ja oczywiście wywiążę się z moich obowiązków w normalnym terminie... – Wyartykułowanie tej prośby kosztowało ją niemało wysiłku.

A Marilyn jej wysłuchanie. Zarumieniła się z zażenowania.

- Tak, oczywiście – bąknęła i poszła szukać portfela. –

Czy możesz mi rozmiąć pieniądze? – spytała bez zastanowienia.

- Gdybym je miała, nie przysłabym cię prosić o jutrzejszą 531 zapłatę.

- Oczywiście, cóż za głuptas ze mnie. Proszę, weź ten banknot.

- Pokryje koszty jutrzejszego sprzątnięcia, a także przyszło-tygodniowego.

- Oczywiście, jeśli sobie tego życzysz.

- Możesz zatelefonować do Rii do Ameryki. Potwierdzi, że zawsze wywiążę się z zobowiązań.

- Jestem tego pewna, no cóż, zatem do zobaczenia...

Marilyn zeszła po schodach na dół zaczerwieniona i wzburzona rozmową.

- To Gertie – oznajmiła pogodnym tonem. – Nie mogła z nami zostać.

- Oczywiście, że nie. Musi zanieść Jackowi pieniądze na wódkę – wyjaśniła zwięźle Nora Johnson.

W tym momencie wszystkie uświadomiły sobie, że kleista maź na dnie jednego z rondli, która przypominała swoim wyglądem masę toffi, stoi w płomieniach.

– Nie da się już uratować tego garnka, a był bardzo drogi –

oświadczyła ponuro Hilary.

Pozostawiły naczynie do odmoczenia, Marilyn zaś zabrała się od początku do roboty. Na szczęście, jak zauważyła siostra Rii, nie zmarnowały się filety z kurczaka, tylko sam sos.

Zabrzączał telefon. Annie i Brian odezwali się znad rzeki Shannon. Czy Marilyn byłaby tak miła i odszukała zgłoszenie?

Ponownie weszła po schodach na górę do frontowego pokoju, gdzie przechowywała na kredensie starannie ułożoną pocztę.

Znalazła formularz i oddzwoniła do dzieci do pubu, gdzie czekały na wiadomość od niej.

– Wspaniale – powiedział Brian. – Teraz musisz tylko zawieźć go pod wskazany adres i uiścić opłatę w wysokości jednego funta.

532

– No dobrze, ale...

– Bardzo dziękujemy, byłoby nam bardzo przykro, gdyby Klemens nie uczestniczył w pokazie. – Annie przejęła słuchawkę.

– Ale nie muszę go oprowadzać po wybiegu? – spytała z niepokojem Marilyn.

– Nie, zwierzęta przez cały czas znajdują się w klatkach.

Szczerze mówiąc, chętnie sama bym go tam zabrała, ale skoro ty jesteś na miejscu...

– Dobrze, zobaczymy. – Z ulgą zakończyła rozmowę.

– Czy mają udane wakacje? – Nora prychnęła, jak gdyby było to mało prawdopodobne.

– Nie pytałam ich o wakacje – odparła Marilyn i krzyknęła głośno, ponieważ spostrzegła, że pali się drugi garnek, a żadna z obu kobiet, przyzwyczajonych do niepodzielnych rządów Rii Lynch w kuchni, nie kiwnęła nawet palcem, ażeby go uratować.

Czy po to przebyła taki szmat drogi i znalazła się w Irlandii, aby w tak absurdalny i wyczerpujący sposób spędzać czas?

I pozwalać, aby zupełnie obcy ludzie wplątywali ją w swoje sprawy?

W skrzynce pocztowej na Tudor Drive czekał list od ma-my.

Kochana Rio, Powinnam częściej do Ciebie pisać, ale Bóg świadkiem, że doba wydaje się za krótka. A skoro już mowa o Bogu: mam nadzieję, że znalazłaś jakiś katolicki kościół w miejscowości, gdzie się zatrzymałaś, aby moje wnuki mogły w niedziele chodzić na msze. Marilyn powiedziała, że podała Ci wszystkie szczegóły, łącznie z numerami telefonów oraz godzinami nabożeństw. Przede mną nie musisz udawać, że jesteś 533

praktykującą katoliczką, ponieważ zbyt dobrze Cię znam. Marilyn nie bywa w naszym protestanckim kościele, lecz być może jest wyznania żydowskiego. Nie chciałabym jej jednak sugerować synagogi. Jako dorosła kobieta sama musi decydować o sobie. Jestem ostatnią osobą, która miałaby ochotę mieszać się w cudze sprawy.

Na początku była trochę sztywna, sądzę jednak, że obecnie już przystosowała się do naszego trybu życia. Matka nie powinna krytykować przyjaciółek córki i nie zamierzam tego robić, wiesz jednak, że nigdy nie lubiłam i na pewno nie polubię lady Ryan, a Gertie uważam za osobę słabego charakteru i niewydarzoną istotę, która w pełni zasługuje na swój los, skoro potulnie się z nim godzi. Marilyn wszakże jest inna; można z nią ciekawie o wszystkim porozmawiać i posiada rozległą wiedzę na temat kinematografii. Jeździ Twoim samochodem jak szalona i spaliła Ci dwa rondle, które już odkupiła. Pierwszego sierpnia skończy czterdzieści lat. Jestem o dwadzieścia siedem lat od niej starsza, a pomimo to potrafię się z nią porozumieć.

Podejrzewam, że sypia z Colmem Barrym, choć nie jestem tego pewna. Cudzołożnik Barney McCarthy wciąż grasuje po mie-

ście. Dzieci wracają jutro ze swoich absurdalnych wakacji na łodzi. Zamierzam zaprosić Annie na pizzę i dowiedzieć się o wszystkich dramatycznych szczegółach ich pobytu nad rzeką.

Annie marzy o tym, żebym zabrała również jej przyjaciółkę Kitty, może więc dołączymy ją do towarzystwa, a potem obie wrócą do domu.

Twoja kochająca mama Ria z wściekłością spojrzała na znaczek. Od czasu kiedy jej matka napisała ten list, upłynęło całe pięć dni. Pięć długich dni. A ona nie miała zielonego po-jęcia o niczym, co się tam dzieje. System przyjacielskiej pomocy okazał się zawodny, skoro nikt nie przekazał jej żadnej z tych doniosłych wieści. Była ósma rano; Ria sięgnęła po tele-534

fon. Zaraz jednak uzmysłowiła sobie, że w Irlandii jest pora lunchu i matka pewnie odbywa jedną ze swoich nedorzecznych przechadzek. Dlaczego ludzie wolą nadawać na poczcie listy, których dotarcie do adresata trwa pięć dni i pięć nocy, zamiast wysyłać e-maile? Uświadomiła sobie, że niesprawiedliwością wobec matki byłoby obwinianie jej za to, iż nie jest w sieci internetowej, skoro sama jeszcze przed kilkoma tygodniami niewiele słyszała o tym systemie łączności.

Zatelefonowała do Marilyn. Włączyła się automatyczna sekretarka, ale nagranie zostało zmienione. „Tu dom Rii Lynch. Ria jest chwilowo nieobecna. Wiadomości zostaną jej przekazane. Mówi Marilyn Vine. Proszę o pozostawienie numeru. Odpowiem na telefon”. Jak śmiała to zrobić? Ria poczu-

ła, że ogarnia ją wściekłość. Z trudem opanowała uczucie niechęci do swego gościa.

Ta kobieta panoszyła się w jej domu, rozbijała się samochodem, wyrąbywała drzewa i krzewy w ogrodzie, paliła rondle i sypiała z Colmem Barrym! O czym jeszcze Ria nie wiedziała?

Zatelefonowała do Rosemary. Sekretarka poinformowała ją, że przyjaciółka jest na zebraniu. Zadzwoiła do pralni, do Gertie.

– Jakaś ty dobra, że zaprosiłaś do siebie Sheilę wraz z dziećmi. Była zachwycona tą wizytą, opowiedziała mi o wszystkim przez telefon. Twierdzi, że spędziła cudowne chwile. – W głosie Gertie brzmiała radość. Czy w ten sposób dzie-

kowała przyjaciółce za podtrzymanie fikcji o normalnym życiu Gertie i Jacka?

Następne kłamstwa, wymysły i udawanie. Ria była tak rozdrażniona, że z trudem to ukrywała.

– Co zamierza Marilyn, Gertie?

– Jest wspaniała, prawda?

535

– Nie wiem. Nie miałam okazji jej poznać. Czy sypia z Colmem?

– Co takiego? – Śmiech Gertie w zatłoczonej w porze lunchu pralni zabrzmiał donośnie niczym huk eksplozji.

– Moja matka tak twierdzi.

– Twoja matka! Nigdy dotychczas nie dawałaś wiary jej słowom!

– Wiem. Czy to prawda, że Marilyn spaliła moje garnki?

– Tak, ale zastąpiła je o wiele lepszymi, będziesz nimi zachwycona. A na swoje potrzeby kupiła kilka tanich, na wypadek, gdyby znowu się spaliły.

– Czy... jest taką ofiarą losu?

– Nie, tylko niezbyt doświadczoną kucharką. Ale powinnaś zobaczyć, co zrobiła z ogrodem.

– Czy jeszcze coś z niego ocalało?

– Jest fantastyczny, Rio.

– Czy pozostały w nim jakieś drzewa i krzewy, które roz-poznam? Brian powiedział, że powycinała wszystko.

– Słuchasz tego, co mówi Brian? – zdziwiła się Gertie.

- Mam nadzieję, że nie pracuje jako wolontariuszka w sklepie wraz z Francis Sullivan w przerwach pomiędzy robieniem wykopów w moim ogrodzie?
- O co chodzi, Rio? Przecież Marilyn jest uroczą kobietą i twoją przyjaciółką.
- Nie jest moją przyjaciółką. Nie widziałam jej na oczy.
- Czy coś ci się nie podoba?
- Rządzi się w moim domu.
- Udostępniłaś jej dom, Rio, a ona tobie swój.
- Zmieniła nagranie automatycznej sekretarki.
- Ustaliliście, że zrobi to, kiedy będzie gotowa.
- Prędko była gotowa.
- Annie pomogła jej nagrać nową wiadomość.

536

- Annie?
- Tak, często bywa w domu.
- Na Tara Road? – spytała Ria przez zaciśnięte zęby.
- Przypuszczam, że bardzo tęskni za tobą, Rio, i dlatego tam przychodzi. – Gertie rozpaczliwie usiłowała uspokoić przyjaciółkę.
- Tak, już w to wierzę.
- Naprawdę, Rio. Powiedziała, że wakacje nad Shannon były dziwaczne. Takiego użyła określenia. Podobno Brian powtarzał codziennie: „mamie by się tu podobało”, a ona podzielała tę opinię.
- Sama ci o tym powiedziała? – Ria nieco się rozchmurzyła.
- Tak. Mówię szczerą prawdę. Rozmawiałam z nią dzisiaj rano, kiedy byłam sprzątać. Poszły z Marilyn do miasta. Wybrały się razem na zakupy.
- Co takiego?
- Tak, na sprawunki. Zdaje się, że Annie dostała od twojej matki jakiś talon na zakup ubrań. I postanowiła go wykorzystać, więc udały się na Grafton Street.

- Pewnie Marilyn rozjeżdża się teraz moim samochodem w okolicach deptaka.
- Nie, pojechała autobusem. Naprawdę nie pojmuję, Rio, twojego złego nastawienia do niej.
- Ja również nie mogę tego pojąć – wyznała Ria. Odłożyła słuchawkę i wybuchnęła płaczem.

Podjęły trzy nieudane próby złożenia wizyty pani Connor, ale za każdym razem kolejka samochodów była zbyt długa.

Chłopak o niespokojnych oczach, który pilnował pojazdów, z miejsca oświadczył, że nie warto czekać. Za czwartym podej-

ściem dopisało im szczęście.

537

Marilyn obrzuciła wzrokiem zmęczoną twarz chudej kobiety.

- Witamy w naszym kraju – powiedziała na przywitanie wróżka.
- Dziękuję.
- Liczy pani na to, że coś tu odnajdzie.
- To prawda, przypuszczam, że wszyscy czegoś szukamy, wybierając się dokądś.
- Tutaj tego nie ma, trzeba szukać tam, skąd pani przybywa.
- Czy może pani skontaktować się z moim synem?
- On nie żyje, prawda? – Tak.
- Pani nie jest temu winna.
- Oczywiście, że jestem. Nigdy nie powinnam była pozwolić mu odejść!
- Nie mogę rozmawiać ze zmarłymi. – Oczy kobiety błyszczały mocno w jej wychudłej twarzy. – Śpią i należy ich zostawić w spokoju.
- Pragnę powiedzieć mu, że jest mi przykro.
- Nie, to nie jest możliwe. Ludzie pogrążeni w wiecznym śnie nie życzą sobie, aby ich budzono.
- Ależ to jest możliwe.
- Nie dla mnie. Czy życzy pani sobie, żebym powróżyła jej z ręki?
- Dlaczego nie chce pani porozmawiać z moim synem i powiedzieć mu, że go bardzo przepraszam?

Za to, że tamtego dnia pozwoliłam mu odejść i zgodziłam się, aby wyciągnęli wtyczkę? Odłączyłam go od aparatury podtrzymującej życie. I to za ledwie po kilku miesiącach. Może naukowcy znaleźliby jakiś sposób, aby przywrócić jego organizmowi zdolność sa-modzielnego funkcjonowania. A ja siedziałam i patrzyłam, jak wydaje ostatnie tchnienie.

538

Pani Connor spojrzała na Marilyn z ogromnym współczuciem.

– Do samego końca trzymałam go za rękę i na wypadek, gdyby mógł mnie usłyszeć, powiedziałam: „Dale, twój ojciec i ja postanowiliśmy wyłączyć tę maszynę, ażeby uwolnić twoją duszę. Zaraz to zrobimy”. Wiem jednak, że jego dusza nie jest wolna, lecz tkwi gdzieś uwięziona. Nie zaznam spokoju, dopóki przynajmniej raz z nim nie porozmawiam. Czy mo-

że go pani przywołać?

– Nie.

– Błagam panią.

– Pani sama musi odnaleźć spokój.

– To po co tutaj przyszłam?

– Po to samo, co wszyscy, którzy mnie odwiedzają. Ludzie przychodzą do mnie, ponieważ są nieszczęśliwi.

– I mają nadzieję, że za sprawą magii ich los nieco się odmieni.

– Przypuszczam, że tak.

– Dziękuję za poświęcony czas i szczerść, pani Connor. –

Marilyn wstała, szykując się do wyjścia.

– Proszę schować pieniądze, niczego się pani ode mnie nie dowiedziała.

– Nalegam, żeby je pani przyjęła.

– Nie wezmę ich. Pewnego dnia odzyska pani spokój.

Wtedy proszę ofiarować te pieniądze komuś, kto ich potrzebuje.

W samochodzie w drodze powrotnej do domu Hilary zapytała, lekko zaniepokojona:

– Czy ta kobieta w czymś ci pomogła, Marilyn?

– To bardzo mądra osoba.

– Ale nie zgodziła się pośredniczyć w rozmowie ze zmar-539

łymi?

Marilyn poczuła przypływ tkliwości dla samotnej i nie-sympatycznej siostry Rii.

– Nie. Powiedziała, że on śpi. I obie uznałyśmy, iż nie ma potrzeby go budzić, skoro jest pogrążony w spokojnym śnie.

– Czy wizyta była tego warta? Nie uważasz, że za dużo jej zapłaciłaś?

– Oczywiście, że nie. Dobrze jest wiedzieć, że spoczywa w spokoju.

– Czy czujesz się teraz lepiej? – spytała Hilary z nadzieją.

– O wiele lepiej – skłamała Marilyn. – A teraz powiedz, czego ty się od niej dowiedziałaś.

– Oświadczyła, że jedynie ode mnie zależy, czy znajdę te drzewa. Uważa, że oboje z Martinem mamy wystarczająco duże oszczędności, aby wybrać sobie inne miejsce zamieszkania.

– A czy ty chciałabyś zamieszkać gdzieś pośród drzew?

– Nieszczęśliwie. Nie mam nic przeciwko drzewom, ale nigdy też nie tęskniłam za tym, żeby żyć w ich otoczeniu.

Skoro jednak są mi pisane, sądzę, że powinnam się za nimi rozejrzeć.

Kiedy odjeżdżały, kolejka samochodów przed drzwiami wróżki wciąż była długa. Wszyscy ci ludzie liczyli na odrobinę magii, która pomoże im pokonać życiowe trudności. Ta kobieta powiedziała, że każdy, kto do niej przychodzi, czuje się nieszczęśliwy. Cóż za smutna procesja. Jednocześnie widok ów zadziwiająco podnosił na duchu. Wszystkie te osoby siedzące w swych pojazdach miały jakieś zmartwienia. Marilyn Vine nie była jedynym człowiekiem na świecie, którego dręczyło poczucie winy i straty, inni też przez to przechodzili. I potrzebując lekarstwa, szli do wagonu mieszkalnego pani Connor lub do innego podobnego miejsca, łudząc się, że zadziałają czary i 540

nadejdzie pomoc.

Marilyn uśmiechnęła się do siebie. Hilary ucieszyła się, widząc ów uśmiech.

Ria zmieniła nagranie: „Tu dom Grega Vine’a, który aktualnie bawi na Hawajach, oraz Marilyn Vine przebywającej w Irlandii. Ria Lynch, obecnie zamieszkała tutaj, chętnie przeka-

że wiadomości państwu Vine’om albo odpowie na telefon”.

Kilka razy odtworzyła tę informację i z aprobatą skinęła głową. Zamierzała się dostosować do reguł gry narzuconych przez tamtą. I obecne posunięcie powinno uzmysłwić ów fakt pani tego domu.

Zatelefonowała do Heidi:

– Wydaję kolację w małym gronie, czy nie zechcielibyście przyjść oboje? Będzie Carlotta oraz para miłych ludzi, których poznałyśmy na kursie Internetu, a także obaj właściciele sklepu dla smakoszy, o których mi opowiadałaś. Zaprzyjaźniłam się z nimi. Chcę im pokazać, jak dobrą jestem kucharką i jak świetnie sobie radzę z przyrządzaniem domowych potraw. Mam nadzieję, że zaproponują mi pracę.

– Mamo?

– Cześć, Annie.

– Czy to nie śmieszne? Powiedziałaś: „cześć” zamiast „dzień dobry”.

– Wiem, że jestem bardzo zabawna.

– Nie telefonujesz do nas, więc ja dzwonię do ciebie.

– Telefonowałam. A nawet nagrałam wiadomość dla waszego taty, na którą dotychczas nie otrzymałam odpowiedzi.

Możesz mu o tym przypomnieć.

– Nie ma go w domu, mamo, wiecznie jest nieuchwytny.

– Kiedy wróci, przekaż mu, że czekam na telefon od niego.

541

Wiadomość od ciebie dotyczy jedynie spraw finansowych, mamo?

– Tak, ale pomimo to nadal czekam na jego odpowiedź.

– Będziecie się ze sobą kłócić?

– Nie, jeśli do mnie zadzwoni.

– Jak się miewasz, mamo?

– Dobrze. A jak się udało wasze wyjście z babcią do pizzerii? – Głos Rii przybrał nieco surowe brzmienie i Annie to wyczuła.

– Było bardzo miło. Babcia podarowała mi cudowną kamizelkę. Zobaczysz ją, ponieważ zamierzam zabrać ją ze sobą.

– Czy Kitty również z wami była?

- Tak się złożyło, że nie.
- A jak się złożyło?
- Bernadette zatelefonowała do babci i powiedziała jej, że tato ma głęboko zakorzenioną awersję do Kitty.
- Co za przykrość!
- Rzeczywiście było mi przykro, mamó, ale co ja na to poradzę, że oboje z tatą nie znosicie Kitty?
- W każdym razie cieszę się, że tata nad tym czuwa.
- To nie on. Tata ostatnio nawet nie wie, jaki jest dzień tygodnia. Powiedziałam ci już: to Bernadette.
- Opowiedz mi o waszej wyprawie na zakupy z Marilyn.
- Czyżbyś wynajęła ekipę detektywów, aby mnie śledzili, mamó?
- Nie. Rodzina i przyjaciele przekazują mi informacje, które mnie interesują, to wszystko.
- Przecież nie obchodzą cię ciuchy, mamó. Nie znosisz chodzenia po sklepach.
- Co kupiłaś? – syknęła Ria do córki.
- Różowe dzinsy oraz różowo-granatową bluzkę.

542

- Brzmi wspaniale.
- Czy to przeze mnie jesteś w złym humorze, mamó?
- A powinnam być?
- Nie przypuszczam. Szczerze mówiąc, mam zakichane wakacje: wszyscy są wściekli, nie mogę spotykać się z moją najlepszą przyjaciółką, babcia zamierza przeprowadzić się do domu starców, pan McCarthy wyjechał dokądś i nie poinformował taty o miejscu swojego pobytu, a Rosemary Ryan zachowuje się jak wariatka i szuka taty, żeby przekazać mu pilne wiadomości. Brian znowu wszędzie ciągnie za sobą Mylesa i Dekka, którzy swoimi wrzaskami doprowadzają ludzi do szaleństwa. Tata pokłócił się o coś z Finolą i przestała do nas przychodzić, Bernadette śpi całymi dniami, a ciotce Hilary chyba pomieszało się w głowie i ciągle rozgląda się za jakimś miejscem do życia wśród drzew. Klemensowi zaczęła wypadać sierść i trzeba go było zaprowadzić do weterynarza. Colm z nim poszedł. Okazało się, że to nic poważnego, lecz na po-czątku bardzo się o niego baliśmy. A teraz, kiedy dzwonię do ciebie, dąsas się o coś i nawet nie wiem, o co chodzi. Szczerze mówiąc, gdyby nie Marilyn, chybabym oszalała.

– Jest taka miła?

– Tak, a przynajmniej normalna. I zna dobre książki do czytania. Wybrała dla mnie na przykład: „Zabić drozda”. Czytałaś to?

– Kocham cię, Annie.

– Jesteś pijana, mamó?

– Oczywiście, że nie. Skąd ci to przyszło do głowy?

– Zapytałam o książkę, a ty odpowiedziałaś, że mnie kochasz. Trudno to nazwać rozmową.

– Rzeczywiście, mimo to jednak rozmawiamy ze sobą.

– Chyba tak. W każdym razie dziękuję.

– A ty? Czy ty też trochę mnie kochasz?

543

– Zbyt długo przebywasz w Ameryce, mamó – zauważyła Annie.

Danny Lynch stał na stopniach i dzwonił do drzwi domu, w którym kiedyś mieszkał.

Marilyn, niewidoczna za rozłożystymi krzewami koło bramy, przyglądała mu się, gdy ze zniecierpliwieniem spoglą-

dał na zegarek. Niewątpliwie był przystojnym mężczyzną, z którego emanowała ta sama nerwowa energia, jaką zapamiętała sprzed lat. Teraz wszakże uderzyło ją coś jeszcze, co zauważy-

ła już owego wieczora w restauracji: niepokój i niemal udrę-

czony wyraz twarzy byłego męża Rii. Nagle wyjął z kieszeni klucz od drzwi wejściowych i wszedł do środka. Marilyn wła-

śnie zamierzała się podnieść i podejść do niespodziewanego gościa, ale w tej sytuacji poderwała się gwałtownie, lekko wbiegła po schodach i wpadła w ślad za nim do środka.

Stał we frontowym pokoju i rozglądał się wokół siebie.

– To tylko ja, Danny Lynch! – zawołał.

– Wystraszyłeś mnie – powiedziała, trzymając rękę na piersi i udając ogromne zaskoczenie. W końcu, gdyby weszła do domu, nie spodziewając się, że tu kogoś obcego zastanie, byłaby zaszokowana.

– Przepraszam, dzwoniłem do drzwi wejściowych, ale nikt nie otwierał. Marilyn Vine, prawda?

Witam w Irlandii.

Pomimo zdenerwowania potrafił być wręcz czarujący i podając rękę, patrzył Marilyn prosto w oczy. Widać było, że ten mężczyzna poświęcał wielką uwagę każdej kobiecie, z którą rozmawiał, sprawiając, że czuła się szczególnie przez niego wyróżniona. Zapewne właśnie dlatego Marilyn zapamię-

tała go, podczas gdy wiele innych twarzy uleciało jej z pamię-

ci.

– Dziękuję – odpowiedziała.

544

– Czy czujesz się tutaj szczęśliwa? – Rozejrzał się po pokoju, ogarniając wzrokiem wnętrze, jak gdyby kontrolował, czy wszystkie przedmioty znajdują się na swoim miejscu.

– Bardzo. A kto by nie był? – odrzekła i zaraz pożałowała swych słów. Danny Lynch z pewnością nie czuł się tutaj szczęśliwy, skoro zdecydował się odejść. Jak mogła tak palnąć bez zastanowienia?

On jednak najwyraźniej nie spostrzegł owej gafy.

– Wiem od córki, że byłaś dla niej bardzo miła.

– Jest uroczą dziewczynką. Mam nadzieję, że zarówno jej, jak i Brianowi wizyta w moim domu sprawi równie wielką przyjemność, jak mnie pobyt tutaj.

– Dla nich to wielka okazja zobaczenia świata. Kiedy by-

łem w wieku Briana, nie zapuszczałem się dalej niż dziesięć mil od mojej rodzinnej miejscowości. – Umiał z dużą łatwością prowadzić rozmowę.

A jednak Marilyn nie spodobał się fakt, że Danny Lynch samowolnie wszedł do środka.

– Prawdę mówiąc, nie wiedziałam, że jest jeszcze jeden klucz od domu. Sądziłam, że moje i Gertie są jedyne.

– Chyba nie muszę się tłumaczyć z posiadania klucza?

– Oczywiście, że nie. Najwidoczniej źle zrozumiałam sytuację. Nie spodziewałam się, że będziesz wpadał tutaj o każ-

dej porze. Zostałam dokładnie powiadomiona o tym, że Colm ma klucz od tylnej furtki ogrodowej i sądziłam, iż pozostałe informacje są równie precyzyjne. Powiem Rii, że zapomniała mnie uprzedzić o twoich wizytach i że wzięłam cię za intruza.

– I nie spuszczać go z oka, roześmiała się, jak gdyby doszło do głupiego nieporozumienia.

Zrozumiał ją. Ostrożnie odczepił klucz od Tara Road z pęku pozostałych i położył go na stole obok wazonu z różami.

– Nie zamierzałem wpadać tu bez uprzedzenia, dzisiaj 545

jednak pilnie czegoś potrzebuję. Uznałem, że nie ma cię w domu, więc pomyślałem... trudno się wyzbyć starych nawyków. Te frontowe drzwi zbyt długo były drzwiami do mojego domu. – Jego przepaszający uśmiech, choć dobrze wyćwiczony, był szczery.

– Oczywiście – odpowiedziała uprzejmie. Mogła sobie pozwolić na wielkoduszność. Wygrała tę bitwę. – A po co przyszedłeś?

– Po klucze od samochodu. Mój się popsuł i muszę wziąć drugi.

– Samochód Rii?

– Tak, drugi.

– Na jak długo? Będę go potrzebowała za godzinę.

– Nie rozumiałaś mnie. Mam zamiar zabrać go na dłuższy czas.

– Niestety, to nie jest możliwe – oświadczyła uprzejmym tonem.

– Co to znaczy?

– To, że wykupiłam dodatkową polisę w agencji ubezpieczeniowej na prowadzenie przez osiem tygodni pojazdu. Ria będzie wozić wasze dzieci po Connecticut moim samochodem.

A mój mąż nie pojawi się nagle i nie zażąda od niej, aby mu go oddała... – Umilkła. Reszta zdania zawisła niewypowiedziana w powietrzu.

– Bardzo cię przepraszam, Marilyn, i jest mi przykro, jeśli narażam cię na niedogodności, ale naprawdę muszę mieć ten samochód. Tobie przecież nie jest potrzebny, bo i tak całymi dniami kopiesz w ogrodzie. A ja muszę się szybko przemieszczać, spotykać z ludźmi i zarabiać na życie.

– Jestem pewna, że firma udostępni ci inny pojazd, dopóki twój nie zostanie naprawiony.

– Ten bardziej mi odpowiada, a ty przecież nie potrzebu-546

jesz...

– Wybacz, ale nic nie wiesz o moich potrzebach. Tak się składa, że dzisiaj jestem umówiona z Colmem w sprawie zakupu nawozu organicznego do ogrodu, a w pobliżu sklepu ogrodniczego nie przebiega żadna linia autobusowa. Potem odwożę twoją byłą teściową oraz trzy inne starsze panie ze

Świętej Rity na brydża do Dlakey. Następnie jadę po twoje dzieci, aby je zawieźć na lekcję pływania, gdzie będzie na nie czekać twoja druga teściowa, z którą się o coś pokłóciłeś. A na koniec mam się spotkać z Rosemary Ryan; przy okazji, ona pilnie szuka z tobą kontaktu. Wybieramy się razem na pokaz mody, organizowany w celach dobroczynnych, i zgodziłam się dzisiaj wziąć na siebie rolę kierowcy. – Danny patrzył na nią z otwartymi ustami. – W tej sytuacji rozumiesz chyba, że oddanie samochodu Rii nie wchodzi w rachubę – zakończyła Marilyn.

– Danny?

– Jezus Maria! Barney! Gdzie jesteś? McCarthy roześmiał się do telefonu.

– Powiedziałem ci przecież, że w podróży służbowej.

– Taką odpowiedź zwykliśmy dawać dyrektorom banków, naszym dostawcom i innym nudziarzom.

– Otóż zrozum, że naprawdę jestem tu, aby zaciągnąć pożyczkę.

– Powiedz, że twoja misja zakończy się sukcesem, Barney.

W przeciwnym razie stracimy dwa kontrakty dzisiejszego po-południa.

– Spokojnie, mamy już ten kredyt.

– Gdzie jesteś?

– Nieważne, zadzwoń do Larry'ego do banku i sprawdź.

Pieniądze już tam są.

– Przed godziną jeszcze ich nie było. Skąd telefonujesz, 547

Barney?

– Z Malagi – odparł przedsiębiorca i odłożył słuchawkę.

Danny trząsł się na całym ciele. Nie miał odwagi połączyć się z bankiem. Larry mógł powiedzieć, że nic nie wie o żadnych pieniądzech. Niewykluczone, że Barney wyjechał razem z Polly na południe Hiszpanii i nie miał zamiaru wracać. Oczywiście były to absurdalne domysły, ale przecież ludzie robili tego rodzaju rzeczy. Nie oglądając się na nic, nagle porzucali żony i dzieci. Czyż on sam nie postąpił podobnie?

– Pani Ryan znowu jest na linii – poinformowała go sekretarka, wznosząc oczy do nieba i błagając, żeby tym razem podniósł słuchawkę.

– Połącz mnie z nią. Jak się miewasz, skarbie?

– Telefonuję do ciebie po raz piąty. Co to ma znaczyć, Danny? – Rosemary, mówiąc, ucinając końcówki słów.

– Mieliśmy tutaj piekło.

– Czytałam o tym w gazetach i słyszałam na mieście – odparła cierpkim tonem.

– Ale już wszystko w porządku, pożar został ugaszony.

– Kto tak twierdzi?

– Barney. Otrzymałem od niego niespodziewany telefon z Hiszpanii.

Rosemary się roześmiała i Danny odetchnął.

– Musimy się spotkać. Jest kilka spraw, które pilnie chciałabym z tobą przedyskutować.

– To będzie bardzo trudne, skarbie.

– Dzisiejszego wieczora wybieram się w towarzystwie kobiety, która obecnie mieszka w twoim domu, na jedną z tych okropnych imprez charytatywnych organizowanych przez Monę.

– Idziesz tam z Marilyn?

– Tak. Zdążyłeś ją już poznać?

548

– Nie lubię jej. To prawdziwa zołza.

– Przyjdź około dziesiątej – powiedziała Rosemary i odłożyła słuchawkę.

Danny w końcu zebrał się na odwagę i zatelefonował do banku. Wiedział, że musi sprawiać wrażenie człowieka odprę-

żonego i pewnego siebie.

– Cześć, Larry, mówi Danny Lynch. Czy alarm został odwołany i możemy już wyjść z bunkrów?

– Tak, pojawiły się jakieś ostatnie mafijne pieniądze. Pod wpływem nagłej ulgi zrobiło się mu słabo; udawał jednak, że jest zaszokowany.

– Czy w ten sposób rozmawia się z agentami handlu nieruchomościami, którzy cieszą się powszechnym szacunkiem?

– Niektórzy z pewnością tak, lecz ani ty, ani Barney nie zaliczacie się do owego grona.

– Dlaczego jesteś taki niemły? – Danny był zaskoczony.

– Wystawił do wiatru mnóstwo średnio zamożnych ludzi, którzy z trudem radzą sobie bez gotówki, a kiedy zaczął mu się palić grunt pod nogami, wyjechał do swoich kumpli na Wybrzeże Przeszłości po trochę brudnych narkotykowych pieniędzy do wyprania.

– Tego nie wiemy, Larry.

– Wiemy.

Danny przypomniał sobie plotki o tym, że syn Larry’ego przebywa w ośrodku odwykowym dla narkomanów. Nic dziwnego, że dyrektor banku był wprost przeczulony na punkcie pieniędzy pochodzących ze sprzedaży heroiny.

Greg zatelefonował do Marilyn.

– Dzwonię bez żadnego szczególnego powodu. Chcę tylko porozmawiać. Brakuje mi e-maili od ciebie.

549

– Mnie też, ale z tego, co słyszałam, Ria robi wielkie postępy w obsłudze mojego laptopa. Za pośrednictwem poczty internetowej wysłała jeden list do Rosemary Ryan – przyjaciółki, która mieszka w pobliżu i z którą niebawem wybieram się na pokaz mody – a drugi do biura swego byłego męża. O

mało tam nie zemdleli.

– Tak, wiem. Do mnie też nadała kilka wiadomości.

– Naprawdę? Czego dotyczyły?

– Informacji w związku z przygotowaniem przed zjazdem absolwentów. Andy również ma zamiar w nim uczestniczyć, do tego czasu przyjadą jej dzieci... i dom będzie pełen ludzi.

– Tak. – Marilyn nie pojmowała w pełni, dlaczego wiadomość ta trochę ją zirytowała.

– W każdym razie wygląda na to, że doskonale sobie radzi.

Została zatrudniona codziennie na kilka godzin przez Johna i Gerry’ego.

– Niemożliwe!

– Naprawdę. Czyż to nie zdumiewające? Wiem takż od Henry’ ego, że wraz z Heidi byli na przyjęciu...

– Gdzie?

– W naszym domu, na Tudor Drive. Ria zaprosiła osiem osób...

– W naszym domu osiem osób na kolacji?

– Ze wszystkimi zdążyła pozawierać znajomości. Carlotta pływa z nią co rano, a Heidi wpada codziennie na kawę po pracy. Nawiązanie nowych przyjaźni nie zajęło jej dużo czasu.

– Rzeczywiście, nie zajęło – przyznała ponuro Marilyn.

Mona McCarthy była w Komitecie organizacyjnym. Siedziała uśmiechnięta przy biurku, a kiedy weszły, miała już przygotowane dla nich bilety. Ludzie często zastanawiali się, jak dużo wie o poczynaniach swego męża, zarówno w spra-550

wach zawodowych, jak i w życiu osobistym. Nigdy jednak nie potrafili nic wyczytać z okrągłej twarzy Mony. Ta postawna, pogodna, a nawet trochę nudna kobieta wiecznie zbierała pieniądze na jakieś zbożne cele. Być może chciała w ten sposób zadośćuczynić ludziom za bezwzględność, z jaką Barney prowadził swoje interesy, z których czerpał nadmierne zyski.

– Może kieliszek szampana? – zaproponowała.

– Z największą przyjemnością – odparła Rosemary. – Mam szofera. – I przedstawiła swoją towarzyszkę.

Marilyn była w wyjątkowo milczącym nastroju, jak gdyby błędziła gdzieś daleko myślami.

Twarz Mony rozjaśniła się w uśmiechu.

– Ria przebywa teraz w pani domu, prawda?

Marilyn skinęła głową, uśmiechając się pogodnie. Zastanawiała się, jaki procent populacji Westville zgromadził się dzisiejszego wieczora przy Tudor Drive. Nie, w domu była teraz dopiero pora lunchu, może więc przy basenie odbywało się przyjęcie z zimnym bufetem dla trzydziestu osób? Musiała się zdobyć na jakąś ciepłą uwagę.

– Tak, mam nadzieję, że miło spędza czas i zdążyła się już u nas zadomowić.

Tamta była wyraźnie zadowolona.

– Naprawdę ten wyjazd był jej bardzo potrzebny. To cudownie, że dzięki pani stał się możliwy do zrealizowania.

– Słyszałam, że nawet znalazła sobie pracę w sklepie dla smakoszy. – Marilyn zastanawiała się, czy

w jej głosie zabrzmiał ostry ton, a jeśli tak, to dlaczego.

– Ria powinna była podjąć pracę dużo wcześniej – stwierdziła Rosemary. – Straciła wszystko, co miała, gdyż nie zrobiła tego.

– Nie straciła wszystkiego – odparła cicho Mona. – Nadal ma dwoje dzieci.

551

Rosemary uzmysłowiła sobie, jak dużą niezręcznością było wygłoszenie tego rodzaju uwagi w obecności niepracującej żony Barneya McCarthy’ego, który bawił właśnie w Hiszpanii w towarzystwie kochanki.

– Oczywiście. To prawda, ma dzieci oraz dom.

– Czy myślicie, że romans Danny’ego, przepraszam za użycie takiego słowa, ma trwały charakter? – zastanawiała się Marilyn.

– Wykluczone – oświadczyła Rosemary.

– Nie sędzę – odpowiedziała jednocześnie z nią Mona.

– A czy kiedy ta historia się skończy, Ria przyjmie męża z powrotem, waszym zdaniem?

Marilyn nie mogła uwierzyć, że zadaje pytania, dotyczące czyichś bardzo osobistych spraw. Ona, która słynęła ze swojej powściągliwości i zachowywania rezerwy w stosunkach z ludźmi, całkowicie zmieniła się w tym kraju. Wystarczyło kilka tygodni, aby stała się wścibską i gadatliwą kobietą.

– Myślę, że tak – odrzekła Mona.

– Nie mam co do tego najmniejszej wątpliwości – odparła Rosemary.

Skoro wszyscy wydawali się przekonani o tym, że romans się skończy i wszystko wróci do normalnego stanu, to po co cały ból i tyle zranionych serc przez całe lato? A jaki los czeka owo nienarodzone dziecko?

*

Wieczór był ciepły i w drodze powrotnej Marilyn swobodnie gawędziła z Rosemary. Opowiedziała jej o Gregu na Hawajach, ani słowem nie wyjaśniając, dlaczego oboje przebywają obecnie na dwóch krańcach ziemi.

Kiedy Marilyn zajęła pod numer trzydziesty drugi, Ro-552

semmary podziękowała za podwiezienie.

– Cudownie, że mogłam wypić aż cztery kieliszki szampana, bo bardzo go lubię. Powinnam cię zaprosić na kawę, lecz muszę jutro wcześniej wstać... Chyba tylko podleję kwiaty w ogrodzie i pójdę do łóżka.

– Ależ nie, dziękuję. Ja też dzisiaj zamierzam wkrótce się położyć.

Marilyn zawróciła i zaparkowała samochód pod numerem szesnastym.

Nagle przypomniała sobie, że w torebce Rosemary został

program z autografami, które zdobyła dla córki Rii. Annie i jej przyjaciółka, Kitty, miały bzika na punkcie dwóch modelek występujących na dzisiejszej imprezie. Marilyn zadała sobie sporo trudu, ażeby uzyskać owe upragnione podpisy, a teraz zapomniała o nich, zostawiając program w eleganckiej torbie Rosemary. Spojrzała na zegarek. Tamta nie mogła być jeszcze w łóżku, rozstały się zaledwie przed dwoma minutami. Pewnie podlewa ogród. Marilyn doszła do wniosku, że prędzej dotrze tam na piechotę ścieżką za domami. Pod numerem trzydziestym drugim nigdy nie zamykano tylnej furtki.

Otoczenie wokół było urocze. Marilyn uważała się za szczęściarę, że trafiła tutaj. Spojrzała w niebo, lekko zaróżowione od miejskich świateł, i na księżyc w pełni, który od czasu do czasu chował się za czarnymi chmurami, pędzącymi w górze niczym szare rydwany.

Żałowała, że wybryki Rii w Westville budzą w niej tak niskie uczucia, ale ta kobieta naprawdę zachowywała się bardzo niewłaściwie. Stwarzała precedensy i ustalała zwyczaje, które mogły okazać się potem trudne do wykorzenia. Marilyn nie życzyła sobie, aby korpulentna Carlotta skakała do jej basenu, ani nie miała ochoty codziennie gościć na kawie Heidi. I ogarniała ją absurdałna zazdrość na myśl o tym, jaką potrawę 553

przygotuje Ria na piknik absolwentów.

Dotarła do furtki na tyłach domu pod numerem trzydziestym drugim i otworzyła ją lekkim pchnięciem. Spodziewała się, że zastanie bosą Rosemary, bez kosztownych pantofli na nogach, z węzłem wycelowanym w stronę pięknej zieleni na obrzeżach posesji.

Nikogo tam jednak nie było. Marilyn przeszła cicho przez trawnik. Z letniej altanki doszły ją głosy dwojga ludzi. Kiedy podeszła bliżej, uświadomiła sobie, że tamci nie rozmawiają ze sobą, lecz się całują. Rosemary rzeczywiście zdjęła swoje kosztowne buty, a także drogą różową jedwabną sukienkę – tę, którą otrzymała od Polly Callaghan w zamian za usługę drukarską. Leżała w jedwabnej halce o kawowym odcieniu oparta o tors Danny'ego Lyncha i trzymała w dłoniach jego twarz.

Przemawiała do niego z wyrzutem:

– Nigdy więcej tego nie rób! Jak mogłeś nie odpowiedzieć na pięć moich telefonów?

– Już ci to wyjaśniałem, skarbie... – Głaskał ją po biodrze, wsuwając dłoń pod koronkę eleganckich majteczek od kom-pletu.

Marilyn zamarała w bezruchu. Po raz drugi miała okazję obserwować, nieświadomego jej obecności, byłego męża Rii.

Widocznie zostało jej przeznaczone śledzenie tego mężczyzny.

Nie wiedziała, co ze sobą począć.

Rosemary wyglądała na zagniewaną.

– Nie baw się ze mną w kotka i myszkę, Danny. Zbyt wiele nas łączy. Tak wiele zniosłam. Często ratowałam cię z opresji i ostrzegałam o niebezpieczeństwach.

– To, co nas łączy, jest czymś szczególnym. Oboje zgodzi-liśmy się, że nasza zażyłość przewyższa wszystko.

– Przeszłam do porządku dziennego nad twoim małżeń-

stwem i licznymi romansami, a nawet nad faktem, że zapłod-

niłeś tę smarkulę i wyprowadziłeś się z naszej ulicy, choć Bóg jeden wie, dlaczego to zrobiłeś.

– Dobrze wiesz, dlaczego, Rosemary – odpowiedział

Danny.

Marilyn czmychnęła stamtąd i wróciła do bezpiecznego zacisza ogrodu Rii, gdzie zabrała się do podlewania warzyw Colma i wszystkich innych roślin w zasięgu wzroku. Oddawała się temu zajęciu z dziką zawziętością, jakiej tych dwoje nie znało i z pewnością nie miałoby ochoty poznać.

Klemens przyglądał się jej ponuro z bezpiecznej odległo-

ści. Posługiwała się węzłem niczym bronią. Była zaskoczona doznany wstrząsem oraz ogromem odczuwanej odrazy. W

całym swoim życiu nie zetknęła się z równie fałszywą kobietą!

Biedna, nieszczęśliwa Ria, zdradzana na każdym kroku przez męża. I w dwójnasób nieszczęśliwa, ponieważ została również zdradzona przez swoją najlepszą przyjaciółkę, której radami się kierowała. Owa sytuacja wprost nie mieściła się w głowie.

W przypiływie wspaniałomyślności Marilyn postanowiła nie przejmować się wyczynami tamtej w Westville – nawet gdyby postanowiła gościć na Tudor Drive cały autokar ludzi i częstować ich półmiskami własnoręcznie przyrządzonych smakołyków. Zasługiwała na to: na każdą odrobinę przyjemności, jaką umiała sobie sprawić.

Tymczasem Ria była sama na Tudor Drive, pochylona nad laptopem Marilyn.

Hubie Green pożyczyl jej grę komputerową i zamierzała zyskać w niej wprawę, aby móc popisać się owymi umiejętno-

ściami przed Annie i Brianem. Dzieci Sheili Maine również posiadały mnóstwo gier, a Annie oraz Brian posługiwali się komputerami w szkole. Ria nie miała pojęcia o tego typu roz-rywkach i nigdy się nimi nie interesowała. Wciąż ponosiła po-555

rażki ze swoim komputerowym przeciwnikiem.

Wysłała wiadomość za pośrednictwem poczty elektronicznej do Hubiego:

Hubie, wyjaśnienie zasad tej gry zabierze Ci co najwyżej trzydzieści minut. Jestem gotowa poświęcić dziesięć dolarów, aby zgłębić jej tajniki. Czy mógłbyś zajrzeć do mnie w wolnej chwili? Ria Lynch w poważnych kłopotach.

Chłopak musiał siedzieć przed ekranem, ponieważ odpowiedział natychmiast:

Umowa stoi. Czy mogłaby Pani zatelefonować pod mój domowy numer i powiedzieć, gdzie Pani mieszka?

Zatelefonowała do niego i podała adres. W słuchawce zaległa cisza.

– Przecież to dom Dale’a. Dale’a Vine’a.

– Tak, masz rację. – Spoważniała. Z jakiegoś powodu za-kładała, że chłopak zna jej obecne miejsce zamieszkania. Ale skąd miał je znać?

– Och, nie mogę przyjść do pani, pani Lynch.

– Dlaczego?

– Państwo Vine’owie nie życzyliby sobie tego.

– Nie ma ich tutaj, Hubie. Obecnie ja mieszkam w ich do-mu. Marilyn zatrzymała się u mnie w Irlandii, a Greg przebywa na Hawajach.

– Rozeszli się? – W głosie chłopca zabrzmiała obawa.

– Nie wiem – odrzekła zgodnie z prawdą.

– Na pewno pani wie.

– Tak się składa, że nie. Nie zostałam przez nich o niczym poinformowana. Sądzę, że po śmierci Dale’a obojgu im był

bardzo potrzebny wyjazd.

– Tak, z pewnością.

– Oczywiście rozumiem, Hubie, że nie masz ochoty tutaj przychodzić. Wizyta może przywołać bolesne wspomnienia.

Wybacz mi, powinnam była o tym pomyśleć.

Usłyszała, jak Hubie głośno odetchnął.

– No cóż, to przecież tylko dom, a skoro oboje państwo Vine bawią w innych stronach świata, moja obecność ich nie zdenerwuje. Pani dzieci muszą poznać reguły tej gry, a dziesięć dolarów to niemała kwota. Przyjdę, pani Lynch, nie ma sprawy.

Kiedy udzielił jej wskazówek, gra okazała się dziecinnie łatwa, a także bardzo ekscytująca. Nie mogli się od niej oderwać.

– To trwało znacznie dłużej niż pół godziny. Powinnam ci chyba zapłacić dwadzieścia dolarów.

– Nie, umówiliśmy się na dziesięć. Zostałem dłużej, ponieważ rozgrywka z panią sprawiła mi dużą przyjemność.

– Czy masz ochotę na kolację? – Zaprowadziła go do kuchni i otworzyła lodówkę.

– Och, widzę, że ma pani jeden z tych wybornych placków, które sprzedają u Johna i Gerry’ego.

– To ja je robię – odrzekła zadowolona.

– Pani? Są fantastyczne. Moja mama kupiła dwa na przyjęcie.

– Gdy będziesz wychodził, dam ci dla niej kawałek chleba na sodzie z rodzynkami do spróbowania. Wtedy będę miała mniejsze wyrzuty sumienia, że tak długo cię trzymałam.

Krążył nerwowo po kuchni. Być może czuł się nieswojo, znowu odwiedzając ten dom. Ria ani słowem nie wspomniała o przeszłości, mówiła natomiast bez końca o rychłej wizycie Annie i Briana. Hubie wziął do ręki ich zdjęcie. Postawiła je w 557

widocznym miejscu, ażeby w każdej chwili mieć dzieci w za-sięgu wzroku.

– To pani córka? Prawdziwa z niej ślicznotka – zauważył.

– Tak, jest urocza, ale to tylko opinia matki. A to jest Brian.

Z dumą spojrzała na syna, który także niebawem miał tutaj się znaleźć. Hubie nie okazał najmniejszego zainteresowania malcem. Podczas posiłku prowadzili towarzyską pogawędkę.

Chłopak powiedział, że kiedyś często tutaj bywał. Korzystał ze wspaniałego basenu i zawsze był mile widziany w tym domu.

Co prawda nigdy nie został tak po królewsku ugoszczony, jak dzisiaj, a poczęstunki zwykle ograniczały się do kupnych ciastek, młodzież jednak lubiła tu przychodzić. Prawdę mówiąc, przed wypadkiem jego rodzice byli w bardzo dobrych stosunkach z Vine'ami.

– A teraz? – zapytała ostrożnie Ria.

– No cóż, sama pani widzi, w jakim ona jest stanie i co się z nią dzieje.

– Nie, najzabawniejsze wydaje się to, że nie mam pojęcia, jaka jest Marilyn. Nigdy jej nie spotkałam. Widziałam ją tylko na zdjęciu.

– Nie zna jej pani? Nie jesteście przyjaciółkami?

– Nie, zamieniłyśmy się tylko domami. Obecnie ona mieszka u mnie, przekopuje mój ogród i kupuje mojej córce różowe dzinsy.

– Czuje się pani z tego powodu niezadowolona? To dlaczego jej pani o tym nie powie? – Dla Hubiego sytuacja była prosta.

– Ponieważ jesteśmy już stare i skomplikowane. Poza tym ja też właśnie robię coś, co mogłoby się jej nie spodobać: goszczę cię na kolacji.

– O tak, z pewnością nie byłaby z tego zadowolona, proszę 558

mi wierzyć, pani Lynch.

– To nie była twoja wina.

– Ona to widzi inaczej.

– Nie znam szczegółów całej historii. Ludzie niechętnie o niej mówią, a ja nie mam ochoty pytać. Słyszałam tylko, że do wypadku doszło w dzień twoich urodzin.

– Tak, rzeczywiście, wtedy to się stało.

– Dlaczego tak bardzo pogniewała się na ciebie?

– Naprawdę jej pani nie zna? – upewnił się Hubie. – Nie przyjaźni się pani z Vine'ami?

– Zetknęłam się z nimi całkiem przypadkowo, wierz mi.

Widzisz, miałam własne problemy.

– Czy ktoś z pani bliskich zmarł?

– Nie, ale mój mąż mnie porzucił i czułam się z tego powodu straszliwie przybita i rozgoryczona.

– Ach, tak.

– Wygląda na to, że matka Dale’a nie zdołała pogodzić się z jego utratą...

– Tak, to prawda. Przypuszczam, że pomieszało jej się w głowie.

– Ludzie w takich sytuacjach przez jakiś czas sprawiają wrażenie niepoczytalnych, ale potem zwykle dochodzą do siebie – Ria próbowała zachęcić go do zwierzeń.

– Ona mnie nienawidzi.

– Za co miałyby cię nienawidzić?

– Za to, że przeżyłem, jak sądzę.

Ten młody chłopak wydawał się bardzo smutny, kiedy tak siedział razem z Rią, usiłując zrozumieć, co się stało. Zapadł

zmierzch i w ogrodzie zapaliły się światła. Tutaj, w Ameryce, bardzo szybko się ściemniało, w przeciwieństwie do rodzinnego kraju Rii, gdzie wszystko się odbywało w znacznie wolniejszym tempie.

559

– Sądzę, że jej nienawiść byłaby bardziej uzasadniona wobec drugiego chłopca, który również zginął.

– Wobec Johnny’ego?

– Tak, Johnny’ego. Przecież to on kierował motocyklem. I to on zabił jej syna.

Hubie nie odezwał się, zapatrzony w ogrodowe światła i pióropusze wody tryskające ponad trawnikami z urządzeń nawadniających.

– Nie może nienawidzić Johnny’ego. On nie żyje i pielęgnowanie urazy do niego nie miałoby sensu. Myśmy ocaleli, David i ja. Nienawiść do nas nadaje sens życiu pani Vine.

– Odnoszę wrażenie, że jesteś bardzo rozgoryczony.

– Owszem.

– To musiało być dla niej straszne, Hubie. I trudne do wybaczenia. Gdyby Johnny nie był pijany...

– To nie Johnny prowadził motocykl, lecz Dale. Ria spojrzała na chłopaka z przerażeniem.

– To nie Johnny prowadził motocykl, lecz Dale. Ria spojrzała na chłopaka z przerażeniem.

– To Dale ukradł motocykle i je uruchomił. I to on zabił

Johnny' go!

Czuła, jak zamiera w niej serce.

– To, co mówisz, nie może być prawdą. Hubie ze smutkiem pokiwał głową.

– Niestety, takie są fakty.

– Ale dlaczego? Z jakiego powodu nikt... Jak to się stało, że nikt się o tym nie dowiedział... ?

– Nie miałyby pani ochoty widzieć tego, co zostało z motocykla, ani o tym myśleć. My obaj, David i ja, przez resztę naszego życia będziemy mieli ten obraz przed oczami.

– Ale dlaczego nie powiedzieliście... ?

– Wszyscy sądzili, że to Johnny prowadził motocykl.

Wtedy jeszcze mieliśmy nadzieję, że stan Dale'a się poprawi.

Lekarze podłączyli go do aparatury podtrzymującej życie, są-

560

dząc, że może się z tego wykaraska. Byłem raz u niego, póki pani Vine nie zabroniła mi wstępu na salę, gdzie leżał. Powiedziałem mu wtedy, na wypadek gdyby mógł mnie usłyszeć, że nie będziemy nikogo wyprowadzać z błędu co do tego, kto prowadził motocykl. Dale był niepełnoletni i miał rodziców, którzy go uwielbiali. Johnny nie miał nikogo bliskiego.

– O Boże! – westchnęła Ria.

– Tak, teraz wiem, że może tamta decyzja nie była słuszną, ale kierowały nami jak najlepsze pobudki. Postąpiliśmy tak przez wzgląd na tę przekłętą panią Vine, a ona nie pozwoliła mi nawet uczestniczyć w pogrzebie Dale'a.

– Och, wielki Boże!

– Nie powie jej pani, prawda? – spytał.

Ria pomyślała o pokoju na końcu korytarza, gdzie znajdowało się sanktuarium zmarłego syna Marilyn i Grega.

– Nie powiem, Hubie. Bez względu na to, co zrobię w moim życiu, na pewno o tym nie pisnę słowa – obiecała.

561

Rozdział 7

Marilyn, tu Ria. Żałuję, że cię nie zastałam w domu. Nie telefonuję w żadnej ważnej sprawie, chciałam tylko przypomnieć o dublińskiej wystawie koni w przyszłym miesiącu, którą, być może, uznasz za godną obejrzenia. Z pewnością Rosemary zdobędzie dla ciebie bilety na szczególnie widowiskowy pokaz skoków. Ona jest wspaniała i zawsze bardzo uczynna. Przysłała mi e-mail na adres twojego laptopa. Moja umiejętność obsługi komputera zrobiła na niej piorunujące wrażenie. A może nie lubisz koni? Sama nie wiem, po co się tak rozwodzę nad tą imprezą. Chyba dlatego, aby mieć pewność, iż dobrze się bawisz. Wiem od Gertie, że dokonałaś cudów w moim ogrodzie. Bardzo dziękuję. Do usłyszenia.

Po wysłuchaniu tej wiadomości Marilyn ogarnęła bezgraniczna złość na Rosemary Ryan. Dobrze, że nie trzymała w ręce kubka z kawą, gdyż z pewnością zmiażdżyłaby go w dłoni. Nie od razu odpowiedziała na telefon. Nie była pewna, czy zdoła wydusić z siebie cokolwiek na temat wspaniałej i jak zawsze niezawodnej przyjaciółki Rii.

– Rio, tu Marilyn. Szkoda, że cię nie zastałam. Można by pomyśleć, że bawimy się w kotka i myszkę za pośrednictwem naszych automatycznych sekretarek. Nie poprosiłam Rosemary o bilety na skoki, ponieważ zamierzam wybrać się na cały pokaz koni. Widziałam już mnóstwo ogłoszeń reklamujących to wydarzenie. Musisz wyjawić mi więcej szczegółów dotyczą-

cych kursu obsługi Internetu. Wygląda na to, że sporo z niego skorzystałaś. Mnie zdobycie tej umiejętności zabrało całe wieki. Cieszę się, że wśród mieszkańców Westville masz już wielu znajomych. Annie i Brian przychodzą do mnie jutro na kolację.

562

Przerażała mnie perspektywa ugotowania dla nich posiłku, lecz Colm zaproponował, że przygotuje coś odpowiedniego. Dzieci nie mogą się doczekać spotkania z tobą. Do usłyszenia.

Ria wysłuchiwała wiadomości i po raz pierwszy nie czuła się wyłączona z życia, jakie biegło w jej domu, ani nie ogarnęło jej rozdrażnienie na wieść o tym, że dzieci wybierają się jutro na kolację do Marilyn. Tej kobiecie potrzebna była każda pociecha. Ria nie mogła od razu odpowiedzieć na ten telefon, ponieważ wraz z Heidi musiały najpierw wymyślić, co powiedzą Marilyn o Hubiem Greenie.

– O co poróżniliście się z tatą, Finolo? – spytał Brian.

– Brianie!

– Nie denerwuj się, Annie. To bardzo rozsądne pytanie. A odpowiedź na nie brzmi: o pieniądze.

– Och, tak.

– Pomiedzy ludźmi często dochodzi do sprzeczek z powodów finansowych. – Finola była rzeczowa i pełna energii. –

Poprosiłam waszego ojca, żeby zdradził, w jakiej kondycji znajduje się jego firma. Chciałam wiedzieć, czy dysponuje dostatecznymi środkami na zaopiekowanie się wami, waszą matką oraz Bernadette.

– I co? Dysponuje? – zapytał lekliwie Brian.

– Nie wiem. Powiedział, żebym zajęła się własnymi sprawami. I w pewnym sensie miał rację, rzeczywiście nie powinnam była do tego się mieszać. I o to poróżniliśmy się ze sobą.

– Czy kiedyś się pogodzicie? – spytała Annie.

– Och, tak, na pewno. – Finola była pogodna. – W każdym razie chciałam bardzo wam obojgu podziękować za to, że przyszliście się ze mną pożegnać. Naprawdę to doceniam.

– Byłaś dla nas bardzo dobra. Mam na myśli lekcje pływania, ale nie tylko to – powiedziała dziewczynka.

563

– I rozmawiałaś z nami na łodzi, kiedy tata i Bernadette czulili się do siebie i byli bardzo sentymentalni. – Brian z wy-raźną odrazą przypomniał sobie o tych faktach.

– Zamierzałam podarować wam przed wyjazdem małe upominki, uznałam jednak, że lepiej będzie, jeśli zamiast prezentów dam każdemu po dwadzieścia dolarów na tę wycieczkę

– oświadczyła pani Dunne.

Dzieciom rozjaśniły się buzie.

– Nie powinniśmy przyjmować tych pieniędzy – Annie była pełna skrupułów.

– Dlaczego nie, przecież jesteśmy przyjaciółmi, prawda?

– Tak, ale skoro ty i tata...

– Do czasu waszego powrotu znowu będziemy w dobrych stosunkach, wierzcie mi.

Uwierzyli jej natychmiast i uśmiechając się szeroko, po-

śpiesznie schowali do kieszeni banknoty.

– Mam nadzieję, że razem z waszą mamą spędzicie tam bardzo udane wakacje – powiedziała szczerze Finola.

– Z pewnością – zapewnił Brian. – Ona jest już całkiem stara, podobnie jak ty, i nie będzie się czulić do żadnego męż-

czynny.

– Brianie! – zawstydzila go siostra.

– Do zobaczenia we wrzesniu!

Finola Dunne nigdy nie przypuszczala, ze polubi dzieci Danny'ego Lyncha i ze bedzie jej smutno rozstawac sie z nimi na caly miesiac.

Greg Vine zatelefonowal, aby powiadomic Rie, ze chcial-

by sie zatrzymac na Tudor Drive podczas sierpniowego pikniku dla absolwentow.

– W kazdym innym terminie wynajalbym pokoj w motelu i zostawil dom wylacznie do twojej dyspozycji. W tym okresie 564

jednak nie znajde nigdzie w okolicy jednego wolnego lozka.

– Wielkie nieba! Musisz sie tutaj zatrzymac. I Andy rowniez.

– Nie mozemy obaj zwalic ci sie na glowe.

– A dlaczego nie? Ja i Annie przezpimy sie w jednej sypialni, a dla ciebie i Andy'go zostana pokoje gošcinne. Brian sypia nawet na stojaco, wiec mozemy nie brac go pod uwage.

Poza tym jest jeszcze lozko polowe, ktore da sie gdzieš dla niego rozlozyc.

– Jesteš bardzo uprzejma. Chodzi tylko o dwie noce.

– To twój dom i mozesz tak dlugo tu zostac, jak bedziesz mial na to ochote.

– Kiedy spodziewasz sie dzieci?

– Jutro. Nie moge sie juz doczekac.

Po odlozeniu sluchawki Greg ušwiadomil sobie, ze Ria nie wspomniala o moŹliwošci przenocowania syna w pokoju Da-le'a. Dla niego takie rozwiązanie byloby calkowicie do przyjecia, ale nie dla Marilyn – Ria Lynch musiala sie tego domyšlic.

Podczas pierwszej rozmowy telefonicznej, kiedy rozprawiala o przebywajacej na Hawajach duszy Dale'a i o tęsknocie zmar-

lego chłopca za matką, wydal mu sie bardzo dziwna. Byc moze złe ja wtedy zrozumial. Dzisiaj odniosl wrazenie, ze ma do czynienia z kobieta praktyczna i mocno stajajaca po ziemi.

Marilyn poszla do Colma po zamowione dania.

– Sam powinienem był je przynieść – przeproszał.

– Nonsens. Jestem ci bardzo wdzięczna. Co masz dla nas?

– Lekkostrawne danie z jarzyn z odrobiną ciemnego ryżu dla Annie. A dla Briana, niestety, tylko kielbaski z fasolą i z frytkami. Tylko dla ciebie nie przygotowałem nic specjalnego, gdyż uznałem, że nie zechcesz faworyzować żadnego z dzieci i skosztujesz obu potraw.

565

Marilyn uznała to rozwiązanie za doskonałe.

– Poproszę o rachunek.

– Daj spokój, Marilyn, nie ma o czym mówić.

Coś w wyrazie jego twarzy powstrzymało ją od dalszych nalegań.

– No cóż, w takim razie bardzo dziękuję, Colmie.

– Włożymy jedzenie do kosza, w którym można będzie je zanieść. – Przywołał Caroline, swoją bladą, ciemnowłosą siostrę, którą Marilyn tylko raz widziała z daleka i która natychmiast pojawiła się z wiklinowym pojemnikiem wyłożonym kilkoma serwetkami w kratę. – Miałaś już okazję poznać Caroline, prawda?

– Nie sądzę. Nie zostałyśmy sobie przedstawione. Miło cię poznać, nazywam się Marilyn Vine.

Siostra Colma niepewnie wyciągnęła rękę w jej stronę.

Marilyn spojrzała w twarz tej kobiety i zorientowała się, że patrzy w oczy osoby z poważnym problemem. Nie uważała siebie za eksperta w tych sprawach, ale zaraz po ukończeniu studiów przez trzy lata pracowała w ośrodku odwykowym. I nie miała cienia wątpliwości, że właśnie stanęła twarzą w twarz z kimś uzależnionym od heroiny.

– Myślisz, że tata stracił wszystkie pieniądze? – spytał

Brian w autobusie, kiedy wracali od matki Bernadette.

– Nie bądź głupi – ofuknęła go siostra.

– To dlaczego Finola przypuszcza, że stracił?

– Nie jest tego pewna. Poza tym wszyscy starzy ludzie, jak Finola i nasza babcia, nie myślą o niczym innym, tylko o pieniądzech.

– Możemy zapytać Rosemary, ona będzie wiedziała – zasugerował Brian. – I tak musimy przejść obok jej domu.

– Jeśli piśniesz słowem na ten temat przy Rosemary, po-566

wyrywam ci z gardła migdałki szczypcami do nabierania lodów i to bez znieczulenia – zagroziła bratu Annie.

– Dobrze, już dobrze. – Chłopiec nie zamierzał ryzykować.

– Skoro wybieramy się na Tara Road, możemy po drodze wstąpić do Gertie – zaproponowała dziewczynka.

– Czy ona będzie zorientowana w sytuacji finansowej taty?

– Nie odwiedzimy jej po to, aby pytać o pieniądze taty, ty kretynie, ale żeby się z nią pożegnać, podobnie jak z Finolą.

– Sądysz, że też coś dostaniemy na drogę? – zainteresował się Brian.

– Oczywiście, że nie. Coraz trudniej z tobą wytrzymać. –

Annie była rozdrażniona.

– Tak przypuszczałem. Gdyby miała jakieś pieniądze, nie przychodziłaby sprzątać do mamy – domyślił się chłopiec.

– Mama na pewno życzyłaby sobie, żebyśmy ją odwiedzili

– stwierdziła dziewczynka.

Gertie ucieszyła się na ich widok.

– Powiedzcie mamie, że dom jest dobrze utrzymany – poprosiła.

– Podejrzewam, że zapomniała już o domu. – Brian był w nastroju filozoficznym.

– Zapamiętała informacje od ciebie – o tym, że cały ogród został zrównany z ziemią – zauważyła Gertie.

Brian wyczuł lekką naganę, lecz nie rozumiał, co było jej powodem.

– Początkowo zamierzałem jej powiedzieć, że Myles i Dekko weszli do kina na film dla dorosłych, ponieważ przeko-nali bileterkę, że są karłami. Uznałem jednak, że mama będzie wolą dowiedzieć się o ogrodzie – wyjaśnił.

– Mama mówiła nam, że spotkamy się tam z twoją rodziną, Gertie. – Annie miała nadzieję, że w ten sposób skieruje rozmowę na bezpieczniejsze tory.

Nowina najwyraźniej nie uradowała Gertie.

– Czyż w waszej miejscowości nie będzie wystarczająco wielu młodych Amerykanów i Amerykanek? Po co mielibyście jeździć taki szmat drogi do Sheili albo ciągnąć ją wraz z dziećciakami do was?

Annie wzruszyła ramionami. Naprawdę czasami trudno zadowolić dorosłych.

– Pewnie tak – odrzekła ugodowym tonem.

– I powiedzcie waszej mamie, że u mnie od tygodni wszystko w jak najlepszym porządku. Już ona zrozumie, co miałam na myśli.

Annie obiecała przekazać tę wiadomość matce. Dobrze wiedziała, o co chodziło Gertie: Jack od dawna nie podniósł na nią ręki. Gertie nie myliła się, że informacja ta ucieszy matkę.

Dziewczynka poczuła, że jej oczy wypełniły się łzami. Mama jest tak życzliwa dla wszystkich; jej problem polegał na tym, że nie pojmowała, co się dzieje na świecie, nie znała się na ciuchach ani na prawdziwej przyjaźni. I nie wiedziała, jak zatrzymać przy sobie tatę ani jak go odzyskać, kiedy już odszedł.

Mama nie pojmowała potrzeby częstszego zamykania ust Brianowi ani nie zdawała sobie sprawy z tego, jak okropna jest Rosemary. Prawdopodobnie po ich przyjeździe do Ameryki jak zwykle przez pierwsze dziesięć minut będzie wspaniała, a potem znowu stanie się beznadziejna i nie zdoła niczego zrozumieć. Dziewczynka westchnęła głęboko.

– Czeka was oboje wspaniała wyprawa, prawda? – odezwała się Gertie.

– Tak. Finola dała każdemu z nas po dwadzieścia dolarów na drogę – oznajmił radośnie Brian. Annie usiłowała nadepnąć mu na stopę, ale stał za daleko.

– To znakomicie. Powiedzcie mi, kto to jest Finola? – spytała Gertie.

– Matka Bernadette – wyjaśnił chłopiec, a Annie wywróciła oczami.

– To był miły gest z jej strony. Musi mieć mnóstwo pieniędzy, skoro może nimi szastać.

– Wręcz przeciwnie, jest całkiem zrujnowana. To dlatego pokłóciła się z tatą.

– Nie sędzę, ażeby Brian właściwie zrozumiał sytuację... –

zaczęła jego siostra.

– Sama nam o tym powiedziała, Annie. Zawsze nazywasz mnie kretyńcem i półgłówkiem, ale to ty jesteś głucha. Przecież Finola przyznała, że poróżniła się z tatą o pieniądze.

– Chyba powinniśmy już pójść, Brianie. Marilyn nas oczekuje, a przedtem musimy jeszcze odwiedzić babcię – powiedziała błagalnym tonem Annie.

– Mam nadzieję, że tym razem przygotuje coś dobrego do zjedzenia zamiast tych ohydnych, twardych pierników –

stwierdził zrzędliwym tonem zarumieniony i poirytowany Brian.

– Nie martw się, Colm przygotował dla was kolację –

uspokoila chłopca Gertie.

– Och, to dobrze. – Brian rozjaśnił się na myśl o tym, że będzie mógł porozmawiać z restauratorem o piłce nożnej i filmach wideo i zostanie mu oszczędzone przysłuchiwanie się babskim dyskusjom o ciuchach.

– Chyba nie powinnam była wam tego mówić. Posłuchajcie, jeśli Marilyn sama nie powie, że to jedzenie od Colma, nie zdradźcie mnie, że się przed wami wygadałam. Może będzie chciała, abyście myśleli, że sama je przyrządziła? – Gertie była speszona.

– Och, jestem pewna, że Brian Lynch z łatwością sprostą zadaniu – załatwi tę sprawę nad wyraz taktownie i dyplomatycznie.

569

– Ona zawsze czepia się mnie bez powodu – narzekał

chłopiec. – Nie martw się, Gertie. Powiem: „Cóż za wyborne jedzenie, Marilyn, znakomita z ciebie kucharka”.

Gertie wsunęła rękę do kieszeni różowego fartucha, jaki zwykle nosiła w pralni.

– Proszę, oto po funcie dla każdego z was. Żałuję, że nie mogę dać wam więcej, ale kupcie sobie przynajmniej za to lody na lotnisku.

– Dziękujemy, Gertie – powiedział Brian. – Ciekaw jestem, czy od Marilyn też dostaniemy jakieś pieniądze.

– Może staniemy w furtce przed naszym domem i zaczniemy wołać, jakiej kwoty sobie życzymy? Czyż to nie dobry pomysł? – fuknęła Annie i z wyrazem wściekłości na twarzy wyprowadziła brata z pralni.

– Czy nie przyjechałabyś do nas razem z dziećmi na najbliższy weekend? – zapytała Ria Sheilę przez telefon.

– Na pewno będziesz chciała trochę pobyć sama z Annie i z Brianem.

– Nie uwierzysz, ale znudzą się mną po dwudziestu minutach. Byłabym bardzo rada, gdybyś znowu przywiozła tutaj swoją dwójkę.

– Nie trzeba ich będzie szczególnie do tego zachęcać. Nieustannie rozprawiają o basenie – stwierdziła siostra Gertie. –

Skoro więc jesteś pewna, że to dobry pomysł...

– Oczywiście, że tak. Wyobraź sobie, że już za kilka godzin Annie i Brian wsiądą do samolotu. Nie mogę w to uwierzyć.

– Wiesz, wciąż wracam myślami do naszej pierwszej telefonicznej rozmowy po twoim przyjeździe. Przepraszam, że zapytałam o Danny’ego. Przypuszczałam, że przyleciał z tobą.

Musiałaś uznać, że jestem ogromnie nietaktowna.

– Ależ nie. – Ria przypomniała sobie własną wymianę 570

zdań z Gregiem Vine’em. – Skąd mogłaś o tym wiedzieć, skoro nikt ci nie powiedział?

– Trzeba przyznać, że Gertie jest bardzo dyskretna –

stwierdziła Sheila Maine.

Marilyn nareszcie zrozumiała powód nadopiekuńczości Colma w stosunku do swojej siostry. Ta kobieta była uzależ-

niona od narkotyków. Jej mąż, ubierający się krzykliwie nie-okrzesany gbur, nie sprawiał wrażenia człowieka, na którego pomoc można by liczyć. Prawdopodobnie, po części, stanowił

nawet przyczynę problemu. Marilyn żałowała, że tamtego feralnego wieczora nie przysłuchiwała się uważniej wywodom Rosemary i Gertie na temat Monta oraz nie zapamiętała tego, co o nim mówią inni ludzie. Nie umiała sobie przypomnieć, czy ktokolwiek wiedział, jak zarabia na życie szwagier Colma.

Niewykluczone, że maczał palce w handlu towarem, od które-go była uzależniona jego żona.

Z jakąż niezwykłą menażerią ludzką zetknęła się Marilyn od czasu swojego przyjazdu do Irlandii. Nie po raz pierwszy żałowała, że nie potrafi normalnie rozmawiać z Gregiem i opowiedzieć mu o tym wszystkim. Obecnie nie umiała dyskutować na żadne tematy z mężem.

– W przyszły weekend urządzą w domu przyjęcie dla przyjaciół, pani Lynch. Być może pani córka

będzie miała ochotę na nie przyjść?

Ria zagryzła usta. Hubie, na którego pomoc zawsze mogła liczyć, był wobec niej szczery. A ona nie kwapiła się z wyra-

żeniem zgody, aby Annie poszła na przyjęcie w licznym gronie młodych i zupełnie nieznanym jej ludzi, wśród których były też osoby o skłonnościach do alkoholu i kradzieży motocykli.

Chłopiec spostrzegł jej niechęć.

– Może być pani spokojna, nie dojdzie do żadnych sza-

leństw.

– Ależ jestem tego pewna. – Gdyby Annie się dowiedziała, że matka jeszcze przed jej przyjazdem zabroniła córce pójścia na przyjęcie, wspólne wakacje miałyby bardzo niefortunny początek. Poza tym nie było tu paskudnej Kitty, która mogłaby sprowadzić Annie na złą drogę. Ria zmusiła się do radosnego uśmiechu. – To wspaniały pomysł, Hubie, ale podczas weekendu będziemy u nas gościć przyjaciół. Sean jest mniej więcej w wieku Annie... Czy jego również mógłbyś zaprosić?

– Dlaczego nie? – Hubie był towarzyskim młodzieńcem.

Wyglądało na to, że w Westville Annie czeka bujne życie towarzyskie. Ria pomyślała nie bez satysfakcji, że przynajmniej córka będzie bardziej zadowolona z pobytu w Stanach niż z wakacji na łodzi.

– Jeśli podczas wizyty u babci poprosisz ją o pieniądze, zamorduję cię gołymi rękami i pozwolę, aby Kleszcz przed pożarciem ciągnął twój trup po ulicy – zapowiedziała bratu Annie.

– Nikogo nie prosiłem o pieniądze. Wszyscy dawali mi je z własnej woli – oburzył się Brian.

– Jak się miewasz, Noro? – powiedział, kiedy otworzyła im drzwi. Annie uparcie nadal zwracała się do babki w tradycyjny sposób.

– Dziękuję, dobrze – odrzekła pani Johnson. – Czy przypadkiem nie ukryliście gdzieś za żywopłotem Kitty?

– Nie, babciu – westchnęła Annie. – Bernadette w tej sprawie jest wyjątkowo czujna. Podejrzewam, że minęła się z powołaniem. Powinna była zostać naczelnikiem więzienia, a nie nauczycielką muzyki.

Nora Johnson stłumiła śmiech. Bawiły ją telefony od tej dziwnej dziewczyny, z którą żył bez ślubu Danny Lynch. Ber-572

nadette nie była lepsza od Kitty. Bo za kogo innego mogła ją uważać matka Rii, jeśli nie za kobietę łatwą, która uwiodła cudzego męża i była zachwycona swoim statusem niezamężnej matki?

Nora musiała jednak przyznać, że Bernadette skrupulatniej niż Danny stosuje się do zaleceń Rii. Były

mąż córki zdawał

się obecnie żyć na innej planecie i gdziekolwiek Nora poszła, ludzie wszędzie kiwali głowami nad jego przyszłością. Zrobiła nawet wyłom w swoich zwyczajach i zwróciła się z zapytaniem do lady Ryan, czy w tych pogłoskach kryje się jakieś ziarno prawdy. Rosemary udzieliła jej ostrej reprimendy: „Interesy Danny’ego i Barneya są w jak najlepszym porządku. To tylko stare plotkarki usiłują wywołać skandal, oburzone tym, że porzucił Rię”. Nora miała nadzieję, że Rosemary się nie myli.

– Jutro o tej porze będziecie już w Ameryce, wyobrażacie to sobie?

– Żałuję, że Marilyn nie ma dzieci – utyskiwał Brian.

– Gdyby miała, przywiozłaby je tutaj ze sobą. I tak nie bawilibyście się tam z nimi – zauważyła babka.

– Mama nas ze sobą nie zabrała. – Wytoczył argument nie do odparcia.

– Marilyn ma syna, który obecnie jest ze swoim ojcem na Hawajach. Mama już dawno nam o tym mówiła, tylko jej nie słuchałeś – stwierdziła Annie.

– Skoro przebywa na Hawajach, nie będziemy mieli z niego żadnego pożytku – oświadczył chłopiec.
– Zrobisz dla nas herbatę, Noro?

– Myślałam, że wybieracie się do waszego domu na kolację?

– Tak, rzeczywiście...

Nora wyjęła sok z pomarańczy i herbatniki.

573

– Dlaczego nigdy nie byłeś w Ameryce, babciu? – spytała Annie.

– W moich czasach ludzie z klasy pracującej jedynie emigrowali do Ameryki. Nigdy nie jeździli tam na wakacje.

– Czy my też należymy do klasy pracującej? – zaciekawili!

się Brian.

Nora Johnson spojrzała na dwójkę swoich pogodnych i pewnych siebie wnuków, zastanawiając się, do jakiej klasy zaliczą siebie pod koniec lata, kiedy to, według powszechnej opinii, ich piękny dom zostanie wystawiony na sprzedaż. Nie wspomniała jednak o tym.

– Macie się tam wspaniale bawić i przysłać mi cztery pocztówki – co tydzień jedną, zgoda?

– Obawiam się, że widokówki mogą być tam drogie –

stwierdzi! Brian.

– Jesteś równie skąpy jak twoja ciotka, Hilary... Zamierza-

łam dać wam pięć funtów na wydatki.

W tym momencie Kleszcz zawył przeraźliwie.

– Nie prosiłem o pieniądze – zawołał chłopiec, przypominając sobie groźbę siostry, że nakarmi jego ciałem ulubieńca babki.

– Nie, oczywiście, że nie prosiłeś, Brianie – powiedziała Annie złowróżbnym tonem.

Dziwnie się czuli w roli gości w swoim własnym domu.

Jeszcze bardziej osobliwa wydała się im cisza, jaką zastali.

Zaledwie przed miesiącem, kiedy mieszkali tutaj z mamą, cią-

gle ktoś przychodził i wychodził. Teraz było zupełnie inaczej.

– Gdzie Klemens? – spytała Annie. – Nie siedzi na swoim krześle.

– Pewnie jest na piętrze. Zejdzie na dół, kiedy poczuje zapach jedzenia.

574

– Klemens tam nie bywa... – zaczął Brian, lecz przechwyciwszy spojrzenie siostry, pośpiesznie zmienił taktykę. – Dotychczas nie był zainteresowany wchodzeniem na górę, ale może teraz zmienił swoje przyzwyczajenia.

Marilyn ukryła uśmiech.

– Przyniosłam dla was z restauracji Colma cudowną kolację. Dowiedziałam się przedtem, co lubicie.

W czasie kiedy jedzenie podgrzewało się w piekarniku, pomogli jej nakryć do stołu. Dzisiejsza wizyta bardzo różniła się od pierwszej, kiedy Marilyn miała trudności z nawiązaniem kontaktu z dziećmi Rii.

– Czy już jesteście spakowani?

– Sądzę, że tak – odparła Annie. – Mama za pośrednictwem poczty elektronicznej przysłała nam do biura taty listę rzeczy, jakie powinniśmy ze sobą zabrać. Wciąż nie mogę się nadziwić, że umie obsługiwać komputer.

– Ze wszystkim tutaj również sobie radziła. – Marilyn za-toczyła ręką, wskazując na technicznie

skomplikowane urzą-

dzenia kuchenne.

Ostatnio czuła ogromną potrzebę bronienia Rii. I nie zamierzała pozwolić, aby ktokolwiek ją krytykował; ta kobieta doświadczyła w swoim życiu wystarczająco dużo przykrości.

– Ach, to tylko udogodnienia kuchenne – zauważyła wyniośle Annie. – Mama była skłonna opanować obsługę wszelkich mechanizmów używanych w gospodarstwie domowym.

– Być może obecnie poszerzyła zakres swoich zainteresowań.

– A czy ty poszerzyłaś swój tutaj? – zaciekawił się Brian.

– W pewnym sensie tak. Robię teraz wiele rzeczy, jakich nie tknęłabym w domu. Prawdopodobnie tak samo jest w przypadku twojej matki.

– A co robisz tutaj innego niż zazwyczaj? – spytała Annie.

575

– Powiedziałaś nam, że u siebie również uprawiałaś ogród, chodziłaś na spacerunki i czytałaś książki.

– To prawda – przyznała po namyśle Marilyn. – Jednak zmieniły się moje uczucia. Może podobnie jest z waszą mamą.

– Mam nadzieję, że przestanie tak bardzo przeżywać historię z tatą – powiedział Brian.

– Zdystansowanie się od problemu bywa niewątpliwie bardzo pomocne.

– Czy dzięki przyjazdowi tutaj myślisz serdeczniej o swoim mężu? – chciał wiedzieć Brian.

Rzucił nerwowe spojrzenie na Annie, spodziewając się, że każe mu się uciszyć i nazwie go głuptasem, siostra jednak najwyraźniej także była ciekawa odpowiedzi, ponieważ tym razem się nie odezwała.

Marilyn, nieco zakłopotana bezpośredniością chłopca, przestąpiła z nogi na nogę.

– To trochę skomplikowane. Nie jestem w separacji z mę-

żem. Oczywiście, w pewnym sensie tak, skoro on znajduje się obecnie na Hawajach, a ja tutaj, ale nie było pomiędzy nami żadnych prawnych ustaleń ani kłótni.

– Po prostu rzuciłaś go? – Brian starał się przyjść jej z pomocą.

– Nie, to nie było tak. I uprzedzając wasze pytanie: on również mnie nie porzucił. Potrzebowaliśmy tylko trochę samotności i możliwe, że potem, pod koniec lata, znowu bę-

dziemy razem.

– Czy sądzisz, że mama i tata też mogą być znowu razem pod koniec lata? – Na buzi biednego chłopca malowało się tak wielkie napięcie, że Marilyn poczuła ucisk w gardle. Nie potrafiła znaleźć żadnych pocieszających słów.

– Pozostaje jeszcze problem Bernadette i dziecka – zauważyła Annie, ale powiedziała to znacznie bardziej łagodnym

tonem niż zazwyczaj.

– Czy twój mąż nie ma żadnej młodej kobiety, która spodziewa się dziecka? – Brian, niczym tonący, gotów był chwycić się brzytwy.

– Nie, nasz problem jest innego rodzaju.

– W takim razie nie ma wielkiej nadziei na zejście się moich rodziców – stwierdził ze smutkiem. Wyglądał, jak gdyby za chwilę miał zamiar się rozpłakać.

– Brianie, czy możesz wyświadczyć mi przysługę? Mam straszliwe przecucie, że Klemens zasnął w moim łóżku, to znaczy w łóżku twojej mamy, a nie chcemy, żeby nabrał złych przyzwyczajęń, prawda? Czy mógłbyś po niego pójść?

– Ten kot należy do Annie. – Brianowi drżały usta, lecz zbyt dobrze wiedział o silnym poczuciu własności siostry w stosunku do Klemensa i nie chciał ryzykować, że zostanie przez nią skrzyczany.

– W porządku, możesz go przynieść na dół – wyraziła zgodę. Kiedy poszedł na górę, przeprosiła za brata: – Jest bardzo głupi.

– I bardzo młody – dodała Marilyn.

– Nadal sądzi, że wszystko dobrze się ułoży – westchnęła dziewczynka.

– A ty, Annie? Co ty o tym sądzisz?

– Mama jakoś to przeżyje, jeśli tylko zdoła zatrzymać ten dom.

Danny wrócił późno. Bernadette siedziała skulona w fotelu, a stół był nakryty na dwoje.

– Gdzie dzieci? – spytał.

Dziewczyna wolno podniosła na niego wzrok.

– Przepraszam? – spytała.

– Gdzie są Annie i Brian?

– Och, rozumiem. Nie usłyszałam: „witaj, Bernadette”, czy: „kocham cię, moja droga” ani: „jak miło znowu być w domu”. Skoro jednak pytasz o dzieci, spróbuj sobie przypomnieć, że nie dalej jak podczas śniadania oświadczyły, że mają zamiar złożyć szereg wizyt takim osobom, jak twoja była teściowa, moja matka oraz niejaka Marilyn Vine i obiecały wrócić najpóźniej o dziesiątej wieczorem.

Był pełen skruchy.

– Jezu, Bernadette, tak mi przykro. Jestem głupi, bezdennie tępy i samolubny. Miałem dzisiaj straszliwie ciężki dzień, ale to nie twoja wina. Wybacz mi.

– Nie ma o czym mówić. – Wzruszyła ramionami.

– A właśnie, że jest! – zawołał. – Ty dla mnie zrezygnowałaś ze wszystkiego, a ja zachowuję się wobec ciebie jak gbur.

– Ja z niczego nie zrezygnowałam, to raczej ty musiałeś dla mnie wiele poświęcić. – Mówiła spokojnym i rzeczowym tonem, jak gdyby udzielała wyjaśnień dziecku. – Zrobię ci drinka, Danny.

– Obawiam się, że alkohol może mi dzisiaj zaszkodzić.

– Będzie słaby: odrobina whisky z przewagą lemoniady.

– Kiepski ze mnie towarzysz życia: zręczliwy, starzejący się mężczyzna, nękany licznymi problemami w pracy.

– Cyt. – Wręczyła mu szklaneczkę i nastawiła nieco gło-

śniej magnetofon. – To Brahms. Jego muzyka zawsze ma magiczne działanie.

Dannym targał niepokój i pragnął porozmawiać. Brahms i whisky dobrze jednak na niego podziały. Ramiona mu się rozluźniły, a pionowa zmarszczka na czole znikła. Z wielu powodów i tak nie było o czym rozmawiać. Po cóż miałby zdawać jej relację ze wszystkich nieprzyjemności, jakie go dzisiaj spotkały w biurze? Jakież sens miałoby opowiadanie jej 578

o Larrym, dyrektorze banku, który był wręcz nieuprzejmy w stosunku do niego podczas ich telefonicznej rozmowy? Albo o tym, jak pewien ważny biznesmen wycofał się z wielkiej inwestycji budowlanej w Wicklow, ponieważ uznał Barneya i Danny'ego za niewiarygodnych i nieuczciwych partnerów?

A także o telefonie od Polly, która ostrzegła ich przed szerzącymi się w mieście pogłoskami o upadłości firmy? I o reakcji szefa na te wszystkie wydarzenia – był nieuchwytny i dystansował się od kłopotów, jak gdyby w ogóle go nie dotyczy-

ły?

Największą trwogą przejmowała Danny'ego myśl o stracie domu pod numerem szesnastym przy Tara Road, gdyby w banku domagano się spłaty pożyczki, jaką zaciągnął na prośbę Barneya pod zastaw hipoteczny tej nieruchomości. Wtedy nie tylko Ria wraz z dziećmi straciłaby dach nad głową, ale nie pozostałoby już nic do sprzedania. Ogrom pewnych problemów uniemożliwiał rozmowę o nich; Bernadette miała rację, że nawet nie próbowała podejmować dyskusji na ten temat.

Klemens siedział na swoim krześle, ale z tęsknotą spoglą-

dał w stronę drzwi, przez które z powrotem mógłby uciec do dużego, wygodnego łóżka, gdzie od dawna zwykł sypiać.

Marilyn, stawiając na stole dania od Colma, opowiedziała dzieciom więcej o Westville. Mówiła o zjeździe absolwentów, zaplanowanym na jeden z weekendów sierpnia, i o tym, jak ludzie przybywają z różnych stron kraju i prawią sobie nawzajem komplementy na temat swojego młodego wyglądu.

– Mój mąż również przyjedzie z Hawajów, będziecie więc mieli okazję go poznać.

– Czy zatrzyma się w waszym domu? – zapytała Annie.

– Tak, wasza mama była tak miła, że wyraziła na to zgodę.

– Czy twój syn również przyjedzie?

579

– Słucham?

– Twój syn? Czy nie przebywa na Hawajach z panem Vi-ne'em?

– Mój syn?

Annie nie spodobał się wyraz twarzy Amerykanki. – Tak.

– Kto wam to powiedział?

– Mama.

– Mama powiedziała wam, że Dale przebywa na Hawajach?

– Nie wymieniła jego imienia. Stwierdziła tylko, że pokój chłopca, pełen osobistych rzeczy, przygotowany jest na jego powrót.

Marilyn zrobiła się bardzo blada, ale Brian nie spostrzegł

tego.

– Może zagramy w koszykówkę, jeśli przyjedzie do domu?

– Co jeszcze powiedziała wam o nim wasza mama? – Głos Marilyn był teraz niewiele głośniejszy od szeptu.

Annie poważnie się zaniepokoiła.

– Zdaje się, że chciała uzyskać od pana Vine'a więcej informacji, żadnych jednak nie otrzymała i nie wie, czy chłopiec przyjedzie z ojcem.

– O mój Boże! – westchnęła Marilyn.

– Bardzo przepraszam... może nie powinnam była o niego pytać? Czy coś się stało...? – zaczęła dziewczynka.

– O co chodzi? – wtrącił się Brian. – Nie ma go na Hawajach? Uciekł stamtąd?

– Rozumiem teraz, co miał na myśli – powiedziała Marilyn. – Kto?

– Greg. Mój mąż. Stwierdził, że wasza matka zrobiła na nim wrażenie osoby bardzo religijnej.

– Wcale nie jest religijna – oświadczył z dezaprobatą chłopiec. – Nora zawsze powtarza, że prostą drogą zmierza do ot-580

chłani piekieł.

– Zamilknij wreszcie, Brianie. – Dziewczynka odruchowo uciszyła brata.

– Palnęłam straszliwe głupstwo. Zakładałam, że ona się domysli – oświadczyła z wyraźną udręką Marilyn.

– To twój syn nie pojechał na Hawaje? – zapytała Annie. –

Nie.

– To gdzie się w takim razie podziewa? – Briana zaczęła nużyć ta wymiana zdań.

– On nie żyje – wyjaśniła Marilyn Vine. – Mój syn, Dale, nie żyje.

Po godzinie Danny poczuł się znacznie bardziej uspokojony. Być może wyolbrzymiał problem. Bernadette poszła do kuchni, ażeby przygotować sałatkę z wędzonego kurczaka.

Nigdy nie było tu syku pary w garnkach, rosnących sufletów ani posypanych mąką kuchennych blatów, na których leżało ciasto na wypieki. Danny nie przypuszczał, że życie może toczyć się tak spokojnym trybem, być tak niewymagające i wolne od szalonej aktywności, z jaką stykał się w nadmiarze w swoim biurze.

- Czy zdążę przed kolacją przeprowadzić trzyminutową telefoniczną rozmowę? – spytał.
- Oczywiście. Wybrał numer Finoli.
- Mówi Danny Lynch. Chciałem cię bardzo serdecznie przeprosić, dałem się ponieść emocjom.
- Przypuszczam, że to dzieci nakłoniły cię do skontaktowania się ze mną?
- Nie, nie ma ich tutaj.
- To pewnie Bernadette?

– Chyba znasz swoją córkę. Nigdy by tego nie zrobiła. Telefonuję z własnej woli. Byłem wtedy wyprowadzony z rów-581

nowagi.

– Cóż mogę powiedzieć, Danny? – Finola sprawiała wrażenie wyraźnie zakłopotanej.

– Co się tyczy twojego pytania: nasza firma rzeczywiście ma kłopoty, jestem jednak całkowicie przekonany o tym, że zdołamy je pokonać. Posiadamy znaczne aktywa. Bernadette nie zostanie bez środków do życia, wierz mi.

– Wierzę ci, Danny, i dziękuję. Być może nie powinnam była o to pytać. Mój niepokój wynikał jednak stąd, że spoczywa na tobie odpowiedzialność za wiele innych osób oprócz Bernadette.

– Będą otoczone opieką, Finolo. Czy teraz jesteśmy przyjaciółmi?

– Zawsze nimi byliśmy – odrzekła.

Rozłączył się i spostrzegł Bernadette, która przyglądała mu się od drzwi.

– Jesteś bohaterem – stwierdziła.

W kuchni przy Tara Road pod numerem szesnastym zaległa cisza.

W końcu Brian przerwał milczenie:

– Czy cierpiał na jakąś okropną chorobę?

– Nie, zginął tragicznie. W wypadku motocyklowym.

– Jak wyglądał? Czy miał rude włosy jak ty? – spytała Annie.

– Tak. Choć ani w moich, ani w Grega żyłach nie płynie irlandzka krew, jesteśmy rudzielcami, więc dla biednego Da-le’a nie było ratunku. Oboje jesteśmy wysocy, więc również i on wyrósł jak topola.

Miał szczupłą budowę i był wysportowany. Nosił aparat korekcyjny na zębach, podobnie jak większość dzieci w Stanach.

– Tutaj też zaczyna się je stosować – zauważył Brian, nie 582

chcąc, ażeby Irlandia uchodziła za zacofaną.

– Z pewnością. Był wspaniałym chłopcem. Każda matka uważa swojego syna za najlepszego na świecie i ja nie stanowiłam tu wyjątku.

– Masz przy sobie jakąś jego fotografię? – spytała Annie.

– Niestety nie.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Może dlatego, że patrzenie na nią byłoby dla mnie zbyt bolesne.

– Ale przechowujesz jego zdjęcia w domu. Mama powiedziała, że jest bardzo przystojny i ma czarujący uśmiech. To dlatego myślałam, że spotkam go w Westville – wyznała dziewczynka.

– Rozumiem.

– Przepraszam.

– Nie ma za co. Rzeczywiście był przystojny.

– Czy miał jakieś dziewczyny?

– Nie, Annie, nie sądzę. Zresztą, co matka może wiedzieć?

– Założę się, że miał. Wiem z filmów, że w Ameryce młodzież bardzo wcześnie zaczyna się interesować tego typu sprawami – zawyrokował Brian.

Siedzieli i rozmawiali o zmarłym Dale’u, dopóki Annie nie uzmysłowiła sobie, że powinni się zbierać do wyjścia, aby

„oficer dowodzący” Bernadette nie wstąpiła na ścieżkę wojenną.

– Odwiozę was – zaproponowała Marilyn.

Na ulicy spostrzegli Rosemary. Marilyn spojrzała pytająco na Annie, upewniając się, czy przypadkiem dziewczynka nie chce się pożegnać z przyjaciółką matki, Annie jednak ledwo zauważalnie zaprzeczyła ruchem głowy. Marilyn przyspieszy-

ła, ażeby nie zostali zauważeni, z ulgą przyjmując tę decyzję.

Stwierdziła, że coraz większą trudność sprawia jej zachowy-583

wanie, przez wzgląd na dobrosąsiedzkie stosunki, pozorów uprzejmości wobec Rosemary Ryan. Ciekawe, że dziewczynka podzielała jej odczucia.

Marilyn wysadziła dzieci na rogu ulicy. Nie miała najmniejszej ochoty na wymianę zdań z Dannym Lynchem ani też z jego nową miłością. Z głową pełną kłębiących się myśli wróciła na Tara Road.

Kiedy zajęła pod numer szesnasty, uzmysłowiła sobie wstrząśnięta, że w ogóle nie pamięta powrotnej drogi. A przecież musiała skrócić we właściwą ulicę i włączać odpowiednie mechanizmy. Poczula się bardzo zawstydzona. W ten właśnie sposób – na równi z nadmierną prędkością – powodowane były wypadki; przez kierowców, którzy przebywali gdzie indziej myślami. Marilyn cała się trzęsała, gdy już zaparkowała samochód Rii i weszła do domu. Usiadła przy stole. Na kredensie stały trzy kryształowe karafki. Ria wyjaśniła w liście, że są tam głównie dla ozdoby – ona i Danny pili zwykle niedrogie wina.

Wyraziła jednak nadzieję, że ich zawartość wciąż nadaje się do spożycia, oraz życzenie, żeby Marilyn nie omieszkała poczę-

stować się alkoholem, ilekroć najdzie ją na to ochota. W jednej z karafek było trochę brandy, w drugiej znajdowało się porto, a w trzeciej wiśniówka. Marilyn drżącą ręką naląła sobie brandy.

Co się dzisiaj wydarzyło? Co się zmieniło, że nagle mogła rozmawiać o Dale'u, opowiadać nieznajomym dzieciom o pie-gach na jego nosie i aparacie korekcyjnym na zębach? I przyznać, że nie zabrała ze sobą zdjęcia syna z obawy, że sprawi jej ono ból nie do zniesienia? Dlaczego bezpośrednie pytania dwojga dzieci, których prawie nie znała, skłoniły ją do odpowiedzi, jakich nie umiała udzielić mężowi, przyjaciołom ani kolegom z pracy?

Zapadł zmierzch, lecz rdzawozłote promienie zachodzą-

584

cego słońca nadal rozjaśniały niebo. On nigdy nie przebywał w tym domu ani w mieście, gdzie obecnie mieszkała. Nikt tutaj nie pamiętał jej z czasów, kiedy była matką – kochającą i wypełniającą swoje matczyne obowiązki kobietą, która miała jeszcze przed sobą przyszłość. Wszyscy wokół znali ją jako oschłą i nieco sztywną Marilyn Vine. A jednak, pomimo to, zjednała sobie sympatię niektórych osób. Poznała ludzi bory-kających się z równie poważnymi problemami, jak jej własny.

I do świadomości Marilyn dotarł fakt – po raz pierwszy od czasu tragedii – że tak jest naprawdę.

Przyjaciele w Ameryce radzili jej, by myślała o wszystkich innych dobrodziejstwach, jakich na co dzień doświadcza. Jednak wobec ogromu poniesionej starty żadne pozytywy nie wydawały się godne uwagi. Nie przynosiły też ukojenia słowa pociechy Grega ani innych bliskich ludzi.

Głupotą byłoby myśleć, że oto nagle, jednego wieczora, zdołała pokonać życiowy zakręt. Nie należała do tych, którzy wierzą w uzdrawiającą moc cudów. Powodem przełomu było pełne emocji

spotkanie z dwojgiem żywych dzieci, które miały zamieszkać w domu przy Tudor Drive pod numerem 1024, gdzie jej syn podczas swojego krótkiego życia bawił się, spał i gdzie się uczył. Marilyn wiedziała, że Lynchowie będą tam zawierać nowe przyjaźnie, podobnie jak kiedyś Dale, i pływać w basenie, do którego on skakał. Może nawet znajdą stoper i zaczną mierzyć czasy – sobie nawzajem oraz swojej mamie –

podobnie jak on robił to za życia. „Stać cię na więcej, mamó” –

wołał do niej. I zazwyczaj, podczas następnej próby, poprawiała wynik.

Sącząc brandy, spostrzegła łzy na swojej dłoni. Nawet nie wiedziała, że płacze. Dotychczas nie pozwalała sobie na roztkliwianie się i odrzucała rady psychologów, którzy przekonywali ją o tym, że musi dać upust swemu smutkowi. A teraz, 585

chlipiąc, siedziała w tym pogrążonym w ciemnościach domu, w otoczeniu dźwięków obcego miasta: odmiennych odgłosów ruchu ulicznego, okrzyków dzieci nawołujących się z irlandzkim akcentem oraz nieznanego świergotu ptaków.

Z sąsiedniego krzesła przyglądał się jej duży rudy kocur.

Popijała brandy i płakała. Wypowiedziała na głos imię syna i nie nastąpił koniec świata. Annie i Brian chcieli o nim wszystko wiedzieć. Jaką zamierzał obrać drogę życiową? Czy jadał

mięso? Kto był jego ulubionym aktorem? Jakie książki czytał?

Zapytali nawet o markę motocykla, którym jechał owej feralnej nocy. Odpowiedziała na wszystkie pytania, a nawet z własnej woli dostarczyła więcej informacji, opowiadając różne zabawne historie, jak ta, która wydarzyła się w Święto Dziękczynienia albo na szkolnym przedstawieniu, w którym brał udział

Dale, czy podczas wielkich śnieżyc.

„Dale” – spróbowała wypowiedzieć jego imię ponownie, z lękiem, lecz nie, to słowo nie pierzchło, ale nadal dźwięczało w powietrzu. Mogła wymówić jego imię. To było nadzwyczajne.

Musiało znajdować się tutaj przez cały czas, tylko nie zdawała sobie z tego sprawy. A teraz, kiedy już o tym wiedziała, nie miała obok siebie nikogo, z kim mogłaby się podzielić ową nowiną. Okrucieństwem i bezduszością byłoby telefonować do męża – do biednego, zranionego i zagubionego Grega, który nieustannie zadawał sobie pytanie, w którym momencie postą-

pił niewłaściwie i dlaczego ją zawiódł. Popęłniłaby błąd, telefonując teraz do niego na Hawaje i mówiąc mu o tym, że stało się coś, co otworzyło kraty jej więzienia. Może spowodował to fakt, że Dale nigdy nie był w Irlandii? Marilyn przypuszczała jednak, że kryje się za tym coś więcej. Nie musiała się już obawiać powrotu do miejsc, w których kiedyś przebywał syn i gdzie była świadkiem jego entuzjastycznego oddawania się kolejnym pasjom.

Wiedziała, że Dale kochał ją za to, iż była niespokojnym duchem, zawsze gotowym do nowych przygód i chętnym do podnoszenia własnej sprawności. We wszystkim stosowała się do jego zaleceń: jak stać się lepszą pływaczką, geniuszem gier komputerowych, miłośniczką walk sumo i wytrawnym graczem w karty. Jedynie w sprawie motocykli odwróciła się do niego plecami i całymi miesiącami cierpiała męczarnie, obciążając się za to winą. Gdyby mu obiecała motocykl po osiągnię-

ciu wieku odpowiedniego do uzyskania prawa jazdy, wtedy być może nie poszedłby z tymi rozhukanymi chłopakami i nie dał się wciągnąć w ich niebezpieczne, pijackie zabawy. Dzisiaj miała w tej sprawie nieco inne odczucia.

Annie uznała za oczywiste, że Marilyn nie pozwoliła swojemu synowi zbliżyć się do motocykli. Równie dobrze mogłaby mu pozwolić na bawienie się bronią. A Brian powiedział:

„Mam nadzieję, że trafił do nieba. Pewnie jest mu teraz bardzo przykro, że narobił wam obojgu tyle kłopotu”.

Żadne wypowiedzi, od momentu kiedy Marilyn została zawiadomiona o wypadku, nie miały dla niej sensu – aż do tej pory. Położyła głowę na stole i zaczęła wylewać wszystkie łzy, jakie powinna była wypłakać w ciągu ubiegłego półtora roku.

Wtedy jednak ich nie miała, dopiero teraz popłynęły.

Ria pojechała do sąsiedniego miasta, skąd wsiadła do autobusu kursującego na lotnisko Kennedy’ego. Miesiąc temu Marilyn pokonywała tę samą trasę. Trzydzieści dni temu. A za następne trzydzieści dni Ria miała wracać tą drogą do domu.

Zamknęła oczy, pragnąc gorąco, ażeby najbliższy miesiąc okazał się cudowny i niezapomniany dla dzieci. Nie dlatego, ażeby dać im więcej, niż mieli do zaoferowania Danny i Bernadette. To było nieważne. Po prostu zasługiwały na wspaniałe wakacje, dobrą zabawę i nadzieję, że być może perspektywy na 587

przyszłość nie są aż tak mroczne.

Ria postanowiła, że nie będzie tracić cierpliwości podczas rozmów z Annie, nie będzie się wymądrzać ani mówić córce, co powinna robić. Annie była młodą kobietą i trzeba dać jej szansę na znalezienie własnych przyjaciół w tej cichej i bezpiecznej miejscowości. Pod wieloma względami o wiele bezpieczniejszej niż duże miasta, jak Dublin. I, na szczęście, trzy tysiące mil z dala od Kitty. Przysięgła sobie w duchu, że żadne gafy Briana nie wyprowadzą jej z równowagi. I tak nie było sposobu, aby mogła komukolwiek zaimponować swoim synem; musiała zaniechać podejmowania daremnych wysiłków.

Wiedziała, że będzie kierował do wszystkich uwagi najbardziej niestosowne z możliwych: Johna i Gerry’ego zapyta, dlaczego się nie pobrali, Heidi – czemu nie ma dzieci, a Carlottę – dlaczego mówi z tak śmiesznym akcentem. Chłopiec miał tutaj ogromne pole do popisu. Ria powzięła postanowienie,

że nigdy nie będzie się za niego wstydzić ani nakłaniać go do większej rozwagi w formułowaniu wypowiedzi.

Tęskniła za momentem, kiedy weźmie syna w ramiona, a on, na co miała nadzieję, nie wyrwie się z jej objąć zawstydzony. Pragnęła usłyszeć od Annie: „mamo, do twarzy ci z tą opalenizną” i: „ogromnie za tobą tęskniłam”. Przez całą drogę na lotnisko Ria upominała się w myślach, że nie wolno jej żyć w świecie marzeń. Powitanie nie będzie doskonałe tylko dlatego, że dzieci nie widziały jej przez miesiąc.

Pamiętaj o tym, Rio, pamiętaj. Dorośnij wreszcie. Dorośnij i stań się realistką.

Danny zadzwonił do drzwi mieszkania Rosemary. Była dziesiąta wieczorem. Rosemary pracowała przy biurku i na dźwięk dzwonka odłożyła papiery, spojrzała w lustro, roztrzepała włosy, spryskała się drogimi perfumami i nacisnęła brzę-

588

czyk, wpuszczając gościa.

– Dlaczego nie wzięłaś ze sobą klucza, Danny? Tyle razy cię o to prosiłam.

– Wiesz dlaczego. Pokusa byłaby zbyt silna i przychodził-

bym tutaj nieustannie. – Posłał jej leniwy uśmiech, który zawsze poruszał serce Rosemary.

– Żałuję, że tak nie jest – powiedziała łagodnym tonem.

– Prawdziwym powodem jest obawa, że zastanę cię in fla-granti z innym mężczyzną.

– To mało prawdopodobne – odparła lakonicznie.

– No cóż, słyniesz z tego, że lubisz folgować swoim za-chciankom – rzucił oskarżające – W przeciwieństwie do ciebie, prawda? – zauważyła. – Masz ochotę na drinka?

– Tak, proszę. Tobie też będzie potrzebny.

Rosemary stanęła przy barku z alkoholami, opanowana i elegancka w swojej granatowej sukni. Nalała im obojgu dwie duże irlandzkie whisky i usiadła na białej kanapie sztywno wyprostowana, ze skrzyżowanymi nogami w kostkach – niczym modelka.

– Chyba już urodziłaś się pełna wdzięku – odezwał się Danny – Powinieneś był się ze mną ożenić – stwierdziła.

– Spotkaliśmy się w niewłaściwym momencie. Jesteś kobietą biznesu i wiesz, że tajemnica wszechświata tkwi w szczę-

śliwym zbiegu okoliczności.

- Cała ta twoja filozofia nie powstrzymała cię od porzucenia Rii dla innej kobiety, ale nie dla mnie. Nie wracajmy jednak do tego. Co opijamy, sukces czy klęskę?
- Nigdy nie tracisz panowania nad sobą, prawda? – Był jednocześnie poirytowany i pełen podziwu dla tej kobiety.
- Przecież znasz mnie, Danny.
- Jestem skończony...
- To niemożliwe. Masz przecież rezerwę kapitałową na 589

wypadek sytuacji awaryjnej.

– Wszystkie pieniądze zostały już wykorzystane.

– A co z „Larą”? – To była ich najważniejsza inwestycja –

blok z czterdziestoma lokalami mieszkalnymi oraz klubem odnowy biologicznej. Prasa szeroko rozpisywała się o tym projekcie, a wszystkie mieszkania zostały sprzedane na długo przed rozpoczęciem budowy. Przedsięwzięcie to miało stać się przełomem w pokonywaniu kryzysu.

– Straciliśmy ją dzisiaj.

– A co na to, na miłość boską, Barney ze swoimi błysko-tliwymi doradcami prawnymi?

– Potrzebowaliśmy dodatkowych gwarancji... i okazaliśmy się zbyt słabi. – Danny sprawiał wrażenie znużonego i smutnego.

Rosemary nie umiała przyjąć do wiadomości tego, co powiedział. Każdy inny właściciel bankrutującej firmy wpadłby w histerię, pieniałby się ze złości lub byłby zatrwożony. Danny natomiast zachowywał się jak chłopiec, który został przyłapany w cudzym sadzie. Wyglądał na skruszonego.

– I co zamierzasz zrobić? – spytała.

– A co mogę zrobić w tej sytuacji, Rosemary?

– Nie zachowuj się jak defetysta, lecz postaraj się jakoś zaradzić kłopotom. Zwróć się do kogoś o pomoc. Zerwij z tą swoją cholernie ambitną pozą; w końcu problem sprowadza się jedynie do pieniędzy.

– Tak sądzisz? – Miał teraz niepewną minę i w niczym nie przypominał zarozumiałego Danny’ego, gotowego wyruszyć na podbój świata.

– Ja to wiem. I ty również. Pod tym względem jesteśmy do siebie podobni, w przeciwnym razie oboje nie zaszlibyśmy tak wysoko. Od czasu do czasu musimy się poniżyć. Na Boga, i mnie się to nieraz zdarzyło, i tobie.

590

– W porządku, zrobię to – oświadczył nagle, a jego głos zabrzmiał mocniej niż przedtem.

– Taka postawa znacznie bardziej mi odpowiada.

– Pożycz mi pieniędzy, Rosemary. Pożycz mi ich niezwłocznie. Obiecuję, że podwoję tę kwotę, jak zwykłem to robić dotychczas. – Patrzyła na niego zaskoczona, z szeroko otwartymi ustami. Danny mówił dalej: – Nie pozwolę Barneyowi się do nich zbliżyć, nie jestem mu nic winien. To bę-

dzie moja... nasza inwestycja. Powiem ci, co zrobimy. Mam przygotowany biznesplan. – I wyciągnął

dwa arkusze papieru zapisane kolumnami cyfr.

Spojrzała na niego z konsternacją.

– Mówisz poważnie? – spytała. – Widzę, że tak. Danny najwyraźniej nie dostrzegł jej zaszokowania.

– Nie wydrukowałem tego, ponieważ nie chciałem korzystać z biurowych urządzeń, ale wszystko jest tutaj... – Usiadł

obok na kanapie, ażeby pokazać Rosemary to, co wymyślił.

Kobieta zerwała się na równe nogi.

– Nie bądź śmieszny, Danny, stawiasz nas oboje w bardzo niezręcznej sytuacji. .

– Nie rozumiem... – wyglądał na zdziwionego.

– Poniżasz nas. Odbierasz wartość temu, co nas łączy i kim

– jesteśmy dla siebie nawzajem. Błagam cię, nie ponawiaj już tej prośby.

– Ale przecież ty masz pieniądze, nieruchomości i własną firmę, Rosemary.

– To prawda. – Jej głos zabrzmiał teraz lodowato.

– Posiadasz to wszystko, a ja nie mam nic. I nie jesteś za nikogo odpowiedzialna, a ja muszę utrzymać mnóstwo ludzi.

– To był twój wybór, Danny.

– Gdybyś znalazła się w kłopotach, Rosemary, ja przyszedłbym ci z pomocą.

591

– Nie sądzę. Daruj sobie te sentymentalne i niegodne siebie zapewnienia.

– A jednak zrobiłbym to i dobrze o tym wiesz! – wykrzyknął. – Jesteś moją wielką przyjaciółką, a wszyscy przyjaciele pomagają sobie w potrzebie.

– Ani ty, ani ja nie pomogliśmy Colmowi Barry’emu. Prosił nas oboje o wsparcie finansowe, gdy otwierał swój interes, ale nie zrobiliśmy tego. Nie przyprowadzałeś tam nawet swoich klientów, dopóki Colm nie odniósł sukcesu i restauracja nie stała się modna.

– To co innego.

– Nie. Dokładnie to samo.

– Był przegranym facetem, a ja nie należę do tego typu ludzi.

– Obecnie jednak nie można o nim tego powiedzieć, a o tobie niebawem tak, Danny, jeśli, na Boga, nadal będziesz prosił o pożyczkę swoje kochanki, licząc na to, że pomogą ci utrzymać swoją żonę oraz ciężarną nałożnicę.

– Oprócz ciebie nie mam żadnych kochanek i nigdy nie miałem.

– Oczywiście, że nie. Kto wie, może Orla King, jeśli zrobi kiedyś karierę międzynarodowej piosenkarki, weźmie cię na garnuszek? Dorośnij wreszcie, Danny.

– Kocham cię, Rosemary, zawsze cię kochałem. Nie wyrzucaj mi teraz wszystkich moich grzechów. Popełniłem błąd, to wszystko. Z pewnością tobie również to się czasami zdarza.

– Popełniłeś dwie pomyłki. Jedna ma na imię Ria, a druga Bernadette.

Uśmiechnął się lekko.

– Nie zostawisz mnie chyba na pastwę żadnej z nich?

– Jeśli to miała być twoja karta atutowa, Danny, to okazała się blotką. Byłam z tobą ze względu na seks, pożądanie, a nie z 592

miłości, oboje wiedzieliśmy o tym od samego początku.

– Nawet jeśli rzeczywiście tak wygląda prawda, to czy nie dostrzegasz szansy na powodzenie tego przedsięwzięcia... ?

Wskazał na dokumenty, zastanawiając się nad tym, czy nie powtórzyć swoich próśb i nie nakłonić Rosemary do ponownego rozważenia projektu. Zdecydowanym gestem jednak odstawiła szklankę, dając mu do zrozumienia, że pora, ażeby sobie już poszedł.

– Nie bądź taka nieprzystępna, Rosemary. Jesteśmy za-równo przyjaciółmi, jak i namiętymi kochankami. Czy to nie wystarczy, żeby... ? – Umilkł, zmrożony wyrazem jej twarzy.

Podjął ostatnią próbę: – Gdybym rozkręcił własny interes, skarbie, w którym również i ty miałabyś swoje udziały, mógł-

bym znacznie częściej się z tobą widywać.

– Nigdy w życiu nie musiałam płacić za seks i nie zamierzam zacząć robić tego teraz.

Otworzyła drzwi wyjściowe swojego apartamentu, którego rozkład i wyposażenie tak długo wspólnie obmyślali. Spędzali całe godziny na urządzeniu miłosnego gniazdko, jak żartobliwie nazywali między sobą mieszkanie na dachu. Przy Barneyu mówili o planowaniu stylowego wnętrza, a przy Rii o szykowności eleganckiego domu Rosemary.

– Wyrzucasz mnie – stwierdził, przyglądając się jej z przechyloną na bok głową.

– Myślę, że już czas, abys sobie poszedł, Danny.

– Wiesz, jak kopnąć, ażeby zabolalo.

– Ty dwukrotnie obszedles sie ze mna w ten sposob. Po raz pierwszy zrobiles to nieświadomie, gdy ozeniles sie z Ria, ale za drugim razem, kiedy nawet nie poinformowales mnie o Bernadette i dowiedzialam sie o niej dopiero od twojej zony, musiales w pelni zdawac sobie z tego sprawe.

– Przepraszam cie. Sa pewne rzeczy, o ktorzych niezwykle 593

trudno jest...

– Wiem. – Jej głos złagodnił na moment. – Mnie też nie jest łatwo zostawić cię w sytuacji bez wyjścia. Ale nie myślę finansować twoich dwóch domów i siedzieć samotnie we własnym. Jeśli nie możesz tego pojąć, w takim razie nic nie rozumiesz i w pełni zasługujesz na to, co cię spotyka.

Po wyjściu Danny'ego Rosemary przeniosła się do swojego tarasowego ogrodu na dachu. Potrzebowała powietrza, które nieco rozjaśniłoby jej w głowie. Sytuacja była wprost niewyobrażalna. Jedyne mężczyzna, na którego w całym swoim życiu miała ochotę, czołgał się u jej stóp. Nie był już tym co zwykle sprytnym i pewnym siebie Dannyem, lecz człowiekiem pokonanym, który ją błagał o pomoc. Wspomnienie własnej nieprzejednanej postawy nie sprawiło jej przyjemności, a odmowa udzielenia mu pożyczki nie zrodziła w niej poczucia władzy. Miała jednak świadomość, że spełnienie tej prośby, równoznaczne z płaceniem za jego błędy, byłoby przejawem straszliwej słabości z jej strony.

Spisanie Danny'ego na straty nie przyniosło Rosemary satysfakcji. Żałowała, że sprawy nie potoczyły się inaczej; że pod wpływem płomiennej namiętności nie był gotów rzucić dla niej wszystkiego. Uświadomiła sobie, że właśnie tego przez cały czas pragnęła. Uważała się za silną kobietę, która, podobnie jak Polly, potrafi żyć własnym życiem i panować nad swoimi uczuciami.

Danny i Barney byli bardzo do siebie podobni – obaj zali-czali się do mężczyzn ambitnych i niecierpliwych i nigdy nie wystarczała im jedna kobieta. Potrzebowali w życiu partnerek o silnej osobowości – kobiet, które zaspokajałyby ich żądze i nie stawiały irytujących żądań. Danny i Barney byli również jednakowo przeświadczeni o tym, że potrafią zawojować świat.

Nagle Rosemary uświadomiła sobie, że byli identyczni 594

także pod innymi względami. Obaj kochali dwa typy kobiet –

te, które poślubili, oraz te, z którymi utrzymywali stosunki pozamałżeńskie. Ożenili się z madonnami: pierwszy z cichą, za-cną Moną, drugi z sumienną i pełną optymizmu Rią. Ku własnej wielkiej irytacji Rosemary uzmysłowiła sobie, że również Bernadette została obsadzona w roli madonny. Straszliwie ją to rozsierdziło. Jak ta dziewczyna zdołała wtargnąć w życie Danny'ego?

Czy to możliwe, że pomimo wszystko Rosemary kochała Danny'ego Lyncha? Powtórzyła z milion razy, że określenia-mi, jakich powinna użyć, są słowa: pożądanie, uznanie i sym-patia. Miłość nigdy nie miała być częścią ich związku. I chyba niemożliwe, że rozwinęła się na tym, najmniej

odpowiednim, etapie ich zażyłości?

*

Bywały chwile, jak ta, kiedy Ria żałowała, że nie jest wyższa. Musiała podskakiwać, aby zobaczyć przechodzących pasażerów, co było irytujące. W końcu spostrzegła Annie i Briana: wieźli na wózku bagażowym swoje dwie walizki, a oczami przeczesywali tłum. Każde z nich trzymało małą, nową torbę. Ria zastanawiała się z bólem, kto kupił je dzieciom w prezencie. Wyposażenie obojga w podręczny bagaż, aby mogły wziąć na pokład samolotu swetry, książki, komiksy i gry, było dobrym pomysłem. Dlaczego ona o tym nie pomyślała?

Powstrzymała się jednak i nie zawołała do nich po imieniu; dzieci nie życzyłyby sobie, aby zwróciła na nie uwagę swoimi okrzykami. Zamiast wołać, podbiegła do rogu, skąd mogła pokiwać do nich ręką. Nie obejmuj ich zbyt długo ani zbyt mocno – nakazywała sobie w myślach. Wymachiwała dłońmi razem ze wszystkimi Amerykanami irlandzkiego pochodzenia, 595

k którzy witali swych przyjaciół i krewnych. Zobaczyły ją. Ze ściśniętym gardłem Ria spostrzegła, że ich buzie rozjaśniły się na jej widok. Puściły się biegiem w jej stronę.

– Mamo! – zawołał Brian, podbiegając szybciej. I to on przedłużał uściski.

Musiała wyswobodzić się z jego objęć, ażeby przywitać się z Annie. Córka wydawała się wyższa i szczuplejsza, ale chyba było to tylko złudzenie. Niemożliwe, ażeby zaledwie w ciągu czterech tygodni w wyglądzie dziewczynki nastąpiły zauwa-

żalne zmiany.

– Jesteś śliczna, Annie – stwierdziła Ria.

– Tęskniliśmy za tobą, mamo – wyszeptwała w jej włosy córka.

Powitanie było ciepłe i serdeczne, jak o tym marzyła Ria, kiedy siedziała w autobusie i niecierpliwie liczyła minuty do przybycia swoich pociech. Postanowiła, że zabierze dzieci na Manhattan, pokaże im wspaniałe widoki, a potem zaproponuje przejażdżkę wokół miasta i, niczym rodowita mieszkanka Nowego Jorku, zwróci ich uwagę na wszystko, co jest godne zobaczenia, od Hudson po East Rivers. Sama odbyła już tę wycieczkę i знаła wszelkie jej atrakcje. Potem doszła jednak do wniosku, że dzieci są zmęczone, a wszystko w Ameryce i tak będzie dla nich nowością; nawet podróż autobusem wyda się im ekscytująca. Zdecydowała więc, że od razu zabierze je na Tudor Drive, aby popływały w basenie i rozgościły się w nowym domu.

Gdyby była na Tara Road, przez szereg dni omawiałaby tę kwestię z wieloma osobami podczas licznych rozmów telefonicznych i narad przy kawie. Sprawa zostałaby bardzo wszechstronnie rozpatrzona. Tutaj Ria nie miała się kogo poradzić.

Poruszanie tego problemu w obecności Carlotty, Heidi, młodego Hubiego Greena czy Johna i Gerry'ego ze sklepu dla 596

smakoszy uznała za kiepski pomysł. Obecnie Ria Lynch podejmowała decyzje samodzielnie; nie poddawano już rodzinnych problemów pod ogólne dyskusje i zaprzestano długo-trwałych narad przy kawie i kruchym cieście.

– Jedziemy prosto do Westville – oznajmiła, lekko obejmując dzieci za ramiona. – Pragnę pokazać wam dom, w któ-

rym spędzicie wakacje.

Sprawiły wrażenie zadowolonych i uszczęśliwiona Ria, z lekkim sercem zaprowadziła swoją małą rodzinę do autobusu.

Heidi zdumiała się niezmiernie po sprawdzeniu elektronicznej poczty. Marilyn przysłała jej wiadomość z Dublina.

Heidi, znalazłam kawiarnię internetową i postanowiłam skorzystać z okazji. Dziękuję bardzo za wszystkie Twoje dotychczasowe listy. To miło z Twojej strony, że jesteś ze mną w kontakcie. Tęsknię za Tobą i Henrym. Nie wyobrażasz sobie, ile mam Wam do opowiedzenia o Dublinie i życiu mieszkańców tego miasta. Zwiedziłam Trinity College. Uczelnia jest przepiękna i usytuowana w samym centrum miasta. Można odnieść wrażenie, że cały Dublin rozwinął się wokół niej. Cieszę się, że utrzymujesz towarzyskie stosunki z Rią – z tego, co słyszę, jest wyborną kucharką i cudowną gospodynią. Dzisiaj jej dzieci przyjeżdżają na Tudor Drive – bardzo inteligentna dziewczynka o imieniu Annie, zaledwie o rok młodsza od Dale'a, oraz Brian, który powinien być bohaterem jakiegoś serialu rysun-kowego i z pewnością kiedyś nim zostanie. Będzie mi ich tutaj bardzo brakowało. Czy mogłabyś zorganizować dla nich jakąś atrakcję? Może mamy w miasteczku cyrk objazdowy? Albo jakaś gwiazda rocka wybiera się na występy w nasze strony? A może odbędzie się przedstawienie, pokazujące historię Dzikie-go Zachodu? Obawiam się, że po Dublinie życie na Tudor 597

Drive wyda się im okropnie nudne, a naprawdę bardzo chcia-

łabym, żeby miło spędzili czas. Będę Ci bardzo wdzięczna za urozmaicenie im pobytu w naszym mieście, Heidi. Niestety nie możesz wysłać mi tutaj e-maila, ale niebawem znowu się odezwę. Ucałowania, Marilyn.

Heidi trzykrotnie odczytała list z ekranu, a potem wydrukowała go, aby zabrać do domu i pokazać mężowi. Marilyn Vine nalegała, ażeby inni ludzie angażowali się w jej osobiste sprawy! I obawiała się, że Tudor Drive może się wydać nudnym miejscem dwojgu obcym dzieciom. Najbardziej jednak zaskakujące ze wszystkiego było to, że wspomniała o Dale'u.

Naprawdę wymieniła jego imię.

Polly Callaghan usłyszała w zamku klucz Barneya. Męż-

czyzna wydawał się nieco znużony, ale po tym wszystkim, co go spotkało, mógł wyglądać jeszcze gorzej.

– Wejdz, biedaku – powiedziała z ciepłym, szerokim uśmiechem.

– Nie mam dobrych wieści, Poll.

– Wiem – odrzekła. – Czytałam wieczorną prasę. I przeglądałam rubrykę z mieszkaniami wystawionymi na sprzedaż.

Nakrył ręką jej dłoń.

– Tak mi wstyd. Najpierw twoja firma, a teraz ten apartament.

– Nigdy nie należały do mnie, lecz do ciebie.

– Były twoje.

– Przejdźmy do sedna. Do kiedy mam się stąd wyprowadzić?

– Do pierwszego września.

– A co z twoim domem?

– Jest zapisany na Monę.

598

– Podobnie jak to mieszkanie na mnie.

– Wiem. – Miał nieszczęśliwą minę.

– Czy ona jest kobietą równie potulną, jak ja, i bez szem-rania zrzeknie się tej nieruchomości?

– Nie mam pojęcia. Wiesz, że jeszcze nie zna wszystkich faktów.

– Ale pozna je w tym tygodniu, kiedy zostanie ogłoszone twoje bankructwo.

– Tak, tak. Odzyskamy to, co straciliśmy, Poll, zapewniam cię, dotychczas zawsze się to udawało.

– Obawiam się jednak, że tym razem może to być trudne.

– Nakłaniali nas do podejmowania ryzyka, radzili nam, abyśmy byli zyskowni i przedsiębiorczy, a kiedy to zrobiliśmy, zostawili nas na lodzie.

– Kto? Bankierzy?

– Tak, bankierzy, przedstawiciele dużych konsorcjów, pracownicy służb państwowych, architekci, politycy...

– Pójdiesz do więzienia?

– Nie, to nie wchodzi w rachubę.

– Masz jakieś środki finansowe poza krajem?

– Nie, Polly, zostałem bez grosza. Byłem próżny i wierzy-

łem w skuteczność swoich działań. Ściągnąłem wszystkie pieniądze z powrotem na realizację takich przedsięwzięć, jak dom przy Tara Road pod numerem trzydziestym drugim oraz plan inwestycji „Lara”. I spójrz, dokąd mnie to doprowadziło.

– Skoro mowa o Tara Road... – zaczęła Polly Callaghan.

– Nie przypominaj mi, Poll. Zawiadomienie ich o tym jest dla mnie tak samo bolesne, jak poinformowanie Mony.

W autobusie gawędzili ze sobą przez cały czas.

W przedziale pierwszej klasy w przedniej części samolotu leciał do Nowego Jorku bardzo znany piosenkarz. Annie i 599

Brian zauważyli go, kiedy przechodzili, aby zwiedzić kabinę pilota. Dziewczynka pierwsza wypatrzyła artystę i poprosiła go o autograf na swoim menu. Mężczyzna dostrzegł rozczarowanie Briana, więc również dla niego złożył podpis na innym jadłospisie. Dzieci odniosły wrażenie, że piloci, oprócz siedzenia w kabinie, nie mają nic do roboty. Samolot był prowadzony przez radar i komputery z ziemi. Poinformowały matkę, że nie musiały płacić na pokładzie za colę, pepsi ani za sok pomarań-

czowy, ponieważ napoje były rozdawane za darmo.

Babcia dobrze się miewała, a z ciotką Hilary w ogóle się nie widziały; słyszały tylko, że wraz z wujem Martinem szukają nowego domu. Gertie prosiła o przekazanie wiadomości, ale Brian nie mógł sobie jednak przypomnieć jakiej.

– Prosiła, aby ci przekazać, że Jack już jej nie łoś skóry –

oznajmiła Annie i Ria była zaszokowana tą uwagą córki.

Chłopiec podniósł wzrok z zainteresowaniem.

– Nie powiedziała tego. Zapamiętałbym tego rodzaju wiadomość.

Ria postanowiła interweniować.

– To tylko żart, Brianie – powiedziała. Annie odgadła intencję matki.

– Oczywiście, że żart, nie masz poczucia humoru. Gertie prosiła, aby ci powiedzieć, że zarówno w pralni, jak i u niej w domu wszystko jest w należyтым porządku i że będziesz zadowolona z tych

wieści.

Ria uśmiechnęła się do córki. Annie wydoroślała.

– A jak się miewa wasz tata? – starała się nadać swojemu głosowi beztrioskie brzmienie.

– Jest nerwowy – powiedziała dziewczynka.

– I zrujnowany – dodał Brian.

– Przykro mi o tym słyszeć. – Ria wiedziała, że wkracza na niepewny grunt i postanowiła czym prędzej zmienić temat. –

600

Zabrałam ze sobą mapę, żebyście wiedzieli, dokąd jedziemy.

Spójrzcie.

Pokazała trasę, opowiadając im o amerykańskich autostradach oraz o płatnych drogach szybkiego ruchu. Przez cały czas wracała myślami do dwóch słów: „nerwowy” i „zrujnowany”.

Kiedy byli razem, nie dotyczyło go żadne z tych określeń. Jakim straszliwym okazał się głupcem! I jak idiotycznie postąpił!

Porzucił ją i dzieci, aby zaznać błogiego szczęścia, a skończył

jako sfrustrowany bankrut.

Dzieci nie mogły uwierzyć, że mama kieruje autem, poruszając się po niewłaściwej stronie jezdni.

– Robię to automatycznie, z wyjątkiem wyjazdu ze stacji benzynowej – wtedy niebezpiecznie łatwo jest skręcić w lewo, zamiast w prawo.

Dom bardzo im się spodobał.

– Mój Boże, tego rodzaju baseny widuje się w posiadło-

ściach gwiazd filmowych – powiedziała Annie.

– Czy zaraz pójdziemy się kąpać? – dopytywał się Brian.

– Dlaczego by nie? Pokażę wam pokoje i wszyscy się przebierzemy.

– Ty również będziesz pływać? – zdziwiła się córka.

– Och, tak. Robię to dwa razy dziennie – wyznała Ria.

Za pierwsze zarobione pieniądze kupiła sobie elegancki kostium kąpielowy. I wprost marzyła o tym, aby się w nim pokazać dzieciom.

– To twój pokój, Annie. Postawiłam na stole kwiaty. W szafach jest dużo miejsca i mnóstwo półek. Ty zajmiesz sąsiednią sypialnię, Brianie.

Cisnęli walizki na łóżka i zaczęli wyrzucać z nich ubrania.

Ria wzruszyła się na widok listy rzeczy do zabrania, którą na-dała elektroniczną pocztą do biura Danny’ego: została przykle-piona taśmą samoprzylepną od środka do wieka walizki Annie.

601

– Czy to tata umieścił tutaj tę listę? Pomógł wam się spakować? – spytała.

– Nie, mamó. To Bernadette. Nie uwierzyłabyś, jak tata jest zabiegany w ostatnim czasie. Prawie nie zauważył naszego wyjazdu.

– Czy rzeczywiście jest bankrutem? Jak sądzisz?

– Nie wiem, mamó. Wiele się o tym mówi, ale gdyby tak było, z pewnością sam by ci powiedział, prawda? – Ria milczała. – Przecież musiałyby cię o tym zawiadomić.

– Tak, oczywiście. Zrobiłby to na pewno. A teraz prze-bierzmy się i chodźmy popływać.

Brian, już w kąpielówkach, wybrał się na inspekcję domu.

Otworzył drzwi do pokoju Dale’a, który Ria zamierzała zamknąć na klucz po udzieleniu dzieciom wyjaśnień.

– Spójrzcie na to wszystko! – zawołał ze zdumieniem, ogarniając wzrokiem plakaty na ścianach, książki, wieżę stereofoniczną, ubrania oraz poduszki i narzutę w jaskrawych kolorach na łóżku. – To jest dopiero pokój.

– Muszę wam coś wyjaśnić... – zaczęła Ria.

Annie również weszła do środka i przesunęła dłonią po fotografii w ramkach na ścianie.

– Przystojniak z niego, prawda?

– Spójrz na zdjęcia zapaśników! Czyż nie są ogromni? –

Brian uważnie przyglądał się podobiznom olbrzymich zawod-ników sumo.

– A ta fotka została chyba zrobiona podczas szkolnego przedstawienia – domyśliła się dziewczynka.

– Niech go od-szukam, o, jest!

– Powinnam wam coś wyjaśnić z związku z tym pokojem... – zaczęła Ria.

– To pokój Dale’a – Annie była ważna, jak gdyby pozja-dała wszystkie rozumy.

602

– Nie wiecie o tym, że on tutaj nigdy nie wróci.

– Wiemy, on nie żyje. Zginął w wypadku motocyklowym

– oznajmił Brian.

– Kto wam o tym powiedział?

– Marilyn. Ciekawe, czy można zobaczyć aparat korekcyjny na jego zębach. Spójrz, widać tylko małe kropki. – Annie uważnie przyglądała się zrobionemu z bliska zdjęciu Dale’a, gdy odśnieżał ulicę.

– To pewnie wtedy musiała być ta straszliwa burza śnież-

na, kiedy Dale, pragnąc zrobić niespodziankę rodzicom, wy-kopał w nocy tunel w śniegu.

– Ona wam o tym powiedziała? – upewniła się osłupiała ze zdumienia Ria.

– Tak. Dlaczego wprowadziłaś nas w błąd, twierdząc, że Dale przebywa na Hawajach? – domagała się wyjaśnień córka.

– Może nie chciałaś nas denerwować? – zasugerował

Brian.

– Źle zrozumiałam sytuację – bąknęła niepewnie.

– Typowa mama – oświadczyła Annie tonem sugerującym, że pomyłka Rii nie jest dla niej zaskoczeniem, ale nie stanowi też wielkiego problemu.

– Chodźmy popływać, mamó. Ach, jaki masz śliczny kostium. I jesteś bardziej opalona niż my, ale doścignemy cię w opaleniznie, prawda, Brianie?

– Z pewnością.

W momencie kiedy Gertie przechodziła obok budynku pod numerem trzydziestym drugim przy Tara Road, w drzwiach wyjściowych pojawiła się Rosemary.

– Właśnie chciałam się z tobą zobaczyć! – zawołała.

Gertie się zdziwiła – Rosemary rzadko zależało na spotkaniu z nią, a kiedy już dochodziło do

aprobata wyrażała się o stylu jej życia. Poza tym w pralni był

telefon, gdyby Rosemary miała ochotę się z nią skontaktować.

Los w tych dniach okazał się łaskawy dla Gertie. Poprosiła dzieci Rii, żeby zawiadomiły o tym swoją mamę. Trudno było pisać w liście, że Jack od tygodnia nie wziął do ust ani kropli alkoholu, a nawet wymalował pralnię. Jej własne dzieci znowu były w domu – czujne i nieufne – ale w końcu u siebie.

– Masz więc mnie przed sobą – stwierdziła Gertie pogodnym tonem.

– Chciałam się dowiedzieć, na kiedy jest zaplanowany odlot dzieci do Ameryki. Wyobraź sobie, że Ria przysłała mi list za pośrednictwem poczty elektronicznej, w którym wspomina o wielkim pikniku dla absolwentów uniwersytetu czy też jakiejś innej akademickiej imprezie organizowanej w mieście, gdzie obecnie mieszka. Pomyślałam, że pošlę jej kilka sukienek, których już nie noszę. Być może któraś z nich przyda się jej na tę okazję. Nie wzięła przecież żadnej szykownej kreacji.

Rosemary w trakcie rozmowy miała zawsze rozbiegane oczy i teraz też mierzyła wzrokiem swoją towarzyszkę od stóp do głów, niczym wychowawczyni, która sprawdza, czy uczennica jest stosownie ubrana i może się publicznie pokazać. Gertie znała to spojrzenie od lat. Rosemary zwykła wbijać wzrok w plamy na jej różowym nylonowym fartuchu albo wpatrywać się we włosy, jeśli były nieuczesane i przetłuszczone.

– Dzieci wyjechały – odpowiedziała. – Odleciały przed-wczoraj. Pewnie zdążyły się już nawet rozlokować w swoim wakacyjnym domu.

Rosemary była poirytowana.

– Nie wiedziałam.

– Od dawna było ustalone, że wyruszają pierwszego, nie pamiętasz?

– Nie mogę wszystkiego spamiętać. Nie przyszły się ze 604

mną pożegnać.

– Mnie odwiedziły przed wyjazdem – oznajmiła Gertie.

Doświadczała w życiu bardzo niewiele satysfakcji, tym bardziej więc rozkoszowała się obecną chwilą.

– Może nie zastały mnie w domu – snuła domysły tamta.

– Możliwe. – Gertie postarała się, ażeby w jej głosie wyraźnie zabrzmiał ton powątpiewania.

– Dokąd się wybierasz? – Rosemary chciała czym prędzej zmienić temat.

– Mam bardzo pracowity poranek – oświadczyła z dumą Gertie. – Zatrudniłam dziewczynę do prasowania i zamierzam poprosić Colma, ażeby zlecił mi pranie obrusów i serwetek.

Ręczniki już oddaje do naszej pralni.

– Och, prowadzi renomowaną restaurację i przypuszczam, że będzie potrzebował pralni z prawdziwego zdarzenia, szczególnie podczas wystawy koni. – Rosemary ostudziła zapach

Gertie, wylewając jej na głowę kubek zimnej wody.

– Niech sam o tym zadecyduje. Potem wybieram się do Marilyn, aby umyć podłogi i wyprasować jej rzeczy. Kiedy skończę, Marilyn zawiezie mnie do sklepu z tanimi neonami.

Zamierzamy umieścić jeden nad pralnią.

Rosemary była poruszona, widząc, jak zadowolona jest przyjaciółka ze swoich dzisiejszych skromnych planów. Gertie, która w czasach, kiedy pracowała razem z Rią w wypożyczalni

„U Polly”, była bardzo atrakcyjną kobietą, obecnie straciła wszystko przez swoją miłość do tego pijaka.

– A co u Jacka? Jak się ostatnio miewa?

– Jest w świetnej formie, Rosemary, dziękuję. Całkowicie wyrzekł się alkoholu i bardzo mu to służy – odpowiedziała tamta z szerokim uśmiechem na twarzy.

Hubie zatelefonował z pytaniem, czy może ich odwiedzić, 605

aby powitać Annie w Westville. A także, oczywiście, Briana, dodał poniewczasie.

– Serdecznie zapraszam, Hubie. Obojgu bardzo się tutaj podoba i co wieczór grają w tę grę komputerową, którą dla nich zainstalowałeś.

– Wspaniale.

Podziw w jego oczach dla smukłej blondynki o imieniu Annie był aż nadto widoczny.

– Jesteś ładniejsza nawet niż na zdjęciu – stwierdził.

– Dziękuję – odpowiedziała uprzejmie dziewczynka. – To miło, że tak uważasz.

Gdzie Annie, która nie skończyła jeszcze piętnastu lat, nauczyła się zachowywać w tak wyważony sposób? – Ria głowi-

ła się nad tym bez końca. Z pewnością nie od swojej matki, która wciąż nie umiała przyjmować

komplementów. Prawdopodobnie od Danny'ego. On potrafił zachować spokój bez względu na to, co się działo. Ria bardzo zmartwiła się na wieść o tym, że jest nerwowy i bez grosza.

Kiedy Hubie, Annie i Brian poszli się kąpać w basenie, postanowiła zatelefonować w tej sprawie do Rosemary. Obliczyła, że w Dublinie jest teraz dziewiąta wieczorem. Rosemary pewnie odpoczywała w swym eleganckim apartamencie. A może siedziała przy biurku nad papierami? Mogła też podlewać rośliny w ogrodzie na dachu. Albo też podejmować gości na jednej z tych oszałamiających kolacji, których przygotowanie najwyraźniej nie sprawiało jej najmniejszego wysiłku. A może była w łóżku z kochankiem?

Tego lata Ria po raz pierwszy uświadomiła sobie, że jej przyjaciółka, prowadząca na pozór wymarzony styl życia, czę-

sto musi czuć się bardzo osamotniona. Kiedy człowiek mieszka sam i jego życie w żadnym stopniu nie jest uzależnione od życia innych, musi samodzielnie dokonywać wyborów. A w sy-

tuacjach, gdy nie ma nic zaplanowanego, siedzi, patrząc w ściany. Nic dziwnego, że Rosemary spędzała tak wiele czasu razem z nimi na Tara Road pod numerem szesnastym.

Nie było jej w domu. Może wybrała się na kolację do

„Quentina” albo do restauracji Colma? Mogła też iść gdzieś z Marilyn. Pewnie zaprzyjaźniły się ze sobą, skoro były razem na pokazie mody zorganizowanym przez Monę.

– Rosemary, tu Ria. Nie dzwonię w żadnej ważnej sprawie, miałam tylko ochotę z tobą porozmawiać. Dzieci przyjechały i jest cudownie. Chciałam cię zapytać, czy to prawda, że interesy Danny'ego i Barneya rzeczywiście idą źle? Wiesz, że nie mogę zatelefonować do Danny'ego. Pomyślałam, że może doszły cię jakieś słuchy. Nie dzwoń do mnie w tej sprawie. Jeśli wieści są niepomysłne, nie chcę, żeby dotarły do dzieci. Jak widzisz, jestem odcięta od informacji z kraju i tylko od ciebie mogę się czegoś dowiedzieć.

Barney zaprosił Danny'ego do „Quentina”.

– Nie możemy tam pójść, Barney. Jesteśmy im winni pieniądze, zapomniałeś?

– Pamiętam. Dług został uregulowany i zapewniłem Brendę, że dzisiejszego wieczora zapłacimy gotówką.

– Mam przyjść sam czy z Bernadette?

– Przyjdź sam. O dziewiątej, zgoda? – I odszedł.

Być może w ostatniej chwili zdołał coś ocalić z pożogi.

Barney był starym kombinatorem, pracował na wielu budowach w całej Anglii, nim został najbardziej prężnym inwestorem budowlanym w Irlandii. I wprost nie mieściło się w głowie, że w przyszłym tygodniu, na co wszystko obecnie wskazywało, stanie się bankrutem i ogłosi upadłość

swojej firmy.

Danny włożył najlepszą marynarkę i najbardziej jaskrawy krawat. Kimkolwiek była osoba, z którą mieli się spotkać, mu-607

siała zobaczyć kipiącego optymizmem Danny'ego Lyncha, a nie przegranego pesymistę. Przez lata w czasach, kiedy kupował i sprzedawał domy, nabierał wprawy w aktorstwie. A dzisiaj wieczorem, jako aktor, musiał się wzbić na wyżyny, ponieważ wiele od tego zależało.

– Prawdopodobnie późno dzisiaj wrócę, skarbie – uprzedził Bernadette. – Zebranie „wielkich szefów”, zwołane przez Barneya, może okazać się dla nas światłem w tunelu.

– Na pewno się okaże – powiedziała.

Brenda Brennan wskazała Danny'emu stół w odosobnionym miejscu. Wiedział, że właśnie tam będą siedzieć.

Kimkolwiek byli ludzie, z którymi Barney i on mieli się spotkać dzisiejszego wieczora, na pewno nie życzyli sobie, ażeby ktokolwiek widział ich przy kolacji z McCarthym i Lynchem.

Obecnie oba te nazwiska nie cieszyły się dobrą sławą. Zdziwił

się, widząc samego Barneya – ten, lub ci, z którymi byli umó-

wieni, dotychczas się nie zjawili. Jeszcze większe było zdziwienie Danny'ego, kiedy spostrzegł, że na stoliku znajdują się dwa nakrycia.

– Usiądź, Danny – zwrócił się do niego szef. – Dzisiaj jest dzień, jakiego mieliśmy nadzieję nigdy nie doczekać.

– Straciliśmy wszystko?

– Wszystko, łącznie z domem pod numerem szesnastym przy Tara Road – odparł Barney McCarthy.

Rosemary również była na kolacji „U Quentina” w towarzystwie swojej księgowej i dyrektora, a także dwóch przedstawicieli międzynarodowej spółki drukarskiej, która chciała wykupić jej firmę. To nie ona do nich przyszła, sami wystąpili z ofertą nabycia jej przedsiębiorstwa. Ale choć zaproponowane przez nich warunki były bardzo atrakcyjne, mieli duże trudno-608

ści z przekonaniem właścicielki o tym, że powinna uważać się za wielką szczęściarę.

Jeden z potencjalnych nabywców był Amerykaninem, a drugi Anglikiem. Obaj wiedzieli jednak, że ich narodowość nie ma związku z niemożnością porozumienia się z tą piękną Irlandką – kobietą o blond włosach, nienagannym makijażu, błyszczących oczach i w szykownie skrojonym kostiumie.

– Nie przypuszczam, ażeby trafiła się pani podobna szansa na kapitalizację majątku – zauważył Anglik.

– To prawda. Nikt nie chce przejąć mojej firmy za tak duże pieniądze jak wy – przyznała z uśmiechem.

– I oprócz nas nie ma nikogo, kto dysponowałby gotówką, a jednocześnie był zainteresowany nabyciem pani przedsię-

biorstwa. Nie musimy się obawiać konkurencyjnej propozycji.

– Racja. – W pełni podzielała ten pogląd. Spostrzegła, że do restauracji wszedł Danny i dosiadł się do stolika Barneya.

Nikt do nich nie dołączył. To nie wróżyło nic dobrego. Wiedziała, że jeśli zgodzi się na tę propozycję i sprzeda swoją firmę, zdoła ich uratować. Świadomość własnej potęgi przyprawiła Rosemary o zawrót głowy. Pochłonięta myślami, przestała nadążać za wątkiem rozmowy.

– Przepraszam? – Ponownie włączyła się do wymiany zdań.

– Mówiliśmy właśnie, że czas nie stoi w miejscu. Nieubłaganie zbliża się pani do czterdziestki i po latach ciężkiej pracy być może zechce pani użyć życia: poleżeć z nogami do góry, wybrać się w długą podróż morską i delektować swobodą.

Wysunięcie podobnej sugestii wobec Rosemary Ryan było poważnym błędem. Nie widziała siebie jako osoby leżącej z nogami w górze. I nie lubiła, kiedy obcy ludzie mówili jej, że zbliża się do czterdziestki. Obrzuciła uprzejmym spojrzeniem 609

obu mężczyzn.

– Przyjdźcie do mnie, panowie, z tą propozycją za sześć lat. Zapewne według waszych obliczeń będą wtedy w połowie dziewięćdziesiątki. Rozmowa z panami była dla mnie prawdziwą przyjemnością.

Nie skupiała całej uwagi na tym, co mówi, ponieważ wła-

śnie zobaczyła, że Barney McCarthy, niczym burza, wypadł z pobladałą twarzą z restauracji. Danny'ego nie było razem z nim, pewnie nadal siedział przy stoliku przeznaczonym dla osób, którym zależało na dyskrecji. Rosemary Ryan nie zamierzała uchronić swego kochanka od bankructwa, ale nie mogła też zostawić go samego po ciosie, jaki właśnie otrzymał.

– Panowie wybaczą, że nie będę towarzyszyć im przy brandy i kawie. Jestem bardzo wdzięczna za zainteresowanie moją firmą i za entuzjazm, ale jak sami panowie stwierdzili, czas pędzi dla mnie nieubłaganie, więc nie mogę go trwonić.

Pozwolą panowie, że się pożegnam.

Zanim zdołali poderwać się z miejsc, już jej nie było.

– Rosemary?

– Napijesz się brandy?

– Skąd się tutaj wzięłaś?

– Jadłeś coś?

– Nie, nie było czasu na jedzenie.

Zamówiła dla niego dużą brandy, zupę i chleb z oliwkami.

A dla siebie wodę mineralną.

– Przestań odgrywać przede mną rolę niańki. Nie jestem głodny. Pytałem, co tutaj robisz?

– Musisz coś zjeść. Przeżyłeś szok. Siedziałam przy innym stoliku i widziałam opuszczającego lokal Barneya... dlatego jestem tutaj.

– Straciłem dom.

610

– Przykro mi.

– Wcale nie jest ci przykro, Rosemary. Cieszysz się z tego powodu.

– Zamknij się, do cholery! Nie rozczulaj się nad sobą i przestań mnie atakować! Czy kiedykolwiek wyrządziłam ci krzywdę? Z wyjątkiem tego, że sypiając z tobą, zawiodłam moją przyjaciółkę, a twoją żonę?

– Trochę za późno na skrupuły. Byłaś w pełni świadoma tego, co robisz.

– Tak, byłam, a ty wiedziałeś, co ryzykujesz, prowadząc interesy z Barneyem McCarthym.

– Dlaczego do mnie podeszłaś?

– Po to, żeby cię zabrać do domu.

– Do czyjego? Do mojego czy do twojego?

– Do twojego. Mam na zewnątrz samochód i zaraz cię odwiozę.

– Nie chcę ani twojej litości, ani twojej zupy! – wrzasnął w momencie, kiedy kelner postawił przed nim pełen talerz.

– Zjedz, Danny. Nie zachowujesz się normalnie.

– Co cię to obchodzi?

– Obchodzi, ponieważ jesteś moim przyjacielem. Więcej niż przyjacielem.

– Powiedziałem Barneyowi, że nie chcę go więcej widzieć na oczy. Miałaś rację. Rzeczywiście nie powinienem był tak zareagować.

– Rozmawialiście o interesach i wpadłeś w panikę.

Wszystko się ułoży, zobaczysz.

– Nie, są sprawy, o których nie można zapomnieć.

– Daj spokój. Nie dalej jak wczoraj wieczorem ty i ja skakaliśmy sobie do oczu, a dzisiaj siedzimy tutaj i rozmawiamy jak przyjaciele. Z McCarthym będzie tak samo.

– Nie, nie będzie. On jest podły. Powiedział, że uregulował

611

zaległy rachunek, a okazało się, iż wcale tego nie zrobił.

– Dlaczego akurat tutaj postanowił ci o wszystkim powiedzieć?

– Twierdził, że zależało mu na neutralnym gruncie. W

rzeczywistości chodziło mu o to, żeby poniżyć mnie przed Brennanami, ludźmi, których znam i lubię.

– Ile wynosi ten zaległy rachunek?

– Ponad sześćset funtów.

– Zaraz zapłacę go moją kartą kredytową.

– Nie chcę twojej jałmużny. Zależało mi, żebyś sfinansowała mój projekt.

– Nie mogę tego zrobić, Danny. Nie dysponuję wolnym kapitałem.

Kątem oka spostrzegła czteroosobową grupę opuszczającą lokal: swojego dyrektora, księgową oraz dwóch bardzo zdziwionych biznesmenów, którzy przyszli, ażeby zaproponować jej ogromne pieniądze. Dzięki nim nie tylko Danny mógłby się wywinąć z tarapatów, ale zostałyby jeszcze mnóstwo dla niej na prowadzenie dostatniego życia. Przechwyciła spojrzenie Brendy Brennan. Znały się od dawna.

– Zaszło nieporozumienie, Brendo. Mam na myśli zaległy rachunek, ten, który nie został uiszczony. Czy mogę go teraz zapłacić moją kartą? Nie wysyłaj pokwitowania na adres Barneya McCarthy'ego, to Danny płaci, zrozum mnie dobrze.

Brenda w mig pojęła intencję Rosemary.

– Stół został zarezerwowany na pana nazwisko, panie Lynch, w przeciwnym razie pan McCarthy nie zdołałby u nas otrzymać rezerwacji – odrzekła krótko. – I kiedy przyszedł, powiedział, że jest pańskim gościem.

– I rzeczywiście nim był, jak się okazało – stwierdziła Rosemary.

– Przejedź przez Tara Road – poprosił Danny.

612

– Przestań się torturować.

– Proszę, nie musimy nadkładać drogi.

Podjechali do Tara Road od strony, gdzie nieopodal skrzyżowania znajdowała się pralnia Gertie.

– Spójrz! Zainstalowała nowy szyld: „U Gertie”. Co za idiotyczna nazwa – stwierdziła Rosemary.

– No cóż, byłoby gorzej, gdyby nazwała swój zakład: „U

Gertie i u Jacka”. – Danny zdobył się na blady uśmiech.

Minęli dom starców pod numerem sześćdziesiątym ósmym.

– U Świętej Rity już wszyscy śpią, a nie ma jeszcze dziesiątej – zauważyła Rosemary.

– Wszyscy o siódmej kładą się tam do łóżek. Wyobraź sobie, że mnie nie będzie stać nawet na pobyt w takim zakładzie, kiedy będę stary i zdziecinniały.

Przejechali obok domku Nory pod numerem czterdziestym ósmym.

– To pora, o której Kleszcz wychodzi na spacer i zanie-czyszczka chodniki – oświadczył Danny. – Zawsze lubi biegać tam, gdzie jego obecność jest dla wszystkich najbardziej uciąż-

liwa.

Przy wtórze cichego śmiechu minęli budynek pod numerem trzydziestym drugim, elegancko odnowiony, z dobudowanym na dachu pięknym mieszkaniem, gdzie Rosemary i Danny spędzili razem tak wiele godzin. Pod numerem dwudziestym szóstym Frances i Jimmy Sullivanowie wystawiali pojemniki na śmieci.

– Kitty jest w ciąży, wiesz o tym? – spytała Rosemary.

– Nie! Przecież to jeszcze dziecko niewiele starsze od Annie. – Był wstrząśnięty nowiną.

– Sam widzisz, jaka jest dzisiejsza młodzież – odrzekła.

Dotarli pod numer szesnasty.

– To piękny dom – westchnął Danny. – I na zawsze taki pozostanie. – Tyle tylko, że ja nie będę w nim dłużej mieszkał.

– Przecież i tak już się stąd wyprowadziłeś – przypomniała mu Rosemary.

– Nie podoba mi się ta Marilyn. I nie mogę ścierpieć myśli o jej obecności tutaj, kiedy już tylko tygodnie dzielą mnie od sprzedaży tego wszystkiego.

– Unika mnie – wyznała Rosemary. – Nie wiem, co się stało. Na początku była wobec mnie bardzo miła, a teraz stała się oschła i niemal nieuprzejma.

– Zbikowana baba – zawyrokował. Przejechali obok restauracji Colma.

– Mnóstwo samochodów – zauważył Danny. – Byliśmy głupi, że nie pomogliśmy mu na początku. Pomyśl, w jakiej sytuacji znajdowałbym się obecnie, gdyby część tego lokalu należała do mnie.

– Przezorność nie jest głupotą.

– Może ty jesteś przezorna, ale ja nigdy nie byłem. I na tym polega mój błąd – oświadczył.

– Wiem. Ciekawe, za co cię lubię – zastanawiała się Rosemary.

– Możesz zawrócić?

– Dlaczego? Przecież jedziemy we właściwym kierunku.

– Chcę pójść razem z tobą do ciebie, proszę.

– Nie, Danny, to nie ma sensu.

– Pomiędzy nami wszystko zawsze miało sens. Proszę cię, Rosemary, potrzebuję cię dzisiejszego wieczora. Nie każ się błagać.

Spojrzała na niego. Nigdy nie potrafiła się oprzeć Danny'emu. Pogratulowała sobie w myślach, że pomimo owego zaślepienia nie dopuściła do sprzedaży swojego przedsiębiorstwa. Pożądał jej. Zawsze bardziej jej pragnął niż gadatliwej 614

żony i tej dziwacznej, mizernej dziewczyny, z którą mieszkał.

Zawróciła samochodem w bramie restauracji Colma i podjechała z powrotem pod swój dom.

Nora Johnson podczas wieczornej przechadzki z Kleszczem spostrzegła przejeżdżający ulicą samochód. Lady Ryan siedziała za kierownicą, a miejsce pasażera zajmował jakiś mężczyzna. Chociaż Nora uważnie się wpatrywała, mrużąc oczy, nie zdołała go rozpoznać. Przez moment wydawało się jej, że to Danny Lynch, lecz wielu mężczyzn miało wygląd podobny do niego. Nora

lubiła Danny'ego. I uwielbiała, kiedy nazywał ją Holly. Kiedy po raz pierwszy go zobaczyła, uznała, że jest przystojny. Teraz jednak, po tym wszystkim, co zaszło, były zięć wydawał się jej mężczyzną o pospolitej urodzie.

Danny zaczął całować Rosemary, zanim jeszcze zdążyła włożyć klucz do zamka drzwi wejściowych budynku pod numerem trzydziestym drugim.

– Nie wygłupiaj się – syknęła. – Tak długo zachowywali-

śmy ostrożność, więc nie psuj tego teraz.

– Ty jedna mnie rozumiesz, Rosemary.

Wjechali na górę windą, a gdy tylko przekroczyli próg mieszkania, wziął ją w objęcia.

– Przestań, Danny.

– Zazwyczaj tego nie mówisz. – Całował ją w szyję.

– Zazwyczaj również nie odmawiam ratowania cię przed bankructwem.

– Powiedziałaś, że nie możesz mi pomóc, ponieważ nie dysponujesz wolnym kapitałem. – Powstrzymywał ją, gdy usi-

łowała się wyswobodzić z jego objęć.

– Nie, Danny. Musimy porozmawiać.

Dostrzegła mrugające światełko, sygnalizujące nowe nagranie na automatycznej sekretarce, ale postanowiła nie słu-615

chać go teraz. Może jeden z kontrahentów, z którymi była na kolacji, proponował jej korzystniejsze warunki i zwiększał

stawkę. Danny nigdy nie powinien się dowiedzieć, jaką ofertę odrzuciła w restauracji i to zaledwie w odległości kilku kroków od niego.

– A co z Bernadette?

– Nie spodziewa się mnie o tak wczesnej porze.

– Byłoby to głupotą z naszej strony, Danny.

– Zawsze było to nierozsądne. Nierozsądne, niebezpieczne i cudowne.

Potem weszli razem pod prysznic.

– Czy Bernadette nie wyda się dziwne, że pachniesz drzewem sandałowym? – spytała Rosemary.

– Mam w łazience takie same mydła jak twoje. – Własna pomysłowość ani nie wprawiała go w dumę, ani w samozado-wolenie; uważał się po prostu za praktycznego człowieka.

– Pamiętam, że również Ria zawsze używała tego samego mydła, co ja. Zawsze myślałam, że mnie naśladowe. Tymczasem okazało się, że była to wyłącznie twoja inwencja.

Rosemary miała na sobie biały frotowy szlafrok. Przejrzała się uważnie w łazienkowym lustrze. Nie wyglądała na osobę, dla której czas nieubłaganie posuwa się naprzód, ani na kobietę dobijającą do czterdziestki. Powzięła niezłomne postanowienie, że tamci mężczyźni nigdy nie dostaną jej firmy.

– Zamówię dla ciebie taksówkę.

– Bardzo cię potrzebowałem dzisiejszego wieczora, Rosemary – oświadczył Danny.

– Przypuszczam, że ty również byłeś mi potrzebny, w przeciwnym razie nie pozwoliłabym ci zostać. Wiesz, że nigdy nie robię niczego jedynie przez wzgląd na uprzejmość.

– Zauważyłem – stwierdził cierpko.

Zatelefonowała po taksówkę, podała swój bankowy numer 616

i poprosiła o obciążenie rachunku kosztami kursu.

– Pamiętaj, żebyś wysiadł na rogu ulicy, a nie pod domem.

Im mniej taksówkarze wiedzą, tym lepiej.

– Tak jest, szefie.

– Jakoś to przetrwasz.

– Ciekaw jestem jak.

– Porozmawiaj jutro z Barneyem, jedziecie na tym samym wózku. Nic nie zyskacie, skacząc sobie teraz do gardeł.

– Jak zwykle masz rację. Zejdę na dół i zaczekam na taksówkę. – Mocno przygarnął ją do siebie. Ponad ramieniem Rosemary spostrzegł migające światło automatycznej sekretarki.

– Ktoś zostawił dla ciebie wiadomość – zauważył.

– Potem jej wysłucham. Prawdopodobnie to tylko moja matka, która znów się domaga, żebym znalazła sobie odpowiedniego partnera życiowego i w końcu wyszła za mąż.

Uśmiechnął się do niej, przekrzywiając na bok głowę.

– Wiem, że powinienem ci tego życzyć, mam jednak nadzieję, iż nigdy tego nie zrobisz.

– Nie martw się, nawet jeśli zdecyduję się na ten krok z jakimś mężczyzną, będziemy go oszukiwać jak wszystkich.

Na Tudor Drive cudowny miesiąc trwał nadal. Ria nie mogła w to uwierzyć, choć w stosunkach z dziećmi kierowała się wielką rozważą. Sean i Kelly Maine'owie okazali się doskonałymi przyjaciółmi dla Annie i dla Briana.

– Żałuję, że Sean nie jest młodszy – narzekał Brian. – Powinni być w odwrotnym wieku. Kelly jest w porządku, ale to tylko dziewczyna.

– Ja jestem zadowolona, że Sean nie jest twoim rówieśnikiem. Bardzo mi odpowiada jego wiek – stwierdziła siostra ze śmiechem.

617

Ria już zamierzała powiedzieć, że Annie nie powinna doprowadzać do tego, aby Hubie i Sean rywalizowali o jej względy, ale zaraz zamknęła usta. Ostatnie tygodnie, podczas których miała czas zastanawiać się nad swoimi wypowiedziami, zaczęły procentować. Uczenie się życia w zupełnie nowym otoczeniu, gdzie ludzie oceniali człowieka na podstawie tego, co mówi i robi, a nie z perspektywy wieloletniej przyjaźni, było pozytywnym doświadczeniem. Ria czuła, że bardzo tutaj wydorosła i że w domu nigdy nie byłaby do tego zmuszona.

Poza tym nigdy dotychczas nie mieszkała sama; prosto z domu matki przeniosła się do Danny'ego. I życie, znane kobietom takim jak Rosemary, które posiadały własne mieszkania, było jej całkiem obce.

Otrzymała list za pośrednictwem poczty elektronicznej.

Rosemary pisała w nim, że Dublin jest plotkarskim miastem, gdzie trudno oddzielić rzeczywistość od fikcji, i zawsze takie było. Zapewniła też, że gdyby miała Rii coś do przekazania, nie omieszkałaby tego zrobić. Danny również nie trzymałby jej w nieświadomości, gdyby zaszło coś poważnego. Przyjaciółka żałowała też, że dzieci znikły bez słowa pożegnania, ponieważ zamierzała przesłać za ich pośrednictwem kilka sukienek, w których Ria mogłaby się pokazać podczas pikniku.

– Nie pożegnaliście się z Rosemary? – zapytała Annie i Briana, zanim wyszła do sklepu dla smakośy.

Córka wzruszyła ramionami.

– Zapomnieliśmy – przyznał Brian. – Oprócz niej wszystkich odwiedziliśmy. – Sprawiał wrażenie, że myśli o przyjaciółce matki jako o źródle dochodów, które przeoczyli.

– Nie dałaby ci ani pensa, Brianie – zapewniła go siostra.

– Nie lubisz Rosemary, prawda, Annie? – Ria była zdziwiona.

– A ty nie lubisz Kitty – odparowała córka.

– Tak, ale to co innego. Kitty ma na ciebie zły wpływ.

– A lady Ryan na ciebie, mamó. Daje ci swoje rzeczy, których już nie potrzebuje i protekcjonalnie poklepuje cię po głowie. Możesz zarobić i kupić sobie nowe sukienki, zamiast chodzić w jej znoszonych ciuchach.

– Dziękuję ci, Annie, to prawda. Czy zgodzicie się zostać sami na trzy godziny?

– To śmieszne widzieć, jak wychodzisz do pracy, mamó.

Wydajesz się teraz niemal całkiem normalną kobietą – stwierdził Brian.

Ria jechała do sklepu Johna i Gerry’ego, siedząc za kierownicą samochodu Marilyn z knykciami pobielalymi ze zło-

ści. Tak wyglądało podziękowanie dzieci za to, że nie wyściubiała nosa poza Tara Road, starając się stworzyć im dom.

Danny porzucił ją, twierdząc, że jest tragicznie nudna i nie mają o czym ze sobą rozmawiać. Annie uważała, iż jest żalosna, a Brian, że nienormalna. No cóż, ale i tak nic nie mogło jej powstrzymać od odniesienia zawodowego sukcesu.

Zaparkowała z piskiem hamulców i weszła do kuchni.

– Czy zastanowiliście się już nad specjalnymi wypiekami na zjazd absolwentów? – warknęła. Obaj mężczyźni, zaskoczeni, podnieśli na nią oczy. – Widzę, że nie – stwierdziła. –

Proponuję dwa rodzaje tortów. Jeden, z dekoracją przedstawiającą mózdzierz aptekarski i zwoje pergaminu, a drugi, złą-

czone dłonie symbolizujące przyjaźń.

– Specjalne torty na weekend? – zapytał Gerry, powoli cedząc słowa.

– Wszyscy będą uczestniczyć w pikniku. Czyż nie warto uczcić tej okazji? I przygotować, w związku z uroczystością, czegoś specjalnego?

– Tak, ale...

– Wobec tego lepiej od razu zabierajmy się do roboty. A 619

potem znajdę grafika i zlecę młodym ludziom przygotowanie reklamy w formie ulotek oraz afiszów, które wystawimy w witrynie sklepowej. – Patrzyli na nią z otwartymi ustami. –

Sądzicie, że to dobry pomysł? – spytała, zastanawiając się, czy nie przeholowała.

– Chyba tak – odparł John i Gerry.

– Bardzo trudno znaleźć się z tobą sam na sam – uzalał się Hubie przed Annie. – Na przyjęciu w ubiegłą sobotę chłopcy tak licznie cię obstawiali, potem Sean Maine chodził wszędzie za tobą jak cień, a w przyszły weekend wypada piknik dla absolwentów i wyjedziesz do Maine'ów.

– W przerwach pomiędzy tymi wydarzeniami pozostaje jeszcze mnóstwo czasu. – Leżeli nad basenem i zabawiali się papierową żaglówką, którą przesuwali z jednego miejsca na drugie, burząc dłońmi wodę.

Brian wprawiał się w trafianiu piłką do kosza.

– Czy mógłbym cię zabrać do Nowego Jorku? – spytał

Hubie.

– Raczej nie. Mama osobiście chce nas oprowadzić po mieście. To dla niej ważna sprawa.

– Czy nigdy się jej nie przeciwstawiłaś, Annie, i nie zrobi-

łaś niczego, na co ty miałaś ochotę? – dopytywał się Hubie.

– Zdarzało się, że byłam nieposłuszna, i to często, ale obecnie nie chcę jej sprawiać przykrości. Przeżywa ciężkie chwile. Mój tata porzucił ją dla dziewczyny niewiele starszej ode mnie. I pewnie mama czuje się jak stuletnia staruszka.

– Rozumiem. Wobec tego może wybierzemy się gdzie indziej? – Chłopak ze wszelką cenę starał się umówić z nią na randkę.

– Z największą przyjemnością, Hubie, ale nie teraz, zgoda?

Dopiero co przyjechaliśmy.

– Zgoda.

620

– I jeszcze jedno. Kiedy pisałam do Marilyn, mama poprosiła mnie, żebym nie wspominała w liście o twoich wizytach w tym domu.

– Do Marilyn?

– Tak, do pani Vine. To jej dom, przecież wiesz o tym.

– Zwracasz się do niej po imieniu?

– Na jej wyraźne życzenie.

– Lubisz ją?

– Tak, jest fantastyczna.

– Mylisz się. Nie masz pojęcia, w jak wielkim jesteś błę-

dzie. Jest okropna i stuknięta. – Hubie wstał i pozbierał swoje rzeczy. – Muszę już iść – oświadczył.

– Szkoda. Lubię, kiedy tu jesteś. Nie mam pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi.

– Szczęściara z ciebie.

– Wiem od mamy, że byłeś razem z Dale'em w noc wypadku, ale to wszystko. I nie zamierzam wyrzekać wraz z tobą na Marilyn tylko dlatego, żeby cię zadowolić. Byłoby to głupotą i słabością z mojej strony. – Annie również wstała, a jej oczy rzucały błyski.

Chłopak spojrzał na nią z zachwytem.

– Naprawdę jesteś dziewczyną z charakterem – stwierdził.

– Wiesz, czego naprawdę chciałbym?

Nie dowiedziała się jednak, czego życzyłby sobie Hubie, ponieważ w tym momencie na scenę wkroczył Brian.

– Zachowywaliście się bardzo cicho. Przyszedłem sprawdzić, czy przypadkiem nie migdalicie się ze sobą – oświadczył.

– Co proszę? – Hubie spojrzał na niego zaskoczony.

– Czy się nie całujecie, nie pieścicie i nie obmacujecie. Jak nazywacie to, o czym mówię, w Ameryce? – Stał, z opalonymi na czerwono ramionami i twarzą, włosy mu sterczały na wszystkie strony, a na buzi malował się wyraz zainteresowania 621

czymś, co, jak zwykle, nie powinno go obchodzić.

– Hubie właśnie wychodzi... – wyjaśniła Annie niebezpiecznie cichym głosem. – I sądząc po tym, jak się mają sprawy, może już nigdy tutaj nie wrócić.

– Och, wróć – oświadczył. – Pragnę cię zapewnić, że z mojego punktu widzenia wszystko jest w jak najlepszym porządku.

– Hubie zaleca się do Annie – oznajmił Brian podczas lunchu.

– Oczywiście, że tak. Wpadła mu w oko, jeszcze zanim ją poznał; stale oglądał jej fotografię.

– Przestań zachęcać Briana do wygadywania tego rodzaju bredni, mam – zaprotestowała

zaczerwieniona z zadowolenia dziewczynka.

- Potrzebujemy Hubiego dzisiejszego wieczora. Będiesz musiała użyć całej swojej siły perswazji, ażeby go tutaj ściągnąć.
- Przykro mi, mamó, ale to niemożliwe.
- Potrzebuję go, Annie. Chcę, żeby zrobił na komputerze plakat reklamujący moje torty.
- Wykluczone, mamó. Pomyśli, że namówiłam cię do tego.
- Nie, nie pomyśli. To będzie profesjonalne zlecenie. Za-płacę mu za wykonanie projektu.
- Uzna, że płacisz mu za to, żeby przyszedł do mnie z wizytą, mamó. To byłoby straszne. Nie mogę się zgodzić.
- To moja praca, Annie. Potrzebuję go tutaj – Ria umilkła nagle. – A jeśli się dokądś wybierzesz? Wtedy nie pomyśli, że uganasz się za nim, prawda?

Dziewczynka rozważyła w myślach sugestię matki.

- To prawda, chyba nie.
- A nawet będzie zachodził w głowę, gdzie jesteś.
- A gdzie wtedy będę, mamó?

622

Ria umilkła, zastanawiając się nad rozwiązaniem, i nagle doznała olśnienia.

- Możesz pójść popracować przez dwie lub trzy godziny w salonie Carlotty: składać ręczniki, sterylizować szczotki do włosów, zmywać podłogę, parzyć kawę – wykonywać tego rodzaju rzeczy.
- Pozwoli mi to robić?
- Pewnie tak, jeśli zwrócę się do niej z prośbą o wyświadczenie tej przysługi. Wyjaśnię, że dzisiejszego wieczora szczególnie zależy ci na wyrwaniu się z domu.
- Załatwisz to, mamó? Naprawdę?

Ria podeszła do telefonu. Carlotta już dawno wystąpiła z taką propozycją, lecz Ria, ostatnio bardzo rozważna, wiedziała, że lepiej będzie, jeśli nie powie o tym córce wprost. Wróciła od telefonu.

- Carlotta wyraziła zgodę – oznajmiła.

– Jesteś kochana, mamó – zawołała Annie.

Barney McCarthy powiedział, że jest gotów spotkać się z Dannym w każdym miejscu i o każdej porze. Jak mógłby żyć urazę z powodu tego, co zostało powiedziane ubiegłego wieczora? Żaden z nich nie był wtedy sobą, obaj działali pod wpływem stresu. Znali się zbyt długo, aby słowa miały stworzyć barierę pomiędzy nimi. Spotkali się w parku Stephena, gdzie bawiły się dzieci i umawiali na randki kochankowie.

Dwaj mężczyźni, spacerujący z rękami założonymi na plecach, rozmawiali o swojej przyszłości i przeszłości.

Na pozór byli przyjaciółmi. Danny zapewnił, że nie otworzy żadnego biznesu bez udziału swego szefa. Ten przyznał, że bardzo wiele zawdzięcza Danny'emu – jego intuicji i ciężkiej pracy, nie wspominając już o szybkiej reakcji owej nocy, kiedy Barney dostał ataku serca w mieszkaniu Polly.

623

– A jak ona przyjęła te wieści? – spytał Danny.

– Z wysoko podniesionym czołem. Znasz ją. – Obaj zamilkli na chwilę, myśląc o tej eleganckiej, ciemnowłosej kobiecie, która odrzuciła wiele okazji zamążpójścia i godząc się na drugoplanową rolę, czekała na Barneya.

– Wciąż jeszcze jest młoda – zauważył McCarthy.

– I nie ma nikogo na utrzymaniu – dodał Danny. Znowu zapadła cisza. – Powiedziałaś Monie?

Barney zaprzeczył ruchem głowy.

– Jeszcze nie. – Spojrzał na Danny'ego. – A co z Rią?

– Też nie wie.

Dalej spacerowali w milczeniu, ponieważ nie mieli nic więcej sobie do powiedzenia.

– Sądzę, że Sean jest zauroczony Annie – oświadczyła podczas telefonicznej rozmowy Sheila.

– Zauważyłam. Czy to nie zdumiewające? – odpowiedziała Ria. – Dopiero co oboje byli w dzieciennych wózkach, a już im amory w głowach.

– Uważam, że powinniśmy mieć oboje na oku.

– Nas też pilnowali i na niewiele to się zdało – roześmiała się Ria.

– Nie byliśmy tak młode, jak oni – zauważyła Sheila. –

Nie przypuszczam, żeby Annie brała już pigułki?

Ria była zaszokowana.

– Ależ nie, na Boga! Ona nie ma nawet piętnastu lat! Mówię

tylko o całowaniu się w kinie i innych niewinnych pieszczotach.

– Miejmy nadzieję, że na razie na tym poprzestaną. Przyjedziecie do Westville na przyszły weekend, prawda?

– Tak, wybieramy się do was z wizytą.

Ria zaniepokoiła się tą rozmową, nie miała jednak czasu na

głębsze zastanawianie się nad całą sprawą. Zamówienia na torty okolicznościowe z okazji zjazdu absolwentów przekroczyły wszelkie oczekiwania i zatrudnili w sklepie dodatkowych pracowników do pomocy. A musiała jeszcze wyszukać dom na przyjazd gości i przygotować olbrzymi bufet dla przyjaciół

Grega i Andy'ego Vine'ów. A na dodatek zrobić to tak, ażeby nie zwracać na siebie powszechnej uwagi i nie urazić Marilyn.

Wyglądało na to, że gospodyni domu, w którym mieszkała, zwykła podejmować gości przybyłych na zjazd absolwentów jedynie oliwkami i preclami.

Musiała też zapewnić zajęcie dzieciom. Zadziwiająco, ale nie przysparzały jej żadnych kłopotów. Brian znalazł sobie nowego przyjaciela, niejakiego Zacha, który mieszkał cztery domy dalej. Syn zaczął nosić czapkę odwróconą do tyłu daszkiem oraz używać sformułowań, których znaczenia nie rozumiał. Hubie często zabierał Annie, aby pokazać jej różne ciekawe obiekty w mieście, a ponieważ zawsze odbywało się to w blasku dziennego światła, Ria nie oponowała. Codziennie o czwartej po południu Annie szła do zakładu Carlotty i po powrocie do domu opowiadała zdumiewające historie o klient-kach. Ria pożyczyła na tydzień drugą zamrażarkę skrzyniową i do późnych godzin nocnych gotowała, pakowała i gromadziła produkty swojej sztuki kulinarnej.

Kiedy w czwartek przed wielkim weekendem położyła się o drugiej w nocy do łóżka, nagle uświadomiła sobie, że przez cały dzień ani razu nie pomyślała o Dannym. Zastanawiała się, czy to przypadkiem nie oznacza, że zaczyna się oswajać z jego odejściem. Kiedy jednak wyobraziła sobie twarz męża, gorzka strata, poczucie samotności i smutek stały się równie bolesne jak zawsze. Wciąż dotkliwie za nim tęskniła i tylko była zbyt zapracowana, żeby zdawać sobie z tego sprawę. Może taka szalona aktywność jest dla niej najlepszym lekarstwem?

625

Marilyn wyszła z filiżanką kawy do ogrodu.

– Czym się dzisiaj zajmujesz, Colmie? – spytała.

– Słodkim koprem – odrzekł. – Robię to dla własnej przyjemności. Chcę udowodnić sobie samemu,

że zdołam go wyhodować. W restauracji nie ma wielkiego zapotrzebowania na to warzywo – uśmiechnął się ponuro.

Marilyn znowu uderzył jego atrakcyjny wygląd i po raz kolejny zastanawiała się, dlaczego dotychczas się nie ożenił.

Wiedziała o jego pociągu do alkoholu, ale tego rodzaju skłonności nigdy nie powstrzymywały ludzi od zawierania mał-

żeństw.

– Jak długo trwa okres wegetacji?

– Około czterech miesięcy. W podręcznikach piszą, że około piętnastu tygodni od momentu siewu.

– W podręcznikach? Nauczyłeś się ogrodnictwa z książek?

– Tak, bo i skąd?

– Sądziłam, że twoi rodzice byli zagorzałymi ogrodnikami i że dorastałeś z rękami zabrudzonymi po łokcie w ziemi.

– Niestety, nie miałem tak normalnego i miłego dzieciństwa. Marilyn westchnęła.

– A któż z nas miał takie, na jakie zasługiwał?

– Racja. Przepraszam za rozczulanie się nad sobą.

– Nie zauważyłam, żebyś to robił.

– Czy masz jakieś wieści o Annie i Brianie?

– Świetnie się bawią, poznali połowę mieszkańców osiedla, a na naszym basenie bywa codziennie z tuzin dzieciaków.

– Nie przejmujesz się tym?

– Dlaczego miałabym się przejmować? Podczas wakacji ten dom należy do nich.

– Jesteś osobą, która ceni sobie własną prywatność.

– Stałam się taka od czasu śmierci mojego syna w ubie-626

głym roku.

– Przeżyłaś straszliwą tragedię. Bardzo mi przykro. Nie mówiłaś o tym przedtem. Nie wiedziałem.

– Nigdy dotychczas nie poruszałam tego tematu.

– O niektórych sprawach zbyt trudno opowiadać. Zostawmy to, jeśli wolisz. – Był wyrozumiały. Marilyn przewidziała jego reakcję.

– To dziwne, ale teraz wolę o tym wszystkim rozmawiać.

Zauważyłam ostatnio, że kiedy o tym mówię, ból staje się nieco łatwiejszy do zniesienia.

– Znasz powiedzenie: „Rzućmy na to trochę światła”?

Pewne problemy potrzebują powietrza i światła jak rośliny.

– Ty nie podzielasz jednak tej opinii, prawda?

– Sam nie wiem.

– To dlatego nigdy nie mówisz o Caroline?

– O Caroline?

– Ten kraj mnie odmienił, Colmie. Do niedawna nie ośmieliłabym się tak brutalnie ingerować w czyjeś prywatne sprawy, ale za niespełna trzy tygodnie wyjadę stąd i nigdy się nie spotkamy. Uważam, że powinieneś dać światłu i powietrzu dostęp do problemu twojej siostry oraz do tego, co dla niej robisz.

– A co ja dla niej robię? – Twarz mężczyzny miała twarde i zimny wyraz.

– Prowadzisz restaurację, aby zaspokoić jej głód narkotykowy.

Zapadło milczenie.

– Mylisz się, Marilyn. Zatrudniłem Caroline w mojej restauracji po to, żeby ją mieć na oku. Jej głód narkotykowy zaspokaja zupełnie kto inny. – Marilyn utkwiała w nim zdumione spojrzenie. – Zaopatrjuje ją mąż, Monto, biznesmen, którego najbardziej lukratywnym zajęciem jest handel heroiną.

627

– Maria?

– Halo, Andy?

– Mam tylko jedno pytanie. Czy zobaczymy się w przyszłym tygodniu, kiedy zatrzymam się na Tudor Drive?

– Och, myślę, że tak. A sądziłeś, że wyjadę?

– Miałem nadzieję, że nie.

– Cieszę się na ponowne spotkanie z tobą. Będziesz mógł

poznać moje dzieci.

– Wspaniale. Jak sądzisz, czy znajdziemy trochę czasu tylko dla siebie?

– Wydaje się to raczej mało prawdopodobne – przede wszystkim dlatego, że będę miała mnóstwo roboty.

– Pomimo to nie tracę nadziei. Do zobaczenia w piątek.

– Zach twierdzi, że oni wszyscy będą bardzo starzy i bardzo nudni – oświadczył Brian.

– To zdumiewające, że mój brat po drugiej stronie Atlan-tyku natychmiast znalazł sobie przyjaciela pokroju Mylesa i Dekka! – westchnęła Annie.

Chłopca nie uraziła ta uwaga, a nawet dostrzegł w niej ogromne możliwości na przyszłość.

– Czy Zach na przyszłe wakacje będzie mógł przyjechać do nas na Tara Road? – spytał.

– Porozmawiamy o tym w przyszłym roku – oświadczyła Ria.

– Sądzisz, że w przyszłym roku nadal będziemy mieszkać przy Tara Road, mamó? – zadumała się Annie.

– A dlaczegoż by nie? Masz zamiar dokądś się wyprowadzić? – roześmiała się Ria.

– Nie... tylko że wszystko tak drogo kosztuje... I zastanawiam się, czy będzie nas stać na utrzymanie tego domu.

628

– Och, wszystko się dobrze ułoży. Po powrocie do Dublina zamierzam podjąć pracę – oświadczyła beztrąsko Ria.

– Pracę, mamó? A co, na Boga, będziesz robiła? – Dziewczynka spojrzała na matkę otoczoną przyrządzonymi przez siebie potrawami.

– Prawdopodobnie to samo, co tutaj – odparła Ria.

George Vine był wysokim, lekko przygarbionym i bardzo delikatnym mężczyzną. Do dzieci zwracał się z wyszukaną uprzejmością. Ogromne wrażenie wywarła na nim gościnność Rii i przygotowane przez nią zapasy jedzenia dla jego przyjaciół.

– Pewnie tygodniami harowałaś, ażeby to wszystko zrobić

– powiedział, kiedy pokazała mu zawartość zamrażarek oraz pożyczone stoły na kozłach i obrusy.

– Nie chciałam używać bielizny stołowej Marilyn na wypadek, gdyby się coś rozlało.

– Nie sędzę, żeby miała do ciebie o cokolwiek pretensje –

odrzekł niepewnie i bez przekonania.

– Od wszystkich słyszę, że bardzo troszczy się o wszystkie rzeczy w moim domu, nie chciałabym więc wypaść gorzej. –

Wręczyła mu odpowiedzi na listy, jakie rozesłał do zaproszonych gości. – A teraz cię zostawiam, żebyś mógł się rozgościć w swoim własnym domu – zażartowała. – Nie umieściłam nikogo w pokoju Dale’a; a skoro już o nim mowa, bardzo cię przepraszam.

– Przede wszystkim tobie należą się przeprosiny – odrzekł

bez ogródek. – To niewybaczalne, że przed przyjazdem tutaj nie zostałam o wszystkim poinformowana. Marilyn w ogóle o nim nie rozmawia i to jedyne, co mogę powiedzieć na jej usprawiedliwienie. – Na twarzy mężczyzny malował się wyraz bólu. – Jak sędzę, szczerze wierzy w to, że jeśli nie będzie poruszać owego tematu, okaże się, że wypadek się nie wydarzył...

629

a jeżeli nie wymieni imienia Dale’a, jego śmierć będzie tylko koszmarem sennym.

– Każdy inaczej reaguje na tragedie – zauważyła Ria.

– W tym wypadku jej zachowanie przekroczyło granice zdrowego rozsądku. Jak mogła pozwolić, żebyś weszła do naszego domu i pokoju Dale’a nieświadoma tego, co się stało?

Nie wiem, czy oboje z Marilyn mamy sobie jeszcze coś do powiedzenia, ale będzie musiała, przez wzgląd na swe zdrowie psychiczne, przyjąć do wiadomości to, co się wydarzyło, i porozmawiać z kimś o tym. Z kimkolwiek.

– Ona już o tym rozmawia – wyjaśniła Ria. – Opowiedzia-

ła moim dzieciom o waszym synu. Począwszy od czasu, kiedy zaczął nosić aparat korekcyjny na zębach, do momentu wspólnej wycieczki nad Wielki Kanion, gdzie płakał o zachodzie słońca.

Głos Grega był niewiele głośniejszy od szeptu.

– Ona o tym wszystkim mówiła?

– Tak.

Oczy mężczyzny wypełniły się łzami.

– Może powinienem pojechać do Irlandii.

Rię ogarnęło nieznaną jej dotychczas uczucie zazdrości.

Wyglądało na to, że Marilyn najgorsze ma już za sobą. Mąż wciąż ją kochał i zamierzał pojechać do niej na Tara Road.

Marilyn Vine była szczęściarą.

*

– Nie mogę wypytywać go o interesy – powiedziała córce Finola Dunne.

– Nie możesz, to prawda.

– Przyjęłam przeprosiny i mam związane ręce. Ty jednak możesz, a nawet musisz go zapytać, Ber. Niech postawi sprawę 630

uczciwie, przez wzgląd na ciebie i dziecko. Musisz wiedzieć, czy jest bankrutem.

– Sam mi powie, mam, jeśli uzna, że powinnam o tym wiedzieć.

Długo planowane przyjęcie na Tudor Drive podczas zjazdu absolwentów miało być wydarzeniem towarzyskim w życiu Westville. Ria zapytała Grega, czy Hubie Green może pełnić funkcję kelnera, a młody Zach – zostać jego pomocnikiem.

– Hubie?

– Tak, prowadził kurs Internetu i robił to z wielkim zaangażowaniem.

– To szalony i nieodpowiedzialny chłopak – oświadczył

Greg.

– Wiem, że był wtedy razem z Dale'em. Twierdzi, że to najtragiczniejszy dzień w jego życiu.

– Nie jestem przeciwny jego obecności w tym domu i nigdy nie byłem. To Marilyn nie potrafiła mu wybaczyć... Radzę ci jednak, żebyś trzymała go z dala od swojej córki.

Ria poczuła na plecach dreszcz niepokoju, ale nie mogła pozwolić sobie na to, ażeby przemienił się w strach; zbyt dużo roboty ją czekało.

Zjawił się Hubie i pierwsze kroki skierował do Grega.

– Panie Vine, rozumiem, jeśli uzna pan, że moja obecność tutaj nie jest pożądana.

– Ależ nie, synu. Miło znowu cię widzieć w naszym domu

– odpowiedział gospodarz.

– Ria powoli odetchnęła z ulgą. Jedną przeszkodę zdołali już pokonać bezpiecznie. W otoczeniu przyjaznych twarzy i potraw czuła się jak ryba w wodzie. Pilnowała, ażeby imię pani domu było często wymieniane. Oświadczyła, że rozmawiała z nią wczorajszego wieczora i że Marilyn prosiła o przekazanie 631

pozdrawień dla wszystkich.

– Sądzę, że brat Grega zaleca się do ciebie, mamó – zauważyła Annie po przyjęciu.

Annie i Hubie z wdziękiem wywiązywali się ze swych za-dań. On napełniał kieliszki winem, ona podawała gościom olbrzymie kawałki tortu, na widok którego wszystkim ciekła ślina i który zrobił tak ogromną furorę.

– Bzdura, jesteśmy starszymi ludźmi, w naszym wieku nikt się już do nikogo nie zaleca – roześmiała się Ria, z uznaniem myśląc o spostrzegawczości swojej córki.

– Tata zdołał sobie znaleźć kogo innego, dlaczego ty nie możesz?

– Cóż to, zabawiasz się w swatkę? Przestań mnie namawiać, bo jeszcze tutaj zostanę. Będę gotować i uganiać się za podstarzałymi mężczyznami. Co wtedy zrobisz?

– Zostanę również, pójdę na studia i będę uganiać się za młodymi mężczyznami – odrzekła ze spokojem.

Andy nie miał okazji, ażeby choć przez chwilę znaleźć się sam na sam z Rią.

– Może przyjadę w inny weekend? – zapytał.

– Proponowanie ci tego byłoby nieuczciwością z mojej strony. Będę urabiać sobie ręce po łokcie przy gotowaniu i przy dzieciach i nie zdołam poświęcić ci należytej uwagi.

– Nawet gdybyś mogła, nie zrobiłabyś tego – stwierdził z wyrzutem.

– Pochlebiasz mi, zabiegając o moje zainteresowanie.

– Nie daję za wygraną. Coś wymyślę.

– Dziękuję, Andy. – Rozejrzała się wokół, ażeby się upewnić, czy nikt ich nie widzi, i żartobliwie cmoknęła go w nos.

632

– Wolałbym, żebyś nie jechała do tej zapadłej dziury i nie spotykała się z Maine’ami – powiedział Hubie do Annie.

– Dlaczego? Będzie wesoło. To sympatyczni ludzie.

- A Sean jest przystojnym chłopcem – zauważył ponurym tonem.
- Naprawdę? – Udawała zdziwienie.
- Pamiętaj... Ja mieszkam w Westville, a on na wsi – powiedział Hubie.
- Będę pamiętała – obiecała. Kitty nie uwierzy. Dwóch młodych Amerykanów zabiegało o jej względy. Wiedziała jednak, że pierwsze pytanie, jakie jej przyjaciółka zada, będzie brzmiało: „Z którym z nich sypiasz?”. Tymczasem Annie nie zamierzała iść do łóżka z żadnym z nich.
- Co powiedziała Mona? – spytał Danny.
- Zupełnie nic.
- Nic?
- To całkowite milczenie – stwierdził Barney – było gorsze niż jakiegokolwiek słowa. A Ria?
- Jeszcze jej nie zawiadomiłem.
- Musisz to zrobić, Danny. Ona i tak się dowie.
- Zamierzam powiedzieć jej o tym podczas rozmowy w cztery oczy. Przynajmniej tyle jestem jej winien.
- Chcesz ją ściągnąć do domu?
- Nie, to ja wybieram się do niej.
- Za czyje pieniądze, jeśli wolno spytać?
- Za twoje, Barney. Dostałeś mój dom, na miłość boską.

Chyba możesz zafundować mi nędzny bilet na samolot?

*

Siedzieli nad basenem i zastanawiali się, jakie rzeczy po-633

winni spakować na wyjazd do Maine'ów.

- Nadal jesteś zwolenniczką robienia list, mamó?
- Chyba tak – odrzekła Ria. – Ułatwiają życie. – Zadzwoił telefon i poszła go odebrać.
- Skarbie? Mówi Danny.
- Prosiłam cię, żebyś nie zwracał się do mnie w ten sposób.

- Wybacz, siła przyzwyczajenia.
- Poproszę dzieci do aparatu.
- Nie, to z tobą chciałem porozmawiać. Wybieram się jutro do was.
- Słucham?
- Zamierzam spędzić z wami weekend.
- Dlaczego?
- A dlaczego nie?
- Czy Bernadette też przylatuje?
- Oczywiście, że nie. – Sprawia! wrażenie poirytowanego.
- Przepraszam cię, Danny, ale mieszkacie razem...
- Wybieram się po to, aby porozmawiać z tobą, Annie i Brianem. Zgadzasz się? Czy pomysł z moim przyjazdem do Ameryki jest dla ciebie nie do przyjęcia?

Był wyraźnie podenerwowany. Ria poczuła ucisk w gardle. Czyżby zerwał z Bernadette? I przyjeżdżał tutaj, aby prosić ją o wybaczenie? Może chciał zacząć wszystko od nowa?

- Kiedy przylatujesz? Wiesz, jak się tutaj dostać?
- Znam szczegóły dotyczące połączeń autobusowych, jakie przekazałaś dzieciom. Zatelefonuję z lotniska Kennedy’ego.
- Dobrze... zamierzaliśmy wyjechać na weekend, Danny.

Zaplanowaliśmy wizytę u siostry Gertie.

- U siostry Gertie! Chyba możecie zmienić plany. – Był bardzo zniecierpliwiony.

- Tak, możemy – przyznała.

634

- Wobec tego do zobaczenia jutro.

Ria powoli skierowała się do basenu. Nowina była zbyt doniosła, by można ją ogłosić bez zastanowienia. Nowa Ria miała ostatnio zwyczaj formułowania przemyślanych wypowiedzi. Nie zamierzała mówić o niczym dzieciom, dopóki dobrze wszystkiego nie rozważy. Postanowiła na razie

nie odwo-

ływać wizyty u Maine'ów. Może dzieci będą mogły tam pojechać na jeden dzień i zostawią ją samą z Dannym?

To z nią zamierzał się spotkać. Powiedział o tym wyraźnie przez telefon: „z tobą chciałem porozmawiać”. Przyjeżdżał, aby jej powiedzieć, że do nich wraca.

635

Rozdział 8

Rozległ się dzwonek do drzwi wejściowym w domu przy Tara Road pod numerem szesnaście. Stał w nich Danny Lynch i uśmiechał się bardzo ciepło.

– Mam nadzieję, że nie przeszkadzam, Marilyn?

– Ależ skąd, nie wejdiesz?

– Dziękuję.

Skierowali się do frontowego pokoju, gdzie Marilyn przed chwilą siedziała nad lekturą. Jej książka i okulary leżały na stole.

– Podoba ci się ten pokój – zauważył Danny.

– Bardzo. Panuje tu niczym niezmacony spokój.

– Ja też bardzo go lubię. Za mało spędzaliśmy w nim czasu. Wiecznie tkwiliśmy w kuchni na dole. Też chętnie posiedziałbym tutaj wieczorami i poczytał.

– Ja mogę sobie na to bez trudu pozwolić, ponieważ jestem sama. Inaczej wygląda sytuacja, kiedy w domu znajdują się inni członkowie rodziny.

– To prawda – przyznał. Spojrzała na niego pytająco.

– Lecę jutro do Nowego Jorku i zamierzam zatrzymać się w twoim domu przy Tudor Drive. Pomyślałem, że wypada zawiadomić cię o tym.

– To miło z twojej strony, ale niepotrzebnie się trudziłeś.

Ria może gościć u siebie, kogo zechce. Niemniej dziękuję.

– Muszę zabrać ze sobą pewne dokumenty.

– Dokumenty?

– Tak, są na górze. Czy mogę po nie pójść?

– Ria nie wspominała o żadnych dokumentach...

– Posłuchaj, doceniam twoją ostrożność, ale jeśli mi nie wierzysz, podnieś słuchawkę i zadzwoń do niej. To szczerza 636

prawda, Marilyn, ona wie o moim przyjeździe.

– Nie wątpiłam w to ani przez chwilę.

– Zrób to. Skontaktuj się z nią telefonicznie.

– Proszę cię, Danny, nie mów do mnie w ten sposób. Dlaczego miałabym ci nie wierzyć? Nie dałeś mi żadnego powodu, abym podejrzewała, że w jakikolwiek sposób oszukujesz Rię. –

Jej głos miał zimne brzmienie, a oczy twardy wyraz.

Danny wzdrygnął się lekko.

– Możesz pójść ze mną. Wiem, gdzie ich szukać.

– Dziękuję.

W milczeniu weszli po schodach na piętro i skierowali się do sypialni. Klemens spał na łóżku.

– Hej, jak się tutaj dostałeś, stary? – spytał Danny, drapiąc kota po szyi.

Potem podszedł do komody i otworzył dolną szufladę.

Znajdowała się tam plastikowa koperta opatrzona napisem:

„Dokumenty domu”. Danny wyciągnął z niej cztery arkusiki papieru, a pozostałe odłożył na miejsce.

Marilyn obserwowała go bez słowa.

– Jeśli będę kontaktowała się dzisiejszego wieczora z Rią, to mam powiedzieć, że co wzięłeś?

– Akt własności domu... oboje musimy o tym porozmawiać.

– Ona wraca do domu za niespełna trzy tygodnie.

– Musimy porozmawiać o tym już teraz.

Rozejrzał się po dużym, przestronnym pokoju z wysokim sufitem i oknami na całą długość ściany. Marilyn zastanawiała się, o czym myśli. Czy wspominał okres piętnastu lat, jakie spędził tutaj z Rią? A może szacował cenę, jaką uzyska za tę nieruchomość?

Marilyn żywiła nadzieję, że Ria w swojej zróżnicowanej grupie przyjaciół ma dobrego prawnika,

ponieważ będzie go 637

potrzebowała. Dla Marilyn było oczywiste, po co Danny wybiera się do Westville i dlaczego zamierza zniszczyć Rii resztę wakacji. Jechał po to, ażeby ją zawiadomić, że jest zmuszony sprzedać dom przy Tara Road.

Ria śpiewała, robiąc śniadanie.

– Przecież ty nigdy nie śpiewasz, mamó – zauważył Brian.

– Ale teraz mama to robi – Annie broniła prawa matki do niemelodyjnego buczenia.

– Bernadette często śpiewa – stwierdził chłopiec.

– To bardzo ciekawe, Brianie. Dziękujemy, że podzieliłeś się z nami tak interesującą informacją – powiedziała jego siostra.

– Jakiego rodzaju piosenki śpiewa?

– Nie wiem. Jakies nieznane – plątał się chłopiec.

– Ona tylko nuci, mamó. Trudno nazwać to prawdziwym śpiewem.

Ria ponownie napełniła swoją filiżankę kawą i usiadła razem z dziećmi.

– Spóźnisz się do pracy – stwierdził z dezaprobatą Brian.

– No cóż, ja i mama przynajmniej chodzimy do pracy –

zauważyła Annie. – W przeciwieństwie do innych osób, które całymi dniami rzucają razem z Zachem piłkę do kosza.

– Też chodziłbym do pracy, gdybym znalazł gdzieś zajęcie

– oświadczył ochotczo Brian. – Naprawdę pracowałbym.

– Myślę, że nie grozi ci to przez najbliższe dwadzieścia lat, Brianie. Kto chciałby dać ci pracę i narazić swoją firmę na bankructwo? – pocieszyła go Annie.

– Mam dla was cudowną nowinę – oznajmiła Ria. – Wiadomość, która was bardzo ucieszy.

– Co to takiego? – dopytywał się Brian.

– Masz jakąś sympatię? – zasugerowała Annie. Syn wy-638

glądał na zatrwożonego.

– Jesteś wstrętą – zirytował się. – Mama nie zrobiłaby czegoś tak okropnego.

Kiedy spojrział w ich twarze, stwierdził jednak, że jego uwaga była nie na miejscu. Powoli do niego dotarło, że przecież ich ojciec znalazł sobie nową dziewczynę i wszyscy przeszli nad tym do porządku dziennego. Być może nie powinien uznać sugestii siostry za odrażającą.

– Miałem jedynie na myśli to, że nie ukrywałaby nic przed nami – dodał nieprzekonywająco.

– Wasz ojciec przyjeżdża do nas z wizytą na weekend –

oświadczyła Ria.

Zaskoczone dzieci szeroko otworzyły usta.

– Tutaj? Do Westville? – upewniła się Annie.

– Kiedy się żegnał z nami, nic nie wspominał o swoim przyjeździe – przypomniał sobie Brian. – Czyż to nie fantastyczne? Kiedy dotrze na miejsce? I gdzie będą spać?

– Będą? – zdziwiła się Annie.

– Chyba Bernadette również przyjeżdża?

– Oczywiście, że nie, ty głuptasie – ofuknęła brata Annie.

– Czy to znaczy, że teraz ją rzucił i wraca do nas? – Chłopiec chciał być dokładnie poinformowany o tym, co zaszło.

– Och, Brianie, tysiące razy rozmawialiśmy na ten temat.

Twój ojciec wcale cię nie porzucił, tylko zamieszkał gdzie indziej. Zawsze będzie twoim tatą.

– Czy zerwał z nią? – Chłopiec domagał się szczegółowych wyjaśnień.

– Nie. Chce tylko przyjechać, żeby zobaczyć się z wami. A nadarzyła się okazja... w związku ze sprawami zawodowymi.

– To dowodzi, że nie możemy być zrujnowani – stwierdzi-

ła z ulgą Annie.

– Tata przyleci około piątej po południu. Nie życzył sobie, 639

żebyśmy po niego wyjeżdżali. Powiedział, że weźmie taksówkę z dworca autobusowego.

– Ależ w ten weekend wybieramy się z wizytą do Maine'ów – przypomniała sobie ze zgrozą Annie.

– Rozmawiałam z Sheilą. Pojedziecie tam jutro autobusem na jeden dzień, wróćcie w niedzielę i razem wydamy wspólną kolację pożegnalną dla taty.

– Nie mogę uwierzyć w jego przyjazd! Będzie miał okazję poznać Zacha.

– Oto powód, który skłonił ojca do pokonania tysięcy mil –

prychnęła Annie.

– Tata położy kres twojej znajomości z Hubiem i waszym szokującym występkiem – wrzasnął chłopiec, urażony atakiem na przyjaciela.

– Nie było żadnych szokujących występków – Annie za-apelowała do poczucia sprawiedliwości matki.

Ria nie wydawała się jednak zainteresowana badaniem wiarygodności zarzutów syna.

– Zastanówmy się, co zaplanujemy na dzisiejszy wieczór, aby godnie tatę powitać. Czy obwieziemy go po Westville i pokażemy mu okolicę? A może będzie wolał spędzić czas przy grillu na basenie? Jak uważacie?

– Tata stał się ostatnio bardzo wyciszony – stwierdziła w zamyśleniu Annie. – Często siedzi i nic nie robi.

Ria poczuła się niepewnie, słysząc tę informację. Niełatwo było wyobrazić sobie Danny'ego Lyncha beczynnego – człowieka, który nigdy nie mógł długo usiedzieć na jednym miejscu i kipiał energią. Co wpłynęło na zmianę, jaka się w nim dokonała? Córka była spostrzegawcza i na pewno nic sobie nie wymyśliła. A z tego, co Ria słyszała, Bernadette nie należała do osób, które starały się za wszelką cenę podtrzymać rozmowę. Wyglądało na to, że życie domowe eks-męża jest obecnie 640

bardzo spokojne i nieurozmaicone, podobnie jak jego wakacje na łodzi. I diametralnie się różni od oczekiwań energicznego i szybkiego w podejmowaniu decyzji Danny'ego Lyncha.

Ria nie dała jednak po sobie poznać, że jest zaniepokojona.

– Skoro wasz tata lubi teraz spokój... czyż decydując się na przyjazd tutaj, nie wybrał wspaniałego miejsca? A teraz już zmykam, jak mówią w sklepie, bo mnie wyleją z pracy. Do zobaczenia w porze lunchu.

Kiedy wyszła, dzieci zmierzyły się poprzez stół spojrzeniami.

– Jesteś podłym szczurem!

Brian ze zbuntowaną miną patrzył na siostrę.

– A ty paskudnym i godnym pogardy szydercą. Co złego zrobił ci Zach? Nic. A ty wiecznie się z niego wyśmiewasz. –

Buzia chłopca poczerwieniała ze złości.

- Zawrzyjmy pokój, zgoda?
- Nie ma mowy. Pokój będzie panował tylko do momentu, gdy zobaczysz Zacha. Potem znowu zaczniesz się z niego na-igrawać.
- W porządku, nie musimy się godzić. Lepiej jednak nie kłóćmy się ze sobą w obecności taty.
- Jak myślisz, po co przyjeżdża?
- Nie mam pojęcia. Nie sądzę jednak, aby powodem było coś złego – po namyśle wyraziła swoją opinię Annie.
- Chyba już nam przekazał wszystkie złe wieści. Może tym razem ma coś miłego do zakomunikowania?
- Co takiego na przykład? – zastanawiała się dziewczynka.
- Na przykład to, że się rozstał z Bernadette. – W głosie chłopca zabrzmiała nadzieja.
- Nic na to nie wskazywało – zauważyła Annie. – Wyglądali na zakochanych.
- Czy tato będzie sypiał z mamą, kiedy tutaj przyjedzie, 641
- jak sądzisz? – zapytał nagle brat.
- Nie wiem, Brianie. Błagam cię jednak na kolanach, że-byś nie pytał o to żadnego z nich.
- Za kogo mnie uważasz? – obruszył się chłopiec.
- Ria wróciła ze sklepu dla smakośzy z dwiema dużymi pa-pierowymi torbami.
- Czeka nas mnóstwo pracy. Czy mam sporządzić listę? – zapytała dzieci.
- Wymieniły znaczące spojrzenia.
- Co trzeba zrobić? – spytała Annie.
- Musimy posprzątać dom, żeby wasz tata zobaczył go w całej okazałości, oczyścić basen z liści, przygotować wspólną kolację i pościelić łóżko...
- To tato nie będzie sypiał razem z tobą, mamo? – zdziwił się Brian. Zapadło milczenie. – Przepraszam. Miałem o to nie pytać.

Danny pakował swoje rzeczy w biurze, kiedy zadzwonił

telefon.

– Rosemary Ryan? – Sekretarka pytająco uniosła w górę brwi.

– Połącz ją ze mną – polecił Danny.

– Słyszałam, że się wybierasz do Ameryki.

– Ty potrafisz usłyszeć nawet, jak rośnie trawa, skarbie.

– Nic o tym nie wspominałeś – stwierdziła cierpko – kiedy ostatnio rozmawialiśmy ze sobą. W łóżku.

– Domyślam się, że nie telefonujesz z pracy – zauważył.

– Twoje domysły są trafne. Dzwonię z telefonu w samochodzie. Jestem w pobliżu twojego biura, odwiozę cię na lotnisko.

– Nie ma potrzeby, żebyś się trudziła. Naprawdę.

642

– Jest i to pilna – oświadczyła. – Za dziesięć minut czekam na parkingu.

Wyszedł z budynku, w którym prawdopodobnie miał już nigdy więcej nie pracować. W poniedziałek firmę przejmowali nowi właściciele. Danny niósł podręczną walizkę, którą zabierał ze sobą do Westville, oraz dwie torby załadowane zawarto-

ścią biurka.

– Byłoby cudownie, gdybyś mogła u siebie przechować te rzeczy do czasu mojego powrotu. Nie musiałbym zawozić ich do domu. Nie mogę ich zostawić na Tara Road; ta jędza Marilyn Vine niechętnie wpuszcza mnie za próg.

– Właśnie ona powiadomiła mnie o twoim wyjeździe –

wyjaśniła Rosemary, manewrując pojazdem w ulicznym ruchu, gdy posuwali się wzdłuż kanału.

– Ona? – Danny nie był zadowolony.

– Tak. Spotkałam ją dzisiaj na Tara Road. Zapytała, czy słyszałam o twoich planach. Poradziłam jej, żeby zadzwoniła do Rii i sprawdziła tę informację. Odparła, że nie chce siać zamętu. To były jej własne słowa.

– Tak się wyraziła? – jęknął.

– Jak sądzisz, czy ona może coś o nas wiedzieć, Danny?

– Z pewnością ja jej o niczym nie mówiłem.

– Wiem, że nie, ale zmierzyła mnie lodowatym spojrzeniem i w rozmowie ze mną używała takich określeń, jak:

„twoja wierna przyjaciółka Ria... „, które były przepojone ciężkim sarkazmem. Czy jakieś jej wypowiedzi nie wydały ci się zastanawiające?

– Rzuciła coś w tym rodzaju: „Nie dałeś mi żadnego powodu do podejrzeń; dlaczego miałabym ci nie ufać”. W kontekście naszej rozmowy stwierdzenie to zabrzmiało nieco dziwnie. Próbuję dokładnie przypomnieć sobie jej słowa. Nie...

chyba dajemy się ponosić wyobraźni.

643

– Dlaczego zdecydowałeś się na tę podróż, Danny?

– Dobrze wiesz, dlaczego. Muszę osobiście jej o tym powiedzieć.

– Szkoda zachodu, sytuacja nie stanie się przez to lepsza dla nikogo z was.

– Dlaczego tak uważasz?

– Nawet jeśli ją zawiadomisz o utracie domu, nadal będzie wierzyć, że da się temu zapobiec. Ria nie dopuszcza do siebie niemiłych faktów. Powie: „Nie martw się, wszystko się jakoś ułoży”. Rosemary nadała głosowi dziecinne brzmienie, naśladowując sposób mówienia przyjaciółki.

Danny spojrział na nią z niesmakiem.

– Dlaczego tak bardzo gardzisz Rią? Czy spotkało cię z jej strony coś złego? Ona zawsze wyraża się o tobie pochlebnie.

– Chyba dlatego, że pozwoliła, abym tuż pod jej nosem –

uwiodła jej męża i nawet tego nie spostrzegła. To nie świadczy o wielkiej roztropności.

– Przeważnie ludzie nie muszą się mieć na baczności przed tymi, których uważają za swoich przyjaciół.

Rosemary się nie odezwała.

– Wybacz mi, zachowuję się jak hipokryta.

– Nigdy nie kochałam cię za twoją piękną duszę, Danny.

– Czeka mnie niełatwe zadanie. Bez względu na to, co o mnie sądzisz, uważam, że Ria zasługuje na to, ażeby dowiedzieć się o wszystkim bezpośrednio ode mnie.

– Czy powiedziałaś jej, po co przyjeżdżasz? – Nie.

– Zatem przypuszcza pewnie, że zamierzasz do niej wrócić

– stwierdziła Rosemary.

– Dlaczego, na Boga, miałyby tak myśleć? Wie, że nasze małżeństwo uległo rozpadowi.

– Ria tego nie rozumie. I jeszcze za dwadzieścia lat nie będzie mogła w to uwierzyć – zawyrokowała Rosemary.

644

Na lotnisku Danny spotkał Polly Callaghan.

– Uciekasz z kraju? – spytała.

– Nie, zamierzam przedstawić Rii tę smutną historię. A ty?

Opuszczasz tonący statek?

– Nie, Danny. – Jej oczy miały zimny wyraz. – Znasz mnie na tyle, że powinieneś o tym wiedzieć. Dałam Barneyowi trochę swobody, aby mógł spędzić weekend z Moną. Nie jesteś jedynym człowiekiem, którego czeka zadanie wyjawienia bliskiej osobie długiej i smutnej historii.

– Całe dzisiejsze przedpołudnie upłynęło mi na przeproszaniu różnych ludzi i wskutek zdenerwowania stałem się na-pastliwy. Wybacz mi, Polly.

– Ludzie zawsze będą ci wybaczać, Danny. Jesteś młody, czarujący i masz przed sobą całe życie. Twoje grzechy zostaną ci zapomniane i będziesz mógł zacząć wszystko od nowa.

Barney może nie mieć tyle szczęścia.

I odeszła, zanim zdołał cokolwiek powiedzieć.

Taksówka zatrzymała się przed wiatą samochodową.

Danny ogarnął wzrokiem budynek, w którym jego rodzina spędzała wakacje. Był znacznie bardziej okazały, niż się spodziewał.

Zastanawiał się, czy w normalnych okolicznościach zdo-

łałby bardziej polubić Marilyn Vine. Prawdopodobnie tak. W

końcu go zapamiętała, choć do ich przypadkowego spotkania doszło połowę życia temu. Mogli zostać

przyjaciółmi, a nawet partnerami w interesach. A teraz wchodził do jej domu. Usłyszał okrzyk Briana:

– Już jest! – Syn wybiegł mu naprzeciw, ażeby go uści-śnać. Nieopodal stał chłopiec z piłką do gry w koszykówkę, miał na głowie czapkę nałożoną daszkiem do tyłu, i uważnie

przyglądał się całej scenie; zapewne był nowym przyjacielem Briana. Szczupła i opalona Annie, w swoich różowych dżinsach, przywitała się jako następna. Uścisnęła ojca – równie gorąco jak wtedy, kiedy miała cztery lata. Danny był rad, że przynajmniej nie stracił tych dwojga.

Miał w oczach łzy, w chwili kiedy zobaczył Rię, która również wyszła mu naprzeciw. Nie biegła w jego stronę, co z pewnością zrobiłaby w dawnych czasach. Stała opanowana, wyraźnie zadowolona, że go widzi, i uśmiechała się życzliwie.

To była ta sama Ria, która nie zdawała sobie sprawy z tego, że ich małżeństwo przestało istnieć. Ria, która straciła całą godność i panowanie nad sobą w wieczór poprzedzający wyjazd do Ameryki, gdy błagała go o to, ażeby porzucił Bernadette.

Obecnie jednak stała się inną kobietą. Pewną siebie i po raz pierwszy świadomą rzeczywistego świata.

– Rio – powiedział Danny i wyciągnął do niej ramiona.

Wiedział, że dzieci bacznie ich obserwują.

Uścisnęła go w sposób, w jaki powitałaby przyjaciółkę –

nadstawiając policzek do pocałowania.

– Witamy w Westville – powiedziała.

Danny odetchnął z ulgą. Dzięki Bogu, Rosemary była w błędzie. Podczas całego lotu zastanawiał się, czy w rozmowie telefonicznej z Rią nie przekazał jej jakiejś informacji, którą mogłaby zrozumieć opacznie. Jednak nie, wiedział już, że nie upatrywała w jego przyjeździe niczego więcej, jak tylko przyjacielskiej wizyty. Co za nieszczęście, że był zmuszony zburzyć ten radosny nastrój, zawiadamiając ją o Tara Road.

Pierwszego wieczora nie znalazł okazji, ażeby o tym porozmawiać. Zbyt dużo, o wiele za dużo się działo. Kapali się w basenie, a potem wpadło z wizytą kilku sąsiadów i przyjaciół.

Danny powinien był przewidzieć, że Ria zaprzyjaźni się z

połową miasteczka. Musiał, co prawda, przyznać, że ludzie ci nie zabawili u nich długo. Poznał Carlottę, Heidi, dwóch mi-

łych homoseksualistów, którzy prowadzili w mieście wspólną firmę, oraz chłopaka wyraźnie adorującego Annie. Wszyscy twierdzili zgodnie, że przyszli jedynie na moment, ażeby przywitać się z

ojcem Briana i Annie. Danny odnotował z ulgą, iż nie został przedstawiony jako obecny mąż Rii. A kiedy po poczęstunku, składającym się z lampki wina i wędzonego łoś-sosia, goście rozeszli się do domów, Lynchowie urządzili sobie w rodzinnym gronie grill obok basenu.

Danny dowiedział się, iż dzieci mają jutro pojechać do Maine'ów. Ria musiała przewidzieć, że zamierzał porozmawiać z nią na osobności i dlatego postanowiła wysłać je autobusem do znajomych. Spojrzał na nią z podziwem. Radziła sobie zdumiewająco dobrze; jej postawa przerosła najśmielsze oczekiwania Danny'ego. Musiał teraz tylko przedstawić Rii realistyczną wizję bardzo niewesołej przyszłości finansowej i zaproponować rozwiązania, które pozwolą jej uwierzyć, że świat nie runął im nagle na głowę.

– Choć u nas zbliża się dopiero jedenasta, dla waszego taty jest już czwarta w nocy. Myślę, że powinniśmy mu pozwolić położyć się spać – oświadczyła Ria i wszyscy odnieśli naczynia do domu.

– Dziękuję, że ułatwiłaś mi spotkanie z wami, Rio – powiedział Danny, kiedy zaprowadziła go do pokoju gościnnego.

– To nie było trudne – odrzekła z uśmiechem. – Zawsze cieszyłam się na twój widok, dlatego teraz, w tym uroczym miejscu, miałoby być inaczej?

– Czy przyjazd tutaj okazał się dla ciebie pożyteczny?

– Och, tak, i to bardzo. – Pocałowała go w policzek. – Do zobaczenia rano – powiedziała i odeszła. Po minucie już spał.

Ria spędziła prawie całą noc w fotelu, zapatrzona w ogród.

647

Dostrzegła wiewiórkę ziemną, która przebiegła przez trawnik.

To zdumiewające, że przed przyjazdem do Ameryki nigdy nie widziała tego stworzenia. Również na drzewach żyły wiewiór-ki, a Carlotta miała nawet szopa w ogrodzie – zwierzątko o uroczym pyszczku – którego starała się nie karmić, ponieważ nie powinno się go oswajać. Brian zamierzał przeszmuglować wiewiórkę ziemną do Irlandii i otworzyć w Dublinie sklep zoologiczny z tym gatunkiem zwierząt.

– Musisz mieć parę, jeśli chcesz założyć hodowlę – zauważyła Annie. – Nawet ty powinieneś już o tym wiedzieć.

– Zamierzam zabrać wiewiórkę w ciąży – oznajmił chłopiec.

Ria starała się skupić myśli raczej na tego rodzaju sprawach niż na mężczyźnie, który spał w sąsiednim pokoju. Kilka razy podczas ubiegłego wieczora musiała się otrząsnąć i przypomnieć sobie wydarzenia minionych kilku miesięcy. Kiedy przebywali ze sobą w czwórce, sprawiali wrażenie normalnej, szczęśliwej rodziny. I wydawało się niemal niemożliwe, że Danny ją opuścił.

Z pewnością uzmysłowił sobie, iż zostawiając ich, popełnił

straszną pomyłkę. I to był jedyny powód jego przyjazdu tutaj. Ria zastanawiała się tylko, dlaczego o tym wprost nie powiedział i nie poprosił, by mu przebaczyła i przyjęła z powrotem do domu. Ale podziękował już za ułatwienie powitania.

Musiała nadal zachowywać się powściągliwie. Nie mogła pozwolić sobie na to, ażeby rzucić mu się w ramiona z zapewnieniem, że minione sprawy zupełnie się nie liczą. Był to rodzaj gry, której zasad należało przestrzegać. Danny wracał do niej i tym razem zamierzała zatrzymać go przy sobie.

Mona McCarthy wysłuchiwała całej historii, nie przerywając.

Przez cały czas, kiedy mąż zapoznawał ją z faktami, twarz jej

pozostała kamienna.

– Powiedz coś, Mono – poprosił w końcu. Nieznacznie wzruszyła ramionami.

– A co tu jest do powiedzenia, Barney? Przykro mi, to wszystko. Działaleś z tak wielkim zaangażowaniem, więc szkoda, że nie będziesz mógł odpocząć, ciesząc się efektami swojej pracy.

– Nie należę do osób, które potrafią siedzieć beczynnym.

Nie zapytałaś nawet, jak bardzo źle stoją nasze sprawy.

– Na pewno sam mi powiesz.

– Dobrze, że przynajmniej ta posiadłość jest zapisana na ciebie.

– Przecież i tak nie będziemy jej mogli zatrzymać.

– To jedyne, co mamy, Mono.

– Spodziewasz się, że w sytuacji, kiedy ci wszyscy ludzie zostaną bez pracy, twoi dostawcy nie otrzymają należnej im zapłaty, a Ria Lynch straci swój dom, ja będę nadal mieszkała w tej rezydencji?

– Nie jest aż tak źle.

– A zatem jak?

Nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie.

– Przykro mi, Mono.

– Nie mam nic przeciwko ubóstwu; kiedyś już byliśmy biedni. Ale przynajmniej nie będę nieuczciwa.

– To interesy, nie znasz się na nich. Nie jesteś kobietą biznesu.

– Zdziwisz się – odpowiedziała żona. – I to bardzo.

Wczesnym rankiem nazajutrz Ria zaniósła Danny’emu do pokoju filiżankę kawy.

– Zwykle pływamy przed śniadaniem. Przyłączysz się do nas?

– Nie zabrałem ze sobą kąpielówek.

649

– To niedobrze. Gdybyś, podobnie jak ja, sporządził przed wyjazdem listę... – zadrwiła z siebie. – Znajdę coś odpowiedniego dla ciebie w pokoju Dale’a.

– Dale’a?

– Syna Vine’ów.

– Nie weźmie ci tego za złe?

– On nie żyje. – Ria wyszła. Znalazła parę szortów kąpielowych.

– Nie żyje? – spytał Danny.

– Zginął w wypadku. To dlatego Marilyn pragnęła się stąd wyrwać.

– Sądziłem, że jej małżeństwo się rozpadło.

– Nie, ich związek jest bardzo udany.

– Czyż mąż Marilyn nie wyjechał na Hawaje? To nie wygląda na udany związek.

– Przypuszczam, że jest właśnie w drodze do Irlandii –

odrzekła Ria.

– Nie możesz zostać dłużej, tato? – spytał Brian.

– Niestety nie. W poniedziałek wieczorem muszę wracać, ale spędzę tutaj całe trzy dni – powiedział Danny, gdy wyszli z basenu, aby zająć się omletami, jakie Ria usmażyła dla nich na śniadanie.

– Co jest prawdziwym powodem twojego przyjazdu? –

spytał syn.

– Chęć zobaczenia się z wami wszystkimi, już wam o tym mówiłem.

– Odbyłeś długą podróż – zauważył chłopiec w zamyśleniu.

- To prawda, ale jesteście tego warci.
- Mama powiedziała, że twój przyjazd wiąże się ze sprawami zawodowymi.
- W pewnym sensie tak.

650

- Kiedy się nimi zajmiesz?
- Och, będą załatwione, nie martw się. – Danny z czułością potargał synowi włosy.
- Kim chcesz, żebyś został, kiedy dorosnę, tato?
- Zaakceptuję każdy twój wybór. A kim ty chcesz zostać?
- Szczerze mówiąc, jeszcze nie wiem. Mama uważa, że powinienem zostać dziennikarzem albo prawnikiem, ponieważ mam dociekliwy umysł. Annie twierdzi, że powinienem być krupierem w kasynie. Czy chciałbyś, żebyś został agentem handlu nieruchomościami i pracował razem z tobą w twoim biurze?
- Raczej nie, Brianie. Jestem zdania, że ludzie powinni sami wybierać sobie zawód i podążać za własnym przeznaczeniem.
- A jakiej przyszłości chcieli dla ciebie twoi rodzice, tato?
- Łudzili się, jak sądzę, że poślubię córkę jakichś bogatych rolników i w ten sposób wejdę w posiadanie gruntów uprawnych.
- Cieszę się, że tego nie zrobiłeś. Przypuśćmy jednak, że chciałbym zostać agentem handlu nieruchomościami, byłoby to możliwe, prawda? W ten sposób mógłbym widywać się z tobą codziennie w biurze, nawet gdybyś już razem z nami nie mieszkał.
- Oczywiście, Brianie. Byłbym szczęśliwy, mogąc cię codziennie widywać. Nie martw się, coś wspólnie wymyślimy.
- Czy kiedy Bernadette urodzi dziecko, nadal będziesz miał dla nas czas? – Na buzi chłopca pojawił się niepokój.

Danny nie mógł znaleźć właściwych słów i mocno ścisnął

syna za ramiona. A kiedy się odezwał, jego głos wydawał się stłumiony.

- Zawsze będę miał czas dla ciebie i dla Annie, Brianie.

Wierz mi. Zawsze.

651

– Wiedziałem o tym, tato. Chciałem się tylko upewnić –

odpowiedział chłopiec.

Zabrali Danny'ego na przejażdżkę, aby pokazać mu wszystkie interesujące miejsca w Westville i zakończyli wycieczkę w barze przy dworcu. Annie i Brian mieli stamtąd rozpocząć podróż autobusową do miejscowości, w której mieszkali Maine'owie.

Zach i Hubie zjawili się tam również, ażeby pożegnać się z dziećmi.

– Będzie tutaj straszliwie nudno po twoim wyjeździe –

stwierdził Zach.

– Z Kelly też nie będzie ciekawie; wiesz, jak beznadziejne są dziewczyny – odpowiedział Brian, a jego kolega ze współ-

czuciem pokiwał głową.

– Jeśli ten Sean Maine bodaj cię dotknie, natychmiast się o tym dowiem i zjawię się tam bez zwłoki...

– zapowiedział Hubie.

– Czy możesz nie pleść głupstw? Moi rodzice cię słuchają

– syknęła Annie.

Danny i Ria wsiedli do samochodu i wrócili na Tudor Drive.

– Miałaś rację, sprowadzając tutaj dzieci. Zorganizowałaś im wspaniałe wakacje.

– Przecież to ty zapłaciłaś za ich bilety.

Umiała docenić to, co dla nich zrobił. Na swojej liście zanotowała: „Staraj się ułatwiać mu rozmowę. Bądź raczej chłodna i opanowana niż pełna zapału. Nie dawaj mu do zrozumienia, że jest łajdakiem. Nie bądź zbyt wylewna. Nie mów, że byłaś pewna jego powrotu. Nie planuj przyszłości dla Bernadette; pozostaw ten problem jemu”. Ria uśmiechnęła się do 652

siebie. Co z tego, że wszyscy kpili z jej zwyczaju robienia list; były bardzo pożyteczne.

– Czujesz się tutaj szczęśliwa?

– Jest mi dobrze – przyznała.

– Co tam jest? – spytał, wskazując na skupisko drzew w oddali.

– To Park Pamięci. Piękne miejsce.

– Może pójdziemy tam, pospacerujemy trochę i posiedzi-my na ławce?

– Oczywiście, ale czy nie wolałbyś wrócić do domu?

Ogród przy Tudor Drive również jest wspaniały.

– Wolałbym dokądś pójść... sam nie wiem... gdzieś, gdzie będziemy mieli trochę odosobnienia.

– W porządku, Park Pamięci jest odpowiednim miejscem.

Po drugiej stronie znajduje się parking.

Spacerowali, odczytując nazwiska mieszkańców Westville, którzy zginęli podczas dwóch wojen światowych, a także w Korei i Wietnamie.

– Jak straszliwie bezsensowna jest wojna – odezwała się Ria. – Spójrz, ten chłopiec był zaledwie o cztery lata starszy od Annie.

– To prawda. Mógłby być teraz jednym z tych staruszków, którzy grają tutaj w szachy, a nie nazwiskiem wyrytym na kamiennym cokole – przyznał Danny.

Pragnęła go dotknąć, pamiętała jednak o radach, jakich udzieliła samej sobie. Kiedy usiedli na drewnianej ławce, Danny zamknął rękę Rii w swojej dłoni.

– Prawdopodobnie domyślasz się, co ci muszę powiedzieć.

Zaniepokoiła się trochę, ale tylko trochę.

Z pewnością powie jej to, co chce jej zakomunikować, a nie musi. Być może tylko użył niewłaściwego słowa.

– Słucham cię, Danny.

653

– Jestem pełen podziwu dla ciebie, naprawdę... Tym bardziej jest mi przykro, że muszę ci przekazać złe wieści. Nie potrafię wyrazić, jak bardzo. Przyleciałem z daleka, żeby zrobić to osobiście. Mam nadzieję, że to docenisz.

Czuła, jak w jej gardle, pod jedwabnym szalikiem o weso-

łych barwach, który z taką radością zawiązała rano na szyi, formuje się olbrzymia kula.

– A więc? – powiedziała, nie ufając sobie na tyle, ażeby dodać coś jeszcze.

– To bardzo zła nowina, Rio.

– Nie może być aż tak zła. – Ria zrozumiała nagle, że Danny nie zamierza do niej wrócić. Jej lista okazała się zby-teczna. Nie o to mu chodziło. I nie miało znaczenia, jak się zachowa: czy będzie spokojna i opanowana, czy też okaże nadmierny entuzjazm; on do niej nie wróci. Usłyszała własne słowa: – Już znam najstraszniejszą nowinę, Danny. Nie możesz mieć dla mnie gorszych wieści. Co jeszcze złego mogłoby mnie spotkać?

– Mylisz się, niestety.

I powiedział Rii, kiedy siedzieli na drewnianej ławce w Parku Pamięci, w Westville, że stracili dom. Nieruchomość stanowiła część aktywów Barneya McCarthy’ego i niebawem miała przejść w ręce wierzycieli.

– Dzisiaj wieczorem odbywa się przyjęcie, na które mo-

żemy się wybrać – Sean powiadomił o tym Annie w chwili, kiedy rodzeństwo dotarło na miejsce.

– Czy musimy zabierać ze sobą Briana i Kelly?

– Wykluczone. Mama wypożyczyła dla nich film na wideo.

– Nie mam odpowiedniego ubrania na przyjęcie – stwierdziła ze smutkiem dziewczyna.

654

– I tak wyglądasz wspaniale. – Podziw w oczach Seana był

szczery.

Kitty z pewnością by w to nie uwierzyła. Szkoda, że przyjaciółki tutaj nie było i nie mogła oglądać jej tryumfu! Annie pomyślała jednak z dezaprobatą, że Kitty na tym etapie znajomości ściągnęłyby już przed Seanem dzinsy. W przypadku Annie tego rodzaju scenariusz nie wchodził w rachubę; od samego początku jasno stawiała sprawę. Hubie uznał, że to nie w porządku, aby marnowała się dziewczyna o tak efektownym wyglądzie. Stwierdził, że sytuacja jest podobna do zabierania ze stołu wybornych dań, zanim ktokolwiek zdołał ich skoszto-wać. Wszystko to było bardzo skomplikowane.

– Hilary, o co chodzi? O czym chcesz mi powiedzieć?

– Skąd wiesz, że chcę ci o czymś powiedzieć, mammo? –

zdziwiła się córka.

– Zachowujesz się niczym Kleszcz. On też chodzi w kółko, kiedy próbuje dać mi do zrozumienia, że chce wyjść na spacer.

Ty robisz to samo.

– To jeszcze nic pewnego, mammo.

- No, mów wreszcie!
- Nie rozpoczynałabym rozmowy z tobą, gdyby Ria była na miejscu. Najpierw zasięgnęłabym jej opinii w tej sprawie...
- Czy muszę użyć siły, ażeby w końcu wydusić z ciebie to, co masz mi do zakomunikowania, Hilary?
- Oboje z Martinem zastanawialiśmy się, czy będziesz przeciwna naszej przeprowadzce na wieś?
- Na wieś?
- Wiedziałam, że będziesz niezadowolona. Martin miał przeciwnie zdanie.
- Na jaką wieś? – Nora Johnson była ogłuszona tą nowiną.
- Do rodzinnego domu Martina. Żaden z jego braci nie 655
- chce tam mieszkać, budynek jest w opłakanym stanie, w tamtejszej szkole zwolnił się etat nauczyciela, a ja również mogłabym podjąć tam pracę.
- Zamieszkacie na stałe na zachodzie kraju? – Dla Nory Johnson, rodowitej mieszkanki Dublina, wieś zawsze była jedynie miejscem wakacyjnego odpoczynku.
- Jeżeli się nie pogniewasz, mam, powzięliśmy taki zamiar.
- Nie ma się o co gniewać. Ale Hilary, dziecko, co cię napadło, żeby się tam przenieść? – Powinna była to przewidzieć.
- Życie jest tam o wiele tańsze, mam. Przekalkulowaliśmy to dokładnie. Koszty utrzymania są znacznie niższe, mniej zużywa się benzyny, ponieważ wszystko jest na miejscu, no i oczywiście dzięki sprzedaży naszego domu będziemy mogli zgromadzić mały kapitał.
- I co zrobicie z tym kapitałem?
- Odłożymy go jako formę zabezpieczenia na starość.
- Możliwość dysponowania nim będzie dla nas wielką pociechą.
- Nora skinęła głową. Dla Martina i Hilary mogła to być jedyna pociecha.
- W jaki sposób wpadliście na ten pomysł?
- Kiedy byliśmy tam ostatnio, rozejrzałam się wokół, i stwierdziłam, że dom jest otoczony drzewami – wyjaśniła córka. – I zrozumiałam, że to odpowiednie dla nas miejsce do życia.

– Uprawiasz seks z klientami? – wrzasnął Jack do Gertie.

– Przestań, Jack! – Szamotała się, próbując wyswobodzić się z jego uścisku. – O czym ty mówisz?

– Jesteś moją kobietą i nie pozwolę, żebyś się puszczała jak dziwka, aby mieć pół szylinga w torebce.

– Puść mnie, błagam cię. To boli, Jack.

– Gdzie to robisz? Przy ścianie?

656

– To absurd.

Teraz była już przerażona nie na żarty. Od dawna nie widziała go w takim stanie. Wiedziała, że Ria wybiera się w ten weekend do Maine'ów. Jakże inną historię miała im opowiedzieć! Gdyby Sheila mogła teraz zobaczyć siostrę...

– Wiesz, że i tak odkryję prawdę!

– Nie ma nic do odkrywania, Jack.

– Dlaczego w takim razie wczoraj wieczorem odesłałaś dzieci do matki? Odpowiedz mi.

– Ponieważ zauważyłam, że... niezbyt dobrze się czujesz.

Nie chciałam, aby coś zakłóciło ich spokój.

– Nie chciałaś, aby słyszały, jak ich matka robi to za pół

szylinga z pierwszym lepszym facetem! – Uderzył ją.

– Jack!

– Jestem normalnym mężczyzną, a właśnie takie odczucia każdy normalny mężczyzna miałby wobec swojej żony, która nie potrafi wytłumaczyć, skąd się wzięły w jej torebce dziesię-

ciofuntowe banknoty.

– Zarobiłam je, szorując podłogi, Jack.

– Gdzie? U kogo to robiłaś?

– W domu należącym do Rii, w którym obecnie mieszka Marilyn Vine, a czasami u Polly Callaghan i u Francis Sullivan...

Roześmiał się szyderczo.

- Chyba nie spodziewasz się, że w to uwierzę? Gertie szlochała z głową ukrytą w dłoniach.
- Skoro mi nie wierzysz, lepiej od razu mnie zabij, ponieważ nie ma sensu ciągnąć tego dłużej – powiedziała przez łzy.
- Nigdy przedtem nie miałem prawdziwej dziewczyny –

wyznał Annie Sean.

Siedzieli pod oknem. W pokoju odbywały się tańce, a w ogrodzie trwały przygotowania do pieczenia mięsa na rożnie.

657

Sean dumnie, niemal opiekuńczo, obejmował ramieniem dziewczynę. Annie uśmiechnęła się do niego. Nie zamierzała robić nadziei, że pozwoli mu posunąć się dalej w amorach.

- Takie już moje szczęście, że dziewczyna, która mi się podoba, niebawem wróci do Irlandii.
- Będziemy ze sobą korespondować – zaproponowała.
- Może będę mógł zamieszkać u ciotki Gertie i wuja Jacka w Irlandii i chodzić tam do szkoły, żeby być bliżej ciebie? –

zasugerował.

- Może – odpowiedziała z powątpiewaniem.
- Nie chciałybyś tego?
- Ależ chciałabym, tylko że... – Nie wiedziała, jak dokoń-

czyć zdanie. Matka prosiła, żeby nie opowiadała o szczegółach z życia Gertie; nie było potrzeby, aby ktokolwiek tutaj o czymś wiedział. Annie wyczuwała, że zachowanie w tej sprawie dyskrecji ma doniosłe znaczenie. – Twoja ciotka jest bardzo zapracowana – użyła nieprzekonywającego argumentu.

- Pomimo to chyba znajdzie w swoim domu miejsce dla bliskiego krewnego. – Sean był niezachwiany w swojej wierze.
- Oczywiście.
- Czy bardzo się zdziwiłaś, że wasz tata do was wrócił?
- Nie jestem pewna, czy wrócił.
- Ale Brian powiedział...

– Och, Sean, cóż on może wiedzieć? Tata wydał mi się bardzo smutny. A w kraju sprawiał wrażenie, że jest bardzo zadurzony w Bernadette. Nie wyobrażam sobie, aby mógł ją rzucić, I to w sytuacji, kiedy ona spodziewa się dziecka.

– A jednak teraz jest razem z twoją mamą w Westville.

Więc chyba nie może być źle pomiędzy nimi?

– Rzeczywiście – zgodziła się Annie. – Chyba nie może.

Cienie drzew w Parku Pamięci wydłużyły się, a Ria i 658

Danny nadal siedzieli na drewnianej ławce. Trzymali się za ręce – nie tak, jak zwykli to robić, kiedy byli młodzi. Nawet nie tak jak przyjaciele, lecz jak rozbitkowie na tonącym okrę-

cie, którzy lgną do siebie i nie chcą się rozłączyć ze strachu, że zostaną całkiem sami. Chwilami siedzieli w całkowitym milczeniu, a czasami Ria zadawała bezdźwięcznym głosem pytania, na które Danny odpowiadał. Ani razu nie nazwał jej

„skarbem”, nie robił fałszywych nadziei i nie wygłaszał gładkich zapewnień, że wszystko się dobrze ułoży.

– Dlaczego przyjechałeś do Ameryki? – spytała. – Nie mogłeś poczekać z powiadomieniem mnie o tym wszystkim do czasu naszego powrotu?

– Nie chciałem, żebyś dowiedziała się od obcych ludzi.

Wciąż trzymali się za ręce i Ria, jak gdyby w podziękowaniu, uścisnęła jego dłoń. Nie obwiniali się o nic nawzajem. Oboje wiedzieli, że udzielili osobistych gwarancji, zaciągając po-

życzkę pod zastaw hipoteczny domu. I żadne z nich nie przypuszczało, że kiedyś bank wystąpi z nakazem przejęcia nieruchomości.

– Czy Barney bardzo nam współczuł z powodu utraty Tara Road? – spytała Ria.

Danny starał się być szczery.

– Prawdę mówiąc, jest zaszokowany własną sytuacją, a problem Tara Road stanowi tylko część jego zmartwienia.

– Skoro cię tutaj przysłał, chyba musiał się trochę przejąć naszym położeniem?

– To ja nalegałem na przyjazd do ciebie.

– A co na to Mona?

– Barney twierdzi, że nic nie powiedziała.

- Przecież musiała jakoś zareagować.
- Jeśli nawet tak było, nie przyznał się do tego przede mną.
- To był zupełnie inny Danny – niepewny niczego i nikogo.

659

Nawet wielki Barney McCarthy przestał być najważniejszym punktem odniesienia w jego życiu.

Prowadzili luźną rozmowę o dalszych planach Danny'ego.

Były inne agencje handlu nieruchomościami, gdzie mógłby znaleźć posadę. Musiał jednak zaczynać od najniższego szczebla kariery zawodowej.

- A co z Polly?
- Zrezygnowała z mieszkania i podjęła pracę zarobkową.

Barney powiedział o niej, że jest porządnym człowiekiem, na którym można polegać. Nie pamiętam dokładnie sformułowania, jakiego użył.

Ria skinęła głową.

- Tak, w jej przypadku każde z nich jest trafne.
- Kolejna bolesna sprawa to problem pracowników – stwierdził Danny.
- Kto ich zawiadomił?
- Tak się złożyło, że ja.
- Miałeś wiele przykrych wieści do zakomunikowania.
- No cóż, razem z tym zespołem odnosiłem sukcesy i wspólnie przeżyliśmy wiele dobrych chwil.
- Wiem. My oboje również doświadczyliśmy wiele dobrego. Cisza, jaka zapadła, nie była niezręczna ani przepełniona niepokojem. Oboje sprawiali wrażenie, że starają się ogarnąć rozumem zaistniałą sytuację.
- A co na to wszystko Bernadette?
- O niczym nie wie.
- Danny!

– Naprawdę nie wie. Powiem jej zaraz po powrocie.

Przyjmie to ze spokojem. Jej matka nie, ale ona będzie opanowana.

Powiew wiatru zerwał spod ich stóp garść liści i płatki kwiatów.

660

– Wracajmy do domu, Danny.

– Dziękuję ci.

– Za co?

– Za to, że na mnie nie krzyczałaś. Musiałem ci przekazać najgorszą wiadomość ze wszystkich możliwych.

– Och, nie.

– Nie rozumiem.

– Poprzednia wiadomość była znacznie gorsza.

Danny się nie odezwał. Przeszli razem przez Park Pamięci i wrócili do samochodu Marilyn Vine.

Colm Barry zajrzał na Tara Road pod numer szesnasty.

– Naprawdę zajmowałaś się wyciąganiem ludzi z narkotyków?

– Tak, oczywiście.

– I możesz jej pomóc?

– Nie wiem, czy mi się uda. Najpierw sama Caroline musi stwierdzić, że tego chce, dopiero wtedy ja mogę się na coś przydać.

– Nie można zaciągnąć jej tam siłą? – Colm wydawał się bardzo zgnębiony.

– Czy macie gdzieś tutaj tego rodzaju ośrodek? Skinął

twierdząco głową.

– Tak i jest bardzo dobry. Ale co z tego?

– Możesz tam pójść, przejrzeć program, poznać ludzi i opowiedzieć jej o tym.

– Zatka sobie uszy.

- Nie kocha męża, prawda?
- Nie, ale kocha to, czego on jej dostarcza. Monto sprzedaje ostatnio narkotyki w mojej restauracji.
- Chyba nie mówisz tego poważnie?
- Jestem pewien, że robił to wczorajszego wieczora.

661

- Nie możesz się na to godzić, Colmie. Przez niego zamkną twoją restaurację i co wtedy poczniecie oboje, ty i Caroline?
- A co mogę zrobić? Jeśli go wydam, ją zniszczę również.
- Ciebie i Caroline wiele łączy i wiele razem przeszliście, więc chyba możecie ze sobą porozmawiać? Powiedz jej, że grozi ci utrata lokalu i błagaj, by spróbowała poddać się kuracji w ośrodku odwykowym. Przekaż jej, że jeśli będzie chciała, pójdę tam razem z nią i będę jej towarzyszyć podczas badań.

Kiedy wyszedł, Marilyn przejrzała się w lustrze. Jej włosy były nadal kasztanowe, choć trochę urosły od czasu przybycia do Irlandii, w oczach zaś wciąż malował się wyraz czujności i miała mocno zarysowaną linię szczęki, świadczącą o zdecydowaniu. A jednak wewnątrz była zupełnie inną kobietą. Jak to możliwe, że tak bardzo się zmieniła w ciągu tych kilku krótkich tygodni? I zaczęła nagle angażować się w sprawy zupełnie obcych ludzi, starając się nadać inny bieg ich życiu? Greg nigdy by w to nie uwierzył.

Greg. Postanowiła zatelefonować do niego, lecz ku swojemu zdziwieniu usłyszała, że wziął kilka dni wolnego. To było niepodobne do jej męża. Zadzwoiła pod numer prywatny.

Automatyczna sekretarka przekazała wiadomość, że będzie nieobecny przez tydzień.

Po raz pierwszy od czasu, kiedy byli małżeństwem, nie zawiadomił jej, dokąd się wybiera ani co zamierza robić.

Nagle Marilyn poczuła się naprawdę bardzo samotna.

Kiedy wrócili na Tudor Drive, Ria zaproponowała herbatę.

- Nie, Rio, usiądź i porozmawiaj ze mną... tylko nie zacznij się gorączkowo krzątać, jak zazwyczaj robisz to w domu.
- Czy tak zachowywałam się na Tara Road? – Czula się urażona i poirytowana.

662

- Ilekroć po powrocie z pracy chciałem z tobą porozmawiać, zawsze coś znajdowało się w

piekarniku, coś kipiało na kuchni, coś trzeba było wyjąć z zamrażarki, a w dodatku nieustannie ktoś wchodził i wychodził.

– Jedyne rodzina; nasze dzieci, o ile sobie przypominam.

– A także pół sąsiedztwa. Nigdy nie miałaś czasu na rozmowę ze mną.

– Czy byłeś przeciwny częstym wizytom gości?

– Miały, jak sądzę, ukryć to, czego brakowało w naszym związku – stwierdził ze smutkiem.

– Naprawdę tak uważasz?

– Tak, naprawdę.

– No cóż, wobec tego nie zrobię herbaty, tylko usiądę i będę z tobą rozmawiać.

To również go nie zadowoliło.

– Czuję się teraz podle. Chodź, razem zaparzymy herbatę.

– To ty zaparz. Ja posiedzę tutaj.

Nastawił wodę i wyjął herbatę w torebkach. Może powinna była częściej pozwalać mu robić tego rodzaju rzeczy?

– Ktoś nagrał dla ciebie wiadomość – zauważył.

– Czy możesz ją odebrać, Danny? – Dawna Ria zerwałaby się na równe nogi z ołówkiem i kartką w ręce.

– Mówi Hubie Green, pani Lynch. Nie wziąłem numeru telefonicznego od Annie, a pomyślałem, że byłoby jej miło, gdybym do niej zadzwonił podczas weekendu. Nadałem do pani e-mail w tej sprawie, przypuszczam jednak, że teraz, kiedy tak dużo się dzieje, nie ma pani czasu na sprawdzanie poczty elektronicznej. Proszę przekazać ode mnie pozdrowienia panu Lynchowi.

– Zamierzasz do niego zadzwonić? – zapytał Danny.

– Nie. Gdyby Annie chciała, żeby miał ten numer, sama by mu go dała – odrzekła Ria.

663

Danny spojrzał na nią z uznaniem.

– Masz rację. Czy zajrzemy do twojej skrzynki w Internecie i sprawdzimy, czy nie ma innych wiadomości?

– Myślałam, że chcesz porozmawiać. I kto kogo teraz zbywa?

– Mamy dla siebie cały wieczór i całą noc.

Dawna Ria zaczęła się denerwować, co zjedzą na kolację, a także tym, czy powinna zaproponować posiłek o wcze-

śniejszej czy lepiej o późniejszej porze. Obecnie wzruszyła tylko ramionami.

– Zgoda. Przejdźmy do gabinetu Grega. Zobaczysz, jaka jestem dobra w obsłudze komputera.

Wprawnie otworzyła swoją skrzynkę pocztową i stwierdziła, że są w niej trzy wiadomości. Jedna została nadana przez Hubiego, druga pochodziła z biura Danny’ego, a nadawcą trzeciej była Rosemary Ryan.

– Chcesz dowiedzieć się, co przysłali z biura? – spytała.

– Nie. Mógłbym się tylko jeszcze bardziej zdenerwować.

– No cóż, może w takim razie sprawdzimy, co pisze Rosemary.

– Ma dla nas kolejne złe wiadomości, to pewne – zawyrokował Danny.

– Ona wie? Rosemary wie? – Ria była zaskoczona.

– Kiedy ją wczoraj spotkałem tuż przed odlotem, już o wszystkim wiedziała. Ma własne źródła informacyjne. Odwiozła mnie na lotnisko.

Ria wyświetliła na ekranie list od przyjaciółki. Kilkakrotnie zapoznała się z jego treścią, jak gdyby próbowała czytać pomiędzy wierszami. Nie chciała niepotrzebnie rozbudzać w nich obojgu nadziei.

Rio, Danny, powinniście zdobyć dzisiejsze wydanie „Irish 664

Times”. Znajduje się tam wzmianka o Barneyu, która was za-interesuje. Być może nie wszystko stracone! Życzę miłego pobytu w Nowej Anglii.

– Twierdzi, że powinniśmy zajrzeć do gazety „Irish Times” i przeczytać kolumnę z plotkami ze świata biznesu – powiedziała w końcu.

– Potrafisz to zrobić? – spytał. Nowe umiejętności byłej żony wywarły na nim wrażenie.

– Tak, musisz tylko chwilę poczekać.

Po chwili znaleźli się w sieci i Ria odszukała właściwą stronę. Zdaniem autorki notatki umieszczonej w gazecie krą-

żące po mieście plotki o finansowej śmierci Barneya McCarthy’ego mogły okazać się, niczym w przypadku Marka Twaina, nieco przedczesne. Otóż znalazł się fundusz interwencyjny, który nie należał do kapitału firmy. I sytuacja nie wyglądała tak tragicznie, jak sądzono. Kiedy Ria o tym

czytała, jej głos stawał się z każdą chwilą coraz bardziej rzeźki.

– Danny, to chyba czary? – Tak.

– Dlaczego się nie cieszysz?

– Gdyby rzeczywiście był jakiś ratunek, Barney skontaktowałby się ze mną. Zna tutejszy numer. Moim zdaniem to tylko efekt jego zabiegów w mediach.

– Sprawdźmy wiadomość z twojego biura. Być może to on nadał e-mail.

– Wątpię, ale sprawdźmy.

Pan Danny Lynch jest proszony o pilny kontakt telefoniczny z Finolą Dunne.

– A nie mówiłem, że nie należy spodziewać się niczego dobrego?

– Chcesz do niej zadzwonić?

665

– Nie. Po powrocie zdążę się nasłuchać o mojej nieodpowiedzialności.

– Obawiam się, że podobne kazanie usłyszysz również od mojej mamy – powiedziała ponuro Ria.

– Nie, muszę oddać sprawiedliwość starej, poczciwej Holly, że obarcza za wszystko winą „tego cudzołożnika”, jak nazywa Barneya. Choć trudno przewidzieć, komu obecnie nada takie miano.

Wrócili do kuchni i wzięli swoje kubki z herbatą. W ogrodzie zapaliły się światła, rozjaśniając teren wokół domu. Ria usiadła i czekała cierpliwie. Powstrzymywanie się od mówienia niemal sprawiało jej ból. Miała ochotę dodać Danny’emu otuchy, powołując się na wzmiankę w gazecie, i zachęcić go, by zatelefonował do Barneya i Mony. Postanowiła jednak nic nie robić, tylko czekać. Prawdopodobnie właśnie tak powinna była postępować w przeszłości.

W końcu się odezwał:

– Co cię najbardziej smuci?

Nie mogła się przyznać, że największy smutek odczuła w momencie, kiedy pozbawił ją złudzeń dotyczących ewentualnego powrotu do domu. Tego rodzaju stwierdzenie zniweczy-

łoby jednak szansę na ponowne podjęcie sensownej rozmowy.

Gorączkowo zastanawiała się nad tym, co zajmuje drugą pozycję na jej liście najbardziej dotkliwych życiowych porażek.

– Jestem smutna, dlatego że rozwiały się twoje nadzieje i marzenia. Chciałeś zapewnić dzieciom i

nam wszystkim jak najlepsze warunki do życia, które odtąd będzie inaczej wyglądało.

– Czy razem powiemy im o tym jutro? – spytał.

– Myślę, że tak. Zastanawiałam się, czy nie oszczędzić im tej wiadomości do końca wakacji, aby wypoczywali w spokoju. Doszłam jednak do wniosku, że byłoby to równoznaczne z 666 okłamywaniem ich.

– Nie chciałem zostawiać tej sprawy wyłącznie na twoich barkach. Znając ciebie, starałabyś się wybielić mnie przed dziećmi – powiedział.

– Nie byłoby takiej potrzeby. Wszystko, co zrobiłeś, zrobiłeś dla nas – odrzekła ze spokojem. Danny wydawał się bardzo nieszczęśliwy i postanowiła za wszelką cenę go rozweselić: – Racja. Już jutro będą w domu. Spróbujmy odgadnąć, jaką straszliwą gafę palnie Brian. – Zmusił się do uśmiechu, a Ria z determinacją ciągnęła dalej: – Przypuszczam, że to, z czym się wyrwie, przekroczy nasze najśmielsze oczekiwania.

– Biedny Brian, robi to zupełnie nieświadomie – stwierdził

Danny.

Ria spojrzała na niego ze spokojem, jakiego od dawna nie odczuwała. Naprawdę kochał swoją rodzinę. To był Danny, który niczego nie ukrywał. Dlaczego nie miała pojęcia, jak mu pomóc i poprawić nastrój? Wiedziała tylko, czego nie robić.

Niemal wszystkie rozwiązania, jakie podsuwała jej intuicja jako właściwe, mogły go tylko zirytować.

Łzy popłynęły jej po twarzy i zaczęły kapać na stół. Nie podniosła ręki i nie próbowała ich wytrzeć, łudząc się, że w mrocznym świetle zapadającego zmierzchu Danny ich nie spostrzeże. On jednak podszedł, delikatnie wyjął z jej dłoni kubek z herbatą i postawił go na stole, a potem podciągnął ją w górę z krzesła i mocno objął, głaszcząc po włosach.

– Biedna, kochana Ria – powiedział. Kiedy przyłgnęła do niego mocno, czuła bicie jego serca. – Nie płacz, Rio. – Sca-

łowywał z jej policzków łzy, ich miejsce jednak zajmowały nowe.

– Wybacz mi – powiedziała z głową wtuloną w jego ramiona. – Nie zamierzałam płakać.

– Wiem, wiem. To skutek szoku, straszliwego, okropnego 667

szoku. – Wciąż głaszcząc Rię po włosach, odsunął ją od siebie, próbując rozweselić uśmiechem.

– Myślę, że jestem trochę oszołomiona, Danny. Może powinnam się na chwilę położyć.

Poszli razem do sypialni. Być może, na co Ria miała nadzieję, Danny zamierzał tutaj z nią pozostać. Usiadł, delikatnie zdjął z niej i starannie powiesił na oparciu krzesła bluzkę w liliowo-kremowym kolorze. Potem Ria zsunęła z siebie jedwabną spódnicę, którą również złożył. Odrzucił koce, a ona stała w białej bieliźnie, niczym dziecko, które zostało odesłane do łóżka z powodu gorączki.

– Nie chcę uronić ani chwili z twojej wizyty. Pragnę w pełni wykorzystać czas twojego pobytu tutaj – wyznała.

– Cicho, cicho. Zostanę przy tobie, dopóki trochę się nie zdrzemniesz – obiecał.

Przyniósł z łazienki wilgotny, frotowy ręcznik i otarł nim twarz Rii. A potem, siedząc przy niej na krześle, głaskał ją po ręce.

– Postaraj się zasnąć, Rio. Chciałbym, żebyś wiedziała, że cię lubię i to bardzo.

– Tak, Danny.

– To się nigdy nie zmieni, wiesz o tym, prawda?

– Wiem.

Powieki jej ciążyły. Danny wydawał się bardzo zmęczony, kiedy tak siedział, opiekując się nią, z połową twarzy oświetloną blaskiem wpadającego z ogrodu światła. Wsparta na łokciu, wyprostowała się na łóżku i spytała:

– Jakoś się wszystko ułoży, prawda?

Wziął ją w ramiona i ponownie przytulił do siebie.

– Tak, Rio. Jakoś się ułoży. – W jego głosie brzmiało znużenie.

– Ty również trochę się zdrzemnij, Danny. Przynajmniej 668

na chwilę zamknij oczy. Dla ciebie to wszystko musiało być jeszcze gorsze. – Miała na myśli jedynie to, ażeby położył się w ubraniu obok niej na kołdrze i przespał przez parę godzin.

On jednak przywarł do niej cały i Ria zrozumiała, że nie zamierza wypuścić jej z objęć. Nie pozwoliła sobie na rozmy-

ślanie o tym, co być może za chwilę się stanie. Leżała z zamkniętymi oczami na plecach w łóżku Marilyn Vine, podczas gdy jedyny mężczyzna, którego kiedykolwiek darzyła uczuciem, delikatnie zdjął z niej resztę ubrania i znowu się z nią kochał.

Greg postanowił zawiadomić Rię, że wybiera się do Irlandii, ale miała włączoną automatyczną sekretarkę. Przez moment zamierzał zostawić wiadomość, w końcu jednak się rozmyślił. Stał w budce telefonicznej na lotnisku Kennedy’ego i bił się z myślami, czy nie zadzwonić do Marilyn. A gdyby mu powiedziała, żeby nie przyjeżdżał? Ich wzajemne stosunki sta-

łyby się jeszcze gorsze niż przedtem. Jedyłą jego nadzieją było zawiadomienie jej przez telefon, że przyleciał do Dublina. A miał się tam już niebawem znaleźć.

Usłyszał, jak wywołują numer jego lotu. Było za późno na telefonowanie do żony, bez względu na trafność tego pomysłu.



Od Danny’ego nie nadchodziła żadna odpowiedź i Rosemary była z tego powodu bardzo zirytowana. Odwiozła go na lotnisko, a tam, gdzie się zatrzymał, miał dostęp do poczty elektronicznej i do telefonu. Pewnie już wiedział, co kryje się pod ową tajemniczą wzmianką w gazecie. Powinien być już zmęczony odgrywaniem roli głowy „szczęśliwej rodziny” i próbami wspierania Rii. Dlaczego nie dzwonił? Powtarzała sobie, jak zwykła to robić wiele razy przedtem, że taka sytuacja nie może trwać nadal.

669

To, co czuła do Danny’ego Lyncha, nie było ani rozsądne, ani też nie stanowiło części zaplanowanej gry. Ich wzajemne relacje determinował najbardziej podstawowy z instynktów: popęd płciowy, którego w jej przypadku nie mógł zaspokoić żaden inny mężczyzna. Z tego powodu przez lata dzieliła się Danny’em z Rią oraz ze wszystkimi innymi kobietami, łącznie z ową odrażającą Orlą King. Przeboleła nawet jego zauroczenie mizerną niczym zjawą Bernadette. Do tej pory jednak był

zawsze wobec niej nadskakujący i szarmancki. A teraz nawet tego nie dało się o nim powiedzieć.

Cieszyła się, że go nie wspomogła; umierała jednak z ciekawości, kto to zrobił. Dziennikarka – autorka zamieszczonej w „Irish Times” wzmianki o jego sytuacji finansowej – była zawsze dobrze poinformowana. I nie wchodziły w grę żadne celowo rozpuszczone pogłoski. Rosemary Ryan był święcie przekonana o tym, że Danny Lynch i Barney McCarthy naprawdę zostaną uratowani z opresji. Jedyłą zagadkę, którą pilnie pragnęła rozwiązać, stanowiło pytanie: przez kogo.

– Zawsze cię prosiłam, Frances, żebyś nie wspominała przy Jacku, że sprzątam u ciebie, prawda? – przypomniała znajomej Gertie.

– I nigdy nie pisałam o tym słowa – zapewniła Frances Sullivan.

– Otóż sytuacja uległa zmianie. Obecnie zależy mi, żeby się o tym dowiedział. Widzisz, on myśli, że zarabiam pieniądze w inny sposób.

– Chyba nie przyjdzie, aby mnie o to zapytać wprost? –

Frances wyglądała na załęknioną.

– Chyba nie. Załóżmy jednak, że przyjdzie. Wtedy możesz mi powiedzieć prawdę. Wolę, żeby wiedział, gdzie pracuję.

– Dobrze, Gertie. – Frances, podobnie jak wiele innych osób, uznała obecność Jacka i Gertie w swoim życiu za coraz 670

bardziej męczącą.

– Dziękuję, Frances. Teraz muszę tylko zawiadomić Marilyn i Polly i problem przestanie istnieć.

Marilyn pracowała w ogrodzie przed domem. Gertie po-myślała, że w dzinsach i podkoszulku wygląda bardzo młodo na swoje lata i jest w wyjątkowo dobrej kondycji fizycznej.

– Nie chciałabym cię obciążać moimi problemami.

– Nie ma sprawy, Gertie, o co chodzi?

Jednak po wysłuchaniu prośby z największym trudem powstrzymała się od okazania tamtej zniecierpliwienia. W swoim nowym wcieleniu – jako osoba kierująca życiem innych – z łatwością poradziłaby Gertie, żeby przestała wreszcie odgrywać rolę bezwolnej, nieszczęśliwej ofiary, która swoją postawą jedynie zachęca dręczyciela do dalszej bezsensownej przemo-cy, a w dodatku zaniedbuje własne dzieci. Wystarczyło wszakże jedno spojrzenie na wystraszoną twarz Gertie i Marilyn zaniechała podjęcia tego rodzaju działań.

– Rozumiem – westchnęła. – W tym tygodniu może się dowiedzieć o twoim sposobie zarobkowania. Daj mi znać, jeśli w przyszłym sytuacja ulegnie zmianie.

– Jesteś szczęśliwą kobietą i masz silny charakter, Marilyn.

Ja nie mogę tego o sobie powiedzieć, ale dziękuję za wyrozumiałość.

Po wyjściu od niej skierowała się na przystanek autobusowy po drugiej stronie ulicy. Trzecią osobą, którą musiała uprzedzić, była Polly Callaghan.

Właśnie przejeżdżała tamtędy Rosemary i zatrzymała się przy niej.

– Może cię dokądś podwieźć, Gertie?

– Wybieram się do Polly. Chcę jej przekazać pewną wiadomość.

– Jest w Londynie. Wróci na początku przyszłego tygo-671

dnia.

– Dobrze, że cię spotkałam, Rosemary. Zaoszczędziłaś mi wyprawy. W takim razie idę do domu.

– Słyszałaś o systemie połączeń telefonicznych? Mogłaś najpierw do niej zadzwonić – zauważyła

tamta. Jej stwierdzenie zabrzmiało bardzo zniechęcająco i było dość okrutne.

– Gniewasz się na mnie o coś, Rosemary?

– Nie. Jestem w złym humorze. Przepraszam, nie chciałam na ciebie warczeć.

– W porządku. – Gertie nigdy długo nie żywiła do nikogo urazy. – Kłopoty z mężczyzną?

– Na czym, twoim zdaniem, miałby polegać mój kłopot z mężczyznami? – zapytała z zaciekawieniem Rosemary.

– Nie wiem, przypuszczam, że na dokonaniu nieodpowiedniego wyboru. – Gertie wzruszyła ramionami.

– Nie o to chodzi. Odczuwam jakiś niepokój i nie wiem, co jest tego przyczyną. Poza tym ludzie są dziwni. Na przykład tamta kobieta po drugiej stronie ulicy od dawna w ogóle się do mnie nie odzywa. Co jej takiego zrobiłam, że się na mnie obraziła?

– Nie mam pojęcia. Sądziłam, że jesteście przyjaciółkami.

Poszłyście razem na pokaz mody.

– Tak i wtedy po raz ostatni ze mną rozmawiała – odrzekła z namysłem Rosemary.

– Czy już wtedy odnosiła się wobec ciebie z rezerwą?

– Ależ nie. Odwiozła mnie do domu... ale nie zaprosiłam jej do siebie.

– To chyba niemożliwe, żeby się dąsała o coś tak nieistotnego.

Rosemary przypomniała sobie tamten wieczór, kiedy Danny przyszedł do altanki w ogrodzie. Nie było sposobu, że-by Marilyn mogła... – wzięła się w garść.

672

– Masz absolutną rację, Gertie. Pewnie to tylko wymysły mojej fantazji. Czy u ciebie w domu wszystko w porządku?

– Och, tak, dziękuję – odpowiedziała Gertie i zauważyła z ulgą, że Rosemary nie jest zainteresowana odpowiedzią.

Spali wtuleni w siebie, jak zwykli to robić przez lata mał-

żeństwa na Tara Road. Ria po przebudzeniu się wiedziała, że nie może się poruszyć. Leżała nieruchomo, rozpamiętując wszystkie wydarzenia minionego dnia i wieczora. Spojrzała na zegar. Była jedenasta wieczorem. Najchętniej wstałaby, wzięła prysznic i usmażyła dla nich obojga omlety. A potem usiedliby razem i porozmawiali o tym, co należy zrobić. Robiliby plany jak niegdyś.

Wierzyła w to, że teraz wszystko się ułoży. Pieniądze nie są ważne. Nawet dom, który wspólnie stworzyli, można było zastąpić innym, mniejszym. Postanowiła jednak nie podejmować inicjatywy. Będzie leżeć i czekać, dopóki on się nie poruszy.

Udawała, że śpi, kiedy wstał z łóżka, zebrał ubranie i poszedł do łazienki. Gdy usłyszała, że leje się woda, dołączyła do Danny'ego owinięta w ręcznik. Usiadła na jednym z łazienkowych krzeseł z kutego żelaza i korka. Czekwała, aż pierwszy się odezwie.

– Jesteś bardzo milcząca, Rio – zauważył.

– A ty nie? – Nie zamierzała podejmować inicjatywy.

Błędnej inicjatywy.

– Jakie są dalsze plany?

– Prysznic, lekka kolacja? Wyraźnie mu ulżyło.

– Drzewo sandałowe? – spytał, wskazując na mydło.

– Lubisz ten zapach, prawda?

– Tak, lubię.

Wydawał się czymś zasmucony, nie wiedziała jednak czym. Kiedy poszedł się ubrać do swojego pokoju, wzięła 673

prysznic, a potem włożyła żółte spodnie oraz czarny sweter.

– Szykowny komplet – zauważył Danny, gdy spotkali się w kuchni.

– Annie twierdzi, że w tym ubraniu przypominam jej osę, z powodu kolorów.

– Annie! Co ona wie?

Stąpali po niepewnym gruncie. Żadne nie wracało do tego, co się stało, ani nie wspominało o tym, co się może wydarzyć.

Nie rozmawiali o Barneyu McCarthym i Bernadette, o przeszłości ani o przyszłości. A pomimo to z łatwością zapełnili sobie czas. Razem przyrządzili omlety z ziołami i sałatę; każde z nich wypilo kieliszek wina z lodówki. Zlekceważyli migające światło automatycznej sekretarki, sygnalizujące nadejście nowej wiadomości. Kimkolwiek była osoba, która telefonowała, musiała poczekać na odpowiedź do jutra.

Pół godziny po północy wrócili do łóżka. Do dużego, małżeńskiego łoża, które należało do Marilyn i Grega Vine'ów.

Telefon dzwonił wściekle, jak gdyby ktoś nie chciał się pogodzić z faktem, że słuchawka nie zostanie podniesiona.

– Dobrodziejstwo technologii – ziewnął Danny.

– To pewnie Hubie Green rozpaczliwie usiłuje zdobyć numer telefonu naszej córki – zachichotała Ria.

– Zaparzę dla nas kawę. Ulżysz temu biedakowi, kimkolwiek by był, w niedoli? – zasugerował Danny.

– Oczywiście.

Ria w radosnym nastroju cofnęła taśmę. Dzisiaj była gotowa przejść do porządku dziennego nad wszystkim, co zrobił

Danny. W chwili kiedy wkładała kostium kąpielowy, szykując się do wyjścia na basen, dobiegł ją z automatycznej sekretarki rozgorączkowany głos:

– Danny, wszystko mi jedno, jaka jest w tej chwili u was 674

pora i czy Ria jest przy tobie. Musisz podnieść słuchawkę, musisz. Sytuacja jest krytyczna. Proszę, odbierz telefon, Danny.

Mówi Finola Dunne. Bernadette została zabrana do szpitala, ma krwotok i ciągle cię woła. Musisz się do mnie odezwać i wrócić do domu.

Ria włożyła sukienkę na kostium i cicho weszła do kuchni.

Napełniła i włączyła ekspres do kawy, a potem wzięła książkę telefoniczną, odszukała numer linii lotniczych i bez słowa ko-mentarza podała ją Danny’mu. Wracał dzisiaj do domu, a jej nie wolno było zrobić absolutnie nic, ażeby go zatrzymać.

Przechwyciła w lustrze swoje odbicie. Miała półuśmiech na twarzy. Należy natychmiast go ukryć. Nie mogła w żaden sposób dać poznać po sobie, co czuje: nadzieję, że jeśli Bernadette straci dziecko, być może ich problemy rozwiążą się same.

Danny spojrział na nią z wyrazem udręki w oczach.

– Ubieraj się – powiedziała. – Zadzwoń, a później odwiozę cię na lotnisko.

Podszedł do niej i bardzo mocno ją uściśnął.

– Nigdy nie było i nie będzie nikogo takiego jak ty, Rio –

oświadczył załamującym się głosem.

– Wiesz, że zawsze możesz na mnie liczyć – szepnęła w jego włosy.

– Marilyn spostrzegła, że Rosemary zatrzymała się obok przystanku autobusowego i rozmawia z Gertie. Odetchnęła z ulgą, że sąsiadka nie skorzystała z okazji, aby przyjść do niej z wizytą. Coraz większą trudność sprawiało jej ukrywanie urazy, wywołanej ogromem zdrady tamtej kobiety. Kopała zapamię-

tale, zastanawiając się, czy w tym katolickim kraju nie wezmą jej za czarownicę, dlatego że w niedzielę pracuje w ogrodzie.

Colm Barry uspokajał ją co prawda, że owa działalność zostanie odebrana jako forma wypoczynku. Czyż w niedzielę nie były pootwierane wszystkie sklepy i nie odbywały się wtedy 675

mecze piłkarskie?

Usłyszała, jak pod dom zajechał inny samochód. Miała nadzieję, że nie zjawił się nikt z wizytą; nie życzyła sobie teraz żadnych rozmów. Pragnęła zatracić się w pracy, zbyt wiele było spraw, o których nie chciała myśleć. To dziwne, że do niedawna musiała od siebie odsuwać tylko jeden temat. A dzisiaj, oprócz Dale'a, nie miała ochoty myśleć również o brutalnym mężu Gertie, o uzależnionej od narkotyków siostrze Colma ani o Rosemary – fałszywej przyjaciółce Rii.

Dobiegły ją głosy za bramą pod numerem szesnastym.

Kiedy klęczała z rydłem ogrodniczym w ręce, spostrzegła lekko przygarbioną sylwetkę mężczyzny, który szedł podjazdem z uniesioną do góry głową i przyglądał się domostwu. Upuściła na ziemię rydel i podbiegła do przybyłego z okrzykiem:

– Greg! Greg!

W pierwszym odruchu cofnął się przed nią – miesiące od-trącania zbierały swoje żniwo.

– Mam nadzieję, że nie weźmiesz mi za złe... – zaczął się usprawiedliwiać.

– Greg?

– Zamierzałem zatelefonować do ciebie z lotniska. Oczekałem, aż zrobi się przyzwoita pora – wyjaśnił.

– Wszystko w porządku.

– Nie chciałbym ci przeszkadzać ani zakłócać twojej prywatności. Przyleciałem tylko na... dwa, trzy dni.

Przyglądała się własnemu mężowi ze zdumieniem. Przepraszał ją za swoją obecność. Jak straszliwy chłód musiała mu okazywać.

– Greg, nie posiadam się z radości, że tutaj jesteś.

– Naprawdę?

– Oczywiście, że tak. Przypuszczam, że samemu nie przyjdzie ci do głowy, aby mnie uścisnąć?

Greg Vine objął swoją żonę, prawie nie mogąc uwierzyć w to, że nie śni.

Ria znalazła rozkład jazdy autobusów i wyszukała wcze-

śniejsze powrotne połączenie dla dzieci, nim zatelefonowała do Sheili.

– Czy możesz jakoś taktownie to załatwić i odesłać ich wcześniej do domu? Jutro ci wszystko wyjaśnię.

Sheila zorientowała się po jej głosie, że sytuacja rzeczywi-

ście jest kryzysowa.

– Mam nadzieję, że nie stało się nic złego? – spytała.

– To skomplikowana sprawa. Danny musi wracać do kraju dzisiaj wieczorem, a chciałabym, żeby przedtem osobiście po-

żegnał się z dziećmi.

– Co mam im powiedzieć?

– Tyle tylko, że plany uległy zmianie.

– Zrobię to, oczywiście. Musisz jednak wiedzieć, że trzeba nie lada odwagi, aby zakomunikować tego rodzaju wiadomość Seanowi Maine i Annie Lynch.

*

– Tato, tu Annie. Nie mogę uwierzyć w to, co powiedziała pani Maine. Czy to prawda, że wracasz już dzisiaj wieczorem?

– Prawda, księżniczko, i bardzo chciałbym, żebyśmy zdą-

żyli się przedtem zobaczyć.

– Ale dlaczego, tato? Dlaczego?

– Wyjaśnię wszystko, kiedy się spotkamy, księżniczko.

– Mieliśmy urządzić sobie tutaj piknik i wrócić do domu wieczorem. A na jutro zaplanowaliśmy wspólną całodniową wycieczkę na Manhattan. Teraz wszystkie nasze plany legły w gruzach.

– Niestety, obawiam się, że tak, kochanie.

– Czy doszło pomiędzy tobą a mamą do jakiejś straszliwej awantury? I kazała ci wracać do domu? Czy o to chodzi?

– Wręcz przeciwnie, Annie. Oboje z mamą spędziliśmy cudowne chwile. Chcemy tylko dzisiaj wieczorem z wami porozmawiać, to wszystko.

– W porządku zatem.

– Przykro mi, że zakłóciłem ci romantyczne chwile.

– Co za romantyczne chwile, tato? Nie bądź staroświecki.

– Przepraszam – powiedział i się rozłączył.

W autobusie Annie i Brian snuli różne domysły.

– Znowu z nami zamieszka? – Chłopiec był pełen optymizmu.

– Nie ściągali by nas z powrotem, żeby nam o tym powiedzieć – burknęła Annie.

Właśnie przeszedł jej koło nosa cudowny piknik nad jeziorem. Sean bardzo się dąsał z powodu jej wyjazdu, podejrzewał nawet, że Annie chce wrócić do Westville po to, ażeby się spotkać z Hubiem Greenem.

– To o co chodzi? – spytał Brian.

– Myślę, że tata jest zrujnowany.

– Zawsze to mówiłem – stwierdził z tryumfem.

– Wcale nie mówiłeś. Paplałeś tylko na lewo i prawo o tym, że Finola tak uważa.

– Wkrótce się dowiemy – zauważył filozoficznym tonem.

– Dotarliśmy już na przedmieścia Westville.

Kiedy wysiedli z autobusu, czekał na nich Hubie Green.

– Wasza mama prosiła mnie, żebym przyjechał i odwiózł

was na Tudor Drive – powiedział.

– Jesteś pewien, że to nie uprowadzenie? – spytała Annie.

– Nie. Ucieszyłem się, że będę miał okazję znowu cię zo-678

baczyć, przyznaję, ale naprawdę mnie o to prosiła. – Wsiedli do samochodu Hubiego.

– Dobrze się bawiliście?

– Tak, było miło... – rzuciła Annie, niedbale wzruszając ramionami.

Brian uznał, że należy udzielić bardziej wyczerpujących informacji.

– Ona i Sean Maine byli obrzydliwi. Zachowywali się niemal tak paskudnie, jak wy oboje. Osobiście nie mogę tego pojąć. Bałbym się, że się uduszę. Naprawdę nie wiem, jak mo-

żecie oddychać, robiąc to wszystko!

Bernadette była bardzo blada.

– Powtórz jeszcze raz, mamó, co powiedział?

– Poprosił, żebym go uważnie wysłuchała i przekazała ci je– go słowa: Dzisiaj wieczorem wraca samolotem do domu, będzie tutaj jutro i nic się nie zmieniło.

– Nie mówił, że mnie kocha? – Jej głos był bardzo słaby.

– Powiedział: „Nic się nie zmieniło”. Powtórzył to trzykrotnie.

– Dlaczego, twoim zdaniem, to stwierdzenie jest jednoznaczne z wyznaniem miłości?

– Ponieważ przy rozmowie mogła być jego żona, a on chciał, żebyś wiedziała, że nawet jeśli stracisz dziecko, do czego nie dojdzie, wasz układ się nie zmieni, Ber.

– Wierzysz w to, mamó?

– Tak. Słyszałam, jak trzykrotnie to powtórzył i wierzę –

oświadczyła Finola Dunne.

– Usiądź, Barneyu, musimy porozmawiać – powiedziała Mona McCarthy.

– Nie odzywałaś się, kiedy próbowałem cię nakłonić do 679

dyskusji – odparł jej mąż.

– Wtedy nie miałam ochoty na rozmowę, teraz jednak jest konieczna. Wiele rzeczy się zmieniło.

– Z jakiego powodu?

– Z powodu tego artykułu w gazecie.

– Przecież powiedziałaś, że masz trochę odłożonych pieniędzy i jesteś gotowa mi pomóc.

– Nie przedyskutowaliśmy jeszcze charakteru tej pomocy.

I z pewnością nie spodziewałam się po tobie, że zaczniesz rozpowiadać o wszystkim dziennikarzom.

Była jak zwykle opanowana i pewna siebie, lecz tym razem wyczuwał w niej żelazną wolę i nie bardzo mu się to spodobało.

– Wiesz równie dobrze, jak ja, Mono, że w mojej obecnej sytuacji niezbędne jest odzyskanie wiarygodności – zaczął się tłumaczyć.

– Bardzo nierozsądnym krokiem było odbudowywanie swojego zaufania przed omówieniem ze mną warunków pomocy.

– Kochanie, przestań mówić zagadkami. Jakie warunki masz na myśli? Powiedziałaś, że odłożyłaś kapitał, który może nas uratować.

– Tego nie twierdziłam.

Można było odnieść wrażenie, że rozmawia o wzorze jakiejś tkaniny podczas pokazu mody zorganizowanego na cele dobroczynne.

– Co zatem powiedziałaś, Mono?

– Oświadczyłam, że mam coś, co w pewien sposób może cię uratować, a to różnica.

– Nie pora na zabawianie się w słowne gry!

Na czole Barneya pojawił się mars. Chyba go nie oszukiwała ani nie wprowadziła celowo w błąd. Takie zachowanie 680

nie było w stylu Mony.

– Zapewniam cię, że nie prowadzę z tobą żadnej gry.

Nadal pozostała bardzo chłodna.

– Słucham cię, Mono.

– Mam nadzieję, że słuchasz z uwagą.

I opanowanym głosem poinformowała go, że przez lata zaoszczędziła wystarczająco duży kapitał, obecnie mający formę funduszy emerytalnych i polis ubezpieczeniowych powszechnie szanowanych instytucji, który spieniężony wyba-wiłby go z kłopotów. Wszystko było jednak zapisane wyłącznie na nią i mogło zostać zamienione na gotówkę tylko pod warunkiem, że Barney zgodzi się spłacić wierzycieli. A także sprzedać ich obecną rezydencję i kupić mniejszy, mniej preten-sjonalny dom. Oraz zwrócić Lynchom dług hipoteczny, jaki dla niego zaciągnęli pod zastaw domu przy Tara Road pod numerem szesnastym. I zawiadomić pannę Callaghan, że wszelkie stosunki z nią – finansowe, seksualne oraz towarzyskie – zostają raz na zawsze zerwane.

Barney wysłuchał żony z otwartymi ustami.

– Nie możesz stawiać tego rodzaju żądań – powiedział w końcu.

– Nie musisz się im podporządkowywać – odparowała Mona. Przyglądał się jej przez długą chwilę.

– Trzymasz w ręku wszystkie karty – stwierdził.

– Zawsze można wstać i odejść od stołu; gracz nie musi uczestniczyć w kolejnym rozdaniu.

– Dlaczego mi to robisz, Mono? Przecież nie jestem ci potrzebny, nie musisz mieć mnie obok siebie w charakterze dodatkowego rekwizytu.

– Co ty możesz wiedzieć o moich potrzebach, Barneyu? –

spytała.

– Na miłość boską, miejże trochę godności, kobieto.

681

Wszyscy wiedzą o mnie i Polly. Nie ukrywamy niczego, co by nie było powszechnie wiadome.

– Wszyscy dowiedzą się również o ostatecznym kresie waszego związku.

– Sprawi ci to przyjemność?

– Takie są moje warunki.

– Czy wynajmiemy prawników, żeby się tym zajęli?

– Nie, ale zaangażujemy dziennikarzy. Już raz skorzystałaś z ich usług; ja mogę zrobić to samo.

Gdyby ktoś kiedyś oświadczył Barneyowi McCarthy'emu, że jego spokojna, uległa żona będzie z nim w ten sposób rozmawiać, wyśmiałby głośno ten pomysł.

– Co cię skłania do tego, żeby doprowadzić nas do ubó-

stwa? – Mówiąc to, wykrzywił usta.

– Współczuję ci, jeśli naprawdę nie rozumiesz. Nigdy nie chciałam być bogata. Nigdy. Bogactwo zawsze mnie tylko krępowało. Ale tak się składa, że jestem bogata i mogę być jeszcze zamożniejsza, jeśli odmówię ci pomocy przy wydostaniu się z tej matni, w jakiej się znalazłeś.

– Dlaczego więc chcesz mi pomóc?

– Po części przez wzgląd na poczucie przyzwoitości.

Ciężko zapracowałeś na to, co osiągnąłeś, a ja, dzięki tobie, mogłam się cieszyć wygodnym życiem. Przede wszystkim jednak dlatego, że chciałam, abyśmy godnie rozpoczęli no-wy okres naszego życia.

Spojrzał na nią przez łzy w oczach.

– Niech tak będzie – powiedział.

– Jak sobie życzysz, Barneyu.

Hubie pożegnał się z nimi przed domem.

– Brian zawsze wszystko przekręca – oświadczyła ze smutkiem Annie.

682

– Wiem.

– A więc spotkamy się znowu?

– Oczywiście. Przecież ani cholerny Sean Maine, ani ja nie będziemy się widywać z tobą po wakacjach, więc jakie to, do diabła, ma znaczenie?

– Nie chcę nawet myśleć o wyjeździe – stwierdziła.

– W związku ze mną czy z nim?

– Zarówno z tobą, jak i z nim...

Annie i Brian wbiegli do domu i zobaczyli spakowany podręczny bagaż ojca.

– A więc wyjeżdżasz naprawdę? – powiedziała z żalem Annie.

– Sądziłaś, że tylko to sobie wymyśliłem?

– Przypuszczałam, że chciałeś nas ściągnąć tutaj od Maine'ów – przyznała się dziewczyna.

– Żałujcie, że nie widzieliście Annie i Seana Maine'a... –

zaczął Brian.

– Wcale tego nie żałujemy, podobnie jak wolelibyśmy nie widzieć, w jakim stanie zostawiłeś swój pokój, Brianie. Ale nie traćmy czasu. Za godzinę muszę odwieźć waszego tatę na dworzec autobusowy. Jest wiele spraw do omówienia i musimy zrobić to niezwłocznie.

– Zach mógł zobaczyć, że wróciłem. Niewykluczone, że wpadnie do nas z wizytą – zastrzegł się chłopiec.

– Zostanie wtedy poproszony, ażeby przyszedł kiedy indziej – oświadczyła Annie.

Danny przejął kierownictwo nad przebiegiem rozmowy:

– Przyleciałem tutaj, aby was zawiadomić o wielu zmianach w waszym życiu, jakie nastąpią, i to w większości nie na lepsze.

– A będą jakieś na lepsze? – spytał Brian.

– Szczerze mówiąc, nie – wyznał jego ojciec.

683

Siedzieli w milczeniu, czekając na dalsze słowa Danny'ego. Głos zdawał się go zawodzić. Spojrzeli na matkę, lecz Ria nic nie powiedziała. Uśmiechała się tylko zachęcająco do męża. Przynajmniej nie kłóciła się z nim. To ich trochę uspokoiło. Trochę.

Danny odchrząknął i wreszcie znalazł odpowiednie słowa.

Przedstawił im całą historię. O długach, ryzykownych posunięciach, które nie przyniosły pożądanego skutku, o braku zaufania oraz końcowym rezultacie tego wszystkiego. Dom pod numerem szesnastym przy Tara Road musiał być sprzedany.

– Czy ty i Bernadette również sprzedacie wasz nowy dom?

– spytał Brian.

– Tak, oczywiście.

– Ale tamten nie należy do Barneya, prawda? – upewniła się Annie.

– Nie.

– Może więc wszyscy moglibyśmy tam zamieszkać? –

Brian wykonał zamasztysty gest, obejmując nim cały pokój i osoby w nim zgromadzone. – Chyba nie będzie to jednak moż-

liwe – dodał, przypominając sobie realia.

– Zamierzałem powiedzieć wam o tym wszystkim dzisiejszego wieczora. Miałbym więcej czasu na przedyskutowanie najlepszych rozwiązań oraz wyrażenie ubolewania z powodu tego wszystkiego, co się stało. Muszę jednak wracać do domu.

– Czy pana McCarthy'ego zamknęli w więzieniu? – spytał

Brian.

– Nie, pojawiła się zupełnie inna okoliczność.

Zapadło milczenie. Dzieci ponownie spojrzały na Rię.

Znowu miała do zaoferowania Danny’emu tylko pełne zachęty spojrzenie.

– Bernadette nie czuje się dobrze; Finola nas o tym zawiadomiła. Bernadette dostała krwotoku, może stracić dziecko i 684

przebywa w szpitalu. Oto przyczyna mojego wcześniejszego wyjazdu.

– Czy to znaczy, że dziecko może się wcale nie urodzić? –

Brian pragnął się upewnić, czy dobrze zrozumiał ojca.

– Nie jest jeszcze w pełni ukształtowane, i gdyby się już teraz urodziło, byłoby bardzo słabe i mogłoby nie przeżyć –

wyjaśnił Danny.

Annie słuchając tych wyjaśnień, spojrzała na matkę i przygryzła wargę. Nigdy dotychczas żadna prawda nie została im tak surowo i szczerze ujawniona. I tata nie oszukał jej podczas rozmowy telefonicznej: rzeczywiście nie kłócili się ani nie skakali sobie do oczu.

Brian głęboko westchnął.

– Jeśli dziecko się nie urodzi, problem zostanie rozwiązany, czyż nie? Wszyscy znowu będziemy mogli żyć jak dawniej.

*

Danny podał taksówkarzowi adres szpitala położniczego.

– Niech pan tam dotrze najszybciej, jak to możliwe. Zapłacę za kurs w dolarach amerykańskich, ponieważ nie mam przy sobie naszej waluty.

– Uważam dolary za wystarczająco dobre pieniądze –

oświadczył taksówkarz i ruszając w blasku porannego słonecznego światła, docisnął do dechy pedał gazu na pustej jezdni.

– To pana pierwsze dziecko? – spytał.

– Nie – odparł zwięźle Danny.

– Pomimo to za każdym razem podniecenie zawsze jest takie samo, prawda? I każde z dzieci jest inne. Ja z żoną mamy ich pięcioro, ale na tym koniec. Poradzili mi, żebym zawiązał

sobie na supeł. – Roześmiał się radośnie z własnego dowcipu, ale w tym momencie przechwycił w tylnym lustrze spojrzenie pasażera. – Pewnie jest pan zmęczony i chce pan trochę odpocząć po długim locie.

– Chyba tak – odpowiedział z ulgą Danny i zamknął oczy.

– A zatem niech pan korzysta z okazji. Niebawem czeka pana wiele zarwanych nocy, to pewne – zawyrokował taksówkarz, człowiek z doświadczeniem.

Orla King przechodziła rutynowe badania lekarskie w szpitalu. Rozmaz wykazał obecność nowotworu, który okazał

się jednak łagodny. Testy krwi potwierdziły również poprawę funkcjonowania wątroby. Z wyjątkiem owego strasznego ekscesu w restauracji Colma Orla stroniła od alkoholu.

– Grzeczna dziewczynka – pochwaliła ją sympatyczna lekarka. – To nie jest łatwe, ale zwyciężasz w prowadzonej przez siebie walce.

– Czyż świat nie jest zabawny? Nie tykam alkoholu, a Bóg mówi: „W porządku, Orlo, tym razem nie masz raka” – pozwoliła sobie na cynizm chora.

– Niektórzy uważają, że wiara czyni cuda. – Lekarka wiele już w swoim życiu widziała i wiele słyszała.

– Fantaści – odpowiedziała lekceważącym tonem jej pacjentka.

– A co, twoim zdaniem, mogło by ci pomóc?

– Nie wiem. Kariera piosenkarki. Wzajemność faceta, w którym się durzę...

– Jest wielu innych facetów.

– Podobno. – Wyszła na korytarz i wpadła prosto na Danny’ego Lyncha.

– Spotykamy się w bardzo dziwnych miejscach – zauwa-

żyła.

– Nie teraz, Orlo. – Jego głos miał twarde brzmienie.

– Z pewnością to jeszcze nie pora na dziecko?

– Wybacz mi, proszę. – Usiłował przejść obok niej.

- Chodźmy na kawę do stołówki. Opowiesz mi o wszystkim – poprosiła błagalnym tonem.
- Nie, jestem umówiony. Czekam na kogoś.
- Daj spokój, Danny. Pierwsza dobra wiadomość to ta, że jestem trzeźwa, a druga, że nie mam raka.
- Bardzo się cieszę – powiedział, nadal próbując przed nią uciec.
- Zachowałam się okropnie tamtego wieczora. Nie zadzwoniłam potem ani nie napisałam, wiesz jednak, że nie chciałam tego, co się stało. Nie jestem sobą, kiedy alkohol bierze we mnie górę.

Po drugiej stronie korytarza znajdowała się męska toaleta.

- Przepraszam, Orlo – rzucił Danny i czmychnął do środka.

Wewnątrz oparł się o umywalkę i popatrzył na swoją mizerną twarz, oczy zapadnięte po bezsennej nocy w samolocie oraz na wymiętą koszulę.

Został poinformowany, że pacjentka nadal przebywa na oddziale intensywnej opieki i że za godzinę lub dwie będzie mógł się z nią zobaczyć. Jej matka miała niebawem wrócić; spędziła tutaj prawie całą noc. Niestety, Bernadette straciła dziecko, nie było możliwości utrzymania ciąży. Sama mu o wszystkim opowie. W stosownym czasie. Nie do lekarzy nale-

ży udzielanie informacji o płci dziecka. Nalegali, żeby poszedł

się napić kawy i właśnie wtedy, jak gdyby w całym wszech-

świecie nie było innych ludzi, natknął się na Orłę King.

Zaczęły mu się trząść ramiona i nie zdołał powstrzymać łez. Do toalety wszedł młody mężczyzna o krzepkiej budowie ciała i zobaczył Danny'ego.

687

- Po to pan tutaj przyszedł? – spytał. Danny nie mógł wydobyć z siebie słowa, lecz młodemu dumnemu ojcu wydało się, że dostrzegł potwierdzające skinienie głowy. – Ja również płakałem. Mój Boże, najpierw odchodziłem od zmysłów, a potem nie mogłem uwierzyć. Musiałem uciec tutaj, aby się opanować.

Byłem świadkiem przyjścia na świat mojego syna. – Niezdar- nie objął Danny'ego ramieniem i w geście męskiej solidarności lekko go uścisnął. – A mówią, że doświadczenia porodowe znane są wyłącznie kobietom.

*

Polly Callaghan wróciła z Londynu wczesnym rankiem w poniedziałek. Barney czekał na nią w samochodzie przed domem.

Uradowała się, kiedy go zobaczyła.

– Nie telefonowałam wcześniej ani nie zawiadomiłam cię o godzinie przylotu, ponieważ chciałam dać ci trochę swobody.

Jesteś kochany, że przyjechałeś zobaczyć się ze mną.

– Nie, wcale nie jestem. – Wydawał się bardzo przybity.

Polly nie zamierzała tolerować jego nastroju przygnębienia.

– Kupiłam „Irish Times” na dworcu Victoria w Londynie i czytałam o tobie. To cudowna wiadomość.

– Chyba tak – przyznał.

– A nie jest?

– W pewnym sensie nie.

– Wsiądź z samochodu, wejdźmy do mnie i zaparzę nam kawę.

– Nie, Polly, musimy porozmawiać tutaj.

– W twoim samochodzie? Nie bądź śmieszny.

– Proszę. Tym razem się nie upieraj.

– Czyż przez całe życie nie ustępuję ci we wszystkim?

688

Powiedz, zanim zacznę płakać ze szczęścia. Czy to prawda, że jesteś uratowany?

– Tak, Poll, jestem.

– To dlaczego nie świętujemy tego szampanem?

– Z powodu ceny. Straszliwej ceny.

– Polly? Mówi Gertie. Nie przeszkadzam? Chcę cię prosić o wyświadczenie drobnej przysługi.

– Nie, moja droga. Wybrałaś niezbyt odpowiedni moment na rozmowę.

– Przepraszam. Czy Barney jest u ciebie?

– Nie i już nigdy go więcej nie będzie.

- Nie wierzę! Wiem, że miał trochę kłopotów, ale...
- Już nie ma żadnych. Wszelkie jego problemy zostały rozwiązane, lecz nigdy więcej mnie nie odwiedzi. To część umowy. Zresztą, nie będę tutaj dłużej mieszkać, to także jeden z warunków układu.
- Przez kogo postawionych?
- Przez jego żonę. Zony zawsze w końcu wygrywają.
- Nie wszystkie, Ria nie wygrała.
- Do diabła z tym, Gertie! Kogo to obchodzi?
- Mnie obchodzi. Przykro mi. Może źle go zrozumiałaś?
- Zrozumiałam wszystko doskonale. Alternatywa, przed jaką go postawiono, została sformułowana jednoznacznie. A na czym polega twój problem, Gertie?
- Nieważne... jest błahy w porównaniu z waszym.
- O co chodzi, Gertie?
- Jack coś sobie ubzdurał w związku z moimi dodatkowy-mi zarobkami. Nie uwierzysz, o co mnie podejrzewa. Musia-
- łam się przyznać, że pracuję u ciebie. Może cię odwiedzić dla sprawdzenia tej informacji. Powiesz mu prawdę, zgoda?
- I to wszystko? To jest ten twój wielki problem?

689

- Przez moment był poważny. Sytuacja może znowu stać się groźna, jeśli nadal będą mu się lęły w głowie podobne brednie.
- Czy tym razem obyło się bez szwów?
- Tak, nie były potrzebne.
- Jesteś skończoną idiotką, Gertie Brennan. Chętnie po-szłabym do ciebie i mocno tobą potrząsnęła.
- Na nic by się to zdało.
- Wiem o tym.
- Jest podejrzliwy, dlatego że mnie kocha.

– Tak, rozumiem.

– I dobrze wiesz, że Barney cię kocha, Polly. Na pewno do ciebie wróci.

– Tak, na pewno – powiedziała Polly Callaghan i odłożyła słuchawkę.

Marilyn zaproponowała Gregowi całodniową wycieczkę do Wicklow w poniedziałek. Jazda tam trwa niespełna godzinę, a okolica jest bardzo piękna. Zamierzała zabrać ze sobą jedzenie na piknik.

– Pokażę ci mapę, ty kochasz mapy – stwierdziła, wycią-

gając koszyk Rii. – Możesz sprawdzić, dokąd jedziemy, i pilotować mnie, jeśli wybiorę niewłaściwy zakręt.

Przyglądał się żonie ze zdumieniem. Przemiana, jaka się w niej dokonała, była niezwykła. Powrócił dawny entuzjizm Marilyn.

– Przez godzinę zajedziemy na wieś? – spytał zdziwiony.

– To nadzwyczajne miasto. Tuż obok znajdują się góry i morze. Pragnę pokazać ci miejsce, które odkryłam. Można tam zaparkować samochód, spacerować całymi godzinami po –

wzgórzach i nikogo nie spotkać. W pobliżu nie ma żadnych zabudowań. Tamtejszy krajobraz przypomina mi Arizonę, 690

brakuje tylko pustyni.

– Po co tam jedziemy? – spytał cicho.

– Aby nikt nam nie przeszkadzał. Jeśli zostaniemy pod numerem szesnastym na Tara Road, to równie dobrze moglibyśmy się wybrać na główny dworzec w mieście – odpowiedziała Marilyn, a tej uwadze towarzyszył swobodny śmiech, którego Greg Vine już nigdy nie spodziewał się usłyszeć.

Bernadette była bardzo blada. Na jej widok Danny'emu żołądek niemal podjechał do gardła.

– Proszę coś do niej powiedzieć. Liczyła minuty do pań-

skiego przybycia – odezwała się pielęgniarka.

– Ona śpi – zauważył cicho, niemal bojąc się podejść do łóżka.

– Czy to ty, Danny?

– Jestem tutaj, przy tobie, kochanie. Nic nie mów. Jesteś zmęczona i słaba. Straciłaś mnóstwo krwi, ale odzyskasz siły.

– Pocałuj mnie – poprosiła. – Złożył lekki pocałunek na jej mizernej, bladej twarzyczce. – Zrób to

tak, jak trzeba. – Poca-

łował ją w usta. – Nadal mnie kochasz, Danny?

– Oczywiście, droga Bernadette.

– Wiesz już o dziecku?

– Ogromnie zasmuciła mnie wiadomość, że je straciliśmy

– powiedział z oczami pełnymi łez. – O Boże, tak mi smutno, że nie byliśmy razem, kiedy to się stało. Ty jednak żyjesz, a ja czuwam przy tobie – to nas wzmocni i doda sił na przyszłość.

– Nie jesteś zadowolony? I nie uważasz, że w pewnym sensie problem został rozwiązany?

– Jezu, Bernadette, jak możesz dopuszczać do siebie podobne myśli? – spytał z udręczoną twarzą.

– No cóż... wiesz...

– Nie, nie wiem. Nasze dziecko nie żyje – dziecko, dla 691

którego budowaliśmy dom – a ty jesteś słaba i zraniona. Jak mógłbym być z tego zadowolony?

– Bałam się, że podczas twojego pobytu w Ameryce... –

urwała.

– Rozumiesz chyba, że musiałem tam pojechać i osobiście im o wszystkim powiedzieć. Zrobiłem to, a teraz wróciłem do naszego domu i do ciebie.

– Czy twoja wizyta była udana? – spytała Bernadette.

– Tak – odrzekł z przekonaniem Danny Lynch.

Ria zatelefonowała do Rosemary.

– Nie wybrałaś się jeszcze do pracy?

– Nie. A która u ciebie godzina? Chyba środek nocy?

– Rzeczywiście. Nie mogę spać. – Ria wydawała się zgaszona.

– Czy stało się coś złego?

– No cóż, tak i nie.

I wyznała swojej najlepszej przyjaciółce Rosemary, że Danny wrócił do domu wcześniej, niż planował, ponieważ Bernadette poroniła. Ria nie miała nikogo w Dublinie, kto by ją informował o

tym, co się dzieje. Czy Rosemary mogłaby nadstawić ucha? Tylko ona była w stanie powiadomić Rię o rozwoju wydarzeń; przecież czasami widywała Danny'ego.

Ria powiedziała jej również o swoich planach zarobkowania po powrocie do kraju. Wszyscy tutaj byli bardzo zadowoleni z efektów jej pracy. Zamierzała nakłonić Colma, aby zamawiał u niej desery. Liczyła też na specjalne zlecenia z du-

zych delikatesów. Przypuszczała, że wszystko znowu dobrze się ułoży.

– Jak zachowywał się Danny podczas wizyty u was?

– Był wspaniały, jak w dawnych czasach. – Ria przemilczała szczegóły.

692

Rosemary miała jednak niejasne przeczucie, że wydarzyło się więcej, niż zostało powiedziane. Ale chyba nawet Danny Lynch nie mógł być aż takim głupcem, żeby w obecnych okolicznościach pójść do łóżka ze swoją byłą żoną?

Kiedy po wyjściu z domu Rosemary zmierzała w stronę samochodu, nadal analizując w myślach rozmowę z Rią, natknęła się na Jacka Brennana. Nie cuchnął alkoholem, ale nie był trzeźwy.

– Jedno pytanie, Rosemary: czy ty też płaciłaś mojej żonie za sprzątanie domu?

– Oczywiście, że nie, Jack. Gertie jest moją przyjaciółką, a nie pomocą domową. Dwa razy w tygodniu przychodzą do mnie sprzątaczkę ze specjalistycznej firmy.

– A czy inni jej płacą? Ria i ta Amerykanka, która obecnie mieszka w jej domu, a także Polly i Frances?

– Nie bądź śmieszny, Jack. Oczywiście, że nie – oświadczyła Rosemary. Zatrzęsnęła drzwiczki samochodu i odjechała do pracy.

Finola Dunne zawiozła Danny'ego do biura.

– Muszę porozmawiać z Barneyem i dowiedzieć się, o co chodzi z tym kapitałem interwencyjnym. Być może to tylko błąd, a może rzeczywiście nasza ostatnia deska ratunku. Wrócę do Bernadette przed lunchem.

– Powinieneś trochę się przespać. Wyglądasz okropnie.

– Nie mogę spać, nie w takim momencie.

– Ber straciła dziecko... i co teraz... ? – sondowała go Finola.

– Jeszcze mocniej ją kocham i pragnę się nią zaopiekować bardziej nawet niż przedtem... – dokończył za nią zdanie.

– Musiałeś chyba brać pod uwagę również inne rozwiąza-693

nia...

– Chyba wiesz, Finolo, że ją uwielbiam. Nie porzuciłbym dla niej żony i dzieci, gdyby nie była mi najdroższa na całym świecie. To niemożliwe, żebyś nie zdawała sobie z tego sprawy.

W biurze odbywała się ważna narada. Sekretarka zdziwiła się na jego widok.

– Wszyscy spodziewali się pana dopiero jutro – powiedziała zaskoczona jego kiepskim wyglądem.

– No cóż, przyszedłem już dzisiaj. Kto tam jest?

– Księgowy, prawnicy, dyrektor banku i pani McCarthy.

– Mona? – Tak.

– Czy ktoś zamierzał poinformować mnie o tej konferencji na szczycie? A może miałem być powiadomiony dopiero po jej zakończeniu?

– Proszę skierować to pytanie do kogo innego, panie Lynch. Otrzymałam wypowiedzenie jak inni i nie jestem wprowadzona w to, co się dzieje.

– Racja, wchodzę tam.

– Panie Lynch?

– Słucham?

– Proszę mi wybaczyć... ale czy nie powinien pan przedtem... nieco się ogarnąć?

– Dziękuję, skarbie.

Dziewczyna miała rację. Pięć minut w męskiej toalecie powinno zniwelować najgorsze skutki zmęczenia.

Promienie słoneczne prześwitywały pomiędzy drzewami, kiedy Greg i Marilyn usiedli przy drewnianym stole i rozpa-kowali kosz z jedzeniem. Odbyli wędrowkę po wzgórzach, prowadząc ze sobą swobodną pogawędkę i przyglądając się owcom, które prawie nie dostrzegały ich obecności.

694

– Po co tutaj przyjechałeś? – spytała Marilyn.

– Dowiedziałem się od Rii, że rozmawiałaś z jej dziećmi o Dale’u. Pomyślałem, że może również i ze mną zechcesz o nim porozmawiać.

– Oczywiście, że tak. Przykro mi, że potrzebowałam na to aż tyle czasu.

– Widocznie tak długo musiało to trwać – stwierdził Greg i nakrył rękami jej dłonie.

Ubiegłej nocy spał w dużym, białym łóżku obok Marilyn.

Nie dotykali się nawzajem, żadne z nich nie sięgnęło w stronę drugiego, ale przez chwilę trzymali się za ręce. Wiedział, że musi być bardzo ostrożny w formułowaniu pytań. I nie mógł

zapytać jej wprost, co ją odmieniło. Był pewien, że sama mu o tym powie.

I nagle zrobiła to.

– O przełomie zawsze decyduje coś głupiego i nieważnego, prawda? – odezwała się ze łzami, których nigdy nie widział

w jej oczach. – Było to tak idiotyczne, że niemal trudno mi o tym mówić. Stało się to dzięki tamtym dzieciom. Annie uznała zakaz jazdy motocyklem, jaki wydaliśmy Dale’owi, za w pełni uzasadniony; równie dobrze, jej zdaniem, moglibyśmy pozwolić mu się bawić bronią palną. A Brian wyraził przypuszczenie, że Dale jest teraz w niebie i patrzy na nas z góry, ubolewając z powodu kłopotów, jakie nam sprawił. – Łzy spływały na ich złączone dłonie. – Nagle wszystko nabrało dla mnie sensu, Greg – mówiła, szlochając. – Nie przypuszczam, żeby istniało prawdziwe niebo, lecz wierzę, że jego dusza gdzieś przebywa i że jest jej przykro z powodu naszej zgryzoty. Czuję, że muszę go wysłuchać i zapewnić, że wszystko jest już w porządku.

– Zbłąkana owieczka wróciła – oznajmił Danny, uśmiechając się sztucznie, i z pewną siebie miną wszedł na salę obrad, gdzie trwało zabranie. Powściągliwa w okazywaniu emocji 695

Mona McCarthy zajmowała miejsce pomiędzy Larrym, dyrektorem banku, a dwoma prawnikami.

– Przykro mi, ale nie wiedzieliśmy, że jesteś w kraju, Danny. Nie zamierzaliśmy wykluczać ciebie z zebrania – wyjaśniła. Mona odzywała się w ten sposób na naradzie?

– Powiedźcie synowi marnotrawnemu, czy historia zamieszczona w „Irish Times” o tłustym cielcu jest prawdziwa.

Barney był zagadkowo milczący; Danny kontynuował

swoją grę przed widownią, próbując ją sobie zjednać, a przynajmniej nieco rozweselić.

– Daruj sobie żarty, Danny. – Larry, dyrektor banku, nigdy go nie lubił. Dzisiaj też przywołał go do porządku niczym uczniaka.

Danny zamilkł. W ciągu następnego kwadransu dowiedział

się, że pani McCarthy, nie mając żadnego prawnego ani moralnego obowiązku, ażeby to robić, postanowiła uchronić firmę przed bankructwem. Wszystko miało zostać zlikwidowane, majątek sprzedany, a wierzyciele spłaceni. A skoro firma przestawała istnieć, nie ma już pracy dla Danny’ego Lyncha. Dyrektor banku dał mu również do zrozumienia, że będzie miał

poważne trudności ze znalezieniem posady w cieszącej się do-brą opinią agencji handlu nieruchomości. Jego błędne decyzje finansowe były powszechnie znane.

Dobrą wiadomość stanowiło cofnięcie osobistej gwarancji dotyczącej zastawu hipotecznego nieruchomości pod numerem szesnastym przy Tara Road. Dom nie musiał być sprzedany na pokrycie długów Barneya McCarthy'ego. Danny poczuł, że powoli zaczyna mu się wyrównywać oddech. Larry dodał jednak, że z praktycznego punktu widzenia ma do przekazania w związku z Tara Road również złe wiadomości. Danny nie dysponował żadnymi aktywami, był bez pracy i miał znacznie przekroczone konto w banku, więc dom i tak musi zostać wy-696

stawiony na sprzedaż.

Colm mgliście przypominał sobie z zebrania klubu Anonimowych Alkoholików Fergala, który przyszedł się z nim zobaczyć. O ile dobrze pamiętał, tamten był detektywem.

– Wiesz, że mieliśmy czuwać nad sobą nawzajem niczym masoni lub rycerze? – odezwał się Fergal, nieco zakłopotany.

– Wiem. Chcesz mi o czymś powiedzieć czy poprosić o przysługę? – Colm chciał ułatwić mu zadanie.

– Chcę ci o czymś powiedzieć. Krążą pogłoski, że twój szwagier handluje narkotykami w twojej restauracji. Szykuje się obława.

– Dziękuję.

– Wiedziałaś o jego poczynaniach?

– Podejrzewałem, że to robi.

– Ostrzeżesz go i każesz mu się stąd wynieść?

– Najchętniej zobaczyłbym go za kratkami, ale przedtem muszę coś zrobić.

– Jak długo to potrwa? Nie masz zbyt wiele czasu –

uprzedził go Fergal.

– Zatem muszę działać szybko – odrzekł Colm, przygotowując się do najtrudniejszej rozmowy w swoim życiu.

Obiecał siostrze, że się nią zajmie, lecz opieka nad Caroline zbyt długo oznaczała przymykanie oczu na jej uzależnienie.

Colm miał nadzieję, iż Marilyn Vine wywiąże się z obietnicy i przyjdzie mu z pomocą.

Mona McCarthy wciąż przemawiała na sali obrad. Barney i Danny razem wyszli z zebrania. Nie byli

tam dłużej potrzebni. Danny postanowił udawać pogodny nastrój.

– W lepszych czasach powiedzielibyśmy, że w takim dniu jak dzisiejszy nie pozostaje nam nic innego, jak zatelefonować 697

do Polly i zamówić stolik na lunch u „Quentina”.

– Nie będzie już więcej takich dni. – Barney był wyraźnie zgaszony.

– Czy to część porozumienia?

– Tak. A jak tobie poszło w Ameryce? Danny wzruszył

ramionami.

– Wiesz, jak...

– No cóż, dzięki temu przynajmniej Ria będzie coś miała.

– Tak.

– Co cię skłoniło do wcześniejszego powrotu?

– Bernadette poroniła.

– Och, Boże, Boże. A więc nadal jest szansa, że wszystko się dobrze ułoży.

– Nie, nie ma na to szansy – odrzekł Danny chłodnym tonem i poszedł łapać taksówkę, aby udać się do szpitala.

Greg wracał do Ameryki i Marilyn miała ogromną ochotę wsiąść razem z nim do samolotu.

– Nie mogę porzucić jej dobytku. Nie mogę opuścić toną-

cego okrętu i zostawić na pastwę losu domu, który i tak niebawem straci. To byłoby wobec niej zbyt okrutne.

– Oczywiście, że nie możesz tego zrobić – przyznał.

– Wrócę pierwszego września i pojedę prosto na Tudor Drive – obiecała.

– Więc ja także zjawię się tam w pierwszym tygodniu września – zaproponował mąż.

– Zrezygnujesz z posady na Hawajach?

– Zrozumieją. – Greg nie miał co do tego wątpliwości. – I tak było to stanowisko tylko na pewien czas. Ucieszą się, że mamy kryzys za sobą.

– Szkoda, że sytuacja Rii nie ulegnie poprawie – westchnęła Marilyn.

698

– Tego nie wiemy, być może ulegnie – wyraził nadzieję Greg.

– Nie, Ria pragnie powrotu męża, tymczasem Danny jest już dla niej stracony. Doszły mnie plotki, że wrócił i nie odstępował tamtej dziewczyny.

– Przeboleje – zawyrokował Greg.

– Jaka ona jest? – zapytała nagle Marilyn. – Jako kobieta?

– Zapomniałem, że jej nie znasz. Bardzo ciepła i w pewien sposób prostoduszna. Nigdy nie brakuje jej słów. Przez moment sądziłem, że jej nie polubisz, obecnie jednak jestem przeciwnego zdania. Podejrzewam, że mój brat, Andy, również zapalał do niej sympatią.

– No proszę! – wykrzyknęła Marilyn. – Jeszcze zostaniemy szwagierkami!

– Nie ciesz się za wcześnie – zauważył.

Po jego wyjściu Marilyn usiadła przy stole i powiedziała do Klemensa:

– Wiesz, my też będziemy mieli kota, identycznego jak ty, głupi zwierzaku.

Colm wszedł do domu od strony ogrodu. Był bardzo blady.

– Dobrze, że zaczęłaś rozmawiać z kotem – odezwał się na powitanie.

Marilyn była zaskoczona, gdyż zwykle nie przychodził bez uprzedzenia. Teraz jednak nie czekał na to, co ona powie.

– Muszę działać niezwłocznie i zamierzam dzisiaj jej to powiedzieć. Pomożesz?

– Byłeś w ośrodku? – Tak.

– I przyjmą ją tam, jeśli wyrazi zgodę? – Tak.

– W takim razie pomogę, oczywiście – zapewniła go Marilyn.

– Ria? Tu Danny.

– Och, dzięki Bogu, miałam nadzieję, że się odezwiesz.

699

– Sporo się wydarzyło.

- Co u ciebie?
- No cóż, straciliśmy dziecko, ale należało się tego spodziewać.
- Bardzo mi przykro.
- Wiem, że mówisz szczerze, Rio.
- W pewnym sensie jednak...
- Jestem przekonany, że nie będziesz taka, jak wszyscy dookoła, którzy błędnie sądzą, że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło – przerwał jej.
- Nie zamierzałam tego powiedzieć – skłamała.
- Wiem, że nie, ale ludzie tak mówią, co bardzo denerwuje nas oboje.
- Na pewno. – Ria była zbita z tropu, lecz za nic nie mogła tego okazać. – Dzieci są zdrowe i szykują się już do powrotu do kraju. Niebawem spotkamy się i omówimy plany na przyszłość.
- Nie są tak czarne, jak mogły się na początku wydawać –
oznajmił Danny.
- Co to znaczy?
- Mona miała trochę oszczędności, więc Barney pomimo wszystko nie dostanie naszego domu.
- Danny! – Nie posiadała się z radości.
- I tak będziemy musieli go sprzedać, ale przynajmniej dzięki temu ty i ja uzyskamy jakieś pieniądze i znajdziemy dla was inne lokum.
- Jasne.
- Zadzwoń, ażeby ci o tym powiedzieć.
- Tak...
- Dobrze się czujesz? – W jego głosie zabrzmiała troska.
- Świetnie, a dlaczego pytasz?
- Sądziłem, że będziesz zadowolona. W całym tym nie-700
szczęściu nagle pojawił się jaśniejszy punkt w postaci Mony McCarthy.
- Naturalnie, że jestem zadowolona – zapewniła go Ria. –

Przepraszam cię, Danny, ale muszę kończyć. Ktoś dzwoni do drzwi. – I szybko się rozłączyła.

Nikogo za drzwiami nie było, nie mogła jednak dopuścić do tego, żeby usłyszał w jej głosie płacz. Nie chciała się przed nim zdradzić, że dopiero teraz do jej nieszczęsnej świadomości dotarła prawda. To, do czego doszło pomiędzy nimi, nic dla niego nie znaczyło. Nie mieli już przed sobą wspólnej przyszłości.

– Szef chce zarezerwować na dzisiejszy wieczór sześćoosobowy stolik przy drzwiach – oświadczył jeden z bezimien-nych przyjaciół Monta, którzy zwykle mu towarzyszyli.

– Wszystkie są już zajęte – odrzekł spokojnie Colm.

– Nie sędzę.

– Poproś mojego szwagra, żeby sam ze mną porozmawiał, jeśli ma wątpliwości.

Colm dał znać swojemu przyjacielowi Fergalowi, aby zawiadomił oddział do walki z narkotykami, że Caroline została już umieszczona w ośrodku odwykowym i jest bezpieczna.

Monto nie miał tam wstępu i nie mógł zaproponować jej na-stępnej działki.

– Szef nie lubi takich, którzy prowadzą z nim gierki.

– To zrozumiałe – przyznał uprzejmie Colm.

– Zjawi się tutaj.

– Jestem pewien, że ci uwierzy, jeśli go zawiadomisz, że dzisiaj wieczorem nie ma tutaj dla niego miejsca. Dlaczego miałby nie dać wiary twojemu słowu?

– Odezwie się do ciebie.

Colm był tego pewien. Fergal obiecał dopilnować, aby w 701

pobliżu stał nieoznakowany samochód z kilkoma policjantami w cywilu.

– To bardzo miły gest z twojej strony, Fergalu. Zawsze możesz liczyć u mnie na kolację dla siebie i towarzyszącej ci osoby.

– Nie mam nikogo takiego od czasów, kiedy nadużywałem alkoholu – stwierdził ze smutkiem detektyw.

– Ja też nikogo sobie nie znalazłem. Jesteśmy parą strasz-liwych durni. Mam jednak nadzieję, że obecny rok okaże się dla mnie pod tym względem przełomowy – powiedział Colm z pewnością, jakiej nie odczuwał.

Marilyn zatelefonowała do restauracji.

– Postanowiłam zaprosić Gertie dzisiejszego wieczora na kolację do twojego lokalu.

– Wspaniale, będziecie moimi gośćmi – powiedział Colm.

– Nie chcę o tym słyszeć.

– Pomyśl o tym, co zrobiłaś dla Caroline.

– Ona była gotowa do podjęcia takiej decyzji, naprawdę.

Obawiała się tylko, że jeśli tam pójdzie, sprawi ci zawód, to wszystko.

– Czyż wszyscy nie jesteśmy, na swój sposób, obłąkani?

– Z pewnością – przyznała ze śmiechem Marilyn. – Ja i Gertie spędzimy spokojny wieczór w porównaniu z moją pierwszą wizytą w twoim lokalu. Pamiętasz tę artystkę, która wypięła zawartość wazonu z kwiatami?

– Nie sposób o niej zapomnieć; nie dałbym jednak złama-nego szeląga za to, czy dzisiejszy wieczór rzeczywiście okaże się spokojny.

– Czy możemy zaprosić Maine'ów? Nasza wizyta u nich została skrócona.

– Wiem, Annie, ale był po temu ważny powód.

702

– Pomimo to, proszę, zgódź się, mamó...

– Sama nie wiem...

– Być może to nasze ostatnie prawdziwe wakacje, jeśli rzeczywiście zostaliśmy zrujnowani i porzuceni przez tatę.

Chcemy mieć przynajmniej miłe wspomnienia.

– Rzeczywiście – przyznała Ria.

– Dobrze się czujesz, mamó?

– Tak. Nie chcę tylko, żebyś się zadurzyła w chłopaku, z którym za dziesięć dni będziesz musiała się rozstać.

– Rozumiem, mamó. Wolałabyś takiego, z którym mogłabym się widywać w dzień i w nocy przez resztę mojego życia –

stwierdziła Annie, a jej oczy zabłyśły.

– Zaproś ich – zgodziła się Ria. Decyzja w tej sprawie i tak nie była ważna. Nic już nie miało znaczenia.

Rosemary przyszła zobaczyć się z mieszkanką domu pod numerem szesnastym przy Tara Road.

– Właśnie tędy przechodziłam. Słyszałam od Gertie, że twój mąż cię odwiedził.

– Tak.

– Czy wizyta była udana?

– Bardzo, dziękuję.

– Masz jakieś wieści od Rii? – Jeśli Rosemary była zdziwiona, że musi zadawać te wszystkie pytania, stojąc na progu domu, nie dała tego po sobie poznać.

Nagle Marilyn otworzyła szerzej drzwi.

– Tak się złożyło, że mam. Wejdz, przekażę ci nowiny.

Bernadette opuściła szpital i wróciła do domu. Leżała na kanapie. Danny przyniósł jej zupę w miseczce.

– Jesteś kochany – stwierdziła. – Co to takiego?

– Rosół z puszki z odrobiną brandy. Doda ci sił. – Pogła-703

skał ją po twarzy.

– Nie ma lepszego od ciebie człowieka na ziemi.

– Do niczego się nie nadaję. Muszę sprzedać nasz nowy dom, jeszcze zanim zaczęliśmy go spłacać.

– To nie jest dla mnie ważne, wiesz o tym.

– Tak, wiem.

– A co z Rią? – Po raz pierwszy o nią zapytała. – Czy pogodziła się już z koniecznością sprzedaży Tara Road?

– Sądzę, że tak. Kiedy tam byłem, sprawiała wrażenie oswojonej z tym faktem. Jednak po mojej ostatniej telefonicznej rozmowie z nią straciłem tę pewność. Nie wiem, co wpłynęło na zmianę jej zachowania.

– Telefony nie są dobrym wynalazkiem – stwierdziła Bernadette. – Czy mówiła coś o dziecku?

– Tak, powiedziała, że bardzo jej przykro.

– Wierzę jej – odrzekła Bernadette. – Dzieci pewnie też się zasmucili. Pamiętasz, jak Brian się dopytywał, czy niemowlę będzie miało błonę pomiędzy palcami u nóg? – Uśmiechnęła się na to wspomnienie. Zaraz jednak rozplakała się na myśl o małym chłopcu, którego stracili.

– Marilyn usiadła naprzeciwko Rosemary w pięknym salonie.

– Co powiesz na kieliszek wiśniówki? – spytała sztywno, sięgając po karafkę i napełniając alkoholem dwa kryształowe kieliszki stojące na tacy. – Ria myśli o założeniu własnej firmy po powrocie do kraju.

– Tak, wspominała o tym.

– Nie będzie potrzebowała oddzielnego lokalu ani specjalnych urządzeń, a jest bardzo utalentowaną kucharką.

– Tak, wiem o tym.

– Colm zwolnił cukiernika, będzie więc mogła zaopatrzyć jego restaurację w wypieki. Mam również nadzieję, że 704

zostanie wprowadzona do „Quentina”, aby robić dla nich jakieś oryginalne i bezkonkurencyjne dania.

Marilyn była pełna zapału i determinacji. Rosemary zastanawiała się, do czego ta kobieta zmierza.

– Przydałby się jej kontakt z właścicielami dużych delikatesów; tych u zbiegu trzech ulic. Wiesz, które mam na myśli?

Rosemary wymieniła nazwę sklepu.

– Właśnie. Będzie też piekła ciasta dla zakładu Świętej Rity. Już tam byliśmy z jej matką i omówiliśmy sprawę.

– Bardzo pracowicie spędzasz czas. – Rosemary była pod wrażeniem.

– Lecz co najważniejsze, Ria potrzebuje kogoś, kto by jej udzielił profesjonalnej pomocy; kogoś takiego jak ty, Rosemary.

– Nie potrafię gotować, moja wiedza kulinarna ogranicza się do otwierania puszek – wyznała Rosemary.

– Mam na myśli opracowanie i wydrukowanie dla niej broszur reklamowych, wizytówek oraz menu z propozycjami dań.

– Oczywiście... jeśli tylko mogę się do czegoś przydać...

– Chodzi mi także o to, aby została przedstawiona odpowiednim ludziom. Możesz w tym celu wydać kilka bankietów w swoim biurze i zaprosić na nie właścicieli lokali, w których bywasz.

– Chyba trochę przesadzasz, Marilyn. To robota na pełen etat.

– Uważam, że powinnaś poświęcić dużo swojego czasu na realizację tego przedsięwzięcia. – Głos Marilyn miał teraz lodowate brzmienie. – A nawet zainwestować w nie trochę pieniędzy, Rosemary.

– Przepraszam, ale naprawdę nie rozumiem, co ja z tego będę miała...

705

Tamta weszła jej w słowo.

– Jutro będę rozmawiała z Rią. Chciałabym ją zawiadomić o ustaleniach dotyczących jej przyszłej działalności. Dobrymi chęciami wybrukowane jest piekło. Obecnie potrzebna jej rze-telna, konkretna pomoc, którą ty możesz ofiarować.

– Nigdy nie angażuję się w plany moich przyjaciół, Marilyn. To żelazna zasada, której zawsze przestrzegam. Wystarczająco ciężko pracuję na własne utrzymanie. Poza tym nie chcę narażać na szwank dobrych stosunków z moimi znajomymi. Jeśli nie ryzykuję pieniędzy zainwestowanych w czyjąś działalność, zwiększam szansę na trwały charakter wzajemnej przyjaźni. Mam nadzieję, że zgadzasz się ze mną?

Zapadło milczenie.

– Oczywiście chętnie tu i ówdzie szepnę słówko o kulinarnych umiejętnościach Rii – powiedziała Rosemary. Cisza trwała nadal. – I jeśli usłyszę o czymś...

– Sądzę, że powinniśmy przygotować listę twoich konkretnych zobowiązań. Spiszemy również wszystko to, co szczerza i serdeczna przyjaciółka, jaką jesteś dla Rii, zrobiła dla niej podczas jej nieobecności w kraju.

W stwierdzeniu tym zabrzmiała groźba. Rosemary spojrzała na Marilyn oszołomiona. Czy to możliwe, że ta kobieta ją szantażuje?

– Ponieważ musi wiedzieć, że przyjaciele potrafią również okazać pomoc, a nie tylko poprzestają na zapewnieniach o wsparciu – ciągnęła swój wywód Marilyn. – I na cóż zdałaby się jej przyjaźń kobiety, która ją zdradziła?

– Słucham?

– Bo jak nazwać inaczej, jeśli nie zdradą, zachowanie bliskiej osoby, która zabrała Rii to, co miała najcenniejszego na świecie, nie przestając się jednak podawać za jej przyjaciółkę?

Głos Rosemary był teraz niewiele głośniejszy od szeptu: 706

– Co masz na myśli?

– A jak sądzisz, na czym Rii zależy najbardziej na świecie, Rosemary?

– Nie wiem. Na domu? Na dzieciach? Na Danny'm?

– Właśnie. Nie jesteś w stanie zapobiec sprzedaży domu, a dzieci są przy niej. Więc? – Marilyn zamilkła.

– Więc? – powtórzyła drżącym głosem Rosemary. Ta cholerna Amerykanka wiedziała!

– Więc możesz pomóc jej zachować godność i szacunek dla samej siebie – zasugerowała pogodnym tonem Marilyn.

Imię Danny'ego zostało przemilczane. Zaczęły zapisywać, co Rosemary robi, ażeby pomóc Rii w budowaniu kariery zawodowej.

Gertie prasowała sukienkę dla Marilyn.

– Cóż za przepiękny odcień. To barwa fuksji, prawda?

– Sądzę, że tak. Nie leży na mnie zbyt dobrze i rzadko ją wkładam.

– Szkoda. Jest wspaniała. Kiedy przed laty pracowałam w wypożyczalni strojów „U Polly”, miałyśmy tam kreację w identycznym kolorze. Panie zawsze wypożyczały ją na wesela.

– Podoba ci się? – spytała nieoczekiwanie Marilyn. – Nie noszę jej i naprawdę byłabym szczęśliwa, mogąc ci ją podarować.

– No cóż, skoro rzeczywiście chcesz się jej pozbyć...

– Włóż ją dzisiaj wieczorem do Colma, będzie ci do twarzy w tym kolorze. – Gertie się zachmurzyła.

– Dzisiejsze nasze plany na wieczór są nadal aktualne, prawda? – upewniła się Marilyn. Pomyślała, że zabije Gertie, jeśli ta teraz stchórzy.

– Oczywiście, że tak. Jack, przez wzgląd na mnie, bardzo się ucieszył. Nie sądzę jednak, że będzie zadowolony, jeśli 707

zobaczy mnie w tej sztywnej kreacji: w sukni, której sam nie kupił.

– Możesz się przebrać w drodze do restauracji.

– Czemu nie mogę się wystroić. Tylko co mi z tego przyjdzie? – odpowiedziała Gertie z rozzwierającym serce uśmiechem. Marilyn była rada, że powstrzymała się od niemiłej uwagi na temat Jacka.

O siódmej w restauracji zjawił się Monto w towarzystwie dwóch kompanów. Skierował się prosto do stolika, przy któ-

rym zwykle siadał. Sala wciąż była pusta, Colm dopiero za pół

godziny spodziewał się pierwszych gości. Sytuacja wydawała się lepsza, niż oczekiwał.

– Przepraszam cię, Colmie, ale chyba zaszło nieporozumienie. Czy nie została ci przekazana wiadomość, że umówi-liśmy się tutaj w gronie przyjaciół? Dwaj przyjechali z Anglii, a jeden z północy. To ważne spotkanie.

– Nie dzisiejszego wieczora, Monto.

– Czy masz mi jeszcze coś do powiedzenia? – Szwagier uśmiechnął się lekko.

Miał krótko ostrzyżone włosy i tłusty kark. Kosztowny garnitur nie mógł zatuszować jego figury, a staranny manikiur poprawić wyglądu grubych dłoni ani kwadratowych paznokci.

Colm zmierzył go wzrokiem.

– Masz krótką pamięć. Niedawno powiedziałaś, że jesteś moim dłużnikiem – przypomniał Monto.

– Spłaciłem swój dług. Zrealizowałeś w moim lokalu wystarczająco wiele transakcji.

– Transakcji? – Monto spojrział na swoich dwóch kompanów i wybuchnął śmiechem. – Czy słowo „zamówień” nie jest tu właściwsze, Colmie? Wydaje mi się, że prowadzisz restaurację, prawda? I serwujesz posiłki, a nie narkotyki.

– Żegnam, Monto.

708

– Niech ci się nie wydaje, że możesz rozmawiać ze mną w ten sposób.

– Gdybyś wiedział, co jest dla ciebie dobre i rozsądne, nie ociągałbyś się z wyjściem.

– Podaj mi jakiś powód.

– Numer rejestracyjny samochodu z północnej Irlandii już został spisany. Twoi goście z Wielkiej Brytanii zostaną przesłuchani, a wszystkie twoje meliny będą przeszukane.

– Wielkie słowa, Colmie... a kto się zaopiekuje twoją siostrą? Nie ma wystarczającej ilości towaru na przetrwanie weekendu.

– Jest już pod właściwą opieką, bardzo dziękuję.

– Nikt w całym mieście nie dostarczy jej towaru. Wszyscy wiedzą, że jest moją żoną i mieszkamy razem.

– Wiedzą więcej od ciebie. Od trzech dni Caroline nie widziała cię na oczy. – W głosie Colma brzmiał wielki spokój.

– Czy zamierzasz wszcząć wojnę narkotykową w swojej restauracji tylko dlatego, że znalazłeś nowego dostawcę dla Caroline?

– Nie wszczynam żadnej wojny. Proszę cię tylko, żebyś sobie poszedł.

– Skąd masz pewność, że cię posłucham?

– Stąd, że na ulicy stoi samochód policji.

– Wystawiłeś mnie?

– Wyobraź sobie, że nie. Powiedziałem im tylko, iż nie będzie żadnego spotkania i nie dojdzie do żadnej transakcji –

ani dzisiaj, ani w przyszłości.

– I uwierzyli ci?

– Byli przekonani o szczerości mojego zapewnienia. Dobranoc, Monto.

Kiedy przybyły Marilyn i Gertie, odzyskał już spokój.

709

– Gertie! Ślicznie wyglądasz! Zawsze powinnaś nosić sukienki w tym kolorze.

– Będę, dziękuję, Colmie – powiedziała uradowana z komplementu.

– Czekają nas dzisiaj wieczorem fajerwerki? – spytała Marilyn.

– To zdumiewające, ale już po sprawie. Wszystko ściał

pierwszy przymrozek – odrzekł.

– Oboje jesteście bardzo tajemniczy – zachichotała Gertie.

– To sekrety ogrodników uprawiających ten sam ogród –

wyjaśnił Colm.

Po drugiej stronie sali zauważyli Polly Callaghan. Była w towarzystwie mężczyzny o bardzo dystyngowanym wyglądzie.

– Barney okazał się bardzo wyrozumiały, skoro pozwolił

jej pójść na kolację w męskim towarzystwie. – Gertie była pełna uznania.

– Sadzę, że McCarthy już zniknął z jej życia – powiedział

Colm.

– Tak, masz rację. Słyszałam, że jutro Polly wyprowadza się z mieszkania. – Gertie zupełnie zapomniała o tym fakcie.

– A skąd ty, na Boga, wiesz o tym wszystkim, Colmie? –

spytała Marilyn Vine, którą zaledwie kilka tygodni temu owa sprawa w ogóle by nie obeszła.

– Pracując w restauracji, można wiele zobaczyć i usłyszeć

– stwierdził. Podał im menu i odszedł.

Rosemary Ryan pomachała do nich od swojego stolika.

– Kim są towarzyszące jej kobiety? – spytała Marilyn.

– To jej siostra Eileen oraz dziewczyna siostry, Stephanie.

One naprawdę są lesbijkami – zachichotała Gertie.

– Miejmy nadzieję, że dzisiaj nie zjawi się owa dama, któ-

ra wypła wodę z wazonu, i nie zmusi ich swoim zachowaniem do wyjścia – powiedziała Marilyn.

710

– Tamte dwie mają zwichrowany sposób myślenia. Rosemary tego nie znosi.

– Od kiedy to jest taka prostolinijna? – spytała z uśmiechem Marilyn.

Kiedy Gertie wróciła do domu, Jack już na nią czekał.

– Spędziłaś miły wieczór?

– Tak, bardzo, w gronie znajomych, sympatycznych kobiet.

– Od kogo dostałaś tę wyzywającą purpurową kieckę?

– Od Marilyn; źle w niej wyglądała.

– Każdy by źle w niej wyglądał; tylko dziwka może ją uznać za twarzową – oświadczył.

– Och, nie mów tak, Jack.

– Kochałem cię przez całe życie, a ty wiecznie mnie zdradzałaś i zwodziłaś.

Dotychczas nie zdarzyło się, ażeby mówił do niej w ten sposób.

– Mylisz się, Jack. Nigdy nie spojrziałam na innego męż-

czynę, nigdy.

– Udowodnij to!

– Czyż nie wytrwałam przy tobie nawet wtedy, gdy byłeś w złej formie?

– To prawda – przyznał. – Szczera prawda.

Poszli do łóżka. Leżała nieruchomo, bojąc się poruszyć w obawie, aby nie poczuć na sobie jego pięści. Obserwowała Jacka kątem oka. Nie spał i patrzył w sufit. Był niebezpiecznie spokojny.

– Halo, Marilyn, tu tylko Ria. Nie kłopotz się odpowiada-niem na mój telefon, może mnie nie być w domu. Nie wiem, gdzie będę. Nic ważnego. Przepraszam za mój niezbyt wesoły 711

nastrój. Wiem, że głupotą jest wydzwanianie do kogoś w stanie psychicznej depresji. Telefonuję dlatego, że... Dzwonię głównie po to, ażeby podziękować ci za e-mail, jaki nadałaś z kawiarni dla internautów. Czyż Rosemary nie jest cudowna, że robi dla mnie to wszystko? Chyba każdy z nas zginąłby bez przyjaciół. Pożegnaj się już, ponieważ muszę odwieźć do domu dzieci Maine'ów. Annie ma złamane serce; wygląda na to, że kompletnie straciła głowę dla siostrzeńca Gertie. Wszyscy śmieją się z pierwszej miłości, ale Danny również był moją pierwszą miłością i spójrz, jak długo przetrwało to uczucie.

Przynajmniej z mojej strony. Życzę wszystkiego dobrego. Ria.

Nazajutrz Jack Brennan zalał się na umór już wczesnym rankiem. Najpierw poszedł do Nory Johnson, pod numer czterdziesty ósmy.

– Czy moja żona sprząta u pani córki i u wszystkich jej przyjaciółek? – wrzasnął.

– Nie miałabym ci nic do powiedzenia, nawet gdybyś był

trzeźwy – oświadczyła odważnie matka Rii. – Ilekroć spotykam twoją żonę, zawsze jej radzę, ażeby niezwłocznie cię rzuciła. Życzę miłego dnia.

Jack zawlókł się do Rosemary.

– Przysięgnij się na świętą Biblię, że Gertie nigdy nie sprzątała u ciebie ani u nikogo ze znajomych.

– Och, wynoś się stąd do diabła, bo zadzwonię po policję!

– odpowiedziała i przeciskając się obok Jacka, wyminęła go w przejściu.

Następną wizytę złożył dentyście. Jimmy Sullivan zobaczył go przez okno i osobiście poszedł otworzyć mu drzwi.

– Powiedz mi.

– Nic ci nie powiem, Jacku Brennanie, tylko to, że naprawiam zęby twojej żonie za każdym razem, ilekroć ją uderzysz, 712

i nie mam ochoty robić tego więcej!

Jack zaczął się głośno dobijać do drzwi Marilyn.

– Czy dałaś Gertie tę kieckę odpowiednią dla dziwki?

– A powiedziała, że jest ode mnie?

– Niech ci się nie zdaje, że taka z ciebie mądrala.

– Myślę, że powinieneś stąd odejść, Jack.

Marilyn zatrzasnęła mu drzwi przed nosem i wyjrzała przez okno, ażeby sprawdzić, dokąd poszedł. Zobaczyła, że przebiegł przez jezdnię i skierował się w stronę przystanku autobusowego.

Polly Callaghan miała już wszystko spakowane. Dzisiaj przeprowadzała się do wynajętego mieszkania: nieumeblowa-nego lokalu, dokąd mogła zabrać swoje rzeczy. Dobrze, że ta szara mysz, żona Barneya, która cichcem zgromadziła wielkie pieniądze, przynajmniej nie zagarnęła jej osobistego dobytku.

Ubiegłego wieczora Polly poszła na kolację z sympatycznym mężczyzną, który od dawna zabiegał o randkę z nią. Wieczór był śmiertelnie nudny. Polly nie odważyła się myśleć o życiu bez Barneya. Żałowała, że nie potrafi go znienawidzić.

Nienawidziła tylko samej siebie za podjęcie błędnej decyzji przed wieloma laty.

Nadjechała ciężarówka do przewozu mebli i Polly z westchnieniem zaczęła wydawać polecenia, które miały ostatecznie zakończyć ten etap jej życia. Telefon został odłączony, lecz aparat w samochodzie działał nadal. I w tym momencie zadzwonił.

– Kocham cię, Poll.

– Nie, wcale mnie nie kochasz, Barneyu, ale to już nie ma znaczenia.

– Co znaczy: „nie ma już znaczenia”?

– To, że nie ma – odpowiedziała i się rozłączyła. Zamie-713

rzała pojechać przed furgonem, aby pilotować go do swojego nowego miejsca zamieszkania. Przed zamknięciem drzwi po raz ostatni ogarnęła wzrokiem wnętrze. Westchnęła. Niełatwo było powiedzieć Barneyowi, że jego uczucia już się dla niej nie liczą. Musiała jednak być praktyczna. Nigdy nie miała złudzeń co do tego mężczyzny. Przypominał Danny'ego Lyncha, chociaż o ile Polly

się orientowała, Danny nigdy nie miał w żadnej swojej partnerce tak mocnego oparcia, jakim ona była dla Barneya. Wiedziała też, że McCarthy na zawsze zostanie z żoną, gdyż Mona jest dlań bezpieczną przystanią. Tymczasem Danny zrezygnował ze swojej bezpiecznej przystani – wiernej, kochającej Rii – i wyniósł się z domu do niewymagającej, uległej Bernadette. A i przedtem utrzymywał kilka pozamałżeńskich związków, jak choćby ten o dramatycznym przebiegu ze zwariowaną Orlą King. Tak wyglądały fakty. Polly nigdy nie była oszukiwana ani zdradzana. Zawsze zdawała sobie sprawę ze swojego szczęścia. I z tego, że ma mnóstwo lat życia przed sobą.

Ostatni raz spojrzała przez okno na meblowóz. Wszystko było już załadowane. Do zabrania pozostał tylko podręczny bagaż. Nagle rozległy się wrzaski; to jakiś pijak wykrzykiwał

przekleństwa. Polly nie dostrzegła, co się dzieje; nagle usłyszała tylko głuchy stukot wywołany uderzeniem, po którym nastąpił pisk hamulców. Zewsząd dobiegały krzyki. Chłopakowi, który siedział za kierownicą, jacyś ludzie pomagali opu-

ścić samochód.

– Nie mogłem temu zapobiec, sam się rzucił pod koła, przysięgam – wyjaśniał, jękając się, kierowca.

Ofiarą wypadku był Jack Brennan. I nie żył.

714

Rozdział 9

Kiedy weszli do pralni, panował tam wielki ruch. Prasowanie koszul okazało się bardzo intratnym zajęciem – Gertie otrzymywała teraz zlecenia z wielu firm. Colm bardzo wysoko oceniał jakość jej pracy, a osobista rekomendacja w świecie biznesu zawsze ma duże znaczenie. Gertie podniosła wzrok i zobaczyła Polly. Gdy spostrzegła za jej plecami dwoje funkcjonariuszy porządku publicznego, podniosła rękę do ust.

– Jack? – wykrzyknęła zdławionym głosem. – Czy zrobił

coś złego? Ubiegłego wieczora zachowywał się nienagannie; był bardzo spokojny i milczący. Co przeskrobał tym razem?

– Usiądź, Gertie – poprosiła Polly. Policjantka precyzyjnie przeszła przez grupę pracownic i ciekawskich klientów, ażeby przynieść szklankę wody.

– Zdarzył się wypadek. Wszystko rozegrało się błyskawicznie, Jack nic nie poczuł – oznajmiła Polly. – Sanitariusz powiedział, że to trwało nie dłużej niż sekundę.

– O czym ty mówisz? – Twarz Gertie była kredowobiała.

– Nie wszyscy mają tyle szczęścia, ażeby tak szybko i bezboleśnie odejść, Gertie. Pomyśl, ile niektórzy ludzie muszą się wycierpieć, zanim umrą.

Młoda policjantka podała Gertie szklanę wody. Nosiła mundur dopiero od tygodnia. I po raz pierwszy została wysłana, aby zawiadomić kogoś o tragedii. Była zadowolona, że pani Callaghan przyszła razem z nimi. Nieszczęsna właścicielka pralni sprawiała wrażenie, jakby za moment miała zemdleć albo sama wyzionąć ducha.

– To niemożliwe, że on nie żyje – powtarzała w kółko Gertie. – Nie skończył nawet czterdziestki, ma przed sobą wiele udanych lat życia; oboje mamy.

715

– Pani Marilyn Vine? Mówi Polly Callaghan. Kiedyś spotkałyśmy się w przelocie. Jestem właśnie u Gertie Brennan.

– Słucham?

– Zdarzył się tragiczny wypadek, w którym poniósł śmierć mąż Gertie. Jest załamana. Zawiadomiono już jej matkę... Jestem teraz przy Gertie... ale muszę jechać i wpuścić ludzi do mojego nowego mieszkania. Pomyślałam...

– Chce pani, żebyśmy przyszła do pralni?

– Tak, jeśli to możliwe. Byłabym pani bardzo wdzięczna.

Marilyn usłyszała w głosie kobiety usilną, niemal rozpaczliwą prośbę.

– Już tam biegnę! – zawołała i krzyknęła do Colma, który pracował w ogrodzie: – Idę do Gertie. Jack miał wypadek!

– Mam nadzieję, że nie skończyło się na lekkich obrażeniach – odpowiedział.

– Nie. Okazały się śmiertelne – oznajmiła zwięźle Marilyn.

Ku jej zdziwieniu rzucił na ziemię widły i spiesznie wszedł do domu.

– Jezu, jak mogłem sobie pozwolić na tak głupią uwagę.

Idę razem z tobą – oświadczył. – Pobiegnę przodem i zawiadomię Norę Johnson. Na pewno też zechce tam pójść.

Marilyn nie po raz pierwszy pomyślała, że Irlandczycy są niezwykle ludźmi. Zawsze, ilekroć człowiek pragnął zostać sam ze swoim smutkiem, gromadziła się wokół niego połowa mieszkańców tego kraju. Wciąż nie mogła uwierzyć w to, co się stało. Jack Brennan, który przed niespełna dwiema godzinami pukał do jej drzwi, nie żyje? „Myślę, że powinieneś stąd odejść” – takie były ostatnie słowa, jakie do niego wypowiedziała. Czy gdyby zaprosiła go na kawę i spróbowała dodać mu otuchy, żyłby nadal? Marilyn już raz podążała tą drogą i nie chciała robić tego ponownie. Nie ponosiła winy za to, co spo-

tkąło męża Gertie; nie zamierzała brać na siebie odpowiedzialności za wszelkie tragedie wszechświata. Postanowiła pójść i zobaczyć, w czym może pomóc żywym.

Matka Rii była właściwą osobą na właściwym miejscu.

Dokładnie wiedziała, co robić. Zachęciła personel pralni, aby powrócił do przerwanych zajęć. Powiedziała, że właśnie tego życzyłyby sobie Gertie, gdyby mogła o tym pomyśleć. Kontynuowanie pracy nie świadczy o bezduszości, jest jedynie wywiązaniem się z obowiązków wobec klientów. Gdyby wszakże pracownice miały ochotę złożyć się po pięćdziesiąt pensów, była gotowa pójść i kupić wielki bukiet kwiatów. Dołączyłyby do niego list kondolencyjny i pierwsze złożyły wdowie wyrazy współczucia. Wszystkie poszperały w kieszeniach fartuchów i Nora wróciła z bukietem, który kosztował trzy razy więcej, niż wynosiła zebrana kwota.

– Co można napisać w takiej sytuacji? – zapytała jedna z dziewczyn.

– Czy nie wystarczy na przykład: „Dla Gertie z wyrazami miłości i współczucia”?

Nora Johnson wiedziała, że nikt z personelu, podobnie jak ona, nie zniósłby wzmianki o Jacku na załączonym bileciku.

Zaledwie przed kilkoma godzinami skrzyczała tego pijaka, przyznając, że często namawiała Gertie do rozwodu. Nie żałowała swoich słów; zawsze uważała takie rozwiązanie za najbardziej dla niej korzystne. Oczywiście w obecnej sytuacji nie było sensu mówić o tym Gertie.

Marilyn nie posiadała się ze zdumienia, widząc, jak małe mieszkanie nad pralnią zapełnia się ludźmi. Stół został przekształcony w bufet. Znalazła się tam szynka i pasztet z restauracji Colma. Jimmy i Frances Sullivanowie przysłali skrzynkę wina oraz wodę sodową. Hilary przekazała wiadomość, że

717
przyjedzie zaraz po pracy z torbą czarnych ubrań dla Gertie.

Przywieziono dzieci: Johna i Katy. Zostały zabrane z letnich kolonii, za które zapłaciła babka, chcąc zapewnić wnukom namiastkę normalnych wakacji. Były oszołomione i zakłopotane. Matka Gertie również przyszła i choć usta miała zaci-

śnięte w cienką linię, serdecznymi słowami podtrzymywała ogólnie znaną fikcję o tragicznej stracie, jaką poniosła jej córka, w osobie tak wspaniałego człowieka, kochającego męża i oddanego ojca.

Wszystko to wydawało się całkowicie nierealne. Marilyn wciąż powtarzała sobie w myślach, że ludzie ci mówią dokładnie to, co Gertie pragnie usłyszeć.

Ria piła kawę z Sheilą Maine, gdy zatelefonowała matka Sheili i Gertie z wiadomością o śmierci Jacka. Powiedziała, że nie może rozmawiać, ponieważ w mieszkaniu córki znajduje się mnóstwo ludzi. Ria pomyślała, że trudno jej mówić także dlatego, że i ona została zobowiązana do podtrzymywania fikcji o bajkowym małżeństwie. Sheila wpadła w rozpacz.

– Co ona pocnie bez Jacka? – załkała. – Ma zrujnowane życie. Niektórzy ludzie uważają swoje

związki za udane, ale małżeństwo Gertie było z rodzaju tych, o jakich można jedynie marzyć.

*

Polly zostawiła wiadomość w biurze Rosemary Ryan. Po-informowano ją, że tamta rozmawia przez drugi telefon i nie można jej przeszkadzać.

– Proszę tylko zawiadomić panią Ryan, że mąż Gertie Brennan nie żyje.

– Czy życzy pani sobie, abym przekazała jakieś szczegóły, 718

pani Callaghan? – Sekretarka Rosemary Ryan była tak samo opanowana jak szefowa.

– Nie, dziękuję. Pani Ryan będzie wiedziała, co robić –

uznała Polly.

– Danny, muszę z tobą porozmawiać. – Rosemary zadzwoniła pod numer telefonu komórkowego Danny’ego Lyncha.

– Wybrałaś niezbyt odpowiedni moment, Rosemary. –

Siedział, trzymając za rękę Bernadette, która co jakiś czas zapadała w sen.

– Nie przejmuj się mną, jeśli musisz pomówić z kimś o interesach – powiedziała Bernadette.

Przeniósł się z telefonem do sąsiedniego pokoju.

– O co chodzi, Rosemary?

– Nie odezwałeś się do mnie po powrocie.

– No cóż, wiele się ostatnio wydarzyło.

– Czy nie uprzedziłam cię o tym, gdy byłeś w Ameryce?

– Nie chodzi o pracę. Straciliśmy dziecko.

– Och, tak.

– Czy tylko tyle masz do powiedzenia?

– Przykro mi.

– Dziękuję.

– Życie toczy się dalej, Danny, a my oboje mamy mnóstwo problemów, o których powinieneś wiedzieć. Czy możesz się ze mną spotkać?

- To wykluczone.
- Musimy porozmawiać.
- Nie uważam tego za konieczne.
- Czy twoja firma została uratowana? A co z domem?
- Firma została zlikwidowana, a dom musi być sprzedany, ale przynajmniej nie jako własność Barneya. A teraz muszę już wracać do...

719

- A co się stanie z tobą, Danny? Co będziesz robił? Musisz mi powiedzieć. Mam prawo znać odpowiedź.
- Nie masz żadnego prawa. Nie pomogłaś mi, kiedy byłem w kłopotach. Postawiłaś sprawę jasno i zaakceptowałem twoją decyzję.
- Zaczekaj... Jest jeszcze jedna sprawa... Marilyn wie.
- O czym?
- O nas.
- Naprawdę?
- Nie bądź dla mnie taki, Danny.
- Proszę cię, zostaw mnie w spokoju, Rosemary. Mam wystarczająco dużo zmartwień.
- Nie wierzę w to.
- Przestań dramatyzować, Rosemary. Między nami wszystko skończone.

Roztrzęsiona zdążyła odłożyć słuchawkę, gdy do gabinetu weszła sekretarka.

- Mam dla pani złe wieści, pani Ryan. Poproszono mnie, abym zawiadomiła panią, że mąż Gertie Brennan nie żyje.
- Świetnie – odpowiedziała Rosemary.
- Wracamy do domu dwa dni wcześniej, niż planowaliśmy
- oznajmiła Ria. – Udało mi się zamienić bilety.
- Och, nie, mam. Nie z powodu pogrzebu tego okropnego Jacka Brennana. Nigdy go nie lubiłaś. To czysta hipokryzja.

– Ale Gertie jest moją przyjaciółką i bardzo ją lubię –

oświadczyła Ria.

– Obiecałaś, że zostaniemy tutaj aż do września.

– No cóż, sądziłam, że ucieszy cię wspólna podróż z Seanem Maine'em, ale jak widzę, byłam w błędzie.

– Słucham?

– Sheila zabiera oboje dzieci na pogrzeb i polecilibyśmy tym samym samolotem, skoro jednak jesteś przeciwna temu 720

pomysłowi, sądzę...

– Och, mam, aktorstwo nigdy nie było twoją mocną stroną – oświadczyła Annie, nie posiadając się z radości.

Andy miał spotkanie służbowe nieopodal Westville. W

każdym razie tak utrzymywał.

– Czy zgodzicie się, żebym zaprosił waszą mamę do taj-ladzkiej restauracji? – zwrócił się do Annie i Briana, gdy tylko wszedł do domu.

– Chce ją pan zabrać na randkę? – dopytywał się chłopiec.

– Nie, mam na myśli jedynie nudną rozmowę dorosłych.

– Oczywiście. W takim razie ja pójdę do Zacha. Czy to będzie całonocna rozmowa?

– Nie, Brianie, nie całonocna – zapewniła go Ria.

– A ja wybiorę się do kina z Hubiem – oświadczyła Annie.

– I uprzedzając twoje pytanie, Brianie, nie będzie to randka ani całonocne spotkanie.

– Masz wspaniałe dzieci – zauważył Andy. Ria westchnę-

ła.

– Muszę przez cały czas się pilnować, żeby nie trzymać ich przy sobie zbyt kurczowo i nie stać się koszmarną matką.

– Nie ma obawy, to ci nie grozi – odrzekł ze śmiechem.

– Och, bez trudu mogłabym im uprzykrzyć życie. Nie mam pojęcia, do czego wracamy. To niezbadane

terytorium. I nie mogę wykorzystywać dzieci, niczym pary kul, do poruszania się po nim.

– Nie potrzebujesz żadnych kul, Mario. Czy będziesz ze mną w kontakcie?

– Z największą przyjemnością.

– Ale tylko jako przyjaciółka, prawda? – Był rozczarowany, lecz realnie oceniał sytuację.

– Potrzebuję przyjaciół, Andy. I bardzo bym się cieszyła, 721

mogąc cię uważać za jednego z nich.

– A zatem niech tak będzie. Obiecuję, że będę regularnie przysyłał różne wyszukane przepisy, aby twoja irlandzka kuchnia stała się legendarna.

– Wiesz, naprawdę zaczynam wierzyć, że być może ruszę z miejsca. Moja przyjaciółka, Rosemary, osobiście zaangażowała się w to przedsięwzięcie, a ona jest niezwykle energiczną kobietą.

– Ani przez minutę nie wątpiłem w powodzenie twoich planów – oświadczył Andy Vine.

– Nie uprawiałam seksu z Seanem Maine'em i nie zamierzam robić tego z tobą, Hubie. Czy mamy jasność co do tych dwóch spraw? – spytała Annie.

– Bardzo zdecydowanie wyraziłaś swoje stanowisko –

przyznał. – Martwię się jednak, że pewnego dnia pójdiesz z kimś do łóżka i że to nie mogę być ja, ponieważ mnie będą dzieliły od ciebie tysiące mil.

– To nic pewnego – odpowiedziała poważnie. – Nie zamierzam zostać zakonnica, ale być może nigdy się na to nie zdecyduję.

– Mało prawdopodobne. – Hubie odrzucił jej sugestię.

– Kiedyś widziałam ludzi, którzy to ze sobą robili... Zdarzyło się to przed wieloma laty. Nie wiem, jak to opisać, ale...

to nie było ładne. I nie przebiegało tak, jak sobie to wyobraża-

łam.

– Pewnie byłaś wtedy bardzo młoda – domyślił się chłopak. Przytaknęła skinieniem głowy. – I prawdopodobnie nic z tego nie rozumiałaś.

– A ty rozumiesz? – zapytała.

– Chyba trochę. Na pewno więcej niż w czasach, kiedy byłem dzieckiem. Wtedy wydawało się to niezwykle tajemnicze i ekscytujące. Odczuwałem nieprzewartą pokusę, ażeby 722

osobiście doświadczyć owych doznań, a jednocześnie się tego lękałem. – Uśmiechnął się na wspomnienie własnej głupoty w okresie szczenięcych lat.

– A teraz?

– Teraz wydaje się to czymś bardziej naturalnym. Czymś, co się robi z osobą, którą się lubi.

– Naprawdę? – spytała bez przekonania.

– Nie robię tego zbyt często, Annie, wierz mi. Nie oszukuję cię.

– Czy to miłe przeżycie?

– Tak, naprawdę miłe – zapewnił ją Hubie Green, który zdawał sobie sprawę z całkowicie abstrakcyjnego charakteru tej rozmowy i wiedział, że nie ma ona nic wspólnego z tym, jak się zakończy ich ostatni wspólny wieczór.

– Czy po powrocie do Irlandii zamieszkacie w przyczepie?

– spytał Zach.

– Nie sędzę, a dlaczego mielibyśmy zamieszkać w przyczepie? – zainteresował się Brian.

– Tak pomyślałem, skoro wasz dom zostanie sprzedany.

– Jeszcze nie wiem, gdzie będziemy mieszkać. Może u ta-ty? Choć podejrzewam, że jego dom również zostanie wystawiony na sprzedaż.

– Czeka was prawdziwa przygoda! Czy będę miał się gdzie zatrzymać, kiedy przyjadę do ciebie w przyszłym roku?

– Och, z pewnością znajdziemy dla ciebie jakieś miejsce –

oświadczył beztrósco Brian.

– I poznam Mylesa oraz Dekka?

– Na pewno.

– To wspaniale – uznał Zach. – Nigdy nie przypuszczałem, że będę kiedyś podróżował.

– To zabawne, ale ja zawsze wiedziałem, że będę jeździł

723

po świecie, a nawet bywał na innych planetach. Zamierzałem zajmować się w przyszłości handlem nieruchomościami, jak mój tata, i razem z nim pracować. Teraz jednak, kiedy stracił

swoją firmę, myślę, że zostanę astronautą.

– Będę za tobą tęskniła – wyznała Carlotta. – Żałuję, że nie zdążyłam cię lepiej poznać. Przypuszczam, że wcześniej coś mnie hamowało. Marilyn trzymała nas na dystans i sądziłam, że ty, jako jej przyjaciółka...

– Myślę, że dostrzeżesz spore zmiany, jakie się w niej dokonały podczas ostatnich dwóch miesięcy. Rozmawia już o Dale'u, a Greg wraca do domu. O wszystkim będzie teraz mówić bardziej otwarcie.

– Czy wie o wizytach Hubiego?

– Tak, powiedziałam jej. Nie wyraziła żadnych obiekcji, chociaż nie sądzę, ażeby po wyjeździe Annie chłopak był nadal tak częstym gościem w domu Vine'ów!

– Czy znalazłaś tutaj to, czego szukałaś, Rio? – spytała Carlotta.

– Nie, ale pragnęłam gwiazdki z nieba.

– Sądziłam, że ją znalazłaś podczas weekendu, kiedy twój mąż bawił tutaj z wizytą.

– Ja też tak przez moment myślałam, okazało się jednak, że to wcale nie była ta wymarzona gwiazdka – wyznała Ria.

*

– Greg opowiadał nam o waszym cudownym domu w Irlandii, tym bardziej jest mi przykro, że nie będziecie w nim teraz mieszkać – powiedziała Heidi.

– To tylko budynek, Heidi; po prostu cegły i zaprawa mu-rarska – odrzekła Ria.

– Podziwiam twoje roztropne podejście do tej sprawy –

724

stwierdziła z uznaniem tamta.

– Wprawiam się w wygłaszaniu owej kwestii – przyznała Ria. – Wmawiam sobie, że jeśli często będę powtarzała to zdanie, być może w chwili żegnania się z domem sama w nie będę wierzyła.

– Czy wiesz już, dokąd się przeprowadzisz?

– Nieruchomości w Dublinie mają obecnie wysoką wartość rynkową i przypuszczam, że sprzedamy naszą posiadłość przy Tara Road za dobrą cenę. Ale nie zdołamy nic kupić w tej samej dzielnicy. Prawdopodobnie będziemy musieli się przenieść gdzieś daleko.

– Wielka szkoda. Ty i twój mąż tak dobrze dogadywaliście się razem podczas jego wizyty tutaj... ale pewnie już tysiące razy nachodziły cię tego rodzaju refleksje.

– Miliony razy, Heidi.

John i Gerry powiedzieli, że będą dotkliwie odczuwać jej brak w sklepie. Ria po powrocie do domu miała założyć firmę zajmującą się eksportem żywności i pisywać do magazynu

„Bon Appetit”, a oni obiecali, że będą jej pierwszymi klientami.

– Właśnie za to najbardziej kocham Amerykę. Tutaj człowiek naprawdę wierzy, że jego marzenia mogą się spełnić –

powiedziała Ria.

Tuż przed odlotem zatelefonowała do Gertie.

– Nie mogę uwierzyć, że zdecydowałaś się na wcześniejszy powrót i zamieniłaś bilety, aby być na pogrzebie Jacka.

– Czyż mogłabym inaczej postąpić, Gertie? Ty zrobiłabyś dla mnie to samo, gdybym była na twoim miejscu.

– Dziękuję, Rio. Wiesz, że Jack zawsze cię podziwiał. Pa-miętasz przyjęcie w waszym domu, kiedy pił tylko lemoniadę i 725

pomagał roznosić gościom jedzenie?

– Pamiętam, Gertie. – Ria przygryzła wargę.

– Dzisiaj wieczorem przewiozą go do kościoła. Nie uwierzyłabyś, ile pięknych kwiatów przyniesiono. Okazało się, że Jack był bardzo znany i na swój sposób ceniony.

– Oczywiście, że tak. Do zobaczenia jutro rano – pożegna-

ła się Ria, myśląc o tym, że miałyby duże trudności ze znalezieniem bodaj jednej osoby, która powiedziałaaby dobre słowo o zmarłym Jacku Brennanie.

*

Sheila Maine spała w samolocie. Kelly i Brian grali w karty i oglądali filmy, a Annie i Sean szeptali o swoich planach na przyszłość.

Ria nie mogła zasnąć. Jej głowę zapępniały wizje nadchodzących wydarzeń: pogrzebu i nieprzerwanego udawania, że Jack Brennan był innym człowiekiem; spotkania z Dannym I rozmowy na temat przyszłości; przygotowań do sprzedaży domu pod numerem szesnastym przy Tara Road; znalezienia nowego miejsca do życia oraz rozpoczęcia gotowania w celach zarobkowych. I spotkania

twarzą w twarz z Marilyn.

Ria miała nadzieję, że ją polubi. Tak wiele o niej teraz wiedziała. Znacznie więcej, niż Marilyn by przypuszczała.

Przez pewien czas Ria myślała, że ją znienawidzi – wtedy, kiedy się dowiedziała, że tamta szarogęsi się w jej domu i ogrodzie i ma tak duży wpływ na jej przyjaciół i córkę. Uwa-

żała ją wtedy za kobietę zimną i nieczułą, która po śmierci syna przywdziała kolczastą zbroję i zamknęła się przed ludźmi, od-rzucając życzliwość, jaką jej na każdym kroku okazywali.

W miarę upływu czasu pogląd ten uległ zmianie. Obecnie Rię wzruszały małe tajemnice tej kobiety, jakie odkryła. Jak 726

choćby farba do włosów, którą Marilyn przechowywała w butelce opatrzonej własnoręcznie sporządzoną etykietką: „Specjalny szampon”. Albo o kupionym na przecenie tanim papierze toaletowym w komórce ze środkami czystości i opakowaniach ciast w proszku w spiżarni. Ria wiedziała, że Marilyn wielokrotnie odpychała i raniła swych przyjaciół oraz że jej zafascynowanie ogrodnictwem nie było podziwiane, lecz uwa-

żane za obsesję.

Poznała także znacznie ważniejszą tajemnicę. Coś, co nigdy nie mogło wyjść na jaw. Wiedziała, co się stało w dniu wypadku Dale’a Vine’a. Znajomość tego faktu nie wpłynęłaby pokrzepiająco na Marilyn, a wręcz zrujnowała jej z trudem odzyskany spokój. Ria zapewniła Hubiego, że ta sprawa nigdy nie ujrzy światła dziennego, i on w to wierzył.

Nie zawiadomiła nikogo z wyjątkiem Marilyn i Gertie o swoim powrocie. Wiedziała, że i tak spotka wszystkich na pogrzebie.

Marilyn obiecała czekać na nich ze śniadaniem na Tara Road. Nim wyjdą do kościoła, będą mieli trochę czasu na po-siłek i zmianę ubrania. Ria uśmiechnęła się, wspominając tę rozmowę. „Jedyną korzyścią wynikającą z owego straszliwego wypadku jest to, że będziemy miały okazję się poznać. Gdyby nie ta okoliczność, znowu minęłybyśmy się w powietrzu” –

powiedziała do Marilyn.

„Myślę, że to nie jedyne dobrodziejstwo będące następ-stwem owego okropnego wypadku – zauważyła tamta. – Choć, oczywiście, nikt z nas tego otwarcie nie przyzna”. Marilyn przebywała w Irlandii od dwóch miesięcy, ale szybko się uczyła.

Pilot oznajmił, że z powodu niekorzystnych warunków atmosferycznych zostali skierowani na lotnisko Shannon.

727

Przeprosił za opóźnienie, które nie powinno trwać dłużej niż kilka godzin. Zapewnił, że będą w

Dublinie około jedenastej przed południem.

– Mój Boże! – jęknęła Ria. – Spóźnimy się do kościoła.

– Wybieram się na pogrzeb tego głupka, Jacka Brennana –
oznajmił Danny Lynch.

Bernadette podniosła wzrok.

– Kim był zmarły?

– Pijakiem i łobuzem. Jego żona, Gertie, często przychodziła na Tara Road. Gdyby Ria wraz z dziećmi była w kraju, uczestniczyłyby także w uroczystościach żałobnych. W pewnym sensie muszę ją reprezentować.

– To bardzo ładnie z twojej strony – powiedziała Bernadette. – Ty zawsze myślisz o innych.

– Spotkałam lady Ryan – oznajmiła Nora Johnson swojej starszej córce. – Mówiła, że się wybierze na pogrzeb Jacka Brennana.

– No cóż, sądzę, że podobnie jak większość z nas zamierza w ten sposób dać wyraz swojej solidarności z biedną Gertie.

– Nigdy nie była na tyle uprzejma, ażeby tracić czas dla biednej Gertie – prychnęła Nora.

– Och, przyznaj szczerze, mamó, czy my wszystkie nie mówiłyśmy, że Gertie powinna go rzucić wiele lat temu?

– Mówiłyśmy i miałyśmy rację. Nigdy jednak nie wyraża-
łyśmy swojej opinii z tak wielką pogardą, jak lady Ryan.

Traktowała Gertie jak śmieć albo jak nieczystość, która przylepiła się jej do buta.

– Nigdy jej nie lubiłaś, mamó. – A ty?

– Jest w porządku. Potrafi być zabawna i sądzę, że w pewnym sensie wpływa na nas mobilizująco –
przyznała nie-728

chętnie Hilary.

– Mylisz się, poklepuje nas protekcyjnie po głowie, a każda z nas jest dziesięć razy więcej warta niż ona. – Nic nie mogło wpłynąć na zmianę opinii Nory Johnson w niektórych sprawach.

Oczekiwanie na lotnisku Shannon zdawało się nie mieć końca. Sheila Maine zatelefonowała do swojej siostry.

– Jeśli nie zdążymy na mszę do kościoła, pojedziemy prosto na cmentarz – oświadczyła.

Gertie, chlipiąc do słuchawki, wyraziła swoją wdzięczność:

– Och, Sheilo, nie masz pojęcia, jak wszyscy są dla mnie serdeczni. Żałuję, że Jack nigdy się nie dowie, jak bardzo był

kochany przez ludzi.

– Na pewno zdawał sobie z tego sprawę. Czyż wszyscy nie wiedzieli o waszym cudownym pożyciu małżeńskim?

Ria zatelefonowała do Marilyn.

– Wygląda na to, że jednak nie zjemy razem śniadania –

oznajmiła.

– W takim razie nigdy się nie przekonasz, jak złą jestem kucharką – odrzekła tamta.

– Żałuję, że musisz wracać już jutro. Wolałabym, żebyś została jeszcze przez parę dni.

– Nie ma problemu. Potem o tym porozmawiamy... Och i jeszcze jedno... Witaj w domu!

– Jimmy, czy nie zechciałbyś zaśpiewać na pogrzebie „Panis Angelicus”? – zapytała Gertie przez telefon.

– Na pewno wolałabyś nie słyszeć mojego chrapliwego głosu... – zaczął.

– Och, Jimmy, bardzo cię proszę. Jack tak bardzo lubił ten 729

hymn. Wyświadczyłbyś mi ogromną przysługę, gdybyś go wykonał.

– Myślę, że to bardziej weselna niż żałobna pieśń, Gertie.

– Dotyczy komunii, sądzę więc, że jest odpowiednia na każdą z tych uroczystości.

– Oczywiście, że zaśpiewam, jeśli sobie tego życzysz –

obiecał Jimmy Sullivan. Odłożył słuchawkę i wzniosł oczy do nieba. – Jeśli istnieje Bóg, w co poważnie wątpię, powinien nas wszystkich ukarać strąceniem do piekieł za taką hipokryzję.

– A co innego możemy zrobić? – Frances wzruszyła ramionami.

– Powinniśmy mieć odwagę przyznać otwarcie, że Jack był

szalonym narwańcem i że świat jest bez niego znacznie lepszy

– oświadczył Jimmy.

– Rzeczywiście, byłaby to wielka pociecha dla wdowy i dzieci – zauważyła jego żona.

Na drzwiach pralni został umieszczony nekrolog z informacją o śmierci właściciela, Jacka Brennana, oraz o mszy ża-

łobnej. Przez szacunek dla Gertie tego dnia z usług pralniczych skorzystało niewielu klientów.

W chwili przybycia Gertie, jej matki oraz dzieci kościół

był już zatłoczony. Kilku krewnych zmarłego, których Jack dawno temu zraził do siebie, również uczestniczyło w uroczystości – odziani w ciemne garnitury i białe koszule, z zakłopotaniem wymieniali uściski dłoni. Błada Gertie, w czarnej sukni pożyczonej od Hilary, przesuwiała się w głąb nawy, z dumą wodząc wzrokiem po ludziach, którzy przybyli, aby pożegnać Jacka.

Przynajmniej teraz mógł się przekonać, iż w oczach znajomych uchodził za wartościowego człowieka. Na pewno stamtąd, gdzie obecnie przebywał, widział to wszystko.

730

W chwilę po rozpoczęciu mszy do kościoła weszła Sheila Maine wraz z dziećmi i dołączyła do rodziny. Podniósł się lekki szmer aprobaty. Krewni przybyli aż z Ameryki; oto kolejny dowód na to, jak bardzo Gertie jest przez wszystkich szanowana i wysoko ceniona.

Ria, Annie i Brian wsunęli się do ławki w jednym z dalszych rzędów.

– Mój Boże – zwróciła się do Hilary Nora Johnson – Ria wróciła. Czy nie wspaniała z niej dziewczyna?

Danny Lynch spostrzegł żonę i dzieci i zagryzł usta. Z

pewnością trudno jej było zmienić datę powrotu do domu. Nie ulegało wątpliwości, że Ria jest oddaną przyjaciółką. Colm Barry również ją zauważył i uznał, że wyglądała wspaniale.

Była opalona, szczuplejsza niż przed wyjazdem i trzymała się prosto, przez co wydawała się wyższa. Przewidywał, że Ria zrobi co w jej mocy, ażeby dzisiaj znaleźć się tutaj. Ona i Gertie przebyły razem daleką drogę.

Polly Callaghan przyszła sama. Omijała wzrokiem ławkę, w której zasiadał Barney ze swoją żoną. Jeśli Mona dostrzegła Polly w kościele, nie dała tego po sobie poznać.

Rosemary jak zwykle bardzo starannie ubrała się na tę uroczystość. Miała na sobie szarą, jedwabną sukienkę i zakiet, a na nogach pantofle na bardzo wysokich obcasach oraz ciemne pończochy. Była w najwyższym stopniu zaskoczona widokiem Rii z dziećmi. Nikt jej nie zawiadomił o ich powrocie.

Nagle ze zdumieniem uzmysłowiła sobie, że ostatnio mało kto w ogóle mówi jej o czymkolwiek.

Wyglądało na to, że z wyjątkiem Rii nie miała już żadnych przyjaciół.

Frances Sullivan patrzyła prosto przed siebie, kiedy jej mąż głębokim i dźwięcznym głosem wykonał hymn „Panis Angelicus”. Wiedziała, jak wiele go to kosztowało. Gardził

Jackiem Brennanem i czuł, że odśpiewanie tej pieśni jest w 731

pewnym sensie uznaniem zwycięstwa zmarłego nad sobą.

Ria rozejrzała się po kościele, zastanawiając się, czy zdoła rozpoznać Marilyn. Nie było jej ani obok Rosemary, ani z Colmem, ani w pobliżu Nory. A z pewnością ktoś musiał się nią zaopiekować. Ria nie mogła skupić się na modlitwach. Patrzyła na kwiaty i na wieńce przysłane przez ludzi, którzy za życia zmarłego żywili do niego jedynie głęboką pogardę.

Gdzie się podziewała Marilyn Vine?

Spostrzegła ją w chwili, kiedy wierni śpiewali pieśń: „Pan jest moim pasterzem”. Okazała się wyższa, niż Ria sądziła, miała kasztanowe włosy – dzięki butelce „specjalnego szamponu” – i ubrana była w prostą, granatową sukienkę. Trzymała kartkę z tekstem hymnu i śpiewała razem z innymi. Nagle podniosła wzrok i zobaczyła, że Ria na nią patrzy. Poprzez zatłoczony kościół posłały sobie ogromne uśmiechy. Dwie stare przyjaciółki spotkały się w końcu.

Świeciło słońce, a po nieoczekiwanych nawałnicach i wi-churach z ubiegłej nocy nie pozostał żaden ślad. Ludzie stali i rozmawiali przed kościołem, jak zwykle podczas pogrzebu w Dublinie, kiedy godzina jest wystarczająco długa, aby każdy wyraził to, co ma do powiedzenia.

Wszyscy obejmowali Rię i witali ją w domu. Wyswobodziła się z uścisków, aby przytulić Gertie.

– Jesteś prawdziwą przyjaciółką. Dziękuję ci, że wróciłaś wcześniej.

– Przylecieliśmy jednym samolotem z Sheilą i z jej dzieć-

mi. Podróż minęła niepostrzeżenie. Czy zatrzymają się u ciebie?

– Tak, przygotowaliśmy już dla nich pokoje. Szkoda tylko, że musieli przyjechać z takiego powodu, prawda? Jack byłby zachwycony, mogąc ich znowu powitać w kraju.

732

Ria spojrzała na Gertie wstrząśnięta. Uświadomiła sobie, że historia została napisana od nowa. Nie było już potrzeby udawania przed Sheilą, że życie z Jackiem układało się cudownie, Gertie jednak sama w to uwierzyła i naprawdę uważa-

ła swoje małżeństwo za wspaniałe.

Danny Lynch trzymał się na boku. Nie był już owym człowiekiem, który zwykł przechodzić z jednej grupy do drugiej, potrząsając dłońmi ludzi i poklepując ich po plecach. Ria nie mogła pozwolić

sobie na to, aby ciągle o nim myśleć, ani przejmować się tym, co się z nim stało. Nie należał do jej obecnego życia, a myśl o ich wspólnej przyszłości zaświtała wyłącznie w jej głowie. Stała, przyglądając się Danny'emu poprzez tłum. Wiedziała, że dzieci wkrótce go zauważą i podbiegną do niego, aby się przywitać. Ona jednak nie zrobiła żadnego ruchu. I odtąd już zawsze tak będzie.

Annie odeszła, aby porozmawiać z Marilyn, przedstawić jej swojego nowego kolegę, Seana Maine'a, i wymienić uwagi na temat Westville, Brian zaś zbliżył się do babki z zamiarem powiadomienia jej o przyszłorocznej wizycie Zacha podczas wakacji. Rię doszły jego słowa:

– Być może będziemy mieszkać na bocznicy kolejowej, ale nieważne, on i tak przyjedzie – wyjaśniał wyraźnym, dźwięcznym głosem.

Hilary usiłowała opowiedzieć Rii wszystko o przeprowadzce. Na jesieni zamierzali opuścić miasto; Martin od stycznia rozpoczynał nową pracę. Ria nie mogła zrozumieć, gdzie zamierzają się przenieść.

– Mam nadzieję, że będziesz naszym częstym gościem, Rio. Tam jest mnóstwo drzew. Tak, jak przepowiedziała wróżka.

– Ależ tak, oczywiście. – Ria była oszołomiona. Zbyt wie-733

lu ludzi kręciło się wokół i zbyt wiele się działo.

– Daję ci dwadzieścia cztery godziny na wypoczynek po podróży, a potem zaczynasz dla mnie pracować – oświadczył

Colm. – A poza tym chciałem ci powiedzieć, że czarująco wyglądasz.

– Dziękuję, Colmie. – Odniosła wrażenie, że dostrzega w jego spojrzeniu ten sam podziw, jaki widywała w oczach Andy'ego Vine'a, zaraz jednak przywołała się do porządku. Nie mogła sobie teraz pozwolić na fantazje o tym, że wszyscy mężczyźni nagle zabiegają o jej względy.

Rosemary nie podeszła do niej, co Rii wydało się nieco dziwne. Przyjaciółka zachowywała się jak Danny – stroniła od zebranych, wśród których miała przecież wielu znajomych. Ria zbliżyła się do niej z szeroko rozpostartymi ramionami. Spozrzęła, że Rosemary z lekkim zakłopotaniem spogląda ponad jej ramieniem. Ria obejrzała się, podążając w ślad za jej wzrokiem. Marilyn Vine przestała rozmawiać z Annie i przyglądała się im bardzo uważnie.

– Jedziesz na cmentarz? – zwróciła się Ria do przyjaciółki.

– O Boże, nie. Ceremonia w kościele była wystarczająco przykra.

– Gertie jest bardzo zadowolona, widząc wszystkich znajomych.

– Tak, to prawda. Pewnie przeprowadziła już rozmowę telefoniczną z Watykanem w sprawie kanonizacji Jacka. Wierz mi, moja droga, wszystko jest możliwe.

Ria wybuchnęła śmiechem.

– Jak dobrze znowu być w domu – stwierdziła, biorąc Rosemary za rękę. – Powiedz mi, czy miałaś udane lato?

– Nie, było okropne pod każdym względem.

– Jesteś nadzwyczajna, że nie szczydziłaś wysiłku, aby mi pomóc w życiowym starciu – powiedziała Ria. – Szczerze to

doceniam.

– Przynajmniej tyle mogłam zrobić – odrzekła burkliwie Rosemary, ponownie zerkając w stronę Marilyn Vine.

– Masz przepiękny dom, Marilyn – stwierdziła Annie. –

Nie uprzedziłaś nas, że jest aż tak wspaniały.

– Niezmiernie się cieszę, że miło spędziliście czas.

– Nie przypuszczałam, że kiedyś zamieszkać w miejscu, które przypomina wyglądem rezydencję gwiazdy filmowej.

Pływaliśmy przed śniadaniem, a nawet wieczorami.

– To świetnie.

– Jeździliśmy na deskorolkach po Parku Pamięci, jadali-

śmy olbrzymie pizze, wybraliśmy się dwukrotnie do Nowego Jorku, a raz sami pojechaliśmy autobusem do rodzinnego miasteczka Seana. Nigdy nie mieliśmy tak wspaniałych wakacji, nigdy.

– Jestem szczęśliwa, że były udane – powiedziała Marilyn.

Wiedziała, że obie z Rią odwołają moment bezpośredniego spotkania. Za każdym razem gdy ruszały ku sobie, nagle ktoś wyrastał jak spod ziemi i wciągał którąś z nich w rozmowę.

Tym razem intruzem był Colm.

– Nie wiedziałem, że Ria dzisiaj wraca. Przyniosłbym wam coś do zjedzenia z restauracji. I oszczędził ci gotowania.

– Raczej uchronił ich przed zatruciem. – Marilyn śmiała się z samej siebie.

– Ty to powiedziałaś, nie ja.

Barney McCarthy podszedł do Gertie z zamiarem złożenia jej kondolencji.

– To miło, że uczestniczył pan w uroczystości żałobnej, panie McCarthy. Jack byłby pod wrażeniem, gdyby wiedział, jak ważne osoby przyszły go pożegnać – powiedziała.

735

– No cóż, to bardzo smutne – bąknął Barney.

– Polly Callaghan jest przygnębiona, że stało się to przed jej domem – oświadczyła nieoczekiwanie pani McCarthy.

Gertie omal nie runęła na ziemię. Mona nigdy nie wymieniała imienia Polly; zawsze zachowywała się tak, jak gdyby rywalka w ogóle nie istniała.

Barney również był wyraźnie zaskoczony.

– No cóż, to nie była faktycznie jej własność... – zaczął.

– Pani McCarthy ma rację. Polly akurat wyprowadzała się ze swojego mieszkania, gdy biedny, nieszczęsny Jack do niej przyszedł... Chciał się o czymś upewnić. – Gertie zaczęła się trząść dolna warga.

Mona przyszła jej z pomocą.

– Wiem, słyszałam tę historię. Chciał mieć pewność, że pani go kocha. Czyż mężczyźni pod wieloma względami nie przypominają dzieci? Lubią, jeśli wszystko jest białe albo czarne.

Oszołomiona Gertie przenosiła wzrok z Barneya na jego żonę. Mona ciągnęła swój wywód:

– I Polly zapewniła Jacka o pani miłości do niego. To były ostatnie słowa, jakie usłyszał.

– Polly mówiła mi o tym. Nie byłam jednak pewna, czy przypadkiem tylko z czystej życzliwości nie powiedziała tego, co pragnęłam usłyszeć.

– Nie. Cokolwiek można powiedzieć o Polly Callaghan, z pewnością nie zalicza się do życzliwych osób – odrzekła Mona i oboje odeszli.

– To nie było potrzebne, Mono – syknął Barney.

– Było, wierz mi. Biedna Gertie nie miała życia z Jackiem, niech się więc przynajmniej nim nacieszy po śmierci tego fu-riata.

– Skąd wiesz, co powiedziała Polly... ?

736

– Słyszałam. I nie myśl, że mam coś przeciwko niej. Uwa-

zam, że wyświadczyła temu miastu olbrzymią przysługę, pozwalając, aby jej meblowóz zabił Jacka Brennana. Powinna zostać odznaczona przez burmistrza.

W końcu się spotkały i objęły mocno, a każda z nich wypowiedziała na głos imię drugiej.

– Zawiozę was na cmentarz – zaproponowała Marilyn.

– Nie, nie.

– Przyjechałam twoim samochodem prosto z myjni; jest lśniący i aż błyszczący. Pragnę ci go pokazać.

– My również umyliśmy twój samochód, Marilyn –

oznajmił Brian. – I wyczyściliśmy wszystkie ślady po pizzy z tylnego siedzenia.

Zapadła cisza, a potem Annie, Ria i Marilyn wybuchnęły niemal histerycznym śmiechem. Brian był zdumiony.

– Co tym razem, na Boga, powiedziałem niewłaściwego? –

spytał, przenosząc po kolei wzrok na każdą z nich, ale nie otrzymał odpowiedzi.

Kiedy wrócili na Tara Road, niemal brakowało czasu na wyrażenie tego wszystkiego, co mieli sobie nawzajem do powiedzenia. W końcu dzieci poszły do łóżek, a Marilyn i Ria usiadły przy stole. Rozmawiały ze sobą z nieoczekiwaną łatwością. Nie przeproszały się za nic. Ani za zachęcanie Klemensa do sypiania na piętrze, ani za wykarczowanie ogrodu przed domem. Ani za wciągnięcie sąsiadów do uczestniczenia w życiu na Tudor Drive, ani za ponowne nawiązanie stosunków towarzyskich z Hubiem Greenem. Obie zapytały o wrażenia z wizyt swoich mężów; i każda z nich po namyśle udzieliła szczerzej odpowiedzi:

– Stwierdziłam, że Greg się postarzał i wygląda na zmę-

737

czzonego. Zabrałam mu rok życia, ponieważ nie umiałam mu pomóc w przetrwaniu tych momentów, które były tak samo trudne dla niego, jak i dla mnie.

– Czy odtąd wszystko się dobrze ułoży pomiędzy wami? –

spytała Ria.

– Przypuszczam, że z początku Greg będzie bardzo ostrożny, a nawet nieufny wobec mnie. Skoro już raz tak brutalnie się przed nim zamknęłam, mogę to zrobić ponownie.

Pewnie upłynie sporo czasu, zanim nasze stosunki znowu staną się takie, jak niegdyś.

– Ale w końcu wszystko powróci do normalnego stanu. –

W głosie Rii brzmiał smutek.

– Czy nic nie zaszło podczas pobytu Danny’ego w Ameryce, co sugerowałoby, że znowu możecie być razem? – spyta-

ła Marilyn.

– Zaszło coś, co pozwalało mi tak myśleć, ale byłam w błędzie. Pod dużym drzewem w Parku Pamięci opowiedział mi o katastrofie finansowej i utracie domu. A potem wróciliśmy na Tudor Drive. Gdybym była realistką, powiedziałabym, że starał się mnie pocieszyć najlepiej, jak umiał. Ja jednak doszukałam się w tym czegoś więcej, niż było w istocie.

– To oczywiste, że tak odebrałaś jego zachowanie. A i on na pewno też tak wtedy myślał – tłumaczyła Marilyn.

– Zazwyczaj o wszystkim decyduje zbieg okoliczności, prawda? – zauważyła ponuro Ria. – Zaraz potem nadeszła wiadomość, że Bernadette grozi poronienie i Danny zniknął w mgnieniu oka. Nawet gdybyśmy spędzili ze sobą jeszcze jedną dobę....

– Czy sądzisz, że to by coś zmieniło?

– Prawdę mówiąc, nie – przyznała. – Potem mogłabym się czuć jeszcze gorzej. Być może lepiej się stało, że wcześniej wyjechał. Sądziłam, że z chwilą poronienia Bernadette pro-

blem przestanie istnieć. Najbardziej idiotyczne było to, że na-szą sytuację przypisywałam pojawieniu się dziecka, nie brałam pod uwagę uczuć Danny’ego do tej dziewczyny. Okazało się, że i tym razem byłam w błędzie.

– Rozmawiałaś z nim dzisiaj? – spytała Marilyn.

– Nie. Odniosłam wrażenie, że zamierza się do mnie odezwać, ale nie ufałam samej sobie i odwróciłam się do niego plecami. Nie mam pojęcia, co go skłoniło do przyjścia na pogrzeb. Powiedział Annie, że chciał reprezentować rodzinę.

– To uprzejmy gest z jego strony. – Głos Marilyn był łagodny i miał kojące brzmienie.

– Danny słynie z uprzejmych gestów – odpowiedziała z uśmiechem Ria.

Marilyn zdołała zamienić bilet i przedłużyła swój pobyt w Irlandii o trzy dni. W ten sposób jej przyjazd na Tudor Drive zbiegał się z powrotem Grega. Miało to symbolizować nowy początek ich wspólnego życia. Powiedziała też, że pomoże Rii oswoić się z nową sytuacją i stawić czoło problemowi sprzedaży domu.

Rozmawiały o planach przeprowadzki na wieś Hilary i o ciąży młodej Kitty Sullivan. Wymieniły uwagi na temat Carlotty i jej poszukiwań czwartego męża oraz sklepu dla smakośy, który tego lata przeżywał rozkwit. Nie uchylały się od osobistych pytań. Podczas rozmowy o Colmie Barrym Ria zapytała wprost, czy Marilyn miała z nim romans.

– Doszły mnie o tym słuchy, choć z niezbyt pewnego źródła –

dła – usprawiedliwiała się nieskładnie.

– Były to zgoła nieprawdziwe wieści. Sądzę, że Colm znacznie bardziej interesował się twoim powrotem do domu –

oświadczyła Marilyn. – A skoro już o tym mowa: wolno mi spytać, czy doszło do czegoś pomiędzy tobą a moim szwa-739

grem?

– Nie, twój mąż też błędnie ocenił sytuację – zachichotała Ria.

– Może nie z punktu widzenia Andy’ego? – zastanawiała się Marilyn.

– Trudno przewidzieć, ponieważ nie dopuściliśmy do tego, aby nasze wzajemne stosunki przekroczyły granice przyjaźni.

Długo rozmawiały tej nocy o Gertie oraz o legendzie, jaką tworzyła na temat zmarłego Jacka. Odniosły się do tego z tolerancją, do jakiej jeszcze przed kilkoma miesiącami nie byłyby zdolne. Siedziały w pięknym frontowym pokoju pod numerem szesnastym przy Tara Road, w blasku wpadającego przez okno księżycowego światła, i obie pomyślały o tym, że każdy człowiek odczuwa potrzebę pielęgnowania w swoim życiu jakiejś legendy. Ria wiedziała, że bez względu na wszystko Marilyn musi na zawsze pozostać nieświadoma faktu, iż to jej syn po pijanemu zabił tamtego wieczora zarówno siebie, jak i Johnny’ego. A Marilyn pomyślała, że Ria za nic w świecie nie może się dowiedzieć, iż jej mąż, którego wciąż kochała, i przyjaciółka, której nadal ufała, zdradzali ją od wielu lat.

– Ciotka Gertie nie jest tak dobrze sytuowana, jak sądziłem

– zauważył Sean Maine w rozmowie z Annie.

– I co z tego? – Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Nic, pomyślałem tylko o korzyściach, jakie mogą wyniknąć z tego faktu dla nas.

– Na przykład jakie?

– Przypuśćmy... że zatrzymam się u niej... będę płacił komorne oraz pokrywał koszty utrzymania... i pójdę tutaj do szkoły?

– Nie licz na to. – Annie myślała praktycznie.

– Wiem, że nie będzie to możliwe za tydzień, kiedy roz-740

poczyna się szkoła, ale po świętach Bożego Narodzenia, jeśli znajdę kurs zgodny z wybranym przeze mnie kierunkiem i zorganizuję przeprowadzkę... Wyglądała na zakłopotaną.

– Tak, ale...

– o co chodzi? Nie chcesz, żebym tutaj zamieszkał? My-

ślałem, że mnie lubisz.

– Lubię cię, Sean, i to bardzo, nie chciałabym jednak kusić cię obietnicami tego, co będziemy robić, kiedy tu przyjedziesz.

Byłoby nieuczciwością z mojej strony, gdybym dawała ci nadzieję...

Poklepał ją po ręce.

– Wszystko w swoim czasie.

– Ale z pewnością w zbyt długim, jak dla ciebie.

– Ja również nie mam jeszcze tego rodzaju doświadczeń –

wyznał. – I trochę mnie to peszy, podobnie jak ciebie.

– Naprawdę?

– Być może owo przeżycie nie okaże się tak wspaniałe, jak wszyscy twierdzą. Przekonamy się o tym – stwierdził i dodał, patrząc jej prosto w twarz: – Oczywiście, nie teraz, ale kiedyś, w stosownym czasie.

– Założę się, że Gertie byłaby szczęśliwa, gdybyś u niej zamieszkał – powiedziała Annie.

– Zamierzam udzielać w tym roku szkolnym więcej prywatnych lekcji, mamó. Czy mogę umawiać się z uczniami u ciebie? – spytała Bernadette.

– Oczywiście, Ber, o ile już w pełni odzyskałaś siły.

– Czuję się dobrze, mamó. Nie chciałabym rozpoczynać lekcji w jednym miejscu i zaraz przenosić ich gdzie indziej, do naszego nowego miejsca zamieszkania.

– Czy on już zna termin sprzedaży domu?

– Nie, mamó. A ja go o nic nie pytam. Jest narażony na zbyt wiele nacisków.

741

– Czy ona wywiera na Danny’ego dużą presję w związku z Tara Road? – Finola Dunne instynktownie broniła córki przed byłą żoną.

Bernadette zastanowiła się, nim udzieliła odpowiedzi.

– Nie sędzę. Odnoszę wrażenie, że od czasu powrotu z Ameryki jeszcze się z nim nie kontaktowała.

– Chętnie znowu zobaczyłabym te dzieciaki – wyznała Finola.

– Ja też miałabym ochotę spotkać się z nimi. Danny twierdzi jednak, że oboje są bardzo przywiązani do Marylin i będą tkwić przy niej do czasu jej wyjazdu. Wygląda na to, że potracili głowy dla tej Amerykanki – stwierdziła ponuro Bernadette.

– Tylko dlatego, że w jej domu, gdzie mieszkali, był basen.

Wierz mi, to jedyny powód – próbowała uspokoić córkę Finola.

– Wiem, mammo.

– Chciałabym zaprosić Gertie i Sheilę na lunch, masz coś przeciwko temu? – zapytała Ria Marilyn. – Sheila nie zabawi długo w Dublinie i ucieszyłaby się, mogąc cię poznać... Była u ciebie na Tudor Drive, pamiętasz?

– Oczywiście – zapewniła Marilyn, choć wolałaby zostać tylko z Rią.

Nadal pozostało im tak wiele spraw do omówienia w związku z Tara Road i Tudor Drive. Chodziło o przeszłość i przyszłość. Decyzja należała jednak do Rii i pierwszeństwo miał lunch z przyjaciółkami. Marilyn zdążyła się tego nauczyć.

Ria jednak również czegoś się nauczyła.

– Nie zamierzam spędzić całego przedpołudnia na szykowaniu jedzenia. One chcą pogadać, a nie opychać się smako-

łykami. Proponuję, żebyśmy wybrały się razem do delikatesów i kupiły jakieś proste dania.

Idąc Tara Road, minęły dom pod numerem dwudziestym 742

szóstym i pomachały w stronę huśtawki w ogrodzie, na której siedziała Kitty Sullivan ze swoją matką.

Wylękniona szesnastolatka w ciąży nagle znalazła wspólny język z Frances, choć do tej pory nie potrafiły się porozumieć.

– Miejmy nadzieję, że Annie nie znajdzie się w podobnej sytuacji – odezwała się kwaśno Ria.

– Sądziś, że jest seksualnie aktywna, jak mawiają u nas?

– I jak coraz częściej określają u nas tę sferę doznań życiowych – potwierdziła Ria. – Nie sędzę. Zazwyczaj jednak matki nie mają o niczym pojęcia. Przypuszczam, że wiesz o wiele więcej o Annie

niż ja.

– Poznałam jej nadzieje i jej marzenia, ale nie wiem absolutnie nic o tej stronie jej życia – pośpiesznie zapewniła ją Marilyn.

– A nawet gdybyś wiedziała, byłabyś związana świętą obietnicą milczenia – dodała Ria, uważając, aby nie okazać zaciekawienia, i starając się stłumić stale odczuwaną lekką zazdrość o zaufanie córki do Marilyn. Co skłoniło Annie do tego, aby się zwierzać tej kobiecie ze swoich nadziei i marzeń?

To nie mieściło się w głowie.

Obrzuciły spojrzeniami posesję pod numerem trzydziestym drugim.

– Czy Barney nadal jest w części właścicielem tej nieruchomości?

– Nie. Wszystkie mieszkania zostały sprzedane za ogromne pieniądze; wiele się wtedy mówiło o tym miejscu. Rosemary dobrze wiedziała, co robi, wprowadzając się tutaj. – Ria cieszyła się przez wzgląd na przyjaciółkę.

Dotarli do domku pod numerem czterdziestym ósmym. Po Norze Johnson i Kleszczu nie było nigdzie śladu; pewnie wybrali się dokądś razem – na jedną ze swoich licznych długich wypraw.

743

– Twojej matce będzie bardzo ciebie brakować, kiedy się stąd wyprowadzisz. Hilary przenosi się na zachód, a teraz jeszcze ty zmieniasz miejsce zamieszkania.

– Ta ulica stała się teraz Aleją Milionerów. Czyż nie byli-

śmy przewidujący, wprowadzając się tutaj w odpowiednim czasie?

– Nie kierowaliście się mądrością, lecz podążaliście za marzeniem, prawda?

– Było to przede wszystkim marzenie Danny’ego. Chciał

mieć duży dom z wysokimi sufitami i o głębokich kolorach.

Kiedy teraz o tym myślę, dochodzę do wniosku, że właśnie tego najbardziej pragnął w młodości, choć nie wiem dokładnie dlaczego.

Milczenie, jakie zachowały, idąc dalej, nie było krępujące.

Minęły bramę zakładu Świętej Rity.

– Oto przyszli odbiorcy moich delikatnych smacznych ciastek – zauważyła Ria ze śmiechem.

– I łatwych do pogryzienia – zachichotała Marilyn. – Nie dasz im żadnych pierników w stylu tych,

jakimi poczęstowa-

łam Briana i Annie, gdy przyszli do mnie z pierwszą wizytą.

Były okropne.

Kiedy skręciły za róg, zobaczyły, że w pralni Gertie panuje ogromny ruch.

– Nie śmiem o tym wspominać, ale czy zmarły nie zostawił polisy ubezpieczeniowej? – spytała Marilyn.

– Matka Gertie wykupiła dla niego jakieś ubezpieczenie –

odrzekła Ria. – Przypuszczam, że pokryło koszty pogrzebu.

– Co będzie z Gertie?

– Da sobie radę. Ma małe mieszkanie nad pralnią, no i oczywiście dzieci, które teraz, kiedy nie są narażone na pobicie przez tego szaleńca, mogą na stałe mieszkać w domu.

744

Gertie tak przywykła do sprzątania w domu przy Tara Road pod numerem szesnastym, że nie mogła spokojnie usiedzieć na miejscu.

– Pozwól, że trochę przeprosuję twoje rzeczy przed ich spakowaniem, dobrze, Marilyn? – zaproponowała.

– O Boże, Sheilo, twoja siostra jest najbardziej życzliwą kobietą na świecie. Nie znoszę prasowania i często mnie w tym wyręcza.

– To prawda. W przeciwieństwie do mnie od urodzenia dbała o swoje ubrania – przyznała Sheila i krytyczna chwila minęła.

Raz czy dwa razy Gertie poderwała się, ażeby pozbierać naczynia ze stołu, ale Ria powstrzymała ją, delikatnie kładąc jej rękę na plecach.

– Sean wprost się pali do podjęcia nauki w Irlandii po Bo-

żym Narodzeniu i szukania tutaj swoich korzeni – wyznała Sheila. Trzy pozostałe kobiety ukryły uśmiech. – Zrobił już obchód po wszystkich dublińskich szkołach i uczelniach.

Oczywiście byłabym zachwycona, gdyby tu wrócił.

– A co z Makssem? – zastanawiała się Ria.

– W jego wypadku szukanie korzeni na Ukrainie nie mia-

łoby sensu. Wszyscy krewni z jego rodzinnej wioski wyemigrowali do Ameryki. Max nie będzie robił Seanowi trudności z wyjazdem.

Gertie była podekscytowana.

– W naszym mieszkaniu jest jeden mały wolny pokój.

Może niezbyt wytworny, ale wystarczy do nauki i czytania książek.

– Nie mów, że nie jest wytworny! – zawołała Sheila. –

Twoja pralnia znajduje się w świetnej dzielnicy. Sean zamieszka w cudownym miejscu i w szczęśliwym domu. Przykro mi tylko, że wuj Jack nie będzie świadkiem jego dorastania i 745 rozwoju.

– Jack przyjąłby go u nas serdecznie – zapewniła bez cienia ironii Gertie. – Pomalujemy i wyszukujemy pokój na przyjazd Seana. Może powie nam, jaki jest jego ulubiony kolor? I kto wie, może będzie miał nawet swój własny rower? Wiecie, mnóstwo ludzi pyta, czy poradzę sobie finansowo bez Jacka –

wyznała Gertie.

Ria była ciekawa, kto mógł mieć tego rodzaju wątpliwości.

Chyba każdy wiedział, że sytuacja finansowa biednej Gertie ulegnie poprawie – teraz, kiedy nie będzie musiała sprzątać cudzych domów, aby zarobić dodatkowe trzydzieści lub czterdzieści funtów tygodniowo na alkohol dla męża. I kiedy będzie mogła się skupić na prowadzeniu własnej firmy. Może jednak nie wszyscy byli zorientowani w jej sprawach?

– Tymczasem nieźle daję sobie radę – kontynuowała swój wywód Gertie. – Moja mama przejrzała dokumenty i znalazła wśród nich polisę ubezpieczeniową Jacka opiewającą na po-każną kwotę. Interes też idzie coraz lepiej. Przypuszczam, że czekają mnie tłuste lata.

Nagle Ria przypomniała sobie o czymś.

– Skoro mówimy o przyszłości – ciekawa jestem, co stało się z panią Connor!

– Powiedziała, że nie może nawiązać kontaktu ze zmarły-mi i że nadejdzie taki dzień, kiedy nie będę już miała ochoty z nimi rozmawiać – wyznała Marilyn. – Chciałabym ją zawiadomić, iż taki dzień już nadszedł.

– Mnie przepowiedziała, że kiedyś będę miała wielką firmę – oznajmiła Ria. – Chciałabym się dowiedzieć, jak dużą.

Wywróżyła mi także, że będę podróżować po świecie, co już się sprawdziło.

Pani Connor powiedziała Sheili, że przyszłość leży w jej własnych rękach. I spójrzcie, jak się wszystko układa: jej wła-746

sny syn pragnie wrócić do Irlandii i do swych korzeni!

Gertie usiłowała przypomnieć sobie słowa pani Connor.

Wróżka przepowiedziała jej wiele smutków, lecz po nich szczęśliwe życie.

– No cóż, przepowiednia okazała się dość trafna. – Sheila poklepała siostrę po ręce.

– Czy nie powinnam się dokąś wynieść, żebyś mogła porozmawiać z Dannym? – zapytała Marilyn, kiedy wycierały talerze po lunchu.

– Nie ma potrzeby. Będzie na to mnóstwo czasu po twoim wyjeździe, a teraz nie traćmy ani chwili.

– Powinnaś porozmawiać z nim możliwie jak najszybciej; wysłuchać, co ma ci do powiedzenia i dodać od siebie to, co sama chcesz mu przekazać. Im dłużej będziesz odsuwać tę chwilę, tym trudniej będzie się wam zdobyć na tę rozmowę.

– Chyba masz rację – westchnęła Ria. – Łatwo ci jednak radzić.

– Mówię tylko, z czym ja nie zwlekałabym na twoim miejscu.

– Chyba rzeczywiście powinnam zadzwonić do niego i poprosić, żeby tutaj przyszedł.

– Muszę kupić upominki dla moich znajomych w Stanach.

Wybiorę się jutro z rana do sklepu, widziałam go w Wicklow, i zostawię cię samą.

– Dobry pomysł.

– A wiesz, co sobie zafundujemy jutro po południu?

– Nie mam pojęcia.

– Pojedziemy zobaczyć się z panią Connor – oznajmiła Marilyn.

Chciała spłacić dług tej kobiecie, że powiedziała jej prawdę. O tym, że zmarli nie lubią, kiedy się im zakłóca sen, i chcą, aby żywi zostawili ich w spokoju.

747

– Muszę się spotkać rano z Rią – oznajmił Danny.

– Im prędzej będziesz miał tę rozmowę za sobą, tym lepiej

– uznała Bernadette. – Czy jesteś bardzo smutny?

– Nie tyle smutny, ile zdenerwowany. Zwykle wyśmiewa-

łem się z mężczyzn w średnim wieku, którzy mają wrzody i twierdzą, że ich żołądki skręciły się w supeł. Nie pojmuję, jak mogłem sobie z tego żartować. Właśnie tak się teraz czuję.

Bernadette bardzo się zatroskała.

– Nie powinieneś się denerwować, Danny. Nie ponosisz winy za to, co się stało. Poza tym będziesz mógł oddać jej po-

łową sumy, niewątpliwie pokaźnej, uzyskanej ze sprzedaży domu.

I pamiętaj, że ona wie o wszystkim i niczego innego się nie spodziewa.

– To prawda – przyznał Danny Lynch. – Nie przypuszczam, żeby mogła mieć jakieś inne oczekiwania.

– Brianie, czy mógłbyś przed południem pójść się pobawić z Mylesem i Dekkiem? Umówiłam się dzisiaj w domu z twoim tatą i chcemy porozmawiać na osobności.

– Czy życzysz sobie, żebym tylko ja nie był obecny przy tej rozmowie? – Brian chciał mieć jasny obraz sytuacji.

– Nie, Brianie, nie tylko ty. Marilyn wybiera się do sklepu rzemiosła artystycznego, a Annie zamierza oprowadzić Seana po tej części Dublina, której jeszcze nie zdążył zobaczyć.

– Nie będziecie się kłócić?

– Nie robimy już tego od dawna, zapomniałeś? To co, pójdziesz na jakiś czas do Mylesa i Dekka?

– Czy zgodzisz się, żebym się wybrał z wizytą do Finoli Dunne? Przywiozłem dla niej prezent z Ameryki.

– Ależ tak, oczywiście. To wspaniały pomysł – rozwiąła 748

niepokój syna Ria.

– Nie uważasz, że jestem okropny i znowu zrobiłem coś niewłaściwego?

– Jesteś cudowny, Brianie – odrzekła jego matka.

– Ale trochę inny niż wszyscy? – Pochwała była zbyt wielka i pragnął trochę złagodzić jej wydźwięk.

– Zupełnie inny, to pewne – przyznała Ria.

Danny przyszedł punktualnie o dziesiątej i zadzwonił do drzwi frontowych.

– Nie masz kluczy? – zdziwiła się Ria.

- Oddałem je Pani Dyktator.
 - Nie nazywaj w ten sposób Marilyn, Danny. Co mogła z nimi zrobić, jak sądzisz?
 - Zrewiduj mnie. Może przytwierdziła je cementem do kamienia?
 - Nie, są tutaj, w schowku na klucze. Chcesz je wziąć z powrotem?
 - Po co miałbym je brać?
 - Może zechcesz przyprowadzić tutaj potencjalnych nabywców. Proszę cię, nie utrudniaj jeszcze bardziej tej rozmowy.
 - Uznał słuszność jej rozumowania.
 - Racja – przyznał i na znak pokoju podniósł do góry rękę.
 - Mam świeżo zaparzoną kawę. Możemy usiąść we frontowym pokoju i, wybac mi to określenie, sporządzić listę...
- Na stole leżały już przygotowane dwie kartki w linie oraz dwa pióra. Ria stanęła przed nim z kawą, pełna wyczekiwania.
- Nie sądzę, żeby to nas do czegoś doprowadziło – odrzekł.
 - Ależ tak. Sam powiedziałeś, że musimy się stąd wyprowadzić do Bożego Narodzenia. Postarałam się o to, ażeby Ma-749
- rilyn ani dzieci nie było w domu, możemy więc zaczynać.
- To ona jeszcze nie wróciła do Ameryki?
 - Nie, wraca dopiero jutro.
 - Ach, tak.
 - Z czyjego pośrednictwa skorzystamy?
 - Słucham?
 - Chodzi mi o sprzedaż domu, Danny. Nie możemy zwró-
- cić się z tym do firmy McCarthy i Lynch, ponieważ przestała istnieć. Którą agencję wybierzemy?
- Tylko czekają w kolejce na to, aby zatańczyć na moim grobie – odrzekł ponuro.
 - Chyba przesadzasz. Przestań dramatyzować. Wielu agentów będzie zainteresowanych sprzedażą, chcąc zarobić dwa procent od wartości domu. To wszystko. Czy zdecydowa-

leś się na kogoś?

– Od dawna nie pracujesz w tym interesie. Obecnie prowizja agenta nie jest aż tak wysoka. Dzisiaj na rynku nieruchomości panuje bezwzględna walka i każdy stara się cokolwiek uszczknąć dla siebie.

– Co masz na myśli?

– Nazywają to Paradą Piękności: wszyscy proponują swoje usługi, a każdy ma nadzieję, że zostanie wybrany. Ktoś oferuje znalezienie nabywcy za jeden i siedem dziesiątych procent, inny zaś jest gotów zrobić to za jeden i pięć dziesiątych. A potem zjawia się jakiś agent, który rozpaczliwie potrzebuje pieniędzy i zadowala się jednym procentem.

– W ten sposób to się teraz odbywa?

– Tak, wierz mi, byłem w tym, i kto wie, czy któregoś dnia znowu nie będę.

– Komu zatem zlecimy sprzedaż?

– Chcę ci coś zasugerować, Rio. Ci wszyscy faceci mnie nienawidzą, bo przejmowałem ich umowy i kradłem im klien-750

tów. Powinnaś więc sama sprzedać dom i oddać mi połowę uzyskanej sumy.

– Nie mogę tego zrobić.

– Długo o tym myślałem. To jedyny sposób. Musimy udawać, że walczymy ze sobą. Wszyscy muszą odnosić wrażenie, że nie zamierzam się niczym z tobą podzielić, a twoją jedyną nadzieją jest wyśrubowanie ceny.

– Nie, Danny.

– Zrób to, Rio, dla nas i dla dzieci.

– Nie zdołam sama sprostać tej, jak to nazywasz „Paradzie Piękności”.

– Weź sobie kogoś do pomocy.

– No cóż, może Rosemary zgodzi się przebrnąć przez to razem ze mną... W końcu jest kobietą interesu – zastanawiała się na głos Ria.

– Tylko nie Rosemary! – powiedział niezwykle stanowczym tonem.

– Dlaczego nie, Danny? Lubisz ją, a ona naprawdę ma głowę do liczb. Spójrz, jak dobrze prosperuje jej firma.

– Nie. Dwie kobiety będą dla tych drani zbyt łatwym przeciwnikiem.

– Daj spokój. Skąd ci przyszedł do głowy ten pomysł? W

dzisiejszych czasach kobiety nie pozwolą się już oszukiwać w interesach.

– Znajdź sobie do pomocy jakiegoś mężczyznę, Rio. Wierz mi, dobrze ci radzę.

– Kogo? Nie znam żadnych mężczyzn.

– Przecież masz przyjaciół.

– Colm? – zasugerowała.

Danny zastanowił się nad tą kandydaturą.

– Dlaczego nie? Jest właścicielem nieruchomości, która ma obecnie dużą wartość, choć wszedł w jej posiadanie przez 751

przypadek. I cieszy się powszechnym szacunkiem.

– W porządku. Kiedy powinnam zacząć?

– Uważam, że możliwie jak najszybciej. I powiedz tym facetom, że jesteś zainteresowana również kupnem domu. Z

większym entuzjazmem zabiorą się roboty, wiedząc, że będą mieli podwójną okazję do zarobienia prowizji.

– A co z meblami i innymi rzeczami? Co zrobimy z tym wszystkim?

Wzruszył ramionami.

– Jeśli będą pasowały do twojego nowego domu, oczywi-

ście będziesz mogła je zabrać.

– A jeśli wy znajdziecie sobie odpowiednie lokum?

– Nie sądzę. Będziemy się raczej rozglądać za czymś ma-

łym. Poza tym... sama rozumiesz...

– Rozumiem – odpowiedziała Ria. – Bernadette woli rozpocząć życie z tobą w otoczeniu swoich własnych mebli.

– Nie przypuszczam, żeby w ogóle zauważała, co się znajduje w pokoju – wyznał. Był bardzo smutny.

Ria dotknęła jednego z foteli o wypukłym oparciu. Znalęz-

li je na starej plebani. Miały wtedy podarte obicia i wychodziło z nich końskie włosie. Każdy przedmiot w tym pokoju został

wyszukany i wybrany z wielką starannością i tkliwością. A teraz, niespełna dwadzieścia lat później, dwoje ludzi wzruszało ramionami nad jego dalszym losem.

Ria nie ufała sobie na tyle, ażeby się odezwać.

– To nie będzie łatwe, ale na pewno damy sobie radę.

– Wygląda na to, że będę musiała poradzić sobie z tym sama. – Miała nadzieję, że w jej głosie nie zabrzmiało zbyt wielkie rozgoryczenie.

– Chyba rozumiesz dlaczego?

– Tak, rozumiem. A nie powiesz mi potem, że mogłam uzyskać wyższą cenę albo że wybrałam niewłaściwych pośred-

ników?

– Nie, nie powiem, wierz mi. Uwierzyła.

– No cóż, w takim razie zwrócę się dzisiaj do Colma z prośbą o pomoc. Chciałabym mieć to jak najprędzej za sobą i zacząć zarabiać na życie.

– Zawsze ciężko pracowałaś – odparł lekko poirytowany.

Ria spostrzegła, że pod wpływem tego stwierdzenia zwilgotniały jej oczy.

– A czy ty zdołasz znaleźć jakąś posiadłość? – spytała.

– Nie będzie to tak łatwe, jak sądziłem. Prawdę mówiąc, poradzono mi, żebym zmienił branżę. Obawiam się, że niewiele agencji handlu nieruchomościami przyjąłoby mnie z otwartymi ramionami i udostępniło swoje księgi do wglądu. Pomimo to mam kilka miejsc na oku.

– Na przykład jakie?

– W dziale public relations przedsiębiorstwa budowlanego lub firmy handlującej nieruchomościami. Mogę się też zająć handlem starymi meblami; wciąż są domy, gdzie się wyrzuca piękne sprzęty i zastępuje je nowoczesnymi, z tworzywa i metalu.

Mówił o tym wszystkim z niefrasobliwością, której nie odczuwał. Tylko ktoś, kto dobrze znał Danny'ego Lyncha, mógł zdawać sobie z tego sprawę. Ria jednak nie dała poznać po sobie, że cokolwiek spostrzegła.

Było późne popołudnie, kiedy dotarły na miejsce. Jakieś konie stały przywiązane do słupków, a na stopniach wagonów bawiły się dzieci. Kilkunastoletni chłopcy krążyli z nadzieją wokół

podjeżdżających samochodów.

– Chciałyśmy się zobaczyć z panią Connor – wyjaśniła Ria.

– Ona wyjechała – oznajmił rudowłosy chłopak o białej jak papier cerze.

753

– Nie wiecie dokąd? – spytała Marilyn.

– Nie, wyniosła się stąd w środku nocy.

– Musicie się domyślać, dokąd się wyprowadziła. – Ria otworzyła torebkę i zaczęła szukać portmonetki.

– Naprawdę nie mamy pojęcia, w przeciwnym razie powiedzielibyśmy paniom. Przez cały czas przyjeżdżają ludzie i pytają o nią, ale my nie możemy wyjawić czegoś, czego nie wiemy.

– Czy ma tutaj jakichś krewnych? – Ria rozejrzała się po wagonach, które stanowiły domy tej specyficznej społeczności.

– Z pewnością wielu z was jest z nią spokrewnionych. Naprawdę zależy nam na odszukaniu pani Connor.

– Chcemy jej wyrazić naszą wdzięczność – dodała Marilyn. – Rozumiem. Czyż nie przybywają tutaj tłumy? Przed chwilą były tu dwa samochody i ludzie też o nią pytali. Mój brat im powiedział, że nie mamy zielonego pojęcia, gdzie się obecnie podziewa wróżka.

– A może jest chora? – spytała Ria.

– Nigdy się na nic nie uskarżała, proszę pani.

– Czy nikt... nie zastąpił jej w pracy? – chciała wiedzieć Marilyn.

– Nie. Do tego potrzebny jest dar, nieprawdaż? – zauważył

chłopiec o niemal przezroczystej twarzy.

– Wybrali się na pożegnalną kolację do Colma. Sean i Annie trzymali się za ręce i jedli potrawę z bakłażanów i czerwonej fasoli.

– On już nie jada martwych zwierząt – oznajmiła z dumą dziewczyna.

– Męska decyzja, Seanie – stwierdził Colm.

– Finola powiedziała, że kiedy była w szpitalu z wizytą u przyjaciółki, widziała tam twoją siostrę – oznajmił Brian.

rię. Brian był ostatnią osobą w Irlandii, która powinna się była o tym dowiedzieć.

– Tak, rzeczywiście tam jest. Bardzo chorowała, ale obecnie czuje się znacznie lepiej. Czy przyjaciółka pani Dunne również wraca do zdrowia? – W głosie Colma brzmiał lodowaty spokój.

Ria posłała mu pełne wdzięczności spojrzenie.

– Prawdę mówiąc, przypuszczam, że jej przyjaciółka to nałogowa narkomanka. Niewykluczone jednak, że wyjdzie z tego. Zdarzają się przecież takie wypadki, prawda?

– Tak, Brianie – przyznał Colm. – I to nieustannie. Do ich stolika podeszli Barney i Mona McCarthy.

– Chciałam cię tylko powitać w domu, Rio, a tobie, Marilyn, życzyć szczęśliwej podróży. – Obecnie Mona mówiła z dużą pewnością siebie.

– Mama zamierza teraz gotować dla pieniędzy. Może ma pani jakieś znajomości wśród bogatych ludzi, którzy chcieliby kupować od niej jedzenie? – zasugerował z nadzieją w głosie Brian.

– Nadal znamy kilka wpływowych osób – zapewniła go Mona. – I z przyjemnością powiemy o tym tu i ówdzie.

Barney McCarthy chciał jak najszybciej zakończyć tę rozmowę i Colm zaprowadził oboje do ich stolika. Nikt, sądząc po jego zachowaniu, nie odgadłby, że przedsiębiorca budowlany kiedykolwiek był w tej restauracji z inną kobietą. Ani że jego rachunki pozostawały niezapłacone aż do momentu, gdy pewien prawnik poprosił Colma o udokumentowanie wszelkich zaległych roszczeń.

Był to prawnik zatrudniony przez panią i pana McCarthy.

– Masz ochotę wpaść dzisiaj wieczorem do Rosemary, że-by się z nią pożegnać? – zapytała Ria Marilyn.

755

Annie podniosła wzrok.

– Myślę, że zostawię dla niej list – odrzekła Marilyn.

– Oczywiście, dlaczego nie? – Ria była z natury ustępliwa.

W tym momencie Colm poprosił ją, aby poszła do kuchni.

Chciał pochwalić się deserami, jakie przygotował na dzisiejszą kolację, a przy okazji porozmawiać o kulinarnych projektach Rii.

– Czy mogę pójść razem z wami? – W oczach Briana pło-nęło podekscytowanie.

– Pod warunkiem, że nie będziesz się odzywał – zapowiedziała matka.

– Może zechcesz im towarzyszyć, Seanie, i zatkasz mu dłonią usta, ilekroć spróbuje je otworzyć? – zasugerowała błagalnym tonem Annie.

Sean Maine z radością wziął na siebie rolę bohatera i ochoczo ruszył do kuchni.

Annie i Marilyn spojrzały na siebie poprzez stół.

– Nie lubisz Rosemary – zauważyła dziewczyna.

– To prawda. Nie lubię.

– Dlaczego?

– Sama nie wiem. Nie widzę jednak potrzeby, aby zdradzać się z tym przed twoją matką. Ich przyjaźń datuje się od wielu lat. A ty, Annie? Ty również nie darzysz jej sympatią, nie mam co do tego najmniejszej wątpliwości. Z jakiego powodu?

– Nie mogę tego wyjaśnić.

– Rozumiem. To się zdarza.

Marilyn zamówiła taksówkę na dziesiątą trzydzieści, Ria uprzedziła ją jednak, aby nie liczyła na to, że zdoła spokojnie wyjechać. Colm przyniósł dla niej w prezencie bardzo starą książkę o ogrodnictwie, o której kiedyś rozmawiali i którą wy-756

tropił w jednym z antykwariatów. Przyszła też Nora, ażeby ją pożegnać. Hilary wpadła, aby pokazać zdjęcia starego domu rodziców Martina – było to ponure domostwo otoczone wysokimi drzewami.

– Wiezorami, kiedy wszystkie gawrony wracają do gniazd, słysząc tam urocze dźwięki – mówiła z dumą.

– Pojechałyśmy do pani Connor. Zamierzałam powiedzieć jej o tobie i drzewach, okazało się jednak, że wyjechała – poinformowała Ria siostrę.

– No cóż, zrobiła już to, co miała do zrobienia – oświadczyła Hilary w sposób sugerujący, że fakt ów jest dla niej cał-

kiem oczywisty.

Przyszła też Gertie.

– Okazałaś się świetną kumpelką, Marilyn, choć, szczerze mówiąc, nie spodziewałam się, że jako cudzoziemka zrozumiesz nasze zwyczaje. Tymczasem, jak wszyscy, pojęłaś doskonale, że Jack mnie kochał i starał się przychylić mi nieba.

Sądził tylko, że nikt go nie docenia, i na tym polegał jego problem.

– Ależ był przez wszystkich doceniany – zapewniła ją Marilyn. – Wystarczyło spojrzeć na tłumy, jakie uczestniczyły w jego pogrzebie, ażeby się o tym przekonać.

Nadeszła pora odjazdu.

– Mogę jechać taksówką, Rio – zaczęła protestować Marilyn.

– Odwiozę cię na lotnisko. Nie sprzeczasz się ze mną. Zadzwoił telefon.

– Któż to znowu? – jęknęła Ria.

Dzwonił z Kalifornii Greg Vine. Właśnie zmienił plany i zabukował bilet na samolot do Nowego Jorku. Postanowił zaczekać na żonę na lotnisku Kennedy’ego i wrócić razem z nią na Tudor Drive.

757

– Tak, ja też – zakończyła rozmowę Marilyn.

– Powiedział ci, że cię kocha? – spytała Ria.

– Zgadłś – przyznała Marilyn.

– Szczęściara z ciebie.

– Ty masz dzieci – przypomniała jej tamta.

Uścisnęły się mocno, na co nie pozwoliłyby sobie na lotnisku.

Annie przyszła w towarzystwie Seana Maine’a i Briana.

Kiedy miały wsiadać do samochodu, pojawił się kot Klemens.

Przeciągnął się i ziewnął głośno, ale wszyscy wiedzieli, co chce w ten sposób wyrazić.

– Przykro mi, że wpuszczałam go do twojej sypialni – powiedziała Marilyn.

– Wcale ci nie jest przykro, ale to nie ma znaczenia.

Wkrótce zamieszkamy gdzie indziej i będzie musiał od nowa nauczyć się dobrych manier.

Colm pracował na tyłach domu, ale wyszedł, aby pomachać jej na pożegnanie.

– Nadal pracujesz w ogrodzie, chociaż z efektów twojej pracy będą korzystali obcy ludzie?

– Nie będą korzystać obcy. Mam zamiar przenieść wszystkie rośliny do ogrodu Frances i Jimmy’ego Sullivanów. Wła-

śnie je przesadzam.

– Dlaczego nie usuniesz tego okropnego betonu na tyłach restauracji? Przecież możesz tam hodować warzywa.

– Mam nadzieję tam się pobudować – wyjaśnił.

– Pobudować?

– Tak, stworzyć sobie w końcu odpowiednie warunki do życia, zamiast dusić się w kawalercie.

– Świetny pomysł.

– Trudno przewidzieć, co wyniknie z tych planów.

– Przykro mi, że muszę jechać – powiedziała Marilyn.

758

– Następnym razem będziemy cię gościć w naszym nowym domu.

– Przypuszczam, że nie pozwolą ci przewieźć na pokładzie samolotu żadnego żywego stworzenia, Marilyn? – upewnił się Brian.

– Raczej nie, z wyjątkiem mnie samej – odrzekła stanowczo.

– A zatem nie możesz zabrać ze sobą świnki morskiej ode mnie dla Zacha?

– Nie możemy iść z tobą dalej – powiedziała Ria przy okienku kontroli dokumentów.

– Czyż nie jesteśmy wspaniałe? – spytała Marilyn.

– Tak, obie zdobyłyśmy się na to ryzyko, prawda? – przyznała Ria.

– I obu nam wyszło to na dobre – odparła Marilyn. Wciąż nie mogły się rozstać.

Annie rzuciła się w ramiona Marilyn.

– To okropne, że jedziesz, nie wiem nawet o tym myśleć!

Wiesz, że nie ma drugiej takiej jak ty. Czy wrócisz do nas, żebyśmy miały przy sobie kogoś, z kim można porozmawiać?

– Mieszkasz w miejscu, gdzie nie brakuje chętnych do rozmowy.

Ria zachodziła w głowę, dlaczego tamte dwie zachowują się, jak gdyby jej tu nie było. A może tylko tak się wydawało?

– Czuwaj stamtąd nad wszystkim tutaj – odezwała się Annie.

– A ty stąd, dobrze? – poprosiła Marilyn.

– Oczywiście.

Sean Maine z poważną miną podał jej rękę, a Brian uści-snął ją z zakłopotaniem. Marilyn Vine spojrzała na Annie Lynch. Śliczna, jasnowłosa, prawie piętnastoletnia Annie podeszła do matki i objęła ją w pasie.

759

– Dopilnujemy, aby do czasu twojego powrotu świat funkcjonował normalnie – powiedziała. – Prawda, mamó?

– Oczywiście – zapewniła ją Ria, uświadamiając sobie, że być może jest to pomimo wszystko realne.

760